

Thomas Hardy

Powrót na wrzosowisko

(Tłumaczyła Aldona Szpakowska)

Już się żegnałem
Ze smutku Panią,
Jużem ją myślał rzucać i bez jednej łzy,
Lecz ona, płocha,
Dalej mnie kocha,
I taka dla mnie czuła, taka wierna mi!
Jużem ją zwodził,
Jużem odchodził,
Lecz cóż! Taka jest czuła, taka wierna mi!

John Keats, Endymion

PRZEDMOWA AUTORA

Czas opisanych w tej powieści wydarzeń to lata mniej więcej czterdzieste, kiedy starą miejscowość kąpieliskową zwaną "Budmouth" wciąż jeszcze oświetlał blask dawnej świetności i sławy z czasów królów Jerzych. Romantycznemu, obdarzonemu wyobraźnią samotnemu mieszkańcowi głębi kraju wydawała się ona niezwykle interesująca.

Pod ogólną nazwą wrzosowiska Egdon, jaką nadałem ponuremu krajobrazowi z mojej opowieści, kryje się kilkanaście rzeczywiście istniejących wrzosowisk. Wszystkie są do siebie podobne, mają identyczny charakter, chociaż dzisiaj jest to mniej widoczne, gdyż niektóre kawałki ziemi zostały zaorane lub obsadzone drzewami. Miło mi pomyśleć, że może jakieś miejsce na tym rozległym terenie, którego południowo-zachodnią część opisałem, jest wrzosowiskiem Leara, legendarnego króla Wessexu.

Lipiec 1895

Księga pierwsza

TRZY KOBIETY

I

KRAJOBRAZ, W KTÓRYM CZAS SIĘ ZATRZYMAŁ

Pewne sobotnie listopadowe popołudnie przechodziło już w przedwieczorny zmierzch i rozległy obszar ugoru, znanego jako wrzosowisko Egdon, przybierał barwę coraz ciemniejszego brązu. Zwisająca nisko biaława płachta obłoków, która odcinała go od nieba, wyglądała jak namiot mający za podstawę całe wrzosowisko.

Na horyzoncie zaznaczała się wyraźnie linia zetknięcia niebios, zasnutych tym białym welonem, z pokrytą ciemną roślinnością ziemią. Przez ten kontrast wydawało się, że na wrzosowisku zapadła przedwcześnie noc, gdyż panowały tu niemal kompletne ciemności, choć na niebie jaśniał jeszcze dzień. Wieśniak ścinający janowiec orientując się według nieba pracowałby dalej, lecz gdyby rozejrzał się dokoła, postanowiłby dorzucić parę gałązek do wiązki i wracać do domu. Daleka linia graniczna ziemi i firmamentu zdawała się rozdzielać nie tylko materię, ale i czas. Sam koloryt wrzosowiska sprawiał, że wieczór nadchodził tu o pół godziny wcześniej. Ponury wygląd tej okolicy potrafił niejednokrotnie opóźnić świt, omroczyć blask południa, zwiastować grozę nie rozpętanych jeszcze burz, a bezksiężycową nieprzeniknioną ciemność nocy wypełnić przerażeniem i trwogą.

Gdy mrok zasnuwał to pustkowie, objawiało się jego wspaniałe, osobliwe piękno, nikt zatem, kto nie widział wrzosowiska w takim momencie, nie mógłby twierdzić, że je zna. Naturę Egdonu wyczuwało się najlepiej, gdy nie widziało się wyraźnie

szczegółów krajobrazu. Jego tajemnica objawiała się wieczorem i nocą, wtedy i tylko wtedy wsłuchać się można było w jego prawdziwą opowieść. Zaiste, to miejsce miało coś wspólnego z nocą i kiedy się zbliżała, w jej cieniach i w mroku tej ziemi wyczuwało się wzajemne ku sobie ciążenie. Ten posepny obszar porośnięty wrzosem wzgórz i dolin jak gdyby podnosił się na powitanie miłej mu ciemności wieczoru i wydychał mrok równie szybko, jak zsyłały go na ziemię niebios. Ciemności ziemi i nieba łączyły się w pół drogi w ponurym braterstwie. Cała okolica trwała teraz w pełnej napięcia czujności. Kiedy wszystko dokoła zapadało w zadumę i sen, wrzosowisko z wolna się budziło, nasłuchiwało. Co noc ten Tytan zdawał się na coś czekać, lecz wyczekując tak, nieporuszony, od tylu stuleci, przetrwał tyle przemian, że tylko jednego mógł już wyglądać: ostatecznego kresu.

Tym, którzy wrzosowisko ukochali, jawiło się ono we wspomnieniach jako miejsce szczególnie bliskie i łaskawe. Nie są nam tak bliskie uśmiechnięte, kwieciste i urodzajne równiny, one bowiem na stałe harmonizować mogą jedynie z egzystencją budzącą większe nadzieje niż nasza. W godzinie zmierzchu krajobraz Egdonu tchnął majestatem, lecz nie surowością, urzekał dostojnością bez ostentacji, zda się, przed czymś ostrzegał i był prawdziwie wielki w swej prostocie. Zdarza się, że mury więzienia mają więcej godności niż fasada dwukrotnie większego pałacu: również i to wrzosowisko cechowała wzniosłość, której próżno by szukać w miejscowościach słynących z konwencjonalnego piękna. Wesołe widoki radują nas w chwilach radości, lecz niestety, nie zawsze jesteśmy weseli. Człowieka pogrążonego w smutku nazbyt wesoły widok razi jak szyderstwo, a rzadziej się zdarza, aby ponura okolica wprowadziła kogoś w przygnębienie. Dziki Egdon przemawiał do subtelniejszych, mniej pospolitych instynktów i do uczuć wykształconych później niż te, które budzi czarujące piękno otoczenia. Nasuwa się pytanie, czy nie jest to już ostatni okres panowania klasycznego piękna. Posepny ugór w Thule* stać się może nową doliną Tempe*, gdyż z duszą człowieka mogą bardziej harmonizować ponure okolice, choć były tak nieprzyjemne rodzajowi ludzkiemu w okresie młodości. Niedaleki wydaje się czas — być może już nawet nadszedł — kiedy z całego bogactwa przyrody tylko surowa szlachetność wrzosowiska, morza czy gór odpowiadać będzie nastrojom bardziej myślącej części ludzkości. Aż w końcu kraje takie jak Islandia staną się nawet dla zwykłego turysty tym, czym są dzisiaj dla niego winnice i mirtowe gaje południowej Europy, i w drodze z Alp do piaszczystych wydm Scheveningen* przejedzie przez Heidelberg i Baden nie zwróciwszy na te miasta uwagi.

Nawet najsurowszy asceta czułby, że ma naturalne prawo wędrować po Egdonie i że poddając się urokowi tego krajobrazu, nie pobłaża sobie nadmiernie. Każdy z nas ma wrodzone prawo przynajmniej do tak przygaszonych barw, do tak surowego piękna. Tylko w rozkwicie lata panował tu nieco weselszy nastrój. Głębiej przeżyć wywoływała nie wspaniałość krajobrazu, ale jego powaga, przejawiająca się zazwyczaj w czasie mrocznej zimy, pośród burz i mgieł. Wtedy Egdon odwzajemniał się żywiołom, bo burza była jego kochanką, a wichur przyjacielem. Ukazywały się tu wówczas dziwne zjawy. Odkryto, że Egdon jest właśnie owym dotychczas nie uznanym pierwowzorem straszliwych krajów ciemności, po których błądzimy o północy w snach, pełni przerażenia, uciekając przed groźącym nieszczęściem. Po przebudzeniu obraz ten znika z naszych myśli, ale jego wspomnienie powraca na widok takich okolic jak wrzosowisko Egdon.

W tej chwili było to miejsce idealnie harmonizujące z naturą człowieka: ani upiorne, nienawistne czy szpetne, ani też pospolite, bez treści czy zbyt mdłe, ale — jak człowiek — traktowane z lekceważeniem, a zdolne przetrwać, przy tym osobiście imponujące i tajemnicze w swej przyćmionej monotonii. I jak z twarzy

człowieka długo żyjącego w odosobnieniu, i z jego oblicza przezierają samotność. Tchnęło opuszczeniem i niepokoiło uśpionym tragizmem.

Ta mroczna, tajemnicza ziemia figuruje w księdze katastralnej Wilhelma Zdobywcy. Opisano ją tam pod nazwą "Bruaria" jako pustkowie porośłe wrzosem, krzakami jałowca i głogu. Podano jej długość i szerokość w milach, a chociaż nie mamy pewności, ile dokładnie mierzyła owa wczesnośredniowieczna mila, dane te jednakże świadczą, że powierzchnia Egdonu niewiele się w ciągu tych wieków zmieniła. "Turbaria Bruaria", prawo zbierania darni z wrzosowiska, wymienione jest w dokumentach dotyczących tego rejonu. Leland określa ów ponury zakątek jako "porosłą wrzosem i mchem" krainę.

Tyle przynajmniej zrozumieliśmy wiadomości o tej okolicy napelniających nas szczerą satysfakcją, zachowało się z zamierzchłych czasów. Egdon miał zawsze — jak teraz — wygląd dzikiego pustkowia. Cywilizacja od wieków była jego wrogiem. Od pojawienia się roślinności okrywała go ta sama starodawna brązowa szata — naturalny, nieodmienny strój tej właśnie formacji. To wciąż jednakowe, czcigodne okrycie ziemi jest w jakimś sensie drwiną na ludzką próżność, przejawiającą się w ubiorze. Człowiek ubrany w modny krojem i barwą strój wydałby się na wrzosowisku kimś niewłaściwym. Tam bowiem, gdzie szata ziemi jest tak prymitywna, i człowiek nosić powinien najstarsze, najprostsze ubranie.

Ktoś, kto znalazłby się w środkowej dolinie Egdonu w takiej jak ta porze, gdy popołudnie przechodzi w wieczór, i wsparty o pień cierniowy zatoczyłby spojrzeniem daleki krąg, a widząc tylko porośłe wrzosem wzniesienia i grzbiety pagórków uprzytomniłby sobie, że wszystko, co go otacza, trwa od prehistorycznych czasów nie zmienione, jak gwiazdy nad jego głową — odzyskałby równowagę ducha, unoszącego się niepewnie na fali przemian, dręczonego niepowstrzymanym napływem tego, co nowe. Ten wielki, dziewiczy obszar cechuje odwieczna niezmiennność, której nie posiada morze. Czyż wolno nam powiedzieć o jakimkolwiek morzu, że jest stare? Poddawane procesowi destylacji przez słońce, przyciągane przez księżyc, odnawia się z roku na rok, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Morze się zmieniało, zmieniały się pola, rzeki, wsie i ludzie, a tylko Egdon pozostawał taki sam. Jego teren nie jest na tyle pofalowany, żeby korodowały go deszcze i wiatry, ani tak płaski, żeby mógł ucierpieć od powodzi i osadzania się gleby. Z wyjątkiem starej drogi i jeszcze starszego kopca — które jednak tak wrosły przez wieki w krajobraz, że stały się jakby tworem natury — nawet drobne nierówności terenu nie były dziełem kilofa, pługa czy łopaty, lecz śladami ostatnich zmian geologicznych.

Wspomniany gościniec przecinał niżej leżącą część wrzosowiska od krańca do krańca widnokregu. Na wielu odcinkach pokrywał się z dawną boczną drogą, która niedaleko stąd łączyła się z wielką Zachodnią Drogą Rzymską, Via Iceniana, czyli Ikenild Street. Warto zaznaczyć, że choć w tej przedwieczornej chwili mrok gęstniał i przesłonił już szczegóły krajobrazu, gościniec wił się wyraźnie białą wstęgą.

II

NA SCENIE POJAWIAJĄ SIĘ LUDZIE,

A WRAZ Z NIMI KŁOPOTY

Drogą tą szedł stary człowiek. Głowę miał białą jak szczyt wysokiej góry, plecy przygarbione, wygląd osoby znużonej życiem. Kapelusz miał lśniący, na nogach trzewiki, a staroświecką marynarską kurtę zdobiły miedziane guziki z kotwicą. W rękę trzymał laskę ze srebrną gałką i posługiwał się nią jak prawdziwą trzecią nogą, nieustannie, co kilka cali znacząc ziemię jej końcem. Można by było powiedzieć, że przed laty człowiek ten musiał służyć w takiej czy innej randze jako oficer marynarki.

Rozpościerała się przed nim droga długa i męcząca, pusta, biała, wyschła. Po obu jej stronach ciągnęło się wrzosowisko, a ona, jak rozdziałek w ciemnych włosach, przepoławiała ten mroczny obszar, skręcając i ginąc gdzieś za linią horyzontu. Stary człowiek często natężał wzrok i spoglądał na szlak przed sobą. W pewnym momencie w sporej przed sobą odległości dostrzegł jakiś ruchomy punkt i po chwili się zorientował, że to pojazd zdążający w tym samym co i on kierunku. Był to jedyny znak życia w tej scenerii, a jego pojawienie się podkreśliło jeszcze bardziej pustkę okolicy. Wehikuł posuwał się wolno i odległość między nimi wyraźnie się zmniejszała.

Z bliska okazało się, że to kryty wóz na resorach, pospolity w kształcie, ale szczególnego koloru: krwistoczerwony. Idący obok woźnica był również czerwony. W tym samym odcieniu czerwieni miał ubranie, czapkę, buty, twarz i ręce. Zdawało się, że nie jest tylko chwilowo zbrukany tą barwą, ale nią na wskroś przesiąknął.

Starzec wiedział, co to znaczy: podróżny trudnił się dostarczaniem farmerom czerwonej farby do owczej wełny. Należał do klasy ludzi, która gwałtownie zanikała w Wesseksie i w świecie wiejskim zajmowała miejsce, jakie w ubiegłym stuleciu w świecie zwierząt zajmował ptak dodo. Stanowiła osobliwe, rzadko spotykane ogniwo między przestarzałymi a współczesnymi formami życia. Dawny oficer powoli zrównał się z woźnicą i powitał go życzliwym “dobry wieczór”. Handlarz farbą zwrócił ku niemu zamyśloną twarz i odpowiedział smutnym głosem. Był młody, a choć twarzy nie miał pięknej, w swej naturalnej barwie wydawałaby się całkiem przystojna. Oczy, dziwnie lśniąca na tle czerwieni, były bystre jak u drapieżnego ptaka i niebieskie jak jesienna mgła. Nie nosił faworytów ani wąsów, co uwydatniało delikatne zarysy dolnej części twarzy. Wargi miał cienkie, nieco zaciśnięte, jak gdyby w zadumie, ale od czasu do czasu kąciki ich leciutko drgały. Ubranie ze sztruksu, doskonałego gatunku i nie bardzo zniszczone, było odpowiednie do jego pracy, która jednak pozbawiła je pierwotnego koloru. Zgrabna postać mężczyzny doskonale się w tym stroju prezentowała. W jego zachowaniu było coś, co nasuwało myśl, że jak na swój stan nie jest bynajmniej biedny. Ktoś, kto go obserwował, musiał postawić sobie pytanie, dlaczego tak obiecujący młody człowiek ukrył swą miłą powierzchowność, oddając się owemu szczególnemu zajęciu.

Odpowiedziawszy na pozdrowienie, nie okazywał ochoty na dalszą rozmowę, chociaż szli krok w krok, gdyż starszy wędrowiec wyraźnie pragnął towarzystwa. Uszu ich nie dobiegały żadne odgłosy, prócz świstu wiatru przelatującego nad brunatnym pustkowiem, skrzypienia kół, własnych kroków i stukotu kopyt dwóch włochatych koników w zaprzęgu. Były to zwierzęta drobne, lecz wytrwałe, należały do rasy spotykanej między Galloway i Exmoor. Zwano je tam konikami “skubiącymi wrzos”. Kiedy tak szli drogą, handlarz farbą od czasu do czasu pozostawał w tyle i idąc za wozem niespokojnie zaglądał do środka przez małe okienko. Następnie powracał do swego towarzysza i z roztargnieniem odpowiadał na jego uwagi na temat okolicy. A potem znów szli obok siebie nic nie mówiąc, ale cisza zupełnie im nie przeszkadzała. W tym pustkowiu często się zdarzało, że wędrowcy, wymieniwszy powitanie, szli obok siebie przez całe mile bez słowa, sama bliskość drugiej osoby zastępowała rozmowę, zwłaszcza że tutaj — w przeciwieństwie do miasta — łatwo można było uniknąć towarzystwa ludzi.

Może i tych dwu nie odezwałoby się do siebie aż do rozstania, gdyby handlarz farbą nie zaglądał do wozu. Kiedy uczynił to po raz piąty, stary zapytał:

— Wiecie pan coś jeszcze prócz swego towaru?

— Tak.

— Kogoś, kto wymaga opieki?

— Tak.

W tej chwili z wnętrza wozu dobiegł cichy okrzyk. Handlarz pospieszył do tylnego okienka, zajrzał i wrócił do towarzysza.

— Wiecie pan dziecko?

— Nie, proszę pana, kobietę.

— O, do diaska! A dlaczego ona krzyczy?

— Bo zasnęła, a ponieważ nie przywykła do podróży, źle się czuje i męczą ją złe sny.

— Czy to młoda kobieta?

— Owszem, młoda.

— Zainteresowałbym się tym przed czterdziestu laty. Czy to pańska żona?

— Moja żona! — W głosie handlarza zabrzmiała gorycz. — Nie zechciałaby wyjść za takiego jak ja. Ale po co mam o tym wszystkim panu mówić?

— No właśnie. Dlaczego jednak miałby pan o tym nie mówić? Przecież nie zrobię nic złego ani panu, ani jej.

Handlarz farbą patrzył przez chwilę na wędrowca.

— No więc, proszę pana — rzekł w końcu — znam ją nie od dzisiaj, choć zapewne byłoby lepiej, żebym jej nie znał. Ale nie jest bliską mi osobą i ja nie jestem jej bliski, i nie znalazłaby się w moim wozie, gdyby trafił się jakiś lepszy pojazd.

— Skąd, jeśli można zapytać?

— Z Anglebury.

— Znam dobrze to miasto. A co ona tam robiła?

— Ach, nic takiego, o czym by warto mówić. Teraz jest śmiertelnie zmęczona i nie czuje się dobrze, dlatego jest taka niespokojna. Zasnęła przed godziną, a sen ją pokrzepi.

— Niewątpliwie ładna, co?

— Raczej tak.

Stary zwrócił pełen ciekawości wzrok ku okienku wozu i nie odwracając oczu zapytał:

— Chyba mogę na nią spojrzeć?

— Nie! — sprzeciwił się gwałtownie młody. — Jest za ciemno, żeby ją dobrze zobaczyć, a co więcej, nie mam prawa na to pozwolić. Dzięki Bogu, śpi głęboko. Mam nadzieję, że obudzi się dopiero w domu.

— Kim ona jest? Ktoś z sąsiedztwa?

— Daruje pan, wszystko jedno kto.

— A czy nie jest to ta dziewczyna z Blooms-End, o której ostatnio tyle się mówi? Jeżeli tak, to ją znam i wiem już, co się stało.

— Wszystko jedno kto. A teraz, proszę pana, przykro mi, ale musimy się rozstać. Moje koniki są zmęczone, droga przed nimi daleka, powinny tutaj wypocząć przez godzinę.

Stary skinął obojętnie głową, a handlarz skierował konie i wóz na wrzosowisko, mówiąc:

— Dobranoc panu.

Wędrowiec również go pożegnał i poszedł dalej drogą. Woźnica patrzył za oddalającym się starym człowiekiem, aż jego postać stała się małym punktem i zniknęła w gęstniejących oparach wieczoru. Wtedy ze snopa uwieszonego pod wozem wyciągnął trochę siana i rzuciwszy garść koniom, rozłożył resztę w pobliżu na ziemi i usiadł, wsparty plecami o koło. Z wnętrza wozu nadpłynął ku niemu cichy szmer oddechu. Uspokojony, rozejrzał się w zamyśleniu, jakby nie wiedząc, co dalej robić.

I rzeczywiście, należało chyba postępować z rozwagą i namysłem, znalazłszy się w

dolinie Egdonu w tej przejściowej porze między dniem a nocą, gdy niemal dotykalnie wyczuwało się wokół dziwną niepewność. Taka atmosfera cechowała chwile ciszy na wrzosowym pustkowiu. Nie był to spokój całkowitej martwoty, ale tylko pozorny, kryjący nieprawdopodobną wprost powolność. Stan zaniku żywotności, graniczący z odrętwieniem śmierci, jest czymś zdumiewającym w zdrowym organizmie. Jak można okazywać bezwład typowy dla pustyni, a zarazem władać siłami pokrewnymi tym, które ożywiają łąkę, a nawet las? Gdy ktoś postawi sobie to pytanie, zmuszony jest do równie poważnych refleksji jak wobec czyichś niedomówień i rezerwy.

Przed oczyma podróżnego roztaczał się teren stopniowo wznoszący się od drogi ku środkowi wrzosowiska. Znajdowały się tam, jedne za drugimi, pagóreczki, doły, łańcuchy wzgórków i wzniesienia, i wreszcie wysokie wzgórze, rysujące się na tle wciąż jeszcze jasnego nieba. Wzrok podróżnego błędził przez chwilę po krajobrazie, by w końcu zatrzymać się na jednym godnym uwagi szczególe. Był nim kopiec. Ten guz, sterczący nad naturalnym poziomem ziemi, zajmował najwyższą część najbardziej osamotnionego wzniesienia okolicy. Patrzącemu nań z doliny wydawał się mały niczym brodawka na czole Atlasa, ale w rzeczywistości był duży. Stanowił biegun i oś tego wrzosowiskowego świata.

W pewnej chwili stary człowiek patrząc na kopiec spostrzegł, że na wierzchołku — dotychczas najwyższym punkcie okolicy — wznosi się coś jeszcze, co wyrasta z jego półkolistej formy jak szpic z hełmu. Ktoś o bujnej wyobraźni pomyślałby natychmiast, że to postać jednego z Celtów, którzy usypali kopiec. Sceneria bowiem nie miała w sobie nic nowoczesnego. Zdawać by się mogło, że to ostatni z Celtów spogląda w zamyśleniu z góry, nim zstąpi w wieczystą noc za swymi współbraćmi.

Postać owa trwała równie nieruchomo jak góra u jej stóp. Na równinie wznosiło się wzgórze, na wzgórzu kopiec, na kopcu czyjaś postać. Nad nią zaś nie było nic poza tym, co należało już do mapy nieba.

Postać ta stanowiła idealne, delikatne, wprost konieczne wykończenie ciemnej masy pagórków i zdawała się być jedynym widocznym usprawiedliwieniem ich zarysu. Bez niej byłaby to kopuła nie zwieńczona latarnią, a dzięki niej wszelkie wymagania architektoniczne zostały zaspokojone. Obraz ów był zdumiewająco jednolity, ponieważ dolina, wzniesienie, kopiec i tkwiąca na nim postać tworzyły zwartą całość. Patrząc na jedną z tych rzeczy widziało się tylko ułamek, jeden z elementów całości.

Postać tę łączyła organiczna wprost jedność z całą nieruchomą strukturą, więc gdyby choć drgnęła, wydawałoby się to dziwnym zjawiskiem. Charakterystycznym rysem tej całości była niezmiennosc, wprowadzenie więc ruchu w jakiegokolwiek jej części oznaczałoby zamęt.

A jednak do tego doszło. Postać na szczycie kopca wyraźnie się poruszyła, przesunęła i obróciła. Jak gdyby czymś zaniepokojona, zsunęła się z prawej strony kopca, podobnie jak kropla wody spływa z pąka kwiatu, i zniknęła. Po jej ruchach można było poznać, że to kobieta.

Wkrótce ujawniła się przyczyna jej nagłego odejścia. Z chwilą gdy zniknęła na prawym zboczu kopca, z lewej jego strony zarysował się na tle nieba człowiek niosący jakiś ciężar; wszedłszy na szczyt złożył tam swoje brzemie. Za nim pojawił się drugi, trzeci, czwarty i piąty, aż w końcu cały kopiec zaroił się od ludzi z podobnymi ładunkami.

Sensowne wytłumaczenie tej pantomimy na tle nieba mogło być tylko takie, że kobiety nie łączyło nic z ludźmi, którzy zajęli jej miejsce, i skrzętnie ich unikała, a przyszła tam w zupełnie innym celu niż oni.

Obserwator podążył w wyobraźni za samotną postacią, uznając ją za interesującą i

ważną, za posiadającą zapewne ciekawszą historię niż ci przybysze, których podświadomie uważał za intruzów. Oni jednak pozostali i ulokowali się na szczycie kopca, i nic nie wskazywało na to, by miała tu powrócić samotna kobieta, która przez chwilę królowała nad tym pustkowiem.

III

OBYCZAJE TEJ OKOLICY

Gdyby wówczas ktoś obserwował kopiec z bliska, spostrzegłby, że owi ludzie to chłopcy i mężczyźni z pobliskich osad. Każdy wchodząc na kopiec niósł na ramionach długi drążek o zaostrzonych końcach, a na nim białe wiązki janowca: dwie z przodu i dwie z tyłu. Przyszli z odległej o ćwierć mili części wrzosowiska, porosłej niemal wyłącznie tym krzewem.

Każda postać, przesłonięta w ten sposób janowcem, póki nie zrzuciła gałęzi, wyglądała jak krzak o ludzkich nogach. Posuwali się niczym stado owiec, to znaczy, że najsilniejsi szli przodem, a słabi i młodociani w tyle.

Gałęzie złożono razem i piramida z chrustu, blisko dziesięciometrowej średnicy, zajęła szczyt wzniesienia — znanego na wiele mil wokoło jako Rainbarrow, czyli Deszczowy Kopiec. Jedni zabrali się do wyszukiwania najsuchszych liści na podpałkę, drudzy odrywali jeżynowe gałązki oplątujące wiązki janowca, a jeszcze inni wznosili oczy i wpatrywali się w rozpościerający się przed nimi szeroki obszar ziemi, w owej chwili niemal całkowicie zatopiony w mroku. W tamtejszych dolinach nigdy, nawet za dnia, nie widziało się nic prócz dzikiego wrzosowiska, ale z tego miejsca wzrok obejmował rozległą przestrzeń het poza jego granicami. W tym momencie nie można było dostrzec szczegółów krajobrazu, wyczuwało się jednak jego głębię i dal.

Kiedy mężczyźni i chłopcy układali stos, zaszła pewna zmiana w masie ciemności zasnuwającej krajobraz. Poczęły się wokół rozżarzać czerwone słońca ognia, strzelały w górę czerwone kiście płomienia, znacząc jaskrawymi plamami całą dolinę. Były to ogniska rozniecane przez wioski i osady z okazji tej samej uroczystości. Niektóre znajdowały się daleko i paliły się śląc w górę wiązki białych jak słoma płomyków, wystrzelających na kształt wachlarza. Inne, bliższe i większe, odbijały szkarłatną czerwienią od otaczających je mroków, niby rany na ciemnej skórze zwierzęcia. Inne przypominały menady z czerwonymi od wina twarzami i rozwianym włosiem. Te bliższe rzucały odbłask na spokojne obłoki, zabarwiając czerwienią zmieniające się z każdą chwilą zagłębienia, które stawały się podobne do wrzących kotłów. Można by naliczyć w okolicy chyba ze trzydzieści ognisk; a jak patrząc na tarczę zegara umiemy określić godzinę, choć cyfry są niewidoczne, tak samo owi ludzie rozpoznawali położenie każdego światełka po odległości i kierunku nachylenia, choć nie mogli dostrzec szczegółów krajobrazu. Nagle na Rainbarrow strzelił w niebo pierwszy wysoki płomień, zmuszając stojących wokół do oderwania oczu od dalekich ognisk i spojrzenia na własne dzieło. Wesoły blask przystroił w złotą liberię ludzi, co stali najbliżej w kręgu — powiększającym się stale, bo przyłączali się doń coraz to nowi wędrowcy, mężczyźni i kobiety — i rzucił na ciemną darń dookoła świetlisty, drgający dywan, który spływając ze szczytu wzgórza roztopiał się w mroku. W tym blasku kopiec ukazał się jako element globu, i to tak doskonały jak w ów dzień, kiedy go usypano; widać było nawet dół pozostały po wybranej ziemi. Żaden pług nie tknął nigdy tego ugoru. Tutejsza ziemia, choć rolnik nazwałby ją jałową, historykowi wydałaby się płodna, nic w niej bowiem nie zostało zniszczone, bo nigdy nie była uprawiana.

Wyglądało to tak, jakby ludzie rozniecający ognisko stali na oświetlonym, górnym piętrze świata, odcięci od leżącego niżej pasma ciemności, niczym z nim nie związani. Wrzosowisko w dole zmieniło się w ciemną czeluść, nie było już

przedłużeniem ziemi, na której stali, ich oczy bowiem, przywykły do światła, nie dostrzegały nic, co znajdowało się poza jego kręgiem. Niekiedy, co prawda, janowiec strzelał żywszym płomieniem, który słał zboczem wzgórza strzały blasku, niczym adiutantów, ku dalekiemu krzakowi, kałuży błota czy plamie białego piasku, zmuszając je, by rozjaśniły się na chwilę — zanim znów pochłonie je mrok. Wówczas czarny obszar w dole stawał się otchłanią z wizji Wielkiego Florentyńczyka, a poszepty wiatru w dolinach brzmiały jak skargi i błagania uwieczonych tutaj “duchów wielkiej mocy”.

Pomyśleć by można, że ci mężczyźni i chłopcy wyprawili się nagle w minione wieki i przenieśli z przeszłości tę godzinę i ten obrzęd, popularny niegdyś w okolicy. Popioły dawnego ogniska Brytów, które płonęło na tym samym szczycie, leżały nietknięte pod ich stopami. Płomień rozniecany przed wiekami na pogrzebowym stosie tak samo jaśniał nad nizinami jak obecny. Później palono tu ogniska ku czci Wodana i Thora; miały one okres swej świetności. Jest sprawą powszechnie wiadomą, że ogniska takie jak to, które właśnie radowało oczy mieszkańców okolicy wrzosowiska, wywodzą się prawdopodobnie w prostej linii od rozmaitych druidycznych rytuałów i saksońskich obrzędów, a nie są bynajmniej związane ze spiskiem prochowym*.

Co więcej, rozpalanie ogniska to instynktowny akt protestu człowieka przeciw rozbrzmiewającemu w całej przyrodzie z początkiem zimy nakazowi wygaszenia światła. To spontaniczny prometejski bunt przeciw postanowieniu, że owa powracająca pora roku ma przynieść złe chwile, ciemności i zimno, niedolę i śmierć. Nadpływa czarny chaos, ale spętani w okowach bogowie ziemi mówią: “Niech będzie światło”.

Po stojących wokół ogniska postaciach przesuwają się na przemian to jaskrawe odbłaski, to czarne jak sadza cienie, a ukazujący się obraz urzekał Dürerowskim mistrzostwem. Trudno jednakże byłoby określić charakter którejs z tych twarzy, bo gdy zwinne języki ognia wznosiły się ku górze, tańczyły i strzelały w powietrze, plamy cienia i blasku przesuwające się po nich nieustannie zmieniały kształt i położenie. Wszystko było rozedrgane niczym liście, przelotne jak błyskawica.

Pogrążone w cieniu oczodoły, głębokie niczym w trupiej czaszce, nagle wypełniały się blaskiem, zapadły policzek wyglądał jak ciemna pieczara, a potem zaczynał lśnić, bruzdy na twarzy albo przypominały górskie jary, albo wyglądały się zupełnie w zmienionym oświetleniu. Nozdrza były niczym głębokie studnie, żyły na starych szyjach jak pozłacane listwy, rzeczy z natury matowe lśniły, połyskliwe zaś przedmioty — choćby niesiony przez kogoś z mężczyzn sierp do ścinania janowca — błyszczały niczym szkło, oczy płonęły jak latarki. To, co Natura stworzyła jako po prostu dziwne, stawało się groteskowe, groteskowe zaś wydawało się czymś nadprzyrodzonym. Wszystko bowiem występowało w formie wyolbrzymionej. Tak więc zapewne i stary człowiek, którego podobnie jak innych przyciągnęły na wzgórze strzelające w niebo płomienie, oprócz widocznego nosa i brody — bo resztę skrywała ciemność — miał wszystko to, co się składa na ludzkie oblicze. Stary rad grzał się w ciepłe ogniska. Trzymanym w ręku kijem spychał do ognia leżące na ziemi gałązki i patrzył w sam środek ogniska, od czasu do czasu zaś mierzył wzrokiem wysokość płomienia lub gonił spojrzeniem gasnące w mroku iskry. Widok ogniska i bijące z niego ciepło budziły w nim coraz większe zadowolenie, które wkrótce przerodziło się w wesołość. Nie wypuszczając z ręki kija zaczął skocznie tańczyć jakiegoś osobliwego menueta. Spod kamizelki wysuwał mu się, poruszający się wahadłowo błyszczący miedziany łańcuch. Zaczął śpiewać głosem cienkim jak brzęczenie pszczoły.

Przywołał całą szlachtę król,

Po dwóch, po trzech, po jednym,
— Królową wypowiadać chcę,
Marszałku, pójdiesz ze mną.
Skoczy marszałek — łaskaw, łaskaw król!
Przykłęka, choć niemłody,
— Cokolwiek zaś królowa wyzna nam,
Nikt nie poniesie szkody!

Z braku oddechu nie mógł dokończyć pieśni. Przerwa zwróciła uwagę krzepkiego mężczyzny w średnim wieku. Tak surowo ściągnął kąciki ust, które kształtem przypominały nów księżycy, jakby za wszelką cenę nie chciał w nikim wzbudzić niesłusznego podejrzenia, że bierze jakikolwiek udział w tej wesołości.

— Ładna piosenka, Grandferze Cante, ale to chyba za duży wysiłek dla zdartego starego gardła, jak wasze! — zwrócił się do pomarszczonego wesołka. — Chcielibyście, Grandferze, znowu mieć osiemnaście lat, jak wtedy kiedyście śpiewali ją po raz pierwszy?

— Co? — zapytał Grandfer Cante, przerywając taniec.

— Pytałem, czy nie chcielibyście być znowu młodym. Bo dziś ten wasz stary miech już skrzypi.

— Ale chyba umiem śpiewać? Gdybym nie umiał dobyć głosu z gardła, wydawałbym się bardzo stary, prawda, Tymoteuszu?

— A co tam słyszać u nowo zaślubionej pary w oberży “Cicha Kobieta”? — dopytywał Tymoteusz, wskazując w kierunku dalekiego gościńca, na nikłe światelko znajdujące się jednak w znacznej odległości od miejsca, gdzie w tej chwili odpoczywał handlarz czerwoną farbą. — O co tam chodzi? Powinniście wiedzieć, wy, taki bystry człowiek.

— No ale trochę hulaka, co? Nie zaprzeczam. Pan Cante to pan Cante. Przecież to jednak wesoła wada, sąsiedzie Fairway, dla której wiek najlepszym lekarstwem.

— Słyszałem, że mieli wrócić do domu na noc. Już teraz na pewno wrócili. No i co dalej?

— Chyba powinniśmy do nich iść i życzyć im szczęścia?

— Raczej nie.

— Nie? A podług mnie musimy iść. W każdym razie ja muszę, bo nie byłbym sobą, gdybym nie poszedł. Wszak zawsze jestem pierwszy do każdej bibki!

Włożę na siebie mnisi płaszcz,

Drugi, marszałku, dam ci,

I do Eleonory marsz,

Jak dwóch zakonnych braci.

— Wczoraj wieczorem spotkałem panią Yeobright, ciotkę panny młodej, i ona mi powiedziała, że jej syn, Clym, wraca do domu na Boże Narodzenie. Jakież on jest zdolny... Och, chciałbym mieć jego rozum. No więc przemówiłem do niej wesoło, jak to ja, a ona powiada: “Żeby też człowiek z wyglądu poważny gadał takie głupstwa”. Dała mi odprawę. Nie dbam o to, co mówi, niech mnie dunder świśnie, jeśli kłamię, więc jej rzekłem: “Niech mnie dunder świśnie, jeżeli dbam o wasze zdanie.” Dostała za swoje, no nie?

— Myślę, że to raczej wy dostaliście za swoje — odparł Fairway.

— Nie, chyba nie jest ze mną tak źle — powiedział Grandfer Cante, ale mina mu nieco zrzędała.

— Chyba jest. Pewnie z powodu tego ślubu Clym przyjeżdża do domu na święta. Teraz, kiedy jego matka zostaje w domu sama, chce wszystko ułożyć od nowa.

— No właśnie. Ale posłuchaj, Tymoteuszu — zaczął z przejęciem Grandfer. — Chociaż znany ze mnie żartowniś, potrafię mówić sensownie, jeżeli akurat jestem tak jak teraz poważny. Mogę niemało powiedzieć o tej młodej parze. Dziś rano o

szóstej wyruszyli w drogę, aby załatwić swoją sprawę, i od tej pory ani widu, ani słychu, a przecież musieli wrócić po południu do domu jako mąż i żona. Czyż nie mówię rozsądnie, Tymoteuszu? Pani Yeobright pomyliła się co do mnie, prawda? — No tak. Nie wiedziałem, że tych dwoje nadal chodziło ze sobą, skoro zeszłej jesieni ciotka dziewczyny zerwała zapowiedzi. Jak dawno zaczął się ten cały zamęt od nowa? Powiedz, Humphreyu?

— Tak, jak dawno? — powtórzył żywo Grandfer Cantle, również zwracając się do Humphreya. — Rad bym wiedzieć.

— Odkąd ciotka zmieniła zdanie i powiedziała jej, że może go mimo wszystko wziąć za męża — odrzekł Humphrey nie odrywając oczu od ognia. Był to poważny młodzieniec, który trzymał w ręku skórzane łapawice i sierp do ścinania janowca. Wypchane na kolanach nogawice, sztywne z racji jego pracy niczym filistyńskie nagolenniki z brązu, osłaniały mu nogi. — Dlatego też poszli gdzie indziej brać ślub. Rozumiecie, skoro pani Yeobright urządzała takie fanaberie i zerwała zapowiedzi, głupio im było wyprawić huczne weselisko w tej samej parafii, jak gdyby ciotka panny młodej nigdy nie miała nic przeciw temu.

— Właśnie... głupio. To bardzo niedobrze dla tych biedaków, że tak się stało, chociaż ja, oczywiście, tylko domyślam się prawdy — powiedział Grandfer Cantle, nadal starając się mówić i zachowywać jak rozsądny człowiek.

— No cóż, poszedłem tego dnia do kościoła — rzekł Fairway — co było rzeczą dość niezwykłą.

— Niech mnie nazwą głupcem, jeśli to nieprawda — powiedział Grandfer z naciskiem. — Nie byłem jeszcze w kościele w tym roku, a teraz, kiedy zima za pasem, też nie powiem, żeby mi się chciało iść.

— Nie byłem w kościele już od trzech lat — rzekł Humphrey — bo okropnie chce mi się spać w niedzielę, a droga strasznie daleka. Nawet jeśli człowiek pójdzie, to i tak nie ma żadnej pewności, że tam wysoko znajdzie się wśród wybranych, skoro tylu ludziom to się nie udało, więc siedzę w domu i wcale nie chodzę.

— A ja nie tylko tam byłem — podjął uroczyście Fairway — ale w dodatku siedziałem w tej samej ławce co pani Yeobright. I choć może to wam się wydać dziwne, krew mi w żyłach zakrzepła, kiedy ją posłyszałem. Tak, to dziwne, krew we mnie zakrzepła, bo byłem tuż przy niej. — Opisawszy to dokładnie mówca jeszcze mocniej niż zwykle ściągnął wargi i spojrzał na ludzi, którzy zbliżyli się ku niemu.

— Jeżeli coś się zdarza w kościele, to zawsze jest poważna sprawa — powiedziała jakaś stojąca za nim kobieta.

— ...”powiniście je zgłosić”, powiedział pastor — ciągnął swe opowiadanie Fairway. — I wtedy siedząca obok kobieta potrąciła mnie i podniosła się z miejsca. “Niech mnie wszyscy diabli”, rzekłem do siebie, “jeśli to nie pani Yeobright?” “Tak, sąsiedzi, choć byłem w świątyni, właśnie te słowa powiedziałem. To niezgodne z moim sumieniem, żeby kłąć przy ludziach, i spodziewam się, że obecne tu kobiety nie wezmą mi tego za złe, ale co powiedziałem, to powiedziałem, i łąłbym, gdybym się do tego nie przyznał.

— I rzeczywiście, sąsiedzie Fairway.

— “Niech mnie wszyscy diabli, jeśli to nie pani Yeobright”, powiedziałem — powtórzył grzeszne słowa z tą samą co poprzednio beznamiętną surowością w twarzy, na dowód, że skłania go do tego konieczność, a nie upodobanie. — I zaraz potem usłyszałem jej słowa: “Nie pozwałam na zapowiedzi.” “Porozmawiamy po nabożeństwie”, powiedział pastor całkiem zwyczajnym tonem. Tak, zrobił się z niego od razu zwykły człowiek, nie bardziej święty niż wy czy ja. A jaką błądą miała twarz! Pewnie pamiętacie pomnik w kościele w Weatherbury, tego siedzącego po turecku żołnierza, któremu dzieciaki ze szkoły odtrąciły nos? Otóż twarz tej

kobiety, kiedy mówiła: “Nie pozwalam na zapowiedzi”, była tego samego koloru co twarz żołnierza.

Słuchacze odchrząknęli i dorzucili kilka gałązek do ognia nie dlatego, aby to było konieczne, tylko chcąc zyskać na czasie i móc należycie rozważyć morał tej opowieści.

— Kiedy się dowiedziałam, że zerwane są zapowiedzi, byłam tak rada, jak gdyby mi kto ofiarował sześciopensówkę — dał się słyszeć poważny głos, należący do Olly Dowden, kobiety, która utrzymywała się z robienia mioteł z janowca. Z natury była tak samo uprzejma dla wrogów, jak dla przyjaciół i wdzięczna całemu światu za to, że może żyć.

— No a teraz dziewczyna i tak wzięła z nim ślub — powiedział Humphrey.

— Potem pani Yeobright namyśliła się i była mu przychylna — podjął Fairway, nie zwracając na niego uwagi, bo chciał zaznaczyć, że to, co mówi, nie jest tylko uzupełnieniem słów Humphreya, ale rezultatem samodzielnych rozważań.

— Ale nawet jeżeli było im wstyd, to nie rozumiem, dlaczego nie mieliby brać tutaj ślubu — stwierdziła tęga kobieta, której gorset przy każdym obrocie czy nachyleniu skrzypiał jak nowe buty. — Dobrze przecież jest czasami sprosić sąsiadów i zabawić się razem i tak samo dobrze jest, jak wesele wypada na święta. Nie lubię odludków.

— No, pewno mi nie uwierzycie, ale nie przepadam za hucznymi weselami — oznajmił Tymoteusz Fairway, znowu błędząc spojrzeniem po otaczających go ludziach. — Skoro chcecie wiedzieć, to wcale się nie dziwię, że Tomasina Yeobright i sąsiad Wildeve wolą mieć spokój. Wesele w domu to huczne tany, a takie rzeczy nie dla mężczyzny, który ma już za sobą czterdziestkę.

— To prawda. Jak się już człowiek znajdzie w domu panny młodej, nie można odmówić, gdy proszą do skoczego tańca, bo wiadomo, czego się po gościach spodziewają.

— Trzeba tańczyć na Boże Narodzenie, bo jest raz w roku, i musi się tańczyć na weselu, bo jest raz w życiu. Nawet na chrzcinach ludzie się parę razy zakręcą, jeśli to pierwsze lub drugie dziecko. Że nie wspomnę o śpiewaniu pieśni... Co do mnie, to najbardziej lubię porządne pogrzeby. Dają dobrze jeść i pić, jak przy innych okazjach, albo nawet lepiej. A nogi tak się nie zmęczą przy rozmowie o nieboszczyku jak w tańcu przy dźwiękach kobzy.

— Z dziesięciu mężczyzn dziesięciu przyzna, że tańczyć na stypie to już trochę za wiele, no nie? — powiedział Grandfer Cantle.

— Tylko na takim przyjęciu stateczny człowiek może się czuć bezpieczny po paru pucharkach.

— A ja nie mogę pojąć, że taka godna panienka jak Tomasina Yeobright mogła się zgodzić na równie lichy ślub — odezwała się Zuzanna Nunsuch, tęga kobieta, której bardziej odpowiadał poprzedni temat rozmowy. — Marniejszy niż u najgorszych biedaków. Nie chciałabym tego człowieka za męża, choć jest przystojny.

— Trzeba mu oddać sprawiedliwość... jest mądry i uczony na swój sposób. Niemal tak mądry jak Clym Yeobright. Wychowano go na coś lepszego aniżeli wiejski oberżysta. Inżynier — oto, czym był ten człowiek, jak wszyscy wiemy. Ale zmarnował swoje szanse i prowadzi gospodę, żeby zarobić na życie. Nauka na nic mu się nie zdała.

— Często tak się dzieje — zauważyła Olly, kobieta, która wyrabiała miotły. — A przecie ludzie zabiegają o naukę i tylu ją zdobywa! Ci, co dawniej nie umieliby zakreślić okrągłego “O”, nawet gdyby chodziło o wybawienie duszy z otchłani, teraz umieją się podpisać, i to bez skrzypnięcia pióra, często bez jednego kleksa... Co ja mówię? Prawie że bez stołu, na którym mogliby oprzeć brzuch i

łokcie.

— To prawda. Aż dziw, jaka teraz ogłada wśród ludzi.

— Zanim wzięli mnie w osiemset czwartym do pułku Chwatów, jak nas nazywali — żywo wtrącił Grandfer Cantle — wiedziałem tyle o świecie co największy prostak wśród was. A teraz, do diaska, czy jest coś, czego bym nie umiał?

— Umiałbyś z pewnością podpisać się w księdze — powiedział Fairway — gdybyś nie był za stary, aby wziąć sobie kobietę, jak Wildeve pannę Tomasinę, ale nasz Humphrey tego nie potrafi, bo on pod względem nauki idzie w ślady ojca. Och, Humphreyu, dobrze pamiętam, jak to było w czasie mojego ślubu. Miałem się właśnie podpisać w księdze i zobaczyłem krzyżyk postawiony przez twojego ojca. Twoi rodzice brali ślub akurat przede mną i twój ojciec postawił krzyż z rozpostartymi ramionami niczym jakiegoś stracha na wróble. Cóż to był za okropny czarny gryzmoł! Przypominał mi twojego ojca. Kiedy na niego spojrzałem, nie mogłem za nic powstrzymać śmiechu, choć przez cały czas stałem jak na rozżarzonych węglach, no bo i ten ślub, i ta kobieta przy mnie, a tu jeszcze Jack Changley i inni chłopcy śmieją się do mnie przez kościelne okno. Ale w chwilę później, gdyby mnie ktoś pchnął słomką, mógłby mnie przewrócić, bo pomyślałem sobie, że skoro między twoim ojcem i matką doszło kiedyś do ostrych słów, to odkąd zostali mężem i żoną, musieli się kłócić już ze dwadzieścia razy, i zrozumiałem, że jestem następny w kolejce i czeka mnie to samo... No, to był dzień!

— Wildeve jest starszy od Tomasimy Yeobright o dobrych kilka latek. A ładna z niej dziewczyna. Musi być niemądra, że mając dom chce oddać wianek takiemu mężczyźnie.

Słowa te wypowiedział kopacz darni lub torfu, który się przed chwilą przyłączył do rozmawiających. Trzymał na ramieniu ogromną łopatę wyciętą na kształt serca, jakich używa się do podobnych prac. W blasku ogniska jej wyostrzone brzegi błyszczały niczym srebrny łuk.

— Sto panien by za nim poleciało, gdyby je poprosił — rzekła rozłożysta kobieta.

— A czy kiedy znaliście, sąsiedzie, mężczyznę, którego by żadna kobieta nie chciała? — zapytał Humphrey.

— Nie — zaprzeczył kopacz.

— Ani ja — dorzucił inny.

— I ja też nie — rzekł Grandfer Cantle.

— Ale ja znałem jednego — oświadczył Tymoteusz Fairway wspierając się mocniej na jednej nodze. — Znałem takiego człowieka. Ale musicie wiedzieć, tylko jednego. — Odchrząknął poważnie, jakby się starał, aby chryпка nie utrudniła nikomu zrozumienia tej wypowiedzi. — Tak, znałem takiego człowieka — powtórzył.

— Cóż to musiało być za straszdyło z tego nieszczęśnika, panie Fairway — rzekł kopacz torfu.

22

— A przecież nie był ani głuchy, ani niemy, ani ślepy. Nie powiem wam, kto to był.

— Znają go w naszych stronach? — zapytała Olly Dowden.

— Chyba nie — odparł Tymoteusz — ale nie powiem, jak się nazywał... No, dalej, podrzućcie do ognia, chłopaki.

— A dlaczego Christian Cantle tak szczęka zębami? — zapytał chłopiec stojący wśród dymu i cieni po drugiej stronie ogniska. — Zimno ci, Christianie? W odpowiedzi dał się słyszeć cienki, jękający się głos:

— Nie, nie jest mi zimno.

— Wyjdź z cienia, Christianie, pokaż się wszystkim. Nie wiedziałem, że jesteś tutaj — powiedział Fairway i rzucił w jego stronę pełne litości spojrzenie.

Na te słowa mężczyzna o rzadkich włosach, bardzo wąski w ramionach i bardzo kościsty, z własnej woli wysunął się chwiejnie naprzód o kilka kroków, a o kilka następnych — z woli innych.

Był to najmłodszy syn Grandfera Cantle'a.

— Dlaczego tak drżysz, Christianie? — zapytał łagodnie kopacz torfu.

— To ja jestem tym człowiekiem.

— Jakim człowiekiem?

— Którego nie poślubi żadna kobieta.

— Do diabła, skądże znowu! — zaprzeczył Tymoteusz Fairway, obrzucając spojrzeniem nie tylko samego Christiana, ale i stojących wokół ludzi, podczas gdy Grandfer Cantle wpatrywał się w syna niczym kwoka w kaczę, które wysiedziała.

— Tak, to ja nim jestem i dlatego się boję — odparł młody człowiek. — Czy myślicie, że będę cierpiał z tego powodu? Zawsze będę powtarzał, że nie dbam o to, nawet przysięgnę — choć to nieprawda.

— Niech mnie лихо porwie, jeśli zdarzył mi się kiedyś dziwniejszy wypadek — powiedział Fairway. — Wcale nie o tobie mówiłem. Jest więc jeszcze jeden taki w okolicy! Dlaczego odkryłeś przed nami swoją niedolę, Christianie?

— Skoro tak musi być, to myślę, że nie ma na to żadnej rady — zwrócił ku nim swoje żalosne okrągłe oczy, otoczone koncentrycznymi liniami jak tarcza strzelnicza.

— Racja. Ale to smutne i dreszcz mnie przechodzi, bo jest dwóch takich biedaków, a myślałem, że tylko jeden. Smutna to sprawa, Christianie. Ale skąd wiesz, że kobiety ciebie nie chcą?

— Pytałem.

— No, nie myślałem, że mógłbyś się zdobyć na taką odwagę. Co ta ostatnia powiedziała? Może coś takiego, co w gruncie rzeczy nie jest stanowczą odmową?

— “Zejdź mi z oczu, ty pokrako i głupcze”, tak mnie odprawiła.

— Nie zachęcające, przyznaję — potwierdził Fairway. — “Zejdź mi z oczu, ty pokrako i głupcze”, to raczej przykry sposób odmowy. Ale nawet i taki opór pokonać może cierpliwość i czas, który wplecie srebrne nitki we włosy twej dziewczyny. Ile masz lat, Christianie?

23

— Podczas wykopków skończyłem trzydzieści jeden, panie Fairway.

— Nie jesteś już chłopcem, nie. Ale nie trać nadziei.

— Taki mój wiek według metryki chrztu, bo zapisane to jest w wielkiej księdze, którą trzymają w zakrystii. Ale matka mi powiedziała, że urodziłem się trochę wcześniej, niż mnie ochrzczono.

— Aha.

— Za nic w świecie nie umiała powiedzieć kiedy, pamiętała tylko, że nie było wtedy księżycy.

— Nie było księżycy! To niedobrze. Hej, sąsiedzi, to nie wróży nic dobrego!

— Tak, nic dobrego — potwierdził Grandfer Cantle, potrząsając głową.

— Matka wiedziała, że nie było wtedy księżycy, bo pytała o to kobiety, która miała kalendarz. Pytała o to zawsze, kiedy urodził się jej chłopak, bo jest takie porzekadło: “Biada chłopcu urodzonemu pod czarnym księżycem”*. Dlatego była zawsze niespokojna, kiedy urodziła syna. Czy pan naprawdę myśli, panie Fairway, że to nic dobrego?

— Tak. “Biada chłopcu urodzonemu pod czarnym księżycem”, to jedno z najprawdziwszych porzekadeł, jakie znam. Chłopiec urodzony przed nowiem nigdy do niczego nie dojdzie. Niedobra to sprawa, Christianie, że też ze wszystkich dni w miesiącu właśnie w ten jeden wytknąłeś nos na świat.

— Myślę, że kiedy pan się urodził, musiała być całkowita pełnia — powiedział Christian, patrząc na niego z nieprzemyślanym podziwem.

— No, na pewno nie było to na nowiu — odparł Fairway z obojętnym spojrzeniem.

— Wolałbym nie tknąć kielicha w dożynki niż urodzić się w czas bezksiężycowy — zalił się Christian urywanym recitativo. — Mówią, że jestem karykaturą człowieka i nie ma ze mnie pożytku. To chyba dlatego.

— Tak — potwierdził Grandfer Cantele, podupadłszy na duchu. — A przecie kiedy był chłopcem, jego matka przepłakała drugie godziny, bo się bała, że wyrośnie duży i wezmą go do wojska.

— No cóż, wielu jest takich jak on, którym się równie źle dzieje — powiedział Fairway. — Skopy muszą przeżyć życie tak samo jak inne barany, biedaku.

— Na pewno więc będę miał trudne życie? A może noce są dla mnie niebezpieczne, panie Fairway?

— Będziesz kładł się do łóżka sam aż do śmierci, a przecie kiedy duch przychodzi, ukazuje się nie parom małżeńskim, ale tym, co śpią w pojedynkę. Jednego ducha niedawno tu ludzie widzieli. Bardzo był dziwny.

— Nie... Nie mówcie o tym... jeżeli nie sprawi to wam różnicy. Skóra mi ścierpnie, gdy pomyślę o nim leżąc sam jeden w łóżku. Ale na pewno zechcecie sobie o tym pogadać... Wiem, Tymoteuszu, na pewno, a mnie śnić się będzie przez całą noc! Bardzo dziwny? O jakim duchu powiadacie, że był bardzo dziwny? Nie... nie, Tymoteuszu, lepiej mi nie mówcie!

* Powiedzenie to pochodzi z Kornwalii, gdzie dawniej wierzono, że chłopiec urodzony między ostatnią kwadrą a nowiem nie dożyje wieku młodzieńczego.

24

— Ja tam właściwie tylko przez pół wierzę w duchy, ale z tego, co słyszałem, to musiał być prawdziwy upiór. Widział go jeden mały chłopiec.

— Jak on wyglądał?... Nie... nie...

— Był czerwony. No tak, duchy są przeważnie białe, ale ten wyglądał, jakby go skąpano we krwi.

Christian wciągnął głęboko oddech, choć to nie rozszerzyło mu klatki piersiowej, a Humphrey zapytał:

— Gdzie go widział?

— Nie w tym miejscu dokładnie, ale na wrzosowisku. Nie warto o tym wspominać. Co byście powiedzieli na to — zapytał żywszym tonem Fairway, zwracając się do nich tak, jakby Grandfer Cantele nie wystąpił już przedtem z tym pomysłem. — Co byście powiedzieli na to, żebyśmy tak zaśpiewali piosenkę nowożeńcom, nim pójdą do łóżka w dniu swego ślubu? Kiedy ludzie się pobiorą, dobrze jest okazać im zadowolenie, bo nasz smutek i tak ich nie rozłączy. Wiadomo, że nie jestem pijakiem, ale kiedy kobiety i młodzież pójdą do domu, moglibyśmy zajrzeć do "Cichej Kobiety" i zatańczyć nowożeńcom przed drzwiami. To się na pewno spodoba młodej żonie, a chciałbym jej dogodzić, bo kiedy mieszkała ze swą ciotką w Blooms-End, nieraz napełniała mi pusty brzuch.

— Chodźmy więc! — zawołał Grandfer Cantele, obracając się tak żywo, że jego miedziany łańcuch rozhuśtał się gwałtownie. — Wyszłem na wiór, wiążąc janowiec na tym wietrze, i zaschło mi już w gardle od obiadu. Mówią, że piwo uwarzone ostatnio w "Cichej Kobiocie" jest bardzo dobre. A jeżeli, sąsiedzi, trochę się tam zasiedzimy, toć przecie jutro niedziela i będziemy to mogli odespać.

— Grandferze Cantele! Jesteście zbyt lekkomyślni, jak na wasz wiek! — upomniała go tęga kobieta.

— Jestem lekkomyślny! Zbyt lekkomyślny, aby się podobać kobietom! Zaśpiewam coś z Wesołej kompanii* albo jakąś piosenkę, przy której słaby, stary człowiek może sobie oczy wyplakać. Do licha! Jestem zdecydowany na wszystko.

Przez lewe ramię zerkaj król,

Zły, sądząc go po minie. — Marszałku — rzecze — klnę się, że

Stryczek cię nie ominie.

— Masz rację, to właśnie zrobimy — rzekł Fairway. — Obdarzymy ich pieśnią, a to się Bogu podoba. Po co Clym, kuzyn Tomasiny, wraca do domu, kiedy jest już po wszystkim? Powinien był wrócić wcześniej, jeśli chciał temu przeszkodzić i sam się z nią żenić.

— Pewno wraca, żeby побыć trochę z matką, bo będzie się czuć samotna bez dziewczyny.

* Wesoła kompania (A Jovial Crew, or The Merry Beggars) — romantyczna komedia Richarda Brome'a, przyjaciela Bena Jonsona, wystawiona po raz pierwszy w roku 1641.

25

— Cóż, może to dziwne, ale ja nigdy nie czuję się samotny. Nigdy, ani trochę — oświadczył Grandfer Cante. — A w nocy jestem odważny jak lew.

Ognisko zaczynało już przygasać, gdyż opał był marny. Bładła również większość innych ognisk w zasięgu spojrzenia. Obserwując uważnie blask, kolor i czas trwania płomienia, można było na ogół odgadnąć rodzaj opału, który pochodził najczęściej z pobliskiej okolicy. Jasny królewski blask, charakterystyczny dla większości, świadczył, że dookoła rośnie wrzos i janowiec, podobnie jak w sąsiedztwie kopca, skąd w jednym kierunku ciągnęły się takie tereny przez wiele mil. Gdzie indziej zwracały uwagę gwałtowne, szybko gasnące płomienie, które podtrzymywał najlżejszy opał: słoma, grochowiny, suche badyle z pól. Najtrwalsze — spokojne, niezmiennie jak blask planet — podsycano gałęzmi leszczyny, chrustem cierniowym i kłodami drzewa. Takich ognisk płonęło niewiele, a chociaż wydawały się stosunkowo małe w porównaniu z tymi bardziej efektownymi, zaczynały już brać nad nimi górę przez sam fakt, że paliły się dłużej. Większe zagasty, a te pozostały. Świeciły na granicy widnokregu, na wspierających się o niebiosa wzgórzach, które wznosiły się na bogatych w lasy uprawnych ziemiach północy, gdzie gleba była inna, a wrzосу nie znano.

Jedno tylko ognisko stanowiło wyjątek; było najbliżej i jaśniało jak księżyc wśród roju gwiazd. Znajdowało się w przeciwnym kierunku niż okienko w dolinie. Było tak blisko, że choć w rzeczywistości nieskończenie małe, przewyższało blaskiem to, które paliło się na kopcu.

Spokojne ognisko od czasu do czasu zwracało uwagę rozmawiających, a kiedy ich własne zaczęło dogasać, budziło coraz więcej zainteresowania. Nawet niektóre z podsycanych drzewem ognisk traciły blask, lecz w tym nie można było dostrzec zmiany.

— Spójrzcie, jak niedaleko jest to ognisko! — zawołał Fairway. — Wydaje mi się nawet, że widzę, jak ktoś koło niego chodzi. Nie da się o nim powiedzieć nic złego.

— Trafilibym w nie kamieniem — zauważył Christian.

— I ja też! — potwierdził Grandfer Cante.

— Nie, nie, synkowie. Ogień jest prawie o milę od nas, chociaż wydaje się tak bliski.

— Palą tam wrzos, a nie janowiec — powiedział kopacz torfu.

— Szczapy drzewa, ot, co palą — zaprzeczył Tymoteusz Fairway. — Nic nie mogłoby się tak palić, tylko drewno. Ognisko znajduje się na wzgórzu, przed domem starego kapitana w Mistover. Co to za dziwny człowiek! Rozpalać ognisko na własnym podwórku, żeby nikt inny nie mógł się nim cieszyć ani do niego zbliżyć. I co za głupiec z tego starca, że rozpala ognisko, choć nikt młody nie będzie się nim cieszyć.

— Kapitani Vye chodził dziś daleko i jest na pewno zmęczony — powiedział Grandfer Cantle. — Więc to chyba nie on je rozpałił.

— Nie mógłby sobie pozwolić na taki drogi opał — stwierdziła tęga kobieta.

— A więc to pewnie jego wnuczka — domyślił się Fairway. — Choć nie wydaje mi się, żeby dziewczynę w jej wieku mogło to tak bawić.

26

— Ona jest jakaś dziwna, żyje tu samotnie i takie rzeczy sprawiają jej przyjemność — powiedziała Zuzanna.

— To ładna dziewczyna — zauważył kopacz torfu. — A najładniej wygląda, gdy włoży jedną z tych eleganckich sukienek.

— Racja — zgodził się Fairway. — Niech sobie pali ognisko, jak długo zechce. Nasze chyba zaraz zgaśnie.

— Jak teraz ciemno, gdy przygasło! — szepnął Christian Cantle, patrząc za siebie swymi oczyma zająca. — Czy nie lepiej, sąsiedzi, żebyśmy wrócili do domu? Wiem, że na wrzosowisku nie straszy, ale lepiej wracajmy... Ach, co to?

— To tylko wiatr — uspokoił go kopacz torfu.

— Według mnie święta Piątego Listopada nie należy obchodzić wieczorem. Chyba że w mieście... A w takich zapadłych dziurach tylko w dzień.

— Bzdury, Christianie! Bądź odważny, jak mężczyźnie przystało! Zuzanno, kochanie, puśćmy się w tany, dobrze, moje słonko? Zanim się ściemni, bo chcę widzieć, jaka wciąż jesteś ładna, chociaż już tyle wiosen minęło, kiedy to porwał mi ciebie ten syn czarownicy, twój mąż.

Słowa te były skierowane do Zuzanny Nunsuch i w chwilę potem zebrani przy ognisku ujrzeni, jak tęga postać matrony niknie ku wolnej przestrzeni wokół ogniska. Unosiło ją tam ramię Fairwaya, który — nim się spostrzegła — objął jej kibić. Na miejscu ogniska widać teraz było tylko krąg popiołów, przez które przeświecał gdzieniegdzie sypiący iskrami żar. Janowiec już się spalił.

Znalazłszy się w tym kole, Fairway obracał partnerką w zawrotnym tańcu. Robiła ona przy tym wiele hałasu, bo gorset jej usztywniały fiszbiny i listewki, a na nogach, latem i zimą, w słońce i w deszcz, nosiła drewniaki, aby nie niszczyć butów. Kiedy Fairway rozpoczął z nią skoczne płasy, stukot drewniaków, skrzypienie fiszbinów i jej zdumione popiskiwanie tworzyły bardzo hałaśliwy koncert.

— Dostaniesz ty ode mnie, głupi chłopie! — wołała tańcząc z nim wbrew woli i uderzała o ziemię nogami niby pałeczkami do bębna. — Kostki mnie już przedtem bolały od chodzenia przez kolczasty janowiec, a teraz przez te tańce rozboleją jeszcze bardziej.

Wybryki Tymoteusza okazały się zaraźliwe. Kopacz torfu chwycił za rękę starą Olly Dowden i trochę delikatniej począł z nią kręcić się wkoło. Młodzieńcy nie omieszkali pójść za przykładem starszych i porwali w tan dziewczęta. Grandfer Cantle, podskakujący o lasce, wydawał się jakimś trzynożnym stworzeniem. Po chwili na Rainbarrow widać było tylko wir ciemnych postaci i iskry wznoszące się na pół wysokości człowieka. Rozlegały się piskliwe pokrzykiwania kobiet, śmiechy mężczyzn, skrzypiały fiszbiny, postukiwały chodaki Zuzanny. "Hej, hej", wołała Olly Dowden, a wiatr szumiał w krzewach janowca do wtóru tym szaleńczym płasom. Tylko Christian stał na uboczu, w zakłopotaniu kołysząc się i pomrukując:

— Nie powinni tak tańczyć... jak te iskry lecą... to kuszenie złego...

— A co to tam? — zapytał jeden z chłopaków, zatrzymując się nagle.

— Gdzie? — zawołał Christian i pośpiesznie zbliżył się do tańczących, którzy zwolnili tempo.

— Za tobą, Christianie, coś słyszałem... tam na dole...

27

— Tak... coś jest za mną! — zawołał Christian. — Świeci ewangeliści, Mateuszu, Marku, Łukaszu i Janie, pobłogosławcie łoże, na którym śpię! Aniele Boży...

— Cicho bądź! Kto tam? — rzekł Fairway.

— Hop, hop! — wołał jakiś głos z ciemności.

— Hop, hop! — odkrzyknął Fairway.

— Czy jest tu gdzieś droga do domu pani Yeobright w Blooms-End? — zapytał ten sam głos i wysoka szczupła postać zamajaczyła na wzgórzu.

— Sąsiedzi, chyba musimy wracać do domu jak najrychlej, zrobiło się późno — nalegał Christian. — Ma się rozumieć, nie każdy osobno, ale wszyscy razem.

— Zbierzcie trochę chrustu i rozpalcie ogień, abyśmy mogli zobaczyć, kto to taki — powiedział Fairway.

Blask płomieni ukazał im młodego człowieka w obcisłym ubraniu, czerwonego od stóp do głów.

— Czy jest stąd droga do domu pani Yeobright? — zapytał powtórnie.

— Tak, trzeba iść tą ścieżką na dole.

— Chodzi mi o drogę, którą mógłby przejechać dwukonny wóz.

— Tak, tędy. Po jakimś czasie zobaczycie tę dolinkę. Droga jest wyboista, ale jeżeli macie światło, konie dadzą sobie radę. Czy podjechaliście tu blisko, sąsiedzie farbiarzu?

— Zostawiłem wóz na dole, o jakie pół mili stąd. Poszedłem przodem, “żeby się upewnić co do drogi, bo to noc przecie, a dawno nie byłem w tych stronach.

— Możecie tędy dojechać — zapewnił go Fairway. — Ależ mnie przeraził, kiedy się ukazał! — zwrócił się do całej grupy, łącznie z nowo przybyłym. — “Na Boga”, pomyślałem, “co to za krwawa zjawa przychodzi nas dręczyć?” Nie krytykuję pana wyglądu, farbiarzu. Fundament dobry, ale wykończenie dziwne. No, ale muszę powiedzieć, że pan mnie nastraszył. Myślałem, że to może diabeł albo czerwony upiór, o którym mówił chłopak.

— Mnie też przestraszył — oznajmiła Zuzanna Nunsuch — bo tej nocy śniła mi się trupia czaszka.

— Nie mówcie już o tym więcej — prosił Christian. — Gdyby jeszcze miał na głowie chustkę, wyglądałby kubek w kubek jak diabeł na obrazie przedstawiającym kuszenie Chrystusa.

— Hm, dziękuję za wskazanie drogi. — Przybysz uśmiechnął się blado. — Dobranoc wam wszystkim.

Zszedł z kopca i zniknął im z oczu.

— Coś mi się zdaje, że już widziałem tego młodego człowieka — zastanawiał się Humphrey. — Ale nie wiem, gdzie i kiedy, ani jak się nazywa.

Nie minęło nawet parę minut, a inna osoba podeszła do tłęcego się ogniska.

Okazało się, że jest to dobrze znana i powszechnie szanowana wdowa z sąsiedztwa, należąca do sfer, które można by określić mianem “wyższe”. Jej twarz, wynurzająca się z mroku, była biała, bez półcieni, podobna do kamei.

Była to kobieta w średnim wieku, o rysach regularnych, takich, które zazwyczaj znamionują bystrość umysłu. Wydawało się chwilami, że wsłuchuje

28

się w głosy z zaświatów, skierowane wyłącznie do siebie. Wyczuwało się w niej jakiś dystans: samotność wionąca od wrzosowiska skupiła się w tej twarzy, która się z niego wyłoniła. Gdy kobieta spoglądała na mieszkańców Egdonu, widać było, że ich obecność na wzgórzu jest dla niej sprawą dość obojętną i że nie obchodzi ją wcale, co sobie pomyślą o jej wędrowce po tym pustkowiu. o tak późnej porze, a to świadczyło, że nie uważała ich za równych sobie. Przyczyną tego mógł być fakt, że chociaż jej mąż należał do drobnych farmerów, była córką wikarego i snuła kiedyś plany lepszej przyszłości.

Ludzie o pewnej mocy charakteru są otoczeni, podobnie jak gwiazdy, własną atmosferą i tak jak one unoszą ją ze sobą krążąc po swych orbitach. Matrona, która się właśnie ukazała, mogłaby nadawać — i zwykle nadawała — ton towarzystwu. Jej stosunki z wieśniakami cechowała zazwyczaj rezerwa, wypływająca ze świadomości, że sposobem wyrażania się góruje nad nimi. Ale teraz, gdy po długiej samotnej wędrówce w ciemnościach wrzosowiska znalazła się wśród ludzi i w świetle ogniska, okazała się bardziej niż zazwyczaj towarzyska, co odzwierciedlało się na jej twarzy wyraźniej nawet niż w słowach.

— Ach, to pani Yeobright — powiedział Fairway. — Przed chwilą pytał o panią pewien człowiek, sprzedawca farby.

— A czego chciał?

— Tego nie mówił.

— Pewno chce mi coś sprzedać, ale nie mam pojęcia, co to może być.

— Z przyjemnością się dowiedziałem, że syn pani, pan Clym, przyjeżdża do domu na Boże Narodzenie — zwrócił się do niej Sam, kopacz torfu. — Ależ on lubił ogniska!

— Tak, mam nadzieję, że przyjedzie.

— Na pewno wyrósł z niego dziarski chłopak — rzekł Fairway.

— To już mężczyzna — odrzekła spokojnie.

— Musiała się pani czuć bardzo samotna dziś wieczór na wrzosowisku — odezwał się Christian wysuwając się z ciemności, które go dotychczas skrywały. — Niech pani uważa, żeby się nie zgubić. Nie życzę nikomu zabłądzić na egdońskim wrzosowisku, a teraz wiatr gwiżdże bardziej złowrogo niż zwykle. Nawet tacy ludzie, co bardzo dobrze znają okolicę, dawali się czasem zwieść złemu.

— To ty, Christianie? — zdziwiła się pani Yeobright. — Dlaczego się przede mną schowałeś?

— Bo nie poznałem pani w tym świetle, a że jestem z natury bardzo bojący, więc się po prostu trochę zląkłem. Czasami bywam w tak kiepskim nastroju, że gdyby mnie pani wtedy widziała, toby się pani niepokoiła, że odbiorę sobie życie.

— Nie wdałeś się w ojca — odparła pani Yeobright, spoglądając ku ognisku, wokół którego Grandfer Cantle, tak jak poprzednio inni, tańczył sam jeden wśród iskier, nie przejawiając specjalnej pomysłowości.

— Ach, Grandferze — upomniał go Tymoteusz Fairway — wstyd nam za was. Taki szacowny patriarcha, z pewnością siedemdziesięcioletni, i żeby tak płasał sam jeden.

29

— To męczący starzec, pani Yeobright — powiedział z przygnębieniem Christian. — Taki z niego żartowniś, że gdybym miał się gdzie wynieść, nie mieszkałbym z nim nawet tygodnia.

— Bardziej by wam przystało, Grandferze, stać spokojnie i przywitać panią Yeobright, bo wy tu jesteście najbardziej sędziwy — upomniała go miotlarka.

— Rzeczywiście, i tak też zrobię — przyznał ze skruchą wesolek, kończąc taniec.

— Mam taką złą pamięć, pani Yeobright, że zapominam, za kogo mnie ci ludzie mają. Pewno pani powie, że zawsze jestem w doskonałym humorze. A przecież nie zawsze. To ciąży jak kamień, jeśli inni spoglądają na człowieka jak na przywódcę. I ja to często czuję.

— Przykro mi, że nie podtrzymam rozmowy — powiedziała pani Yeobright — ale muszę już iść. Szłam przez wrzosowisko w drodze do nowego domu mojej bratanicy, która dziś wieczór wraca z mężem. Kiedy zobaczyłam ogień i usłyszałam głos Olly, przyszłam tutaj, aby ją zapytać, czy prędko wraca do domu. Chciałabym, żeby poszła ze mną, bo jedna nam droga.

— Naturalnie, proszę pani — zgodziła się Olly. — Właśnie miałam już iść.

— No to na pewno spotka pani człowieka, o którym mówiłem — powiedział Fairway. — On tylko poszedł po wóz. Słyszeliśmy, że pani bratanica wraca z mężem do -domu zaraz po ślubie, i wybieramy się tam, żeby ich powitać pieśnią.

— Bardzo wam dziękuję.

— Ale pójdziemy krótszą drogą, przez Janowiec, którądy pani nie może iść, bo podarłaby pani sobie suknię. Więc nie będziemy pani zatrzymywać.

— Dobrze. Czyś gotowa, Olly?

— Tak, proszę pani. Niech pani spojrzy. Widać światło w oknie pani bratanicy. Idźmy wprost na nie, to nie zbłądzimy.

Olly pokazała słabe światło w głębi dolinki, o którym przedtem mówił Fairway. Po chwili obie kobiety zeszły z kopca.

IV POSTÓJ NA DRODZE ZWANEJ “ZA ROGATKAMI”

Schodziły coraz niżej i niżej — każdy krok w dół wydawał się miarą ich drogi. Janowiec z szelestem szarpał za spódnice, o ramiona ocierały się paprocie, zeschnięte już i martwe, lecz wyprostowane jak żywe, nie złamane jeszcze zimowym mrozem ni wichrem. Ktoś mógłby pomówić o nierozsądek dwie samotne kobiety, podejmujące tak ciężką wędrowną. Jednakże Olly i pani Yeobright to krzaczaste ustronie wydawało się w każdej porze roku bliskie i znajome — twarz przyjaciela nie przeraża nawet w ciemności.

— A więc Tomasina w końcu go poślubiła — przerwała milczenie Olly, kiedy znalazły się na łagodniejszym zboczu nie wymagającym takiej ostrożności przy schodzeniu.

— Tak, w końcu go poślubiła — odpowiedziała z wolna pani Yeobright.

30

— Będzie się pani bez niej cniło, zawsze mieszkaliście razem, jak matka z córką.

— O tak, już odczuwam jej brak.

Olly nie miała taktu, który by ją ostrzegł przed robieniem niewłaściwych uwag, jednakże w swej wielkiej prostocie nie wypowiedziała ich w sposób obraźliwy. Gdyby ktoś inny zadał podobne pytanie, wzbudziłby gniew, ale ona mogła je stawiać bezkarnie. Tym można było wytłumaczyć ciche przyzwolenie pani Yeobright na poruszanie najwidoczniej bolesnego tematu.

— Bardzo mnie to zdziwiło, kiedy się dowiedziałam, że pani przystała na to małżeństwo, naprawdę bardzo — ciągnęła miotlarka.

— Nie bardziej, niżby mnie zdziwiło, Olly, gdyby mi ktoś powiedział przed rokiem, że tak się stanie. To małżeństwo ma jednak wiele dobrych stron. Nie umiałabym ich wszystkich wyliczyć, nawet gdybym chciała.

— Wydawało mi się, że zbyt ni z niego lekkoduch, żeby wejść do pani rodziny. Bo prowadzenie oberży to żadna sztuka. Ale to prawda, że człek zeń mądry. Ludzie mówią, że kiedyś był panem inżynierem, ale zszedł na psy, bo nie dbał o pracę.

— Po namyśle doszłam do wniosku, że lepiej będzie, gdy ona wyjdzie za mąż zgodnie z własną wolą.

— Biedaczka, nic dziwnego, że uczucia w niej przemogły. Taka już jest. No cóż, mogą o nim mówić, co im się podoba, a przecież ma tu oprócz oberży jeszcze kilka akrów zaoranego wrzosowiska, a także konie. No i ogładę dzentelmena. A co się stało, już się nie odstanie.

— Słusznie. Spójrz, oto nareszcie koleiny. Będzie nam teraz łatwiej iść.

Nie mówiły już więcej o ślubie. Wkrótce doszły do niezbyt wyraźnej bocznej ścieżki, gdzie się rozstały. Ale przedtem Olly poprosiła towarzyszkę o przypomnienie panu Wildeve, że obiecał w dniu swego ślubu przysłać jej choremu mężowi butelkę wina. Miotlarka skręciła w lewo, ku swej chacie, wzniesionej na przeciwległym zboczu pagórka, a pani Yeobright poszła prosto drogą, która nieco dalej łączyła się z gościńcem, tuż przy oberży “Cicha Kobieta”, gdzie jak

sądziła ciotka, powróciła już z Anglebury świeżo zaślubiona para. Przedtem jednak pani Yeobright musiała dojść do tak zwanego zagonu Wildeve'a. Był to niewielki teren wydarty wrzosowisku i po długich latach trudów nadawał się do uprawy. Człowiek, który postanowił go zaorać, umarł z tej mordegi, drugiego zaś właściciela zabiły starania o użyźnienie tej ziemi. Wildeve przyszedł jak Amerigo Yespucci i otrzymał honory należne poprzednikom. Kiedy pani Yeobright zbliżyła się do oberży i zamierzała wejść, spostrzegła w odległości około dwustu jardów nadjeżdżający wóz i idącego obok konia woźnicę z latarnią w ręku. Najwidoczniej był to ów mężczyzna, który o nią pytał. Nie weszła więc do oberży, ale minawszy ją skierowała się w jego stronę. Wóz nadjechał i mężczyzna już mijał panią Yeobright, nie zwracając na nią specjalnej uwagi, więc go zagadnęła:

— Zdaje się, że pan o mnie rozpytywał? Jestem wdową Yeobright z Blooms-End. Mężczyzna drgnął i podniósł w górę palec. Zatrzymał konie i dał jej znak,

31

aby odeszła kilka kroków na bok. Dziwiąc się temu w duchu, zrobiła, jak sobie życzył.

— Pani, zdaje się, nie poznaje mnie? — zapytał.

— Nie — odparła. — Ależ tak! Poznają. Młody Venn! Pana ojciec jest mleczarzem gdzieś tu w okolicy, prawda?

— Tak. A ja znam pani bratanicę, pannę Tomasinę. Muszę powiedzieć pani coś przykrego.

— Ale chyba nie o niej? Bo myślę, że jest już w domu ze swoim mężem. Mieli dziś po południu wrócić do tej oberży.

— Tam jej nie ma.

— Skąd pan wie?

— Bo jest tutaj w moim wozie — powiedział z wolna.

— Co się stało? — szepnęła pani Yeobright zasłaniając oczy dłonią.

— Niewiele mogę wyjaśnić, proszę pani. Tyle, że kiedy jechałem rano tą drogą i byłem o jakąś milę od Anglebury, usłyszałem za sobą czyjeś kroki, jakby spłoszonej sarny, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem pannę Tomasinę. Była śmiertelnie blada. “Och, Diggory Venn! — zawołała. — Odgadłam, że to ty. Czy mi pomożesz? Mam straszne kłopoty.”

— A skąd wiedziała, jak się pan nazywa? — zapytała nieufnie pani Yeobright.

— Znała mnie, gdy byłem jeszcze chłopcem, zanim zająłem się sprzedażą farby. No więc zapytała, czy ją podwozę, a potem zaraz zemdlała. Wziąłem ją na ręce i położyłem w wozie i leży tam od tego czasu. Dużo płakała, ale nic nie mówiła. Powiedziała tylko, że rano miał być jej ślub. Namawiałem ją, żeby coś zjadła, ale nie mogła nic przełknąć, a w końcu zasnęła.

— Muszę ją zaraz zobaczyć. — Pani Yeobright pośpieszyła w stronę wozu.

Młody człowiek poświecił jej latarnią i wszedłszy pierwszy na schodek, podał jej rękę. Przez otwarte drzwi dostrzegła w głębi prowizoryczne poślanie, dokoła którego właściciel wozu rozwiesił, co mógł, żeby je zabezpieczyć od zetknięcia się z czerwoną farbą. Przykryta płaszczem spoczywała tam młoda wieśniaczka. Spała, gdy padło na nią światło latarni.

Wydobyło ono z ciemności pełną uroku, jasną, uczciwą dziewczęcą twarz, okoloną masą falujących kasztanowych włosów. Za mało byłoby powiedzieć o niej “ładna”, za dużo “piękna”. Oczy miała zamknięte, ale łatwo można było wyobrazić sobie ich blask, ukoronowanie jaśniejszej urody. Ufność i nadzieja uformowały jej rysy, ale teraz nakładał się na nie jakiś obcy element... mgła smutku i niepokoju. Smutek gościł na twarzy dziewczyny od tak niedawna, że nie zdołał przyćmić jej krasy, nadał tylko dostojeństwo urodzie, którą mógłby kiedyś zniszczyć. Nie

pobladał jeszcze szkarłat warg, a nawet — w tej chwili, gdy na policzkach zgasł przelotny rumieniec — wydawał się jeszcze intensywniejszy. Usta rozchyłały się niekiedy, szepcząc jakieś słowa. To była bohaterka sielankowych pieśni, towarzyszyć jej powinny rymy i harmonia.

Jedno w każdym razie było oczywiste: nie należało jej się w tym momencie tak natarczywie przyglądać. Młody człowiek widocznie zdawał sobie z tego sprawę, bo gdy pani Yeobright wpatrywała się w dziewczynę, on z delikatnością

32

cią odpowiednią do tej sytuacji spuścił wzrok. Śpiąca najwidoczniej wyczuła te spojrzenia, bo otworzyła po chwili oczy.

Rozchyliła wargi jak gdyby w oczekiwaniu, choć może bardziej z niedowierzaniem, a grę rysów jej twarzy — pod wpływem budzących się myśli czy fragmentów myśli — ukazywało wyraźnie światło latarni. Była to natura szczerą, przejrzystą.

Odślaniał się jak gdyby płynący przez nią sam nurt istnienia. Momentalnie zorientowała się w sytuacji.

— Tak, ciociu, to ja — zawołała. — Ciocia jest przerażona i oczom nie wierzy, ale to ja w takich okolicznościach wracam do domu!

— Tomasino, Tomasino! — Pani Yeobright pochyliła się i pocałowała młodą kobietę.

— O, moje drogie dziecko!

Tomasina o mało nie wybuchnęła płaczem, lecz okazując niespodziewaną siłę woli, opanowała ten odruch. Z lekko przyspieszonym oddechem usiadła i podniosła głowę.

— Ani ja, ani ciocia nie myślałyśmy, że spotkamy się w takich okolicznościach — podjęła szybko. — Gdzie ja jestem? ; — W pobliżu domu, moja droga. W kotlinie Egdon. A co złego się stało?

— Powiem cioci za chwilę. Więc jesteśmy już tak blisko. W takim razie O wysiądę i pójdę na piechotę. Chcę iść do domu ścieżką. 4 — Jestem pewna, że ten dobry człowiek, który już tyle dla ciebie zrobił, / dowiezie cię do samego domu — powiedziała ciotka zwracając się do farbiarza, który w chwili obudzenia się dziewczyny odszedł od drzwi wozu i sta-

• nął na drodze.

; — Czy musi pani o to pytać? Naturalnie, że podjadę do samego do-

•^ mu.

x-r — On jest naprawdę dobry — szepnęła Tomasina. — Znaliśmy się dawno, więc kiedy go dzisiaj zobaczyłam, wołałam z nim jechać niż najlepszym pojazdem kogoś obcego. Ale dalej już pójdę sama. Zatrzymaj proszę, konie.

Mężczyzna spojrział na nią z czułym wyrzutem, ale posłuchał. Zsiadły z wozu, a pani Yeobright zwróciła się do jego właściciela:

— Teraz już sobie pana przypominam. A dlaczego nie poszedł pan w ślady ojca i nie prowadzi dalej jego mleczarni?

— No cóż, tak już zdecydowałem — odpowiedział patrząc na Tomasinę, która się lekko zarumieniła. — A więc nie będę już dziś pani potrzebny?

Pani Yeobright rozejrzała się dokoła. Rzuciła wzrokiem na pociemniałe niebo, na wzgórza i dogasające ogniska, na oświetlone okno pobliskiej oberży.

— Nie sądzę — odpowiedziała — skoro Tomasina chce iść pieszo. Zaraz dojdziemy do ścieżki, która prowadzi do domu. Znamy dobrze drogę.

Rozstali się po paru słowach pożegnania. Sprzedawca farby odjechał, kobiety stały na drodze, a kiedy już wóz oddalił się na tyle, że woźnica w żaden sposób nie mógłby dosłyszeć ich rozmowy, pani Yeobright zwróciła się do bratanicy.

— A więc, Tomasino — spyła — co znaczy ta dziwna sytuacja?

- Powrót...

33

ZAMIESZANIE WŚRÓD UCZCIWYCH LUDZI

Tomasina wydawała się zupełnie przybita zmianą w zachowaniu ciotki.

— Znaczy to, na co wygląda — powiedziała cicho. — Ślub się nie odbył. Proszę mi wybaczyć, że przez ten nieszczęśliwy przypadek spadło na ciocię takie upokorzenie. Jest mi bardzo przykro. Ale nie mogę nic na to poradzić.

— Spadło na mnie? Pomyśl o sobie.

— Nie było w tym niczyjej winy. Kiedy doszliśmy na miejsce, pastor nie chciał nam dać ślubu, bo w papierach znalazł jakąś drobną nieściskość.

— Jaką?

— Nie wiem. Pan Wildeve to wytłumaczy. Nie tak wyobrażałam sobie swój powrót, kiedy dziś rano wybierałam się w drogę.

Korzystając z ciemności, Tomasina dała upust swym uczuciom w cichych łzach, które nie zauważone spływały po jej policzkach.

— Mogłabym chyba powiedzieć, że słusznie cię to spotkało... gdybym nie czuła, że nie zasłużyłaś na takie potraktowanie — mówiła pani Yeobright, w której naturze łagodność sąsiadowała z gniewem, więc przerzucała się niespodziewanie z jednej ostateczności w drugą. — Ale pamiętaj, Tomasino, że to nie był mój pomysł. Od pierwszej chwili, kiedy zaczęłaś się w nim durzyć, ostrzegałam, że ten człowiek nie może dać ci szczęścia. Byłam tego najzupełniej pewna i dlatego poważylam się na coś, o co bym siebie nigdy nie posądzała: zerwałam wasze zapowiedzi w kościele i na długie tygodnie dostałam się na ludzkie języki. Ale kiedy już raz się zgodziłam, nie mogę pozwolić na kaprysy bez powodu. Po tym wszystkim, co zaszło, musisz go poślubić.

— A czy ciocia myśli, że choć przez chwilę tego nie chciałam? — odparła Tomasina wzdychając ciężko. — To źle, że go kocham, wiem, ale niechaj mi ciocia nie rani serca takimi słowami! Nie chciałaby chyba ciocia, żebym u niego została, a jedyne miejsce, do którego mogę wrócić, to jest dom cioci. On powiada, że możemy się pobrać za dzień, za dwa.

— Wolałabym, żeby cię nigdy nie ujrzał na oczy!

— No więc dobrze, będę najnieszczęśliwszą kobietą na świecie i nie pozwolę mu się więcej ze mną widywać. Nie chcę go za męża!

— Teraz już za późno. Chodź ze mną. Zajdę do oberży, zobaczę, czy on wrócił. Oczywiście, wybadam dokładnie, jak to było. Niechaj pan Wildeve nie myśli, że wolno mu lekceważyć mnie czy kogokolwiek z moich bliskich!

— To nie jego wina. Dokument nie był w porządku, a on nie mógł od razu wystarać się o inny. Jeżeli już przyszedł, sam cioci powie, jak to było.

— Dlaczego ciebie nie odprowadził?

— To przeze mnie! — Tomasina zaniósła się łkaniem. — Kiedy się dowiedziałam, że nie możemy wziąć ślubu, nie chciałam z nim wracać. Bardzo źle się czułam i kiedy zobaczyłam wóz Diggory'ego Venna, zaraz go poprosiłam, żeby mnie dowiózł do domu. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć, choćby się ciocia miała na mnie gniewać.

— Pomyślę nad tym — odparła pani Yeobright.

34

Skierowały kroki ku oberży, znanej w okolicy pod nazwą "Cicha Kobieta". Jej godłem była postać matrony, trzymającej pod pachą własną głowę. Dom był frontem ustawiony ku wrzosowisku i Rainbarrow, którego ciemny kształt majaczył groźnie na niebie. Na drzwiach wisiała wytarta miedziana tabliczka z zaskakującym napisem: "Inżynier Wildeve". Była to bezużyteczna, lecz miła sercu właściciela pamiątka z czasów, gdy w pewnym biurze w Bud-mouth — popierany przez tych, co w niego wówczas wierzyli, a potem się na nim zawiedli — młody inżynier stawiał pierwsze kroki w swym zawodzie. Za domem leżał ogród, a dalej płynęła spokojna głęboka rzeka, zakreślająca granicę wrzosowiska. Za nią rozciągały się łąki.

Panujące w tej chwili ciemności nie pozwalały dostrzec nic prócz niewyraźnych zarysów krajobrazu na tle nieba. Zza domu dobiegało szemranie wody ospałej rzeki wijącej się między rzędami zeschniętych pierzastogłowych trzciny, sterczących niczym palisada po obu brzegach. O ich obecności świadczył poszum — niby ciche modły grupki wiernych — który się zrywał, gdy trzciny zderzały się ze sobą, kołysane lekkim powiewem.

Okno, z którego świeca rzucała blask w dolinę — dostrzeżony przez zebranych przy ognisku — nie było zasłonięte, ale parapet znajdował się tak wysoko, że nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do środka. Niemal na pół sufitu padał cień, w którym można było rozpoznać niewyraźne kontury ramion i głowy mężczyzny.

— Jest w domu — powiedziała pani Yeobright.

— Czy i ja też muszę wejść, ciociu? — spytała szeptem Tomasina. — Chyba nie wypada.

— Musisz wejść, to oczywiste, musicie stanąć twarzą w twarz, aby się nie mógł przede mną wykrętnie tłumaczyć. Nie zostaniemy tu i pięciu minut, zaraz wracamy do domu.

Pani Yeobright weszła na korytarz, zapukała do saloniku, otworzyła drzwi i zajrzała.

Plecy i ramiona mężczyzny przesłaniały jej ogień płonący na kominku. Wildeve — bo on to był — natychmiast się obrócił, wstał i postąpił parę kroków na powitanie wchodzących.

Był to zupełnie jeszcze młody człowiek; z dwóch właściwości wyróżniających każdego z nas — figury i ruchów — ta druga przede wszystkim zwracała uwagę. Poruszał się ze szczególnym wdziękiem, co już samo w sobie mogło go kreować na zdobywcę serc niewieścich. Dopiero później dostrzegało się w nim inne cechy: bujną czuprynę opadającą na czoło, która nadawała jego twarzy kształt wczesnogotyckiej tarczy o podniesionych rogach, szyję gładką i krągłą, szczupłość bioder. Ogólnie biorąc, żaden mężczyzna nie widziałby w nim nic godnego podziwu, a żadna kobieta — nic, co by się jej mogło nie podobać.

Dostrzegł w korytarzu postać dziewczyny i powiedział:

— A więc Tomasina jest już w domu. Jak mogłaś, kochanie, zostawić mnie w ten sposób! — Obróciwszy się do pani Yeobright wyjaśnił: — Daremnie próbowałem wpłynąć na jej decyzję. Postanowiła wracać, i to sama jedna.

— Ale co to wszystko znaczy? — zapytała pani Yeobright wyniośle.

— Proszę usiąść. — Wildeve przysunął krzesła obu kobietom. — No cóż,

35

zaszła bardzo głupia pomyłka, ale to się zdarza. Dokument był nieważny w Anglebury. Wystawiono go na Budmouth, a ponieważ go nie czytałem, nie wiedziałem, że tak jest.

— Przecież pan był w Anglebury?

— Nie. Byłem w Budmouth. Wróciłem stamtąd przed dwoma dniami i tam też zamierzałem zabrać Tomasinę, ale kiedy po nią przyszedłem, zdecydowaliśmy się na Anglebury, zapominając, że potrzebny jest nowy dokument. A potem już nie starczyło czasu, żeby iść do Budmouth.

— Z pewnością jest w tym dużo pana winy — stwierdziła pani Yeobright.

— To moja wina, że wybraliśmy Anglebury — tłumaczyła błagalnym głosem Tomasina.

— Chciałam iść tam, gdzie mnie nie znają.

— Wiem aż nazbyt dobrze, że popełniłem błąd, więc nie musi mi pani tego wypominać — uciął kwestię Wildeve.

— Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu — ciągnęła ciotka. — To wielki afront dla mnie i mojej rodziny, a kiedy wiadomość się o tym rozniesie, przyjdą na nas ciężkie chwile. Jak ona jutro spojrzy w twarz przyjaciółom? Stała się nam wielka

krzywda i łatwo jej nie przebaczę. Może się to nawet odbić na opinii Tomasiny.

— Nonsens — rzucił Wildeve.

Podczas tej wymiany zdań wielkie oczy Tomasiny przenosiły się z jednej twarzy na drugą.

— Czy pozwoli ciocia — spytała niespokojnie — że porozmawiam o tym chwilę z Damonem w cztery oczy? Dobrze, Damonie?

— Oczywiście, kochanie — odrzekł. — Jeżeli tylko twoja ciocia nie ma nic przeciw temu.

Wyprowadził ją do drugiego pokoju, zostawiwszy panią Yeobright przy kominku.

Kiedy znaleźli się sami za zamkniętymi drzwiami, Tomasina zwróciła ku niemu bładą, mokrą od łez twarz i powiedziała:

— To mnie zabije, Damonie! Dziś rano w Anglebury nie chciałam rozstawać się z tobą w gniewie, ale przeleżałam się i wprost nie wiedziałam, co mówię. Ciocia nie ma pojęcia, ile dzisiaj wycierpiałam, bo choć trudno mi opanować wyraz twarzy i brzmienie głosu, trudno się uśmiechać, jakby to wszystko nie miało dla mnie większego znaczenia; jednak chciałam wziąć się w garść, aby nie zwiększać jej gniewu na ciebie. Ja wiem, wbrew temu, co ona mówi, że nic nie mogłeś poradzić.

— Ona jest bardzo niemiała.

— Właśnie — szepnęła Tomasina. — A teraz pewno i ja ci się taka wydaję...

Damonie, co ze mną będzie?

— Co z tobą będzie?

— Tak. Ludzie, którzy cię nie lubią, wygadują takie rzeczy, że chwilami i ja zaczynam w ciebie wątpić. Ale myślę, że się pobierzemy, prawda?

— Oczywiście. Musimy tylko w poniedziałek pójść do Budmouth i będziemy mogli zaraz wziąć ślub.

— A więc idźmy do Budmouth! Och, Damonie, do czego ty mnie zmuszasz! — ukryła twarz w chusteczce. — Oto ja proszę ciebie, żebyś się ze mną ożenił! A przecież to ty powinieneś paść na kolana i błagać mnie, twoją okru-

36

tną panią, abym cię nie odrzucała, bo złamałabym ci serce. Dawniej nieraz rozmyślałam, jak to będzie słodko i pięknie... Ale jest inaczej.

— W życiu nigdy tak nie bywa naprawdę.

— Ja sama nie dbam o to, czy się pobierzemy, czy nie — dodała z godnością. —

Mogę żyć bez ciebie. Ale chodzi mi o ciocię. Jest tak dumna i tak ceni honor rodziny, że się zadreczy, jeżeli świat się dowie o wszystkim, nim... nim to się stanie. A mój kuzyn Clym także czułby się głęboko urażony.

— Byłoby to bardzo nierozsądne. Prawdę mówiąc, wszyscy zachowujecie się dość nierozsądnie.

Tomasina lekko poczerwieniała, i to nie z miłości. Ale bez względu na uczucie, które wywołało na jej twarzy ten rumieniec, znikł on równie szybko, jak się pojawił.

— Chcę zawsze być rozsądna, o ile to będzie w mojej mocy — powiedziała ulegle. — Po prostu czuję, że w końcu ciocia do pewnego stopnia znalazła się w twojej mocy.

— Sprawiedliwie mówiąc, to mi się chyba słusznie należy — oświadczył. — Pomyśl, przez co przeszedłem, zanim zdobyłem jej zgodę. Zerwanie zapowiedzi to obelga dla każdego mężczyzny. A ja odczułem to jeszcze dotkliwiej, gdyż jestem, niestety, człowiekiem wrażliwym, gnębi mnie chandra i Bóg wie co jeszcze. Nigdy w życiu nie zapomnę tamtych zapowiedzi. Gdybym był bardziej zawzięty, cieszyłbym się, że mogę dokuczyć twojej ciotce, wycofując się z tego wszystkiego.

Kiedy to mówił, Tomasina wpatrywała się w niego z głębokim smutkiem i widać było, że nie tylko jedna osoba w tym pokoju ubolewać może nad swoją

wrażliwością. Widząc, że ona naprawdę cierpi, Wildeve zaniepokoił się i dodał:
— Och, tylko tak sobie pomyślałem, chyba wiesz. Ale w głowie mi nawet nie
postało, żeby nie brać z tobą ślubu. To niemożliwe.

— Tak, wiem o tym! — zawołała dziewczyna, a jej piękna twarz się rozjaśniła. —
Nie znosisz widoku niczyjego cierpienia, nawet drobnego owada, i sprawia ci
przykrość każdy nieprzyjemny dźwięk, a nawet zapach, więc niepodobna, abys
chciał zadać ból mnie czy komuś z moich bliskich.

— Nie zadam ci bólu, jeśli to będzie w mojej mocy!

— Podaj mi rękę na zgodę!

Niedbałym ruchem wyciągnął do niej dłoń.

— A, do licha, co to takiego? — zapytał nagle.

Uszu ich dobiegł chóralny śpiew przed domem. Dwa głosy wybijały się osobliwą
barwą: bardzo silny bas i dychawiczne cienkie zawodzenie. Tomasina w pierwszym
rozpoznała Tymoteusza Fairwaya, w drugim — Grandfera Cantle'a.

— Co to ma znaczyć? — zapytała, rzucając na Wildeve'a wylekłe spojrzenie.

— Ludzie z wrzosowiska przyszli powitać nas śpiewem. To nie do zniesienia! —
Zaczął szybkim krokiem przemierzać pokój, a chór na dworze śpiewał wesoło:

37

Mówił, że ona mu słońca promieniem, Że weźmie ją za żonę, niech da przyzwolenie.
Nie umiała odmówić. Wiec szli do kościoła. Will młody zapomniany, młoda Sue
wesoła, Mąż ją na rękach tuli, pieści i całuje, Pokażcie nam drugiego, który tak
miłuje.

Z przyległego pokoju wpadła pani Yeobright.

— Tomasino! Tomasino! — wołała patrząc z oburzeniem na Wilde-ve'a. — Zrobią z
nas widowisko! Uciekajmy czym prędzej! Chodź!

Jednak nie sposób już było przejść przez korytarz. Posłyszeli gwałtowne pukanie
do frontowych drzwi. Wildeve, spojrzawszy przez okno, wrócił szybko do kobiet.

— Zatrzymajcie się! — powiedział rozkazującym tonem do pani Yeobright, kładąc
jej rękę na ramieniu. — Toż to regularne oblężenie! Jest ich chyba z
pięćdziesięciu. Niech pani poczeka tutaj z Tomasiną, a ja wyjdę i porozmawiam z
nimi. Musicie teraz zostać ze względu na mnie, dopóki się nie rozejdą, aby
wyglądało, że wszystko jest w porządku. Tomasino droga, uspokój się, nie rób
sceny... Przecież po tym, co się stało, musimy się pobrać, rozumiesz to chyba
równie dobrze jak ja. Siedźcie tu spokojnie, to wszystko... Tylko nie
rozmawiajcie za dużo. A ja dam sobie z nimi radę. Co za błazny!

Zmusił podnieconą dziewczynę, by usiadła, poszedł do frontowej sali i o-tworzył
drzwi. Natychmiast w korytarzu pojawił się Grandfer Cantle, śpiewając do wtóru
tym, co jeszcze znajdowali się przed domem. Wszedł do sali, skinął z
roztargnieniem głową Wildeve'owi, mając usta otwarte i całą twarz boleśnie
napiętą z wysiłku. Kiedy pieśń się skończyła, powiedział serdecznie:

— Witamy nowo zaślubioną parę! Niech wam Bóg błogosławi!

— Dziękuję — odparł urażony Wildeve, z twarzą posepną jak noc.

Tuż za Grandferem weszła do sali reszta śpiewaków: Fairway, Christian, Sam,
kopacz torfu, Humphrey i gromada innych. Uśmiechem witali Wildeve'a a także jego
stoły i krzesła, pełni przyjaznych uczuć dla tych przedmiotów i ich właściciela.

— No i nie zdążyliśmy tu jednak przed panią Yeobright — powiedział Fairway,
spozstrzegłszy czepek matrony przez szklaną przegrodę, oddzielającą obszerną salę
oberży od pokoju, w którym siedziały kobiety. — Szliśmy na przełaj, panie
Wildeve, a ona okrężną ścieżką.

— O, widzę główkę panny młodej! — zawołał Grandfer patrząc w tym samym kierunku
i poznając Tomasinę, która siedziała koło ciotki, smutna i nieswoja. — Jeszcze
nie przywykła do nowej roli, no cóż, przyjdzie i na to czas.

Wildeve nie odpowiedział, ale uważając widocznie, że im prędzej ich poczęstuje, tym prędzej sobie pójdą, wydobyl kamienny dzban, co natychmiast wprowadziło ciepłą atmosferę.

— Wydaje mi się, że to wspaniały trunek — oświadczył Grandfer z miną człowieka, któremu dobre maniere nie pozwalają nazbyt spieszenie kosztować poczęstunku.

38

— No właśnie — potwierdził gospodarz. — To stary miód. Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

— O, na pewno — odparli goście serdecznym tonem, jaki towarzyszy w sposób naturalny grzecznościowym wypowiedziom, gdy zgadzają się one z najgłębszymi uczuciami. — Nie ma przedniejszego napoju pod słońcem.

— Przysięgam, że nie ma! — zawołał Grandfer Cante. — To jest tylko złe w miodzie, że uderza do głowy i długo trzyma w zamroczeniu. Ale jutro niedziela, dzięki Bogu.

— Czułem się śmiały jak żołnierz, kiedy raz napiłem się takiego miodu — powiedział Christian.

— Teraz też się tak czujesz — uprzejmie zapewnił go Wildeve. — Kubki czy szklanice, panowie?

— Jeżeli pan nie ma nic przeciw temu, to prosimy o dzban i niech krąży wkoło. Tak lepiej niż pić po kropelce.

— Do licha z delikatnymi szklankami! — rzekł Grandfer Cante. — Co za pożytek z naczyń, którego nie można postawić w popielisku, żeby się zagrzało. Prawda, sąsiedzi, słusznie mówię?

— Słusznie, Grandferze — przytaknął Sam i dzban zaczął krążyć wśród zebranych.

— Panie Wildeve — odezwał się Tymoteusz Fairway czując, że wypada powiedzieć coś pochlebnego — godna to rzecz pojąć żonę, a kobieta, która się panu dostała, to czysty brylant, ja to panu mówię. Tak — ciągnął zwracając się do Grandfera Cante'a i podnosząc głos, żeby go było słychać za przepierzeniem. — Jej ojciec — tu skłonił głowę w stronę małego pokoju — był najlepszym człowiekiem pod słońcem. Wybuchnął gniewem na każde oszukaństwo.

— Czy był bardzo niebezpieczny? — spytał Christian.

— Niewielu ludzi w okolicy żyło z nim w niezgodzie — odparł Sam. — Kiedy jakieś stowarzyszenie maszerowało ulicami z orkiestrą, on grał na klarncie tak, jakby całe życie nic innego nie robił. A kiedy dochodzili do kościoła, odrzucał klarnet, wbiegał na chór, chwycił wiolonczelę i grał na niej, jakby nigdy nie miał w ręku innego instrumentu. Ludzie, ci, co znali się na muzyce, mówili: "To przecież nie może być ten sam człowiek, który przed chwilą tak pięknie grał na klarncie!"

— Pojmuję — powiedział kopacz torfu. — Zdziwiałem, że jedna osoba potrafiła tak grać i nie mylić palców.

— Podobnie było w kościele w Kingsbere — podjął interesujący temat Fairway. Wildeve ziewnął szeroko, jak ktoś straszliwie znudzony, i zerknął przez przepierzenie na uwieszone tam kobiety.

— Miał zwyczaj chodzić tam w niedzielne popołudnia, żeby odwiedzić starego znajomego, Andrya Browna, pierwszego klarncistę. Był to dobry człowiek, ale grał trochę piskliwie, rozumiecie chyba, co mam na myśli.

— Ano.

— Sąsiad Yeobright zastępował go przez część nabożeństwa, żeby tamten mógł się zdrzemnąć, co zrobiłby każdy dobry przyjaciel.

— Co zrobiłby każdy dobry przyjaciel — powtórzył Grandfer Cante,

39

a reszta słuchaczy wyraziła to samo w prostszy sposób, mianowicie kiwając

głowami.

— Jak tylko Andrey zasnął, a sąsiad Yeobright dmuchnął w klarnet, wszyscy w kościele od razu poznali, że między nimi znajduje się nie byle kto. Wszyscy obracali głowy i każdy mówił: “Tak, to on, odgadłem.” Pamiętam dobrze jedną niedzielę. Przez cały dzień rozbrzmiewała wiolonczela, Yeobright przyniósł swoją własną z domu. Grano psalmy, a kiedy doszło do słów: “Na jego brodę i jego szaty zlejcie kosztowne olejki,” sąsiad Yeobright, który własne się rozochocił, pociągnął smyczkiem po strunach z taką siłą, że omal nie przeciął wiolonczeli na pół. Okna w kościele drżały jak podczas burzy. Stary pastor Gibbons w swojej wielkiej świętej komży podniósł ręce z taką swobodą, jakby był w zwykłym ubraniu, i wydawało się, że sam do siebie mówi: „O, jak to dobrze, że mamy w naszej parafii takiego człowieka!” Nikt w Kingsbere nie dorastał do pięć Yeobrightowi.

— A czy było tam bezpiecznie, kiedy okna drżały? — spytał Christian.

Nie otrzymał odpowiedzi, bo zebrani rozpamiętywali w niemym podziwieniu to, o czym przed chwilą usłyszeli. Ponieważ do ich świata nie dotarły na szczęście wieści ani o śpiewie Farinellogo* przed księżniczkami na dworach, ani o głośnym przemówieniu Sheridana** w obronie begum, ani o innych podobnych osiągnięciach, tour de force zmarłego pana Yeobrighta z owego pamiętnego popołudnia wzbudziło zbiorowe uwielbienie, choć krytyczne porównanie — gdyby było możliwe — mogłoby je znacznie pomniejszyć.

— Całkiem nie wyglądał na takiego, co mógłby zemrzeć w kwiecie wieku — rzekł Humphrey.

— No tak, ale patrzył na księżą oborę już na kilka miesięcy przed śmiercią. W tym czasie kobiety ścigały się na jarmarkach, by zdobyć halki lub spódnice, i moja żona, która była wtedy długonogą zręczną dziewczyną, za młodą na męża, poszła do Greenhill z innymi dziewczynami, bo dobrze wtedy biegła, nie była taka ciężka jak dziś. Kiedy wróciła, zapytałem... właśnie zaczęliśmy chodzić ze sobą... “Co wygrałaś, kochaneczko?” “Wygrałam... no cóż, wygrałam sukienkę”, powiada i od razu się czerwieni. To pewno koszula za koronę, pomyślałem. I tak też było. Ojej, kiedy pomyślę, co ona potrafi mi teraz powiedzieć i nie spiecze raka, to bardzo dziwne mi się wydaje, że wtedy nie mogła mi od razu rzec nawet tego. Potem mi powiedziała... i właśnie dlatego o tym mówię... “Cokolwiek kupiłam, białą szatkę czy w deseń, do oglądania czy nie do oglądania” — była wtedy bardzo skromna — “wolałabym tego nie mieć niż widzieć to, co widziałam. Biedny pan Yeobright się

* Carlo Farinelli, zwany 111 Ragazzo (1705—1782), śpiewak włoski, najslynniejszy kastrat swej epoki, obdarzony silnym głosem sopranowym o skali przekraczającej trzy oktawy.

** Richard Sheridan (1751—1816), dramaturg angielski pochodzenia irlandzkiego. Główne jego dzieło to Szkota obmowy. Gdy w roku 1780 został członkiem Parlamentu, zasłynął jako mówca opozycji, zwłaszcza występując przeciw Warrenowi Hastingsowi, który jako gubernator generalny Indii dopuścił się szeregu okrucieństw i nadużyć. Uznany został później za jednego z klasyków retoryki angielskiej. Najslynniejsze przemówienie, Begum Speech, mowa w obronie begum, czyli księżniczek indyjskich, trwało ponad pięć godzin. Ciekawostką jest, że w 1793 r. występował przeciw rozbiorem Polski.

40

rozchorował, jak tylko pokazał się na jarmarku, i musiał zaraz wracać do domu.” Wtedy to ostatni raz wyszedł poza granice parafii.

— Słabł z dnia na dzień, a potem się dowiedzieliśmy, że odszedł z tego świata.

— Czy myślicie, że kiedy umierał, to bardzo cierpiał? — zapytał Christian.

— O nie. Całkiem przeciwnie. Był szczęśliwy, bo czuł, że jest już w rękach Boga.

— A jak pan myśli, panie Fairway, czy dla innych ludzi śmierć jest wielkim cierpieniem?

— To zależy od tego, czy się jej boją.

— Ja, dzięki Bogu, nie będę się bał! — stwierdził energicznie Christian. — Rad jestem, że nie będę się bał, bo wtedy przyjdzie ona bezboleśnie... Myślę, że nie będę się bał... chyba że nie będę mógł przemóc strachu, a zatem nie z mojej winy, więc nie zasłużę na to, żeby cierpieć! Obym nie bał się wcale!

Nastąpiła chwila ciszy, Tymoteusz, spoglądając przez okno nie zasłonięte okiennicami ani zasłonami, powiedział:

— Jakie ładne jest to małe ognisko tam koło domu kapitana Vye'a! Jak Boga kocham, płonie tak samo jak przedtem!

Wszyscy odwrócili wzrok ku oknu i nikt nie zauważył nagłej zmiany wyrazu twarzy Wildeve'a. Na prawo od Rainbarrow, daleko w ciemnej dolinie, widać było blask niewielkiego ogniska, palącego się równo jednakowym płomieniem.

— Zapalono go przed naszym — mówił Fairway — a przecież wszystkie inne w okolicy już wygasły.

— Może to coś oznacza — szepnął Christian.

— Jak to? — zapytał ostro Wildeve.

Christian nie mógł pozbierać myśli, żeby odpowiedzieć, więc Tymoteusz pośpieszył mu z pomocą.

— On chciał powiedzieć, że ta czarnooka samotna dziewczyna, która tam mieszka i o której powiadają, że jest czarownicą... nigdy bym tak nie nazwał pięknej młodej kobiety... zawsze miewa jakieś dziwne pomysły. Więc może to ona.

— A ja chętnie wziąłbym ją za żonę, gdyby tylko mnie zechciała, choćby nawet miała rzucić na mnie zły urok tymi swoimi dziwnymi ciemnymi oczami — oświadczył rażno Grandfer Cante.

— Nie mów tak, ojczule! — błagał Christian.

— Niech mnie licho porwie, jeżeli ten, kto poślubi tę dziewczynę, nie będzie miał ślicznego obrazka do swego salonu — powiedział Fairway pijackim tonem, odstawiając puchar, z którego tego sobie pociągnął.

— I towarzyszkę życia tak tajemniczą jak Gwiazda Polarna — powiedział Sam wypijając resztę miodu.

— No, zdaje się, że teraz to już naprawdę powinniśmy iść — stwierdził Humphrey patrząc na pusty dzban.

— Ale zaśpiewamy im jeszcze — zaproponował Grandfer Cante. — Mam chęć śpiewać jak ptak!

41

— Dziękuję wam — powiedział Wildeve. — Ale nie będziemy teraz was trudzić.

Innego dnia zaśpiewacie, kiedy spruszę gości.

— Niech mnie licho porwie, jeżeli nie nauczę się na ten dzień dziesięciu nowych pieśni — oświadczył Grandfer Cante. — I może być pan pewien, panie Wildeve, że nie sprawię zawodu i przyjdę.

— Wierzę wam — odparł Wildeve.

Wszyscy się żegnali, parokrotnie życząc gospodarzowi długich lat szczęścia w małżeństwie, co zajęło trochę czasu. Wildeve odprowadził gości do drzwi, za którymi czekał na nich mroczny obszar wrzosowiska, rozpościerające się od ich stóp aż do zenitu królestwo ciemności, w którym pierwszym wyraźnie zarysowującym się kształtem było pochylone czoło Rainbarrow. Prowadzeni przez Sama, kopaczka torfu, ruszyli gęsiego w tę głębię mroku, dążąc niewidoczną drogą ku swym domostwom.

Kiedy ucichł już szmer gałęzi janowca ocierających się o ich spodnie, Wildeve

wrócił do pokoju, w którym pozostawił Tomasinę z ciotką. Kobiety zniknęły. W jeden tylko sposób mogły opuścić dom, a mianowicie przez okno — było otwarte. Wildeve zaśmiał się z cicha, zamyślił się na chwilę i leniwym krokiem podszedł do frontowych drzwi. Spojrzenie jego padło na butelkę wina stojącą na kominku. — Ach, stary Dowden — szepnął i zbliżywszy się do drzwi kuchennych krzyknął: — Czy jest tu kto, żeby zanieść butelkę staremu Dowdenowi? Ale nie usłyszał odpowiedzi. Kuchnia była pusta, bo chłopiec — jego służący do wszystkiego — poszedł już spać. Wildeve zawrócił, włożył kapelusz, wziął butelkę i wyszedł z domu przekręcając klucz w drzwiach, bo tego wieczoru nie miał gości w oberży. Kiedy znalazł się na drodze, rzuciło mu się znów w oczy ognisko na Mistorver Knap.

— Czekasz wciąż, moja pani? — szepnął.

Jednakże nie zwrócił się od razu w tym kierunku, ale pozostawiając wzgórze po lewej stronie, szedł zrytą koleinami drogą prowadzącą do chatki, którą wydobywał z mroku — podobnie jak inne ludzkie siedziby na wrzosowisku o tej porze dnia — tylko słaby blask światła padającego z okienka sypialni. Był to dom Olly Dowden, miotlarki. Wszedł do środka.

Izba na parterze pogrążona była w ciemnościach, ale Wildeve odszukał po omacku stół i postawił na nim butelkę. W chwilę później znajdował się już na wrzosowisku. Stał i patrzył w północno-wschodnim kierunku, na palący się wciąż ogień — wysoko ponad nim, ale niżej niż szczyt Rainbarrow.

Ogólnie wiadomo, że jeśli kobieta się na coś uweźmie, jest stracona, a skutki tego nie zawsze dotyczą tylko kobiety, chociaż musi być kobieta, i w dodatku ładna. Wildeve stał i ciężko oddychał, aż wreszcie powiedział sam do siebie z rezygnacją:

— Na Boga! Chyba muszę do niej iść!

Zamiast więc zawrócić do domu, ruszył spieszenie ścieżką prowadzącą pod Rainbarrow, ku światłu, które najwidoczniej było sygnałem.

42

VI POSTAĆ NA TLE NIEBA

Kiedy gromada ludzi z Egdonu odeszła, pozostawiwszy Rainbarrow jak zwykle opustoszały, od tej strony wrzosowiska, w której płonął ów niewielki ogień, zbliżyła się jakaś szczelnie opatulona postać. Gdyby zauważył ją farbiarz, na pewno rozpoznałby w niej kobietę, która stała tu samotnie i zniknęła, gdy zjawili się obcy przybysze. Zajęła to samo co przedtem miejsce, a czerwone węgielki, dogasające w popiele ogniska, mrugały na nią niby żywe jeszcze oczy zmarłego dnia. Stała nieruchomo. Cały krajobraz spowijała posępna atmosfera nocy, lecz mrok na szczycie wzgórza wydawał się łagodniejszy w porównaniu z nieprzeniknioną czernią wiszącą nad wrzosowiskiem, podobnie jak grzech powszedni w zestawieniu ze śmiertelnym.

Kobieta była wysoka, postawę miała prostą, ruchy dystyngowane — i nic więcej nie dałoby się o niej powiedzieć, gdyż okrywał ją całą szal, którym się okryła na staroświecką modłę, a na głowie zawiązała chustę, co o tej godzinie i w tym miejscu na pewno nie było nadmierną przezornością. Stała plecami do wiatru, który wiał z północo-zachodu, ale początkowo trudno się było domyślić, czy ustawiła się tak ze względu na ostre podmuchy wiatru, smagające jej samotną postać, czy też jej zainteresowania kierowały się ku południowo-wschodniej stronie.

Powód, dla którego stała tu bez ruchu — pośrodku tego kręgu wrzosowej krainy — był bardzo trudny do odgadnięcia. Jej szczególny spokój, samotność, nieliczenie się z późną porą dowodziły, między innymi, braku jakichkolwiek obaw. A przecież ów szmat ziemi nie zmienił swego złowrogiego charakteru od czasów Cezara, który

co roku opuszczał te ponure obszary przed jesiennym zrównaniem dnia z nocą; ów krajobraz i klimat — które kazały przybyszom z południa przedstawiać naszą wyspę jako homerycką krainę Ki-meryjczyków — nie wydawały się przyjazne dla kobiet. Można by zgodnie z rozsądkiem przypuścić, że nieznajoma stoi zasłuchana w szum wiatru, który się zerwał, gdy zapadła noc. Był jak stworzony do tego krajobrazu, tak jak krajobraz zdawał się stworzony po to, by panowała nad nim noc. W poszumie wiatru brzmiały osobliwe tony, jakich nie posłyszałbyś w żadnym innym miejscu. Z północnego zachodu niosły się bez przerwy porywiste podmuchy, a gdy któryś z nich przeleciał obok, w jego oddalającym się poszumie brzmiała trójca głosów. Można było rozróżnić sopran, tenor i bas. W kołataniu się wiatru po dolinach i wzgórzach rozbrzmiewał posepny dźwięk dzwonu. A potem ostrokrzew odzywał się barytonem. Nie tak donośnie, ale na wyższą nutę jakiś słaby, zanikający głos odtwarzał charakterystyczną dla tych okolic melodię. Choć cichszy, trudniejszy do pochwylenia niż dwa poprzednie, bardziej niż one wbijał się w pamięć. W nim wyrażała się osobliwa mowa wrzosowiska, a ponieważ nigdzie indziej nie można go było usłyszeć, prawdopodobnie on to właśnie stanowił powód tego zasłuchania się kobiety, nadal trwającej w bezruchu.

Gdy zawodziły żałośnie listopadowe wiatry, głos ów brzmiał jak bezdźwię-

43

czny śpiew dziewięćdziesięcioletniego starca. Był to ochrypły szept, suchy, szeleszczący, ale w uszach ludzi nawykłych do niego brzmiał tak wyraźnie, że rozpoznawali niemal namacalnie, jakie drobiny materii go wywoływały. Był wspólnym wytworem nieskończonej drobnych cząsteczek roślinnych, chociaż nie łodyg, liści, owoców czy kolców, ani traw, porostów lub mchów.

Podzwaniały w nim zeszcłe dzwoneczki wrzosów z ubiegłego lata, dawniej delikatne i liliowe, potem odbarwione jesiennymi szarugami i wysuszone do cna słońcem października. Tak wąły był każdy pojedynczy dźwięk, że dopiero połączenie setek takich dźwięków przełamywało ciszę, a ich miliony z całej pochyłości zbocza docierały do uszu kobiety tylko jako szeleszczące przerywane recitativo. Jednak żaden spośród wielu innych dźwięków, rozbrzmiewających w powietrzu owego wieczora, nie miałby takiej mocy, żeby natchnąć swych słuchaczy do rozmyślań nad jego pochodzeniem. Oczyma wyobraźni można było zobaczyć, jak nieskończona jest liczba tych zespolonych drobinek, jak wiatr każdą z tych maleńkich trąbek chwyta, wpada do niej, oczyszcza i zakręciwszy się w niej — jak gdyby była ogromnym kraterem — ucieka.

“Duch je porusza” — ta myśl sama się narzucała i zabobonny lęk uczuciowego słuchacza przeradzał się w bardziej wzniosły nastrój. Właściwie to nie był szept zeszcłego kwiecica na prawym, lewym czy przednim zboczu kopca: zdawało się, jakby przez każdy z tych kwiateczków przemawiała jednocześnie istota od nich odmienna. Niespodziewanie na szczycie kopca w całą tę osobliwą retorykę nocy wmieszał się ton tak naturalnie zgrany z tłem, że gubił w nim początek i koniec swego brzmienia. Przedtem rozszumiało się wzgórze, krzewy i wrzosowe dzwonki, a teraz kobieta przerwała milczenie — była to tylko inna fraza tej samej muzyki. Porwana wiatrem wmieszała się w nią i uleciała.

Z ust kobiety wydobyło się przeciągłe westchnienie, wywołane zapewne tymi samymi myślami, które sprowadziły ją w to miejsce. Brzmiała w nim nagła rezygnacja, jak gdyby umysł kobiety tylko dopuszczał to, nad czym nie mógł zapanować. Ale jedno stało się oczywiste: kobieta coś w sobie tłumiała, jej spokój nie wynikał z ośpałości czy marazmu.

Daleko w dolinie wciąż padał nikły blask z okna oberży. Po chwili łatwo już było odgadnąć, że właśnie owo okno — a może coś, co znajdowało się poza nim — miało ściślejszy związek z tłumionym westchnieniem kobiety niż to, co robiła, lub też

otaczająca ją sceneria. Uniosła lewą rękę, w której trzymała złożoną lornetkę, rozsunała ją szybkim ruchem, przywykła widać do tej czynności, i przybliżywszy szkła do oczu, skierowała ją ku światłu padającemu z okna oberży.

Kiedy unosiła głowę, chusta się trochę osunęła i na tle szarej monotonii chmur ukazał się jej profil. Można by pomyśleć, że oto z grobów Safony i pani Siddons * wyłoniły się cienie ich twarzy i zlały się w jeden obraz, niepodobny do żadnej z nich, lecz przypominający obie. Było to jednak tylko powierzchowne podobieństwo. Rysy twarzy mogą zdradzać charakter człowieka, ale

* Sarah Siddons (1755—1831) cieszyła się sławą najznakomitszej aktorki swoich czasów; malował ją Gainsborough, Reynolds przedstawił ją jako Tragiczną mużę.
44

całą prawdę mówią zachodzące na niej zmiany. Rzeczywiście, nieraz bywa, że tak zwana gra twarzy bardziej nam pomaga w zrozumieniu charakteru kobiety czy mężczyzny niż wszystko inne. Tak więc noc, spowijająca postać dziewczyny, nie pozwalała dowiedzieć się o niej wiele, gdyż wyraz jej twarzy był niewidoczny. Młoda kobieta przestała wpatrywać się w okno, złożyła lornetkę i podeszła ku dogasającemu ognisku. Było już ciemne, tylko czasem silniejszy podmuch wiatru trącał węgielki i rozżarzał je kapryśnym blaskiem, który jawił się i znikał jak rumieniec dziewczyny. Pochyliła się nad cichym już kręgiem ogniska, wyciągnęła gałąź najsilniej na końcu rozżarzoną i wróciła z nią na swe poprzednie miejsce. Trzymała ją nisko nad ziemią, dmuchając na czerwony węgielek, aż wreszcie rzucił słaby blask, ukazując jakiś nieduży przedmiot leżący u jej stóp. Była to klepsydra, a przecież kobieta miała na ręku zegarek. Dmuchała jeszcze, aż spostrzegła, że cały piasek już się przesypał.

— Ach! — szepnęła, jakby się temu dziwiąc.

Migotliwy płomyk wydobył na krótką chwilę z mroku tylko część jej twarzy, niezrównanie piękne usta i policzek, bo głowę miała wciąż osłoniętą. Odrzuciła gałąź, wzięła klepsydrę do ręki, wsunęła lornetkę pod ramię i ruszyła w drogę. Grzbietem wzgórze wił się nikły szlak wydeptany przez ludzkie stopy i nim właśnie szła kobieta. Ci, co go dobrze znali, nazywali go ścieżką, a choć przypadkowy przechodzień nie zauważyłby jej i we dnie, bywalcy wrzosowiska odnajdywali ją nawet o północy. Aby nie zbłądzić na takich dopiero tworzących się ścieżynach, kiedy jest zbyt ciemno, by dostrzec nawet drogę z rogatkami, trzeba rozwinąć w sobie wrażliwość stóp, którą nabywa się przez lata nocnej włóczęgi po odludnych okolicach. Zaprawiony do takich wypraw wędrowiec nawet przez grubą zelówkę trzewika lub buta wyczuje, czy stąpa po dziewiczej roślinności, czy po przygniecionych ludzką stopą łądkach.

Samotna kobieta idąca tą ścieżyną nie wsłuchiwała się w koncert wiatru na uschnięte dzwoneczki wrzosów, a i później, znalazłszy się na skraju parowu, nie odwróciła głowy, aby się przyjrzeć stadku pierzchających przed nią jakichś ciemnych zwierząt, które tam się pały. Było to kilkanaście dzikich koników, zwanych “skubiącymi wrzos”. Zwierzęta te żyły na swobodzie wśród pagórków Egdonu, ale było ich tak niewiele, że nie zakłócały pustki tej okolicy.

Kobieta nie dostrzegała nic dokoła, o jej wielkim roztargnieniu mogło świadczyć pewne drobne wydarzenie. Gałązki jeżyny wczepiły się w suknię, zatrzymując ją w miejscu, a ona — zamiast je odczepić i iść dalej — stała przez chwilę nieruchomo. Kiedy zdecydowała się z nich wyplątać, zaczęła obracać się w koło, uwalniając się w ten sposób z kolczastych objęć. Trwała w smutnej zadumie.

Szła w kierunku wciąż nie gasnącego niewielkiego ogniska, które zwróciło uwagę ludzi zebranych na Rainbarrow, a także Wildeve'a z oberży w dolinie. Wkrótce na jej twarz padł słaby odbłask płomieni i ukazało się ognisko, rozpalone nie na równej ziemi, ale na jakimś starym szańcu czy nasypie, w miejscu, gdzie zbiegały

się dwa jego ramiona. Od zewnętrznej strony znaj-
45

dował się na pół wyschnięty rów, który tylko przed samym ogniskiem rozszerzał się, tworząc niewielką sadzawkę, zarośniętą przy brzegach wrzosem i sitowiem. W jej gładkiej wodzie odbijały się płomienie ogniska.

Nasypu nie porastał żywopłot — chyba że uznałoby się za żywopłot sterczące na jego grzbiecie tu i tam kity janowca na długich łodygach, niczym wbite na pal głowy nad murami miasta. Kiedy płomienie strzelały wyżej, można było dostrzec na ciemnym tle chmur biały maszt, z rejami i żeglarskim takielunkiem. Cała sceneria przypominała fortecę, na której zapalono latarnię morską.

Nikogo nie było widać, ale od czasu do czasu coś białawego wysuwało się ponad nasyp i znowu znikało. Była to drobna dłoń rzucająca opał na ognisko. Ukazywała się sama, podobnie jak owa ręka, która takim lękiem napełniła Baltazara. Czasem z nasypu spadał rozżarzony węgielek i sycząc gasł w wodzie.

Z jednej strony sadzawki prymitywne stopnie z grud ziemi umożliwiały wejście na nasyp każdemu, kto by miał na to ochotę. Kobieta właśnie po nich weszła.

Wewnątrz znajdowało się półko, leżące obecnie odłogiem, ale z widocznymi śladami dawnej uprawy. Jednak wrzosa i paprocie wcisnęły się tu podstępnie i zaczynały się panoszyć jak dawniej. Dalej rysował się mgliście dom o nieregularnych kształtach, ogród, zabudowania gospodarskie, a za nimi kępa sosen.

Młoda kobieta — bo gdy wspinała się na nasyp, sprężyste ruchy zdradzały, że jest młoda — szła jego grzbietem aż do miejsca, gdzie paliło się ognisko. Widać teraz było, dlaczego nie gasło: za opał służyły kawałki twardego drzewa, zrąbane lub przepiłowane sękaty pnie starych drzew cierniowych, rosnących parami lub trójkami na zboczach. Stos tego opału leżał w rogu nasypu i stamtąd też zwracała się ku kobiecie twarz małego chłopca. Od czasu do czasu chłopczyk wrzucał powolnym ruchem do ognia kawałek drewna, a zmęczenie na jego twarzy świadczyło, że pracy tej poświęcił znaczną część wieczoru.

— Cieszę się, że pani _przyszła, panno Eustachio — powiedział z westchnieniem ulgi. — Nie lubię być sam.

— Bzdury. Poszłam się trochę przejść. Nie było mnie tylko przez dwadzieścia minut.

— A mnie się zdawało, że to bardzo długo — szepnął smutno chłopiec. — Tyle razy już pani odchodziła!

— Myślałam, że ognisko sprawi ci przyjemność. Nie jesteś mi wdzięczny za to, że je dla ciebie rozpaliłam?

— No tak, ale nie mam się tu z kim bawić.

— Nikt chyba nie przychodził, kiedy mnie nie było?

— Tylko pani dziadek. Stanął w drzwiach i rozglądał się za panią. Powiedziałem mu, że pani poszła na wzgórze, żeby popatrzeć na inne ogniska.

— Dobry z ciebie chłopiec.

— Chyba znowu tu idzie.

W blasku ogniska ukazał się nadchodzący od strony domu stary człowiek. To on właśnie spotkał tego popołudnia na drodze sprzedawcę farby. Spojrzał

46

bacznie na stojącą na nasypie kobietę, a gdy otworzył usta, zabłysły w nich zęby białe jak porcelana.

— Kiedy przyjdiesz do domu, Eustachio? — zapytał. — Już pora na spoczynek.

Wróciłem przed dwiema godzinami i jestem zmęczony. To trochę dziecinnie z twojej strony, że tak długo zabawiasz się przy ognisku i marnujesz doskonały opał. Te korzenie drzewa cierniowego, opał najrzadziej spotykany, odłożyłem specjalnie na Boże Narodzenie, a ty spaliłaś je prawie wszystkie!

— Obiecałam chłopcu, że zrobię mu ognisko, i byłoby mu przykro, gdyby już teraz przestało się palić — odparła, a ton jej głosu świadczył, że ona jest tu monarchinią absolutną. — Idź spać, dziadku. Ja niedługo przyjdę. Johnny, cieszysz się z tego ogniska?

Chłopiec spojrział na nią niepewnie i szepnął:

— Teraz już nie.

Tymczasem dziadek się odwrócił i nie słyszał jego odpowiedzi. Gdy tylko się oddalił, młoda kobieta rzekła z wyrzutem do dziecka:

— Ty mały niewdzięczniku, jak możesz mi tak odpowiadać! Nigdy już więcej nie będziesz miał ogniska, jeżeli to zgaśnie. A teraz powiedz mi, że z przyjemnością spełniasz moje polecenia, nie wypieraj się tego!

— Tak, proszę pani — powiedział skarcony chłopiec. I znowu zaczął leniwie podsycać ogień.

— Jeżeli zostaniesz tu jeszcze chwilę, dam ci pogiętą sześciopensówkę * — odezwała się łagodniej Eustachia. — Podrzucaj co parę minut trochę drzewa, ale nie za dużo naraz. Ja pospaceruję jeszcze po nasypie, ale będę do ciebie zaglądać. Jeżeli usłyszysz, że żaba wskakuje do wody z pluskiem, tak jakby kto rzucał kamyk, przybiegnij do mnie i powiedz mi o tym, bo to zapowiada deszcz.

— Tak, Eustachio.

— Panno Vye, jeśli łaska.

— Panno Vy... achio.

— No dobrze. Podrzuć jakiś patyk.

Mały niewolnik zajął się znowu pilnowaniem ognia. Był jak automat wprawiany w ruch i pobudzany do mówienia wołą kapryśnej Eustachii. Mógłby być miedzianą statuetką, którą Albertus Magnus** podobno ożywił, tak że potrafiła mówić, poruszać się i mu służyć.

Nim młoda kobieta wyruszyła ponownie na przechadzkę, stała chwilę cicho, nasłuchując. Miejsce to było równie odludne jak Rainbarrow, chociaż leżało trochę niżej. Było bardziej osłonięte przed wiatrem i deszczem, gdyż od północy rosło kilka sosen. Wał, który opasywał gospodarstwo, strzegł je przed stanem dzikości panującym w okolicy. Uformowano go z brył ziemi, które wykopano z rowu i ułożono nieco pochyło, na kształt skarpy. Stanowiło to nie lada osłonę na tym ugorze, gdzie nie wyrósłby żaden żywopłot, gdzie hulały wiatry i brakło budulca.

Teren był otwarty, z widokiem na całą dolinę, aż do

— Pogięta sześciopensówka miała przynosić szczęście.

—* Albertus Magnus, czyli Albert Wielki (1193—1280), święty, niemiecki teolog i filozof, nauczyciel św. Tomasza z Akwinu, jeden z najbardziej wszechstronnych uczonych średniowiecza.

47

rzeki za domem Wildeve'a. Bardziej na prawo i znacznie bliżej niż oberża "Cicha Kobieta" czerniał na niebie wyniosły zarys Rainbarrow.

Dokonawszy uważnego przeglądu dzikich zboczy i głębokich parowów, Eustachia nie zdołała powstrzymać gestu zniecierpliwienia. Od czasu do czasu wymykały się z jej ust gniewne słowa, przeplatane westchnieniami lub nagłym nasłuchiowaniem. Zszedłszy z nasypu skierowała się wolnym krokiem w stronę Rainbarrow, ale tym razem zawróciła w połowie drogi.

Dwukrotnie, w odstępie kilku minut, stawała przy chłopcu i pytała:

— Nie słyszałeś żadnych plusków w sadzawce, Johnny?

— Nie, panno Eustachio — odpowiadał.

— Już wkrótce wrócę — oświadczyła wreszcie — a wtedy dam ci pogiętą sześciopensówkę i pójdziesz do domu.

— Dziękuję, panno Eustachio — powiedział zmęczony palacz i odetchnął swobodniej.

Młoda kobieta odeszła znowu, ale tym razem nie w stronę kopca. Okrążyła nasyp, doszła do furtki przed domem i stanęła bez ruchu, rozglądając się po okolicy. O pięćdziesiąt jardów od niej zbiegały się dwa ramiona nasypu i paliło się ognisko, przy którym stał, jak przedtem, mały chłopiec i rzucał w nie co chwila kawałek drewna. Obserwowała go od niechcienia, kiedy co jakiś czas wspinał się na nasyp i stawał koło palących się głowni. Wiatr unosił dym i włosy dziecka, i dół jego fartuszka, a gdy ucichał, włosy i fartuszek opadały, a dym wzbijał się w górę.

Kiedy przyglądała się temu z daleka, chłopiec nagle drgnął, ześliznął się z nasypu i pobiegł ku białej furtce.

— Co się stało? — zapytała.

— Żaba wskoczyła do sadzawki. Tak, tak, słyszałem!

— A więc zanosi się na deszcz i lepiej wracaj do domu. Chyba się nie boisz? — mówiła spieszenie, jak gdyby słowa dziecka przyprawiły ją o bicie serca.

— Nie, bo będę miał przy sobie pogiętą sześciopensówkę.

— Tak, weź ją. A teraz biegnij, jak możesz najszybciej... nie tędy, przez ogród.

Żaden chłopiec na wrzosowisku nie miał takiego jak ty ogniska.

Johnny, najwyraźniej znudzony zbyt długo trwającą przyjemnością, szybko zniknął w mroku. Wtedy Eustachia, pozostawiwszy lornetkę i klepsydrę przy furtce, szybko pobiegła pod nasyp.

Tutaj, poniżej ogniska, ukryta jak za wałem obronnym, czekała. Po chwili usłyszała pluśnięcie w sadzawce. Gdyby był tu Johnny, powiedziałby, że wskoczyła druga żaba, ale większość ludzi sądziłaby, że ktoś rzucił kamyczek do wody.

Eustachia weszła na nasyp.

— Kto tam? — zapytała wstrzymując oddech.

Za sadzawką, na tle nieba nisko wiszącego nad doliną, zarysowała się niewyraźna sylwetka mężczyzny. Okrążywszy sadzawkę wskoczył na nasyp i stanął obok Eustachii. Zaśmiała się cicho. Po raz trzeci w ciągu wieczora dała wyraz uczuciom. Kiedy stała na szczycie Rainbarrow, z ust jej wydarło się westchnienie świadczące o niepokoju, potem, na nasypie, pozwoliła sobie

48

na okrzyk zniecierpliwienia, ale teraz jej śmiech wyrażał radość i triumf. Bez słowa patrzyła radosnym wzrokiem na przybysza jak na cudowne zjawisko, wyczarowane przez siebie z chaosu.

— Jestem — odezwał się mężczyzna. Był to Wildeve. — Nie dawałaś mi spokoju. Dlaczego nie zostawisz mnie samemu sobie? Przez cały wieczór widziałem twoje ognisko.

Słowa te wypowiedział zrównoważonym tonem, choć kryło się za nimi wzruszenie, oscylujące między krańcowymi uczuciami.

Dziewczyna, spotkawszy się niespodziewanie z tak chłodnym zachowaniem ukochanego, sama również okazała rezerwę.

— Oczywiście, że musiałeś widzieć moje ognisko — odpowiedziała powoli, z narzuconym sobie spokojem. — Dlaczego nie miałabym palić ogniska Piątego Listopada, jak inni mieszkańcy wrzosowiska?

— Wiedziałem, że rozpałałaś je dla mnie.

— Skąd ta pewność? Nie zamieniłam z tobą ani słowa od tej pory, gdy... gdy ją wybrałaś, a mnie porzuciłaś zupełnie, jak gdybym nigdy nie była twoja, i to nieodwołalnie, całym sercem i duszą!

— Eustachio! Czyż mogłem nie pamiętać, że zeszłej jesieni w tym samym dniu i w tym samym miejscu rozpałałaś takie samo ognisko, dając mi znak, żebym przyszedł się z tobą zobaczyć? Po co dziś miałoby palić się ognisko koło domu kapitana Vye, jeśli nie w tym samym celu?

— Tak, tak, przyznaję — zawołała zdławionym głosem, z jakąś uśpioną namiętnością, tak charakterystyczną dla jej zachowania i tonu mowy. — Nie mów dłużej do mnie w ten sposób, Damonie, bo zmusisz mnie do powiedzenia tego, czego nie chciałabym ci wyjawić. Wyrzekłam się ciebie i postanowiłam już więcej o tobie nie myśleć, ale potem usłyszałam tę nowinę i rozpałam ognisko, bo sądziłam, że pozostałeś mi wierny.

— A co takiego usłyszałaś?

— Że jej nie poślubiłeś! — szepnęła z triumfem. — Sądziłam, że nie mogłeś tego zrobić, bo mnie kochasz najbardziej. Damonie, okrutnie postąpiłeś odchodząc, a ja powiedziałam, że nigdy ci tego nie przebaczę. Nawet i teraz nie potrafię ci zupełnie wybaczyć... Kobieta mająca choć trochę poczucia własnej godności nie byłaby w stanie zupełnie zapomnieć.

— Gdybym wiedział, że przywołujesz mnie tylko po to, żeby mi robić wymówki, nie przyszedłbym tu wcale.

— Ależ nie, przebaczam ci, bo jej nie poślubiłeś i wracasz do mnie.

— Kto ci powiedział, że jej nie poślubiłem?

— Mój dziadek. Chodził dziś na daleki spacer i w drodze powrotnej spotkał kogoś, kto mu powiedział, że czyjś ślub się nie odbył. Pomyślał, że to pewnie twój, a ja od razu wiedziałam, że to twój.

— Czy ktoś jeszcze o tym wie?

— Chyba nikt. Rozumiesz teraz, Damonie, dlaczego rozpałam ognisko. Nie myślisz przecież, że zrobiłabym to, gdybym sądziła, że zostałeś mężem tej kobiety. Takie przypuszczenie obrażałoby moją dumę.

Wildeva milczał. Widać było, że tak właśnie przypuszczał.

— A więc naprawdę sądziłeś, iż myślałam, że wzięliście ślub? — dopyty-

4 - Powrót...

49

wała z przejęciem. — Wyrządziłeś mi krzywdę! Na Boga, to nie do zniesienia, że tak źle o mnie myślisz! Damonie, nie jesteś mnie wart. Wiem o tym, a jednak cię kocham. Trudno, muszę się jakoś z tym pogodzić, że masz o mnie tak złą opinię. Ale to przecież prawda — dodała ze źle ukrywanym niepokojem, kiedy on się nie odzywał — że nie mogłeś mnie porzucić i będziesz mnie kochał bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę?

— Tak. Czyżbym tu przyszedł, gdyby było inaczej? — powiedział rozdrażniony. — Co prawda, moja wierność nie może być uważana za zasługę, skoro raczyłaś stwierdzić, żeś mnie niewart. Tylko ja sam mógłbym takie słowa powiedzieć, tobie nie przynoszą one zaszczytu. Ale niestety, to moje nieszczęście, że zbyt łatwo się zapalam. Muszę ponosić konsekwencje, muszę znieść każdą wymówkę kobiety. Dlatego właśnie, choć byłem inżynierem, jestem oberżystą. Nie wiem, jakie jeszcze klęski to na mnie sprowadzi. — Spoglądał na nią w przygnębieniu. Wykorzystała ten moment i odrzuciwszy szal, by blask ogniska oświecał jej twarz i szyję, zwróciła się ku niemu z uśmiechem.

— Czy w twoich podróżach zdarzyło ci się widzieć coś ładniejszego? Eustachia nie była kobietą zdolną zadać takie pytanie bez podstaw.

— Nie — odparł spokojnie.

— Nawet u Tomasiny?

— Tomasina to miła i niewinna dziewczyna.

— To nie ma nic do rzeczy! — krzyknęła w uniesieniu. — Zostawmy ją w spokoju.

Myślmy teraz tylko o tobie i o mnie. — Rzuciła na niego przeciągłe spojrzenie i mówiła dalej, spokojnie i gorąco jak dawniej: — Czy muszę nadal wyznawać ci w swej słabości rzeczy, które kobieta powinna taić? Czy muszę mówić, że żadne słowa nie są zdolne wyrazić mego smutku płynącego z okropnego przeświadczenia,

które dręczyło mnie aż do dzisiejszego wieczoru, że porzuciłeś mnie na zawsze?

— Przykro mi, że byłem przyczyną tego bólu.

— Może jednak nie tylko przez ciebie czułam się taka przygnębiona — dodała wyniośle. — To płynie z mojej natury. Chyba mam to we krwi.

— Hipochondria.

— A może to dlatego, że znalazłam się na tym dzikim wrzosowisku. Byłam całkiem szczęśliwa w Budmouth. Och, te czasy, te dni w Budmouth... Ale teraz i w Egdonie będzie weselej.

— Mam nadzieję, że tak — potwierdził markotnie Wildeve. — Czy wiesz, jakie będą skutki tej rozmowy, moje ty kochanie? Będę przychodził spotykać się z tobą znowu, tak jak przedtem, na Rainbarrow.

— Oczywiście, będziesz przychodził.

— A jednak zapewniam cię, że zanim tu dziś przyszedłem, zamierzałem pożegnać się z tobą na zawsze i nigdy już więcej cię nie spotykać.

— Nie dziękuję ci za to — rzekła odwracając się od niego, a gorąca fala oburzenia oblała całą jej postać. — Możesz przychodzić znowu na Rainbarrow, ale mnie tam nie zobaczysz. Możesz mnie wołać, ale nie będę słuchać. Możesz mnie kusić, ale nie oddam ci się już nigdy więcej.

— Mówiłaś już to dawniej, miła, ale takich charakterów jak twój nie

50

powstrzymają łatwo przyrzeczenia. Co prawda, i takich jak mój, przyznaje.

— Tyle więc zyskałam za moją udrękę! — szepnęła z goryczą. — O, czemuż starałam się ciebie przywołać? Damonie, w mojej duszy toczy się czasem dziwna walka.

Kiedy już goją się rany, jakie mi zadajesz, przychodzi myśl: “Czy w gruncie rzeczy nie obejmuję po prostu obłoku mgły?” Jesteś kameleonem, a teraz przybrałeś najbrzydszą swą barwę. Wracaj do domu, bo cię znenawidzę!

Przez dłuższą chwilę spoglądał w zamyśleniu na Rainbarrow, a potem, jak gdyby nic sobie nie robił z tego, co powiedziała, rzekł:

— Tak, wróć do domu. Czy chcesz widywać się ze mną?

— Jeżeli przyznasz, że nie doszło do ślubu, bo mnie kochasz najbardziej na świecie.

— Nie najlepsza byłaby to polityka — odparł z uśmiechem Wildeve. — Zbyt dobrze poznałabyś swoją władzę.

— Ale powiedz mi!

— Sama wiesz.

— Gdzie ona jest teraz?

— Nie wiem. Wolałbym nie mówić o niej z tobą. Jeszcze nie wziąłem z nią ślubu.

Przyszedłem posłuszny twemu wezwaniu. To wystarczy.

— Rozpaliłam ognisko po prostu dlatego, że mi się znudziło i chciałam przeżyć chwilę emocji, gdy ciebie przywołam i będę triumfować nad tobą jak Wróżka z Endor*, gdy przywołała ducha Samuela. Postanowiłam, że przyjdiesz. I przyszedłeś! Pokazałam swoją władzę. Póltorej mili szedłeś tu i półtorej mili będziesz wracać... Trzy mile w ciemnościach dla mnie! Czy nie okazałam swej władzy?

Potrząsnął głową.

— Znam cię zbyt dobrze, moja Eustachio. Znam cię zbyt dobrze. Nie ma w tobie nuty, której bym nie znał. Twoja gorąca duszyczka nie pozwoliłaby ci działać na zimno nawet za cenę życia. O zmroku widziałem na szczycie Rainbarrow kobietę, która spoglądała w stronę mego domu. Zdaje się, że to ja przyciągnąłem ciebie, zanim ty przyciągnęłaś mnie.

Żar dawnej namiętności zapłonął w nim na nowo. Pochylił się ku niej, jak gdyby chciał zbliżyć twarz ku jej policzkom.

— O nie! — zaprotestowała, odskakując na drugą stronę dogasającego ogniska. — Co to miało znaczyć?

— A może pozwolisz mi ucałować swą rękę?

— Nie, nie pozwolę.

— W takim razie uściśnijmy sobie dłonie.

— Nie.

— A więc obejdę się bez tego. Do widzenia. Żegnaj.

Nie odpowiedziała. Złożywszy ukłon, którego nie powstydziliby się mistrz tańca, zniknął po drugiej stronie sadzawki, tak jak przyszedł.

Eustachia westchnęła. Nie było to ciche, panięskie westchnienie. Wstrząsnęło nią całą jak nagły dreszcz. Drżała tak, ilekroć błysk rozsądku, niczym

l

* Wróżka z Endor na żądanie króla Saula wywołała ducha Samuela (I Księga Samuela, 28.)

51

blask elektrycznego światła, padał na jej kochanka, ukazując jego niedoskonałość. Ale to trwało przelotną chwilę i kochała go znowu. Wiedziała, że on z nią igra, a jednak wciąż go kochała. Rozrzuciła nie dopalone główne, wróciła do domu i nie zapalając światła udała się do sypialni. W ciemności słychać było szelest opadających sukien i ciężkie westchnienia, a kiedy w dziesięć minut później Eustachia zasnęła, wstrząsał nią od czasu do czasu ten sam co poprzednio gwałtowny dreszcz.

VII KRÓLOWA NOCY

Eustachia Vye była tworzywem, z którego mogło powstać bóstwo. Po krótkim przygotowaniu prezentowałaby się dobrze na Olimpie. Dzięki posiadanym namiętnościom i instynktom byłaby idealną boginią, czyli inaczej mówiąc, nie mogła być idealną kobietą. Gdyby ziemia i ludzkość znalazły się na krótki czas w jej władzy, gdyby trzymała w ręku kądziel, wrzeciono i nożyce, mając je do swej wyłącznej dyspozycji, niewielu ludzi na świecie zauważyłoby zmianę rządów. Panowałyby ta sama nierówność losów, szczodre udzielanie łask jednemu, a wyrządzanie zniewag innemu, ta sama hojność nie licząca się ze sprawiedliwością, te same wieczne dylematy, zdradziecka zamiana karesów na ciosy — jakie musimy znosić teraz.

Była dobrze zbudowana, nieco przyciężka, ani rumiana, ani blada, a w dotknięciu miękka jak obłok. Widząc jej włosy można by pomyśleć, że mroków zimy nie starczy, by stworzyć taką czerni: zasnuwały jej czoło jak noc przesłaniająca zachodnie zorze.

Nerwy dziewczyny kryły się w tych puklach i można było zawsze ułagodzić jej gniew głaszcząc ją po włosach. Kiedy je szczotkowała, natychmiast zapadała w milczenie i zadumę i przypominała wyglądem Sfinksa. Czasami, gdy szła nasypem i mijała ogromny krzew *ulex europaeus**, zdarzało się, że jakieś pasmo jej włosów wplątywało się w jego kolce niby w szczotkę. Cofała się wtedy parę kroków, oswobadzała się z kolców i mijała krzew powtórnie.

Miała oczy pogańskie, tajemnicze jak noc, a ciężkie powieki i rzęsy częściowo skrywały migocące w nich błyski. Pozwalało jej to niepostrzeżenie tonąć w marzeniach. Zdawało się, że potrafiłaby zasnąć bez przemykania powiek. Założywszy, że dusza człowieka jest jakimś widzialnym elementem, można by wyobrazić sobie, że dusza Eustachii ma kolor płomienia. Mówiły o tym jej ciemne źrenice, sypiące iskrami z głębi duszy.

Usta jej zdawały się stworzone raczej nie po to, by mówić, tylko by drzeć, a przede wszystkim — by całować. Ktoś mógłby dodać, że w mniejszym stopniu do całowania, a w większym do ironicznego grymasu. Zamknięte, widziane z boku,

tworzyły prawie z geometryczną dokładnością zarys ostrego

* Kolcolist zachodni, ciernisty krzew rosnący dziko w zachodniej Europie i Alpach, służy jako pasza dla owiec.

52

łuku, tak dobrze znany w sztuce rysowniczej. Na ponurym Egdonie widok tak kapryśnego ich wygięcia był czymś wyjątkowym. Wiedziało się od razu, że takich ust nie przyniosła nam ze Szlezewiku banda saksońskich piratów, bo ich wargi przylegały do siebie jak dwie kromki chleba. Wyobraźnia kierowała się raczej na południe, gdzie przetrwały pod ziemią szczątki zapomnianych marmurowych rzeźb z takim zarysem ust. Wargi jej, choć pełne, miały czysty wykrój, a kąciki ust odcinały się wyraźnie, niczym ostrze dzidy. Traciły swą ostrość tylko wtedy, kiedy dziewczynę ogarniało nagłe przygnębienie — jedna z faz mrocznych nastrojów, które znała zbyt dobrze jak na swoje lata.

Jej obecność przywodziła na myśl burbońskie róże, rubiny i tropikalne noce; jej nastroje kazały myśleć o Lotofagach i marszu z Athalie; jej ruchy — o falowaniu morza; głos przypominał tony skrzypiec. W półmroku, ułożywszy nieco inaczej włosy, wydać by się mogła którąś z bogiń wyższego rzędu. Nów nad głową, stary hełm, diadem z kropli rosy — te dodatki przemieniłyby ją w Artemidę, Atenę lub Herę, a podobieństwo nie byłoby mniejsze niż na wielu wysoko cenionych obrazach. Okazało się jednak, że zapadły Egdon to nie miejsce na niebiańską wzniosłość, miłość, gniew czy zapał. Jej kobieca moc nie miała tu pola do działania, a świadomość ograniczeń nie pozostawała bez wpływu na rozwój Eustachii. Egdon był jej Hadesem i od chwili przybycia wchłonęła w siebie wiele z jego mroków, choć nie przystosowała się do niego ani wewnątrz, ani zewnątrz. Jej wygląd licował z tłącym się w niej buntem, a przepych mrocznej urody odzwierciedlał melancholijny, przygasający żar jej ducha. Na czole Eustachii osiadł iście hadesowy majestat, nie wymuszony, ale narosły przez lata.

Wąska przepaska z czarnego aksamitu przytrzymywała jej bujne ciemne włosy, które kładąc się nieregularną chmurą na czoło potęgowały jeszcze ów pełen majestatu urok twarzy. Richter* powiedział: „Nic bardziej nie zdobi pięknej twarzy niż wąska przepaska na czole.” Niektóre z jej młodych sąsiadek nosiły w tym celu kolorowe wstążki i rozmaite metalowe drobiazgi, ale gdyby ktoś zaproponował Eustachii Vye wstążki i ozdoby z metalu, zaśmiałyby się tylko w głos.

Dlaczego ta kobieta mieszkała na wrzosowisku Egdon? Wychowała się w Budmouth, modnym w owym czasie uzdrowisku nadmorskim. Była córką kapelmistrza stacjonującego tam regimentu — dobrego muzyka, urodzonego na Korfu — który poznał swą przyszłą żonę, kiedy przyjechała tam z ojcem, kapitanem, pochodzącym z zacnego rodu. Małżeństwo to nie odpowiadało rodzicowi, bo dochody kapelmistrza były skromne — tak jak i jego zawód. Ale muzyk starał się, jak mógł: przyjął nazwisko żony, zamieszkał na stałe w Anglii, dbał o edukację dziecka — na cołożył dziadek — i zajmował pozycję pierwszego muzyka w okolicy aż do śmierci żony, kiedy to przestał grać, rozpił się i umarł. Dziewczynka pozostała na opiece dziadka, który złamawszy trzy żebra w czasie katastrofy okrętu, zamieszkał na Egdonie, tam bowiem mógł nabyć niemal za darmo niewielki kawałek ziemi, który mu się spodobał, bo widoczny z progu stojącego tam domu skrawek błękitu na hory-

* Jean Paul Friedrich Richter (1763—1825), niemiecki powieściopisarz i humorysta.

53

zoncie uważano w okolicy za Kanał Angielski. Dla Eustachii wstrętną była ta odmiana. Czuli się jak na wygnaniu, ale musiała tu pozostać.

Tak więc w jej umyśle przeszłość i terażniejszość nagromadziły najróżniejsze

idee. W historii jej życia brakło ogniw pośrednich: romantyczne wspomnienia słonecznych popołudni na esplanadzie, spędzanych w gronie oficerów i galantów, przy dźwiękach orkiestr wojskowych, były jak złote litery na ciemnej tablicy otaczającej ją terazniejszości — Egdonu. To przypadkowe nakładanie się na siebie blasków nadmorskiej miejscowości uzdrowskiej i dostojnej powagi wrzosowiska stwarzało przedziwne efekty. Odcięta od życia, tym intensywniej odtwarzała w wyobraźni to, co kiedyś widziała.

Skąd pochodziła wyniosłość dziewczyny? Może spokrewniona była z Al-kinoosem, skoro jej ojciec wywodził swój ród z wyspy Feaków? Może obdarzyli ją tą dumą Fitzalan i De Vere, bo jej dziadek po kądzieli miał kuzyna wśród parów? Albo to był dar niebios — pomyślna zbieżność praw natury. Okoliczności pozwoliły jej zachować godność osobistą, ponieważ w ostatnich latach prowadziła samotne życie. Odosobnienie na wrzosowisku prawie wykluczało spospolicenie. Kucykom z wrzosowiska, nietoperzom i węzom równie trudno było spospoliciec jak tej dziewczynie. Płytkie życie w Budmouth mogłoby ją zepchnąć w dół.

Jedynym sposobem, aby mieć wygląd królowej, gdy nie ma się królestwa ani oddanych serc, jest udawanie, że się je straciło. A w tym Eustachia osiągnęła perfekcję. W domku kapitana zachowywała się jak w pałacach, których nigdy nie widziała. Może działało się tak dlatego, że przechadzała się po pałacu obszerniejszym niż jakikolwiek inny — po otwartych pagórkowatych przestrzeniach. I podobnie jak otaczająca ją w porze lata natura, Eustachia mogła stanowić ilustrację określenia: “zaludnione pustkowia” — na pozór tak bierna, cicha i spokojna, a w istocie pełna życia.

Być kochaną do szaleństwa — stanowiło jej największe pragnienie. Miłość wydawała się jedynym kordialem zdolnym ukoić ból samotności. I chyba bardziej tęskniła za abstrakcją zwaną namiętą miłością niż za konkretnym wielbicielem.

Na twarzy jej malował się niekiedy gorzki wyrzut, skierowany jednak nie tyle do jakiegokolwiek ludzkiej istoty, co do pewnych twórców własnego umysłu, a przede wszystkim do najważniejszego z nich — Przeznaczenia, bo wyobrażała sobie, że za jego sprawą miłość opromienia tylko przemijającą młodość, a uczucie, które ona sama kiedykolwiek wzbudzi, uleci tak szybko jak piasek w jej klepsydrze. Myślała o tym z narastającą wciąż świadomością okrucieństwa losu, co powodowało, że działała nierozważnie, niezgodnie z konwenansami, mając na celu wzbudzenie namiętności, póki to możliwe, choćby na rok, tydzień czy godzinę. Z jej braku w śpiewie Eustachii nie rozbrzmiewała radość, nie cieszyło jej nic, co posiadała, własna uroda nie dawała poczucia triumfu. Samotność potęgowała pragnienie. Na Egdonie najzimniejszy nawet pocałunek był rzadkością. A gdzież znaleźć tu mogła usta godne jej własnych?

Wierność w miłości dla samej tylko wierności mniej miała dla niej powabu niż dla innych kobiet, wierność z powodu siły uczucia — znaczyła wiele. Spalić się w pożarze uczuć to coś lepszego, mniemała, niż tlić się równym płomieniem

54
miłości przez drugie lata. W tej dziedzinie wiedziała dzięki swej intuicji to, do czego większość kobiet dochodzi przez doświadczenie. W myślach wędrowała po krainie miłości, oglądała jej wieże, poznawała pałace i osądziła, że miłość to bolesna radość. A jednak jej pragnęła, podobnie jak wędrowiec na pustyni wdzięczny byłby nawet za słoną wodę.

Często się modliła — nie o określonych porach, ale jak ludzie szczerze pobożni, wtedy gdy tego pragnęła. Jej modlitwa, zawsze spontaniczna, nieraz brzmiała tak: “O, wyrwij moje serce z tego straszego mroku i samotności, ześlij mi wielką miłość, bo inaczej zginę.”

Darzyła najwyższym podziwem Wilhelma Zdobywcę, lorda Strafforda i Napoleona

Bonapartego, widząc ich takimi, jakimi ukazywała ich Historia dla pań, z której się uczyła na pensji. Gdyby była matką, nadałaby synom takie imiona, jak Saul lub Sisera, nigdy zaś Jakub lub Dawid, bo tych nie lubiła. W szkole trzymała zazwyczaj stronę Filistynów. Zastanawiała się też czasem, czy Poncjusz Piłat był równie przystojny jak szczery i uczciwy.

Była więc dziewczyną o pewnej śmiałości myśli, a zważywszy jej sytuację, obracanie się wśród osób bardzo zacofanych — nawet wielce oryginalną. Źródłem tego był instynkt przeciwstawiania się wszystkiemu, co jest powszechnie uznane. Jeśli idzie o święta, to swym stosunkiem do nich przypominała konie pasące się na pastwisku, które cieszy widok innych koni, pracujących na gościńcu. Ceniła swój odpoczynek tylko wtedy, gdy przypadał pośród trudu innych. Dlatego też nienawidziła niedzieli, kiedy wszyscy odpoczywali, i mawiała, że nie zniesie już tego dłużej. Nad wyraz przykry był dla niej widok mieszkańców wrzosowiska w czasie świątecznego wypoczynku, kiedy to, włożywszy ręce do kieszeni, w butach świeżo wysmarowanych tłuszczem, ale nie zasznurowanych (był to specyficzny niedzielny obyczaj) przechadzali się z wolna pośród przyzmy torfu i wiązek janowca — plonu swej tygodniowej pracy — i jakby zapomniawszy o ich przeznaczeniu, kopali je z pogardą.

Aby przerwać monotonię tego niepożądanego dnia, plądrowała w szafach kryjących stare mapy okrętowe dziadka i jakieś rupiecie i nuciła stare ballady ludowe, śpiewane ongiś w sobotnie wieczory. Za to w sobotnie wieczory nieraz śpiewała psalmy, Biblię zaś czytywała tylko w dniu powszednim, by nie ciążyło nad nią poczucie, że robi to, co jest jej obowiązkiem.

Takie poglądy na życie były w pewnym stopniu naturalnym wpływem sytuacji, w jakiej się znalazła. Mieszkać na wrzosowisku i nie starać się go poznać — to jak poślubić cudzoziemca i nie starać się nauczyć jego języka. Subtelne piękno wrzosowiska nie odsłoniło przed nią swych tajemnic, docierały do niej tylko powierzchowne wrażenia. Otoczenie, które z zadowolonej z siebie kobiety uczyniłoby poetkę, z cierpiącej — pobożną, z religijnej — psalmistkę, które nawet lekkomyślną natchnęłoby powagą, w rebeliantce pogłębiło ponure nastroje. Eustachia przestała już marzyć o wspańiałym małżeństwie, ale obdarzona żywymi uczuciami, nie pragnęła bardziej pospolitego związku. Dlatego właśnie widzimy ją w tak dziwnym osamotnieniu. Jeżeli ktoś utracił boskie przekonanie, że może robić, co chce, nie przejawia pokornego zapału do czynienia tego, co potrafi, okazuje wielkość ducha i w teorii nic mu nie można

55

zarzucić, gdyż taka postawa charakteryzuje umysł, który doznawszy zawodu nie godzi się na kompromis. Wprawdzie jest to racja filozoficznie słuszna, ale może stać się niebezpieczna dla społeczeństwa. W świecie, gdzie czynić — oznacza łączyć się w pary, gdzie społeczeństwo jest wspólnotą rąk i serc, taka postawa stanowi zagrożenie dla tej wspólnoty.

A więc widzimy naszą Eustachię — chwilami nie była ona zupełnie niegodna miłości — w momencie, gdy osiągnęła ten stopień wewnętrznego oświecenia, kiedy to wydaje się, że nic nie jest warte zachodu. Zapęlała wolne godziny idealizowaniem Wildeve'a — z braku lepszego obiektu. To była jedyna przyczyna jego wyniesienia, z czego zdawała sobie sprawę. Chwilami duma protestowała przeciw tej namiętności i dziewczyna marzyła, aby się od niej uwolnić. Tylko jedna okoliczność mogłaby go zdetronizować: nadejście kogoś lepszego.

W dodatku dokuczało jej nieraz przygnębienie i aby odzyskać lepszy nastrój, chodziła na spacer, zabierając ze sobą lornetkę dziadka i klepsydrę babki — tę ostatnią dlatego, że szczególną przyjemność sprawiało jej patrzeć na ten materialny dowód upływu czasu.

Rzadko coś projektowała, ale jeżeli to robiła, w jej planach widać było raczej rozumną strategię generała niż sztuczki kobiece. Jeżeli nie miała ochoty wyznać czegoś otwarcie, potrafiła wypowiadać się w sposób tajemniczy, jak wyrocznia delficka. W niebie przypadłoby jej zapewne miejsce między takimi kobietami, jak Heloiza i Kleopatra.

VIII

CI, KTÓRYCH ZNAJDUJE SIĘ TAM, GDZIE PODOBNO NIE MA NIKOGO

Z chwilą gdy nasz smutny chłopczyk odsunął się od ognia, zacisnął mocno monetę w dłoni, jakby dla dodania sobie odwagi, i zaczął biec. Dziecku wracającemu samotnie do domu przez tę część wrzosowiska nie groziło niebezpieczeństwo.

Odległość nie wynosiła więcej jak trzy ósme mili. Chata jego ojca i druga, stojąca o parę jardów dalej, tworzyły część maleńkiej osady Mistover Knap.

Trzecim i ostatnim w osadzie był dom kapitana Vye'a i Eustachii, znajdujący się od innych w pewnym oddaleniu. Był to najbardziej samotny z samotnych domków na tych rzadko zasiedlonych wzgórzach.

Chłopczyk biegł aż do utraty tchu. Potem, odzyskawszy odwagę, kroczył wolno naprzód, śpiewając głosem starego człowieka piosenkę o żeglarzu, pięknej dziewczynie i ukrytym złocie. W połowie piosenki się zatrzymał: z jaskini pod wznoszącym się przed nim wzgórzem wypływało światło, obłok kurzu i dochodziły odgłosy jak gdyby mlaskania.

Tylko niezwykle widoki i dźwięki przerażały chłopca. Odgłosy wrzosowiska nie budziły w nim lęku, ponieważ je znał. Krzaki głogu, wyrastające na jego ścieżce co pewien czas, były bardziej nieprzyjemne, gdyż szumiały ponuro i przybierały w ciemnościach upiorne kształty skaczących szaleńców czy roz-

56

walonych na ziemi olbrzymów, bądź też potwornych kalek. Tego wieczoru widać było dużo światła, ale innych. Roztropność bardziej niż lęk kazała chłopcu nie przechodzić koło tego światła, ale zawrócić i poprosić pannę Eustachię Vye, aby poleciła służącemu odprowadzić go do domu.

Kiedy z powrotem znalazł się na szczycie wzniesienia, zobaczył, że na nasypie wciąż płonie ogień, jednak mniejszy niż przedtem. Ujrzał przy nim, zamiast samotnej postaci Eustachii, dwie osoby: drugą był mężczyzna. Chłopiec pełził pod nasypem, chcąc się naocznie przekonać, czy w tej sytuacji rozsądnie będzie zaprzętać tak wspaniałą istotę, jak panna Eustachia, własnymi błahymi sprawami. Przez kilka minut przysłuchiwał się z ukrycia temu, co mówiono, a potem zmieszany i zaniepokojony odwrócił się i zaczął się wycofywać równie cicho, jak przybył. Jasne było, że zważywszy wszystko, nie uznał za stosowne przerwać jej rozmowy z Wildeve'em, w obawie, że okazałaby mu swe niezadowolenie.

Tak więc biedny chłopiec znalazł się między Scyllą a Charybdą. Kiedy już rozmawiający nie mogli go dostrzec, zatrzymał się i podjął decyzję, że stawi czoło temu, co się dzieje w jaskini, jako mniejszemu złu. Z ciężkim westchnieniem zsunął się ze zbocza i szedł naprzód tą samą co poprzednio ścieżką.

Światło znikło, kurz się rozproszył — chłopiec miał nadzieję, że już na zawsze. Szedł rażno przed siebie, nie widząc nic niepokojącego, ale gdy znalazł się o kilka jardów od jaskini, postyszał przed sobą jakieś szmery, więc się zatrzymał. Stał tylko przez chwilę, ponieważ się okazało, że to jakieś zwierzęta skubią trawę.

— Kucyki tutaj — powiedział głośno. — Nie widziałem nigdy, żeby schodziły tak nisko.

Dwa konie pały się tuż przy ścieżce, ale tym się nie przejmował, gdyż od najmłodszych lat zwykł się bawić w sąsiedztwie koni. Podszedłszy bliżej

spozrzegł ku swemu zdziwieniu, że oba są spętane, żeby nie mogły uciec. A więc je oswojono. Widział teraz wnętrze jaskini. Miała wejście na równym poziomie z ziemią i biegła w głąb wzgórza. W najdalszym kącie majaczyły prostokątne zarysy wozu, stojącego tyłem ku patrzącemu. Światło palące się wewnątrz rzucało ruchomy cień na pionową ścianę żwiru, ku której skierowany był dyszel.

Chłopczyk pomyślał, że to wóz cygański, ale ci wędrowcy nie budzili w nim zbyt wielkiego lęku, raczej podniecenie. Tylko cienkie gliniane ściany domu pozwalały jego rodzinie żyć inaczej niż Cyganie. W stosownej odległości okrążył ową jaskinię, wspinał się na zbocze i zbliżył ku krawędzi, aby spojrzeć w otwarte drzwi wozu i zbadać, czy cień przesuwają się po ścianie.

Przeraziło go to, co tam zobaczył. Przy piecyku ustawionym w wozie siedziała jakaś postać czerwona od stóp do głów — człowiek, który był przyjacielem Tomasiny. Cerował pończochę, czerwoną jak on sam.

W dodatku, zajęty cerowaniem, palił fajkę, której cybuch i lulka były również czerwone.

W tym momencie jeden z koni pasących się w ciemnościach zaczął potrząsać kłosem, próbując się odeń uwolnić. Posłyszawszy stukot sprzedawcy czerwonej farby odłożył pończochę, zapalił wiszącą obok latarnię i wyszedł

57

z wozu. Ustawiając świece, podniósł latarnię do twarzy, jej blask zalśnił w białkach jego oczu i śnieżnobiałych zębach, co przez kontrast z czerwienią całego ciała nadało mu w oczach dziecka przerażający wygląd. Chłopczyk utracił cały spokój ducha, gdyż odgadł, czyja to jaskinia. Wiadomo było, że na Egdonie pojawiają się czasami obrzydliwsze istoty niż Cyganie, a do nich zaliczano sprzedawców czerwonej farby.

— Szkoda, że to nie Cyganie! — westchnął malec.

Mężczyzna wracał właśnie od koni. Lękając się ujawnienia swej obecności chłopczyk sam się do tego przyczynił, poruszywszy się niespokojnie. Nad wejściem do jaskini, zakrywając jej krawędź, zwisała warstwa torfu porośnięta wrzosem.

Chłopczyk znalazł się na tym niepewnym gruncie, wrzos się osunął i malec runął ze skarpy szarego piasku wprost pod nogi mężczyzny.

Czerwony człowiek otworzył latarnię i skierował jej światło na leżącego chłopca.

— Ktoś ty? — zapytał.

— Johnny Nunsuch, proszę pana.

— A co tu robisz?

— Nie wiem.

— Chyba mi się przypatrywałeś, prawda?

— Tak, proszę pana.

— A dlaczego to robiłeś?

— Bo wracałem do domu z ogniska od panny Vye.

— Nic cię nie boli?

— Nie.

— Ależ tak, ręka ci krwawi. Chodź pod budę, to cię opatrzę.

— Proszę, niech mi pan pozwoli poszukać mojej sześciopensówki.

— Skąd ją masz?

— Panna Vye dała mi za to, że dorzuciłem gałęzi na ognisko.

Monetę odnaleziono i mężczyzna skierował się ku wozowi, a chłopiec szedł za nim, nie śmiać wprost oddychać.

Mężczyzna wyjął jakąś szmatkę z torby na przybory do szycia, oderwał z niej wąski pasek, zabarwiony na czerwono jak wszystko inne, i zabrał się do opatrywania rany.

— Tak mi ciemno przed oczami... czy mogę usiąść, proszę pana? — zapytał malec.

— Naturalnie, mój biedaku. Może ci być słabo. Siądź na tym tobołku. Kiedy mężczyzna skończył opatrywanie rany, chłopczyk powiedział:

— Teraz już chyba pójdę do domu, proszę pana.

— Widzę, że się mnie boisz. Czy wiesz, kim jestem? Malec z pewną obawą przyglądał się tej czerwonej postaci, a w końcu rzekł:

— Tak.

— A więc kim?

— Farbiarzem — wyjąkał.

— Masz rację. Ale jest więcej takich jak ja. Wy, małe dzieci, myślicie, że jest tylko jedna kukułka, jeden lis, jeden olbrzym, jeden diabeł i jeden sprzedawca-
58

L

wca czerwonej farby, a jest przecież wiele kukułek, lisów, olbrzymów, diabłów, no i sprzedawców czerwonej farby.

— Tak? Ale pan nie wsadzi mnie do swojego worka, prawda? Słyszałem, że farbiarz porywa czasem dzieci do worka.

— Bzdury. My tylko sprzedajemy czerwoną farbę. Czy widzisz te worki z tyłu wozu? Są pełne, ale nie chłopców, tylko farby.

— Czy pan się urodził jako farbiarz?

— Nie, później się tym zająłem. Byłbym tak biały jak ty, gdybym rzucił mój zawód... to znaczy, stałbym się biały po pewnym czasie, pewno po pół roku. Nie od razu, bo farba wżarła mi się w skórę i nie da się zmyć. No, już chyba nigdy nie będziesz się bał sprzedawcy farby?

— Nie, już nigdy. Willy Orchard powiedział, że widział wczoraj czerwonego upiora... A może on widział pana?

— Byłem tu wczoraj.

— Czy to pan robił taki kurz?

— Tak, trzepałem worki. Ładne mieliście ognisko? Widziałem płomień. Ale dlaczego panna Vye tak pragnęła je mieć, że aż dała ci sześciopensówkę za dorzucanie drewek?

— Nie wiem. Byłem już zmęczony, ale ona mi kazała podrzucić do ognia, a sama wciąż chodziła na drogę do Rainbarrow.

— Jak długo to trwało?

— Dopóki żaba nie wskoczyła do sadzawki. Nagle sprzedawca farby zainteresował się rozmową.

— Żaby nie skaczą do sadzawek o tej porze roku.

— Ależ tak, sam słyszałem, jak skoczyła.

— Na pewno?

— Tak. Ona mi mówiła, że usłyszę, i usłyszałem. Podobno jest mądra i chytra, więc może zaczarowała żabę i kazała jej skoczyć.

— A co potem?

— Potem tu szedłem i się przestraszyłem, i uciekłem z powrotem, ale z nią nie rozmawiałem, bo był tam jeden pan, więc znów tu wróciłem.

— Był tam pan! O czym z nim rozmawiała, mój chłopcze?

— Powiedziała, że on pewno dlatego nie wziął ślubu z tamtą drugą kobietą, bo bardziej kocha swoją dawną narzeczoną, i takie tam rzeczy.

— A co ten pan jej powiedział, synku?

— On tylko powiedział, że ją kocha najbardziej i że się z nią spotka pod Rainbarrow nazajutrz wieczorem.

— Ha! — zawołał sprzedawca farby, uderzając dłonią o budę wozu tak mocno, że aż się zatrzęsała. — O to mu chodziło! Chłopczyk poderwał się ze stołka.

— Dziecko, nie bój się niczego — powiedział mężczyzna uspokajając się nagle. —

Zupełnie zapomniałem, że tu jesteś. Tak to dziwnie zachowują się sprzedawcy czerwonej farby, kiedy wpadną w złość. A co pani mu odpowiedziała?

— Nie mogę sobie przypomnieć. Proszę pana, czy mogę już iść do domu?

— Tak, naturalnie. Pójdę z tobą kawałek.

59

Wyprowadził chłopczyka z jaskini i doszedł z nim do ścieżki, prowadzącej do jego chatki. Kiedy postać malca zniknęła w mroku, zawrócił, znów siadł przy ogniu i zabrał się do cerowania.

IX

MIŁOŚĆ NAKAZUJE PRZENIKLIWEMU CZŁOWIEKOWI UCIEC SIĘ DO STRATEGII

Rzadko się dziś spotyka typowych dla tego minionego okresu sprzedawców czerwonej farby należących do starej szkoły. Odkąd wprowadzono koleje, farmerzy w Wesseksie radzą sobie bez tych mefistofelesowskich postaci, a jaskrawy pigment, tak często używany przez pasterzy wysyłających owce na jarmark, otrzymują w inny sposób. Życie tych farbiarzy, którzy jeszcze przetrwali, zatraciło wiele z poetyckiej aury, jaka je otaczała, kiedy uprawianie tego zawodu pociągało za sobą podróże do miejscowości, gdzie wykopywano surowiec, zmuszało do stałego przebywania poza domem, z wyjątkiem mroźnych dni zimy, do wędrowania przez setki wiosek, a przynosiło — mimo tej koczowniczej egzystencji — trwałe szacunek, jaki zapewnia pełna kiesa.

Czerwona ochra znaczy swą żywą barwą wszystko, na czym spocznie, nadając specyficzne piętno — jak znamię Kaina — każdemu, kto miał ją w ręku choć przez pół godziny.

Dla małego dziecka pierwsze spotkanie z farbiarzem zaczynało nowy okres życia. Owa krwawa postać uosabiała przerażające sny, jakie dręczyły dziecięcą duszę, od kiedy zbudziła się wyobraźnia. “Farbiarz cię zabierze!” — tak od pokoleń matki straszyły w Wesseksie dzieci. Na początku tego stulecia z powodzeniem zastąpiono go na jakiś czas Napoleonem, ale gdy w miarę upływu czasu błądła postać nieprzyjacielskiego wodza, wrócono znów do dawnej pogróżki. A teraz z kolei farbiarz odszedł wraz z Napoleonem do krainy zużytych straszaków, a ich miejsce zajęły nowoczesne wynalazki.

Farbiarz żył po cygańsku, ale Cyganami pogardzał. Powodziło mu się równie dobrze jak wędrownym koszykarzom i innym rzemieślnikom, ale nie zadawał się z nimi. Górował urodzeniem i wychowaniem nad pasterzami bydła, którzy mijali go w drodze — oni jednak ledwo witali go skinieniem głowy. Posiadał towar cenniejszy od sprzedawanego przez domokrażców, ale ci byli innego zdania i przechodzili obok jego wozu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Cera jego miała tak nienaturalny kolor, że właściciele karuzeli i figur woskowych wydawali się przy nim dżentelmenami. On jednak uważał ich za niegodne siebie towarzystwo i patrzył na nich z góry. Wciąż przebywał wśród tych koczowników i ludzi z gościńca, ale nie był jednym z nich. Jego zajęcie stwarzało między nimi przedział — i na ogół bywał samotny.

Mówiono czasem, że sprzedawcy czerwonej farby to przestępcy, za których złe postęпки inni ludzie niesłusznie cierpią, i choć uciekli przed prawem, nie mogą uciec przed własnym sumieniem, więc ten zawód wybrali jako dożywotnią pokutę. Bo jakąż inną mogli mieć po temu przyczynę? W interesują-

60

cym nas przypadku takie pytanie wydaje się bardzo stosowne. Farbiarz, który tego popołudnia zawitał na Egdon, był przykładem, jak można zniszczyć przyjemną powierzchowność człowieka dając mu pracę, którą z równym powodzeniem mógłby wykonywać ktoś pozbawiony urody. Jediną rzeczą, która odstraszała od niego, był kolor skóry. Bez tej czerwieni wyglądałby jak uosobienie wieśniaczej urody.

Baczny obserwator skłonny byłby przypuścić — co rzeczywiście częściowo odpowiadało prawdzie — że człowiek ten porzucił przynależne mu w życiu stanowisko, ponieważ się nim nie interesował. Co więcej, przypatrzwszy się farbiarzowi baczniej, zaryzykowałby przypuszczenie, że zasadniczym rysem jego charakteru jest dobroć, połączona z wielką bystrością umysłu, graniczącą niemal z przebiegłością.

Kiedy tak siedział cerując pończochę, twarz jego stężała pod wpływem nachodzących go myśli, potem złagodniała, a po chwili pojawił się ten sam czuły smutek, który się na niej malował, gdy farbiarz jechał gościńcem owego popołudnia. Niebawem skończył pracę. Odłożył pończochę, wstał i zdjął z haka wbitego w kącie wozu skórzany woreczek. Zawierał on, między innymi, owinięty w papier pakiecik, wymięty i pozaginany, noszący ślady wielokrotnego ostrożnego otwierania i składania. Mężczyzna usiadł na trójnogim stołku do dojenia krów — w wozie nie było innego stołka ani krzesła — i obejrzawszy pakiecik w blasku świecy, wyciągnął z niego jakiś stary list i rozpostarł przed sobą. Papier, na którym stawiano te litery, musiał być wówczas biały, ale teraz przejął barwę swego otoczenia i stał się bladoczerwony. Na jego tle czarne kreski pisma wyglądały jak gałązki zimowego żywopłotu na zacierwienionym o zachodzie niebie. List, podpisany “Tomasina Yeobright”, nosił datę sprzed dwu lat i brzmiał, jak następuje:

Drogi Diggory Venn,

Kiedy mnie dogoniłeś w drodze powrotnej z Pond, zadałeś pytanie, które tak mnie zaskoczyło, że chyba nie odpowiedziałam Ci zupełnie jasno. Gdyby Ciotka nie spotkała mnie wtedy, oczywiście wszystko bym Ci od razu wytłumaczyła, ale skoro stało się inaczej, nie miałam sposobności tego naprawić. Od tej pory martwię się bardzo, bo jak sam wiesz, nie chcę zadać ci bólu, chociaż się obawiam, że robię to teraz, wyjaśniając, co powiedziałam wtedy. Nie mogę, Diggory, wyjść za Ciebie za mąż ani też pozwolić Ci nazywać mnie swoją narzeczoną. Mam nadzieję, że nie przejmiesz się tym za bardzo i nie będziesz cierpiał z tego powodu. Przykro mi, kiedy pomyślę, że może być inaczej, bo bardzo Cię lubię i w myślach moich zajmujesz miejsce zaraz po kuzynie Clymie. Jest tyle powodów, dla których nie powinniśmy się pobrać, że trudno wymieniłem je wszystkie w liście. Kiedy mnie goniłeś, zupełnie nie przypuszczałam, że o tym chcesz ze mną mówić, bo nigdy nie myślałam o Tobie jako o kimś, kto mógłby się we mnie kochać. Nie gniewaj się, że się roześmiałam, kiedy mi to wyznałeś. Pomyliłeś się — ja nie śmiałam się z Ciebie jak z kogoś niemądrego, tylko sama myśl o naszym małżeństwie wydała mi się taka dziwna. Najważniejszy powód, dla którego nie mogę Ci pozwolić, żebyś się starał o moją rękę, jest taki, że nie czuję tego, co czuć powinna dziewczyna, kiedy się zgadza chodzić z chłopcem jako jego przyszła żona. Nie jest tak, jak myślisz, nie mam innego w sercu, bo nikogo nie zachęcam i nigdy nie zachęcałam. Drugi powód to moja Ciotka. Wiem, że nigdy nie przystałaby na to małżeństwo, nawet gdybym ja sama tego chciała. Bardzo Ciebie lubi, ale pragnie dla mnie kogoś lepszego niż

61

mleczarz, chciałaby, żebym poślubiła człowieka z wykształceniem. Myślę, że nie pogniewasz się za moją szczerą, ale mógłbyś chcieć znowu się ze mną zobaczyć, a lepiej, żebyśmy się nie spotykali. Zawsze będę myślała o Tobie jako o dobrym człowieku i będę pragnęła dla Ciebie wszelkiej pomyślności. Posyłam ten list przez małą Jane Orchard, i pozostaję zawsze przyjazna Tobie

Tomasina Yeobright Do rąk pana Yenna, mleczarza

Od otrzymania tego listu w pewien jesienny poranek przed dwoma laty Diggory Venn nie widział Tomasiny aż do owego dnia. Przez ten czas, zajmawszy się sprzedażą

farby, pogłębił między nimi przepaść, chociaż nadal dobrze mu się powodziło. Zważywszy, że jego wydatki pochłaniały tylko czwartą część dochodu, można by go nazwać człowiekiem zamożnym.

Jest rzeczą całkiem naturalną, że odrzuceni konkurenci zaczynają wędrować po świecie — podobnie jak pszczoły bez ula. Zajęcie, któremu Venn się oddał, nie licząc się zupełnie z opinią innych, pod wieloma względami bardzo mu odpowiadało. Siłą dawnych przyzwyczajęń często kierował kroki ku Egdonowi, chociaż nigdy nie narzucał się tej, która go tam przyciągała. Przebywać na tym samym co Tomasina wrzosowisku, znajdować się blisko niej, choć nie być przez nią widzianym — to była jedyna, jaka mu pozostała, najdroższa sercu przyjemność. A tego wieczoru, wciąż ją kochając, poruszony myślą, że przypadkiem oddał jej usługę, gdy znalazła się w krytycznym położeniu, zaprzysięgł sobie, że czynnie służyć będzie jej sprawie, zamiast jak dotąd tylko wzdychać i trzymać się z dala. Po tym, co zaszło, nie mógł wierzyć w uczciwość intencji Wildeve'a. Jasne było jednak, że właśnie z Wildeve'em łączyła Tomasina wszystkie swe nadzieje, a więc Venn zapominając o żalu, postanowił pomóc jej w osiągnięciu upragnionego przez nią szczęścia. Złe się złożyło, że to jej pragnienie było dla niego ze wszystkich możliwych najbardziej przykre — ale w swej miłości zdobył się na wspaniałomyślność.

Pierwszy krok dla dobra Tomasiny podjął następnego wieczoru koło godziny siódmej, pod wpływem tego, czego dowiedział się od smutnego chłopczyka. Posłyszawszy o tajemnym spotkaniu, natychmiast wyciągnął wniosek, że Eustachia była w jakiś sposób przyczyną niedopatrzania Wildeve'a, które uniemożliwiło zawarcie ślubu. Nie przyszło mu na myśl, że sygnał miłosny Eustachii był wyrazem uczuć, jakie w porzuconej piękności zbudziła wiadomość przyniesiona przez dziadka. Instynktownie uznał ją za spiskowca występującego przeciw szczęściu Tomasiny, a nie za jej dawną rywalkę.

W ciągu następnego dnia dręczyło go pragnienie, by się dowiedzieć, w jakim stanie ducha jest Tomasina, ale nie ośmieliłby się przekroczyć progu jej domu, jako ktoś obcy i intruz, zwłaszcza w tak nieprzyjemnym momencie. Zajął się przewiezieniem swych towarów w inne miejsce na wrzosowisku, na wschód od poprzedniego postoju. Starannie wybrał zakątek osłonięty od wiatru i deszczu, co zapewne oznaczało, że zamierza się tu zatrzymać na względnie dłuższy czas. Potem wrócił pieszo tą samą drogą, ale nie do punktu, z którego wyruszył, tylko pod osłoną ciemności skręcił w lewo i stanął za krzakiem ostrokrzewu rosnącego na brzegu dołu, który znajdował się nie dalej jak o dwadzieścia jardów od Rainbarrow.

62

Wyczekiwał na spotkanie Eustachii i Wildeve'a, ale na próżno. Tego wieczoru nikt poza nim samym nie przyszedł w to miejsce. Jednak te stracone zachody nie wpłynęły na zmianę jego decyzji. Cierpiał męki Tantala, ale uważał rozczarowanie za naturalny wstęp do wszelkich osiągnięć, bez którego mogłyby się wydać podejrzenie łatwe.

Nazajutrz wieczorem o tej samej godzinie tkwił znowu w wyznaczonym miejscu, ale i tym razem nie doszło do oczekiwanej schadzki. Czatował na nich jeszcze przez cztery noce — bez powodzenia. Następnego jednak wieczoru, a więc w tydzień po ich poprzednim spotkaniu, zobaczył kobietę idącą z boczem i młodego człowieka nadchodzącego z doliny. Spotkali się w niewielkim rowie otaczającym kopiec usypany przez starożytnych Brytów.

Venn, ugodzony do żywego podejrzeniem, że Tomasinie dzieje się krzywda, natychmiast powziął plan strategiczny. Wychylił się zza krzaka i poczołgał w ich kierunku. Kiedy znalazł się najbliżej, jak mógł, bez ryzyka, że go zobaczą,

zorientował się, że wskutek przeciwnego wiatru nie zdoła posłyszeć ich rozmowy. W pobliżu leżały porzucone bezładnie w różnych miejscach wrzosowiska bryły torfu, które Tymoteusz Fairway miał zebrać przed zimą. Venn leżąc przyciągnął do siebie dwa kawałki darni, jeden nasunął sobie na ramiona i głowę, drugi na plecy i nogi. Nawet w świetle dnia nikt by go nie spostrzegł, gdyż zakrywające go wrzosa były odwrócone kwiatem do góry, tak jakby rosły. Zaczai się znów czołgać, a wrzosa pełzły razem z nim. Gdyby się czołgał bez żadnej osłony, mógłby zostać nie zauważony, w ciemnościach, ale z nią — był tak niewidzialny, jak gdyby się przekopywał pod ziemią. W ten sposób znalazł się zupełnie blisko rozmawiających. — Chcesz się mnie radzić w tej sprawie? — doszedł go głęboki głos rozdrażnionej Eustachii. — Radzić się? Takie słowa to dla mnie obraza! Nie zniosę tego dłużej! — Rozpłakała się. — Kochałam i kocham ciebie, i na moje nieszczęście okazałam ci tę miłość! A ty przychodzisz i z całym spokojem prosisz, żebym ci poradziła, czy nie lepiej, żebyś się ożenił z Tomasina! Lepiej, naturalnie, że lepiej! Żeń się z nią. Jest ci bliższa stanem. — Tak, tak, wszystko to bardzo piękne — odpowiedział stanowczym tonem Wildeve. — Ale musimy widzieć rzeczywistość taką, jaka jest. Bez względu na to, jak bardzo zawiniłem, sytuacja Tomasiny jest teraz znacznie gorsza od twojej. Po prostu mówię ci, że ma poważny kłopot. — Ale nie powinienes mi tego mówić! Musisz zrozumieć, że to dla mnie męka! Żle postąpiłeś, Damonie. Wiele straciłeś w moich oczach. Nie doceniłeś szczytu... szczytu, jaki okazała ci dama kochająca się w tobie... chociaż zwykła mieć bardziej ambitne cele. Ale to wina Tomasiny. Ona zabrała mi twoją miłość i powinna za to cierpieć. Gdzie ona jest teraz? Pytam, choć mnie to wcale nie obchodzi, jak nie obchodzi mnie również, gdzie sama jestem. Ach, gdybym umarła, jakże by się ona ucieszyła! Gdzie ona jest, pytam? — Tomasina jest u swojej ciotki. Zamknęła się w pokoju i nie chce nikogo widzieć — odparł obojętnie. — Wydaje mi się, że nawet teraz nie dbasz o nią prawie wcale — powiedziała rozradowana nagle Eustachia — skoro możesz o niej mówić z takim chłodem. Czy tak samo chłodno mówisz z nią o mnie? Ach, na pewno! Dlaczego-

63

go ode mnie odszedłeś? Nie wybaczę ci tego nigdy, chyba pod tym warunkiem, że ilekroć mnie opuścisz, wrócisz żałując, żeś to zrobił.

— Nie chce cię nigdy opuścić.

— Wcale ci za to nie dziękuję. Znienawidziłabym miłość, gdyby nie miała cierni. Chyba naprawdę wolę, żebyś mnie od czasu do czasu rzucał. Miłość jest straszną rzeczą, kiedy kochanek jest zawsze wierny. Wstyd tak mówić, ale to prawda. — Roześmiała się cicho. — Na samą myśl o tym ogarnia mnie przygnębienie. Nie ofiarowuj mi banalnej miłości, raczej odejdz!

— Co za szkoda, że Tomasina jest tak ogromnie dobrą dziewczyną — powiedział Wildeve — i nie mogę być wierny tobie, nie krzywdząc wartościowej osoby. W gruncie rzeczy jestem grzesznik, niewart małego paluszka żadnej z was.

— Nie powinienes się jednak dla niej poświęcać z poczucia winy — odparła szybko Eustachia. — Jeżeli jej nie kochasz, to w końcu najbardziej miłosierną rzeczą jest ją pozostawić własnemu losowi. Takie wyjście jest zawsze najlepsze. Tak, tak, teraz chyba zachowuję się nie jak kobieta. Po twoim odejściu zawsze jestem zła na siebie za to, co ci mówiłam.

Wildeve nie odpowiadając przeszedł się parę kroków po wrzosowisku. Przerwę w rozmowie wypełnił szelest krzaku ciernia rosnącego o parę kroków bliżej od strony wiatru. Podmuch wiatru przedarł się przez jego sztywne gałązki jak przez sito. Zdawało się, że to noc przez zaciśnięte zęby nuci pieśń pogrzebową.

Eustachia z nutą smutku mówiła dalej:

— Od naszego ostatniego spotkania parę razy przychodziło mi na myśl, że to chyba nie z miłości dla mnie nie doszło do ślubu. Przyznaj się, Damonie. Zniosę i taką prawdę. Czy miałam z tym coś wspólnego?

— Nalegasz, żebym ci powiedział?

— Tak, muszę to wiedzieć. Zdaje mi się, że za bardzo w siebie wierzyłam.

— Bezpośrednia więc przyczyna była taka, że w tej miejscowości nie uznali pozwolenia na ślub, a zanim zdobyłem drugie, ona uciekła. Do tego momentu nie odgrywałaś w tej sprawie żadnej roli. Potem jej ciotka przemówiła do mnie tonem, który mi się wcale nie podobał.

— No, tak, nie odegrałam żadnej roli... żadnej roli. Byłam dla ciebie tylko zabawką. Na Boga, jakąż ja mam naturę, że tak wysoko cię cenię!

— Bzdura, nie bądź taka porywczą... Eustachio, pamiętasz, jak w zeszłym roku wędrowaliśmy dolinami wśród tych krzaków, kiedy minął upał dnia, prawie niewidoczni w cieniu pagórków!

Nadal trwała w ponurym nastroju, aż wreszcie powiedziała:

— Pamiętam. I jakże wyśmiewałam się z ciebie, że ośmieliłeś się mnie adorować!

No, ale kazałeś mi później za to cierpieć.

— Tak, obchodziłaś się ze mną okrutnie, aż znalazłem dziewczynę, która wydała mi się ładniejsza. Cóż to było za błogosławieństwo dla mnie, Eustachio.

— Czy wciąż myślisz, że znalazłeś ładniejszą ode mnie?

— Czasem tak myślę, a czasem nie. Szale stoją równo i lada piórko może je przeważać.

64

— I naprawdę jest ci wszystko jedno, czy się z tobą spotkam czy nie? — zapytała z wolna.

— Nie jest mi wszystko jedno, ale nie na tyle, by miało mi to zakłócać spokój — odparł leniwie młody człowiek. — Nie, to wszystko przeszłość. Znalazłem dwa kwiaty tam, gdzie myślałem, że jest tylko jeden. A może są trzy, cztery, może jest więcej tak pięknych jak ten pierwszy... Dziwny jest los, kto by przypuścił, że to mnie spotka?

Przerwała mu, dławiąc gwałtowne uczucia, których przyczyną mogła być zarówno miłość, jak gniew.

— Czy kochasz mnie teraz?

— Gdybyż to można powiedzieć...

— Powiedz mi! Chcę to wiedzieć!

— Kocham i nie kocham — odpowiedział z przekąsem. — To znaczy, przeżywam różne okresy. Są chwile, kiedy mi się wydajesz za wysoka albo zbyt leniwa, czasem zbyt melancholijna, czasem zbyt mroczna, czasem... nie wiem jaka, wiem tylko że... że już nie jesteś dla mnie całym światem, jak byłaś dawniej, moja droga. Ale jesteś damą, którą miło jest znać, z którą przyjemnie się spotkać, no i nie przeczę, równie pełną słodyczy jak kiedyś... niemal taką.

Eustachia odwróciła się od niego i milczała, a po chwili powiedziała głosem cichym, lecz pełnym mocy:

— Wyszłam na spacer i tędy prowadzi moja droga.

— Nic innego mi nie pozostaje, tylko pójść z tobą.

— Wiem, że nie oparłbyś się tej pokusie, mimo twoich zmiennych nastrojów — odpowiedziała z wyzwaniem w głosie. — Mów, co chcesz, staraj się, jak możesz, trzymaj się ode mnie jak najdalej... i tak mnie nigdy nie zapomnisz. Będziesz mnie kochał przez całe życie! Z radością byś mnie poślubił!

— Z radością — odparł Wildeve. — Od czasu do czasu nachodzą mnie dziwne myśli, Eustachio. Teraz też. Nienawidzisz tego wrzosowiska, tak jak nienawidziłaś

zawsze. Wiem.

— Nienawidzę — szepnęła głucho. — To mój krzyż, mój wstyd, to mnie wpędzi do grobu.

— I ja czuję do niego wstręt — potwierdził. — Jak ponuro wieje wiatr!

Nie odpowiedziała. Szum wiatru był istotnie pełen powagi, przejmujący. Napływały ku nim zmieszane odgłosy, niosąc ze sobą obraz tych miejsc, w których się zrodziły. Z pogrążonego w ciemności krajobrazu napływały akustyczne jego wizerunki, a oni rozróżniali uchem, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą obszary wrzosu, gdzie janowiec wyrasta krzepki i wysoki, a gdzie go wycięto, w którym kierunku wznosi się kępa sosen i jak daleko znajduje się dolinka ostrokrzewów — bo te zróżnicowane tereny miały nie tylko kształty i barwy, ale również swoją mowę.

— Boże, jak tu samotnie! — podjął Wildeve. — Czymże są malownicze jary i mgły dla nas, ludzi, którzy nie oglądamy nic innego? Dlaczego mielibyśmy tu pozostać? Czy pojedziesz ze mną do Ameryki? Mam tam kuzynów.

— Musiałabym się nad tym zastanowić.

— Tu nikt nie może czuć się dobrze, chyba ptak lub pejzażysta. No cóż?

Powrót...

65

— Daj mi trochę czasu — powiedziała miękko, ujmując go za rękę. — Ameryka jest tak daleko. A czy nie przeszedłbyś się ze mną gdzieś bliżej?

Z tymi słowami Eustachia poczęła się oddalać od kopca i Wildeve podążył za nią, więc farbiarz nie mógł słyszeć ich rozmowy.

Zrzucił z siebie darń i wstał. Czarne postacie wtapiały się już w ciemne niebo, po chwili znikły. Można by pomyśleć, że leniwe wrzosowisko jak ślimak wystawiło dwa różki z czubka głowy i teraz je cofnęło. Szedł przez tę dolinę i przez sąsiednią, gdzie stał jego wóz, ale nie stąpał lekko, krokiem dwudziestoczteroletniego smukłego mężczyzny. Był do głębi duszy wzburzony. Wiejące w dolinie wiatry zdmuchnęły z jego ust i poniosły ze sobą słowa pogroźek.

Wszedł do wozu, gdzie w piecyku zarzył się ogień. Nie zapalając świecy usiadł na trójnogu i zamyślił się nad tym, co widział i słyszał, a co dotyczyło dziewczyny, której nie przestał kochać.

Choć z piersi jego nie wyrwało się ani jedno westchnienie czy łkanie, wyszeptał głucho parę słów, które jeszcze dobitniej świadczyły o wewnętrznej rozterce.

— Moja Tomasino! Cóż zrobić? Muszę zobaczyć się z tą Eustachia Vye.

X

ROZPACZLIWA PRÓBA PERSWAZJI

Następnego ranka, o tej porze, kiedy słońce — bez względu na to, z którego punktu wrzosowiska na nie patrzeć — stało bardzo nisko, a okoliczne wzniesienia przypominały archipelag na utworzonym z mgieł Morzu Egejskim, farbiarz wynurzył się z osłoniętego kolczastymi zaroślami zakątka, miejsca swego chwilowego postoju, i począł wspinać się na zbocze Mistover Knap.

Krzaczaste wzgórza wydawały się puste, a przecież w ten zimowy poranek nie brakło tam bystrych, okrągłych oczu, zawsze gotowych wypatrywać przechodnia. Żyły tu w ukryciu pierzaste okazy, które w innym otoczeniu budziłyby zdumienie. Drop nawiedzał to miejsce, a przed niewiele laty można było jednocześnie wyśledzić na wrzosowisku stado dwudziestu pięciu jego współbraci. W dolinie koło oberży gnieździły się błotniaki. Dawniej przylatywał tutaj kremowy rączak, ptak tak rzadki, że w całej Anglii gościło ich w ciągu wieków nie więcej niż kilkanaście, lecz barbarzyński łowca skradał się dniem i nocą, póki nie zastrzelił przybysza z Afryki. Po tym zdarzeniu kremowe rączaki uznały, że nie

należy przylatywać na Egdon.

Wędrowiec, który jak Venn szedłby tędy i obserwował skrzydlatych gości owych okolic, miałby uczucie, że znalazł się w obcej okolicy. Oto ukazała się jego oczom dzika kaczka, świeżo przybyła z ojczyzny północnego wiatru, z bagażem podbiegunowej mądrości. Zderzenia lodowców, epizody burz śnieżnych, blaski zorzy polarnej nad Cieśniną Franklina — rozległy był zakres jej doświadczeń. Zdawało się jednak Yennowi, że ptak ten patrząc na niego myśli — podobnie jak tylu innych filozofów — że miła chwila obecnej rzeczywistości warta jest więcej niż długie wspomnienia.

66

Venn przechodził tędy kierując się ku domowi pięknej dziewczyny, która żyła wśród tej przyrody — i czuła do niej pogardę. Była właśnie niedziela, ale nie miało to znaczenia, ponieważ mieszkańcy Egdonu rzadko chodzili do kościoła, jeżeli nie liczyć ślubów czy pogrzebów. Venn zdecydował się na śmiały krok — na rozmowę z panną Vye i skłonienie jej, podstępem lub awanturą, żeby przestała rywalizować z Tomaszą. Okazywał w ten sposób, może aż nadto widocznie, brak galanterii charakterystyczny dla pewnej kategorii bystrych ludzi, spotykanych zarówno wśród błaznów, jak i monarchów. Fryderyk Wielki wojujący z piękną arcyksiężną, Napoleon odrzucający warunki urodzivej królowej Prus — nie byli bardziej nieczuli na kobiece wdzięki, niż był w swój szczególny sposób sprzedawca czerwonej farby, planujący usunięcie Eustachii.

Odwiedziny w domu kapitana stanowiły zawsze dla uboższych mieszkańców wrzosowiska wydarzenie. Kapitan, choć nieraz rozmowny, ulegał zmiennym nastrojom i nikt nie mógł przewidzieć, jak się w danym momencie zachowa. Eustachia była pełna rezerwy i zamknięta w sobie. Nikt inny — wyjąwszy służącą, córkę jednego z komorników, oraz chłopca pracującego w ogrodzie i stajni — prawie nigdy nie zachodził do ich domu. Byli jedynymi w tych okolicach — obok Yeobrightów — szlachetnie urodzonymi mieszkańcami, a choć niebogaci, nie czuli się zobowiązani, jak ich ubożsi sąsiedzi, do okazywania przyjaznych uczuć każdemu człowiekowi, ptakowi czy zwierzęciu.

Kiedy Venn wszedł do ogrodu, stary kapitan patrzył przez lunetę na błękitną plamę morza w dali, na horyzoncie, a kotwiczki na jego guzikach połyskiwały w słońcu. Poznał towarzysza wędrowki po gościńcu, ale nie nawiązał do ich spotkania, tylko powiedział:

— Ach, przyszedł sprzedawca czerwonej farby. Może szklaneczkę grogu?
Venn odmówił pod pozorem, że jeszcze na to za wcześnie, i oświadczył, że chciałby rozmawiać z panną Vye. Kapitan przez chwilę obrzucał go od stóp do głów spojrzeniami i wreszcie poprosił do środka.

Panna Vye nie ukazała się jeszcze, więc farbiarz usiadł na ławie okiennej w kuchni i czekał na nią, trzymając czapkę w skrzyżowanych na kolanach rękach.

— Zapewne młoda pani jeszcze nie wstała? — zapytał wreszcie służącej.

— Nie jest jeszcze gotowa. Nikt nie odwiedza dam o tak wczesnej porze.

— A więc poczekam na dworze — powiedział Venn. — Jeżeli będzie chciała mnie zobaczyć, niech mi łaskawie da znać, a wtedy przyjdę.

Wyszedł z domu i przechadzał się po sąsiednim wzgórzu. Upłynęło dość dużo czasu i nikt go nie wezwał. Zaczynał już myśleć, że jego plany zawiodły, kiedy zobaczył, że Eustachia zbliża się ku niemu powoli. Rozmowa z kimś tak osobliwym miała dla niej posmak nowości i to wystarczyło, by wyciągnąć ją z domu.

Rzuciwszy spojrzenie na Yenna wnet się zorientowała, że przychodzi tu w niecodziennej sprawie i nie jest takim prostakiem, za jakiego go uważała, bo kiedy podeszła bliżej, nie mienił się na twarzy ani nie przestępował z nogi na nogę, ani w żaden inny sposób nie zdradzał zakłopotania, jak to często robią

nieobyci wieśniacy, widząc kobietę należącą do wyższych sfer. Na jego pyta-

67
nie, czy mógłby ją prosić o chwilę rozmowy, odpowiedziała nie przerywając spaceru:

— Tak, niech pan idzie ze mną.

Nim uszli daleko, przenikliwy Venn zrozumiał, że byłby postąpił mądrzej, okazując większe przejęcie tym spotkaniem. Postanowił więc naprawić swój błąd przy pierwszej okazji.

— Ośmieliłem się przyjść tutaj, aby podzielić się z panią dziwną nowiną, jaką usłyszałem o tym człowieku.

— O jakim człowieku?

Wskazał łokciem na południowy wschód, w kierunku “Cichej Kobiety”.

Eustachia zwróciła się szybko w stronę przybysza.

— Czy ma pan na myśli pana Wildeve'a?

— Tak, w związku z nim w pewnej rodzinie wynikły kłopoty, a ja przyszedłem powiedzieć o tym pani, ponieważ wierzę, że jest w pani mocy je usunąć.

— Ja? O co chodzi?

— To sekret. Chodzi o to, że w końcu on może nie zechce poślubić Toma-siny Yeobright.

Eustachia, choć poruszona do głębi duszy, godnie podjęła swą rolę w tym dramacie.

— Nie chcę nawet tego słuchać i niech się pan nie spodziewa, że będę w tej sprawie interweniować — odpowiedziała chłodno.

— Ale pozwoli pani, że dodam jeszcze słowo?

— Nie. Nie jestem zainteresowana tym małżeństwem, a nawet gdybym była, nie zdołałabym nakłonić pana Wildeve'a, żeby postąpił według moich wskazań.

— Myślę, że jako jedyna dama w tych okolicach potrafiłaby pani tego dokonać — powiedział Venn z delikatną aluzją. — Sytuacja tak się przedstawia: pan Wildeve poślubiłby Tomasinę natychmiast i załagodził wszystko, gdyby nie chodziło o inną kobietę. Tę drugą kobietę poznał, zdaje mi się, na wrzosowisku i tam się od czasu do czasu spotykają. Nigdy nie pojmie jej za żonę, ale przez nią może nie poślubić kobiety, która go szczerze kocha. Gdyby pani, która ma taki wpływ na nas, mężczyzn, zechciała go przekonać, że powinien uczciwie i z życzliwością traktować pani młodą sąsiadkę, Tomasinę, i wyrzec się tamtej kobiety, posłuchałby zapewne i oszczędził dziewczynie wielu cierpień.

— Ach, doprawdy! — powiedziała Eustachia ze śmiechem, a wtedy słońce padło na jej rozchylone wargi jak na kwiat tulipanu, nadając im równie jaskrawą barwę. — Zbyt wysokie ma pan mniemanie o moim wpływie na mężczyzn. Gdybym rzeczywiście miała taką władzę, jaką mi pan przypisuje, natychmiast użyłabym jej dla dobra tych, którzy są mi życzliwi. O ile zaś wiem, fomasina Yeobright nie jest mi szczególnie przychylna.

— Czyż to możliwe, żeby pani nie wiedziała... że zawsze miała i nadal ma bardzo dobrą o pani opinię?

— Wcale o tym nie słyszałam, a choć mieszkamy od siebie zaledwie o dwie mile, nigdy w życiu nie byłam w domu jej ciotki.

68

Dumny i lekceważący ton, jakim to mówiła, przekonał Yenna, że jak dotąd nic nie osiągnął. Westchnął w duchu i uznał za konieczne użycie drugiego argumentu.

— No cóż, pomijając tę sprawę, zapewniam panią, panno Vye, że jest pani w mocy wyświadczyć wiele dobrego innej kobiecie. Potrzęsnęła głową.

— Pani uroda daje pani władzę nad panem Wildeve'em. Daje władzę nad wszystkimi innymi mężczyznami, którzy na panią patrzą. Zapytują oni: “Kim jest ta

przystojna pani, która się tu zbliża? Jakże ona urodziwa! Piękniejsza niż Tomasina Yeobright” — ciągnął Venn, mówiąc w duchu: “Boże, przebacz mi nędznemu to kłamstwo!”

A jednak panna Vye była piękniejsza, choć farbiarz bynajmniej tak nie myślał. Jej uroda jakby niekiedy gasła, a oczom Yenna brakowało wprawy. W zimowym ubraniu, tak jak w tej chwili, była jak trzyszcz, który widziany w półmroku wygląda skromnie, wydaje się nijakiego koloru, ale w pełni światła rozbłyska olśniewającym splendorem barw.

Młoda kobieta nie mogła powstrzymać się od powiedzenia:

— Wiele jest kobiet ładniejszych od Tomasiny, a więc to nie ma znaczenia. — Wiedziała jednak, że taka odpowiedź jest poniżej jej godności. Venn zniósł to w milczeniu i ciągnął dalej:

— On należy do mężczyzn, którzy dostrzegają urodę kobiet, i jeśli tylko pani zechce, owinie go pani wokół swego palca.

— Skoro nie może uczynić tego Tomasina, choć przebywa z nim tak często, to tym bardziej ja, która mieszkam tak daleko. Venn obrócił się na pięcie i spojrzał jej prosto w oczy.

— Panno Vye! — powiedział.

— Dlaczego pan tak mówi... jakby mi nie wierzył — szepnęła, łapiąc szybko oddech. — Pomyśleć tylko, że pan się do mnie tak odzywa! — dodała, przywołując z wysiłkiem wyniosły uśmiech na wargi. — Co pan miał na myśli, mówiąc do mnie w ten sposób?

— Panno Vye, dlaczego pani udaje, że nie zna tego człowieka? Oczywiście wiem dlaczego. Pani się wstydzi, bo to ktoś niższy od pani.

— Pan jest w błędzie! Co to ma znaczyć? Venn postanowił zagrać w otwarte karty.

— Wczoraj wieczorem byłem przy Rainbarrow, na miejscu waszego spotkania, i słyszałem każde słowo — oznajmił. — Kobieta, która stanęła między Wildeve'em i Tomasina, to pani!

Było to przykre odsłonięcie kurtyny i na twarzy Eustachii, jak na twarzy żony Candaulesa *, odmalowało się upokorzenie.

Nadszedł moment, kiedy wargi poczęły jej drżeć mimo woli, a pierś uniosła się przyspieszonym oddechem.

— Źle się czuję — rzuciła szybko. — Nie... nie o to chodzi. Nie mam ochoty dłużej pana słuchać. Proszę, niech mnie pan pozostawi samą.

* Żona Candaulesa, króla Lydii (710—668 p.n.e.), namówiła, jak głosi legenda, Gygesa, by zamordował jej męża, a potem poślubiła mordercę.

69

— Muszę mówić, panno Vye, chociaż to sprawia pani przykrość. Chciałem pani powiedzieć, co następuje: bez względu na to... czy ona jest winna, czy pani...

jej położenie jest o wiele gorsze. Zerwanie z panem Wildeve'em będzie tylko z korzyścią dla pani, bo jakże mogłaby go pani poślubić? Ona zaś nie może się z tego tak łatwo wyplątać? Ludzie ją wezmą na języki, jeżeli on odejdzie. A więc proszę panią... nie dlatego, by ona miała większe prawo do niego, ale dlatego, że jest w gorszej sytuacji... niech się go pani wyrzeknie... dla niej.

— Nie, o nie, nie, nie! — wyrwało się jej z ust. Zapomniała o swojej wyniosłej postawie wobec sprzedawcy farby. — Jeszcze nikogo na świecie nic podobnego nie spotkało. A tak dobrze wszystko szło... Nie dam się pokonać... i to kobiecie o tyle gorszej ode mnie. Bardzo pięknie, że pan tu przyszedł wstawić się za nią, ale czyż to nie ona sama napytała sobie tej biedy? Czy mi nie wolno okazywać względów, komu zechcę? Czyż muszę wpierw prosić gromadę wieśniaków o pozwolenie? Ona stanęła na przeszkodzie moim uczuciom, a teraz, gdy została słusznie ukarana, prosi pana o orędownictwo!

— Ona wcale o tym nie wie — zapewnił ją z powagą Venn. — To tylko ja sam proszę, żeby się go pani wyrzekła. Tak będzie lepiej dla niej i dla pani. Ludzie nie pożąłują złych słów, jeżeli wyjdzie na jaw, że spotyka się pani ukradkiem z mężczyzną, który skrzywdził inną kobietę.

— Ja jej nie skrzywdziłam! Był mój, zanim mi go odebrała. Wrócił... bo... bo mnie woli! — zawołała nie panując nad sobą. — Ale ta rozmowa z panem jest poniżej mojej godności. Do czego doszłam!

— Pozostanie to między nami — uspokajał ją Venn. — Niech się pani nie obawia. Tylko ja jeden wiem o tych spotkaniach. Jeszcze jedną sprawę muszę poruszyć, a potem już sobie pójdę. Słyszałem, jak pani mówiła, że przykrzy się jej pobyt tutaj, że Egdon to więzienie.

— Tak powiedziałam. Wiem, że te okolice mają swoiste piękno, ale dla mnie to więzienie. Człowiek, o którym pan mówi, tego nie zmienia.

Na twarzy Yenna rozbłysła nadzieja, gdyż po tych słowach wydało mu się, że warto podjąć trzecią próbę.

— Skoro teraz rozmawiamy ze sobą trochę szczerzej — zaczął — powiem pani, jaką mam propozycję. Jak pani zapewne wiadomo, od kiedy zająłem się sprzedażą czerwonej farby, wiele podróżuję.

Skłoniła głowę i zatonała spojrzeniem w spowitej mgłą dolinie.

— W moich podróżach bywam nieraz w pobliżu Budmouth. To jest cudowna miejscowość... cudowna. Lśniące słońce morze wcina się łukiem w ląd... mnóstwo eleganckich ludzi spaceruje tu i tam... orkiestry wojskowe grają... oficerowie wojsk lądowych i oficerowie marynarki przechadzają się z cywilami... a dziewięć osób na dziesięć to zakochani.

— Wiem o tym — powiedziała lekceważąco. — Znam Budmouth lepiej niż pan, bo to miejsce mego urodzenia. Mój ojciec przyjechał z zagranicy i był muzykiem w tamtejszej orkiestrze wojskowej. O, mój Boże, jakże bym chciała tam pojechać. Sprzedawca czerwonej farby zdumiał się, widząc, jak wspaniałym ogniem potrafił rozbłysnąć tak spokojnie tłący się płomyk.

— Gdyby pani się tam znalazła — oświadczył — to już po tygodniu nie
70

myślałaby pani więcej o Wildevie niż o którymś z tych wieśniaków ścinających wrzos, których tutaj widujemy. A więc, mógłbym pomóc pani dostać się do Budmouth.

— Jak? — spytała z ciekawością w oczach.

— Mój wuj był przez dwadzieścia pięć lat administratorem pięknego domu nad morzem, będącego własnością pewnej bogatej wdowy. Ta pani się zestarzała, poza tym kuleje i chciałaby mieć przy sobie kogoś młodego, kto by jej dotrzymywał towarzystwa, czytał jej i śpiewał. Nie może znaleźć nikogo odpowiedniego, choć dawała ogłoszenia do gazet i brała już kilka osób na próbę. Bardzo by się ucieszyła, mogąc mieć w swoim domu panią, a wuj by wszystko załatwił.

— Pewno musiałabym pracować?

— Nie, to nie byłaby prawdziwa praca. Musiałaby pani tylko trochę czytać i robić podobne rzeczy. Pojechałaby tam pani dopiero po nowym roku.

— Wiem, że to byłaby praca — powiedziała i ożywienie jej zgasło.

— Przyznaję, że trzeba by się trochę nią zająć i zabawić ją, ale choć leniwi mogliby nazwać to pracą, pracowici nazwaliby zabawą. Proszę tylko pomyśleć, jakie pani miałaby towarzystwo, jakie prowadziłyby życie, jak by pani było wesoło i jakiego dżentelmena mogłaby pani poślubić. Mój wuj dostał polecenie, żeby rozpytywać się o godną zaufania młodą pannę ze wsi, bo ta wdowa nie lubi panien z miasta.

— Musiałabym zapracować się na śmierć, żeby jej dogodzić! Nie pojedę. O, gdybym

mogła zamieszkać w wesołym mieście, tak jak przystoi dobrze urodzonej kobiecie, chodzić, gdzie zechcę, i robić, co zechcę! Oddałabym za to tę gorszą połowę mojego życia. Tak, sprzedawco czerwonej farby, oddałabym.

— Proszę mi pomóc wrócić szczęście Tomasinie, a będzie pani mogła skorzystać z tej szansy — nalegał jej towarzysz.

— Szansy? To żadna szansa — odparła dumnie. — Doprawdy, cóż może mi zaofiarować człowiek tak biedny jak pan? Wracam do domu. Nie mam już nic do powiedzenia. Czy nie musi pan karmić koni, naprawiać worków na farbę i szukać kupców na swój towar, że tak marnuje pan czas?

Venn nie odezwał się już ani słowem. Założył ręce do tyłu i obrócił się, aby nie wyczytała z jego twarzy bolesnego rozczarowania. Jasność umysłu i siła ducha tej samotnej dziewczyny napełniały go obawą już od pierwszych chwil rozmowy. Jej młodość i sytuacja, w jakiej się znajdowała, kazały mu spodziewać się po niej prostoty, która mogłaby zapewnić powodzenie jego metodzie. Ale system perswazji i obietnic, który byłby skuteczny w stosunku do wiejskich dziewczyn o słabszej osobowości, w niej wzbudził tylko odrazę. Słowo "Budmouth" dla wszystkich mieszkańców Egdonu oznaczało coś urzekającego. Nabierający rozgłosu port i kąpielisko w umysłach tych wieśniaków musiał się — w jakiś czarodziejski sposób — wydawać wyższy ponad wszelki opis, łącząc rozmach fenickiego budownictwa, zbytkowność Tarentu oraz piękno i zdrowotność Baję*. Wyobrażenia Eustacii były niewiele mniej prze-

IŁ

* B a j e (rzymskie Baiae) — miejscowość nad Zatoką Neapolitańską, w starożytności kąpielisko rodziny cesarskiej i arystokracji Rzymu; dziś: Baia.

71

sadzone, ale za możliwość znalezienia się tam nie zapłaciłaby niezależnością.

Kiedy Diggory Venn zniknął jej z oczu, weszła na nasyp i spoglądała na dziką i malowniczą dolinę, w stronę słońca, a w tej stronie znajdował się również dom Wildeve'a. Mgła rozpostarła się już tak szeroko, że z trudnością dostrzegało się wierzchołki rosnących wokół domu drzew i krzewów, przebijające przez tę gęstą białą pajęczynę ku światłu dnia. Myśli Eustachii bez wątpienia podążały również w tę stronę, krążyły niezdecydowanie i kapryśnie koło Wil-deve'a, jedynej na jej horyzoncie osoby, wokół której mogły krystalizować się marzenia. Mężczyzna, który początkowo był dla niej tylko rozrywką i nigdy nie stałby się niczym więcej, gdyby nie porzucił jej w odpowiednim momencie — teraz wydawał się znowu kimś upragnionym. Przestał zabiegać o jej względy i wtedy jej miłość ożyła.

Uczucia, którymi skąpo go obdarzała, wezbrały pod wpływem Tomasiny jak wody spiętrzone tamą. Dokuczała mu kiedyś, ale działało się tak, zanim inna go sobie upodobała. Często się zdarza, że odrobina ironii zmienia sytuację, uważaną za nieinteresującą, w pikantną.

— Nigdy się go nie wyrzeknę, nigdy, nigdy! — zawołała porywczo.

Wzmianka Yenna, że mogą powstać złośliwe plotki, nie przeraziła Eustachii.

Odniosła się do nich tak obojętnie jak bogini wobec braku szat. Nie dlatego, że nie miała wrodzonego wstydu, ale dlatego, że żyła w zbyt wielkim odosobnieniu, by odczuwać presję opinii publicznej. Zenobia* na pustyni nie przejmowała się tym, co mówiono o niej w Rzymie. Gdyby rozpatrywać postępowanie Eustachii z punktu widzenia etyki społecznej, należałoby uznać, że żyła niemal w stanie dzikości, ale jeżeli chodzi o emocje — była epikurejką. Wprawdzie poznała tajemnice krainy uczuciowości, ale konwencjonalność pozostała jej niemal obca.

XI UCZCIWA KOBIETA POSTĘPUJE NIEUCZCIWIE

Farbiarz odchodził od Eustachii dręczony niepokojem o przyszłość Tomasiny, ale kiedy zmierzał w kierunku wozu, zobaczył panią Yeobright zdążającą z wolna ku

“Cichej Kobiecie” i wpadł na myśl, że pozostał mu do wypróbowania jeszcze jeden sposób. Zbliżywszy się do ciotki Tornasiny, wyczytał w jej niespokojnej twarzy, iż udaje się do Wildeve'a w tym samym celu, w jakim on spotkał się z Eustacją. Nie ukrywała swych zamiarów.

— W takim razie — powiedział farbiarz — szkoda pani fatygi.

* Zenobia, żona Odenatosa, królowa Palmiry w Syrii. Po śmierci męża (ok. 260---267) sprawowała pod zwierzchnictwem Rzymu rządy w imieniu małoletniego syna. W 270 r., korzystając z zagrożenia cesarstwa rzymskiego przez napierające plemiona germańskie, opanowała Egipt i przybrała tytuł Augusty. Pokonaną, sprowadzono do Rzymu i wydano za mąż za senatora. Do końca życia mieszkała w Tibur.

72

1

— I ja też tak myślę — odparła. — Ale nie pozostaje nic innego, jak ponaglać go w tej sprawie.

— Chciałbym jednak coś wpierw powiedzieć — rzekł mocnym głosem. — Pan Wildeve nie jest jedynym mężczyzną, który prosił Tomasinę o rękę, dlaczego więc ten drugi nie miałby mieć szansy? Byłbym szczęśliwy mogąc poślubić pani bratanicę i uczyniłbym to w każdej chwili w ciągu ubiegłych dwóch lat. Jestem szczery, powiedziałem pani to, o czym nie mówiłem z nikim prócz samej Tomasiny. Pani Yeobright nie odrzekła nic, ale bezwiednie ogarnęła wzrokiem jego osobliwą, choć zgrabną postać.

— Wygląd to jeszcze nie wszystko — powiedział dostrzegłszy jej spojrzenie. — Mój zawód daje dochód większy niż wiele innych i chyba pan Wildeve nie jest znacznie zamożniejszy ode mnie. Najbiedniejsi są ci ludzie, którym nie powiodło się w wyuczonym zawodzie. Jeżeli nie podoba się pani moje zabarwienie... no cóż, nie urodziłem się czerwony, jak pani wiadomo. Zabrałem się do sprzedaży farby przez kaprys i we właściwym czasie mógłbym zająć się czymś innym.

— Jestem panu wielce zobowiązana za zainteresowanie moją bratanicą, ale obawiam się, że byłyby przeszkody. A co więcej, ona darzy tego człowieka uczuciem.

— To prawda. W przeciwnym razie nie zrobiłbym tego, co zrobiłem dziś rano.

— W przeciwnym razie cała ta sprawa nie byłaby tak bolesna i nie spotkałby mnie pan w drodze do oberży. A jaką odpowiedź dała panu Tomasina?

— Napisała między innymi, że pani by się na mnie nie zgodziła.

— Miała trochę racji. Niech to pana nie urazi, po prostu stwierdzam fakt. Był pan dla niej dobry i tego nie zapomnimy. Skoro jednak ona sama nie chciała pana za męża, to sprawa jest rozstrzygnięta i nie musimy brać moich względów pod uwagę.

— Tak. Ale jest różnica między tamtą chwilą a obecną. Teraz jest nieszczęśliwa i gdyby pani zechciała z nią o mnie porozmawiać i sama obdarzyć mnie swą przychylnością, miałbym chyba jakąś szansę, a ona nie polegałaby tylko na zmiennych uczuciach Wildeve'a, który sam nie wie, czy ją chce, czy nie.

Pani Yeobright potrząsnęła głową.

— Tomasina myśli, a i ja też tak sądzę, że jeśli ma zachować imię bez skazy, powinna zostać żoną Wildeve'a. Jeśli się wkrótce pobiorą, wszyscy będą uważać, że istotnie przypadek przeszkodził im wziąć wtedy ślub. Jeżeli do ślubu nie dojdzie, rzuci to na nią cień, a w każdym razie ośmieszy. Krótko mówiąc, jeśli to możliwe, muszą się teraz pobrać.

— Jeszcze przed półgodziną myślałem tak samo. Ale w gruncie rzeczy, dlaczego jej opinia ma ucierpieć przez to, że poszła z nim na parę godzin do Anglebury? Każdy, kto zna jej niewinność, uzna taką myśl za krzywdzącą. Dziś rano próbowałem jej pomóc w sprawie małżeństwa z Wildeve'em... tak, proszę pani, naprawdę. Sądziłem, że powinienem to zrobić, skoro jest tak w nim zakochana. Ale

bardzo wątpię, czy miałem ostatecznie rację. Teraz ofiaruję samego siebie.

73

Pani Yeobright nie była skłonna do dalszej rozmowy.

— Musze już iść — oświadczyła. — Wydaje mi się, że nic innego nie pozostaje do zrobienia.

Odeszła. Spotkanie to nie odwiodło jej wprawdzie od planowanej rozmowy z Wildeve'em, ale wpłynęło na sposób, w jaki ją przeprowadziła. Pani Yeobright gorąco dziękowała Bogu za oręż, jaki złożył w jej ręce sprzedawca czerwonej farby.

Kiedy weszła, Wildeve był w oberży. W milczeniu wprowadził ją do salonu.

— Uznałam za swój obowiązek — zaczęła pani Yeobright — przyjść dziś do pana.

Usłyszałam pewną propozycję, która mnie dość zaskoczyła. Dotyczy ona Tomasiny, więc zdecydowałam, że należy przynajmniej wspomnieć panu o tym.

— A co to takiego? — zapytał uprzejmie.

— Odnosi się to oczywiście do jej przyszłości. Pan pewno nie wie o tym, że ktoś inny chce poślubić Tomasinę. A chociaż nie sprzyjałam mu dotąd, teraz nie mogłabym uczciwie odmówić mu szansy. Nie chcę przynaglać pana, ale muszę postępować sprawiedliwie w stosunku do niej i do niego.

— Kto to taki? — zapytał zdziwiony.

— Ktoś, kto pokochał ją dawniej niż ona pana. Oświadczył się jej przed dwoma laty. Wtedy go odrzuciła.

— A więc?

— Widział ją niedawno i prosił mnie o pozwolenie starania się o jej rękę. Może go po raz drugi nie odrzuci.

— Jak on się nazywa?

Pani Yeobright nie chciała wyjawiać nazwiska.

— To człowiek, którego Tomasina lubi — rzekła — i którego szanuje za jego stałość. Myślę, że choć go przedtem odrzuciła, teraz chętnie go przyjmie. Dręczy ją ta niezręczna sytuacja.

— Nigdy mi nie mówiła, że ktoś się w niej kocha.

— Nawet najłagodniejsze kobiety nie są tak głupie, żeby odślaniać wszystkie karty.

— No cóż, skoro go chce, myślę, że powinna go mieć.

— Łatwo tak mówić, ale pan nie rozumie trudności. On pragnie jej bardziej niż ona jego, a zanim mu pozwolę starać się o jej rękę, musimy ustalić, że pan będzie się trzymał z dala i nie popsuje związku, który popieram i uznaję za najlepszy. Przypuśćmy, że po ich zaręczynach, kiedy wszystko zmierzałoby już ku małżeństwu, pan stanąłby pomiędzy nimi i zacząłby się na nowo o nią starać. Mógłby pan jej nie odzyskać, ale by ją pan unieszczęśliwił.

— Nie zrobiłbym nic podobnego. Ale na razie nie są jeszcze zaręczeni. Skąd pani wie, że Tomasina go przyjmie?

— Sama się zastanawiam i myślę, że wiele przemawia za tym, iż po pewnym czasie mogłaby go przyjąć. Pochlebiam też sobie, że mam na nią jakiś wpływ. Jest uległa, a ja potrafię wytrwale go popierać.

— Jednocześnie źle mówić o mnie.

— No, może pan być pewien, chwalić go nie będę — odparła zimno. —

74

1

Jeżeli to wydaje się panu nieuczciwe, to proszę sobie przypomnieć, że jej sytuacja jest wyjątkowa i że ją skrzywdzono. W doprowadzeniu do tego związku pomoże mi to, że ona pragnie wydobyć się z upokarzającego położenia. Duma, którą okazują kobiety w podobnych wypadkach, może ją daleko zaprowadzić. Zapewne

potrzeba będzie trochę starań, żeby do tego doszło, ale sprostam temu zadaniu, jeżeli zgodzi się pan uczynić coś, co jest w tym wypadku konieczne, mianowicie: oświadczy pan wyraźnie, że ma poniechać myśli o panu jako o ewentualnym małżonku. To ją nakłoni do przyjęcia tamtego.

— Nie mogę zrobić tego już teraz, proszę pani. To zbyt nieoczekiwane.

— A więc psuje mi pan wszystkie plany! Sprawia pan wielki kłopot, odmawiając mojej rodzinie nawet tak drobnej pomocy, jak wyraźne stwierdzenie, że nie chce pan mieć z nami nic wspólnego.

Wildevé zastanowił się, a na jego twarzy odmalowała się przykrość.

— Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło — powiedział. — Oczywiście, wyrzeknę się jej, jeżeli takie jest życzenie pani, jeżeli to konieczne. Myślałem jednak, że będę mógł zostać jej mężem.

— Słyszałyśmy to już przedtem.

— Nie pragnę waśni, proszę pani. Proszę mi dać trochę czasu. Nie chcę stać jej na drodze, jeżeli ma lepsze widoki. Żałuję, że nie powiedziała mi pani tego wcześniej. Napiszę do pani albo odwiedzę osobiście w ciągu paru dni. Czy to wystarczy?

— Tak — odpowiedziała — pod warunkiem, że pan przyrzeknie nie porozumiewać się z Tomasina bez mojej wiedzy.

— Przyrzekam — obiecał Wildevé.

Na tym zakończyła się rozmowa i pani Yeobright powróciła do domu tą samą drogą, którą przyszła.

Jej prosta strategia miała, jak to się często zdarza, największy wpływ na sprawy, których w projekcie nie brała pod uwagę. Po pierwsze, na skutek jej wizyty Wildevé tego samego dnia o zmroku poszedł do domu Eustachii w Mi-stover. O tej godzinie samotnie stojący domek miał okna starannie zasłonięte i zamknięte okiennice przed mrokiem i chłodem wieczoru. Zgodnie z umową z Eustacją, wziął mały kamyczek i wpuścił go w szczelinę okiennicy. Kamyczek spadając zachrobotał cicho niby mysz. Chodziło o to, aby ostrożnie zwrócić jej uwagę, nie budząc podejrzeń dziadka.

. Ciche -słowa: — Słyszę. Poczekaj na mnie — które wypowiedziała, świadczyły, że dziewczyna jest sama.

Czekał spacerując jak zwykle wewnątrz ogrodu i zatrzymując się przy sadzawce, bo jego wyniosła, choć łaskawa pani nigdy nie zapraszała go do domu. Nie wyglądało na to, żeby dziewczyna się spieszyła. Czas płynął i młody człowiek zaczynał się niecierpliwić. Po dwudziestu minutach ukazała się zza węgła domu i szła ku niemu wolno jak na przechadzkę.

— Nie kazałaś mi tak długo czekać, gdybyś wiedziała, z czym tu przyszedłem — odezwał się z goryczą. — No, ale warta jesteś, żeby na ciebie czekać.

75

— Co się stało? — spytała. — Nie przypuszczałam, że masz kłopoty. Mnie też jest niewesoło.

— Nie mam kłopotów — odparł. — Po prostu sprawy doszły do takiego punktu, że muszę się na coś zdecydować.

— Na co? — spytała z uprzedzającym grzecznym zainteresowaniem.

— Czyżbyś mogła zapomnieć tak szybko, co ci proponowałem wczorajszego wieczoru? Że zabiorę cię stąd i wyjedziemy razem za granicę.

— Nie zapomniałam. Ale dlaczego zjawiasz się tak nagle i ponawiasz to pytanie, skoro miałaś przyjść w sobotę? Myślałam, że będę miała dużo czasu na zastanowienie.

— No tak, ale sytuacja się zmieniała.

— Wyjaśnij mi to, proszę.

— Nie chcę wyjaśniać, bo mógłbym ci sprawić przykrość.
— Ale ja muszę znać przyczynę tego pośpiechu.
— Po prostu nie mogę się doczekać, droga Eustachio. Nie mam teraz żadnych przeszkód.
— Dlaczego więc jesteś taki wzburzony?
— Wcale nie. Wszystko jest w porządku. Pani Yeobright... Ale nic jej do nas.
— Aha, wiedziałam, że ona ma z tym coś wspólnego. Mów dalej, nie lubię, jak coś ukrywasz.
— Nie... ona nie ma z tym nic wspólnego. Mówi tylko, że powinienem wyrzec się Tomasiny, bo ktoś inny chce się z nią zenić. Ta kobieta pragnie mi imponować, ponieważ już nie jestem jej potrzebny.
W zdenerwowaniu Wildeve zdradził to mimo woli.
Eustachia długo milczała.
— Znalazłeś się w niezręcznej sytuacji. Jak urzędnik, którego już dłużej nie potrzebują — powiedziała zmienionym głosem.
— Coś w tym rodzaju. Ale nie widziałem się jeszcze z Tomasiną.
— I to cię irtuje. Nie zaprzeczaj, Damonie. Jesteś wzburzony, bo okazał ci lekceważenie ktoś, po kim się tego nie spodziewałeś.
— Tak myślisz?
— I chcesz mieć mnie, bo jej nie możesz mieć. To jest oczywiście zupełnie inna sytuacja. Ja mam być namiastką.
— Przypomnij sobie, proszę, że zaproponowałem ci małżeństwo już przedtem.
Eustachia jak ogłuszona znowu pogrzyżyła się w milczeniu. Jakie dziwne uczucie ją ogarnia! Czy to możliwe, by jej zainteresowanie Wildeve'em było do tego stopnia wynikiem rywalizacji, iż na pierwszą wiadomość, że jej rywalka już go nie pragnie, stracił w jej oczach cały swój urok i blask? Teraz nareszcie może być go pewna. Tomasiną już go nie chce... Co za upokarzające zwycięstwo! Jest bardziej kochana, myślała, a jednak... czy się odważy bodaj najciszej wypowiedzieć te słowa okropnej krytyki? Cóż jest wart mężczyzna, którego nie ceni niżej stojąca od niej kobieta? Żadna żywa istota nie pragnie tego, co odrzuca inni — uczucie to nurtuje nas silniej lub słabiej, ale w sercu Eustachii, przerafinowanej hedonistki, przerodziło się niemal w namiętność.

Uświadomi-

76

II

ła sobie w przykry sposób jego niedostrzeżoną dotychczas niższość społeczną i po raz pierwszy poczuła, że przestała go kochać.

— A więc, zgadzasz się, najdroższa? — nalegał Wildeve.

— Gdyby to był Londyn albo choćby Budmouth, a nie Ameryka — szepnęła cicho. — No cóż, pomyślę. To zbyt ważna sprawa, żeby decydować od razu. O, gdybym potrafiła mniej nienawidzić tego wrzosowiska lub bardziej kochać ciebie!

— Umiesz ranić swą szczerością. A przed miesiącem kochałaś mnie tak gorąco, że poszłabyś za mną na koniec świata.

— A ty kochałeś Tomasinę.

— Tak, może w tym cała tajemnica — odparł niemal z szyderstwem. — Ale i teraz nie powiem, żebym jej nienawidził.

— Właśnie. Cała rzecz w tym, że teraz już nie możesz jej mieć.

— No, no, Eustachio, tylko bez drwinek, bo się pokłócimy. Jeśli nie zgadzasz się pojechać ze mną — i to w krótkim czasie — pojedę sam.

— Albo znów spróbujesz zdobyć względy Tomasiny. Damonie, jakie to wydaje mi się dziwne, że mógłbyś poślubić ją lub mnie, bez różnicy, a przyszedłeś do mnie tylko dlatego, że masz mnie... tanim kosztem. Tak, taka jest prawda. Był czas,

kiedy oburzałabym się głośno na podobnego człowieka. Ale to przeszłość.

— Pojedziesz ze mną, najdroższa? Pojedziemy razem w tajemnicy do Bristolu, tam weźmiemy ślub i porzucimy na zawsze ten zapadły kąt Anglii, dobrze? Powiedz — tak.

— Pragnę się stąd wydostać niemal za każdą cenę — powiedziała zmęczonym głosem — ale z tobą nie mam ochoty jechać. Daj mi więcej czasu na decyzję.

— Już ci dałem — odparł. — No dobrze, jeszcze tydzień.

— Trochę więcej, żebym ci mogła dać wiążącą odpowiedź. Muszę się zastanowić nad tyloma sprawami. Pomyśleć tylko, że Tomasina chce się od ciebie uwolnić! Nie mogę o tym zapomnieć.

— Mniejsza z nią. Powiedzmy, od poniedziałku za tydzień. Będę tutaj dokładnie o tej samej porze.

— Może lepiej koło Rainbarrow. Tu za blisko domu. Dziadek może się tędy przechadzać.

— Dziękuję, kochana. Od poniedziałku za tydzień o tej samej porze będę koło Rainbarrow. Więc na razie do widzenia.

— Do widzenia. Nie, nie, teraz mnie nie dotykaj. Nim się zdecyduję, wystarczy, że podamy sobie ręce.

Eustachia obserwowała rozplywającą się w mroku postać, aż ta zupełnie znikła. Przyłożyła rękę do czoła i oddychała głęboko. A potem jej pełne, pięknie wykrojone wargi rozchyliło pospolite ziewnięcie. Zła była na siebie za to, iż przyznała w głębi duszy, że jej namietność prawdopodobnie przeminęła. Nie potrafiła od razu pogodzić się z tym, że przeceniła Wildeve'a, bo skoro on należał do ludzi przeciętnych, to jej dawne zachowanie było czystym szaleństwem. Odkrycie zaś, że posiada charakter podobny do psa ogrodnika, który sam nie zje i innemu nie da — początkowo ją zawstydzalo.

77

Dyplomacja pani Yeobright wydała owoce godne uwagi, choć jak dotąd nie takie, jakich oczekiwała. Wpłynęła na Wildeve'a, ale o wiele bardziej na Eustachię: kochanek przestał być w jej oczach wspaniałym mężczyzną, o którego walczy wiele kobiet i którego ona sama może przy sobie zatrzymać, jeśli będzie z nimi współzawodniczyła. Nie był już jej potrzebny.

Wróciła do domu w tym osobliwym stanie złego samopoczucia, który ściśle biorąc nie jest smutkiem, a towarzyszy zwłaszcza przebłyskom rozsądku w ostatnich dniach trwania niemądrej, przelotnej miłości. Świadomości, że zbliża się kres czarownego snu — choć jeszcze nie nadszedł — towarzyszy nastrój najbardziej przykry, a zarazem najbardziej interesujący z tych wszystkich, jakie odczuwa się między początkiem namietności a jej wygaśnięciem.

Dziadek Eustachii już powrócił i krzątał się energicznie, przelewając parę galonów świeżo nabytego rumu w pękate butelki ze swego pękatego kreden-siku. Ilekroć wyczerpywały się domowe zapasy, miał zwyczaj udawania się do oberży i tam — grzejąc plecy przy kominku, ze szklanicą grogu w ręku — opowiadał, jak to siedem lat żył pod pokładem swego okrętu, i snuł inne cudowne marynarskie opowieści, a słuchacze, ożywieni nadzieją na poczęstunek, nie okazywali najmniejszego powątpiewania w ich prawdziwość.

I tego wieczoru tam poszedł.

— Pewno słyszałaś już tutejszą nowinę, Eustachio? — zapytał nie odrywając wzroku od butelek. — Gadano o tym w oberży jak o wydarzeniu narodowej wagi.

— Nic nie słyszałam — odparła.

— Młody Clym Yeobright, jak go tutaj nazywają, wraca w przyszłym tygodniu do domu, żeby spędzić z matką święta Bożego Narodzenia. Myślę, że wyrósł na chwackiego mężczyznę. Chyba go pamiętasz?

— Nigdy go nie widziałam.

— A, prawda. Odszedł stąd przed twoim przyjazdem. Pamiętam go jako dobrze zapowiadającego się chłopca.

— A gdzie przebywał przez te wszystkie lata?

— Wśród snobów, przepychu i ruder: w Paryżu.

L

Księga druga

PRZYBYCIE

WIEŚCI O NOWO PRZYBYŁYM

W pogodne dni o tej porze roku, a także i wcześniej, majestatyczny spokój wrzosowiska Egdon był często macony, w drobnym wprawdzie stopniu, przez pewne krótkotrwałe prace. Zestawione z tym, co dzieje się w miastach, wioskach, a nawet gospodarstwach, wydać by się one mogły za ledwie przerwaniem stagnacji, jakimś pełzaniem samej ospałości. Ale tutaj, gdzie nie można ich było z niczym porównać, w tym zakątku odciętym od świata niezmiennymi górami, gdzie zwykły spacer miał urok nowości, niczym barwne widowisko, gdzie wędrowiec mógł sobie bez trudu wyobrazić, że jest pierwszym człowiekiem na ziemi — budziły zainteresowanie każdego ptaka znajdującego się w polu widzenia, każdego nie uszpiętego gada i wszystkich królików w okolicy, które obserwowały je ciekawie z bezpiecznie oddalonych pagórków.

Zbierano mianowicie i układano w sterty wiązki janowcowego chrustu, który w czasie ostatnich ładnych dni Humphrey ściał na użytek kapitana. Stertę wznoszono blisko domu, a pracowali przy niej pod okiem gospodarza Humphrey i Sam. Było piękne ciche popołudnie, koło trzeciej godziny. Ponieważ jednak nadchodziło niepostrzeżenie jesienne zrównanie dnia z nocą, nisko świecące słońce sugerowało późniejszą porę, zwłaszcza że na wrzosowisku niewiele zaszło zmian, które sygnalizowałyby jego mieszkańcom, że nieprzydatne jest już stosowane latem określanie godzin według słońca na niebie, niczym na tarczy zegara. Od wielu już dni i wielu tygodni wschód słońca przesuwiał się z północnego wschodu na południowy wschód, a zachód — z północnego zachodu na południowy zachód, ale na Egdonie prawie tego nie zauważono.

Eustachia znajdowała się w jadalni, która w gruncie rzeczy przypominała kuchnię, gdyż miała kamienną podłogę i ogromny piec z przypieckiem.

Cicho było na dworze i po chwili dziewczyna postyszała dobiegające przez komin odgłosy czyjejs rozmowy. Podeszła do wnęki i nasłuchiwała, podniósłszy oczy na stary nierówny szyb o wielkich jamach, gdzie zatrzymywał się dym w swej wędrówce ku skrawkowi błękitu w górze, skąd wyblakły odblask światła przedzierał się przez płaty sadzy zasnuwające wnętrza jak wodorosty skalistą cieśninę.

Uprzytomniła sobie, że stertę wznoszono niedaleko komina, więc słyszy głosy pracujących przy niej ludzi.

Dziadek włączył się do rozmowy.

— Ten chłopak niepotrzebnie wyjeżdżał z domu. Ojcowska praca byłaby dla niego najstosowniejsza i należało się jej poświęcić. Nie uznaję takich zmian

79

w rodzinie. Mój ojciec był marynarzem, tak samo ja, i marynarzem byłby mój syn, gdybym go miał.

— Mieszka teraz w Paryżu — powiedział Humphrey — a mówią, że przed laty tam to właśnie ścięto głowę królowi. Moja biedna matka nieraz mi o tym pawiła. “Hummy, mawiała, byłam wtedy młodą dziewczyną i jednego popołudnia, kiedy prasowałam matczyne czepce, przyszedł pastor i rzekł: «Jane, ścięto głowę królowi i Bóg jeden wie, co teraz nastąpi.»”

— Wkrótce wiedziało o tym wielu z nas — rzekł kapitan i zachichotał z cicha. —

Siedem lat mojej młodości spędziłem przez to pod wodą... na tej piekielnej sali operacyjnej, na "Triumfie"... i widziałem, jak przynoszono na opatrunek marynarzy z pourywanymi rękami i nogami... A więc ten młodzieniec zamieszkał w Paryżu. Zarządza sklepem z brylantami, czy coś takiego, prawda?

— Tak, kapitanie, pracuje we wspaniałej firmie, słyszałem, jak jego matka się chwaliła. Tyle tam brylantów, co w pałacu królewskim.

— Pamiętam dobrze, jak wyjeżdżał z domu — rzekł Sam.

— Wyszło mu to na dobre — stwierdził Humphrey. — Lepiej sprzedawać brylanty niż robić tu jakieś szachrajstwa.

— W takim mieście musi się wiele wydawać.

— O tak — potwierdził kapitan. — Można przepuścić sporo pieniędzy nie będąc ani pijakiem, ani żarłokiem.

— Mówią, że Clyma Yeobrighta ciągnie do książek i że ma dziwne pojęcie o świecie. To pewnie dlatego, że wcześniej poszedł do szkoły, choć co to była za szkoła.

— Ma dziwne pojęcie o świecie? — powtórzył kapitan. — Ach, za wiele dziś tego posyłania do szkół! Nie da to dobrych rezultatów. Na każdym słupie przy bramie, na każdym wierzejach widzi się brzydkie słowa nabazgrane kredą przez jakiegoś nicponia i kobiety nieraz się wstydzą przejść tamtędy. Gdyby chłopaków nie nauczono pisać, nie gryzmoliliby takich bezceństw. Ich ojcowie tego nie umieli i lepiej się w kraju działo.

— Ale chyba, kapitanie, panna Eustachia ma w głowie więcej książkowej mądrości niż ktokolwiek inny w naszych stronach?

— Gdyby panna Eustachia miała w głowie mniej romantycznych bzdur, wyszłoby jej to pewno na korzyść — uciął krótko kapitan, po czym się oddalił.

— Mówię ci, Sam — odezwał się Humphrey po odejściu starego — ona i Czym Yeobright to byłaby dopiero para gołąbków, co? Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli nie mam racji! Na pewno jednak lubią wytworne rzeczy i uczeni są oboje, i zawsze myślą o wielkich sprawach. Są jak stworzeni dla siebie. Familia Clyma równie dobra jak jej. Jego ojciec był gospodarzem, to prawda, ale matka, jak wiemy, to pani. Widok ich dwojga jako małżeńskiej pary sprawiłby mi wielką przyjemność.

— A bardzo zgrabnie by też wyglądali, gdyby szli ze sobą pod rękę, ubrani w najlepsze ubrania czy też codzienne, jeżeli jest taki przystojny jak dawniej.

— Z pewnością, Humphreyu. No cóż, po tylu latach okropnie bym chciał go zobaczyć. Gdybym wiedział na pewno, kiedy przyjedzie, wyszedłbym mu

80
parę mil naprzeciw i pomógł nieść rzeczy. Ale myślę, że niepodobny on teraz do tego dawnego chłopca. Gadają, że mówi po francusku tak szybko, jak szybko dziewczyna zjada jagody. Jeżeli tak jest naprawdę, to za nic będzie miał takich bubków, co ciągle siedzą w domu.

— Pewno przepłyńnie parowcem do Budmouth, co?

— Tak. Ale nie wiem, jak się tu dostanie z Budmouth.

— Zmartwienie z jego kuzynką, Tomasina! Dziwię się, że taki wykształcony człowiek, jak Czym, chce wracać do domu na to wszystko. A tośmy się mieli z pyszna słysząc, że wcale ślubu nie wzięli, a myśmy im w ten wieczór śpiewali jak małżeństwu! Tam, do licha, nie chciałbym, żeby moją kuzynkę jakiś mężczyzna tak wystrychnął na dudka. To ubliża rodzinie.

— Otóż to. Biedna dziewczyna, dużo się przez niego nacierpiała. Słyszałem, że nawet zapadła na zdrowiu, bo ciągiem siedzi w domu. Teraz już nie widzimy jej twarzy jak pączek róży, bo nie biega jak dawniej przez janowiec.

— Słyszałem, że teraz by nie przyjęła Wildeve'a. gdyby prosił o rękę.

— Doprawdy? A to nowina.

Kiedy układając chrust wymieniali te przypadkowe uwagi, Eustachia w głębokim zamyśleniu pochylała się coraz niżej nad ogniskiem, a stopą bezwiednie uderzała w tłącą się zeszlą darń. Przedmiot rozmowy bardzo żywo ją interesował. Młody, inteligentny człowiek ma przyjechać na to samotne wrzosowisko, i to właśnie z Paryża — choć tyle jest najróżniejszych miast na świecie. To tak jakby ktoś przybywał tu z niebios. A co jeszcze dziwniejsze, mieszkańcy wrzosowiska instynktownie uznali, że ona i ten przybysz są jak dla siebie stworzeni. Krótka chwila podsłuchiwania rozmowy wystarczyła Eustachii, by to nijakie popołudnie wypełniły czarowne wizje. Zdarza się czasem niespodzianie, że tak spokojnie zapełnia się duchowa pustka. Eustachia nie uwierzyłaby tego dnia rano, że jej bezbarwny świat wewnętrzny ożywi się jeszcze przed wieczorem jak kropla wody pod mikroskopem, choć nikt się nie zjawił. Słowa Sama i Humphreya o harmonii istniejącej między nią a nieznanym młodzieńcem miały czarodziejską moc — niczym preludium Barda w *Castle of Indolence*, wywołujące z pozornej pustki miliony uwieczonych w niej kształtów.

Podniecona wyobraźnia kazała jej zapomnieć o przemijaniu czasu. Nim się ocknęła z marzeń, zapadł już zmierzch. Sterta była gotowa, wieśniacy wrócili do domów. Eustachia udała się na górę z myślą, że pora na zwykły spacer. Postanowiła iść w stronę Blooms-End, miejsca urodzenia młodego Yeobrighta i obecnego domu jego matki. Nie było powodu, by szła gdziekolwiek indziej, czemu więc nie miałyby przejść się w tym kierunku? Gdy się ma lat dziewiętnaście, chętnie pielgrzymuje się w miejsca, w które przenoszą nas marzenia. Wydało się jej, że musi rzucić okiem na płot gospodarstwa Yeobrightów. Dziwne, że taką błąhą rozrywkę można uznać za rzecz ważną.

Włożywszy kapelusik wyszła z domu i zeszła zboczem wzgórza ku Blooms-End, a potem powoli przebyła blisko półtorej mili dolinę. Znalazła się w miejscu, w którym zielone dno doliny zaczęło się rozszerzać, krzaki janowca oddalały się coraz bardziej od ścieżki, aż wreszcie, wraz z powiększaniem się obszaru urodzajnej ziemi, tylko tu i ówdzie pojawiał się pojedynczy krzak. Za
Powrót..

81

dywanem dziko rosnącej trawy widać było białe ogrodzenie, znaczące z tej strony granicę wrzosowiska. Odcinało się ono wyraźnie od ciemnego tła niczym biała koronka przy aksamicie. Wewnątrz białego ogrodzenia rozciągał się niewielki ogród, a za nim wznosiło się stare, niezbyt foremne, strzechą kryte domostwo, zwrócone frontem ku wrzosowisku, z widokiem na całą okolicę. Do tego to mrocznego samotnie stojącego domu miał powrócić młody człowiek, który spędził wiele lat życia w stolicy Francji — sercu eleganckiego świata.

II PRZYGOTOWANIA W BLOOMS-END

Spodziewany przyjazd obiektu marzeń Eustachii wprowadził tego popołudnia w wir gorączkowych przygotowań mieszkanki Blooms-End. Tomasina, pod wpływem perswazji ciotki i instynktownego odruchu lojalności w stosunku do kuzyna Clyma, krzątała się z zapalem niezwykłym u niej w tych najsmutniejszych dniach jej życia. Kiedy Eustachia przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej przy stercie gałęzi janowca, Tomasina wspinała się na stryszek nad szopą z opałem, gdzie przechowywano jabłka, aby wybrać na nadchodzące święta największe i najładniejsze owoce. Stryszek oświetlał półkolisty otwór, przez który gołębie wślizgiwały się do swoich wysoko położonych kwater, a słońce padało teraz jasną plamą na postać dziewczyny, która klęcząc zanurzała nagie ramiona w miękką brązową wyściółkę z paproci — obfitość tej rośliny na Egdonie sprawiała, że używano jej do magazynowania wszelkich zapasów. Gołębie niefrasobliwie fruwały nad głową

dziewczyny, a tuż nad podłogą parę zbłąkanych promieni słońca oświetlało twarz ciotki, która stała w połowie wysokości drabiny i zaglądała na stryszek, gdzie sama nie odważyłaby się wejść.

— A teraz trochę szarych renet, Tomasino. Lubił je dawniej prawie tak jak ty złote renety.

Tomasina odwróciła się i odsunęła paproć w innym zakątku, tam poczuła silny zapach bardziej dojrzałych owoców. Nim po nie sięgnęła, znieruchomiała na chwilę.

— Drogi Clymie, ciekawam, jak teraz wyglądasz? — szepnęła, zwracając w zamyśleniu twarz ku okienku dla gołębi, a światło, padając wprost na jej brązowe włosy i przejrzystą cerę, zdawało się przez nią na wskroś przenikać.

— Żeby w inny sposób mógł być tobie drogi — dobiegły ją z drabiny słowa ciotki — byłoby to doprawdy szczęśliwe spotkanie.

— Po co mówić to, co już niczego nie zmieni?

— Jako ostrzeżenie — powiedziała z ożywieniem pani Yeobright — żeby inne dziewczęta na wspomnienie twej niedoli mogły się przed podobną ustrzec. Tomasina znowu pochyliła głowę nad jabłkami.

— Mój los jest przestrogą dla innych tak jak los złodziei, pijaków i szulerów — powiedziała cicho. — Do kogo ja przynależę! Czy rzeczywiście do

82

nich? To absurd! Więc dlaczego, ciociu, wszyscy zachowują się w stosunku do mnie, jakby to była prawda? Dlaczego nie sądzą mnie po moim postępowaniu? Spójrz na mnie, czy klęcząc tutaj i wybierając jabłka, wyglądam jak upadła kobieta? Oby wszystkie dobre kobiety były podobne do mnie! — dodała gwałtownie.

— Obcy ludzie nie znają cię tak jak ja — odparła pani Yeobright — więc sądzą na podstawie plotek. Głupia sprawa, a i ja jestem temu częściowo winna.

— Jak szybko można popełnić czyn nierozważny! — powiedziała dziewczyna. Wargi jej drżały, łzy napełniły oczy, tak że z trudnością odróżniała jabłka od paproci, gdy chcąc ukryć wzruszenie zajęła się znów wybieraniem owoców.

— Skoro tylko skończysz z jabłkami — mówiła ciotka, schodząc z drabiny — zejdziesz, pójdziemy razem po ostrokrzew. Dziś po południu nie zobaczysz ludzi na wrzosowisku, więc nie ma obawy, że ktoś się będzie na ciebie gapić. Musimy nazbierać trochę jagód, bo inaczej Cłym nie uwierzy, że robiłyśmy jakieś przygotowania na jego przybycie.

Tomasina zebrała jabłka i opuściła stryszek, a potem obie kobiety wyszły poza białe ogrodzenie i znalazły się na wrzosowisku. W przejrzystym powietrzu wyraźnie rysowały się pagórki i wydawało się, jak to się często zdarza w pogodny dzień zimowy, że atmosfera składa się z oddzielnych różniących się barwą płaszczyzn blasku. Promienie oświetlające najbliższą połać ziemi płynęły widzialnym strumieniem przez dalsze jej obszary. Szafranowa warstwa światła nałożona była na warstwę ciemnoniebieską, a za nią zimna szara poświata spowijała odległy krajobraz.

Doszły do miejsca, gdzie rósł ostrokrzew, a mianowicie do stożkowatego dołu, tak głębokiego, że czubki krzewów niewiele wystawały ponad jego krawędź. Tomasina stanęła w rozwidleniu jednego z krzewów, jak to w szczęśliwych czasach robiła nieraz w podobnych okolicznościach, i przyniesionym ze sobą małym toporkiem poczęła odrąbywać gęsto obwieszone jagodami gałęzie.

— Nie podrap sobie twarzy — przestrzegła ciotka, która stała na krawędzi dołu, przypatrując się, jak dziewczyna sobie radzi w tej lśniącej masie zieleni i czerwieni. — Czy wyjdiesz ze mną na jego spotkanie dziś wieczór?

— Chciałabym. Inaczej wyglądałoby na to, że o nim zapomniałam — powiedziała Tomasina, odrzucając gałąź. — Nie ma to wprawdzie wielkiego znaczenia. Należę do

jednego mężczyzny i tego nic nie zmieni. Muszę go poślubić, jak mi każe moja duma.

— Obawiam się... — zaczęła pani Yeobright.

— Ach, myślisz, ciociu: “Taka słaba dziewczyna... jakże zdoła skłonić do ślubu wybranego mężczyznę?” Ale pozwól, że jedno ci powiem, ciociu. Pan Wildeve nie jest człowiekiem rozwiązłym, tak jak ja nie jestem kobietą lekkich obyczajów. Nie ma miłego usposobienia i nie stara się o przyjaźń ludzką, jeśli mu jej ktoś nie okaże z własnej chęci.

— Tomasino — spokojnie odpowiedziała pani Yeobright, utkwivszy wzrok w bratanicy

— czy myślisz, że mnie zwiedziesz, broniąc pana Wil-deve'a?

— Co ciocia ma na myśli?

83

— Od dawna podejrzewam, iż twoje uczucia dla niego się zmieniły, od kiedy odkryłaś, że nie jest świętym, za którego go uważałaś. Grasz, zdaje mi się, przede mną komedię.

— On pragnął mnie poślubić i ja pragnę poślubić jego.

— Chcę ci postawić jedno pytanie: czy zgodziłabyś się obecnie zostać jego żoną, gdyby cię z nim nie związało tamto zdarzenie?

Tomasina w zmieszaniu wpatrywała się w gałąź ostrokrzewu.

— Ciociu — powiedziała wreszcie — sędzę, że mam prawo nie odpowiedzieć na to pytanie.

— Tak, masz prawo.

— Może ciocia myśleć, co chce. Nigdy słowem ani czynem nie dałam cioci powodu do przypuszczeń, że inaczej teraz o nim myślę, i nigdy tego nie uczynię. I wyjdę za niego za mąż.

— No cóż, poczekaj, aż powtórzy oświadczyzny. Myślę, że je powtórzy, zwłaszcza że teraz wie... coś, co mu powiedziałam. Ani przez chwilę nie zaprzeczam, że najwłaściwszą rzeczą byłby wasz ślub. Możesz być pewna, dawniej się temu sprzeciwiałam, teraz się z tobą zgadzam. To jedyna droga wyjścia z fałszywej i bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

— A co mu, ciociu, powiedziałaś?

— Że stoi na przeszkodzie innemu konkurentowi.

— Ciociu, co to znaczy? — spytała Tomasina z rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Bądź spokojna. To był mój obowiązek. Teraz nic więcej ci powiedzieć nie mogę, ale kiedy już będzie po wszystkim, powtórzę ci dokładnie, co mówiłam i dlaczego. Tomasina musiała się tym zadowolić.

— Ale zachowa ciocia w tajemnicy przed Clymem to moje niedoszłe małżeństwo? — spytała po chwili.

— Dałam ci słowo. Ale na co to się zda? I tak się wkrótce dowie, co zaszło.

Wystarczy, że spojrzy na ciebie, a będzie wiedział, że coś jest nie w porządku.

Tomasina obróciła się wśród gałęzi i patrzyła na ciotkę.

— Posłuchaj, ciociu, co ci powiem — zaczęła, a jej cichy głos rozbrzmiewał teraz mocą uczucia. — Nie mów mu nic. Jeżeli uzna, że nie jestem godna zwać się jego kuzynką, niech tak myśli. Ale ponieważ kiedyś mnie kochał, nie zadawajmy mu bólu mówiąc zbyt prędko o moich kłopotach. Wiem, że gadają o nas wszędzie, ale w ciągu kilku pierwszych dni nikt nie ośmielił się mu o tym wspomnieć. Już sam fakt, że będzie razem ze mną, przeszkodzi zrazu plotkarzom. Jeżeli po tygodniu czy dwóch nadal będę narażona na ludzkie drwiny, sama mu wszystko powiem. Powaga, z jaką wypowiedziała te słowa, nie dopuszczała do dalszych sprzeciwów. Ciotka rzekła tylko:

— Dobrze. Powinien był wiedzieć o tym wtedy, gdy miał się odbyć ślub. Nie

wybaczy ci tej tajemnicy.

— Owszem, wybaczy, kiedy się dowie, że wolałam go nie ranić, a nie myślałam, że tak szybko powróci. Nie chciałabym też, żeby ciocia z mego

84

powodu zrezygnowała z urzędnictwa przyjęcia w święta. To by tylko pogorszyło sprawę.

— Oczywiście, że nie zrezygnuję. Nie chcę przed całym Egdonem okazywać, że jestem pokonana, i to przez takiego człowieka, jak Wildev. Chyba już dość tych jagód i pora nam wracać. Gdy ustroimy dom ostrokrzewem i jemiolą, czas będzie wyruszyć na spotkanie.

Tomasina wydostała się z krzaków, strząsnęła z włosów i ubrania jagody i obie z ciotką, podzieliwszy między siebie gałęzie, poczęły schodzić z pagórka. Zbliżała się czwarta i słońce uciekało już z doliny. Kiedy niebo zaczerwieniło się na zachodzie, kobiety znowu wyszły z domu na wrzosowisko, ale udały się w innym kierunku, ku dalekiej drodze, którą miał nadejść oczekiwany przez nie mężczyzna.

III DWA KRÓTKIE SŁÓWKA BUDZĄ WIELKIE MARZENIE

Eustachia stała na skraju wrzosowiska i z uwagą patrzyła w kierunku domostwa i obejścia pani Yeobright. Nie widać było światła ani żadnego ruchu, nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy. Wieczór był chłodny, a miejsce ciemne i puste. Domyśliła się, że gość jeszcze nie przyjechał, i po kwadransie zawróciła do domu.

Nie uszła daleko, kiedy odgłosy kroków i rozmowy ją ostrzegły, że tą samą ścieżką zbliżają się jacyś ludzie. Wkrótce dojrzała na tle nieba zarys ich głów. Szli wolno, a choć ciemności nie pozwalały dostrzec ich wyglądu ani odgadnąć charakteru, lekki krok wskazywał, że nie są to robotnicy zatrudnieni na wrzosowisku. Eustachia zesza ze ścieżki, aby ich przepuścić. Szły dwie kobiety i mężczyzna. Poznała głos pani Yeobright i Tomasiny.

Kiedy ją mijali, dostrzegli pogrążoną w mroku postać. Dobiegły do niej wypowiedziane męskim głosem słowa:

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór — odpowiedziała cicho i prześliznęła się obok nich, a po chwili się obróciła. Niezdolna była w pierwszym momencie uwierzyć, że los, nie proszony, pozwolił jej spotkać człowieka, który był dla niej duszą tego domu i dla którego tu przysła.

Wyteżyła wzrok, aby ich dojrzeć, ale nadaremnie. Z taką jednak siłą koncentrowała uwagę, iż zdawało się jej, że uszy nie tylko słyszą, ale i widzą. Możliwe, że tak bywa w podobnych momentach. Głuchy doktor Kitto, zapewne pod wpływem podobnego doznania, pisał, iż na skutek długich ćwiczeń jego ciało stało się tak wrażliwe na drgania, że potrafił nim słyszeć tak jak uszami.

Eustachia rozróżniała każde słowo wypowiedziane przez wędrowców. Nie były to sekrety. Toczyli ożywioną rozmowę, jak zazwyczaj krewni, którzy przez długi czas przebywali z dala od siebie, ale pozostali sobie bliscy. Nie w słowa jednak wsłuchiwała się Eustachia i nawet w chwilę później nie po-

85

trafiłaby przywołać ich z pamięci. Łowiła uchem głos, który wypowiadał zapewne jedną dziesiątą tych słów — głos, który życzył jej dobrego wieczoru. Czasami mówił "tak", czasami "nie", czasem zapytywał o jakiegoś dawnego mieszkańca tych okolic. Raz ją zadziwił, rzucając uwagę niezgodną z jej przekonaniem, że pobliskie wzgórza tchną łagodnością i przyjaźnią dla człowieka.

Trzy głosy się oddaliły, ścichły, zamarły. Tyle było jej dane, a wszystko poza tym nie miało znaczenia. Nic na świecie nie zdołałoby jej bardziej podniecić. Przez większą część popołudnia upajała się myślą, jak uroczy musi być człowiek, który przyjechał wprost z tego cudownego Paryża, przesiąknięty jego atmosferą,

obeznany z jego urokami. I ten oto właśnie człowiek ją pozdrowił.

Tak jak znikły jej z oczu postacie kobiet, tak ulotniły się z pamięci ich wypowiedzi, ale to, co mówił mężczyzna, pozostało. Czy w głosie syna pani Yeobright — bo był to Clym — brzmiało coś niezwykłego? Nie, po prostu głos ten miał dużą skalę. Dla człowieka, który jej powiedział “dobry wieczór”, nie było nic niemożliwego w dziedzinie przeżyć emocjonalnych. Wyobraźnia Eustachii dopowiedziała resztę. Jednak dziewczyna nie znalazła rozwiązania jednej zagadki: jakie gusta posiadać może mężczyzna, któremu te krzaczaste wzgórza wydają się przyjazne i miłe?

Przy takich jak ta okazjach w podnieconym umyśle kobiety krąży tysiące myśli i odbijają się na jej twarzy, ale te przemiany, choć rzeczywiście zachodzą, są ulotne. Przez twarz Eustachii przebiegały rytmicznym korowodem. Promieniowała, potem wspomniawszy usłużność imaginacji przygasła, następnie ożywiła się znowu; płonęła — i ponownie ochłodziła. I tak cykl wizji tworzył cykl gry rysów twarzy. Podniecona weszła do domu. Dziadek zabawiał się przy ogniu, grzebiąc w żarzącej się darni i zwracając ją czerwoną stroną ku izbie, aż widmowe płomyki rozgorzały blaskiem pieca hutniczego.

— Dlaczego nie jesteście w przyjaźni z Yeobrightami? — spytała dziewczyna, zbliżywszy się do dziadka i wyciągnawszy delikatne ręce ku ogniowi. — Szkoda, że tak nie jest. Wydają się bardzo mili.

— Niech mnie kule biją, jeżeli wiem dlaczego — odburknął. — Lubiłem starego, choć był kolczasty jak jeż. Ale ty byś na pewno nie chciała tam chodzić, gdybyś nawet mogła.

— Dlaczego?

— Są za bardzo wsiowi na twoje miejskie gusta. Przesiadują w kuchni, popijają miód i wino z czarnego bzu, a podłogę wysypują piaskiem dla czystości. Postępują rozsądnie, ale czy tobie by się to podobało?

— A ja myślałam, że pani Yeobright nie jest prostytutką. To przecież córka wikarego, prawda?

— No tak, ale musiała dostosować się do męża i chyba już polubiła takie życie. Aha, przypominam sobie, że kiedyś niechcący ją obraziłem i od tego czasu się nie widzimy.

Nocy, która nastąpiła, Eustachia miała nigdy nie zapomnieć. Umysł jej nie zaznał spoczynku. Śnił jej się tak dziwny sen, że niewielu ludzi — od Nabu-chodonozora do wędrownego angielskiego garncarza — kiedykolwiek miało

86

dziwniejszy. Nigdy dziewczyn w jej sytuacji nie nawiedził sen równie kunsztowny kompozycyjnie, niepokojący i zagadkowy. Miał tyle rozgałęzień, co labirynt kreteński, tyle odmian, co Zorza Polarna, i tyle barw, co czerwcowe kwiaty na rabatkach, a występowały w nim takie tłumy ludzi jak na koronacji. Królowej Szecherezadzie wydałby się niezbyt daleki od codziennych wydarzeń, dziewczyna, która bawiła niedawno na dworach wszystkich królów Europy, pomyślałaby, że jest zaledwie interesujący, ale na tle życia Eustachii jawił się jako najcudowniejszy ze snów.

Stopniowo jednak, spośród zmieniających się scen, wyłonił się jeden dziwaczny epizod, którego niezwykła akcja rozgrywała się na niewyraźnie ukazanym wrzosowisku. Eustachia tańczyła w takt cudownej muzyki, a jej partnerem był rycerz w srebrnej zbroi z opuszczoną przyłbicą, który towarzyszył jej w poprzednich fantastycznych przemianach. Taniec ją upajał. Spod lśniącego hełmu płynęły ku niej ciche szepty i dziewczyna czuła się jak w raju. Nagle wyrwali się z kręgu par, skoczyli do jednej z sadzawek na wrzosowisku i wynurzyli się w jakiejś pieczarze o opalizujących ścianach, ozdobionej łukami tęcz.

— To tutaj musi się stać — posłyszała głos towarzysza i kiedy zarumieniona podniosła wzrok, zobaczyła, że on zsuwa hełm, żeby ją pocałować. W tej samej chwili dał się słyszeć trzask i postać u jej boku rozpadła się jak talia kart.

— O, gdybym zobaczyła jego twarz! — zawołała głośno.

Obudziła się. To trzaskały okiennice na dole, otwierane przez służącą, żeby wpuścić światło dnia, którego panowanie nadchodziło teraz, ale nie mogło przekroczyć ciasnych granic, zakreślonych przez Naturę dla tej niezdrowej pory roku.

— O, gdybym zobaczyła jego twarz! — powtórzyła. — To znaczy, pana Yeobrighta.

Kiedy oprzytomniała, zrozumiała, że wiele faz jej snu powstało z obrazów i fantazji minionego dnia. Nie czyniło go to jednak mniej interesującym, gdyż stanowił doskonałe zarzewie dla nowo zrodzonego uczucia. Eustachia znajdowała się w punkcie pośrednim między obojętnością a miłością, na etapie "sympatii", co zdarza się tylko jeden raz w historii najgorętszych miłości i jest okresem, kiedy i najśłabsza wola może to uczucie opanować.

Ta kobieta o ognistej naturze była w tym czasie na wpół zakochana — w wizji.

Fantastyczny charakter jej uczucia źle świadczył o intelekcie, ale dodawał skrzydeł duszy. Gdyby była trochę bardziej opanowana, prostym rozumowaniem sprowadziłaby swoje uczucie do zera, a tym samym je zabiła. Mając trochę mniej dumy, krążyłaby wokół gospodarstwa Yeobrightów w Blooms-End z największym poświęceniem, póki by Clyma nie zobaczyła. Eustachia nie zrobiła nic podobnego. Postąpiła tak, jak postąpić by mogła w tych okolicznościach najbardziej przykładna dziewczyna: parę razy dziennie wychodziła na spacer na wzgórze Egdonu i wypatrywała za nim oczy.

Pierwsza okazja minęła, a on nie zjawił się na jej drodze.

Wyruszyła po raz drugi i znowu była jedynym wędrowcem.

Za trzecim razem panowała gęsta mgła, Eustachia się rozglądała, ale z nie-
87

wielką nadzieją w sercu. Nawet gdyby szedł w odległości dwudziestu jardów, nie mogłaby go widzieć.

Za czwartym razem deszcz począł lać strumieniami, więc zawróciła.

Piąty wypad odbył się po południu: pogoda była piękna i Eustachia długo pozostawała poza domem. Doszła do najwyższej części doliny, w której leżało Blooms-End i oglądała białe ogrodzenie z odległości pół mili. Ale on się nie ukazał. Powróciła do domu z rozdartym sercem i wstydząc się własnej słabości, postanowiła już nie wypatrywać przybysza z Paryża.

Los jest bałamutny i jak tylko dziewczyna podjęła tę decyzję, nadarzyła się szansa, której przedtem na próżno wyczekiwała.

IV PRZED EUSTACHIA JAWI SIĘ MOŻLIWOŚĆ PRZYGODY

Wieczorem piątego dnia oczekiwania, to znaczy dwudziestego trzeciego grudnia, Eustachia była sama w domu. Ostatnią godzinę spędziła na opłakiwaniu wiadomości, która niedawno do niej dotarła, że wizyta Yeobrighta u matki ma trwać krótko i skończy się w następnym tygodniu.

— To zrozumiałe — powiedziała sama do siebie. Człowiek prowadzący czynne życie w wesołym mieście nie mógłby sobie pozwolić na dłuższy pobyt na Egdonie. Wydawało się nieprawdopodobne, aby w ciągu jego krótkich wakacji mogła zobaczyć na własne oczy mężczyznę, którego głos tak silnie na nią podziałał — chyba że jak drozd wędrowny krążyłaby w okolicy domu jego matki, ale to byłoby trudne i nie licujące z dobrym imieniem panny.

Pospolitym wybiegiem — stosowanym w podobnych okolicznościach przez dziewczęta i mężczyzn na prowincji — jest pójście do kościoła. W zwykłej wiosce bądź małym miasteczku można być pewnym, że w święta Bożego Narodzenia albo w najbliższą

niedzielę każdy, kto przyjedzie do domu na święta, a nie straci ochoty, skutkiem swego wieku albo znudzenia życiem, aby widzieć innych i być widzianym, pokaże się w którejś ławce, zwracając uwagę obecnych swym zażenowaniem i promienną nadzieją, a także nowym ubraniem. W ten sposób zebranie wiernych w ranek Bożego Narodzenia jest podobnym do kolekcji Tussaud zbiorem znakomitości, które urodziły się w danej okolicy. Tutaj porzucona kochanka, spędziwszy samotnie cały rok w domu, może ukradkiem obserwować, jak zmienił się jej dawny kochanek, który teraz powrócił w rodzinne strony, i łudzić się, rzucając na niego spojrzenia znad modlitewnika, że nowość straciła dla niego czar i skruszone jego serce znów zabije dla niej. Tam też ktoś, kto przybył niedawno, jak Eustachia, może przyglądać się młodemu człowiekowi rodem z tych okolic i rozważać, czy warto po wyjeździe gościa zaprzyjaźnić się z jego rodzicami, aby zapewnić sobie znajomość z nim po kolejnym powrocie.

Tak subtelne jednak plany nie mogły być zrealizowane na Egdonie, gdzie ludność mieszkała w rzadko rozrzuconych domostwach. Nominalnie wszyscy byli członkami jednej parafii, ale w praktyce nie należeli do żadnej. Goście,

l

którzy przyjeżdżali do tych odosobnionych domów, aby spędzić Boże Narodzenie z bliskimi, aż do wyjazdu pozostawali wśród swoich, popijając przy kominku miód i inne krzepiące trunki. Padał zazwyczaj śnieg lub deszcz i nie mieli ochoty brnąć parę mil przez błoto lub ślizgawicę, by przemoczywszy nogi i ochlapawszy ubranie zasiąść wśród ludzi, którzy wprawdzie w jakimś sensie byli ich sąsiadami, ale mieszkali blisko kościoła i przychodzili w czystym i suchym odzieniu. Eustachia rozumiała, że istnieje jedna szansa na dziesięć, żeby Clym Yeobright zjawił się w kościele podczas swego krótkiego urlopu, więc nie warto liczyć na takie spotkanie i męczyć koni na złej drodze.

Zapadał zmierzch, a ona siedziała przy ogniu w jadalni, w której przesiadywali z dziadkiem o tej porze roku, przedkładając ją nad salon ze względu na duży kominek przystosowany do palenia w nim darni, ulubionego przez kapitana opału w okresie zimy. W pokoju widać było tylko to, co znajdowało się na parapecie okna odbite na tle posępnego nieba, a więc stojącą pośrodku starą klepsydrę i dwie pradawne brytyjskie urny, wykopane kiedyś w pobliżu kopca i służące za doniczki, w których rosły dwa kaktusy o ostrych jak brzytwy liściach. Ktoś zastukał do wejściowych drzwi. W domu nie było służącej ani dziadka. Przybysz, odczekawszy chwilę, wszedł do korytarza i zastukał do drzwi pokoju.

— Kto tam? — spytała Eustachia.

— Proszę pana, kapitanie Vye, czy zgodzi się pan... Eustachia wstała z krzesła i podeszła do drzwi.

— Nie pozwolę, żebyś tak śmiało tu wchodził. Powinieneś być czekać.

— Kapitan powiedział, że mogę wchodzić bez ceregieli — odparł miły chłopięcy głos.

— O, tak powiedział? Czego chcesz, Charley? — łagodniejszym tonem zapytała Eustachia.

— Czy pani dziadek pozwoli nam dziś o siódmej zrobić próbę w drewnitni?

— A, to ty jesteś jednym z tegorocznych kolędników z Egdonu?

— Tak, proszę pani. Kapitan dawniej pozwalał robić tu próby.

— Owszem, wiem. Możecie zrobić próbę, jeśli chcecie — oznajmiła sennie Eustachia.

Wybór drewnitni kapitana Vye na miejsce prób podyktowany był położeniem jego domu, który znajdował się prawie w samym środku wrzosowiska. Drewnitnia była przestronna jak stodoła i doskonale nadawała się na ten cel. Chłopcy należący do zespołu kolędników mieszkali w różnych stronach wrzosowiska i każdy z nich idąc

na spotkanie miał prawie jednakową drogę do przebycia.

Eustachia żywiła głęboką pogardę dla kolędników i ich występów. Chłopców nie dręczyły podobne uczucia w stosunku do swej sztuki, chociaż nie byli jej entuzjastami. Tradycyjna rozrywka różni się od odrodzonej sztuki po prostu tym, że drugiemu z tych zjawisk towarzyszy podniecenie i zapał, podczas gdy pierwsze cechuje pewna bierność i brak wzruszeń, co budzi wątpliwość, czy należy kontynuować coś, co robi się tak niedbale. Podobnie jak

89

Balaam* i inni niechętni prorocy, aktorzy tych tradycyjnych przedstawień poruszani są jakimś wewnętrznym nakazem, aby mówić i odgrywać wyznaczone im role niezależnie od własnej woli. Ów nieświadomy sposób gry jest — w tym wieku odświeżania wszystkiego, co stare — kamieniem probierczym, pozwalającym rozpoznać przestarzałą, niejako skamieniałą formę sztuki od tego, co tylko pozornie stanowi jej kopiowanie.

Wybrano dobrze znaną sztukę pod tytułem Święty Jerzy i wszyscy pomagali w przygotowaniach, łącznie z kobietami z każdego domu. Bez współpracy sióstr i narzeczonych stroje byłyby nieudane, jednakże ta pomoc miała swoje złe strony. Nie sposób było nakłonić dziewczęta, żeby projektując i ozdabiając stroje szanowały tradycję. Uparcie przytwierdzały, gdzie im się podobało, kokardy i węzły z jedwabiu i aksamitu. Kołnierze, szyszaki, pancierz, rękawica czy rękaw — były to w dziewczęcych oczach miejsca stosowne do naszywania powiewnych, barwnych skrawków materiału.

Zdarzało się, że Joe, Waleczny Rycerz, chrześcijanin, miał narzeczoną, i miał ją również Jim, walczący po stronie muzułmanów. Kiedy szyto kostiumy, narzeczona Joe'ego dowiadywała się, że narzeczona Jima obszywa dół opończy ukochanego lśniąco jedwabnymi fryzami, ozdobiwszy już wstążkami przyłbicę — bo te zwisające przed twarzą kolorowe, na pół cala szerokie paski materiału, na ogół również z jedwabiu, pełniły rolę żelaznych prętów w przyłbicy. Narzeczona Joe'ego natychmiast upiększała jedwabną fryzurę skraj jego opończy i posuwając się nieco dalej, przytwierdzała pęki wstęg na naramiennikach. Narzeczona Jima nie dawała się prześcignąć i umieszczała kokardy i rozety, gdzie się dało.

Rezultat był taki, że w końcu Waleczny Rycerz chrześcijańskich wojsk nie wyróżniał się wcale zbroją od Tureckiego Rycerza, a co gorsza, przy pobieżnych oględzinach można było wziąć samego Świętego Jerzego za Saracena, jego śmiertelnego wroga. Przebierańcy, chociaż w głębi duszy nieradzi takiemu pomieszaniu, nie mogli pozwolić sobie na obrazę osób, z których pomocy tak wiele korzystali, toteż tolerowano te innowacje.

Istniały, co prawda, pewne ograniczenia w tej tendencji do ujednoczeń. Pijawka, czyli Doktor, zachowywał niezmiennie swój charakter: ciemna szata, osobliwy kapelusz i przewieszona przez ramię flaszka medykamentów nie pozwalała się pomylić co do jego osoby. To samo można powiedzieć o konwencjonalnej postaci Starszego Kolędnika, dojrzałego mężczyzny z ogromną buławą, który towarzyszył trupie w długich nocnych wędrówkach od parafii do parafii, jako ich opiekun i strażnik sakiewki.

Nadeszła godzina siódma, pora próby, i wkrótce Eustachia posłyszała głosy w drewnitni. Chcąc w drobnym przynajmniej stopniu rozproszyć dręczące ją poczucie marności ludzkiego losu, udała się do przybudówki, która kiedyś stanowiła zaczątek ich domostwa i przylegała do drewnitni. W glinianej ścianie znajdował się niewielki otwór, pierwotnie przeznaczony dla gołębi,

* Prorok wspomniany w Starym Testamencie (Księga Liczb, XXII, 24). Balek, król Moabitów, nakłaniał go do rzucania przekleństw na Izraelitów, ale on im błogosławił.

przez który można było oglądać wewnątrz sąsiedniej szopy. Wpadało tedy światło. Eustachia stanęła na stołku i zajrzała.

Na występie ściennym paliły się trzy wysokie świece z knotami z sitowia i w ich blasku siedmiu czy ośmiu chłopaków maszerowało dokoła. Wygłaszali oracje i wprawiali się nawzajem w zakłopotanie, usiłując doprowadzić przedstawienie do perfekcji. Przyglądali się im Humphrey i Sam, a także Tymoteusz Fairway, który oparłszy się o ścianę podpowiadał chłopcom z pamięci, przeplatając ich role uwagami i anegdotami na temat tych wspaniałych czasów, kiedy to on i jego towarzysze byli wybranymi przez Egdon kołędnikami, tak jak dzisiaj ci chłopcy.

— No, już lepiej tego nie zrobicie — powiedział. — Co prawda, w moich czasach takie przedstawienie by nie uszło. Niech Harry jako Saracen stąpa dumnie, a John nie musi tak się wydzierać. Poza tym jakoś to ujdzie. Czy wasze stroje są już gotowe?

— Będą na poniedziałek.

— To pierwszy raz gracie w poniedziałkowy wieczór?

— Tak. U pani Yeobright.

— Ach, u pani Yeobright. A dlaczego ona życzy sobie was oglądać? Wydawałoby się, że kobieta w średnim wieku może mieć już dość tych przedstawień.

— Sprosiła trochę gości, bo to pierwsze od lat święta, kiedy ma syna w domu.

— Ach, oczywiście, oczywiście, sprosiła gości! Ja też idę. Byłbym o tym zapomniał, słowo daję.

Twarz Eustachii przygasła. Więc u Yeobrightów ma być przyjęcie, a ona w nim nie uczestniczy. Nigdy nie chodziła na żadne zebrania w okolicy, uważając, że byłoby to poniżej jej godności. Gdyby jednak mogła teraz pójść, byłaby to wspaniała okazja zobaczenia się z człowiekiem, którego wpływ przenikał całą jej istotę jak promienie słońca w lecie! Gorąco pragnęła ten wpływ zwiększyć; wyzwolenie wróciłoby jej pewnie pogodę ducha, ale obecny stan był dla niej udręką.

Chłopcy i trzej mężczyźni zabierali się już do odejścia, więc Eustachia powróciła do kominka. Popadła w zadumę, ale nie na długo. Chłopak, który prosił o pozwolenie odbywania prób w drewnutni, przyszedł do kuchni z kluczem.

Usłyszawszy go, Eustachia otworzyła drzwi na korytarz, mówiąc:

— Chodź tutaj, Charley.

Chłopiec się zdziwił. Wszedł do frontowego pokoju zarumieniony, gdyż podobnie jak wielu innych pozostawał pod urokiem pięknej Eustachii.

Kazała mu zająć miejsce przy kominku, a sama siadła z drugiej strony. Widać było z jej twarzy, że wkrótce wyjawi, co ją skłoniło, by poprosić go do pokoju.

— Kogo grasz, Charley... Tureckiego Rycerza, prawda? — zapytała piękność, patrząc na niego przez dym ognia.

— Tak, panno Vye, Tureckiego Rycerza — odpowiedział nieśmiało.

— Czy to długa rola?

— Koło dziewięciu kawałków.

— Czy potrafiłbyś je powtórzyć? Jeżeli tak, to chętnie posłucham. Chłopak uśmiechnął się w stronę jarzącej się darni i zaczął:

Bić uczył mnie turecki kraj, Jam Turek, wrogu, pole daj!

I dalej, aż do ostatecznej katastrofy, kiedy pada trupem z ręki Świętego Jerzego.

Eustachia słyszała już parokrotnie, jak recytowano tę rolę. Kiedy chłopak skończył, ona zaczęła i deklamowała te same słowa bez dodatków czy zmian aż do końca. Była to niby ta sama kwestia, a jednak jakże się różniła od poprzedniej.

Podobna w formie, górowała nad poprzednią stonowaniem i wykończeniem — jak obraz Rafaela góruje nad obrazem Perugina — bo wiernie odtwarzając pierwowzór, przewyższyła oryginalne dzieło.

Oczy chłopca stały się okrągłe ze zdumienia.

— Ależ pani jest zdolna — powiedział z podziwem. — A ja się tego nauczyłem przez trzy tygodnie.

— Słyszałam to już kiedyś — rzekła ze spokojem. — Powiedz mi, Charley, czy zrobiłbyś coś, żeby mi sprawić przyjemność?

— Zrobiłbym wiele, panno Vye.

— Czy pozwoliłbyś mi jednego wieczoru odegrać twoją rolę?

— Ach, panno Vye! Ale pani suknia... To niemożliwe.

— Zdobędę ubranie chłopca... wszystko, co będzie potrzebne, poza kostiumem. Co mam ci dać, żebyś mi pożyczył swego stroju i pozwolił się zastąpić na parę godzin w poniedziałkowy wieczór, i żebyś pod żadnym pozorem nie zdradził ani jednym słowem, kim jestem? Musiałbyś, oczywiście, wymówić się od występów w ten wieczór i powiedzieć, że ktoś... kuzyn panny Vye... będzie grać za ciebie.

Pozostali koledzy nie przemówili do mnie słowa w życiu, więc się nie obawiam, że mnie rozpoznają, a jeśli nawet, nie dbam o to. A więc, co mam ci dać, żebyś się zgodził? Pół korony?

Chłopak potrząsnął głową.

— Pięć szylingów? Znowu potrząsnął głową.

— Za pieniądze tego nie zrobię — powiedział, trąc ręką pręt kraty przed kominkiem.

— A więc za co, Charlie? — spytała Eustachia z rozczarowaniem w głosie.

— Pani pamięta, na co się nie zgodziła w majowe święto? — szepnął nie patrząc na nią i wciąż trąc pręt kraty.

— Tak — odpowiedziała Eustachia z pewną wyniosłością. — Chciałaś wtedy w świątecznym kręgu trzymać mnie za rękę, o ile sobie przypominam.

— Zgodzę się za pół godziny tego.

Eustachia uważnie przyglądała się chłopakowi. Był od niej o trzy lata młodszy, ale najwidoczniej nie zapóźniony w rozwoju.

— Pół godziny czego? — zapytała, choć odgadła, o co chodzi.

— Trzymania pani za rękę. Milczała.

92

— Niech to będzie kwadrans — powiedziała.

— Dobrze, panno Eustachio, jeśli pozwoli pani ucałować swą rękę. Kwadrans. A ja przysięgam, że zrobię, co będę mógł, żeby pani zajęła moje miejsce i żeby nikt się o tym nie dowiedział. Nie uważa pani, że ktoś może głos rozpoznać?

— No to co. Włożę kamyk w usta, żeby zmienić głos. Będiesz mógł potrzymać mnie za rękę, jak przyniesiesz swój strój, miecz i kij. Już mi więcej nie jesteś teraz potrzebny.

Charley odszedł, a Eustachia poczuła coraz większe zainteresowanie życiem. Jest więc coś do zrobienia, jest ktoś, z kim chce się spotkać, a sposób, w jaki do tego doprowadzi, ma posmak cudownej przygody.

— Ach — powiedziała sama do siebie — cała bieda polega na tym, że nie mam nikogo, dla kogo mogłabym żyć...

Zazwyczaj bywała jak uśpiona, jej uczucia cechowała raczej pełnia niż żywość. Ale gdy ją coś pobudziło, zdobywała się na nagle, szybkie posunięcia jak osoba energiczna z natury.

Było jej raczej obojętne, czy zostanie rozpoznana. Chłopcy biorący udział w przedstawieniu zapewne nigdy jej nie widzieli. Jeżeli chodzi o zebranych gości, nie czuła się tak bezpieczna. Jednak w gruncie rzeczy nic strasznego by się nie

stało, gdyby nie dali się wywieść w pole. Odkryto by tylko sam fakt, a nie istotny motyw. Uznano by to za przelotny kaprys dziewczyny, której zachowanie i tak uchodziło za dziwne. W każdym razie nie odgadliby, że poważny powód kryje się za tym, co wygląda po prostu na żart.

Następnego wieczora Eustachia przyszła punktualnie pod drzwi drewnutni czekając, aż zapadnie zmierzch i zjawi się Charlie niosąc swój strój. Dziadek nigdzie nie wychodził tym razem, więc nie mogła zaprosić swego współnika do domu.

Ukazał się na ciemnym wzniesieniu wrzosowiska i wydawał się muszką na ciele Murzyna. Stał przed nią niemal bez tchu od szybkiego marszu.

— Oto moje rzeczy — wyszeptał, kładąc kostium rycerza na progu. — A teraz, panno Eustachio...

— Zapłata gotowa. Dotrzymuję obietnicy.

Oparła się o drzwi i podała mu rękę. Wziął ją w swoje obie dłonie ze wzruszeniem, którego nie da się opisać, chyba że przyrównamy je do wzruszenia dziecka trzymającego w rękach schwytanego wróbla.

— Ależ pani włożyła rękawiczkę! — powiedział z rozczarowaniem w głosie.

— Byłam na spacerze — odrzekła.

— Panno Eustachio!

— Zgoda, może to niezupełnie uczciwe. — Ściągnęła rękawiczkę i podała mu rękę.

Stali tak przez kilka minut nic nie mówiąc. Każde patrzyło na coraz bardziej ciemniejący horyzont i snuło własne myśli.

— Chyba dzisiejszego wieczora nie wykorzystam swego czasu do końca — powiedział z przejęciem Charlie, kiedy upłynęło mu jakieś osiem minut na pieszczeniu jej dłoni. — Czy mogę przełożyć to na inny dzień?

— Jak chcesz — powiedziała bez najmniejszego wzruszenia. — Ale musi

93

się to skończyć w ciągu tygodnia. A teraz chciałabym czegoś jeszcze: poczekaj, aż się przebiorę, i zobacz, czy dobrze gram moją rolę. Ale wpierrw muszę zajrzeć do domu.

Zniknęła mu z oczu na chwilę. Dziadek spokojnie spał siedząc w fotelu.

— Teraz — oświadczyła po powrocie — pochodź trochę po ogrodzie, a kiedy będę gotowa, to cię zawołam.

Charlie spacerował wyczekując, aż wreszcie postłyszał cichy gwizd. Podeszedł do drzwi drewnutni.

— Czy to pani gwizdała, panno Vye?

— Tak, wejdz — dobiegł go gdzieś z głębi głos Eustachii. — Nie trzeba zapalać światła, póki nie zamkniemy drzwi, bo ktoś może zobaczyć. Zatkaj swoją czapką dziurkę od klucza do pralni, jeżeli trafisz po ciemku.

Charley wykonał polecenie, a ona zapaliła światło i ukazała się, zmieniawszy płęć, barwna od wstęg, od stóp do głów lśniącą zbroją. Może zadrżała pod jego przenikliwym spojrzeniem, ale czy na jej twarzy odmalowało się zmieszanie z powodu męskiego ubrania, tego nie pozwalały dojrzeć wstęgi, które jak zawsze w kostiumach kołędników zakrywały twarz, wyobrażając pręty przyłbicy średniowiecznego hełmu.

— Doskonale pasują — powiedziała patrząc na białe spodnie — tylko że bluza, czy jak to nazywacie, ma za długie rękawy. Górę spodni mogę zawinąć do środka. A teraz uważaj.

Deklamowała swą rolę, przy groźnie brzmiących wypowiedziach uderzała mieczem o kij czy lancę zupełnie tak, jak robili to kołędnicy, i chodziła wielkimi krokami. Charley najłagodniejszą krytykę przyprawił wyrazami uznania, bo świeżo miał w pamięci chwilę, gdy trzymał w rękach dłoni dziewczyny.

— A teraz jak to wytłumaczyć reszcie? — spytała. — Gdzie się spotykacie przed

pójściem do pani Yeobright?

— Chcieliśmy zebrać się tutaj, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu. O ósmej, tak żeby zdążyć tam na dziewiątą.

— Dobrze. Ty, oczywiście, nie możesz się pokazać. Będę tu pięć minut później, gotowa do wyjścia, i powiem, że nie możesz przyjść. Zdecydowałam, że najlepiej będzie, jak cię gdzieś pošlę, żeby wymówka była prawdziwa. Nasze dwa koniki mają zwyczaj uciekać na łąki, więc jutro wieczór pójdziesz i sprawdzisz, gdzie zawędrowały. Ja załatwię resztę. A teraz możesz już iść.

— Dobrze, proszę pani. Ale jeżeli pani nie ma nic przeciw temu, chciałbym mieć jeszcze minutkę tego, co mi się należy. Eustachia podała mu rękę jak poprzednio.

— Minuta — powiedziała i liczyła dalej, aż minęło siedem czy osiem minut. Wtedy cofnęła rękę, postąpiła do tyłu kilka kroków i odzyskała trochę dawnej godności. Po dopełnieniu kontraktu wzniosła między chłopakiem a sobą barierę nie do przebycia, jak mur.

— Tak, już po wszystkim, a nie chciałem tego wykorzystać do końca — powiedział z westchnieniem.

— Dostałeś szczerą miarę — powiedziała, odwracając się w stronę drzwi.

— Tak, proszę pani. No cóż, skończone. Wracam do domu.

94

W KSIĘŻYCOWEJ POŚWIACIE

Następnego wieczoru kolędnicy zebrali się w tym samym miejscu co poprzednio, czekając na przyjście Tureckiego Rycerza.

— Dwadzieścia minut po ósmej według "Cichej Kobiety", a Charley się nie zjawia.

— Dziesięć minut po według Blooms-End.

— Według zegarka Grandfera Cantle'a brakuje dziesięciu minut.

— Według kapitana jest pięć po.

Na wrzosowisku Egdon nie było jednolitego czasu. O każdej porze dnia istniał co do tego szereg odrębnych doktryn, wyznawanych przez poszczególne osiedla, przy czym niektóre z owych teorii wywodziły się ze wspólnego źródła i dopiero później wystąpiły między nimi różnice, a inne od początku nie zgadzały się z pozostałymi. West Egdon uznawał czas Blooms-End, East Egdon — oberży "Cicha Kobieta". Zegarek Grandfera Cantle'a miał dawniej wielu zwolenników, ale ich wiara poczęła się chwiać, w miarę jak Grandfer się starzał. Dlatego też każdy z kolędników, przybyłych tu z różnych miejsc, miał własne zdanie na temat tego, czy jest późno, czy wcześnie. W rezultacie czekali jeszcze parę minut.

Eustachia obserwowała zebranych przez otwór w ścianie i widząc, że nadszedł właściwy moment, opuściła przybudówkę i śmiało otworzyła drzwi drewnutni. Dziadek siedział bezpiecznie w oberży.

— No, nareszcie jest Charley! Aleś się spóźnił!

— Nie jestem Charley — odezwał się głos spod hełmu Tureckiego Rycerza. — Jestem kuzynem panny Vye i z ciekawości zająłem jego miejsce. Charley musiał iść szukać koni, które uciekły na łąki, a ja zgodziłem się go zastąpić, bo przewidywałem, że nie zdąży dziś wrócić. Znam jego rolę nie gorzej niż on sam.

Wdzięczne ruchy, zgrabna postać i pełen godności sposób bycia wzbudziły w kolędnikach przekonanie, że zmiana taka jest dla nich korzystna, jeśli tylko przybysz opanował dobrze swą rolę.

— Nie szkodzi... jeśli nie jesteś za młody — orzekł Święty Jerzy. Głos Eustachii brzmiał młodziej i nie tak grubo jak głos Charleya.

— Zapewniam was, że znam każde słowo mojej roli — powiedziała stanowczo Eustachia. Aby zwyciężyć, potrzebna jej była tylko zuchwałość. Okazała ją zatem we właściwej mierze. — A więc, chłopcy, zróbmy próbę. Założę się, że nikt z was nie przyłapie mnie na pomyłce.

Przeprowadzono pośpiesznie próbę i wszyscy chłopcy byli zachwyceni nowym rycerzem. Zgasili świece o wpół do dziewiątej i ruszyli przez wrzosowisko ku domostwu pani Yeobright.

Tego wieczoru był lekki szron, a księżyc, choć świecił tylko połową swej tarczy, rzucał tajemniczy, podniecający blask na fantastyczne postacie kołędników, których pióra i wstęgi szeleściły w tym pochodzie jak jesienne liście. Szli nie przez Rainbarrow, ale doliną, pozostawiając starożytny kopiec nieco

95

na wschód. Dnem doliny biegł pas zieleni szeroki na mniej więcej dziesięć jardów i lśniące szronem żdźbła traw zdawały się płynąć w dal wraz z przemykającymi po nich cieniami. Na prawo i lewo obszary janowca i wrzosu pozostały ciemne jak zazwyczaj, młody księżyc nie zdołał swym srebrem rozjaśnić ich czerni.

Po półgodzinie marszu i rozmowy znaleźli się w miejscu, gdzie wstęga trawy poszerzała się i biegła w dół przed domostwo. Na ten widok Eustachia, w której zbudziły się pewne wątpliwości w czasie tej wędrówki w gronie chłopaków, poczuła zadowolenie z podjęcia tej wyprawy. Przyszła tutaj, aby zobaczyć mężczyznę, który posiada może dostateczną siłę, aby ją wyrwać z dręczącej depresji. Kim jest Wildeve? Człowiekiem interesującym, ale nieodpowiednim. Może dziś odnajdzie swego bohatera.

Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli, że wewnątrz rozbrzmiewa muzyka, wrą tańce. Co jakiś czas niski, przeciągły głos serpentu, który był głównym instrumentem dętym w owych czasach, niósł się dalej na wrzosowisko niż cienki ton skrzypiec i sam tylko ich dobiegał; w chwilę później dało się słyszeć głośniejsze niż zazwyczaj przytupywanie tancerza. Kiedy znaleźli się przed domem, fragmentaryczne dźwięki zlały się w jedno, tworząc melodię zwaną Kaprysem Nancy.

On tam jest, oczywiście. Z kim tańczy? Pewno jakaś nieznaną kobietą, nie dorównująca jej kulturą, w tej właśnie chwili waży w swoich rękach jego losy, używając najsubtelniejszego z wabików.

Tańczyć z mężczyzną — to w ułamku godziny zasypać go długo hamowanym huraganowym ogniem. Tylko kobietom, które kroczą tą królewską drogą, wolno jest przełamać owe bariery: możliwe są zaloty bez znajomości, małżeństwo bez zalotów.

Obserwując tańczących, zorientuje się, do kogo należy jego serce.

Przedsiębiorcza dziewczyna weszła za towarzyszami przez furtkę w białym ogrodzeniu i stanęła przed gankiem. Dom był kryty ciężką strzechą, obniżającą się między górnymi oknami: front, cały w miesięcznej poświacie, był dawniej biały, ale znaczną jego część zaciemniał teraz ogromny krzak ognika szkarłatnego.

Zorientowała się natychmiast, że tańce odbywają się tuż przy drzwiach, że żadne pomieszczenie nie oddziela od niej tancerzy. O drzwi ocierały się spódnice i łokcie, czasem uderzały ramiona. Eustachia, chociaż mieszkała zaledwie o dwie mile, nie widziała wnętrza tego dziwnego starego domostwa. Yeobrightów nigdy nie łączyła bliższa znajomość z kapitanem Vye, który przybył tutaj jako obcy i zakupił od dawna stojący pustką dom w Mistover Knap na krótko przed śmiercią pana Yeobrighta, a po jego śmierci i po wyjeździe dyma znajomość między wdową a kapitanem została zupełnie zerwana.

— Więc za tymi drzwiami nie ma korytarza? — zapytała Eustachia, kiedy tak stali na ganku.

— Nie — odparł chłopak, który grał Saracena. — Drzwi otwierają się wprost na bawialnię, gdzie tańczą.

— Więc nie możemy otworzyć drzwi bez przerwania zabawy.

— Aha. Musimy tu czekać, aż skończą, bo wieczorem zawsze zamykają kuchenne drzwi.

— Niedługo skończą — powiedział Starszy Kolędnik.

Jednak to zapewnienie nie zostało potwierdzone przez bieg wydarzeń. Instrumenty przestały grać i znowu podjęły nową nutę z takim ogniem i siłą, jakby grały po raz pierwszy, a była to melodia bez początku, środka czy zakończenia i zapewne najlepiej z utworów tanecznych, jakie roją się w głowie natchnionego skrzypka, ilustrowała myśl o czymś, co nie ma końca — o sławnym Marzeniu diabła. Czekaający w blasku księżyca mogli wyobrazić sobie, jak żywy jest taniec krzesany skoczną melodią, gdyż od czasu do czasu słyszeli uderzenie czubkami butów i obcasami o drzwi.

Przez pierwszych pięć minut kolędnicy nad słuchiwali z ciekawością. Tych pięć minut przeciągnęło się w dziesięć, dziesięć w kwadrans, a w żywym tempie Marzenia nie można było dosłuchać się zapowiedzi szybkiego końca. Uderzenia o drzwi, śmiech, tupoty były wciąż głośne, a przyjemność przysłuchiwania się temu z zewnątrz znacznie się zmniejszyła.

— Dlaczego pani Yeobright wydaje takie przyjęcie? — zapytała Eustachia, trochę zdziwiona tą głośną wesołością.

— To nie jest przyjęcie dla wybranych. Sprosiła sąsiadów i wszystkich zatrudnionych bez różnicy, po prostu, aby dać im dobrą kolację i żeby się bawili. Ona sama i syn usługują gościom.

— Rozumiem — powiedziała Eustachia.

— Zdaje się, że to już ostatnia melodia — powiedział Święty Jerzy, przykładając ucho do drzwi. — Młoda kobieta i mężczyzna tańczą tu w kącie i on mówi do niej: “Ach, jaka szkoda, że tym razem to już koniec, moja miła”.

— Dzięki Bogu — powiedział Turecki Rycerz, przytupując i biorąc spod ściany lancę, jaką miał każdy z kolędników.

Buty Eustachii były cieńsze niż chłopaków, toteż nogi jej zziębły i przemokły.

— Słowo daję, następnych dziesięć minut przed nami — oświadczył Waleczny Rycerz zajrzawszy przez dziurkę od klucza, gdy melodię Kaprys zastąpiła inna. — Grandfer Cantle stoi w kącie i czeka na swoją kolej.

— Ril w trzy osoby nie potrwa długo — rzekł Doktor.

— A może by wejść, nawet jeśli tańczą. Przecież po nas posłali — niecierpliwił się Saracen.

— Stanowczo nie — oświadczyła Eustachia autorytatywnym tonem, przechadzając się dla rozgrzewki od drzwi do bramy. — Wpadlibyśmy w sam środek tańczących i przerwali zabawę. Tak nie wypada.

— On myśli, że jest ważny, bo ma trochę więcej szkoły niż my — powiedział Doktor.

— Idź do diabła! — odcięła się Eustachia.

Paru chłopaków poszeptało chwilę między sobą i jeden z nich zwrócił się do niej.

— Chcielibyśmy się o coś zapytać — powiedział grzecznie. — Czy ty nie jesteś czasem panną Vye? Na nasz gust, to tak.

— Możecie myśleć, co się wam podoba — odparła z wolna Eustachia. — Ale honorowe chłopaki nie rozprowadają plotek o pannach.

Powrót...

— Nic nie powiemy, panno Vye. Słowo honoru.

— Dziękuję — odparła.

W tym momencie skrzypki urwały z piskiem, a serpent wydał ostatni ton, od którego niemal uniósł się dach. Kiedy po względnym spokoju, jaki zapanował wewnątrz, kolędnicy osądzili, że tancerze już usiedli, Starszy Kolędnik podszedł do drzwi, podniósł skobel i wsunął głowę do bawialni.

— A, kolędnicy, kolędnicy! — zawołało kilkoro gości chórem. — Zróbcie miejsce dla kolędników.

Wtedy garbaty Starszy Kolędnik wszedł uroczyście i wymachując ogromną buławą starał się zrobić miejsce na scenę dla aktorów. Następnie zręcznie rymując poinformował zebrane towarzystwo, że oto przybył, czy go chcą, czy nie chcą.

Zakończył przemowę tymi słowami:

Hej, chłopcy, zróbcie wolny krąg,

Miejsce na przedstawienie, O świętym Jerzym sztuka to

Na Boże Narodzenie.

Goście przesunęli się teraz w jeden koniec pokoju, skrzypek nastroił struny, muzykant, który grał na serpencie, wyczyścił ustnik, i sztuka się zaczęła.

Spośród czekających na ganku pierwszy wszedł Waleczny Rycerz spod znaku Świętego Jerzego:

Widzicie? jestem rycerz chwyt, Wołają na mnie Rębacz...

I tak dalej. Na koniec wyzwał niewiernego do walki. Wtedy to powinna wkroczyć na scenę Eustachia jako Turecki Rycerz. Pozostawała tymczasem, wraz z innymi, na osrebrzonym księżycem ganku. Bez widocznego wysiłku czy ociągania się weszła i zaczęła:

Bić uczył mnie turecki kraj, Jam Turek, wrogu, pole daj! Odważnie stanę, bom nie kiej, Ostudzę ci ten gorący łeb!

Podczas tej deklamacji głowę trzymała podniesioną, starając się mówić jak najgrubszym głosem. Nie obawiała się, że zostanie rozpoznana, ale nie widziała swych słuchaczy, gdyż musiała skupić całą uwagę na roli, w przeciwnym bowiem razie łatwo mogłaby się zdradzić, poza tym przeszkadzały jej wstążki u przyłbicy zasłaniające twarz, a także blask świec i nowość otoczenia. W dalszym końcu stołu, na którym ustawiono zapalone świece, dostrzegła tylko niewyraźnie jakieś twarze.

Tymczasem Jim Starks, jako Waleczny Rycerz, wysunął się naprzód i utkwivszy wzrok w Turku, odpowiedział:

98

Więc wydał cię turecki kraj? Tyś Turek? Bij się, pole daj!

Zaczęli walczyć, w wyniku tego starcia Waleczny Rycerz został zabity przedziwnie niezadarnym pchnięciem miecza przez Eustachię, a płonąc chęcią pokazania prawdziwej sztuki teatralnej, runął jak kłoda na kamienną podłogę z wystarczającą siłą, by zwichnąć sobie ramię. Potem, po oracji Tureckiego Rycerza, wypowiedzianej zbyt cicho, w której zapowiadał, że pokona Świętego Jerzego i cały jego zastęp, wkroczył sam Święty Jerzy pełen dostojeństwa, z dobrze znaną recytacją:

Jam święty Jerzy, wrogu, precz! Mam włócznię i ten nagi miecz. Jam to ze smoka przyrządził rąbankę I zdobył piękną Sabrę, Egipcjankę. Kto ze śmiertelnych teraz śmie Na miecze wyzwać mnie?

Był to ów chłopak, który pierwszy poznał Eustachię. Kiedy teraz, jako Turek, odpowiedziała z należną zuchwałością i natychmiast złożyła się mieczem, młodzieniec specjalnie się starał nie zrobić jej krzywdy swym orężem. Ranny Rycerz osunął się na kolano, zgodnie z rolą. Wtedy wszedł Doktor, przywrócił mu siły łykiem mikstury ze swej butelki i walka rozgorzała na nowo. Turek stopniowo osuwał się na ziemię, drogo sprzedając swe życie na tym świątecznym przedstawieniu, co podobno czyni i do dzisiaj.

Powolne osuwanie się na ziemię było jednym z powodów, dla których Eustachia uznała, że rola Tureckiego Rycerza, choć nie najkrótsza, będzie jej najlepiej odpowiadać. Gwałtowny upadek, po którym kończyły życie inne postacie, był czymś nieeleganckim i niestosownym dla dziewczyny. Łatwo natomiast przyszło jej

umierać w roli Turka, opadając stopniowo na ziemię w zaciętej walce. Znajdowała się teraz wśród zabitych, jednak nie na podłodze, gdyż zdołała, wsparłszy się o zegar, pozostać w pozycji półleżącej, z głową wysoko wzniesioną. Akcja toczyła się dalej między Świętym Jerzym, Saracenenem, Doktorem i Starszym Kolędnikiem, Eustachia zaś, nie mając już nic innego do roboty, mogła po raz pierwszy swobodnie rozejrzeć się i poszukać wzrokiem osoby, dla której tu przyszła.

VI TYCH DWOJE STAJE TWARZĄ W TWARZ

Pokój przygotowany na tańce, ciężki dębowy stół został odsunięty daleko w głąb, tak że tworzył osłonę kominka. Za stołem, po jego bokach i na przypiecku siedzieli goście, niektórzy zadyszani i czerwoni na twarzy. Wśród nich Eustachia rozpoznała pobieżnie parę zamożnych osób mieszkających za

99

wrzosowiskiem. Zgodnie z jej przypuszczeniem, Tomasina się nie pokazała. Przypomniała sobie, że kiedy stali przed domem, w jednym z górnych okien paliło się światło — prawdopodobnie w pokoju Tomasiny. Na tle kominka zarysował się czyjś nos, a także broda, ręce, kolana i stopy — jak się okazało, należące do Grandfera Cantle'a, który dorywczo pomagał w ogrodzie pani Yeobright i dlatego został zaproszony. Z palącego się przed nim torfu bił dym jak z Etny, igrał na karbach pogrzebacza, wznosił się do solniczki i ginął pomiędzy pościami boczków. Wkrótce inna część pokoju przyciągnęła jej wzrok. Z drugiej strony kominka stała wielka ława z oparciem, niezbędne uzupełnienie kominka, tak zbudowanego, że jedynie silny podmuch zdolny był porwać dym w górę. Dla staroświeckich przepaścistych kominków jest ona tym, czym dla wystawionej na wiatry wiejskiej posiadłości pas drzew od wschodu, czym mur od strony północnej dla ogrodów. Poza ławą okapują świece, rozwiewają się loki dziewcząt, młode kobiety drżą, a starcy kichają. Na ławie jest jak w raj. Najmniejszy przeciąg nie zmąci powietrza: siedzący na niej mają ogrzane zarówno plecy, jak twarz, miłe ciepło budzi w nich ochotę do śpiewania pieśni i snucia starodawnych opowieści — podobnie jak cieplarniana atmosfera pobudza melony, by rodziły owoce.

Jednakże nie ci, co tu siedzieli, stanowili przedmiot zainteresowań Eustachii.

Na ciemnym tle drewnianego oparcia ławy wyraźnie rysowała się twarz pochylającego się mężczyzny. Eustachia wiedziała, że nie może to być nikt inny, tylko Clement Yeobright, czyli Clym, jak go tutaj nazywano. Ten obraz miał w sobie coś z Rembrandtowskiej intensywności. Oddziaływał tym silniej, że choć ukazywał całą postać mężczyzny, oczy Eustachii widziały tylko jego twarz. Ktoś w średnim wieku nazwałby ją twarzą młodego człowieka, ale młodzieniec nie dostrzegłby w niej nic, co by świadczyło o niedojrzałości. Była to jedna z tych twarzy, które mówią nie tyle o przeżytych latach, co o przebytych doświadczeniach. Oblicza Jareda, Malaleela* i innych ludzi sprzed potopu mogły być dokumentem ich lat, ale wiek współczesnego człowieka mierzy się intensywnością jego przeżyć.

Była to twarz dobrze, a nawet wspaniale ukształtowana, ale umysł tego człowieka zaczął już na niej zapisywać, jak na zwykłej tablicy, kształtujące się w nim nawyki. Jej piękność miał już wkrótce strawić pasożyt — myśl, która mogłaby równie dobrze zapuścić korzenie na pospolitszej glebie, gdzie nie byłoby nic do zniszczenia. Gdyby niebiosa ustrzegły Clyma od wyniszczającego zwyczaju rozmyślania, mówiono by o nim “przystojny mężczyzna”. Gdyby jego umysł odciskał swe piętno na mniej pięknej twarzy, nazwano by go myślącym człowiekiem. Ale wewnętrzne napięcie trawiło regularne rysy, więc uważano jego wygląd za “szczególny”.

Stąd też ludzie po przelotnym spojrzeniu zaczynali mu się przyglądać badawczo. Z

jego twarzy można było wiele wyczytać: naznaczona była zadumą,

* Postacie występujące w Ewangelii św. Łukasza (III, 37) jako potomkowie Adama w szóstym i piątym pokoleniu.

100

zrodzoną z obserwacji otoczenia, jaka często maluje się na twarzach mężczyzn po kilku latach zmagania, następujących po pogodnym okresie nauk. Jego twarz dawała już świadectwo temu, że myśl jest zgubą dla ciała, a pośrednio dowodziła, że fizyczne piękno nie da się pogodzić z rozwojem uczuć i pełnym poznaniem zawłości świata. Lampa umysłu spala oliwę życia, potrzebną także dla życia fizycznego, a żalony rezultat tego podwójnego popytu i jednej podaży dawał się już na tej twarzy dostrzec.

Filozofowie patrząc na pewnych ludzi żałują, że myśliciele stworzeni są z nietrwałej materii, artyści zaś — że nietrwała materia musi myśleć. Gdyby przedstawiciele tych dwóch grup krytycznie przyjrzeni się Clymowi, instynktownie opłakiwać by musieli — każdy ze swego punktu widzenia — obustronnie destrukcyjną współzależność ciała i ducha.

W jego spojrzeniu była naturalna pogoda, walcząca — i to nie zawsze zwycięsko — z narzuconym przez zewnętrzny świat frasunkiem. Spojrzenie zdradzało samotność, ale zarazem wyjawiało coś innego. Jak nieraz bywa u pełnych życia i inteligencji natur, bóstwo — bezpiecznie skute łańcuchami w kruchym ludzkim ciele — przeświecało przezeń jak promień.

Zrobił ogromne wrażenie na Eustachii. Co prawda znajdowała się w stanie wielkiego podniecenia, które skłoniłoby ją do zachwyty nad pospolitszym człowiekiem. Czowała się zakłopotana w obecności Clyma.

Sztuka dobiegła końca: obcięto głowę Saracenowi i Święty Jerzy został zwycięzcą. Nikt tego nie komentował, tak jak nikt nie zwykł komentować faktu, że grzyby pojawiają się jesienią, a przebiśniegi wiosną. Widzowie przyjęli przedstawienie tak spokojnie, jak i sami aktorzy. Naturalną kolejną rzeczą podczas każdego Świąt Bożego Narodzenia przechodziło się przez tę fazę wesołości i nic nie pozostało do powiedzenia.

Zawodzili żalną pieśń na zakończenie przedstawienia i w tym momencie wszyscy zabici powstawali cicho i spokojnie, jak duchy napoleońskich wiarusów na przegląd wojska o północy. Później otworzyły się drzwi i na progu ukazał się Fairway w towarzystwie Christiana i jeszcze kogoś. Czekali na ganku na zakończenie przedstawienia, tak jak kołędnicy czekali na zakończenie tańców.

— Chodźcie, chodźcie — zapraszała pani Yeobright, a Clym wyszedł im na powitanie. — Dlaczego przychodzicie tak późno? Grandfer Cantle jest tu od dawna, a myśleliśmy, że przyjdziecie razem, bo przecież mieszkacie blisko siebie.

— No tak, przyszedłbym wcześniej... — zaczął Fairway i przerwał. Chcąc zawiesić swój kapelusz, przebiegał wzrokiem belkę u sufitu, szukając gwoździa, który mu zazwyczaj służył do tego celu, ale zawieszono na nim jemiołę, a na wszystkich gwoździach w ścianie ostrokrzew. Uwolnił się wreszcie od swego nakrycia głowy, wciskając go delikatnie między pudło na świecę a zegar. — Przyszedłbym wcześniej, proszę pani — podjął już spokojniej — ale wiem, jak to bywa na przyjęciach, zawsze jest za mało miejsca w domu gospodarzy, więc pomyślałem, że przyjdę później, kiedy już minie pierwszy zamęt.

— Ja też tak myślałem, pani Yeobright — zapewniał uroczyście Christian — ale ojcu tak było pilno, że zapomniał o dobrym zachowaniu i wyszedł z domu

101

jeszcze przed zmrokiem. Tłumaczyłem mu, że to wprost nieprzyzwoicie, żeby starszy człowiek przychodził tak wcześnie, ale rzucałem słowa na wiatr.

— Bzdury! Niby to miałem czekać, aż pół zabawy przejdzie! Jestem zwinny jak kot,

kiedy się dzieje coś ciekawego — zagadkał Grandfer Cante ze swego miejsca przed kominkiem.

Tymczasem Fairway przyjrzał się krytycznie Clymowi.

— Pewnie mi nie uwierzycie — zwrócił się do zebranych — ale ja bym nigdy nie poznał tego pana, gdybym go nie spotkał na rodzinnym wrzosowisku. Tak się zmienił.

— Wyście się także zmienili, i myślę, że na lepsze, Tymoteuszu — stwierdził Clym, obrzucając baczny spojrzeniem krzepką postać Fairwaya.

— Panie Yeobright, niech no pan i na mnie spojrzysz. Zmieniłem się na lepsze, prawda? — powiedziawszy to Grandfer Cante wstał i podszedł do niego zupełnie blisko, żeby mu umożliwić wnikliwą ocenę.

— Oczywiście, że spojrzysz — rzekł Fairway biorąc świecę i przesuwał ją przed twarzą Grandfer'a. Obserwowany pojaśniał od jej blasku i rozplątał się w uśmiechach, pozwalając sobie na młodzieńcze ożywienie.

— Nie zmieniliście się wiele, Grandferze — stwierdził Clym.

— Jeśli jest jakaś różnica, to Grandfer najwyraźniej odmłodził — dodał Fairway stanowczo.

— Nie moja to zasługa i nie mam się czym chwalić — oświadczył zadowolony starzec. — Ale nic mnie nie wyleczy z moich dziwactw, których się nie wypieram. Tak, wiadomo, Cante nigdy się nie zmieni. Jednak nie równać mi się z panem, panie Clymie.

— Ani nam — powiedział Fairway z podziwem, ale cicho, tak by nie doszło to niczych uszu.

— Sprawiedliwie mówiąc, nie znalazłby się wśród nas nikt, kto mógłby zająć drugie, a nawet trzecie po panu miejsce, gdybym nie był kiedyś żołnierzem w pułku Chwatów, jak nas nazywano za naszą elegancję — ciągnął Grandfer Cante. — Ale nawet my wszyscy źle przy nim wyglądamy. W roku tysiąc osiemset czwartym ci, co mnie widzieli pędzącego ulicami wraz z całą kompanią owego dnia, kiedyśmy opuszczali Budmouth, bo doszły do nas wieści, że Bonaparte wylądował na przylądku... ci wszyscy mówili, że w całym południowym Wesseksie nie ma tak chwackiego chłopaka jak ja. No, bo byłem wtedy smukły jak topola, miałem rusznicę, bagnet i sztylpy, wysoki kołnierz wrzynał mi się w szczęki, a cały ekwipunek błyszczał jak siedem gwiazd. O tak, moi sąsiedzi, pięknie wyglądałem za żołnierskich dni! Szkoda, żeście mnie nie mogli widzieć w czwartym roku!

— Postawę wziął Clym po rodzinie matki, dzięki Bogu — odezwał się Tymoteusz. — Dobrze znałem jej braci. Dłuższych trumien nigdy nie robiono w całym hrabstwie i ludzie mówili, że biedny George musiał mieć trochę skulone nogi.

— Trumny? Gdzie trumny? — dopytywał się Christian, podchodząc ku nim. — Czy komuś ukazała się trumna, panie Fairway?

— Nie, nie. Słuchaj uchem, a nie brzuchem i zachowuj się jak mężczyzna — upomniał go Tymoteusz.

102

— Dobrze — powiedział Christian. — Ale właśnie przypomniałem sobie, że wczoraj wieczorem mój cień miał kształt trumny. Co to może znaczyć, sąsiedzi, kiedy cień ma kształt trumny? Chyba nie ma się czego bać?

— Bać się? Ależ skąd! — protestował jego ojciec. — Ja się nigdy niczego nie bałem, prócz Bonaparta! Inaczej nie byłbym takim dzielnym żołnierzem. Ach, co za szkoda, żeście mnie nie widzieli w roku osiemset czwartym!

Kolędnicy przygotowywali się do odejścia, ale pani Yeobright zatrzymała ich, prosząc, aby usiedli i zjedli kolację. Starszy Kolędnik w imieniu całej grupy przyjął chętnie zaproszenie.

Eustachia rada była, że może pozostać trochę dłużej. Mroźna noc wydawała jej się

teraz jeszcze bardziej nieprzyjemna. Ale z pozostaniem związane były pewne trudności. Pani Yeobright, z braku miejsca w gościnnej izbie, ustawiła dla kolędników ławę w drzwiach prowadzących do spiżarni i otwierających się w jej stronę. Zasiedli szeregiem, a więc właściwie pozostali w izbie gościnnej. Pani Yeobright szepnęła coś synowi, a ten, potrącając po drodze głową gałązki jemioli, podszedł do nich niosąc wołowinę, chleb, ciasto, słodczyce, miód i wino z czarnego bzu. Syn i matka sami roznosili potrawy i napoje, żeby ich młodziotka służąca mogła zasiąść z gośćmi. Chłopcy zrzucili hełmy i zabrali się do jedzenia i picia.

— Może jednak coś weźmiesz? — zapraszał Clym Turka, stojąc z tacą w rękę przed tym rycerzem, który odmawiał przyjęcia poczęstunku. Eustachia siedziała z twarzą zasłoniętą wstążkami, spoza których błyskały tylko jej oczy.

— Nie, dziękuję — powtórzyła.

— To jeszcze zupełny młodzik — usprawiedliwiał ją Saracen. — Musi mu pan wybaczyć. Nie z naszej paczki. Zastępuje chłopaka, który nie mógł przyjść.

— Skosztuj jednak czegoś — nalegał Clym. — Może szklaneczkę miodu albo wina z bzu?

— Racja, lepiej napij się trochę — radził Saracen. — Nie zmarzniesz w drodze do domu.

Eustachia nie mogła jeść z zakrytą twarzą, ale mogła z łatwością pić, wobec tego przyjęła wino i szklaneczka znikła pod jej wstążkami.

Chwilami w czasie przedstawienia Eustachię ogarniał lęk, że zostanie rozpoznana. Towarzyszyła temu jednak dziwna radość. Grzeczności, jakie świadczył jej — a właściwie nie jej, ale jakiejś fikcyjnej osobie — pierwszy mężczyzna, którego skłonna była uwielbiać, ogromnie skomplikowały jej uczucia. Kochała go trochę dlatego, że był kimś wyjątkowym w tej okolicy, trochę dlatego, że postanowiła go kochać, ale głównie dlatego, że znużywszy się Wil-deve'em, czuła rozpaczliwą potrzebę kochania. Przekonana, że musi go pokochać nawet wbrew swej woli, zasugerowała się tym podobnie jak drugi Lord Lyttleton i inne osoby, którym się kiedyś śniło, że określonego dnia umrą, i które siłą swej chorobliwej wyobraźni doprowadziły do tego, że tak się rzeczywiście stało. Niechaj raz dziewczyna dopuści do serca myśl, że o pewnej godzinie i w pewnym miejscu się zakocha — a na pewno tak się stanie.

Czy w tym momencie coś podpowiedziało Clymowi, że pod tym fantas-

103

tycznym strojem kryje się kobieta? Jak wielka była zdolność Eustachii do przeżywania uczuć i do budzenia ich w innych? I jak bardzo przerastała tą zdolnością swoich towarzyszy? Kiedy przebrana Królowa Miłości pojawiła się przed Eneaszem, towarzyszyła jej nieziemski woń, zdradzająca jej obecność. Jeżeli taka tajemnicza emanacja uczuć ziemskiej kobiety płynęła kiedykolwiek ku obiektowi jej miłości, to właśnie podobne zjawisko musiało zdradzić dymowi obecność Eustachii. Popatrzył na nią uważnie, potem popadł w zadumę, jakby zapominając, na co patrzy. Trwało to chwilę, później odszedł, a Eustachia popijała drobnymi łykami wino, nie wiedząc nawet, co pije. Człowiek, którego postanowiła kochać, wszedł do spiżarni i zniknął w jej czeluściach.

Jak już powiedzieliśmy, kolędnicy siedzieli na ławce, której jeden koniec, z braku miejsca w izbie gościnnej, stał w spiżarni. Eustachia, trochę powodowana onieśmieleniem, usiadła w samym środku i dzięki temu widziała zarówno wnętrze spiżarni, jak izbę z gośćmi. Kiedy Clym przechodził przez spiżarnię, jej oczy śledziły go w panującym tam mroku. W najdalszym końcu spiżarni znajdowały się drzwi, które — właśnie gdy on się do nich zbliżał — otworzyła z przeciwnej strony jakaś inna osoba i do spiżarni wpadł strumień światła.

Osobą tą była Tomasina. Trzymała w ręku świecę, była przejęta, blada i interesująca. Zdawało się, że Clym rad ją widzi. Uścisnął jej rękę.

— Dobrze się stało, Tomasino — powiedział, jak gdyby oprzytomniawszy na jej widok — że zdecydowałaś się zejść. Cieszę się z tego.

— Cicho, sza... — odrzekła szybko. — Przyszłam tylko z tobą porozmawiać.

— Ale dlaczego nie zostaniesz z nami?

— Nie mogę. W każdym razie wolę nie. Nie czuję się dobrze, a będziemy mieli jeszcze dużo czasu dla siebie, skoro zdecydowałaś się zostać w domu przez dłuższy czas.

— Ale z tobą byłoby przyjemniej. Naprawdę jesteś chora?

— Trochę, drogi kuzynie... tutaj — powiedziała, żartobliwie wskazując ręką na serce.

— A, pewno matka powinna jeszcze kogoś zaprosić na dzisiejszy wieczór?

— Och, nie, doprawdy. Zesłam na dół, Clymie, po prostu, żeby zapytać cię...

Poszedł za nią do znajdującego się za spiżarnią pokoju, a po zamknięciu drzwi Eustachia i siedzący koło niej chłopak, jedyni świadkowie całego zajścia, nic już więcej nie widzieli.

Krew napłynęła do twarzy Eustachii. Odgadła natychmiast, że Clym, który spędził w domu parę dni, nie został powiadomiony o przykrej sytuacji, w jakiej znalazła się Tomasina z powodu Wildeva'a, a ponieważ mieszkała nadal w rodzinnym domu, tak jak i przed jego wyjazdem, oczywiście nie podejrzewał niczego. Eustachia natychmiast poczuła wielką zazdrość o Torria-sinę. Pewno zachowała ona w sercu trochę uczuć do tamtego człowieka, ale jak długo to potrwa, skoro jest tu zamknięta z interesującym, bywałym w świecie kuzynem. Nie wiadomo, jak gorąca sympatia może już wkrótce połączyć tych dwoje przebywających bez ustanku z sobą i nie mających w po-

104

blizu żadnego godnego uwagi obiektu. Chłopięca miłość Clyma do Tomasiny mogła przygasnąć, ale łatwo może rozpaść się znowu.

Eustachia została uwikłana w sieć własnych przebiegłych machinacji. Co za szkoda, że jest w tym stroju, podczas gdy tamta ubrała się tak, aby jej było do twarzy. Gdyby wiedziała, jaki obrót weźmie to spotkanie, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby dostać się tutaj w normalny sposób. Urok jej twarzy nie może nikogo zwabić, czar jej uczuć nikogo poruszyć, kokieteria nikogo podbić, pozostał jej jedynie głos. Zrozumiała, co to za nieszczęsny los spotkał nimfę Echo. "Nikt tutaj nie okazuje mi szacunku" — pomyślała. Nie przewidziała, że przychodząc tu jako jeden z chłopców będzie też jak chłopak traktowana. Pod wpływem tej sytuacji stała się przewrażliwiona i niezdolna uznać lekceważenia za niezamierzone, co było samo przez się zrozumiałe.

Kobiety osiągnęły wiele w teatralnych strojach, i to nie tylko takie aktorki jak odtwórczyni roli Poiły Peachum* na początku ubiegłego stulecia i Lydia Languish** na początku naszego. Całe ich ławice dopłynęły szczęśliwie do upragnionego portu i zyskały miłość mężczyzn — prawie zawsze tych, o których im chodziło, i w dodatku książęce diademy. Ale kobieta w przebraniu Tureckiego Rycerza została pozbawiona nawet tej nikłej szansy przez powiewne wstęgi, których nie śmiała odsunąć z czoła.

Clym powrócił do pokoju bez kuzynki. Kiedy znalazł się w pobliżu Eustachii, przystanął, jak gdyby znowu uderzony jakąś myślą. Przyglądał się jej uważnie. Zmieszana, odwróciła twarz w drugą stronę, zastanawiając się, jak długo będzie trwać ta męka. Po chwili Clym odszedł.

Kobiety o gorącym usposobieniu wprost instynktownie sprowadzają na siebie porażki przez miłość. Walczące z sobą uczucia miłości, lęku i wstydu wywołały w

Eustachii stan najwyższego niepokoju. Największym jej pragnieniem stała się natychmiastowa ucieczka. Innym kołędnikom niespieszne było stamtąd wychodzić. Szepnęła siedzącemu przy niej chłopakowi, że woli czekać na nich w ogrodzie, podeszła do drzwi niepostrzeżenie, uchyliła je i wysliznęła się z izby.

Spokój i pustka przywróciły jej pewność siebie. Zbliżyła się do ogrodzenia i oparłszy się na palikach spoglądała na księżyc. Po chwili drzwi otworzyły się znowu. Eustachia obróciła się myśląc, że zobaczy kołędników — ale nie, to Clym Yeobright wymknął się tak cicho jak ona przedtem i zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do niej i stanął obok.

— Doszedłem do dziwnego wniosku — zaczął — i dlatego chciałem zadać jedno pytanie. Mówię z kobietą, prawda?

— Tak. Jestem kobietą.

Z zainteresowaniem przyglądał się jej postaci.

— Czy teraz dziewczyny często przebierają się za kołędników? Dawniej tego nie robiły.

— Teraz też nie.

— Więc dlaczego pani to zrobiła?

* Jedna z bohaterek Opery żebraczej Johna Gaya. ** Aktorka występująca w sztuce Rywale Richarda Sheridana.

105

— Żeby się trochę rozerwać i otrząsnąć z przygnębienia — odparła cichym tonem.

— A co panią przygnębiło?

— Życie.

— Z tą przyczyną przygnębienia wiele osób musi się pogodzić.

Tak. Długa cisza.

— A czy pani znalazła rozrywkę? — spytał wreszcie Clym.

— W tej chwili chyba tak.

— Więc denerwuje się pani tym, że ktoś ją poznał?

— Tak. Chociaż przewidywałam, że to może się stać.

— Z przyjemnością byłbym panią zaprosił na nasze przyjęcie, gdybym wiedział, że chce pani przyjść. Czy poznałem panią kiedyś?

— Nie. Nigdy.

— A może zechce pani wejść do środka i pozostać, jak długo pani zechce?

— Nie. Nie chciałabym, żeby mnie rozpoznano.

— Z mojej strony nic pani nie grozi. — Pomyślawszy chwilę, dorzucił łagodnie: — Nie będę już się pani narzucał. To dziwne spotkanie, ale nie będę pytał, dlaczego wykształcona kobieta gra taką rolę.

Nie udzieliła mu wyjaśnień, które miał nadzieję usłyszeć. Więc życzył jej dobrej nocy i udał się na tył domu. Spacerował tam przez chwilę, a potem wszedł do środka.

Eustachia, rozgrzana wewnętrznym ogniem, nie czekała już dłużej na towarzyszy.

Odrzuciła wstążki z twarzy, otworzyła furtkę i skierowała się ku wrzosowisku.

Nie spieszyła się zbyt. Dziadek był o tej porze w łóżku, ona bowiem tak często spacerowała po wzgórzach w noc księżycowe, że nie zwracał uwagi, czy wyszła i czy przyszła, i postępując według własnych upodobań, pozwalał jej czynić to samo. Zajmowała ją w tej chwili ważniejsza sprawa niż powrót do domu. Jeżeli Clym choć trochę się nią zainteresował, z pewnością odkryje, kim ona jest. A co wtedy? Początkowo upajała ją radość z takiego zakończenia przygody, chociaż chwilami czuła wstyd i zmieszanie. Potem zmroziła ją refleksja: na co się zda ten wyczyn? Jest zupełnie obca dla Yeobrightów. Na swe nieszczęście chyba przybrała tego mężczyznę w romantyczny nimb. Jak mogła dopuścić do zadurzenia się w kimsz zupełnie nie znanym? A na dodatek, dla dopełnienia czary

jej smutków, Tomasina całe dni spędzać będzie w niepokojącej bliskości swego kuzyna. Eustachia dowiedziała się przecież, że wbrew jej pierwotnym przekonaniom, zamierza on przez dłuższy czas pozostać w domu. Doszła do furtki w Mistover Knap, ale nim ją otworzyła, obróciła się i raz jeszcze spojrzała na wrzosowisko. Nad wzgórzami wznosił się Rainbarrow, a nad nim księżyc. Powietrze było ciche i mroźne. Ten widok przypomniawszy Eustachii coś, o czym zupełnie zapomniała. Przyrzekła spotkać się tego wieczora o ósmej z Wildeve'em i dać mu ostateczną odpowiedź co do planowanej przez niego wspólnej ucieczki.

Sama ustaliła czas i miejsce. Prawdopodobnie przyszedł, czekał na zimnie i odczuł wielki zawód.

— Ach, tym lepiej, nic mu się nie stanie — stwierdziła pogodnie. Obecny

106

II

obraz Wildeve'a był dla niej równie przyćmiony jak widok słońca oglądanego przez zadymione szkło, i bez trudności mogła wypowiadać takie zdania.

Trwała nadal w zadumie. Przypomniało się jej, w jak ujmujący sposób odnosiła się Tomasina do Clyma.

— O, gdybyż wyszła za Damona! — westchnęła Eustachia. — A tak by się stało, gdyby nie ja! Och, gdybym wiedziała... Gdybym tylko wiedziała...

Raz jeszcze wzniosła pełne buntu oczy ku księżycowi i wydałszy tragiczne westchnienie, wstrząsając całą jej postacią, zniknęła w cieniu domostwa. W przybudówce zrzuciła strój rycerza, zwinęła go i poszła do swojego pokoju.

VII SOJUSZ MIĘDZY PIĘKNĄ A DZIWAKIEM

Na ogół obojętność starego kapitana na to, co robi wnuczka, pozwalała Eustachii cieszyć się swobodą niczym ptak. Tym razem jednak tak się zdarzyło, że następnego ranka zapytał ją, dlaczego wychodziła o tak późnej porze.

— Tylko dlatego, żeby się coś działo, dziadku — powiedziała patrząc przez okno z ospałością, za którą kryła tyle potencjalnej siły.

— Żeby się coś działo... można by pomyśleć, że jesteś jednym z chłopaków, których znałem mając lat dwadzieścia.

— Tutaj takie odludzie.

— To dobrze. Gdybyśmy mieszkali w mieście, cały czas miałbym zajęty pilnowaniem ciebie. Spodziewałem się zastać cię w domu, kiedy wróciłem z oberży.

— Nie będę ukrywać, co zrobiłam. Pragnęłam jakiejś przygody i poszłam z kołędnikami. Grałam rolę Tureckiego Rycerza.

— Coś takiego! Cha, cha! Wielki Boże! Nigdy nie spodziewałem się czegoś podobnego po tobie, Eustachio!

— To był mój pierwszy występ i z pewnością ostatni. No więc powiedziałam ci, dziadku, i pamiętaj, że to sekret.

— Oczywiście. Ale Eustachio, tyś nigdy... Cha, cha! Doprawdy, jak by mnie to bawiło czterdzieści lat temu! Ale pamiętaj, nie rób już tego więcej, moja dziewczusko. Możesz spacerować po wrzosowisku dzień i noc, żeby mi nie zawracać głowy, ale żadnego paradowania w spodniach.

— Nie ma obawy, dziadku.

Na tym rozmowa się skończyła. Pouczenia moralne, których udzielał Eustachii, nigdy nie były surowsze niż te słowa i jeżeli zaowocowałyby dobrymi czynami, stałoby się to niezbyt wielkim kosztem.

Myśli dziewczyny wkrótce odbiegły daleko od niej samej i całkowicie pochłonięta kimś, kto nie znał nawet jej imienia, wyruszyła na ciemne, puste wrzosowisko, niespokojna jak Ahaswer, Żyd Wieczny Tułacz. Odeszła już około pół mili od domu, kiedy w rozciągającym się przed nią parowie dostrzegła złowieszczą plamę

czerwieni, przygaszonej i bladej jak płomień w blasku słońca. Zgadła, że to Diggory Venn.

107

Kiedy w ciągu ostatniego miesiąca wieśniacy, pragnąc nabyć nowy zapas farby, zapytywali, gdzie mają szukać Yenna, mówiono im: na egdońskim wrzosowisku. Dzień po dniu odpowiedź brzmiała tak samo. Ponieważ jednak na Egdonie pasły się głównie dzikie koniki, a mieszkańcy zajmowali się ścinaniem janowca, nie hodowłą owiec, te zaś w większości wypasano w dolinach i na pagórkach leżących na północ i na zachód od wrzosowiska, powód, który go skłonił, by tu właśnie rozbić obóz, niczym Izrael na pustyni Sin, był niejasny. Zajął co prawda pozycję centralną, a więc niekiedy korzystną, pozostawał jednak na wrzosowisku nie tylko dla sprzedawania farby, zwłaszcza że panowały już chłody i większość podobnych mu podróżników udawała się na zimowe leża.

Eustachia przyjrzała się temu samotnemu mężczyźnie. Wildeve powiedział przy ostatnim spotkaniu, że według słów pani Yeobright on właśnie jest człowiekiem, który chętnie zająłby jego miejsce jako narzeczony Tomasiny. Figurę miał bez zarzutu, młodą twarz, ładne rysy, żywe oko, bystrą inteligencję i zawód dający perspektywy na przyszłość. Mimo to mało było prawdopodobne, aby Tomasina przyjęła owego koczownika, mając przy sobie kogoś takiego jak kuzyn Clym, a także nie całkiem obojętnego Wildeve'a.

Eustachia szybko odgadła, że biedna pani Yeobright, zaniepokojona przyszłością bratanicy, wspomniała o tym konkurencie dla pobudzenia uczuć drugiego. Młoda kobieta stała teraz po stronie ciotki i postanowiła poprzeć jej starania.

— Dzień dobry pani — powitał ją Venn, zdejmując czapkę z zajęczej skóry.

Najwidoczniej nie żywił żalu po niedawnym spotkaniu.

— Dzień dobry — odpowiedziała, ale nie pofatygowała się nawet na tyle, by podnieść ciężkie powieki i spojrzeć na niego. — Nie wiedziałam, że pan przebywa tak blisko. Czy ma pan ze sobą wóz?

Venn wskazał łokciem zagłębienie terenu, w którym gęste zarośla jeżyn o fioletowawych łodygach tak się rozrosły, że utworzyły niemal pieczarę. Jeżyny, choć nieprzyjemne w dotknięciu, wczesną zimą zapewniają dobre schronienie, ich krzewy bowiem najpóźniej tracą liście. Przez koronkę splecionych gąszczów prześwitywał dach i komin wozu Yenna.

— Pan zostaje w tych okolicach? — zapytała z większym zainteresowaniem.

— Tak, mam tu pewne sprawy do załatwienia.

— Nie tylko sprzedaż farby?

— Te sprawy nie mają z farbą nic wspólnego.

— Ale dotyczą panny Yeobright?

Wyraz jej twarzy zdawał się prosić o zawieszenie broni i dlatego powiedział szczerze:

— Tak, proszę pani, właśnie jej.

— W związku z waszym ewentualnym małżeństwem? Czerwień krwi przebiła przez czerwień farby na jego twarzy.

— Niech pani nie naśmiewa się ze mnie, panno Vye.

— A więc to nieprawda?

— Oczywiście, że nieprawda.

108

Tak więc się przekonała, że pani Yeobright uważa sprzedawcę farby po prostu za pis aller* i że w dodatku nie został nawet poinformowany o promowaniu go na to skromne stanowisko.

— Tak mi to przyszło do głowy — wyjaśniła spokojnie i miała już odejść bez dalszych słów, kiedy obejrzawszy się na prawo, zobaczyła w dole aż nazbyt dobrze

znaną postać, która wspinała się serpentyną prowadzącą na szczyt. Ścieżka w tym miejscu skręcała, tak że nadchodzący człowiek zwrócony był w tej chwili tyłem do dziewczyny. Rozejrzała się szybko dookoła: widziała tylko jeden sposób ucieczki. Zwróciła się do Yenna z zapytaniem:

— Czy pozwoli mi pan odpocząć chwilę w swoim wozie? Tutaj jest zbyt wilgotno, nie można usiąść.

— Naturalnie, zrobię dla pani miejsce.

Idąc za nim weszła do jeżynowej doliny i zbliżyła się do domu na kółkach. Yenn wskoczył szybko do wozu i umieścił trójnog w drzwiach.

— Nic lepszego nie mogę pani ofiarować — powiedział. Zszedł z wozu i wróciwszy na ścieżkę spacerował tam i z powrotem, paląc fajkę.

Znalazłszy się w wozie, Eustachia usiadła na stołku. Od strony ścieżki osłaniała ją ściana. Wkrótce dobiegło jej uszu czyjeś stąpanie, inne niż Yenna, i usłyszała, jak dwaj mężczyźni mijając się wymienili niezbyt przyjazne “dobry wieczór”, a potem przycichający odgłos kroków tego z nich, który się oddalał. Wyciągnęła szyję i mignęły jej przed oczyma już tylko plecy i ramiona. Nie wiedząc czemu, poczuła dojmujący smutek. Było to owo przykre uczucie, które — jeżeli obojętniejące serce ma w sobie choć odrobinę szlachetności — budzi się na niespodziewany widok kochanej ongiś osoby.

Kiedy Eustachia zeszła z wozu, aby udać się dalej w drogę, zbliżył się do niej sprzedawca farby.

— Pan Wildeve tędy przechodził, proszę pani — oznajmił z wolna z takim wyrazem twarzy, jakby się obawiał, że Eustachii będzie przykro, że jej nie widział.

— Zauważyłam, jak wchodził na górę — odpowiedziała młoda kobieta. — A dlaczego pan mi o tym mówi?

Było to śmiałe pytanie, ponieważ Yenn wiedział o jej miłości, jednakże Eustachia przez swą rezerwę w stosunku do ludzi, których traktowała jako obcych, potrafiła wpływać na ich opinie.

— Miło mi słyszeć, że pani o to pyta — przyznał Yenn otwarcie. — I myślę, że to się zgadza z tym, co widziałem wczoraj wieczór.

— A... co to było takiego? — Eustachia chciała już odejść, ale zarazem chciała wiedzieć.

— Pan Wildeve długo stał pod Rainbarrow czekając na pewną panią, która nie przyszła.

— A więc i pan czekał?

— Tak, jak zawsze. Z przyjemnością zobaczyłem, że się nie doczekał. Przyjdzie tam dziś wieczór.

— I znowu spotka go zawód. Mówiąc całą prawdę, sprzedawco farby, ta To, czym się trzeba zadowolić w braku czegoś lepszego (fr.).

l

109

pani nie tylko nie chce przeszkadzać małżeństwu Tomasiny z panem Wil-deve'em; ale nawet rada by się do tego przyczynić.

Bardzo zdziwiło Yenna to zapewnienie, choć nie okazał swych uczuć wyraźnie. Zdziwienie bowiem okazujemy zazwyczaj wtedy, kiedy czyjeś słowa niewiele odbiegają od naszych oczekowań, lecz kiedy nas zaskoczą, zachowujemy się bardziej powściągliwie.

— Ach tak, proszę pani — odpowiedział.

— A skąd pan wie, że pan Wildeve przyjdzie pod Rainbarrow dziś wieczór?

— Słyszałem, jak to mówił sam do siebie. Był wściekły. Przez chwilę twarz Eustachii odbijała jej uczucia. Niespokojnie podnosząc na Yenna wielkie ciemne oczy szepnęła:

— Nie wiem, co robić. Nie chciałabym być wobec niego nieuprzejma, ale nie życzę sobie go więcej widywać, a mam mu jeszcze parę drobiazgów do zwrócenia.

— Gdyby pani nie robiło różnicy posłanie ich przeze mnie, a także listu, że już nie chce się pani z nim widzieć, załatwiłbym to bez rozgłosu. W ten najprostszy sposób zawiadomiłaby go pani o swej woli.

— Doskonale — powiedziała Eustachia. — Niech pan pójdzie w stronę mego domu, to dam panu list.

Ruszyła w powrotną drogę, a ponieważ ścieżka biegła bardzo wąskim przesmykiem, rozdzielającym morze wrzosu, sprzedawca czerwonej farby postępował za nią krok w krok. Dostrzegła z daleka, że kapitan spaceruje po nasypie i ogląda okolicę przez teleskop, poprosiła więc Yenna, aby poczekał na nią, i weszła do domu.

Po dziesięciu minutach wróciła niosąc list i pakiecik. Oddając mu je zapytała:

— Dlaczego tak chętnie robi to pan dla mnie?

— Jak może pani o to pytać?

— Zapewne uważa pan, że w ten sposób oddaje usługę Tomasinie. Czy nadal chce się pan przyczynić do tego małżeństwa?

— Wolałbym ją sam poślubić — powiedział cicho wzruszony Yenn. — Ale moim zdaniem, jeśli może być szczęśliwa tylko z tamtym człowiekiem, powinienem postąpić po męsku i pomóc jej go zdobyć.

Eustachia przyjrzała się ciekawie mężczyźnie wyrażającemu podobny pogląd. Co za dziwny rodzaj kochania całkowicie pozbawiony egoizmu, który często jest głównym, a czasami jedynym składnikiem owej namiętności. Bezinteresowność Yenna tak bardzo zasługiwała na szacunek, że stawała się czymś wprost trudnym do pojęcia i Eustachia uznała ją niemal za niedorzeczną.

— W takim razie oboje jesteśmy wreszcie jednego zdania.

— Właśnie — potwierdził pośępnie Yenn. — Ale gdyby zechciała mi pani powiedzieć, dlaczego tak się interesuje Tomasina, czułbym się znacznie lepiej. Jakie to wszystko niespodziane i dziwne.

Eustachia wydawała się zmieszana.

— Nie mogę panu tego wyjaśnić, sprzedawco farby — odparła chłodno. Yenn nic nie powiedział. Wsadził list do kieszeni i ukłoniwszy się odszedł.

110

Rainbarrow znowu tonęło w nocnym mroku, gdy Wildeve począł się wspinać na jego zbocze. Kiedy znalazł się na szczycie, czyjaś postać wyrosła tuż za nim jak spod ziemi. Był to wysłannik Eustachii. Poklepał Wildeve'a i eks-in-żynier drgnął jak Szatan za dotknięciem włóczni Ituriela. *

— Spotykamy się zawsze o ósmej wieczorem na tym miejscu — powiedział Yenn — i oto jesteśmy we troje.

— We troje? — zapytał Wildeve i rozejrzał się dokoła.

— Tak, pan, ja i ona. Oto ona — wyciągnął list i pakiecik. Zdumiony Wildeve wziął je do ręki i powiedział:

— Nie rozumiem, co to znaczy. Jak to się stało, że pan tu przyszedł? To jakaś pomyłka.

— Wszystko się wyjaśni, kiedy pan przeczyta list. Oto latarnia. Yenn zapalił krótką łojową świecę, którą przyniósł ze sobą, i osłonił ją czapką.

— Kim pan jest? — dopytywał Wildeve, dostrzegłszy w blasku świecy dziwne ciemnoczerwone zabarwienie towarzysza. — To pan jest sprzedawcą farby, którego widziałem na wzgórzu dziś rano... ależ pan jest tym człowiekiem, który...

— Proszę przeczytać list.

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pana czart tu przysłał — mruczał Wildeve otwierając list. Po kilku zdaniach spowaźniał.

Do Pana Wildeve'a

Po namyśle zdecydowałam raz na zawsze, że nie będziemy się więcej spotykać ani korespondować. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większą mam pewność, że trzeba położyć kres naszej znajomości. Gdybyś był mi wierny przez te dwa lata, miałbyś prawo oskarżyć mnie o brak serca, ale jeśli spokojnie pomyślisz nad tym, co przesłałam, kiedyś mnie porzucił, i jak bez sprzeciwu znosiłam Twoje starania o względy innej i nie przeszkadzałam, przyznasz chyba, że teraz, kiedy znowu do mnie wracasz, mam prawo kierować się własnymi uczuciami. Nie są one takie jak kiedyś, co jest zapewne moją winą, ale nie powinienes robić mi wyrzutów — przypomnij sobie, jak opuściłeś mnie dla Tomasiny.

Upominki, które mi ofiarowałeś na początku naszej przyjaźni, zwracam za pośrednictwem oddawcy tego listu. Powinnam była je odesłać, kiedy po raz pierwszy usłyszałam o Twoich zaręczynach.

Eustachia

Wildevé czytał ten list ze zmieszaniem, ale nim go skończył, widać było, że czuje się upokorzony.

— Tak czy inaczej, zrobiono ze mnie głupca — powiedział w rozdrażnieniu. — Czy pan wie, co jest w tym liście?

* John Milton, Raj utracony, ks. IV, słowa Cherubina: “Pochłoniętego tym trącił Ituriel lekko swą włócznią, gdyż nie może żaden fałsz stawić czoła dotknięciu niebios, lecz musi postać odzyskać prawdziwą.” Przekład M. Słomczyńskiego.

111

Venn zaczął coś nucić pod nosem.

— Czy nie może mi pan odpowiedzieć? — niecierpliwiał się Wildevé.

— Rum-tum-tum-tum — śpiewał Venn.

Wildevé stał z oczami utkwionymi w ziemię tuż obok sprzedawcy farby, a potem podniósł wzrok i zlustrował spojrzeniem całą jego postać oświetloną blaskiem łójówki.

— Cha, cha! No cóż, chyba zasłużyłem na taką odprawę, zważywszy, jak igrałem z nimi obiema — powiedział w końcu, zarówno do samego siebie, jak i do Yenna. — Ale ze wszystkich dziwnych rzeczy, jakie mi się w życiu zdarzyły, najdziwniejsze jest to, że pan przynosi ten list, choć to godzi w pana własne interesy.

— Godzi w moje interesy?

— Naturalnie. W pańskim interesie leżało nie robić nic, co by mnie nakłoniło do starania się znów o rękę Tomasiny... skoro ona pana przyjęła... czy coś takiego.

Pani Yeobright mówi, że pan zamierza ją poślubić. A więc to nieprawda?

— Wielki Boże! Słyszałem już o tym, ale nie wierzyłem. Kiedy to powiedziała?

Wildevé zanucił, jak poprzednio Venn:

— Rum-tum-tum!

— O Boże, jak pan umie naśladować! — zawołał Venn pogardliwie. — Muszę tę sprawę wyjaśnić. Idę prosto do Tomasiny.

Diggory oddalił się zdecydowanym krokiem, Wildevé mierzył go pogardliwym spojrzeniem jak dzikiego konia z wrzosowiska. Kiedy zniknął mu z oczu, zszedł z boczem w ciemność doliny.

Miał stracić dwie kobiety, on, którego kochały obie. Zakończenie było zbyt ironiczne, aby mógł się z nim pogodzić. Zdoła ocalić honor jedynie przez małżeństwo z Tomasiną. Kiedy raz zostanie jej mężem, dla Eustachii rozpocznie się długi i gorzki okres skruchy. Nic dziwnego, że Wildevé, nie wiedząc, kto się za tym kryje, myślał, że postępowanie Eustachii to tylko gra. Po to, aby mógł uwierzyć, że list nie jest wynikiem chwilowego rozdrażnienia, i wyciągnąć wniosek, że Eustachia naprawdę oddaje go Tomasinie, musiałby wiedzieć o zmianie, jaka w niej nastąpiła pod wpływem tamtego człowieka. Kto mógł zgadnąć, że stała się hojna dzięki nowej namiętności, że okazuje szczodrość swej rywalce pożądaną

jej kuzyna?

Wildeve podążał do Blooms-End — zdecydowany zawrzeć szybko małżeństwo i złamać serce dumnej dziewczynie.

Tymczasem Diggory Venn powrócił do wozu i stał przed piecykiem, patrząc w zamyśleniu w ogień. Otwierały się przed nim nowe perspektywy. Bez względu jednak na to, jak wiele pomoc mogła przychylna opinia pani Yeobright, jeden warunek był konieczny dla zdobycia względów Tomasiny, a mianowicie wyrzeczenie się obecnego trybu życia. Nie wydawało mu się to trudne.

Nie może czekać do jutra. Musi zobaczyć się z Tomasiną i przedstawić jej swój plan. Zabrał się spieszenie do zabiegów toaletowych, wyciągnął z pudła garnitur i po dwudziestu minutach stał przed latarnią wozu, nie przypominając w niczym sprzedawcy farby, z wyjątkiem twarzy, z której czerwonej barwy

112

nie dawało się zmyć tak szybko. Zamknawszy drzwi na kłódkę, wyruszył w kierunku Blooms-End.

Kiedy zbliżył się do białego ogrodzenia i kładł rękę na furtce, drzwi domu się otworzyły i szybko znowu zamknęły. Kobięca postać wśliznęła się do środka. Jednocześnie mężczyzna, który najwidoczniej stał razem z nią na ganku, wyszedł stamtąd i stanął twarzą w twarz z Yennem. Był to Wildeve.

— Człowieku! Aleś pan szybki — rzucił uszczypliwie Venn.

— A pan powolny, jak się zaraz okaże — odparł tamten. — I — tu zniżył głos — może pan równie dobrze wracać do siebie. Prosiłem o jej rękę i otrzymałem zgodę. Dobranoc, sprzedawco farby!

Nadzieje Yenna zgasły, choć co prawda nie rozniecał ich nadmiernie. Przez kilkanaście minut stał niezdecydowany, wsparty o ogrodzenie. Potem poszedł ścieżką do domu i zapukał pytając, czy zastał panią Yeobright w domu.

Nie poprosiła go do środka, lecz sama wyszła na ganek. Przynajmniej przez dziesięć minut toczyli rozmowę ściszym, spokojnym tonem. Potem pani Yeobright weszła do domu, a Yenn w smutku wracał na wrzosowisko. Doszedłszy do wozu, zapalił latarnię, z wyrazem apatii zdjął strój wizytowy i po paru minutach wyglądał znów jak związany bezpowrotnie ze swym zawodem sprzedawcy farby.

VIII MOC ŁAGODNEGO SERCA

Tego wieczoru wewnątrz Blooms-End, chociaż zaciszne i wygodne, wydawało się raczej ciche, dyma Yeobrighta nie było w domu. Po przyjęciu świątecznym udał się z parodniową wizytą do przyjaciela mieszkającego w odległości dziesięciu mil.

Niewyraźna postać, którą Yenn zobaczył na ganku obok Wildeve'a i która w chwilę później zniknęła za drzwiami domu, to była Tomasiną. Wróciwszy do pokoju, zsunęła z siebie niedbale zarzucony płaszcz i podeszła do pani Yeobright, która siedziała w blasku świecy przy stole przysuniętym do ławy koło kominka.

— Nie lubię, jak wychodzisz sama po ciemku, Tomasino — rzekła spokojnie ciotka, nie podnosząc oczu znad robótki.

— Byłam tylko za drzwiami.

— No i cóż? — spytała pani Yeobright.

Uderzona tonem głosu Tomasiny zaczęła się jej przyglądać. Policzki dziewczyny pały jak nigdy dawniej, a oczy lśniły.

— To on stukał.

— Tak też myślałam.

— Chce, żeby ślub odbył się zaraz.

— Doprawdy?! I co... bardzo nalega? — Pani Yeobright przeszła bratanicę badawczym spojrzeniem. — Dlaczego pan Wildeve nie wszedł?

— Nie życzył sobie. Powiedział, że nie jesteś mu przychylna. Chce, żeby ślub się odbył w tajemnicy pojutrze w jego parafii, nie w naszej.

— O! A ty coś mu powiedziała?

— Zgodziłam się — odparła Tomasina mocnym głosem. — Jestem teraz bardziej życiowa. Nie wierzę w żadne tam uczucia. Zgodziłabym się go poślubić pod każdym warunkiem od czasu... od listu Clyma.

W koszyczku do szycia leżał list. Po tych słowach pani Yeobright otworzyła go i odczytała po raz dziesiąty tego dnia.

Co ma znaczyć ta głupia historia, która krąży między ludźmi na temat Tomasiny i pana Wildeve'a? Uważałbym to za okropny skandal, gdyby się okazało, że jest w tym choć cień prawdy. Jak mogła powstać taka brednia? Podobno trzeba daleko wyjechać, żeby posłyszeć, co się dzieje w domu, i w moim wypadku jest tak samo. Oczywiście, zaprzeczam tej plotce wszędzie, ale bardzo mnie to drażni i zastanawiam się, z czego się zrodziła. Nie do pojęcia, żeby taka dziewczyna jak Tomasina mogła przynieść nam tyle wstydu i dopuścić do zerwania zaręczyn) akurat w dzień ślubu. Co ona takiego zrobiła?

— Tak — powiedziała smutno pani Yeobright, odkładając Ust. — Jeśli uważasz, że możesz wyjść za niego za mąż, proszę bardzo. I skoro pan Wil-deve życzy sobie, żeby ślub był cichy, niech tak będzie. Nic na to nie poradzę. Wszystko teraz zależy od ciebie. Przestałam mieć wpływ na twój los, od kiedy opuściłaś mój dom i poszłaś z nim do Anglebury. — I niemal z goryczą ciągnęła: — Powinnam właściwie zapytać, dlaczego radzisz się mnie w takiej sprawie? Gdybyś wyszła za niego za mąż nie mówiąc mi ani słowa, też bym nie mogła się gniewać, po prostu dlatego, biedna dziewczyno, że to najlepsze wyjście.

— Nie mów tego, ciociu, bo mi odbierasz odwagę.

— Masz rację, już nie będę.

— Ja go nie bronię, ciociu. Ludzka natura jest ułomna, a ja nie jestem ślepa i nie twierdzę, że on jest doskonały. Myślałam tak o nim kiedyś, ale dziś już przestałam. Wiem jednak, co powinnam zrobić, i ty także wiesz. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej.

— I ja tak samo myślę, i będziemy obie trwać w tej wierze — powiedziała pani Yeobright wstając i całując Tomasinę. — A więc ślub, jeżeli do niego dojdzie, odbędzie się rankiem tego dnia, kiedy Clym ma wrócić do domu.

— Tak. Uznałam, że powinien się odbyć, zanim on wróci. Wtedy będziemy mu mogły śmiało spojrzeć w oczy. To, że przedtem taiłyśmy przed nim wszystko, nie będzie już miało znaczenia.

Pani Yeobright w zamyśleniu przytaknęła, a potem zapytała:

— Czy chcesz, żebym cię prowadziła do ołtarza? Jeżeli sobie życzysz, podobnie jak poprzednim razem, jestem gotowa to zrobić. Ponieważ zerwałam zapowiedzi, chyba przynajmniej tyle jestem ci winna.

— Nie będę cię o to prosić, ciociu — oświadczyła Tomasina z ociąganiem, ale stanowczo. — Na pewno byłoby ci przykro. Lepiej, jeśli zawrzemy ślub tylko w obecności obcych, bez mojej rodziny. Tak będzie najśluszniej. Nie chcę zrobić nic, co mogłoby cię urazić, i wydaje mi się, że czułabym się niezręcznie, gdybyś tam była po tym wszystkim, co zaszło. Jestem tylko twoją bratanicą i nie ma powodu, żebyś musiała się dłużej o mnie troszczyć.

— No tak, on nas pokonał — odparła ciotka. — Myślę, że igra z tobą w ten sposób, żeby się zemścić za upokorzenie, jakiego kiedyś doznał, odtrącony przeze mnie.

— Ach nie, ciociu — szepnęła Tomasina.

Nie mówiły już więcej na ten temat. Wkrótce potem Diggory Venn zapukał do drzwi. Pani Yeobright po rozmowie z nim na ganku oznajmiła obojętnie:

— Inny konkurent przyszedł prosić o ciebie.

— Czyżby?

— Tak, ten dziwny młody człowiek, Venn.

— Pyta, czy może się o mnie starać?

— Tak, a ja mu powiedziałam, że się spóźnił. Tomasina w milczeniu wpatrywała się w blask świecy.

— Biedny Diggory! — powiedziała po chwili i zajęła się czymś innym.

Następny dzień upłynął im na czysto mechanicznych przygotowaniach do ślubu, obie kobiety pragnęły bowiem zatracić się w pracy i nie dopuszczać do siebie żadnych wzruszeń związanych z tą sytuacją. Zbierały ponownie ubrania i inne rzeczy Tomasiny i często wymieniały uwagi na temat domowych spraw, pragnąc zagłuszyć nurtujące je złe przecucia co do przyszłości Tomasiny jako żony Wildeve'a. Nadszedł wyznaczony dzień. Tomasina i Wildeve postanowili spotkać się od razu w kościele, aby nie budzić ludzkiej ciekawości, która mogłaby przejawiać się w nieprzyjemny sposób, gdyby widziano ich idących razem, wedle miejscowego obyczaju.

Ciotka i bratanica znajdowały się właśnie w sypialni, gdzie ubierała się panna młoda. Promienie słońca błyszczały jak w lustrze we włosach dziewczyny. Zawsze je zaplatała, ale zależnie od okazji czyniła to w różny sposób: im ważniejszy był dzień, tym więcej miała warkoczy. W dzień powszedni — trzy, w niedziele — cztery, w czasie pierwszomajowej zabawy ludowej i podobnych uroczystości — pięć. Dawno zapowiedziała, że w dzień ślubu będzie mieć siedem warkoczy. Tak też zaplotła włosy.

— Mimo wszystko włożę jedwabną niebieską suknię — odezwała się Tomasina. — Przecież to dzień mojego ślubu, choć jest w nim coś smutnego. To znaczy — dodała, nie chcąc, by jej słowa sprawiły niewłaściwe wrażenie — smutnego tylko przez to, że poprzedził go wielki zawód i przykrość.

Pani Yeobright odetchnęła w taki sposób, że można by to nazwać westchnieniem.

— Jednak szkoda, że Clyma nie ma w domu — powiedziała. — Tyś, naturalnie, wybrała taki termin z tego właśnie powodu.

— Częściowo. Czuję, że postąpiłam trochę nieuczciwie w stosunku do niego, nic mu nie mówiąc, ale skoro zrobiłam to, nie chcąc go zasmucać, muszę doprowadzić mój plan do końca i wyjawic mu całą prawdę, kiedy już niebo się rozchmurzy.

— Rozsądna z ciebie kobietka — rzekła z uśmiechem pani Yeobright. — Żałuję, że ty i on... nie, niczego nie żałuję. Już dziewiąta — ponagliła ją, posłyszawszy skrzywienie i bicie zegara na dole.

115— Powiedziałam Damonowi, że wyjdę o dziewiątej — zawołała Tomasina i wypadła z pokoju.

Ciotka poszła za bratanicą. Z ciężkim sercem patrzyła na Tomasinę podążającą ścieżką do furtki.

— To wstyd puszczać cię samą — powiedziała.

— Tak trzeba — zapewniła ją dziewczyna.

— W każdym razie — dodała ciotka z wymuszoną pogodą — przyjdę do was w odwiedziny dziś po południu i przyniosę ciasto. Jeśli Cłym już wróci, pewno też przyjdzie. Chcę okazać panu Wildeve'owi, że nie jestem mu nieżyczliwa. Trzeba zapomnieć o przeszłości. Niech cię Bóg błogosławi! Nie wierzę w stare przesady, ale niech tam! — Rzuciła pantoflem za oddalającą się dziewczyną, a ta się odwróciła, uśmiechnęła i poszła dalej.

Obejrzała się po paru krokach.

— Czy mnie wołałaś, ciociu? — zapytała drżącym głosem. — Do widzenia!

Kiedy spojrzała na jej zniszczoną, zalaną łzami twarz, pod wpływem nie dającego się opanować uczucia zawróciła, a pani Yeobright podeszła ku niej.

— O, Tomasino! — łkała starsza kobieta. — Z ciężkim sercem pozwalam ci iść!

— Ja... ja jestem... — zaczęła Tomasina i również się rozpląkała. Ale opanowała smutek i powiedziawszy znowu: — Do widzenia -^x>deszła.

Pani Yeobright wpatrywała się w drobną figurkę na krętej ścieżynie między kolczastymi krzewami janowca niknącą w oddaleniu, aż stała się maleńką plamką jasnego błękitu na szerokim obszarze burego brązu, samotną i bezbronną, wspieraną jedynie mocą własnych nadziei.

Nie pojawił się na szczęście w tej scenerii element najmniej teraz pożądany: mężczyzna.

Porę ceremonii ślubnej wybrano tak, aby Tomasina nie znalazła się w niezręcznej sytuacji, spotykając po drodze kuzyna, który miał wrócić do domu tego samego ranka. Musiałaby wtedy przyznać, że w tym, co słyszał, tkwiło ziarno prawdy, a takie oświadczenie nie przysłoby jej łatwo, póki trwało upokorzenie wynikłe z bezowocnej wyprawy do Anglebury. Dopiero po drugiej uwieńczonej sukcesem wędrówce do kościoła mogłaby śmiało spojrzeć mu w oczy i dowieść, że niepowodzenie pierwszej wyprawy spowodował czysty przypadek.

Nie minęło nawet pół godziny od wyjścia Tomasiny, kiedy polami z drugiej strony nadszedł Clym Yeobright.

— Wczesnie jadłem śniadanie — powiedział po przywitaniu się z matką — i teraz chętnie bym coś jeszcze zjadł.

Zasiedli do stołu i Clym odezwał się z przejęciem, choć cicho, myśląc zapewne, że Tomasina jest jeszcze na górze.

— A co to za plotki krążą o Tomasinie i panu Wildevie?

— Jest w nich trochę prawdy — odparła spokojnie matka — ale teraz, mam nadzieję, już po kłopotach. — Spojrzała na zegarek.

— Trochę prawdy?

— Tomasina poszła dziś do niego.

116

Clym odsunął śniadanie.

— A więc doszło do jakiegoś skandalu i to ją dręczyło. Czy dlatego była chora?

— Tak. Ale to nie skandal, tylko nieszczęście. Powiem ci wszystko, dymie. Jednak nie wolno ci się gniewać, musisz mnie wysłuchać, a zrozumiesz, że nie mogłyśmy postąpić inaczej.

Opowiedziała mu wszystko szczegółowo. Clym przed powrotem z Paryża wiedział tylko, że między Tomasina a Wildevem zrodziło się uczucie, które matka z początku lekceważyła, później, dzięki perswazjom Tomasiny, oceniała trochę przychylniej. Toteż kiedy zaczęła mu wszystko wyjaśniać, zdziwił się i zmartwił.

— Więc Tomasina zdecydowała, że ślub powinien się odbyć, zanim ty wrócisz — ciągnęła pani Yeobright — żeby nie musiała przedtem spotkać się z tobą, co byłoby dla niej bardzo bolesne. Dlatego właśnie poszła teraz do niego.

Uzgodnili, że ślub wezmą dziś rano.

— Zupełnie tego nie pojmuję — powiedział Clym wstając. — to do niej niepodobne.

Mogę zrozumieć, że nie chciała pisać do mnie po niefortunym powrocie z Anglebury, ale dlaczego mnie nie zawiadomiłyście, kiedy miał się odbyć jej ślub

— ten pierwszy?

— No cóż, byłam wtedy na nią zła. Sądziłam, że jest uparta, a kiedy się przekonałam, że nic dla niej nie znaczysz, przysięgam sobie, że i ty jej odpłacisz tym samym. Jest tylko moją bratanicą, więc jej powiedziałam, że może wychodzić za męża, mnie to nie obchodzi i tobie też tym głowy zawracać nie będę.

— Dla mnie to nie jest zawracanie głowy. Źle zrobiłaś, matko!

— Obawiałam się, że może ci to przeszkodzić w interesach, że z tego powodu rzucisz pracę albo zmarnujesz jakieś szansę, więc nic ci nie pisałam. Oczywiście, gdyby w tym czasie zawarli ślub, jak należy, napisałabym ci od razu.

— Tomasina bierze właśnie ślub, a my tu siedzimy!

— Tak. Weźmie ślub, o ile się znów coś nie zdarzy, jak za pierwszym razem, co jest możliwe, bo to ten sam mężczyzna.

— Ufam, że tak nie będzie. Czy można było pozwolić jej iść samej? A jeżeli Wildeve jest rzeczywiście złym człowiekiem?

— Wtedy nie przyjdzie i ona wróci do domu.

— Powinnaś była, matko, lepiej tego dopilnować.

— Na nic się zda takie gadanie — odpowiedziała pani Yeobright, smutna i zniecierpliwiona. — Nie wiesz, dymie, jak nam ciężko było przez ostatnie tygodnie. Nie wiesz, jak kobieta może się dręczyć taką sprawą. Nie wiesz nic o naszych bezsennych nocach pod tym dachem ani o tym, że od piątego listopada dochodziło między nami do ostrych słów. Mam nadzieję, że podobnych siedem tygodni nie powtórzy się już nigdy w moim życiu. Tomasina nie wychodziła z domu, a ja nie śmiałam nikomu spojrzeć w oczy. A teraz czynisz mi wyrzuty, że pozwoliłam jej zrobić jedyną rzecz, jaką można było zrobić, żeby skończyła się ta męka.

— Nie — powiedział z zastanowieniem. — Biorąc wszystko pod uwagę, 117nie robię ci wyrzutów. Ale pomyśl, jak nagle to na mnie spadło. Byłem tutaj i o niczym nie wiedziałem, a potem niespodziewanie usłyszałem, że Tomasina wychodzi za mąż. No cóż, pewno nie można było tego inaczej załatwić. Czy wiesz, mam — podjął po chwili, zainteresowany nagle własną przeszłością — że myślałem kiedyś o Tomasinie jako o swojej ukochanej. Tak, to prawda. Jacy dziwni bywają chłopcy! A kiedy teraz wróciłem do domu i zobaczyłem ją, wydała mi się serdeczniejsza niż zwykle i ożyły tamte wspomnienia, zwłaszcza w ten wieczór, kiedy odbywało się przyjęcie, a ona źle się czuła. Mimo to podejmowaliśmy gości... czy nie uważała, że jesteśmy okrutni?

— Dla niej to nie miało znaczenia. Już przedtem poczyniłam przygotowania i nie warto było okazywać smutku ponad miarę. Niemile spotkałoby cię powitanie, gdybyśmy zamknęły się w domu i opowiadały tylko o niedoli Tomasiny. Cłym się zamyślił.

— Żałuję, że w ogóle odbyło się tamto przyjęcie — powiedział — i to zupełnie z innych powodów. Ale o tym pomówimy kiedy indziej. Teraz trzeba myśleć o Tomasinie.

Zapadło milczenie.

— Powiem ci coś, mam — odezwał się wreszcie Cłym, a ton jego głosu świadczył o drżącym w nim nadal uczuciu. — Nie wydaje mi się, aby to było ładnie w stosunku do Tomasiny, że pozwalamy jej brać ślub w ten sposób i żadne z nas nie jest przy niej, nie dodaje jej ducha, nie okazuje zainteresowania. Nie przyniosła nam przecież wstydu i niczym na to nie zasłużyła. Niedobrze się stało, że ślub odbywa się w pośpiechu, bez żadnych uroczystości, a my trzymając się z daleka jeszcze pogarszamy sytuację. Na Boga, to przecież wstyd! Idę.

— Już po wszystkim — powiedziała z westchnieniem matka — chyba że się spóźnili albo on...

— W takim razie spotkam ich, gdy będą wychodzić. Nie podoba mi się jednak, mam, że nic mi nie mówiłaś! Doprawdy, chyba wolałbym, żeby tamten nie przyszedł.

— I popsuł jej opinię?

— Nic podobnego! To by jej opinii nie popsulo.

Wziął kapelusz i pośpiesznie wyszedł z domu. Pani Yeobright siedziała zatopiona w niewesołych myślach. Ale niedługo pozostała sama. Wkrótce wrócił Cłym, a

towarzyszył mu Diggory Venn.

— Już za późno, żebym tam szedł — oznajmił Clym.

— Czy się pobrali? — zapytała pani Yeobright, zwracając się ku sprzedawcy farby. Na jej twarzy malowały się sprzeczne uczucia. Venn się skłonił.

— Tak jest, proszę pani.

— Jakie to wszystko dziwne — szepnął Clym.

— Nie zrobił jej zawodu tym razem? — zapytała.

— Nie. I nie zostało już teraz żadnej skazy na jej imieniu. Zobaczyłem, że pani tam nie ma, więc skoro tylko wzięli ślub, pośpieszyłem tutaj, żeby o tym opowiedzieć.

118

— A dlaczego pan się tam wybrał? Skąd pan o tym wiedział? — spytała pani Yeobright.

— Byłem w pobliżu i zobaczyłem, że wchodzi do kościoła. Wildeve stanął w drzwiach punktualnie co do minuty. Tego się po nim nie spodziewałem... — Nie dodał jednak, że nie przez przypadek znalazł się w okolicy kościoła, bo gdy Wildeve upomniał się o swoje prawo do Tomasiny, Venn postanowił, że musi zobaczyć zakończenie tej historii, i dążył do tego z charakterystyczną dla niego skrupulatnością.

— Kto przyszedł? — dopytywała się pani Yeobright.

— Prawie nikogo nie było. Stałem z boku i ona mnie nie widziała — powiedział to głosem lekko zachrypniętym, patrząc w ogród.

— Kto ją prowadził do ołtarza?

— Panna Vye.

— Jakie to dziwne! Pewno należy to uważać za zaszczyt?

— A kim jest ta panna Vye?

— Wnuczką kapitana Vye z Mistover Knap.

— Dumną dziewczyną z Budmouth — powiedziała pani Yeobright. — Nie podoba mi się wcale. Ludzie mówią, że jest czarownicą, ale to bzdura.

Venn zataił swą znajomość z piękną panną, jak również fakt, że znalazła się w kościele, ponieważ po nią poszedł zgodnie z obietnicą, jaką jej złożył, dowiedziawszy się o zamierzonym ślubie. Powiedział tylko, kończąc opowiadanie:

— Siedziałem na murze cmentarnym, kiedy przyszedli, jedno z jednej, drugie z drugiej strony. Panna Vye spacerowała po cmentarzu i oglądała nagrobki. Jak tylko znaleźli się w kościele, stanąłem w drzwiach, bo chciałem zobaczyć ślub. Znam przecież dobrze Tomasinę. Zdjąłem buty, bo skrzypią, i wszedłem na chór. Zobaczyłem wtedy, że pastor i kancelista już czekają.

— A jak to się stało, że panna Vye wzięła w tym udział, skoro tylko spacerowała po cmentarzu?

— Bo nie było nikogo innego. Weszła do kościoła tuż przede mną, ale nie na chór. Przed rozpoczęciem ceremonii pastor się rozejrzał, a ponieważ była jedyną osobą w pobliżu, skinął na nią i podeszła do balasek. Potem, kiedy trzeba było złożyć podpis w księdze, podniosła woalkę i podpisała się, i zdaje się, że Tomasina dziękowała jej za tę grzeczność.

Snuł tę opowieść w zamyśleniu, bo stanęła mu przed oczyma pobladła twarz Wildeve'a, kiedy Eustachia odrzuciła skrywającą jej twarz gęstą woalkę i spokojnie spojrzała mu w oczy.

— I wtedy wyszedłem — dodał — bo jej historia jako Tomasiny Yeobright dobiegła końca.

— Proponowałam, że z nią pójdę — mówiła z żalem pani Yeobright — ale ona powiedziała, że to niepotrzebne.

— To nie ma znaczenia — odparł Venn. — W końcu stało się tak, jak miało się stać

na początku, i niechaj Bóg ześle jej szczęście. A teraz pożegnam już państwa.

Włożył czapkę na głowę i wyszedł.

Przez wiele miesięcy od tej chwili, gdy opuścił dom pani Yeobright, nie widziano go na wrzosowisku ani w okolicy. Zniknął zupełnie. Następnego poranka jeżynowy zakątek, gdzie na pewien czas zatrzymał się jego wóz, był pusty jak poprzednio i ślad nie pozostał po jego postojach, poza paroma żdźbłami słomy i plamą czerwieni, którą zmyła pierwsza ulewa.

Sprawozdanie Yenna ze ślubu, choć zgodne z faktami, pomijało jeden znaczący szczegół, który umknął jego obserwacji, ponieważ stał nieco z dala. Kiedy Tomasina drżącą ręką kładła swój podpis, Wildeve rzucił Eustachii spojrzenie, które mówiło wyraźnie: "Ukarałem cię teraz". Odpowiedziała mu cichym głosem i nawet nie przypuszczał, jak dalece było to prawdziwe:

— Mylisz się, bo fakt, że została dziś twoją żoną, sprawia mi głęboką przyjemność.

Księga trzecia

OCZAROWANIE

i

"MOJA DUSZA JEST DLA MNIE KRÓLESTWEM"*

W twarzy Clyma Yeobrighta można było dostrzec rysy człowieka przyszłości. Jeżeli nastanie wtedy klasyczny okres sztuki, ówczesny Fidiasz wyrzeźbi takie oblicza.

Przekonanie, że nasza egzystencja jest czymś, z czym trzeba się umieć pogodzić — występujące zamiast radości życia, tak intensywnej w okresie wczesnej cywilizacji — musi w końcu do tego stopnia opanować psychikę ras przyszłości, że odzwierciedlanie w ludzkich twarzach tego światopoglądu zostanie uznane za nowe osiągnięcie artystyczne. Ludzie już teraz wyczuwają, że ktoś, kto żyje z wiecznie pogodnym wyrazem twarzy i nie przejawia nigdy wewnętrznej rozterki, jest zbyt obcy współczesnej cywilizacji, by można go uznać za człowieka nowoczesnego. Piękni mężczyźni — chluba ludzkiej rasy w okresie jej młodości — obecnie są niemal anachronizmem i można by się zastanawiać, czy piękne kobiety nie staną się również anachronizmem.

Prawdą jest niewątpliwie, że długi szereg niosących rozczarowania stuleci na stałe już wykorzenił helleńską ideę życia, jakkolwiek ją nazwać. To, co Grecy tylko podejrzewali, my wiemy na pewno, to, co ich Ajschylos tylko sobie wyobrażał, nasze małe dzieci czują. Dawne radowanie się sytuacją świata staje się coraz mniej możliwe, ponieważ odkrywamy ujemne strony praw natury i widzimy, w jakim potrzasku znajduje się człowiek na skutek ich działania.

Rysy twarzy, które zostaną wcielone w idealne oblicza oparte na tym nowym zrozumieniu, będą prawdopodobnie pokrewne rysom twarzy Clyma Yeobrighta. Oko patrzącego przykuwała ta twarz nie jako wizerunek, ale jako karta: nie tym, czym była, ale tym, co na niej zostało napisane. Jego rysy budziły zainteresowanie swą symboliczną wymową, tak jak dźwięki, w samej swej istocie pospolite, stają się ciekawe jako elementy mowy, a pospolite w swej istocie znaki są interesujące jako elementy pisma.

Był kiedyś wielce obiecującym chłopcem. Poza tym — wszystko było niewiadomą. Wydawało się równie prawdopodobne, że odniesie sukces w jakiś oryginalny sposób, jak to, że w sposób oryginalny zejdzie na psy. Jedno wiedziano na pewno: nie pozostanie w warunkach, w jakich się urodził.

Dlatego też, gdy któryś sąsiad wymienił przypadkowo jego imię, słuchacz zapytywał: "Ach, Clym Yeobright! Co on teraz porabia?" Kiedy pada instynktowne pytanie: "Co on teraz porabia?", każdy czuje, że ten, o kogo chodzi, zajmuje się obecnie czymś szczególnym. W tym pytaniu wyraża się nieokreślone przekonanie, że musiał wtargnąć w jakieś osobliwe krainy dobra lub zła.

* Seneka, Thyestes, akt II, wers 380: Mens regnum bona possidet; również Thomas Percy, Reliques of Ancient English Poetry; Byrd, Psalmes, Sonnets.

121 Zbożna nadzieja szeptce, że dobrze mu się powodzi, skryte podejrzenie — że wszystko zaprzepaszcza. Kilku zamożnych kupców, którzy w przejeździe zatrzymywali się zawsze w “Cichej Kobiecie”, interesowało się żywo tym tematem. Prawdę mówiąc, chociaż nie pochodzili z okolic Egdonu, nie mogli pozostać obojętni na los Clyma, gdy siedzieli ćmiąc gliniane fajki i spoglądali przez okno na wrzosowisko. Clym w latach chłopięcych tak wrósł w tę okolicę, że trudno było patrzeć na nią i nie myśleć o nim. A więc ów temat powracał i jeżeli Clym się dorabiał i zyskiwał uznanie, tym lepiej dla niego, jeżeli mu się nie wiodło — tym lepiej dla opowiadającego.

Faktem jest, że zanim jeszcze opuścił dom, otaczała go niezwykła sława. “Źle jest, jeżeli twoja sława przerasta twoje możliwości” — pisał hiszpański jezuita, Gracia y Morales. Mając lat sześć namalował bitwę pod Waterloo — w braku farb pyłkiem kwiatowym lili i sokiem czarnej porzeczki. W rezultacie, nim doszedł do lat dwunastu, zasłynął co najmniej w promieniu dwu mil jako artysta i uczonec. Osobnik, którego sława obiegła okolicę na trzy albo cztery tysiące jardów dokoła — w tym samym czasie, w którym sława innych, znajdujących się w podobnym położeniu, zdołała przewędrować zaledwie sześćset czy osiemset jardów — musiał mieć w sobie coś szczególnego. Być może Clym, podobnie jak Homer, zawdzięczał swą sławę przypadkowi — niemniej jednak był sławny.

Kiedy dorósł, udzielono mu pomocy w życiowym starciu. Kaprys losu, który kazał Robertowi Clive rozpoczynać karierę od stanowiska pisarczyka, Johnowi Gay od zajęcia sprzedawcy tekstylii, Johnowi Keatsowi zaś od zawodu lekarza i tysiącom innych w podobnie dziwny sposób — skazał nieokrzesanego, dzikiego chłopaka z wrzosowiska na zawód, którego wyłącznym produktem były specyficzne symbole próżności i dogadzania sobie.

Nie jest chyba konieczne szczegółowe przedstawianie, jak do tego doszło. Po śmierci ojca dzentelmen z sąsiedztwa życzliwie podjął się udzielenia chłopcu poparcia, co przybrało formę wysłania go do Budmouth. Młodzieniec nie pragnął tam jechać, nie miał jednak żadnych innych perspektyw. Z Budmouth udał się do Londynu, a stamtąd do Paryża, gdzie pozostawał do chwili obecnej.

Ponieważ wiele po dymie oczekiwano, już po niewielu dniach jego pobytu w domu mieszkańcy wrzosowiska zaczęli sobie łamać głowy nad pytaniem, dlaczego tak długo pozostaje na Egdonie. Minał już normalny okres świąteczny, on zaś wciąż bawił w Blooms-End. W niedzielny rano w następnym tygodniu po ślubie Tomasiny dyskutowano nad tym przed domem Fairwaya. Tutaj bowiem co niedziela o tej właśnie porze schodzili się mężczyźni z sąsiedztwa, aby się poddać fryzjerskim zabiegom. Następnie zaś, w południe, odbywało się w całej okolicy generalne mycie, a w godzinę później wszyscy ubierali się po świątecznemu. Na wrzosowisku Egdon właściwa niedziela zaczynała się dopiero w obiadowej porze, a nawet i wtedy nie świętowano, jak należy.

W niedzielne poranki Fairway obcinał włosy zebranym. Ofiara, zdjawszy kurkę, zasiadała na pieńku do rąbania drzewa przed domem, a sąsiedzi, stojąc dookoła, plotkowali obserwując, jak po każdym szczęknięciu nożyc ścięte

122

włosy ulatują z wiatrem, rozwiewają się na cztery strony świata. Latem i zimą odbywało się to bez zmiany i tylko gdy wiatr wiał gwałtowniej niż zazwyczaj, przesuвано pieńek o parę stóp za węgiel domu. Fairway między jednym a drugim szczęknięciem nożyc prawił dykteryjki, a gdyby ktoś z siedzących na pieńku, bez kurty i kapelusza, uskarżał się na zimno, powiedziano by zaraz, że nie jest mężczyzną. Gdyby zaś się wzdrygnął, krzyknął lub wykrzywił choć jeden mięsień

twarży, poczuwszy drażnienie nożyc pod uchem czy drapnięcie grzebienia na karku, uznano by to za wykroczenie przeciw dobremu wychowaniu, zważywszy, że Fairway wyświadczał mu tę przysługę bezpłatnie. W niedzielne popołudnie każde skaleczenie na głowie czy szyi mógł mężczyzna łatwo wytłumaczyć słowami: “Wszak wiecie, podcinałem dziś włosy.”

Rozmowę na temat Clyma wywołał widok tego młodego człowieka, który przechadzał się po wrzosowisku w pewnej od nich odległości.

— Nikt, kto ma dobrą pracę gdzie indziej, nie spędzałby tu na próżno paru tygodni — zauważył Fairway. — Zaręczam wam, że ma jakieś plany.

— Przecież nie będzie tu prowadzić sklepu z brylantami — powiedział Sam.

— Nie pojmuję, po co taszczyłby do domu te dwa ciężkie kufry, gdyby nie chciał dłużej zostać, ale co on tu może mieć do roboty, Bóg jeden wie.

Ponieważ Clym się zbliżał, nie mogli już dłużej bawić się w te domysły. Kiedy dostrzegł zebranych, podszedł do nich i przyjrzawszy się im uważnie, powiedział bez żadnego wstępu:

— Pozwólcie mi, sąsiedzi, zgadnąć, o czym mówiliście.

— Och, naturalnie, skoro pan sobie życzy — rzekł Sam.

— O mnie.

— No cóż, w innych okolicznościach nie ośmieliłbym się tego wyjawić — oświadczył z godnością Fairway — ale jako że sami to powiedzieliście, panie Yeobright, przyznam, że tak było rzeczywiście. Zastanawialiśmy się, co wam każe zbijać baki w domu, skoro jesteście taką znakomitością w światowym handlu świecidełkami. Oto cała prawda.

— Powiem wam — zapewnił ich Clym z nieoczekiwaną powagą. — Rad jestem, że nadarzyła się okazja. Przyjechałem do domu, bo zważywszy wszystko, tutaj mogę być odrobinę mniej bezużyteczny niż gdziekolwiek indziej. Dopiero niedawno to odkryłem. Kiedy stąd wyjechałem, zdawało mi się najpierw, że nie warto myśleć o rodzinnych stronach. Życie tutaj uważałem za godne pogardy. “Czy może być coś śmiesznieszego — mówiłem sobie — niż używanie oleju zamiast czernidla do smarowania butów albo czyszczenie ubrania witką zamiast szczotki?”

— Co prawda, to prawda.

— Ależ nie, mylicie się, wcale nie.

— Bardzo przepraszam, ale zrozumieliśmy, że to miał pan na myśli.

— W miarę jak zmieniały się moje poglądy, życie coraz bardziej mnie przytłaczało. Zrozumiałem, że próbuję żyć jak ludzie, którzy nie mają ze mną nic wspólnego. Starłem się zmienić jeden sposób życia na inny, który wcale nie był lepszy od tego pierwszego. Po prostu różnił się od niego.

— Rzeczywiście, bardzo się różnił.

123— A jakże. Paryż musi być pięknym miastem — rzekł Humphrey. — Wielkie wystawy, bębny, trąby. A my tutaj jesteśmy na dworcu w najgorszy deszcz i wicher...

— Ależ nie rozumiecie mnie wcale — tłumaczył Clym. — To wszystko bardzo mnie przygnębiało. Ale nie aż tak jak to, co dostrzegłem potem, a mianowicie, że ze wszystkich zawodów na świecie mój najwięcej schlebia próżności i lenistwu, że bardziej zniewieściałego zajęcia nie można dla mężczyzny znaleźć. Wtedy zdecydowałem, że je porzucę i poszukam jakiejś pożyteczniejszej pracy wśród ludzi, których znam najlepiej i którym mogę najwięcej przynieść pożytku.

Wróciłem do domu i oto jak zamierzam wprowadzić w życie mój plan. Założę szkołę jak najbliżej Egdonu, abym mógł po normalnych zajęciach prowadzić wieczorem lekcje w domu mojej matki. Chcąc jednak zdobyć odpowiednie kwalifikacje, muszę jeszcze się pouczyć. A teraz, sąsiedzi, już mi pora iść.

I odszedł na wrzosowisko.

— Przenigdy na świecie to mu się nie uda — zawyrokował Fairway. — Wystarczy parę tygodni, a spojrzysz na wszystko inaczej.

— To ładnie ze strony tego młodego człowieka — rzucił drugi — ale myślę, że lepiej by zrobił pilnując własnego interesu.

II NOWA DROGA PRZYNOŚI ROZCZAROWANIE

Clym kochał ludzi. Był przekonany, że większości z nich brakuje wiedzy, która daje mądrość raczej niż bogactwo. Pragnął podźwignąć klasę kosztem jednostek, nie zaś jednostki kosztem klasy. Co więcej, gotów był od razu złożyć siebie pierwszego w ofierze.

Przejściu od życia sielskiego do intelektualnego towarzyszą przeważnie dwa pośrednie stadia, często zaś znacznie więcej, a jednym z nich jest prawie zawsze poprawa bytu materialnego. Trudno wprost pomyśleć, by z sielankowej pogody ducha mogły się zrodzić intelektualne zainteresowania, i nie wyobrażać sobie, że dążenia do poprawy warunków życia stanowiły przejściowy etap. Osobliwością Clyma było to, że dążąc do wyższego poziomu myślenia chciał nadal zachować proste formy życia — nawet ubogie i niecywilizowane pod pewnymi względami, a także braterską przyjaźń z gburami.

Był jak Jan Chrzciciel, głoszący nie konieczność pokuty, ale udoskonalania samego siebie. Umysłowo reprezentował przyszłość prowincji, to znaczy, że w wielu punktach dotrzymywał kroku współczesnym myślicielom z wielkich miast. Rozwój swój zawdzięczał zapewne w dużej mierze przykładaniu się do nauki podczas pobytu w Paryżu, gdzie zaznajomił się z popularnymi w owym czasie systemami etycznymi.

W konsekwencji tego światłego stanowiska można by go nazwać nieszczęśliwym.

Świat wiejski był dla niego zbyt zacofany. Człowiek może tylko częściowo wyprzedzać swą epokę: jeżeli ze swymi aspiracjami znajdzie się w ab-

124

solutnej czołówce, zaciąży to fatalnie na jego sławie. Gdyby waleczny syn Filipa Macedońskiego stał na tak wysokim stopniu rozwoju, że postawiłby sobie za cel szerzenie cywilizacji bez rozlewu krwi, byłby po dwakroć bardziej godny czci, ale nikt by nie posłyszał o Aleksandrze.

Aby zdobyć sławę, należy przewyższać innych przede wszystkim umiejętnością pokierowania okolicznościami. Zwycięscy propagatorzy osiągnęli sukces dlatego, że umieli nadać odpowiednią formę doktrynie, której założenia słuchacze od jakiegoś już czasu akceptowali, ale nie potrafili jej wyrazić. Jeżeli ktoś domaga się postępu w dziedzinie estetycznej, a nie dba o zdobycze materialne, może być zrozumiany tylko przez tę klasę ludzi, którzy już osiągnęli pewien poziom materialny. Utrzymywanie, że wieś może zdobyć kulturę przed zdobyciem dobrych warunków bytowania, być może jest nawet słuszne, ale stanowi próbę naruszenia kolejności biegu rzeczy, do którego ludzkość przywykła od dawna. Nauki Clyma głoszone pustelnikom Egdonu, jakoby mogli się wznieść na wyższy poziom rozumienia rzeczy z pominięciem procesu wzbogacania się, przypominały argumenty starożytnych Chaldejczyków, że po to, aby oderwać się od ziemi i wznieść w przestworza do siedziby bogów, nie trzeba przebijać się przez rozdzielające te dwa światy niebo eteru.

Czy Clyma cechowała równowaga umysłu? Nie. Zrównoważony umysł nie wykazuje specjalnych odchyień; możemy o nim śmiało powiedzieć, że z jego powodu nigdy człowiek nie będzie uznany za szaleńca, skazany na tortury jako heretyk, ukrzyżowany jako bluźnierca — ani też, z drugiej strony, wielbiony jako prorok, szanowany jako duchowny wyniesiony do godności króla. Towarzyszące mu zazwyczaj dobrodziejstwa to szczęście i przeciętność. Z takiego umysłu zrodziła się poezja Rogersa, malarstwo Westa, dyplomacja Nor-tha, przewodnictwo duchowe Sumnera.

Umożliwia on zdobycie majątku, pomyślnie doprowadzenie dzieła do końca, godne zejście ze sceny, śmierć w wygodnym, łóżku, zapewnia przyzwoity pomnik, wystawiony w wielu przypadkach nie bez zasług.

Gdyby takim umysłem odznaczał się Clym, nie uczyniłby nic równie śmiesznego, jak rzucenie dobrze rozwijającego się interesu dla dopomożenia bliźnim.

Wracał do domu nie trzymając się ścieżek. Jeżeli ktokolwiek znał wrzosowisko, to właśnie on. Nasycony był jego widokami, jego istotą, jego zapachami. Można by Clyma nazwać wytworem wrzosowiska. Jego pierwsze w życiu spojrzenie padło na wrzosowisko; z nim związane były pierwsze dziecinne wspomnienia; ono zabarwiło jego sąd o życiu. Jego zabawkami były krzemienne noże i groty strzał, które tu znajdował, i które kazały mu się zastanawiać, dlaczego kamienie “wyrastają” w takie dziwne formy; jego kwiatami były liliowe dzwonki i żółty janowiec; jego zwierzęcym królestwem węże i gołębie, a towarzystwem — ludzie mieszkający na wrzosowisku. Weźcie całą głębię nienawiści, jaką Eustachia Vye obdarzała wrzosowisko, i przełóżcie na język miłości, a ujrzycie serce Clyma. Idąc patrzył na rozległy krajobraz i czuł radość.

Dla wielu osób Egdon był miejscem, które przed wielu pokoleniami wypadło ze swego stulecia i wynurzyło się obecnie jako dziki kraj. Było czymś 125przestarzałym i tylko nieliczni chcieli je badać. Czy mogło być inaczej w czasach kwadratowych pól, żywoplotów, prostokątnych łąk poprzecinanych rowami nawadniającymi, lśniącymi przy ładnej pogodzie jak srebrne ruszty?

Przejeżdżający tędy rolnik uśmiechnąłby się na widok sztucznie wyhodowanej trawy, uważnie przypatrzył się wschodzącemu zbożu i smutnie westchnął nad zniszczoną przez szkodniki rzepą — ale daleką wrzosową wyżynę powitał jedynie zmarszczeniem czoła. Co się zaś tyczy Clyma, to kiedy spoglądał na okolicę z pagórków, które mijał, nie mógł się oprzeć barbarzyńskiej radości, widząc bezcelowe wysiłki, by wydrzeć kawałki ziemi ugorowi. Zaniechano ich, tracąc nadzieję niekiedy povroku czy dwóch latach pracy nad uprawą, paprocie bowiem i janowiec uparcie tu powracały.

Zszedł do doliny i wkrótce znalazł się w swoim domu w Blooms-End. Matka obcinała zeschnięte liście stojących na parapecie kwiatów. Spojrzała na niego, jak gdyby nie mogła pojąć, dlaczego tak długo u niej przebywa. Na jej twarzy już od dłuższego czasu malował się ten wyraz. Clym się zorientował, że ciekawość, okazana przez grupkę jego sąsiadów, u matki przerodziła się w troskę. Nie zapytała go jednak o powód nigdy, nawet wtedy, kiedy przybycie jego kufrów dowiodło, że nie zamierza prędko stąd wyjechać. Milczeniem domagała się wyjaśnień bardziej niż słowami. — Nie wrócę do Paryża, matko — oznajmił. — W każdym razie nie w dawnym charakterze. Porzucam swój zawód.

Pani Yeobright zwróciła się ku niemu z bolesnym wyrazem twarzy.

— Domyśliłam się, że coś jest nie w porządku, kiedy przysłano kufry. Dziwi mnie, że nie powiedziałaś tego wcześniej.

— Powinienem był to zrobić. Ale nie wiedziałem, czy pochwalisz moje plany. Co do paru rzeczy, sam jeszcze nie byłem zdecydowany. Chcę obrać zupełnie nową drogę życia.

— Zdumiewasz mnie, dymie. Jak możesz pragnąć, aby wiodło ci się lepiej niż dotychczas?

• — Całkiem prosto. Ale nie chodzi mi o takie powodzenie, o jakim ty myślisz.

Pod tym względem moja sytuacja się pogorszy. Nienawidzę jednak mojego zajęcia i chcę przed śmiercią zrobić coś, co będzie przedstawiać jakąś wartość. Myślę, że dokonam tego jako nauczyciel... jako nauczyciel biednych i ciemnych, ucząc ich tego, czego nie nauczy nikt inny.

— Po tych wszystkich staraniach, żeby zapewnić ci karierę, teraz kiedy nie

musisz robić nic innego, tylko iść prostą drogą do dobrobytu, mówisz, że zostaniesz nauczycielem biedaków. Twoje pomysły przyniosą ci zgubę, dymie. Pani Yeobright mówiła to spokojnie, ale siła uczucia skryta za tymi słowami była aż nazbyt widoczna dla kogoś, kto znał ją tak dobrze, jak syn. Nie odpowiedział. Wyraz jego twarzy świadczył, że nie wierzy, by matka mogła go zrozumieć. Uczucie takie ogarnia nas wtedy, gdy nasz oponent jest z samej swej natury poza zasięgiem logiki, która nawet w sprzyjających warunkach bywa przecież niezręcznym narzędziem przekazywania subtelności sporu. Do końca obiadu nie padło już żadne słowo na ten temat. Potem matka powiedziała, tak jak gdyby od rana nie było w ich rozmowie przerwy:

126

— Martwi mnie, Clymie, że wróciłeś do domu z takimi zamiarami. Nie miałam pojęcia, że chcesz z własnej woli zająć niższe stanowisko w świecie. Zawsze sądziłam, oczywiście, że zamierzasz iść naprzód, jak inni mężczyźni... wszyscy mężczyźni godni tego miana... skoro już raz znaleźli się na dobrej drodze.

— Nic na to nie poradzę — odparł zakłopotany Clym. — Matko, nienawidzę tego handlu błyskotkami. Mówisz o mężczyznach, co godni są tego miana. Czy którykolwiek z nich może tracić czas na tak niemęskim zajęciu, jeżeli wie, że pół świata ginie, bo nikt nie chce zabrać się do pracy i nauczyć ludzi, jak stawić czoło niedoli, w której się urodzili? Budzę się każdego ranka i widzę, jak całe stworzenie płacze i jęczy z bólu, jak mówi święty Paweł — a ja sprzedaję kosztowne świecidełka bogatym kobietom i utytułowanym rozpustnikom i pośredniczę w schlebieniu podłej próżności, choć mam dość sił i zdrowia na każdą pracę. Przez cały rok nie dawało mi to spokoju i w rezultacie już więcej tego robić nie mogę.

— Dlaczego nie możesz, skoro inni mogą?

— Nie wiem, ale mnie nie zależy na wielu rzeczach, które cenią inni, i dlatego uważam, że tak powinienem postąpić. Przede wszystkim moje ciało nie domaga się wiele. Nie cieszą mnie przysmaki, więc szkoda mi je dawać. Powinienem wykorzystać ten defekt, a skoro łatwo mi obyć się bez tego, co jest potrzebne drugim, mogę zaoszczędzone pieniądze wydać na innych.

Clym odziedziczył po matce pewne instynkty, więc choćby nie trafiały do niej jego argumenty, musiały wzbudzić odzew uczuciowy, mimo iż starała się tego nie okazywać dla dobra syna. Mówiła z mniejszą pewnością siebie.

— A przecież mógłbyś stać się bogatym człowiekiem, gdybyś tylko wytrwał. Dyrektor wielkiego zakładu jubilerskiego — cóż lepszego mógłby sobie człowiek wymarzyć! Jakież to dowód wielkiego zaufania i szacunku! Podejrzewam, że okażesz się podobny do ojca: tak jak jego, nudzi cię dobre życie.

— Nie — odparł Clym — nie nudzi mnie dobre życie, ale to, co przez te słowa rozumiesz. A co to jest, matko, dobre życie?

Pani Yeobright była myślącą kobietą, nie zadowalały jej gotowe definicje, więc podobnie jak pytanie Sokratesa: "Co to jest mądrość?", i Piłata: "Co to jest prawda?" — tak i to palące pytanie Clyma pozostało bez odpowiedzi.

Ciszę przerwało trzaśnięcie ogrodowej furty. Ktoś zapukał do drzwi i nacisnął klamkę. W drzwiach ukazał się Christian Cantle w niedzielnym ubraniu.

Na Egdonie panował taki zwyczaj, że rozpoczynano wstępne opowiadanie jeszcze przed wejściem do domu, aby stając przed ludźmi, do których się przyszło, przystąpić do sedna sprawy. Otwierając drzwi, Christian mówił:

— I pomyśleć tylko, że ja, choć tak rzadko wychodzę z domu, poszedłem tam akurat dziś rano!

— Przynosisz nam jakąś nowinę, Christianie? — zapytała pani Yeobright.

— A jakże, o czarownicy. Ale nie miejcie mi tego państwo za złe, że o tej porze

przychodzę, bo rzekłem sobie: “Muszę iść i powiedzieć im, chociaż pewno nie skończyli jeszcze obiadu.” Wierzcie mi, drżałem jak liść na wietrze. A jak myślicie, stanie się przez to co złego?

— Co ty wygadujesz?

127— Dziś rano w kościele wszyscyśmy stali, a pastor mówi: “Módlmy się, bracia.” “Dobrze, można równie stać jak klęczeć”, pomyślałem, więc ukląknęłam, a inni też chcieli, jak ja, zrobić grzeczność pastorowi. Nie minęła minuta, a usłyszeliśmy w kościele przeraźliwy wrzask, jak gdyby komuś wydzierano serce z piersi. Zerwaliśmy się na równe nogi i okazało się, że Zuzanna Nun-such ukląknęła pannę Vye drutem do robienia pończoch. Groziła, że to zrobi, jak tylko spotka w kościele tę młodą pannę, która rzadko tam przychodzi. Od tygodni chciała utoczyć z niej trochę krwi, żeby panna Vye przestała rzucać czary na jej dzieci, co robiła od dawna. Zuzanna weszła za nią do kościoła, usiadła obok i jak tylko nadarzyła się sposobna chwila, wepchnęła w ramię młodej pani drut do robienia pończoch.

— Wielki Boże, ależ to potworne! — zawołała pani Yeobright.

— Ukląknęła ją tak głęboko, że dziewczyna zemdląca. A że się zląknęłam, że zrobi się jakiś zamęt, włożyłam za wiolonczelę i już nic nie widziałem. Ale ludzie mówią, że wynieśli ją na powietrze, a kiedy zaczęli szukać Zuzanny, zniknęła bez śladu. Ależ ta dziewczyna wrzasnęła, biedactwo! Pastor w komży uniósł w górę ręce i zawołał: “Siadajcie, dobrzy ludzie, siadajcie.” Ale diabła tam usiedli. No, a jak pani myśli, co ja odkryłem, pani Yeobright? Otóż pastor nosi pod komżą garnitur! Kiedy podniósł rękę, widziałem czarny rękaw.

— Jakież to okrutne — powiedział Clym.

— Tak — potwierdziła matka.

— Naród powinien w to wejrzeć — rzekł Christian. — Zdaje się, że idzie Humphrey. Rzeczywiście wszedł.

— Słyszeliście, państwo, nowinę? Widzę, że tak. Osobliwe, ale gdy ktoś z Egdonu idzie do kościoła, zawsze dzieje się tam coś dziwnego. Ostatni raz zdarzyło się to jesienią... poszedł sąsiad Fairway... i tego dnia pani zerwała zapowiedzi, pani Yeobright.

— A czy dziewczyna, którą potraktowano tak okrutnie, miała siłę wrócić sama do domu? — zapytał Clym.

— Podobno poczuła się lepiej i poszła. A teraz, kiedy już wszystko opowiedziałem, muszę zabierać się do domu.

— I ja — zawtórował Humphrey. — Przekonamy się, czy jest coś z prawdy w tym, co o niej mówią.

Kiedy wyszli na wrzosowisko, Clym spokojnie zwrócił się do matki:

— Czy myślisz, że za bardzo się spieszę, żeby zostać nauczycielem?

— Przyznaję, że powinni być nauczyciele, misjonarze i tego rodzaju ludzie — odpowiedziała. — Ale również przyznaję, że powinnam próbować wydźwignąć cię z tego życia i otworzyć przed tobą bogatszy świat, a ty nie powinieneś wracać i zaczynać od nowa, jakbym wcale nie próbowała.

Tego samego dnia zjawił się Sam, kopacz torfu.

— Przyszedłem za pożyczką, pani Yeobright. Pewno słyszała pani, co zdarzyło się naszej pięknotce z Mistorver?

— Tak, Samie, parę osób już mi to mówiło.

— Pięknotce? — zagadnął Clym.

128

— Aha, całkiem urodziwa — odparł Sam. — Boże! Wszyscy w okolicy okropnie się dziwią, że taka kobieta z nami mieszka.

— Brunetka czy blondynka?

— Hm, widziałem ją wiele razy, ale nie mogę sobie przypomnieć.

— Ciemniejsza od Tomasiny — szepnęła pani Yeobright.
— Można by powiedzieć, że tej kobiecie na niczym nie zależy.
— Więc jest melancholiczką? — dopytywał Clym.
— Chodzi smutna i samotna, nie udziela się ludziom.
— Czy ta młoda panna lubi przygody?
— Nic o tym nie wiem.
— Nie przyłącza się do zabaw chłopaków, aby mieć jakąś rozrywkę w tej odludnej okolicy?
— Nie.
— Nie chodzi na przykład z kolędnikami?
— Nie. Inne wyznaje zasady. Raczej bym powiedział, że myślami przebywa daleko stąd, w towarzystwie lordów i dam, których nigdy nie będzie znać, w pałacach, których nigdy nie będzie oglądać.
Zauważywszy szczególne zainteresowanie dyma panną Vye, pani Yeobright zwróciła się do Sama i powiedziała trochę zaniepokojona:
— Widzisz w niej więcej niż większość z nas. Dla mnie panna Vye jest zbyt leniwa, żeby mogła być czarująca. Nigdy nie słyszałam, żeby zrobiła coś dobrego dla siebie samej czy też dla innych. Dobre dziewczyny nawet na Egdonie nie są traktowane jak czarownice.
— Nonsens, to niczego nie dowodzi — zaprzeczył jej syn.
— Ja, oczywiście, nie znam się na takich subtelnościach — oznajmił Sam wycofując się z zapowiadającej się niezbyt przyjemnie dysputy. — Czas okaże, czy to prawda. A ja przyszedłem tutaj pożyczyć najdłuższą i najmocniejszą linę, jaką pani ma. Wiadro wpadło do studni kapitana i nie ma wody, a że dzisiaj wszystkie chłopcy są w domu, może się nam uda je wyciągnąć. Mamy już cztery liny od zaprzęgów, ale za krótkie, nie dosięgną dna.
Pani Yeobright oświadczyła, że Sam może wziąć każdą linę z szopy, więc udał się na poszukiwanie. Kiedy mijał drzwi domu, Clym podszedł do niego i odprowadził go do furtki.
— Czy ta młoda dama-czarownica zamierza długo pozostać w Mistover? — zapytał.
— Chyba tak.
— Co za wstyd, że ją tak skrzywdzono! Musiała cierpieć, i to bardziej duchowo niż fizycznie.
— To był paskudny figiel. A taka z niej ładna dziewczyna! Powinien ją pan zobaczyć, panie Yeobright, pan, młody człowiek, który przyjechał z daleka i choć młody, wie więcej niż niejeden z nas.
— Jak wam się zdaje, Samie, czy ona chciałaby uczyć dzieci? — spytał Clym.
Sam potrząsnął głową.
— Według mnie, nie ma w sobie nic z nauczycielki.
— Ach, tak mi tylko przyszło do głowy. W każdym razie muszę się z nią
9 — Powrót...
129 zobaczyć i porozmawiać, a to wcale niełatwe, nawiasem mówiąc, bo nasze rodziny nie żyją w przyjaźni.
— Poradzę panu, jak mógłby ją pan zobaczyć — zaproponował Sam. — Będziemy wyciągać u nich to wiadro o szóstej dziś wieczór, a pan może nam pomóc. Przychodzi nas pięciu czy sześciu, ale studnia jest głęboka i jeszcze jeden mężczyzna by się przydał, jeśli pan zechce wystąpić w takim charakterze. Ona na pewno będzie tam się kręcić.
— Zastanowię się — odparł Clym.
Zastanawiał się głęboko, ale tym razem nie padło w Blooms-End ani jedno słowo o Eustachii. Wciąż nie umiał odpowiedzieć na pytanie, czy ta romantyczna ofiara zabobonu i owa melancholijna dziewczyna, która przyszła z kolędnikami i z którą

rozmawiał przy pełni księżyca, to jedna i ta sama osoba.

III PIERWSZY AKT STAREGO JAK ŚWIAT DRAMATU

Popołudnie było piękne i przez godzinę Clym spacerował z matką po wrzosowisku.

Kiedy doszli do wyniosłej krawędzi, rozdzielającej dolinę Blooms-End od sąsiedniej, przystanęli i rozejrzeli się dokoła. W dole z jednej strony, na skraju wrzosowiska, widać było oberżę "Cicha Kobieta", a z drugiej w oddali wznosił się Mistover Knap.

— Chcesz odwiedzić Tomasinę? — zapytał.

— Tak. Ale nie ma potrzeby, żebyś ty szedł ze mną tym razem.

— A więc skreć tutaj, matko. Idę do Mistover. Pani Yeobright zwróciła ku niemu pytający wzrok.

— Chcę pomóc w wyciąganiu wiadra kapitana — wyjaśnił. — Studnia jest bardzo głęboka, więc mogę się przydać. Chciałbym także zobaczyć tę pannę Vye, nie tyle dla jej urody, co z innego powodu.

— Musisz tam iść? — spytała matka.

— Niewątpliwie tak. Rozeszli się w różne strony.

— Nie ma na to rady — szepnęła posepnie matka, kiedy syn się oddalał. — Na pewno się zobaczą. Co za szkoda, że Sam właśnie do mnie musiał przyjść z tą nowiną. Postać Clyma zmniejszała się coraz bardziej, w miarę jak pokonywał leżące na jego drodze pagórki.

— Jest wrażliwy i dobry — mówiła do siebie pani Yeobright obserwując syna — w przeciwnym razie nie miałyby to większego znaczenia. Jakże szybko idzie.

Clym rzeczywiście szedł energicznym krokiem prosto przez janowiec, nie zbaczając z drogi, jakby od tego zależało jego życie. Matka głęboko westchnęła i porzucając myśl odwiedzenia Tomasiny zawróciła. Wieczne mgły zasnuły już doliny, ale wzniesienia oświetlane jeszcze były skośnymi promieniami zimowego słońca, rzucającego blask na Clyma, który szedł z długim

130

cieniem przed sobą, obserwowany z zaciekawieniem przez króliki i inne stworzenia.

Zbliżywszy się do porośłego janowcem nasypu i rowu, fortyfikacji domu kapitana, posłyszał dochodzące z podwórka głosy, które świadczyły, że akcja już się zaczęła. Zatrzymał się przy bocznej furtce i rozejrzał dokoła.

Kilku krzepkich mężczyzn stało szeregiem przy studni trzymając linę, która owinięta na walcu spływała w głąb. Fairway, opasany krótszą liną, której koniec dla bezpieczeństwa przymocowano do jednego z drzew, pochylał się nad ocembrowaniem, obejmując prawą ręką linę opadającą do wody.

— A teraz cicho — zarządził.

Rozmowy ustały, a Fairway wprowadził linę w okrężny ruch, jak gdyby kręcił ciasto.

Po krótkiej chwili z głębi dało się słyszeć pluśnięcie: lina, wprowadzona w spiralny ruch, zaczęła o hak.

— Ciągnijcie! — zawołał Fairway i mężczyźni trzymający linę zaczęli ją przeciągać ponad walcem.

— Chyba złapaliśmy — powiedział jeden z nich.

— A więc ciągnijcie równo — przykazał Fairway.

Wybierali coraz więcej liny, aż w końcu dało się słyszeć regularne skapywanie wody. Stawało się coraz głośniejsze, w miarę jak wznosił się kubeł. Wyciągnięto już sto pięćdziesiąt stóp liny.

Teraz Fairway zapalił latarnię, przywiązał ją do innej liny i zaczął opuszczać do studni obok pierwszej. Clym zbliżył się i spojrzął w dół. Światło latarni padało coraz niżej na oblepiające studnię dziwne, nasiąknięte wodą liście, obce tej porze roku, i mchy niespotykanych kształtów, aż wreszcie w jej blasku

zamajaczył kłęb lin i wiadro dyndające w wilgotnej ciemności.

— Pętla zaczepiła tylko o sam brzeg... ostrożnie, na miłość boską, ostrożnie! — ostrzegwał Fairway.

Ciągnęli, jak mogli najwolniej, aż wreszcie obmokłe wiadro znalazło się o dwa jardy od nich, niczym zmarły przyjaciel, wracający znów na ziemię. Wyciągnęło się ku niemu kilka rąk, lina zadrżała, walec zaczął się kręcić ze świstem, dwóch najbliższych stojących mężczyzn zostało powalonych na ziemię, posłyszano odgłos objającego się o boki studni wiadra, a potem głośnie jak huk piorunu plaśnięcie na samym dole. Wiadro znów przepadło w głębi.

— Diabeł nie wiadro! — zaklął Fairway.

— Spuszczaj linę na nowo! — zawołał Sam.

— Już cały zdrętwiałem w tej pozycji — powiedział Fairway, wyprostował się i przeciągnął, aż trzasnęło mu w kościach.

— Odpocznij trochę, Tymoteuszu — poradził mu Clym. — Ja cię zastąpię.

Znowu spuszczano pętlę. Kiedy dotknęła wody, z głębi posłyszano jakby cmoknięcie. Wtedy Clym ukląkł i pochylony nad studnią zaczął manipulować liną, podobnie jak przedtem Fairway.

— Przewiążcie go liną... to niebezpieczne! — zawołał gdzieś w górze jakiś łagodny, zaniepokojony głos.

Obrócili się. Z górnego okna domu, którego szyby jarzyły się czerwonym 131światłem zachodu, spoglądała na nich kobieta. Usta miała rozchylone i zdawała się przez chwilę nie pamiętać, gdzie się znajduje.

Obwiązano dyma w pasie i praca szła dalej. Kiedy ciągnęli po raz drugi, szło im lekko, ale okazało się, że ich zdobyczą był tylko zwój sznura, który się oderwał od wiadra, więc rzucono go na ziemię. Humphrey zajął miejsce Clyma i znowu opuścił linę.

Clym odszedł trochę na bok i stanął nad kłębem wyciągniętego sznura. Nie miał wątpliwości, że głos z okna był głosem dziewczyny-kolędniczki. “Jaka troskliwa!” — powiedział do siebie.

Eustachia oblała się rumieńcem spostrzegłszy wrażenie, jakie jej słowa wywarły na stojących przy studni ludziach. Cofnęła się w głąb pokoju i Clym nie mógł jej dostrzec, choć bacznie się wpatrywał w okno. Tymczasem mężczyznom udało się wydostać wiadro. Jeden z nich poszedł do kapitana, żeby się dowiedzieć, jakie zamierza wydać zarządzenie co do naprawy studni. Kapitana nie było jednak w domu. W drzwiach ukazała się Eustachia i podeszła ku zebrany. Promieniował od niej pełen godności spokój, daleki od napięcia, brzmiącego w jej wołaniu, by uważano na Clyma.

— Czy będzie można wieczorem ciągnąć wodę ze studni? — zapytała.

— Nie, proszę pani, bo wypadło dno wiadra. Dziś nic już nie możemy zrobić, wrócimy więc do domów, a jutro rano znowu przyjdziemy.

— Nie będzie wody — szepnęła kierując się ku domowi.

— Mogę pani przysłać wodę z Blooms-End — zaproponował po odejściu mężczyzn Clym.

Podszedł ku niej i uniósł kapelusza. Patrzyli na siebie przez chwilę, jak gdyby każdemu z nich stanęła w pamięci owa wspólnie przeżyta chwila przy księżycu.

Momentalnie jej twarz, dotychczas zakrzepła w wyrazie spokoju, rozblęsnęła ciepłem i wysubtelniała; podobnie jaskrawość słoneczna przeradza się w ciągu kilku sekund w majestat zachodu.

— Dziękuję, ale to nie jest konieczne — odpowiedziała.

— Przecież pani nie ma wody?

— To tylko według mnie nie ma wody — tłumaczyła oblewając się rumieńcem i wznosząc powieki z długimi rzęsami tak wolno, jakby ich podniesienie było pracą wymagającą namysłu. — Ale mój dziadek mówi, że mamy jej pod dostatkiem. Pokażę

panu, w czym rzecz.

Ruszyła przed siebie, a za nią podążył Clym. Kiedy znalazła się w rogu ogrodzenia, przy schodkach prowadzących na graniczny nasyp, wbiegła po nich lekkimi krokami, tak nie przypominającymi jej ospałych ruchów przy studni, że było to wprost zaskakujące. Zdradziła tym, że jej powolność nie wypływa z braku sił.

Clym wszedł za nią po schodkach i zauważywszy na górze wypalony w ziemi krąg, zapytał:

— Popiół?

— Tak — potwierdziła Eustachia — Piątego Listopada mieliśmy tu ognisko i to są po nim ślady.

W tym właśnie miejscu rozpałała ognisko, żeby przywołać Wildeve'a. — Oto jedyna woda, jaką mamy — podjęła, rzucając kamyk do sadzawki

132

znajdującej się na zewnątrz nasypu, która przypominała oko pozbawione źrenicy i tęczówki. Kamyk wpadł z pluskiem, ale po przeciwnej stronie nie zjawił się Wildeve, jak za poprzednim razem. — Dziadek będąc na morzu pił ponad dwadzieścia lat wodę znacznie gorszą, uważa więc, że gdy braknie innej, możemy tę pić z powodzeniem.

— O tej porze roku sadzawki rzeczywiście nie są zanieczyszczone. Niedawno zasiliły je deszcze. Potrząsnęła głową.

— Staram się jakoś przyzwyczaić do życia na pustkowiu, ale nie potrafię pić wody z sadzawki — powiedziała.

Clym rzucił spojrzenie w kierunku studni, koło której nikt już w tej chwili nie stał.

— Daleko trzeba by posyłać do źródła — odezwał się po chwili — ale skoro pani nie lubi wody z sadzawki, postaram się o czystą. — Zawrócił ku studni. — Chyba uda mi się jej zaczerpnąć, jeżeli przywiążę to wiaderko.

— Nie chciałam fatygować mężczyzn z wrzosowiska, więc nie mogę pozwolić na to panu.

— To żadna fatyga.

Umocował wiaderko na długiej linie, okręcił ją na wałku i opuszczał, trzymając luźno w rękach w głąb studni. Po chwili jednak zatrzymał linę.

— Muszę najpierw umocować koniec, bo inaczej stracimy i wiadro, i linę — powiedział do Eustachii, która podeszła bliżej. — Czy zechciałaby pani przez chwilę przytrzymać linę, a ja ją przywiążę? A może zawołać służącego?

— Sama potrzynam — zgodziła się Eustachia, więc dał jej sznur w ręce i począł szukać końca.

— Chyba mogę wypuścić trochę liny? — zapytała.

— Nie radzę pani wypuszczać jej dużo — ostrzegął. — Przekona się pani, że zrobi się ciężka.

Eustachia jednakże zaczęła popuszczać linę. Właśnie ją wiązał, kiedy krzyknęła:

— Nie mogę jej utrzymać!

Clym podbiegł ku dziewczynie i zorientował się, że jedyny sposób na zatrzymanie liny to owinięcie jej wokół słupa. Zatrzymała się z szarpnięciem.

— Czy nie otarła sobie pani ręki?

— Tak — odpowiedziała.

— Czy bardzo?

— Nie, chyba nie. — Pokazała dłonie. Jedna krwawiła, bo lina zdarła skórę.

Eustachia zawinęła rękę chusteczką.

— Trzeba było wypuścić linę. Czemu pani tego nie zrobiła?

— Pan powiedział, że mam ją trzymać... Dziś już drugi raz zostałam skaleczona.

— A, tak, słyszałem. Wstydzę się za mój rodzinny Egdon. Czy w kościele bardzo panią skaleczono?

W głosie Clyma brzmiało tyle współczucia, że Eustachia z wolna podciągnęła rękaw i odsłoniła krągłe białe ramię. Na jego gładkiej powierzchni czerwieniła plamka, niby rubin na paryjskim marmurze.

133— To tutaj — powiedziała przykładając do niej palec.

— Ta kobieta postąpiła okrutnie — oświadczył Clym. — Czy kapitan Vye nie zażąda dla niej kary?

— Właśnie w tej sprawie wyszedł. Nie wiedziałam, że mam opinię osoby zajmującej się magią.

— Czy pani zemdląca? — zapytał Clym, patrząc tak na maleńką ranę, jakby chciał ją uleczyć pocałunkiem.

— Tak, bo się przestraszyłam. Dawno już nie byłam w kościele. A teraz nie pójdę przez długi czas — może nawet nigdy. Po tym, co się stało, nie zniosłabym ich spojrzeń. Czy nie sądzi pan, że to okropne poniżenie? Przez kilka godzin potem pragnęłam umrzeć, ale teraz już mi to przeszło.

— Wróciłem, żeby tu powymiać te pajęczyny — oświadczył Clym. — Czy nie zechciałaby mi pani pomóc, ucząc w szkole? Wyświadczylibyśmy im dużo dobrego.

— Nie mam specjalnej ochoty. Nie czuję zbyt wiele miłości do bliźnich. Czasem ich po prostu nienawidzę.

— A jednak sądzę, że gdyby zechciała pani wysłuchać moich planów, mogłyby panią zainteresować. Nie ma sensu nienawidzić ludzi... jeśli już ma się coś nienawidzić, to chyba warunki, które ich takimi uczyniły.

— Ma pan na myśli naturę? Już ją znienawidziłam. Ale chętnie posłucham pana planów, kiedy pan zechce.

Tak więc sytuacja się wyjaśniła i naturalnym biegiem rzeczy powinni się rozstać. Clym dobrze o tym wiedział i Eustachia dała do zrozumienia, że chce zakończyć rozmowę, ale on patrzył na nią, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

Prawdopodobnie, gdyby nie pobyt w Paryżu, nie zdobyłby się na te słowa.

— To nie pierwsze nasze spotkanie — zauważył spoglądając na nią z większym zainteresowaniem, niż było konieczne.

— Nie sądzę — odparła z wymuszonym spokojem.

— Wolno mi jednak myśleć, co chcę.

— Owszem.

— Pani czuje się tu samotna.

— Nie znoszę wrzosowiska, chyba że w porze kwitnienia. Dla mnie jest ono okrutnym tyranem.

— Jak może pani tak mówić? — zdziwił się Clym. — Moim zdaniem ono rozwesela, daje siłę i uspokaja. Wolałbym mieszkać wśród tych gór niż gdziekolwiek indziej na świecie.

— Miejsce dobre dla artystów, ale ja nigdy nie nauczę się rysować.

— Niedaleko stąd znajduje się bardzo osobliwy kamień druidyczny. — Rzucił kamykiem w tym kierunku. — Czy często pani chodzi go oglądać?

— Nawet nie wiedziałam, że są takie osobliwości jak kamienie druidyczne. Wiem tylko, że w Paryżu są bulwary. Clym patrzył w zamyśleniu na ziemię.

— To wiele mówi — rzekł.

— Owszem — odparła Eustachia.

— Pamiętani, że i ja również tęskniłem za zgiełkiem miast. Pięć lat w wielkim mieście wystarczy, żeby się z tego wyleczyć.

134

— Oby Bóg zesłał mi taką kurację! A teraz, panie Yeobright, muszę iść do domu i zabandażować skaleczoną rękę.

Rozstali się i Eustachia znikła w zapadającym mroku. Miała poczucie pełni, przeszłość wydawała się pustą kartą, życie się zaczynało. Clym zaś dopiero później zrozumiał do głębi znaczenie tego spotkania. Wracając do domu zdawał sobie sprawę przede wszystkim z tego, że jego plany opróżnił blask: została z nimi związana piękna kobieta.

Po przyjeździe do domu wszedł do pokoju, w którym zamierzał urządzić swój gabinet, i poświęcił wieczór na wypakowywanie książek z pudeł i ustawianie ich na półkach. Z innego pudła wydobyl lampę i blaszankę nafty. Zapalił lampę, ułożył rzeczy na stole i powiedział: "Teraz jestem gotów, żeby zacząć."

Następnego dnia wstał wcześniej, w blasku lampy czytał przez dwie godziny przed śniadaniem — czytał cały ranek, całe popołudnie. Kiedy zachodziło słońce, oczy zaczęły go boleć ze zmęczenia, więc odchylił się do tyłu w krzesło.

Okna pokoju wychodziły na ogród przed domem i leżącą za nim wrzosową dolinę. Nisko padające promienie zimowego słońca rzucały cień domu na ogrodzenie, na pas trawy na granicy wrzosowiska i daleko na dolinę, nad którą rysowały się na niebie ciemne szpice kominów i czubki otaczających je drzew. Przesiedziawszy cały dzień przy pracy, postanowił przejść się na wzgórze, nim zapadną ciemności, toteż wyszedł i od razu skierował się przez wrzosowisko w stronę Mistorver.

W półtorej godziny później ukazał się znów w furtce ogrodu. Okiennice były zamknięte, a Christian Cantle, który przez cały dzień rozrzucał nawóz w ogrodzie, wrócił już do domu. Kiedy Clym wszedł do jadalni, matka oświadczyła, że nie mogąc się go doczekać, zjadła już kolację sama.

— Gdzie byłeś? — natychmiast zapytała. — Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wychodzisz wieczorem?

— Spacerowałem po wrzosowisku.

— Spotkasz Eustachię Vye, jeżeli będziesz tam chodził. Clym milczał przez chwilę.

— Właśnie spotkałem ją dzisiaj — powiedział takim tonem, jakby zmuszało go do tego wyznania poczucie uczciwości.

— Ciekawa byłam, czy ją spotkasz.

— Nie umawialiśmy się na spotkanie.

— Naturalnie. Na takie spotkania nikt się nie umawia.

— Ale ty się nie gniewasz, matko?

— Nie mogę z czystym sercem tego powiedzieć. Czy się gniewam? Nie. Ale ciężko mi na sercu, kiedy myślę, jak zwyczajna jest na ogół przyczyna, dla której obiecujący młodzi ludzie nie spełniają pokładanych w nich nadziei.

— To uczucie przynosi ci zaszczyt, matko. Ale zapewniam cię, że z mojego powodu nie ma potrzeby dręczyć się takimi myślami.

— Kiedy myślę o tobie i twoich nowych zachciankach — powiedziała z naciskiem pani Yeobright — nie mogę, oczywiście, czuć się tak spokojna jak przed rokiem.

Trudno mi wprost uwierzyć, żeby mężczyzna przywykły do

135pełnych uroku paryżanek dał się tak łatwo omamić dziewczynie z wrzosowiska.

Mogłeś równie dobrze pójść w inną stronę.

— Pracowałem dziś przez cały dzień.

— No tak — powiedziała z pewną nadzieją — właśnie rozmyślałam nad tym, że może powiesz ci się jako nauczycielowi i dzięki temu coś osiągniesz, skoro rzeczywiście tak nienawidzisz dotychczasowej drogi życiowej.

Clym nie chciał rozwiewać jej nadziei, choć daleki był od myśli, żeby kształcenie młodzieży otworzyło mu drogę do awansu społecznego. Nie to stanowiło cel jego pragnień. Doszedł w życiu do takiego punktu, kiedy młody mężczyzna po raz pierwszy widzi beznadziejność losu człowieka i ta świadomość paraliżuje na jakiś czas jego dążenia. We Francji często na tym etapie zdarzają się

samobójstwa, w Anglii natomiast jest pod tym względem znacznie lepiej albo znacznie gorzej — zależnie od tego, czego żądamy.

Nie można się było teraz dopatrzeć miłości między młodzieńcem a jego matką. O miłości powiadają, że im mniej ziemską, tym mniej widoczna. W swej absolutnie niezniszczalnej formie osiąga głębię, w której wszelkie jej manifestacje stają się bolesne. Tak było z nimi. Gdyby ktoś posłyszał ich rozmowę, powiedziałby: “Jakże oziębli są wobec siebie!”

Jego koncepcja nauczania i chęć poświęcenia temu całej swej przyszłości zrobiły duże wrażenie na pani Yeobright. Jakże mogło być inaczej, skoro stanowił jej część — a kiedy prowadzili dyskusje, to było tak, jakby prawa ręka porozumiewała się z lewą. Zwątpił, czy trafią do niej jego argumenty, i odkrył ze zdziwieniem, że może wpływać na nią przez osobisty magnetyzm, który tak góruje nad słowami jak słowa nad rykiem.

A teraz, dziwna rzecz, pojął, że łatwiej byłoby przekonać ją, najlepszego przyjaciela, że względne ubóstwo to dla niego istotnie lepsza droga życiowa, niż zwalczać własną niechęć do dyskusji z nią. Matka miała bez wątpienia rację, gdyby brać pod uwagę nakazy przezorności, toteż ból mu sprawiała myśl, że mógłby zachwiać jej poglądami.

Głęboko rozumiała życie, mimo że jej kontakt ze światem był bardzo ograniczony. Można przytoczyć przykłady osób, które nie znając dobrze pewnych tematów, o których się wypowiadają, pojmują doskonale wzajemne ich zależności. Blacklock, poeta niewidomy od urodzenia, potrafił dokładnie opisywać to, co inni widzieli; profesor Sanderson, również niewidomy, wygłaszał wspaniałe wykłady na temat kolorów i teoretycznie ujmował zagadnienia, znane słuchaczom, a sobie obce.

Kobiety bywają tak uzdolnione w sprawach dotyczących życia społecznego: potrafią czynić spostrzeżenia dotyczące świata, którego nie widziały, i oceniać siły znane tylko ze słyszenia. Zdolność ta zwie się intuicją.

Czym był ten wielki świat dla pani Yeobright? Mnogością, której dążenia można dostrzec, ale nie samą istotę. Społeczności widziała jak gdyby z oddali, podobnie jak my widzimy tłumy zapełniające płótna Sallaerta, Van Alsloota i innych z tej szkoły: masy stłoczonych istot ustawionych zygzakiem, które idą w pochodzie w określonych kierunkach, ale przez samą już rozległość obrazu zatracają ostrość rysów.

Każdy mógł dostrzec, że życie tej kobiety cechowało bogactwo refleksji.

136

Filozofia jej natury i wywołane okolicznościami ograniczenia znalazły odbicie w ruchach. Jak niegdyś sprężyste kroki czas uczynił ciężkimi, tak wrodzona duma życiowa została zmrożona w samym rozkwicie niedostatkiem.

W parę dni później znowu zdarzyło się coś, co wpłynęło w pewnym stopniu na kształtowanie się przyszłości Clyma. Na wrzosowisku rozkopywano jakiś kopiec i młody człowiek był przy tym obecny, zaniechawszy na kilka godzin nauki. Po południu wrócił Christian z wyprawy w tym samym kierunku i zapytywany przez panią Yeobright opowiedział, co następuje:

— Wykopali dół i znaleźli tam coś w rodzaju przewróconych do góry dnem doniczek, a w nich prawdziwe trupie kości. Poroznosili je do ludzkich mieszkań, choć ja nie chciałbym spać pod tym samym dachem, co one. Wiadomo, że zmarli przychodzą i domagają się swej własności. Pan Yeobright wziął jedną z tych donic pełną kości... prawdziwych trupich kości... i miał zanieść do domu, ale inaczej zostało zrządzone. Odetchnie pani, gdy powiem, że namyśliwszy się oddał donicę i kości. Szczęśliwy obrót rzeczy, bo jakie by pani miała noce.

— Oddał ją?

— Tak, pannie Vye. Ona widocznie ma jakieś ludożercze upodobanie do tych rzeczy

z cmentarza.

— To panna Vye była tam również?

— A jakże, była.

Kiedy wkrótce potem Clym wrócił do domu, matka powiedziała ze zdziwieniem:

— Oddałeś komuś urnę, którą miałeś zamiar przynieść mnie. Milczał, bo aluzja była zbyt wyraźna, żeby mógł cokolwiek powiedzieć.

Mijały pierwsze tygodnie nowego roku. Clym niewątpliwie się uczył, ale poza tym wiele przebywał poza domem, a spacerowały go zawsze do jakiegoś punktu leżącego między Mistover i Rainbarrow.

Nadszedł marzec i na wrzosowisku pojawiły się pierwsze słabe oznaki budzenia się natury z zimowego snu. Przypominało ono swą powolnością skradanie się kota.

Sadzawka za wałem przy domu Eustachii, choć hałaśliwemu przechodniowi wydawała się martwa i opuszczona, cichemu obserwatorowi ukazywała stopniowo, jak wielkie panuje w niej ożywienie. Bojaźliwy świat zwierzęcy wracał do życia na ciepłą porę roku. Drobne kijanki i trytony puszczając bąbelki powietrza wypływały z głębi wody i ściagały się tuż pod jej powierzchnią; ropuchy, wydając odgłosy podobne do kwakania kaczątek, dwójkami lub trójkami podpływały do brzegu, wyżej zaś trzmiele przelatwały tu i tam w gęstniejącym świetle, a ich buczenie zbliżało się i oddalało, przypominając dźwięk gongu.

Jednego z takich wieczorów Clym schodził w dolinę Blooms-End znad brzegów tej właśnie sadzawki, gdzie stał z kimś dostatecznie cicho i dostatecznie długo, by słyszeć szmery zmartwychwstającej przyrody. On jednak nic nie słyszał. Schodził szybko, sprężystym krokiem. Nim wszedł do obejścia matki, zatrzymał się łapiąc szybko oddech. Światło padające z okna ukazało zarumienioną twarz i błyszczące oczy, nie ujawniło jednak czegoś, co przylgnęło do

137jego warg niby pieczęć. Ten ślad na wargach wydawał mu się tak realny, że Clym nie ośmielał się wejść do domu w obawie, by matka nie zapytała: "A co to za ognistą plamę masz na wargach?"

Po krótkiej jednak chwili wszedł. Herbata stała przygotowana, zasiadł więc naprzeciw matki. Nie była skora do rozmowy, co się zaś tyczy jego samego, na wzgórzach coś zaszło i zostały tam przed chwilą wypowiedziane takie słowa, które nie pozwalały mu teraz zacząć zdawkowej rozmowy. Milczenie matki zapowiadało burzę, ale on zdawał się o to nie dbać. Wiedział, dlaczego mówi tak niewiele, ale nie był w stanie usunąć przyczyny jej małomówności. W końcu zagaił rozmowę, zamierzając wyświetlić całą sprawę do końca.

— Od pięciu dni siedzimy tak przy posiłkach prawie bez słowa. Na co to się zda, matko?

— Na nic — odpowiedziała przygnębionym głosem. — Ale mam wszelkie powody po temu. ;

— Nie będzie ich, kiedy o wszystkim się dowiesz. Chciałem już od jakiegoś czasu pomówić z tobą i rad jestem, że poruszyliśmy ten temat. Przyczyną jest, oczywiście, Eustachia Vye. No cóż, muszę przyznać, że widywaliśmy się ostatnio, i to nawet często.

— Tak, i wiem, do czego to doprowadzi. Martwię się, dymie. Marnujesz tu swoje życie, wszystko z powodu tej kobiety. Gdyby nie ona, nie zainteresowałbyś się wcale nauczaniem.

Clym spojrział twardo na matkę.

— Wiesz, że tak nie jest — odparł.

— No tak. Wiem, że miałeś gotowy plan, zanim ją poznałeś, ale skończyłoby się na zamiarach. To dobre, by o tym pogadać, ale śmieszne byłoby chcieć wprowadzać te zamiary w czyn. Przypuszczałam, że po miesiącu czy dwóch zrozumiesz, jakim szaleństwem jest takie poświęcanie samego siebie, i wrócisz do Paryża do tej czy

innej pracy. Rozumiem twoją niechęć do handlu brylantami. Sama też myślałam, że to zajęcie może być nieodpowiednie dla takiego jak ty człowieka, choćby ci miało przynieść miliony. Ale teraz, kiedy widzę, jak mylisz się co do tej dziewczyny, zaczynam wątpić, czy twój sąd o innych rzeczach jest słuszny.

— A dlaczego miałbym się co do niej mylić?

— Bo jest leniwa i wiecznie niezadowolona. Ale to nie wszystko. Przyjmując nawet, że nie mógłbyś znaleźć lepszej od niej kobiety — co jest nieprawdą — dlaczego w ogóle chcesz w tej chwili się żenić?

— No cóż, mam pewne praktyczne powody — zaczął Cłym i omal nie urwał, zdając sobie sprawę, jaki argument może matka przeciw niemu wytoczyć. — Jeżeli założę szkołę, pomoc wykształconej kobiety będzie dla mnie nieoceniona.

— Co?! A więc naprawdę zamierzasz ją poślubić!

— Jeszcze za wcześnie na tak wyraźne deklaracje. Ale pomyśl, matko,; jakie miałbym z tego korzyści. Ona...

— Nie wyobrażaj sobie, że ma jakieś pieniądze. Nie posiada ani szylinga.

— Odebrała staranne wykształcenie i byłaby z niej doskonała wychowawczyni w internacie. Przyznaję szczerze, matko, że ze względu na ciebie zmieni-

138

łem trochę plany. Teraz powinny cię zadowolić. Już nie upieram się przy elementarnym nauczaniu najuboższych dzieci. Mogę zrobić coś lepszego. Mogę założyć dobrą prywatną szkołę dla synów gospodarzy i prowadząc tę szkołę zdawać jednocześnie egzaminy. W ten sposób, z pomocą takiej żony jak ona...

— Och, Cłymie!

— Mam nadzieję, że w końcu zostanę kierownikiem jednej z najlepszych szkół w naszym hrabstwie.

Cłym wypowiedział słowo “ona” z wielką żarliwością, co w rozmowie z matką wskazywało na zupełny brak rozważli. W podobnych okolicznościach nie znalazłaby się w całej Wielkiej Brytanii matka, która potrafiłaby opanować irytację na tak niewczesny przejaw uczucia dla innej kobiety.

— Jesteś zaślepiony, Cłymie — powiedziała krewko. — Zły to był dla ciebie dzień, kiedy po raz pierwszy ją ujrzałeś. A twój plan to po prostu zamek na lodzie.

Zbudowałeś go po to, żeby usprawiedliwić szaleństwo, które cię opanowało, i uspokoić wyrzuty sumienia w tej nedorzecznej sytuacji, w jaką zabrnąłeś.

— Matko, to nie jest prawda — powiedział z naciskiem.

— Możesz więc twierdzić, że siedzę tu i mówię nieprawdę, kiedy jedynym moim pragnieniem jest uchronić cię przed nieszczęściem? Wstydz się, Cłymie! Wszystko to przez tę dziewczynę-ladaco!

Poczerwieniał gwałtownie i wstał. Położył rękę na ramieniu matki i powiedział tonem ni to błagania, ni to rozkazu:

— Dość tego. Nie chcę, żeby doszło do słów, których oboje będziemy żałować! Matka otworzyła usta, aby rzucić porywczo jeszcze jedną prawdę, ale spojrzawszy na syna dostrzegła w jego twarzy coś, co kazało jej zamilknąć. Cłym przemierzył parę razy pokój, a potem nagle wypadł z domu. Kiedy wrócił, była już jedenasta, chociaż nie opuszczał ogrodu. Matka poszła spać. Stół był nakryty do kolacji i paliła się na nim świeca. Nie zasiadł do jedzenia, ale zamknąwszy drzwi udał się na górę.

IV GODZINA SZCZĘŚCIA I WIELE GODZIN SMUTKU

Następny dzień w Blooms-End upłynął w niezwykle pośepnym nastroju. Cłym w swoim pokoju siedział nad otwartą książką, jednak owoc pracy tych godzin był bardzo mizerny. Postanowił, że nie będzie zachowywać się w stosunku do matki tak, jakby czuł się obrażony, i próbował z nią nawiązać rozmowę, nie zwracając uwagi na lakoniczność jej odpowiedzi. Toteż chcąc zachować pozory poprawnych stosunków

oznajmił koło siódmej wieczorem:

— Dziś będzie zaćmienie księżycy. Idę je obejrzeć.

Księżyc stał jeszcze nisko i nie było go widać sprzed domu, dopiero kiedy Clym wyszedł z doliny, ujrzał go w pełnym blasku. Ale i wtedy szedł dalej, kierując kroki ku Rainbarrow. Po półgodzinie znalazł się na jego szczycie.

139 Niebo było bez chmury i księżyc słał swe promienie na wrzosowisko, ale rozjaśniał je tylko nieznacznie. Jedyne na ścieżkach i w łożyskach potoków jego światło wydobywało z mroku białe kamienie i lśniący kwarcowy piasek, tworząc z nich jasne smugi na ciemnym tle całości. Clym stał chwilę, potem się pochylił i dotknął ziemi. Była sucha, więc rzucił się na nią, twarzą zwrócony ku księżycowi, który odbił w obu jego źrenicach po jednym małym swym wizerunku. Clym często przychodził tutaj, nie mówiąc nic matce, teraz po raz pierwszy pozornie szczerze wyjawiał swój zamiar, choć w rzeczywistości go ukrył. Przed trzema miesiącami nie podejrzewałby nawet, że może się znaleźć w takiej sytuacji. Wracając do pracy na tym odludnym miejscu przypuszczał, że uwolni się od dokuczliwych więzów społecznych, a oto się okazało, że są one i tutaj. Bardziej niż kiedykolwiek pragnął znaleźć się w świecie, gdzie osobista ambicja nie jest jedyną uznaną drogą postępu — jak zapewne bywało kiedyś na tym srebrnym globie, rzucającym na niego swój blask. Wędrował spojrzeniem po tej dalekiej krainie, po Zatoce Tęcz, ponurym Morzu Przesileń, Oceanie Burz, Jeziorze Snów, rozległych otoczonych górami równinach i cudownych górach w kształcie pierścienia — aż poczęło mu się zdawać, że wędruje rzeczywiście przez te dzikie obszary, staje na wklęsłych szczytach, przemierza krokami pustynie, zstępuje w doliny i dna dawnych- mórz i wspina się na krawędzie kraterów. Kiedy tak wypatrywał tych odległych krajobrazów, na dole księżycy pojawiła się mała plamka: zaczęło się zaćmienie. Zapowiadało to pewien z góry ustalony termin: odległy bowiem fenomen niebieski został wprzęgnięty w służbę podksiężycową jako sygnał dla zakochanych. Na ten widok myśli Clyma wróciły na ziemię. Wstał, otrząsał się i nasłuchiwał. Mijała minuta za minutą, chyba ich dziesięć przeszło, i cień na księżycu poszerzył się dostrzegalnie. Clym posłyszał z lewej strony jakiś szelest. U stóp kopca pojawiła się postać w płaszczu, ze zwróconą ku górze twarzą. Zbiegł na dół i w chwilę później postać ta znalazła się w jego ramionach, a usta Clyma dotknęły jej ust.

— Moja Eustachio!

— Clymie, najdroższy!

Do takiej sytuacji doprowadziły te niespełna trzy miesiące.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówili, bo żaden język nie wyraziłby ich uczuć: słowa były jak zardzewiałe narzędzia barbarzyńskiej epoki przeszłości i tylko czasem można je było tolerować.

— Zaczynałem się już niepokoić, dlaczego nie przychodzisz — odezwał się Clym, kiedy już rozluźnili uścisk.

— Powiedziałeś, że w dziesięć minut po ukazaniu się cienia na krawędzi księżycy, i teraz właśnie dziesięć minut mija.

— No, myślmy już tylko o tym, że jesteśmy razem. Potem stali w milczeniu trzymając się za ręce, a cień na księżycu znów się trochę powiększył.

— Czy czas beze mnie nie wydawał ci się długi?

— Wydawał się smutny.

— A nie długi? To dlatego, że jesteś zajęty i nie odczuwasz braku mojej obecności. A ja nie mam nic do roboty i ten czas był dla mnie jak stojąca woda.

140

— Wolałbym raczej znosić nudę niż to, co mi ten czas skracało.

— Cóż takiego? Żałowałaś pewno, żeś mnie pokochała.

— Jak można żałować i nie przestać kochać? Wykluczone, Eustachio.

— Mężczyźni to potrafią, kobiety nie.

— Cokolwiek myślałem, jedno jest pewne: naprawdę kocham ciebie... tak bardzo, że słowa tego nie wyrażą... kocham ciebie aż do bólu... ja, co nigdy nie czułem do żadnej kobiety nic więcej poza przelotną sympatią. Niechaj się przyjrzę twej twarzy w blasku księżyca, każdej linii, każdemu zarysowi. Jest tylko nieznaczna różnica między tą twarzą a twarzami kobiet, które widziałem wiele razy, nim ciebie poznałem, a jednak jakaż to różnica — dzieli to, co jest wszystkim, od tego, co jest niczym. Jeszcze jedno dotknięcie twych warg... i raz jeszcze... i jeszcze... Masz pochmurne oczy, Eustachio!

— Ależ nie, takie mam zawsze. Może dlatego, że czasem czuję aż bolesną litość nad sobą i żałuję, że się w ogóle urodziłam.

— Chyba teraz tego nie czujesz?

— Nie. Choć wiem, że nie zawsze będziemy się tak kochać. Miłość nie trwa wiecznie. Ulotni się jak zjawą i dlatego pieką mnie łyzy.

— Niepotrzebnie.

— Ach, ty nie wiesz. Widziałeś wprawdzie więcej w życiu niż ja, mieszkałeś w miastach i wśród takich ludzi, których ja znam tylko ze słyszenia, i żyłeś dłużej niż ja, a jednak pod tym względem jestem bardziej doświadczona. Niegdyś kochałam innego mężczyznę, a dzisiaj kocham ciebie.

— Na miłość boską, nie mów tak, Eustachio!

— Nie sądzę jednak, żeby mnie pierwszej znudziło się kochanie. Obawiam się innego zakończenia: otóż twoja matka postyszy o naszych spotkaniach i zwróci twoje uczucia przeciwko mnie!

— To się nigdy nie stanie. Ona już wie o naszych spotkaniach.

— I występuje przeciw mnie.

— Tego nie powiem.

— A więc odejdz! Posłuchaj jej rad. Ja cię zniszczę. Niemądrze postępujesz spotykając się ze mną. Pocałuj mnie i odejdz na zawsze! Na zawsze... czy słyszysz? Na zawsze!

— O nie!

— To twoja jedyna szansa. Dla wielu mężczyzn miłość jest przekleństwem.

— Dyktuje ci to rozpacz, upór, wyobrażasz sobie różne rzeczy i nic nie rozumiesz. Miałem jeszcze dodatkowy powód prócz miłości, żeby się z tobą dziś zobaczyć. Bo chociaż w przeciwieństwie do ciebie czuję, że nasza miłość może być wieczna, podobnie jak ty uważam, że obecny stan nie może trwać długo.

— O! To słowa twojej matki. Tak, właśnie jej. Wiem.

— Mniejsza z tym czyje. Wierzaj mi, że nie mogę cię utracić. Musisz być zawsze przy mnie. Nawet teraz mam ochotę nie pozwolić ci odejść. Na to pragnienie jest tylko jedno lekarstwo. Musisz zostać moją żoną.

Drgnęła, a potem powiedziała z wymuszonym spokojem:

— Cynicy mówią, że to wyleczy z pragnień, bo wyleczy z miłości.

141 — Proszę jednak, odpowiedz. Czy będę mógł kiedyś prosić cię o rękę? Nie mówię, że w tej chwili.

— Muszę się zastanowić — szepnęła Eustachia. — A teraz mów mi o Paryżu. Czy jest na całym świecie równe mu miejsce?

— To bardzo piękne miasto. Ale czy zostaniesz moją żoną?

— Nie zostanę żoną nikogo innego. Czy to cię zadowala?

— Tak, na razie.

— A teraz opowiedz mi o Tuilleries i o Luwrze.

— Nie cierpię opowiadać o Paryżu! No cóż, pamiętam jeden słoneczny pokój w Luwrze, w którym doskonale by ci się mieszkało — Galerie d'Appol-lon. Większość

jego okien wychodzi na wschód i wczesnym rankiem, kiedy słońce mocno świeci, całe to pomieszczenie pełne jest splendoru. Promienie rozchodzą się na wszystkie strony, odbijają od złocień i biegną ku wspaniałym inkrustacjom mebli, od nich ku złotym i srebrnym talerzom, dalej ku klejnotom i drogim kamieniom, potem ku emaliom, aż powstaje olśniewająca złocista siatka światła. Ale teraz pomówmy o naszym małżeństwie...

— A Wersal... Galeria Królewska jest pełna przepychu, prawda?

— Tak. Ale co za sens rozmawiać o wspaniałych salach? Nawiasem mówiąc, doskonale by się nam mieszało w Petit Trianon, a ty mogłabyś spacerować po ogrodzie przy księżycu i myśleć, że jesteś w Anglii, bo ogród jest utrzymany w stylu angielskim.

— Wcale nie chciałabym tak myśleć!

— Wobec tego spacerowałaś po trawnikach przed Grand Pałace. Na pewno czułaś się tam jak w świecie romansów historycznych.

Mówił długo, ponieważ cały ten świat był dla niej nowy, i opisywał Fontainebleau, St. Cloud, Lasek Buloński i wiele innych sławnych miejsc w Paryżu.

Wreszcie zapytała:

— Kiedy tam chodziłeś?

— W niedzielę.

— Ach, tak. Nie znoszę angielskich niedziel. Jakże by mi odpowiadały tamtejsze zwyczaje, dymie, kochany, wrócisz tam?

Clym potrząsnął głową i spojrzał na zaćmienie księżyca.

— Jeśli wrócisz tam, to ja będę... kimś — powiedziała przymilnie, tuląc głowę do jego piersi. — Jeśli się zgodzisz, spełnię obietnicę i nie każę ci czekać ani minuty dłużej.

— Jakie to dziwne, że ty i moja matka jesteście jednego zdania w tej sprawie! — odparł Clym. — Przysiągłem, że już tam nie wrócę, Eustachio! Czuję wstręt nie do tego miasta, ale do mojego zajęcia.

— Możesz tam przecież pojechać w innym charakterze.

— Nie. A poza tym taki wyjazd udaremniłby moje plany. Nie nalegaj, Eustachio.

Czy wyjdiesz za mnie?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Nie upieraj się przy Paryżu, tam nie jest lepiej niż gdzie indziej.

Przyrzeknij mi, kochana!

— Jestem pewna, że nie wytrwasz w swoich planach i wszystko się ułoży po mojej myśli. A więc przyrzekam, że będę twoją na zawsze.

142

Clym delikatnym ruchem obrócił jej twarz ku swojej i złożył na niej pocałunek.

— Tak, ale ty nie wiesz, kogo sobie bierzesz. Czasem myślę, że Eustachia Vye nie potrafi zostać dobrą, pocziwą żoną. No, nie myślmy o tym. Patrz, jak ten czas ucieka! — Wskazała palcem na zaćmiony do połowy księżyc.

— Wpadłaś w zbyt ponury nastrój.

— Nie, tylko boję się sięgnąć myślą poza teraźniejszość. Co jest, wiemy. Teraz jesteśmy razem, ale nie wiadomo, na jak długo. Nieznana przyszłość wydaje mi się zawsze pełna okropnych możliwości, nawet wtedy, gdy logicznie biorąc powinnam oczekiwać, że wszystko będzie dobrze. Clymie, twoja twarz oświetlona dziwnym blaskiem zaćmionego księżyca jest jak wyrzeźbiona w złocie. To oznaka lepszej dla ciebie kariery.

; — Jesteś ambitna, Eustachio... nie, właściwie nie ambitna, ale pragniesz zbyt wiele. Powinienem chyba mieć taki sam jak ty charakter, żeby cię uczynić szczęśliwą. A jednak ja, wręcz przeciwnie, mógłbym żyć i umrzeć na tej pustelni, byłbym miał odpowiednie zadanie do spełnienia.

Jego ton świadczył, że budzą się w nim wątpliwości, czy potrafi być troskliwym kochankiem, czy postępuje uczciwie w stosunku do tej, której gusty odpowiadają tylko niektórym jego upodobaniom. Zrozumiała to i zapewniła go cichym, gorącym szeptem:

— Nie zrozum mnie, źle, Clymie, bo chociaż chciałabym mieszkać w Paryżu, kocham cię dla samego siebie. Zostać twoją żoną i mieszkać w Paryżu byłoby dla mnie rajeni, ale wolałabym raczej mieszkać z tobą na odludziu niż w ogóle nie być twoją żoną. W każdym wypadku zyskam na tym, i to bardzo. Oto moja aż nazbyt szczerza spowiedź.

— Mówisz jak prawdziwa kobieta. Niedługo musimy się rozstać. Odprowadzę cię do domu.

— Czy musisz już wracać? — zapytała. — Tak, widzę, że piasek już się prawie przesyłał, a ciemna plama coraz bardziej zakrywa księżyc. Nie odchodź jeszcze! Poczekaj, aż cała godzina upłynie, a wtedy już cię nie będę zatrzymywać. Wrócisz do domu i będziesz smacznie spał. A ja wciąż wzdycham we śnie! Czy śnię ci się po nocach? “ — Nie przypominam sobie żadnego wyraźnego snu o tobie. ; — Widzę twoją twarz w każdym śnie i słyszę twój głos w każdym dźwięku. Lepiej, gdyby tak nie było. Za bardzo cię kocham. Podobno taka miłość nie trwa długo. Ale nasza musi trwać! Przypominam sobie jednak, jak to kiedyś zobaczyłam jadącego ulicą w Budmouth oficera huzarów i chociaż go zupełnie nie znałam i nie odezwał się do mnie ani słowem, zakochałam się w nim tak, iż myślałam, że umrę z miłości. Ale nie umarłam i w końcu zapomniałam. Jakie by to było okropne, Clymie, gdyby kiedyś przyszedł” taki czas, że przestałabym cię kochać!

— Nie mów tak nierozważnych słów. Jeśli zobaczymy, że ów czas nadchodzi, każde z nas powie: “Przeżyłem moją wiarę i cel życia”, a potem umrze. Godzina już upłynęła, chodźmy.

• Trzymając się za ręce szli ścieżką w kierunku Mistover, a kiedy znaleźli się już blisko domu, powiedział:

143— Dziś jest już za późno na rozmowę z twoim dziadkiem. Czy myślisz, że będzie się sprzeciwiał?

— Pomówię z nim. Przywykłam być panią samej siebie i nawet nie pomyślałam, że musimy go pytać.

Rozstali się więc, choć z ociąganiem, i Clym począł schodzić w dolinę. W miarę jak oddalał się od swej bogini, gdy rozpraszała się czarowna atmosfera przez nią stwarzana, twarz jego omraczał coraz głębszy, nie znany mu dotąd smutek. Z całą siłą powróciła świadomość, że miłość stawia go w bardzo trudnej sytuacji. Mimo okazanej przez Eustachię gotowości przeczekania okresu zaręczyn do chwili, aż on wyrobi sobie pozycję w nowym zawodzie, nie mógł chwilami nie dostrzegać, że kocha go raczej jako gościa z wesołego świata, do którego sama niejako z prawa należy, niż jako człowieka, który postawił sobie cel niezgodny ze swą niedawną, a tak bardzo w jej oczach interesującą przeszłością. Nieraz w czasie spotkań zdradzała jakimś słowem czy westchnieniem, że choć nie stawia warunku, by wrócił do Francji, takie właśnie są jej marzenia związane z ich ewentualnym małżeństwem, a to z kolei zatruwało mu niejedną skądinąd przyjemną godzinę. Jednocześnie powiększała się przepaść między nim a matką. Gdy czasem jakieś drobne wydarzenie ukazywało wyraźniej niż zazwyczaj, że sprawił jej wielkie rozczarowanie, pogrążony w mrocznej zadumie udawał się na dalekie samotne spacerować albo pod wpływem wewnętrznej rozterki nie mógł zmrużyć oka przez większą część nocy. Zupełnie inaczej patrzyłaby na niego matka, gdyby zechciała dostrzec, jak rozsądny i zasługujący na szacunek jest jego zamiar i jak niewiele ma wspólnego z uczuciem do Eustachii.

Tak więc gdy jego wzrok przywykł do pierwszej oślepiającej aureoli, jaką miłość

i piękno roznieciły wokół niego, Clym spostrzegł, w jakich opałach się znajduje. Czasami wprost żałował, że poznał Eustachię, choć natychmiast odrzucał tę myśl, uznając ją za brutalną. Ścierały się z sobą trzy przeciwstawne sprawy: zaufanie matki, własny plan nauczania i szczęście Eustachii. Gorąca natura nie pozwalała mu rezygnować z niczego, choć nie mógł mieć nadziei, że zrealizuje więcej niż dwa ze swych pragnień. Choć jego miłość była tak czysta jak miłość Petrarcki do Laury, zmieniła w kajdany to, co przedtem można było nazwać tylko trudnością. Sytuacja, która absolutnie nie była prosta, kiedy miał serce wolne, stała się niestęchanie skomplikowana, kiedy pokochał Eustachię. Z chwilą kiedy matka zaczęła się przychylić do jednego projektu, wysunął drugi, jeszcze zuchwalszy, i to połączenie było już ponad jej siły.

PO OSTREJ WYMIANIE ZDAŃ NASTĘPUJE KRYZYS

Kiedy Clym nie był z Eustachią, ślęczał nad książkami, kiedy nie czytał, spotykał się z nią. Spotkania te utrzymywał w najgłębszej tajemnicy. Pewnego popołudnia matka wróciła do domu z porannej wizyty u Tomasi-ny. Widząc jej zmienioną twarz, domyślił się, że coś zaszło.

144

— Słyszałam rzecz niepojętą — powiedziała ponuro. — Kapitan wygadał się w oberży, że jesteś zaręczony z Eustachią Vye.

— Tak — potwierdził syn. — Ale może jeszcze dużo czasu upłynąć, nim się pobierzemy.

— Trudno sobie wyobrazić, żeby miało jeszcze dużo czasu upłynąć. Pewno zabierzesz ją do Paryża? — zapytała ze znużeniem i rezygnacją w głosie.

— Nie wracam do Paryża.

— A więc co zrobisz z żoną?

— Będę prowadził z nią szkołę w Budmouth, tak jak ci mówiłem.

— Niemożliwe! Tam jest pełno szkół. Nie posiadasz specjalnych kwalifikacji. Jaką szansę mogą mieć tacy jak ty, dymie?

— Nie mam szans na zdobycie majątku. Ale dzięki mojemu systemowi nauczania, który jest zarówno nowy, jak i słuszny, mogę zrobić wiele dobrego bliźnim.

— Mrzonki, czcze mrzonki! Gdyby rzeczywiście można było jakiś system wymyślić, dawno już wynaleźliby go na uniwersytetach.

— Nie, matko. Nie mogą go wynaleźć, ponieważ tamci nauczyciele nie mają kontaktu z klasą, która potrzebuje takiego systemu, to znaczy z tymi, którzy nie przeszli przez wstępne nauki. Mój plan polega na wpojeniu w ich nieuczone umysły wyższej wiedzy bez włączania w nie przedtem tego, co trzeba z nich usuwać, zanim zaczniesz się prawdziwa nauka.

— Mogłabym w to uwierzyć, gdybyś pozostał wolny, ale ta kobieta... Gdyby nawet była dobrą dziewczyną, to i tak sytuacja byłaby zła, skoro jednak...

— 'Dobra z niej dziewczyna.

— Ty tak uważasz. Córka muzykanta z Korfu! Jakie było jej dotychczasowe życie? Nie nosi nawet prawdziwego nazwiska!

— Jest wnuczką kapitana Vye'a, a jej ojciec przyjął po prostu nazwisko żony. Wrodzone zalety czynią z niej damę.

— Nazywają go kapitanem, ale każdego można tak nazywać.

— Służył w Królewskiej Marynarce Wojennej!

— Na pewno był na morzu na takim czy innym statku. Dlaczego jej nie pilnuje? Żadna dama nie włóczyłaby się tak dniem i nocą po wrzosowisku. Ale to nie wszystko. Było coś między nią a mężem Tomasiny. Jestem tego najpewniejsza w świecie.

— Eustachią wspominała mi o nim. Zalecał się do niej przed rokiem, ale nie ma w tym nic złego. Jeszcze bardziej ją przez to lubię.

— Clymie — oświadczyła stanowczo matka. — Nie mam, niestety, przeciwko niej żadnych dowodów, ale jeżeli będzie z niej dobra żona, to na całym świecie nie ma złych żon.

— Doprawdy, trudno mi się powstrzymać od irytacji — odparł gwałtownie. — A właśnie dzisiaj chciałem, żebyście się spotkały. Ty jednak nie dajesz mi spokoju, chcesz we wszystkim pokrzyżować moje plany.

— Straszna jest dla mnie myśl, że mój syn mógłby się źle ożenić. Żałuję, że dożyłam tej chwili. To ponad moje siły... czegoś takiego nigdy sobie nie wyobrażałam. — Obróciła się do okna szybko oddychając, jej poblądłe wargi drżały.

10 — Powrót...

145 — Matko — perswadował — wiesz, że cokolwiek zrobisz, zawsze będę cię kochał. Ale mam prawo powiedzieć jedno: w moim wieku wiem już sam, co jest dla mnie najlepsze.

Słowa te wstrząsnęły panią Yeobright tak, że zamilkła, jakby niezdolna była do powiedzenia czegokolwiek.

— Najlepsze? — odezwała się po chwili. — Czy najlepiej dla ciebie będzie narażać swą przyszłość dla takiej zmysłowej, leniwej kobiety jak ona? Czy nie rozumiesz, że przez sam fakt takiego wyboru dowiodłeś, że nie wiesz, co dla ciebie najlepsze? Przestałeś mieć własne zdanie, nastawiłeś wszystkie swoje myśli i całą duszę na dogodzenie kobiecie.

— Tak. I tą kobietą jesteś ty, matko.

— Jak możesz mnie tak traktować! — powiedziała pani Yeobright, zwracając ku niemu pełne łez oczy. — Jesteś wyrodnym synem, dymie, tego się po tobie nie spodziewałam.

— Być może — odparł ze smutkiem. — Sama nie wiesz, jaką miarą mi odmierzasz, a więc nie wiesz, jaką i tobie będzie odmierzone. •

— Jak ty mi odpowiadasz! Myślisz tylko o niej. Obstajesz przy niej we wszystkim.

— To dowodzi, że jest wartościowa. Nigdy nie popierałem tego, co jest złe. Ale nie tylko na niej mi zależy. Zależy mi na tobie i na sobie samym, i na wszystkim, co jest dobre. Kiedy kobieta raz znienawidzi drugą, staje się bezlitosna!

— O, dymie, nie obwiniaj mnie za to, co wynikło z twojej przewrotności i uporu. Jeżeli chciałeś złączyć swe życie z niegodną osobą, dlaczego musiałeś to zrobić tutaj? Dlaczego nie w Paryżu? Tam to bardziej w modzie. Wróciłeś, aby zadrzeć mnie, samotną kobietę, zatruć mi ostatnie lata. Żałuję, że nie obdarzyłeś swoją obecnością osoby, którą obdarzasz miłością.

— Jesteś moją matką — odparł Clym ochryplym głosem — więc nie powiem nic więcej prócz jednego: otóż przepraszam cię, że uważałem ten dom za mój. Nie będę ci się dłużej narzucał, pójdę stąd. — I wyszedł ze łzami w oczach.

Było słoneczne popołudnie, początek lata, i wilgotne kotliny na wrzosowisku przemieniały swą barwę z brązu na zieleń. Clym szedł do krawędzi kotliny leżącej między Mistover i Rainbarrow. Odzyskał już spokój i przyglądał się krajobrazowi. W mniejszych kotlinach, między pagórkami, które urozmaicały zarys doliny, rosły bujne paprocie, sięgające do pięciu czy sześciu stóp wysokości. Clym zszedł trochę niżej, rzucił się jak długi na ziemię w miejscu, do którego dochodziła ścieżka wynurzająca się z sąsiedniej kotlinki, i czekał. Tutaj właśnie przyrzekł Eustachii przyprowadzić po południu matkę, aby mogły się spotkać i zaprzyjaźnić. Jego zamierzenia spełzły na niczym.

Znalazł się w gniazdku intensywnej zieleni. Paprociowa flora dokoła niego, chociaż tak bogata, była jednorodna, tworzyła zagajnik o liściach jakby seryjnej produkcji: świat zielonych trójkątów o nacinanych piłą brzegach, bez jednego

kwiatu. Powietrze było ciepłe od oparów, cisza niczym nie zmacona. Z żyjących stworzeń pojawiały się tylko jaszczurki, koniki polne i mrówki.

Cała sceneria zdawała się jakby wzięta z prehistorycznego świata okresu karbońskiego, kiedy to istniały nieliczne odmiany roślin, wszystkie paprociowate, nie było pączków ani kwiecica, jedynie monotony obszar liści, wśród których nie śpiewał żaden ptak.

Kiedy leżał tak przez pewien czas posepnie zamyślony, dostrzegł z lewej strony nad paprociami zbliżający się ku niemu kapelusik z białego jedwabiu i nie miał wątpliwości, czyją głowę okrywa. Opuściła go apatia, ogarnęło miłe podniecenie i zrywając się na równe nogi, powiedział głośno:

— Wiedziałem, że na pewno przyjdzie.

Kapelusik znikł na chwilę w jakimś zagłębieniu, a po chwili cała dziewczęca postać wynurzyła się z gęstwiny.

— Jesteś sam? — zawołała z rozczarowaniem, którego siłę potwierdziły rumieńce i niski, trochę niespokojny śmiech. — A gdzie pani Yeobright?

— Nie przyszła — odpowiedział cicho.

— Szkoda, że nie wiedziałam, że będziesz tutaj sam — oświadczyła poważnie — i będziemy mogli tak miło spędzić czas. Przyjemność, której się nie oczekiwało, to połowa przyjemności. Cieszyć się z góry na nią to podwójna radość, a ja dziś rano ani razu nie pomyślałam, że po południu będę cię miała wyłącznie dla siebie. Samo spotkanie szybko przemija.

— W istocie.

— Biedny Clymie! — mówiła, patrząc serdecznie na jego twarz. — Jesteś smutny. Coś w domu zaszło. Nie przejmuj się tym, co jest, myślm tylko o tym, co nam się wydaje słuszne.

— Ależ, kochanie, co my zrobimy? — zapytał.

— Będziemy dalej żyć tak jak teraz... od spotkania do spotkania, nie troszcząc się o jutro. Ale ty, jak wiem, ciągle myślisz o jutrze. A chyba zgodzisz się ze mną, że nie powinieneś, Clymie.

— Jesteś jak wszystkie kobiety. Zadowala was budowanie życia w jakichkolwiek nadarzających się warunkach, mężczyzna zaś rad by poruszyć cały świat, żeby wam dogodzić. Posłuchaj, Eustachio. Jest pewien temat, którego nie chcę już dłużej odkładać. Twoje upodobanie do mądrości carpe diem dziś mi nie odpowiada. Nie możemy dłużej żyć w ten sposób.

— Przez twoją matkę!

— Tak. Fakt, że ci to mówię, nie znaczy, że cię mniej kocham. Ale powinnaś o tym wiedzieć.

— Lękam się o moje szczęście — powiedziała zmartwiałymi wargami. — Było zbyt wielkie i spala mnie.

— Nie wszystko stracone. Przez czterdzieści lat będę mógł jeszcze pracować, więc dlaczego miałabyś rozpaczać? Znalazłem się tylko na trudnym zakręcie. Chciałbym, żeby ludzie nie byli tak skłonni przypuszczać, że do postępu konieczna jest ciągłość.

— Ach, więc zająłeś się filozoficzną stroną sprawy. No tak, te smutne i beznadziejne przeszkody są w jakimś sensie niezbędne, bo uczą nas patrzeć obojętnie na okrutne figle, jakie lubi nam płatać Los. Słyszałam o ludziach, którzy zdobywszy nagle szczęście, tak się lękali, że nie pożyją dostatecznie długo, aby się nim nacieszyć, że z tej obawy umierali. I ja ostatnio żyłam

146

147w tym dziwnym stanie niepokoju, teraz jednakże będzie mi to zaoszczędzone. Chodźmy się przejść.

Clym wziął ją za rękę, z której zdjęła rękawiczkę — w taki właśnie sposób,

trzymając się za ręce, najbardziej lubili spacerować — i poprowadził ją przez paprocie. Tworzyli piękny obraz miłości w pełnym rozkwicie, gdy tak wędrowali doliną w to późne popołudnie, a stojące nisko słońce oświetlało ich z prawej strony i rzucało daleko na paprocie i janowiec ich smukłe jak topole cienie. Eustachia szła z głową zawadiacko podniesioną, a w oczach jej błyszczało zadowolenie i zmysłowy wyraz triumfu, że oto sama, bez niczyjej pomocy, zdobyła mężczyznę, który jej odpowiadał pod względem wykształcenia, powierzchowności i wieku. Jeżeli chodzi o młodego człowieka, to przywieziona z Paryża bladeść twarzy i pojawiające się już na niej znamie czasu i myśli były mniej widoczne niż w chwili powrotu, natomiast wrodzone mu zdrowie, energia, żywotność zaczynały powracać. Szli tak długo, aż znaleźli się na dolnym, bagnistym krańcu wrzosowej krainy, graniczącej tu z torfowiskiem.

— Musimy się już rozstać, dymie — powiedziała Eustachia.

Stanęli, aby się pożegnać. Wszystko przed nimi tchnęło idealną harmonią. Słońce, spoczywające na linii horyzontu, słało po ziemi strumienie blasku spoza miedzianych i liliowych obłoków, układających się płatami pod seledynem nieba. Wszystko, co było ziemne i znajdowało się na ziemi między nimi a słońcem, otaczała purpurowa mgła, w której chmary brzęczących komarów, kłębiąc się i wirując, błyskały jak iskry.

— Och, rozstanie z tobą jest ponad moje siły! — szepnęła Eustachia w nagłym porywie udreki. — Matka źle na ciebie wpłynie, zostanę niesprawiedliwie osądzona, rozniesie się wszędzie, że jestem niedobra dziewczyna, do tego dorzucą historię o czarownicy, żeby mnie jeszcze bardziej oczernić!

— Tego nie zrobią. Nikt się nie ośmieli mówić źle o tobie czy o mnie.

— O, jak bym pragnęła mieć pewność, że nigdy ciebie nie utracę, że nigdy mnie nie opuścisz!

Clym przez chwilę stał w milczeniu. Uczucia jego wezbrały, chwila pełna była napiętnego napięcia, więc podjął decyzję.

— Będziesz miała pewność, kochanie — powiedział, tuląc ją w ramionach. — Weźmiemy zaraz ślub.

— O, Clymie!

— Czy się zgadzasz?

— Jeśli... jeśli to możliwe.

— Na pewno możliwe, bo oboje jesteśmy dorośli, a ja w ciągu tych lat pracy odłożyłem trochę pieniędzy i jeśli zgodzisz się zamieszkać w małej chatce gdzieś na wrzosowisku, zanim wynajmę w Budmouth dom na szkołę, urządzimy się małym kosztem.

— A jak długo będziemy musieli mieszkać w tej małej chatce, Clymie?

— Około pół roku. W tym czasie ukończę moje studia... tak, postąpimy w ten sposób i położymy kres udreće naszych serc. Będziemy, oczywiście, żyli w zupełnym odosobnieniu, a nasze życie towarzyskie zaczniemy dopiero wtedy, kiedy zamieszkamy w domu w Budmouth. Wysłałem już list w tej sprawie. Czy twój dziadek się nie sprzeciwi?

148

— Myślę, że nie — pod warunkiem, że to nie będzie trwać dłużej niż pół roku.

— Ręczę za to, jeśli nie zdarzy się jakieś nieszczęście.

— Jeśli nie zdarzy się jakieś nieszczęście — powtórzyła wolno.

— Czego nie przewiduję. Naznacz dzień, najdrozsza.

Rozmawiali chwilę na ten temat i termin został ustalony. Ślub miał się odbyć za dwa tygodnie.

Na tym skończyła się rozmowa i Eustachia rozstała się z dymem. Przyglądał się, gdy odchodziła ku słońcu. W miarę jak się oddalała, spowijał ją słoneczny blask

i ucichał szelest sukni ocierającej się o pędy szaławii i trawy. Gdy tak patrzył, przytoczyła go absolutna płaskość krajobrazu, chociaż w pełni odczuwał piękno nieskazitelnie świeżej zieleni wczesnego lata, przystrajającej najlichsze źdźbło. W tej natrętnej płaskości było coś, co mu aż za bardzo przypominało scenę ludzkiego życia. Ogarnęło go uczucie, że jest równy wszystkiemu, co żyje pod słońcem — ale nie wyższy.

Eustachia była teraz dla niego już nie boginią, ale kobietą, istotą, dla której trzeba walczyć, pomagać jej i znosić dla niej oszczerstwa. Teraz, gdy nieco ochłonął, pomyślał, że wolałby nie tak spieszne małżeństwo, ale karty zostały rzucone i był zdecydowany wytrwać w tej grze. Czy Eustachia nie jest jeszcze jedną na liście tych, które kochają zbyt namiętnie, by kochać długo — okazała nadchodzące wydarzenia.

VI CLYM OPUSZCZA DOM I NASTĘPUJE CAŁKOWITE ZERWANIE

Przez cały wieczór do uszu matki dochodziły z góry, z pokoju Clyma, odgłosy energicznego pakowania.

Nazajutrz rano wyszedł z domu i ponownie znalazł się na wrzosowisku. Miał przed sobą całodzienny marsz, którego celem było wyszukanie mieszkania, gdzie mógłby zabrać Eustachię, kiedy zostanie jego żoną. Taki właśnie domek, mały, odludny, z zamkniętymi okiennicami, zauważył przypadkiem przed miesiącem o dwie mile za wioską East Egdon, a o sześć mil od domu matki, tam też skierował swe kroki.

Pogoda była zupełnie inna niż poprzedniego wieczoru. Żółte zamglone słońce o zachodzie, którego blask przesłonił mu oddalającą się Eustachię, zapowiadało zmiany. Był to jeden z tych niezbyt rzadkich czerwcowych dni w Anglii, które są równie mokre i wietrzne jak w listopadzie. Zimne chmury pędziły zwartą masą po niebie, jak w latarni czarnoksiężskiej. Opary z innych łądów nadlatywały z wiatrem, spowijały Clyma i rozdzielały się wokół jego postaci.

W końcu dotarł do szkółki buków i sosen, która została odgradzona od wrzosowiska w roku jego urodzin. Tutaj drzewa, obciążone młodymi wilgotnymi liśćmi, poniosły większą szkodę niż w czasie najgorszych wichrów zimowych, kiedy to gałęzie są ogołoczone po to, aby mogły się oprzeć tęgim zawie-

149 ruchom. Młode mokre buki z połamanymi gałęziami stały okaleczone, rozdarte.

Ciekące z ich ran soki miały się sączyć jeszcze przez długi czas, blizny zaś pozostały aż do dnia spalenia drzew. Pnie, obłuzowane przy korzeniach, poruszały się jak kości w stawach, przy każdym silniejszym podmuchu gałęzie skrzybiały i szumiały żałością, jakby z bólu. W pobliskich zaroślach zięba próbowała śpiewać, ale wiatr dmuchał na nią tak silnie, że zjeżył jej wszystkie piórka i okręcił się wokół ogonka, aż w końcu zmusił ją do zaprzestania treli.

A jednak jak bezskuteczne były zakusy wichru o kilka jardów dalej w lewo, na otwartej przestrzeni. Porywy, które szarpały drzewami, ledwie muskały lekką pieszczotą janowiec i wrzos. Egdon był stworzony na taką pogodę.

Około południa Clym doszedł do pustego domku. Stał on prawie w tak odludnym miejscu jak domek dziadka Eustachii. Sąsiedztwo z wrzosowiskiem maskował krąg sosen, które otaczały niemal ze wszystkich stron gospodarstwo. Clym poszedł jeszcze milę dalej do wioski, w której mieszkał właściciel, wrócił z nim do domku i zawarł umowę. Człowiek ów przyrzekł, że następnego dnia wyporządzi przynajmniej jeden pokój. Clym bowiem zamierzał mieszkać tu samotnie aż do przybycia Eustachii w dniu ślubu.

Następnie udał się w drogę powrotną do domu. Padał drobny deszcz, zupełnie odmieniający krajobraz. Paprocie, wśród których tak wygodnie wczoraj leżał, okapywały wodą i kiedy idąc ocierał się o liście, zmoczył sobie nogi, a pierzchające przed nim króliki miały futro pozlepiane w ciemne od wilgoci kłaczkami.

Po tym dziesięciomilowym marszu wrócił do domu przemoknięty i zmęczony. Trudno było uznać to za pomyślny początek, ale wytyczył już sobie drogę i nie będzie z niej zbaczał. Wieczór i ranek dnia następnego spędził na końcowych przygotowaniach do opuszczenia domu. Czuł, że skoro już postanowił odejść, nie powinien pozostać ani minuty dłużej, niż to konieczne, gdyż może jakimś słowem, spojrzeniem czy postępkami zadać na nowo ból matce.

Wynajął wóz i o drugiej po południu wysłał wszystkie swoje rzeczy. Następnym zadaniem było zdobycie mebli, które — po krótkim okresie używania ich w chacie — nadałyby się, wraz z innymi, w lepszym gatunku, do domu w Budmouth. Kupić je mógł w Anglebury, o kilka mil od miejsca, które wybrał na swoją siedzibę, i tam postanowił spędzić nadchodzącą noc.

Pozostało teraz pożegnać się z matką. Kiedy zszedł na dół, siedziała jak zwykle przy oknie.

— Matko, odchodzę — powiedział wyciągając rękę.

— Tak też pomyślałam, słysząc, że się pakujesz — odrzekła pani Yeo-bright głosem tak opanowanym, że nie brzmiała w nim ani jedna nutka uczucia.

— Chyba rozstaniesz się ze mną w przyjaźni?

— Naturalnie, dymie.

— Poślubię ją dwudziestego piątego.

— Tak też pomyślałam, że ją poślubisz.

— A potem... a potem musisz przyjść nas odwiedzić. Wtedy zrozumiesz mnie lepiej i nie będziemy się tak wzajem dręczyć.

— Raczej się nie spodziewaj, żebym przyszła was odwiedzić.

150

— W takim razie nie będzie to wina Eustachii ani moja, matko. Do widzenia.

Pocałował ją w policzek i odszedł z rozpaczą w sercu, którą dopiero po kilku godzinach zdołał trochę opanować. Nie mógł już nic więcej powiedzieć, nie usuwając dzielącej ich bariery, to zaś było niemożliwe.

Ledwo wyszedł z domu, surowe opanowanie znikło z twarzy matki i odmalowała się na niej głęboka rozpacz. Po chwili rozplakała się i łzy przyniosły jej ulgę.

Przez resztę dnia nie mogła nic robić, tylko jak ogłuszona chodziła po ścieżce ogrodowej. Noc nadeszła, ale nie przyniosła jej pełnego odpoczynku. Następnego dnia instynkt kazał jej zająć się czymś, co zmieniłoby nerwowe załamanie w cichy smutek, poszła więc do pokoju syna i własnymi rękami doprowadziła go do porządku, wyobrażając sobie, że nadejdzie czas, kiedy Clym wróci. Zadbła o kwiaty, ale zajęła się nimi pobieżnie, bo straciły już dla niej swój urok.

Z wielką ulgą powitała Tomasinę, która wczesnym popołudniem nieoczekiwanie złożyła jej wizytę. Nie było to pierwsze ich spotkanie po ślubie Toma-siny, a ponieważ dawne błędy zostały w pewnej mierze naprawione, mogły się spotykać z przyjemnością i bez skrzepowania.

Ukośna smuga słonecznego blasku, która wpadła za młodą mężatką przez drzwi, spotęgowała jej urok. Opromieniła ją tak, jak jej obecność opromieniała wrzosowisko. W ruchach, w spojrzeniach przypominała ptaki, które żyły wokół jej domu. Wszystkie charakteryzujące ją porównania i przenośnie zaczynały się od ptaków i kończyły się na ptakach. Jej ruchy były tak różnorodne jak ich lot. W zamyśleniu przypominała pustułkę, która zawisa w powietrzu unoszona niewidzialnymi ruchami skrzydeł. Kiedy wiał silny wiatr, miotał jej lekkim ciałem niczym czapłą o drzewa i ławice piasku. W przestrachu bezszelestnie rzucała się naprzód niczym zimorodek. Wesoła — muskała powierzchnię ziemi jak jaskółka w locie; tak właśnie poruszała się teraz.

— Słowo daję, wydajesz się bardzo wesola, Tomasino — zauważyła pani Yeobright ze smutnym uśmiechem. — Jak się miewa Damon?

— Doskonale.

— Czy jest dla ciebie dobry, Tomasino? — Pani Yeobright obserwowała ją bacznie.

— Całkiem dobry.

— Mówisz prawdę?

— Tak, ciociu. Powiedziałabym ci, gdyby był niedobry. — A potem, rumieniąc się i z pewnym wahaniem, dodała: — On... nie wiem, czy powinnam ci się skarżyć, ale nie bardzo wiem, co robić. Potrzebuję trochę pieniędzy, wiesz, ciociu, żeby kupić sobie różne drobiazgi... a on mi ich wcale nie daje. Nie mam ochoty go prosić, ale pewno dlatego nie daje, bo nie wie, że są mi potrzebne. Czy powinnam mu o tym wspomnieć?

— Oczywiście, że powinnaś. Czy nigdy nie napomknęłaś ani słowa na ten temat?

— Wiesz, ciociu, miałam trochę własnych pieniędzy — odparła Tomasina wykrętnie.

— No i dopiero ostatnio mi zabrakło. Powiedziałam coś w zeszłym tygodniu, ale on chyba... zapomniał.

151 — Trzeba mu przypominać. Wiesz o tym, że mam pudełeczko pełne złotych gwinei, które wręczył mi twój stryj, bym w stosownym momencie obdzieliła nimi ciebie i Clyma. Może już nadszedł czas, by to uczynić. W każdej chwili można je zamienić na funty.

— Chciałabym dostać swoją część... o ile to cioci nie robi różnicy.

— Dostaniesz, jeżeli to konieczne. Ale przede wszystkim wyraźnie powiedz mężowi, że nie masz pieniędzy, a wtedy zobaczymy, co zrobi.

— Dobrze, powiem mu... Ciociu, słyszałam o dymie i wiem, że się tym martwisz. Dlatego właśnie przyszłam.

Pani Yeobright obróciła się do niej z drżącą twarzą, z trudem starając się ukryć swe uczucia. Wreszcie zaniechała tych starań i płacząc powiedziała:

— Och, Tomasino, czy myślisz, że on mnie znienawidził? Jak może mnie tak unieszczęśliwiać, skoro przez wszystkie te lata żyłam tylko dla niego?

— Znienawidził? To niemożliwe! — uspokajała ją Tomasina. — Po prostu za bardzo kocha tamtą kobietę. Rozważ to spokojnie, ciociu, proszę cię. Nie zrobił nic aż tak złego. Wiesz, to chyba nie jest najgorszy ożenek. Ze strony matki panna Vye pochodzi z dobrej rodziny, a jej ojciec był romantycznym wędrowcem, jakimś takim Ulisesem.

— To się na nic nie zda, Tomasino, na nic. Masz jak najlepsze intencje, ale nie trudź się usprawiedliwianiem Clyma. Wiele ra/y przemyślałam całą tę sprawę, wszystkie za i przeciw. Nie rozstaliśmy się w gniewie, to było coś gorszego. Porywczą kłótnia nie złamałaby mi serca, ale to jego ciągle xsprzeciwianie się mnie, ten jego upór w złym! O, Tomasino, on był taki dobry jako mały chłopiec — taki czuły i serdeczny!

— Pamiętam.

— Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś mi najbliższy jako dorosły będzie traktować mnie w ten sposób! Rozmawiał ze mną tak, jakbym stawiała mu opór z zamiarem wyrządzenia krzywdy! Jak gdybym mu źle życzyła!

— Są gorsze kobiety na świecie niż Eustachia Vye!

— I bardzo dużo lepszych, i dlatego nie mogę się z tym pogodzić. To tylko za jej sprawą, Tomasino, twój mąż postępował tak, jak postępował. Mogłabym przysiąc!

— Nie — żywo zaprzeczyła młoda kobieta. — Myślał o niej, zanim mnie poznał. To był tylko flirt, nic więcej!

— No dobrze, nie mówmy już o tym. Teraz już na nic się nie zda dochodzić prawdy. Synowie muszą pozostać ślepi, gdy są uparci. Jak to się dzieje, że kobieta widzi z daleka to, czego mężczyzna nie dostrzega z bliska? Clym robi, co zechce... nie jest już dla mnie synem! Tak wygląda macierzyństwo... poświęcasz najlepsze lata, darzysz największą miłością... i wszystko po to, żeby zasłużyć na wzgardę!

— Jesteś zbyt nieustępliwa, droga ciociu. Pomyśl, ile matek okrywają wstydem synowie popełniając prawdziwe przestępstwa, i nie bierz wszystkiego do serca.

— Tomasino, nie pouczaj mnie! Tego nie zniosę! O sile ciosu decyduje różnica między tym, czego oczekujemy, a co następuje, w wypadku zaś tych matek może nie była większa niż w moim, bo musiały przewidywać najgorsze.

152

Tomasino — dodała ze smutnym uśmiechem — jestem nieudanym tworem. Niektóre wdowy lecząc rany, jakie im zadają dzieci, zwracają swe uczucia ku drugiemu mężowi i zaczynają życie od nowa. Ale ja zawsze byłam istotą biedną, słabą, oddaną tylko synowi i nie miałabym do tych spraw serca, a nawet brakłoby mi na to chęci. Taka zagubiona i ogłuszona, jak w chwili śmierci męża, pozostałam już na zawsze i wcale nie próbowałam polepszyć swego losu. Byłam wtedy całkiem młoda i mogłabym doczekać się innych dzieci, które byłyby dla mnie pociechą po ciosie, jaki spotkał mnie z jego strony.

— Lepiej świadczy o twojej szlachetności to, żeś tego nie zrobiła.

— Większa szlachetność, mniejszy rozum.

— Zapomnij o tym, kochana ciociu, i niech cię to już nie dręczy. A ja cię nie zostawię samej na długo. Będę przychodzić do ciebie co dzień.

I przez tydzień dotrzymywała skrzętnie obietnicy. Starła się zbagatelizować ślub Clyma, opowiadała o przygotowaniach i o tym, że została zaproszona. W następnym tygodniu źle się poczuła i nie przyszła. Co do gwinei, sprawa utknęła w miejscu, bo Tomasina lękała się ponownie zwrócić do męża o pieniądze, a na to nalegała pani Yeobright.

Dzień przedtem Wildeve stał przy drzwiach oberży. Poza ścieżką biegnącą pagórkami przez wrzosowisko do Rainbarrow i Mistover istniała droga odgałęziająca się od gościńca nieco poniżej oberży i prowadząca do Mistover łagodnymi serpentynami. Była to jedyna z tej strony droga, którą można się było dostać pojazdem do samotni kapitana. Właśnie od najbliższego miasteczka nadjeżdżał jakiś wóz i woźnica, młody chłopak, zatrzymał się przed oberżą, żeby się czegoś napić.

— Jedziesz z Mistover? — zapytał Wildeve.

— Tak. Zwożą tam dobre rzeczy. Będzie wesele. — I zanurzył w kuflu usta.

Wildeve zupełnie się nie spodziewał podobnej wiadomości i nagły ból odmalował się na jego twarzy. Chcąc to ukryć, cofnął się na korytarz. Po chwili wrócił.

— Czy to wesele panny Vye? — dopytywał. — Jak to się stało, że tak szybko wychodzi za mąż?

— Ano, pewno z woli Boga i niecierpliwości narzeczonego.

— Chyba nie pana Yeobrighta?

— Owszem. Kręcił się koło niej całą wiosnę.

— Chyba... musiał się jej ogromnie spodobać?

— Ich służący powiada, że całkiem dla niego straciła głowę. A ten Charlie, który dogląda konia, chodzi jak nieprzytomny. Ten głupek świata poza nią nie widzi.

— Czy jest wesola? Zadowolona? Tak szybko wychodzi za mąż, no cóż!

— Nie tak bardzo szybko.

— Słusznie, nie tak bardzo szybko.

Wildeve wszedł do izby czując dziwny ból serca. Oparł się łokciem o gzyms nad kominkiem, a twarz ukrył w dłoniach. Kiedy weszła Tomasina, nie po-153dzielił się z nią nowiną. Ogarnęła go dawna tęsknota za Eustacją, a stało się tak, bo się dowiedział, że inny mężczyzna chce ją pojąć.

Wildeve z natury wzdychał zawsze do tego, co trudne, nudził się tym, co miał, cenił to, co dalekie, nie lubił tego, co bliskie. Jest to nieomylna cecha człowieka sentymentalnego. Chociaż gorączkowe uczucie Wildeve'a do Eus-tachii

nie wzniosło się na prawdziwie poetyckie wyżyny, należało do tego gatunku. A o nim samym można by powiedzieć, że jest to Rousseau egdońs-kiego wrzosowiska.

VII PORANEK I WIECZÓR PEWNEGO DNIA

Nadszedł ranek dnia ślubu. Nikt by nie pomyślał, sądząc po pozorach, że mieszkańcy Blooms-End interesują się tym, co się dzieje w Mistover. Uroczysty spokój panował wokół domu matki Clyma, a i wewnątrz nie widać było ożywienia. Pani Yeobright, która odmówiła udziału w ceremonii ślubnej, siedziała przy śniadaniowym stole w starej izbie, sąsiadującej bezpośrednio z gankiem, i kierowała apatyczne spojrzenie ku otwartym drzwiom. W tym właśnie pokoju odbywało się przed pół rokiem wesołe świąteczne przyjęcie, na które przybyła Eustacją w tajemnicy i jako nieznajoma. A teraz jedyną żywą istotą, która się tu zjawiła, był wróbel; ponieważ nikt się nie ruszał, skakał śmiało po pokoju, a potem chciał wyfrunąć przez okno i trzepotał się między doniczkami kwiatów. Samotnie siedząca kobieta, wyrwana z zadumy, wstała, uwolniła ptaszka i podeszła do drzwi. Oczekiwała Tomasiny, która napisała do niej poprzedniego wieczoru, donosząc, że nadszedł czas, kiedy pieniądze są jej koniecznie potrzebne, i jeżeli tylko będzie mogła, przyjdzie po nie nazajutrz.

Jednakże nie tylko myśli o Tomasinie nurtowały panią Yeobright, gdy spojrzenie jej biegło doliną wrzosowiska, mieniającą się od barwnych motyli, rozbrzmiewającą zgodnym cichym graniem koników polnych. Ważne wydarzenie rodzinne, do którego czyniono przygotowania o milę stąd, malowało się przed matczynymi oczami tak wyraźnie, jak gdyby rozgrywało się w jej obecności. Chcąc odpędzić ten obraz, poczęła przechadzać się po ogrodzie, ale jej oczy wciąż na nowo biegły w kierunku parafialnego kościoła Mistover, a podniecona wyobraźnia czyniła wyłom w Unii wzgórz, zasłaniających ten budynek przed jej wzrokiem. Ranek już minął, zegar wybił jedenastą. Czy to możliwe, że teraz właśnie biorą ślub? Tak, właśnie teraz. Wyobraziła sobie kościół, w którym znajdować się już musieli i syn, i jego oblubienica. Przed oczyma stanęła jej gromadka dzieci, zbierająca się przy bramie kościelnej na widok zbliżającego się powoziku zaprzęzonego w kuca — bo tak, według słów Tomasiny, mieli zjechać na ślub. Widziała, jak podchodzą do ołtarza i klękają, i jak odprawia się ślubny obrzęd. Zakryła twarz dłońmi. — Och, co za pomyłka! —jęknęła. — Pożałuje jej kiedyś i wtedy wspomni moje słowa!

154

Stała tak, opanowana smutnymi przeczuciami, a stary zegar w pokoju wybijał ze zgrzytem południe. Wkrótce posłyszała napływające ze wzgórz ciche dźwięki. Wiejący stamtąd wiatr przynosił odgłosy dalekich dzwonek, wesoło wybuchających kaskadami tonów: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. To dzwonki z East Egdon obwieszczały, że syn jej poślubił Eustację Vye.

— A więc już jest po wszystkim. No cóż, trudno. Wkrótce i moje życie się skończy. Dlaczego miałabym dłużej zalewać się gorzkimi łzami? Jeśli opłakuje się jedną rzecz w życiu, opłakuje się całe życie. Jedna nić się przez nie przewija. A jednak mówimy: "czas wesela".

Nad wieczorem przyszedł Wildeve. Od jego ślubu z Tomasiną pani Yeobright okazywała mu chłodną życzliwość, na ogół takie uczucie łączy w końcu ludzi związanych niepożądanym powinowactwem. Po prostu znużenie przesłania obraz tego, co powinno być, i człowiek tylekroć przez los pokonany stara się, choć bez zapału, znaleźć dobre strony w tym, co jest. Wildeve — trzeba mu oddać sprawiedliwość — zachowywał się bardzo uprzejmie w stosunku do ciotki żony, toteż bez zdziwienia przyjęła jego odwiedzin.

— Tomasiną nie mogła przyjść, tak jak obiecała — odpowiedział na jej zapytanie, pełne niepokoju, bo zdawała sobie sprawę, że bratanica potrzebuje na gwałt

pieniędzy. — Wieczorem odwiedził nas kapitan i osobiście zaprosił ją na ślub i wesele. Nie chcąc ich urazić, zdecydowała się iść. Zabrali ją powozi-kiem i odwiozą wieczorem.

— A więc już po ślubie — powiedziała pani Yeobright. — Czy pojechali do swego nowego domu?

— Nie wiem. Nie miałem już potem żadnej wiadomości z Mistorver.

— A pan z nią nie pojechał? — zapytała, jakby podejrzewając, że coś się za tym kryje.

— Nie mogłem — odparł Wildeve i poczerwieniał lekko. — Nie mogliśmy oboje zostawić domu, mieliśmy pracowity ranek z powodu jarmarku w Ang-lebury. Zdaje się, że pani zamierzała coś dać Tomasinie. Jeżeli pani chce, mogę to zabrać.

Pani Yeobright trwała w niepewności, zastanawiając się, czy Wildeve wie o całej sprawie. — Czy Tomasiną o to pana prosiła? — zapytała.

— Właściwie nie. Wspomniała tylko, że umówiła się z panią i miała coś zabrać.

— Nie ma najmniejszej potrzeby posyłania tego przez pana. Może to w każdej chwili zabrać sama.

— Na razie wykluczone. W obecnym stanie zdrowia nie wolno jej tak dużo chodzić jak do tej pory. — A potem dodał z ironicznym grymasem: — A cóż to za zadziwiająca rzecz, której nie można mi powierzyć?

— Nie warto tym pana fatygować.

— Ktoś mógłby pomyśleć, że powątpiewa pani w moją uczciwość — powiedział niby ze śmiechem, ale poczerwieniał w charakterystycznym dla niego nagłym przypiływie gniewu.

— Nie ma powodu do takich przypuszczeń — powiedziała oschle. — Po prostu ja, podobnie jak reszta ludzi, uważam, że pewne sprawy należy załatwiać w taki, a nie inny sposób.

155— Jak pani sobie życzy, jak pani sobie życzy — powiedział Wildeve lakonicznie. — Nie warto się o to sprzeczać. No, muszę już wracać, nie mogę za długo pozostawiać oberży pod opieką chłopaka i służącej.

Odszedł. Jego pożegnanie było znacznie mniej uprzejme niż powitanie. Pani Yeobright знаła już jednak Wildeve'a dobrze i nie przejmowała się jego zachowaniem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, stała rozmyślając, co począć z gwineami, których nie chciała jemu powierzyć. Wydawało się niemożliwe, żeby Tomasina zwróciła się do męża o taką przysługę, skoro potrzebowała gwinei z powodu trudności w wydobyciu pieniędzy od Wildeve'a. Mimo to na pewno są jej potrzebne, a nie będzie mogła zjawić się w Blooms-End przynajmniej przez tydzień. Postąpiłaby nieroztropnie, gdyby pieniądze zaniósła czy posłała do oberży, gdyż prawdopodobnie Wildeve byłby przy tym obecny, a w każdym razie wykryłby sprawę. A jeśli, jak sądziła ciotka, Wildeve traktował Tomasinę gorzej, niż na to zasługiwała, mógłby jej, osobie łagodnej, łatwo zabrać całą tę sumę. Tego jednak wieczoru Tomasina przebywała w Mistorver i można było jej doręczyć bez wiedzy męża wszystko, co się chciało. Biorąc to pod uwagę, warto było skorzystać z okazji.

Jej syn znajdował się tam także i właśnie się ożenił. Może już się nie nadarzy odpowiedniejszy moment, żeby oddać mu jego część jako prezent. Serce udręczonej matki uradowała myśl, że posyłając synowi gwinee, będzie w stanie dowieść, że bynajmniej źle mu nie życzy.

Poszła na górę i otworzywszy zamykaną na klucz szufladę, wyjęła z niej niewielkie pudełko. Wysypała z niego spory zapas dużych, nie zniszczonych obiegów złotych monet, które leżały tam od lat. Była ich w sumie setka. Pani Yeobright ułożyła je w dwa stosiki, po pięćdziesiąt w każdym, wsypała do dwóch

plóciennych woreczków i zawiązawszy zesłała do ogrodu i zawołała Christiana Cattle'a, który ociągał się z odejściem w nadziei na kolację. Wcale mu się właściwie nie należała. Pani Yeobright wręczyła mu woreczki, poleciła udać się do Mistover i pod żadnym pozorem nie oddawać ich nikomu innemu, tylko jej synowi i Tomasinie. Po chwili zastanowienia uznała za słuszne wyjawić mu, co zawierają, aby ocenił w pełni wagę swej misji. Christian wsadził woreczki do kieszeni i zapewniwszy panią Yeobright, że będzie postępował rozważnie, wyruszył w drogę. — Nie musisz się spieszyć — zawołała za nim pani Yeobright. — Nawet lepiej, żebyś przyszedł, kiedy już będzie ciemno, bo wtedy nikt cię nie zauważy. Wróć na kolację, jeżeli nie będzie za późno.

Dochodziła dziewiąta, kiedy zaczął się wspinać ku Mistover, ale był tąd jeden z najdłuższych dni lata i pierwsze wieczorne cienie ledwo zaczęły za-snuwać krajobraz. Wtedy usłyszał czyjeś głosy i zorientował się, że to rozmawia grupka mężczyzn i kobiet, przeprawiających się przez wąwóz. Widać było tylko czubki ich głów.

Zatrzymał się i pomyślał o pieniądzach. Było zbyt wcześnie, by nawet Christian mógł się serio obawiać rabunku, mimo to przedsięwziął środki ostrożności, które stosował od dzieciństwa, kiedy miał przy sobie więcej niż parę szylingów — przypominał w tym właściciela diamentu

156

Pitta*, kiedy tego nękały podobne lęki. Zdjął obuwie, rozwiązał woreczki, wsypał zawartość jednego do prawego, drugiego do lewego buta, układając je jak najbardziej płasko wewnątrz butów, które były niczym przestronne kufferki, bynajmniej nie ograniczone wielkością jego stóp. Włożył je znowu, zasznurował do samego końca i ruszył w drogę. Już go nie bolała głowa z powodu tych pieniędzy — choć nie można by tego powiedzieć o nogach.

Obie ścieżki — Christiana i hałaśliwej kompanii — łączyły się z sobą i podszedłszy bliżej zobaczył, ku wielkiej swej uldze, paru dobrze sobie znanych mieszkańców Egdonu i idącego z nimi Fairwaya z Blooms-End.

— Cóż to, Christianie? Ty także idziesz? — zawołał Fairway* gdy tylko poznał przybysza. — Nie masz przecież żony ani żadnej młodej kobiety, której mógłbyś dać materiał na suknię.

— Co takiego? — zdziwił się Christian.

— No, przecież mamy loterię fantową. Chodzimy na nią co roku. Idziesz z nami?

— Nic o tym nie wiem. Czy to walka na pałki albo jakaś inna zabawa, przy której krew się leje? Niech pan się nie obraża, panie Fairway, ale nie mam ochoty tam iść.

— Christian nie wie jeszcze, że to zabawne i że będzie na co popatrzeć — powiedziała przysadzista kobieta. — Nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa, Christianie. Każdy mężczyzna kładzie szylinga, a jeden wygrywa materiał na suknię dla żony albo narzeczonej, jeśli ją ma.

— Nie poszczyliło mi się w tym względzie, więc to nie dla mnie zabawa. Ale chciałbym się temu przyjrzeć, tylko czy nie ma w tym jakichś czarów i czy można popatrzeć bez płacenia i bez wplątania się w jakąś awanturę?

— Tam nie będzie żadnej awantury — zapewniał Tymoteusz. — Ręczę ci, Christianie, że jeżeli masz ochotę iść, dopilnujemy, aby nic złego ci się nie stało.

— Nie będzie tam chyba żadnych nieprzystojnych zabaw. Toć rozumiecie, sąsiedzi, że gdyby były, dałbym zły przykład mojemu ojcu, a on jest i tak mało obyczajny. Ale suknia za szylinga, i do tego bez żadnych czarów, na to warto popatrzeć. Nie opóźnię się więcej niż pół godziny. A więc zgoda, idę z wami, ale jak to się skończy, a będzie już noc, to ktoś z was pójdzie ze mną kawałek do Mistover, nawet gdyby miał nadłożyć drogi, dobrze?

Paru mężczyzn obiecało i Christian, zbacając z właściwej ścieżki, poszedł wraz z towarzyszami na prawo, w stronę oberży.

Kiedy weszli do dużej sali, zastali tam grupkę około dziesięciu mężczyzn. Z przybyszami było ich teraz dwa razy tyle. Większość gości rozsiadła się dokoła na ławach podzielonych przegrodami, podobnie jak surowe stalle kościelne. Na nich widniały wyryte inicjały wielu głośnych pijaków dawnych czasów, którzy tu spędzali dni i noce, a teraz ich przeżarte alkoholem popioły leżały na sąsiednim cmentarzu. Na długim stole, wśród kubków, umieszczono paczkę z tkaniną, o którą miano rzucać losy. Wildeve stał zwrócony plecami

* Sławny diament, nazwany tak od nazwiska właściciela, Thomasa Pitta (1653—1726), kupca prowadzącego handel z Indiami, dziadka brytyjskiego męża stanu, Williama Pitta Starszego.

157 do kominka, ćmiąc cygaro, a organizator loterii, domokrażca z jakiegoś odległego miasta, wychwalał tkaninę jako doskonały materiał na letnią suknię. — A więc, panowie — podjął, gdy przybysze zbliżyli się do stołu — mamy już pięć osób, a potrzeba nam jeszcze czterech do kompletu. Po twarzach panów, którzy teraz weszli, widzę, że nie przepuszczą tak rzadkiej okazji przystrojenia swoich pań bardzo tanim kosztem.

Fairway, Sam i jeszcze jeden z przybyszów położyli szylingi na stole, a domokrażca zwrócił się do Christiana.

— Nie, proszę pana — powiedział Christian cofając się, a w jego spojrzeniu odmalował się lęk. — Jestem biedny i przyszedłem tylko popatrzeć, jeśli pan pozwoli. Nawet nie wiem, jak to się robi. Gdybym był pewny wygranej, położyłbym szylinga, ale inaczej nie mogę.

— Moim zdaniem może być pan nieomal pewny — namawiał go handlarz. — W rzeczy samej, gdy się przyglądam pańskiej twarzy, chociaż nie powiem, że pan na pewno wygra, mogę przecież powiedzieć, że nigdy nie widziałem nikogo, kto by bardziej wyglądał na szczęściarza.

— W każdym razie będziesz miał taką samą szansę jak każdy z nas — dodał Sam.

— Plus dodatkowy hit szczęścia, bo przyłączasz się ostatni — wtrącił inny.

— A urodziłem się w czepku i chyba tak jak nie mogę utonąć, tak i nie powinienem być stratny? — upewniał się Christian, zaczynając ustępować.

W końcu położył swego szylinga. Rozpoczęto loterię i zaczęły krążyć kości. Kiedy przyszła kolej na niego, ujął pudełko drżącą ręką, potrząsnął i wyrzucił trójkę.

Z pozostałych osób trzy wyrzuciły dwójki, a reszta po punkcie.

— Ten pan wygląda na szczęściarza — powiedział spokojnie handlarz. — Proszę to wziąć, towar należy do pana!

— Cha, cha! — zarechotał Fairway. — Do licha, nie widziałem jeszcze, żeby ktoś za pierwszym razem miał takie szczęście!

— Należy do mnie? — zapytał Christian z nieprzytomnym spojrzeniem. — Ja... ja nie mam ani dziewczyny, ani żony, ani wdowy, i niestety ludzie będą się ze mnie śmiać, jeśli to wezmę, panie handlarzu. Tak mnie ciągnęło, żeby spróbować, że o tym nie pomyślałem! Na co się zda materiał na kieckę w moim pokoju! Będzie wyglądać nieprzyzwoicie.

— Musisz go zatrzymać — powiedział Fairway. — To tylko na szczęście. Może skusi jakąś kobietę, której nie zdobył twój biedny zewłok z pustymi rękami.

— Zatrzymaj to, a jakże — potwierdził Wildeve, który obserwował tę scenę z pewnego oddalenia, stojąc z założonymi rękami. Usunięto materiał ze stołu i mężczyźni zaczęli pić.

— No, no! — odezwał się Christian na wpół do siebie. — Kto by pomyś* lał, że urodziłem się takim szczęściarzem i do tej pory nic o tym nie wiedziałem. Jakie osobliwe stwory z tych kości: mają potężną władzę nad nami wszystkimi, a jednak

są posłuszne moim rozkazom. Teraz już na pewno nie potrzebuję się niczego obawiać. — Z lubością przekładał kości z ręki do ręki. — A wie pan — szepnął poufnie do ucha Wildeve'a, który stał z jego lewej

158

strony. — Gdybym tylko mógł użyć mojej władzy pomnażania pieniędzy, zrobiłbym coś dobrego dla osoby panu bliskiej, jako że mam przy sobie coś, co do niej należy. — Łupnął o podłogę butem wyładowanym pieniędzmi.

— Co masz na myśli? — zapytał Wildeve.

— To tajemnica. No, muszę już iść. — Spojrzał niespokojnie na Fair-waya.

— Dokąd idziesz? — zapytał Wildeve.

— Do Mistover Knap. Muszę się tam zobaczyć z panią Tomasiną.

— Ja także tam idę przyprowadzić panią Wildeve. Możemy iść razem.

Wildeve się zamyślił i w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. A więc to pieniędzy dla jego żony pani Yeobright lękała się mu powierzyć. “A jednak zaufała temu mężczyźnie” — powiedział sam do siebie. “Dlaczego to, co należy do żony, nie miałyby należeć także do męża?”

Zawołał chłopca roznoszącego piwo i kazał podać sobie kapelusz.

— No, Christianie — powiedział — jestem gotów.

— Panie Wildeve — nieśmiało zwrócił się do niego Christian, kiedy już wychodzili z pokoju — czy nie zechciałby pan pożyczyć mi tych cudownych zabawek, w których jest moje szczęście? Bo chciałbym trochę bez świadków wprawić się w rzucaniu. — Spojrzał tęsknym wzrokiem na kości i pudełko, stojące na półce nad kominkiem.

— Naturalnie — rzucił beztrąsko Wildeve. — Wyciął je scyzorykiem pewien chłopak i niewiele są warte.

Christian zawrócił i ukradkiem wsunął je do kieszeni.

Wildeve otworzył drzwi i wyjrzał na dwór. Noc była ciepła i chmurna.

— Co za ciemności, na Boga! — powiedział. — Ale mam nadzieję, że znajdziemy drogę.

— Żle byłoby, gdybyśmy zabłądzili — zaniepokoił się Christian. — Latarnia to jedyne nasze zbawienie.

— Racja, weźmy latarnię.

Chłopak przyniósł latarnię ze stajni, zapalił ją. Christian wziął swój fant i ruszyli.

W izbie karczemnej mężczyźni pograżyli się w rozmowie. Później ich uwagę przyciągnął na chwilę kącik koło kominka. Był przestronny, posiadał nie tylko odpowiedniej wielkości wnękę, ale między kamiennymi licami kominka, podobnie jak w wielu domach na Egdonie, znajdowało się w głębi miejsce do siedzenia, siedząca zaś tam osoba pozostawała poza zasięgiem obserwacji, chyba że oświetlał ją ogień. Jednak w tej chwili, tak jak przez całe lato, na kominku nie palono.

Tylko jedna rzecz wystawała z tej niszy na tyle, że oświetlał ją blask stojących na stole świec. Była to czerwonawa, gliniana fajka. Zwróciła uwagę obecnych, ponieważ jej właściciel, schowany głębiej za fajką, poprosił o ogień.

- — Słowo daję, aż mi dech zaparło, kiedy posłyszałem ten głos! — powiedział Fairway, biorąc do ręki świecę. — No właśnie, to sprzedawca czerwonej farby! Cicho pan siedział, miody człowieku!

— Tak, bo nie miałem nic do powiedzenia — odparł Venn. Po chwili wstał i pożegnał towarzystwo.

159A tymczasem Wildeve i Christian znajdowali się już na wrzosowisku.

Była ciepła, duszna, mglista noc, pełna zapachów świeżej, nie wysuszonej jeszcze przez upały roślinności, a zwłaszcza paproci. Latarnia zwisająca z ręki Christiana ocierała się o pierzaste liście, budząc ćmy i inne nocne owady, które fruwały dookoła niej i siadały na rogowych szybkach.

— Niesiesz więc pieniądze dla pani Wildeve? — odezwał się po chwili milczenia towarzysz Christiana. — Czy nie uważasz, że to bardzo dziwne, że nie dano ich mnie?

— Skoro mąż i żona to dwoje w jednym ciele, chyba byłoby to bez różnicy — odparł Christian. — Ale dostałem wyraźne polecenie, żeby oddać te pieniądze do rąk pani Wildeve, a polecenia należy wypełniać dokładnie.

— Bez wątpienia — przytaknął Wildeve.

Każdy, kto wiedziałby, co zaszło poprzednio, mógłby zauważyć, jak bardzo go dręczy odkrycie, że chodzi o pieniądze, a nie, jak przypuszczał będąc w Blooms-End, o jakiś drobiazg, mający wartość tylko dla jego żony i ciotki. Odmowa pani Yeobright świadczyła, że nie uważa go za człowieka na tyle honorowego, by można mu było bezpiecznie powierzyć własność żony.

— Okropnie gorący mamy wieczór, Christianie! — powiedział, ciężko dysząc, kiedy zbliżali się do Rainbarrow. — Na miły Bóg, usiądźmy na chwilkę!

Rzucił się na miękkie poszycie z paproci, a Christian, ustawivszy na ziemi latarnię i położywszy przy niej paczkę, przykucnął obok tak skurczony, że kolanami niemal sięgał brody. Po chwili wsunął rękę do kieszeni kurtki i począł czymś potrząsać.

— Co to tak grzechocze? — zapytał jego towarzysz.

— Ja tylko podrzucam kości do gry, proszę pana — odpowiedział Christian, wyciągając szybko rękę. — Co za magia jest w tych maleństwach! Nigdy by mi się nie sprzykrzyła gra w kości. Czy mogę je wyjąć i przypatrzeć się im przez chwilę? Chcę zobaczyć, jak są zrobione. Wolałem nie przyglądać się przy ludziach, boby powiedzieli, że nie umiem się zachować. — Wyjął kości i umieściwszy w zagłębieniu dłoni, patrzył na nie uważnie w blasku latarni. — Co to za dziw, że te maleństwa przynoszą szczęście, że tkwi w nich taki czar, taka moc zaklęcia, taka potęga. Nic dziwniejszego nigdy w życiu nie widział ani słyszał — ciągnął i patrzył jak urzeczony w kości, które, jak to się często po wsiach zdarza, zrobione były z drewna i miały punkty wypalone rozżarzonym drutem.

— A więc uważasz, że choć małe, są czymś ważnym?

— Właśnie. Czy pan myśli, że to naprawdę zabawki diabła? Bo jeśli tak, to zły znak, że mam do nich szczęście.

— Nosząc je przy sobie, powinieneś wygrać teraz trochę pieniędzy. Wtedy polecą na ciebie każda kobieta, którą zechcesz. Nadeszła twoja chwila, Christianie, i radziłbym ci ją wykorzystać. Niektórym ludziom szczęście sprzyja, innym nie. Ja należę do tych drugich.

— A czy prócz mnie znał pan jeszcze kogoś, komu sprzyjało szczęście?

— Słyszałem kiedyś o pewnym Włochu, który zasiadł do gry hazardowej mając w kieszeni tylko jednego luidora — to taka zagraniczna moneta. Grał przez dwadzieścia cztery godziny i wygrał dziesięć tysięcy funtów, rozbijając

160 bank. Inny człowiek przegrał tysiąc funtów, następnego dnia jechał do pośrednika, żeby sprzedać inwentarz i spłacić dług. Ten, któremu był winien pieniądze, jechał z nim razem i dla zabicia czasu rzucali kości o to, kto zapłaci za dorożkę. Zbankrutowany człowiek wygrał, a tego drugiego pokusiło, żeby grać dalej, i grali przez całą drogę. Kiedy dojechali, kazali dorożkarzowi wracać, bo całe tysiąc funtów wróciło do człowieka, który już miał się wyprzedawać. . N

— Cha, cha! A to dobre! — wykrzyknął Christian. — Niech pan” mówi dalej!

— Żył też w Londynie człowiek, który był tylko kelnerem w bogatym klubie. Najpierw grał o pół korony, potem coraz wyżej, aż się bardzo wzbogacił i dostał

posadę w Indiach, a w końcu został gubernatorem Madrasu. Jego córka wyszła za mąż za członka Parlamentu, a biskup z Carlisle trzymał im do chrztu jedno z dzieci.

— Cudowne, cudowne!

— A kiedyś żył w Ameryce młodzieniec, który grał, dopóki nie stracił ostatniego dolara. Postawił zegarek z łańcuszkiem i tak samo przegrał, postawił parasolkę, znów przegrał, postawił kapelusz i również przegrał, postawił kurtkę i został w koszuli. Zaczął już ściągać portki, a wtedy ktoś z patrzących dał mu miedziaka na szczęście. I wygrał. Odzyskał kurtkę, odzyskał kapelusz, odzyskał parasol, zegarek, pieniądze i wyszedł stamtąd jako bogaty człowiek.

— Ależ to wspaniale... aż mnie zatkało! Proszę pana, postawię jeszcze raz szylinga i zagram z panem, skoro ze mnie taki szczęściarz. Nic mi nie grozi, a pana stać na to, żeby przegrać.

— Doskonale — powiedział Wildeve wstając. Poświeciwszy dokoła latarnią, znalazł duży płaski kamień, który umieścił między Christianem a sobą, i usiadł znowu. Otworzył szybki latarni, aby jaśniej świeciła, i skierował jej blask na kamień. Obaj położyli na nim po szylingu i” rzucili kości. Wygrał Christian. Postawili po dwa, Christian znowu wygrał.

— Grajmy o cztery — zaproponował Wildeve. I zegrali, tym razem wygrał Wildeve.

— No cóż, takie rzeczy zdarzają się i człowiekowi, który ma największe szczęście! — zauważył.

— Ale ja nie mam już więcej pieniędzy! — wykrzyknął rozgorączkowany Christian. — A przecież, gdybym mógł grać dalej, odzyskałbym moje pieniądze i wygrał więcej. Szkoda, że to nie moje. — Uderzył butem o ziemię, aż zadźwięczały gwinee.

— Cóż to! Nie schowałeś tam chyba pieniędzy pani Wildeve?

— Aha. Dla bezpieczeństwa. Może nie będzie w tym nic złego, jeśli zagram pieniędzmi zamężnej kobiety, bo jeżeli wygram, zatrzymam tylko wygraną, a oddam jej to, co do niej należy. Jeżeli zaś ja przegram, pieniądze przejdą do ich prawnego właściciela.

— Nie widzę w tym nic złego.

Od chwili kiedy wyruszyli w drogę, Wildeve nieustannie rozpamiętywał, jak nisko go cenią przyjaciele żony, co boleśnie raniło mu serce. Stopniowo

11 — Powrót...

161 opanowywała go coraz bardziej chęć zemsty, choć nie zdawał sobie dokładnie sprawy, kiedy ten zamiar powziął. Chciał dać pani Yeobright stosowną nauczkę, innymi słowy, pokazać jej w miarę możliwości, że mąż Tomasiny jest właściwym strażnikiem pieniędzy swej żony.

— No więc, zaczynamy — zawołał Christian rozsznurowując but. — Chyba długo będę śnił o tym po nocach, ale zawsze przysięgnę, że nie cierpła na mnie skóra, kiedy o tym myślałem.

Wsadził rękę do buta i wyciągnął jedną z cennych gwinei biednej Tomasiny, parującą od gorąca. Wildeve położył już suwerena na kamieniu. Zaczęli grać.

Pierwszy wygrał Wildeve i Christian wyciągnął następną gwineę, zagarniając tym razem pieniądze. Szale gry się wahały, ale na ogół na korzyść Wildeve'a.

Obydwoh mężczyzn tak pochłoneła gra, że nie zwracali uwagi na nic poza tym, co mieli tuż przed oczami. Płaski kamień, otwarta latarnia, kości i parę błyszczących liści paproci w zasięgu jej światła — to był ich cały świat.

W końcu Christian zaczął gwałtownie przegrywać i wreszcie, ku swemu okropnemu przerażeniu, pięćdziesiąt gwinei należących do Tomasiny znalazło się w rękach przeciwnika.

— Wszystko mi jedno... wszystko mi jedno... — jęczał i począł z rozpaczą rozsznurowywać lewy but, aby dostać się do drugiej pięćdziesiątki, — Diabeł na

swych widłach wrzuci mnie w płomień za to, co robię tejjiocy! Wiem o tym! Może jednak wygram i zdobędę żonę, i nie będzie mnie ona odstępować w nocy, i przestanę się bać, przestanę się bać! Jeszcze jedna gwinea, mój panie! — Rzucił monetę na kamień i znowu zagrzecotał kubek z kośćmi.

Czas płynął, Wildeve był równie podniecony jak Christian. Kiedy zaczynał grę, nie myślał o niczym więcej, jak o splątaniu figła pani Yeobright. Wyobrażał sobie niejasno, że tym czy innym sposobem, uczciwie czy nie, zdobędzie pieniądze i w obecności ciotki wręczy je z pogardą Tomasinie. Ale mężczyźni zmieniają zamiary nawet w trakcie ich realizowania i można powątpiewać, czy w chwili gdy grano o dwudziestą gwineę, Wildeve miał jakieś inne intencje poza chęcią osobistego zysku. Co więcej, teraz nie grał już o pieniądze żony, ale dyma, chociaż Christian, dręczony lękiem, poinformował go o tym dopiero później. Dobiegała jedenasta, kiedy Christian niemal z jękiem położył ostatni lśniący pieniąż dyma na kamieniu. Nie minęło pół minuty, a moneta podzieliła los towarzyszek.

Christian odwrócił się i runął na paprocie w gwałtownym porywie wyrzutów sumienia.

— Cóż ja pocznę, nieszczęsny! — jęczał. — Cóż ja zrobię? Czy niebiosa ulitują się nad moją nędzną duszą?

— Co zrobisz? Będiesz żył jak dotąd.

— Nie będę żył jak dotąd! Ja umrę! A pan jest... jest...

— Człowiekiem bystrzejszym niż jego bliźni!

— Tak, pan to człowiek bystrzejszy niż jego bliźni! Po prostu szuler!

— Biedny niedołęgo, nie wypada tak mówić!

— Coś podobnego! A ja powiadam, że nie wypada tak robić! Ma pan

162

pieniądze, które nie są pańskie. Połowa z nich należy do biednego pana Clyma.

— Jak to?

— Ponieważ miałem mu dać pięćdziesiąt gwinei. Tak mi powiedziała pani Yeobright.

— Czyżby?... No cóż, zrobiłaby ładniej, gdyby dała te pieniądze jego żonie, Eustachii. Ale teraz są w moich rękach.

Christian naciągnął buty i dysząc ciężko — słyhać to było już z daleka — z trudem wstał i oddalił się chwiejnym krokiem.

Wildeve począł zamykać latarnię, szykując się do powrotu do domu, ponieważ uznał, że już za późno, by iść do Mistover na spotkanie żony, którą obiecano odwiedzić powozem kapitana. Kiedy zamykał rogowe drzwiczki latarni, zza sąsiednich krzaków wysunęła się czyjaś postać i znalazła się w jej świetle. Był to sprzedawca farby.

VIII NOWA SIŁA ODWRACA BIEG WYPADKÓW

Wildeve wytrzeszczył oczy. Venn odwzajemnił mu się chłodnym spojrzeniem i nie powiedziawszy słowa usiadł na miejscu Christiana. Wsadził rękę do kieszeni, wyciągnął suwerena i położył go na kamieniu.

— Pan się nam przyglądał zza tego krzaka? — zapytał Wildeve. Venn przytaknął.

— Wykładaj pan pieniądze! — powiedział. — A może braknie panu odwagi do dalszej gry?

Cóż, hazard to taki rodzaj zabawy, że łatwiej ją zacząć z pełnymi kieszeniami, niż z pełnymi przerwać, i chociaż w spokojniejszym nastroju Wildeve mógłby rozsądnie odrzucić to zaproszenie, teraz dał się ponieść podnieceniu wywołanemu ostatnim sukcesem. Położył jedną z gwinei obok suwerena.

— Daję gwineę — powiedział.

— Gwineę, która do pana nie należy — powiedział z ironią Venn.

— Owszem, należy — odparł wyniośle Wildeve. — To pieniąż mojej żony, a to, co

należy do niej, należy i do mnie.

— Doskonale. Zaczynamy. — Venn potrząsnął kubkiem i wyrzucił osiem, dziesięć i dziewięć, w sumie dwadzieścia siedem punktów.

Zachęciło to Wildeve'a. Wziął kubek: trzy rzuty wyniosły czterdzieści pięć.

Venn postawił jeszcze jednego suwerena przeciw pierwszej gwinei Wildeve'a. Tym razem Wildeve miał pięćdziesiąt jeden punktów, ale ani jednej pary. Venn z posępną miną wyrzucił trzy tuzy i zgarnął stawkę.

— Proszę bardzo — powiedział Wildeve pogardliwie. — Podwójmy stawkę.

Położył dwie gwinee Tomasiny, a Venn swoje dwa funty. Sprzedawca farby wygrał znowu. Raz jeszcze położono monety na kamieniu i gra toczyła się dalej.

Wildeve był człowiekiem nerwowym i porywczym i gra zaczęła go irytować.

Wykrzywił twarz, prychnął z gniewu, przesunął kamień, na którym sie-

163dział. Serce waliło mu tak silnie, że niemal było je słyszeć. Venn siedział z obojętnym wyrazem ust, a oczy zwięziły mu się do ledwo widocznej szparki; zdawało się, że nie oddycha. Mógłby być Arabem albo automatem; można by go wziąć za posąg z czerwonego piaskowca, gdyby nie ruch rąk z kubkiem do gry.

Gra toczyła się ze zmiennym szczęściem, to z korzyścią dla jednego, to drugiego, żaden nie zdobył widocznej przewagi. W ten sposób upłynęło blisko dwadzieścia minut. Tymczasem blask świecy przywabił muchy, ćmy i inne skrzydlate służki nocy. Fruwały wokół latarni i wpadały w płomień albo wirowały wokół głów graczy. Żaden z mężczyzn nie zwracał jednak na to uwagi, bo ich spojrzenia koncentrowały się na małym płaskim kamieniu, który był dla nich jak pole bitwy, areną wielkich i ważnych wydarzeń. Losy gry się odmieniły: Venn stale wygrywał. W końcu sześćdziesiąt gwinei — pięćdziesiąt Tomasiny i dziesięć Cly-ma — znalazło się w jego kieszeni. Wildeve był nieuważny, wściekły, doprowadzony do kresu wytrzymałości.

— “Odzyskał swą kurtkę” — rzucił szyderczo Venn. Ponowny rzut i znów pieniądze przeszły w jego ręce.

— “Odzyskał swój kapelusz” — ciągnął Venn.

— Och, och! — zachnął się Wildeve.

— “Odzyskał swój kapelusz, odzyskał pieniądze i wyszedł jako bogaty człowiek” — dodawał zdanie po zdaniu sprzedawca farby, gdy stawka po stawce przechodziła w jego ręce.

— Jeszcze pięć! — zawołał Wildeve, rzucając pieniądze. — Do diabła z trzema rzutami! Jeden decyduje.

Czerwony automat naprzeciwko niego zastygł na chwilę w milczeniu, potem skinął głową i również położył pięć funtów. Wildeve potrząsnął kubkiem i wyrzucił parę szóstek i piątkę. Klasnął w dłonie.

— Tym razem ja zwyciężyłem! Hura!

— Dwóch gra, a tylko jeden rzucił kości — odpowiedział jego przeciwnik, spokojnie odwracając kubek. Oczy obu mężczyzn tak intensywnie wpatrywały się w kamień, iż rzec by można, że rzucają promienie — jak słońce we mgle.

Venn podniósł kubek i oto ukazała się trójka szóstek.

Wildeve wpadł we wściekłość. Kiedy Venn zgarniał pieniądze, Wildeve chwycił kości i klnąc przy tym brzydko, cisnął je wraz z kubkiem w otaczający ich mrok. Potem zerwał się na nogi i począł chodzić ciężkim krokiem tam i sam, jak szaleniec.

— A więc już koniec? — zapytał Venn.

— Nie, nie! — zawołał Wildeve. — Chcę mieć jeszcze jedną szansę, muszę ją mieć!

— Ale, mój panie, co pan zrobił z kośćmi do gry?

— Wyrzuciłem je, bo się zirytowałem. Co za dureń ze mnie! Niechże mi pan pomoże je znaleźć... musimy je znaleźć!

Wildeve pochwycił latarnię i począł gorączkowo szukać wśród janowca i paproci. — Mało prawdopodobne, żeby je pan znalazł — mówił Venn, idąc za 164 nim. — Dlaczego pan to zrobił? Tu jest kubek. Kości muszą być gdzieś niedaleko. Wildeve skwapliwie oświetlił to miejsce, gdzie leżał kubek, i gwałtownie rozgarniał na prawo i lewo żdźbła trawy. Po paru minutach znalazł jedną kostkę. Szukali jeszcze, ale żadnej więcej nigdzie widać nie było.

— Mniejsza z tym — powiedział Wildeve. — Grajmy tą jedną.
— Zgoda.

Usiedli znowu i postawili po jednej gwinei. Gra toczyła się wartko, ale Fortuna upodobała sobie tej nocy sprzedawcę farby. Wygrywał stale, aż w rękach jego znalazło się jeszcze czternaście złotych monet. Posiadał już siedemdziesiąt dziewięć z tych stu gwinei, Wildeve tylko dwadzieścia jeden. Dwaj przeciwnicy wyglądali bardzo osobliwie. W oczach ich — a także, oczywiście, w ruchach rąk — odbijał się całkowicie obraz zmiennych losów gry. W każdej źrenicy lśnił płomyk świecy i odmalowywał się wyraźnie nastrój nadziei czy też upadku ducha. Dotyczyło to nawet Yenna, choć jego napięta twarz nie zdradzała wzruszeń. Wildeve grał z lekkomyślnością człowieka pogrążonego w rozpacz.

— Co to? — zakrzyknął nagle posłyszawszy jakieś szelesty. Obaj rozejrzeli się dokoła.

Otaczały ich jakieś ciemne stwory, cztery do pięciu stóp wysokie, które przystały o parę kroków poza kręgiem światła. Chwila obserwacji wystarczyła, by rozpoznać w nich dzikie koniki z wrzosowiska. Miały głowy zwrócone ku graczom i uważnie się im przyglądały.

— Precz stąd! — zawołał Wildeve i cała czterdziestka czy pięćdziesiątka koni momentalnie odwróciła się i pogalopowała w mrok. Znowu podjęto grę.

Upłynęło dziesięć minut. Wtem ogromna ćma wynurzyła się z ciemności, okrążyła dwukrotnie latarnię, a potem wpadła wprost na świecę, gasząc ją siłą swego uderzenia. Wildeve właśnie rzucił kostkę, ale nie zdążył podnieść kubka i zobaczyć wyniku, a teraz było to niemożliwe.

— Piekło i szatani! — wrzasnął. — Co teraz zrobimy? Pewno wyrzuciłem szóstkę... czy nie ma pan zapalek?

— Nie.

— Christian miał zapalki. Gdzie on się podziewa? Christianie!

Nikt jednak nie odpowiedział, tylko gnieźdzące się w dolinie czaple zawodziły żałobnie. Obaj mężczyźni siedząc rozglądali się bezradnie dokoła. Kiedy oczy ich przywykły do ciemności, dostrzegli wśród traw i paproci zielonkawe świecące punkciki. Błyszczały na zboczu góry jak malutkie gwiazdy.

— A... robaczki świętojańskie! — powiedział Wildeve. — Niech pan poczeka chwilkę. Będziemy mogli grać dalej.

Venn siedział w miejscu, a jego towarzysz chodził tu i tam, aż zebrał trzynaście robaczek świętojańskich — tyle udało mu się znaleźć w ciągu paru minut — na specjalnie w tym celu zerwanym liściu naporstnicy. Sprzedawca farby roześmiał się cicho, z humorem, kiedy jego przeciwnik powrócił z tym światłem.

— A więc jest pan zdecydowany grać dalej? — zapytał oschle.

— Zawsze jestem zdecydowany! — odparł gniewnie Wildeve i strząsnął 165szy robaczki świętojańskie z liścia na kamień, ułożył je drżącą ręką w koło, pozostawiając na rzucanie kostki puste miejsce. Trzynaście maleńkich lam-peczek rzucało na nie blade fosforyczne światło. I znowu podjęli grę. Była właśnie ta pora roku, kiedy robaczki świętojańskie świecą najjaśniej, i ich światło aż nadto wystarczało. W takie bowiem noce można w blasku paru świetlików czytać ręcznie pisany list.

Zajęcie, jakiemu oddawali się owi dwaj mężczyźni, klóciło się najwyraźniej z ich

otoczeniem. Głęboką ciszę soczyście zielonej, odludnej kotlinki, w której siedzieli, mącił brzęk monet, grzechot kostki, okrzyki niebaczących na nic graczy.

Zaraz po zapewnieniu sobie światła Wildeve podniósł kubek i z samotnie leżącej kostki odczytał, że szczęście mu nadal nie dopisuje.

— Nie gram już więcej. Pan robi jakieś szacherki z kostką! — krzyknął.

— W jaki sposób? Przecież to nie moja kostka.

— Grajmy teraz inaczej: wygra ten, kto wyrzuci mniej punktów. Może wtedy szczęście się od pana odwróci. Nie chce pan?

— Owszem, grajmy — zgodził się sprzedawca farby.

— Och, znowu przybiegły... do diabła! — wrzasnął Wildeve podniósłszy wzrok. Koniki z wrzosowiska powróciły bezszelestnie i jak poprzednio przyglądały się tej scenie podniósłszy wysoko łby. Utkwiły w nich obu swe bojaźliwe spojrzenia, jak gdyby zastanawiając się, co mogą robić ludzie na tym pustkowiu o tak niezwyklej porze.

— Jakie one dokuczliwe... patrzą tak na człowieka — powiedział i cisnął kamieniem, co je spłoszyło.

I znowu gra toczyła się dalej. Wildeve miał teraz dziesięć gwinei. Każdy z nich położył po pięć. Wildeve wyrzucił trójkę, Venn dwójkę i zgarnął pieniądze. Jego przeciwnik chwycił kostkę i ścisnął ją mocno zębami z wściekłości, jak gdyby chciał ją rozłupać na dwoje. — Nigdy nie ustępuję z placu! Oto moja ostatnia piątka! — zawołał rzucając monety. — Do diabła! Świetliki gasną! Dlaczego nie świecicie, głupie! Rozruszam je kolczastą gałązką.

Potrącał każdego i przewracał, aż wszystkie ułożył jasną stroną do góry.

— Wystarczy światła. Rzucaj! — rzekł sprzedawca farby.

Wildeve przeniósł kubek w krąg światła i patrzył niespokojnie. Wyrzucił jedynekę.

— Doskonale! Mówiłem, że los się odwróci, no i się odwrócił. — Venn nie odpowiedział nic, ale ręka mu lekko zadrżała. Wyrzucił także jedynekę.

— Och! — jęknął Wildeve. — Biada mi!

Po raz drugi kostka stuknęła o kamień. Znowu jedyńska! Venn z nachmurzoną twarzą rzucił: kostka rozpadła się na dwie połowy i leżała rozłupana wewnętrzną stroną do góry.

— A ja nie mam żadnego punktu — oznajmił.

— Dobrze mi tak! Po co ją nadgryzłem! Proszę, bierz pan pieniądze! Nic, to mniej niż jeden.

— Nie chcę tych pieniędzy.

— Bierz je pan, powiadam, wygrałeś!... — I Wildeve cisnął monetami w Yenna. Tamten je pozbiierał, wstał i odszedł, a Wildeve siedział jak ogłuszony. Kiedy przyszedł do siebie, wstał także i zabrawszy zgaszoną latarnię, skierował się ku gościńcowi. Zbliżywszy się do niego stanął. Cisza nocna otaczała wrzosowisko ze wszystkich stron, z wyjątkiem jednej: od Mistover. Dobiegał stamtąd turkot lekkiego powoziku i po chwili Wildeve zobaczył światło dwóch latarni, opuszczających się coraz niżej po zboczu góry. Ukrył się za krzakiem i czekał.

Powozik nadjechał i minął go na drodze. Był to wynajęty pojazd, a za stangretem siedziały dwie dobrze mu znane osoby: Eustachia i obejmujący ją ramieniem Clym. Znalazłszy się na dole, skręcili pod ostrym kątem w kierunku wschodnim ku odległemu o trzy mile domkowi, który Yeobright wynajął tymczasowo i umebłował. Na widok utraconej kochanki Wildeve zapomniał o utraconych pieniądzech. Jej wartość wzrastała w jego oczach w geometrycznym postępie, wraz z każdym nowym wydarzeniem, które mu przypominało, jak beznadziejną jest ich rozłąka.

Przytłoczony swą niedolą, którą w tak przewrotny sposób odczuwał, udał się w

przeciwnym kierunku, ku oberży.

W tym samym momencie, kiedy Wildeve doszedł do gościńca, o sto metrów dalej znalazł się tuż przy nim także i Venn, który również posłyszawszy turkot kół czekał na zbliżenie się pojazdu. Zobaczywszy, kto jedzie, doznał rozczarowania. Powóz go minął, a on po chwili namysłu przeszedł na drugą stronę i podążył na przełaj przez wrzosowisko do miejsca, gdzie droga skręcała, wznosząc się na zbocze. Wyprzedził powóz, który wkrótce nadjechał bez pośpiechu. Wtedy wysunął się naprzód i ukazał oczom jadących.

Kiedy padł na niego blask latarni, Eustachia drgnęła, a Clym bezwiednie opuścił ramię, którym ją obejmował.

— I co, Diggory? — zagadnął. — Wybrałeś się na samotny spacer?

— Ano tak... Przepraszam, że państwa zatrzymuję — odparł Venn. — Ale czekam tu na panią Wildeve, bo mam dla niej przesyłkę od pani Yeobright. Moglibyście mi państwo powiedzieć, czy wracała już do domu?

— Jeszcze nie. Ale wkrótce stamtąd wyjedzie. Prawdopodobnie spotkasz ją na tym zakręcie.

Venn skłonił się na pożegnanie i wrócił na poprzednio zajmowaną pozycję, na miejsce, gdzie boczna droga z Mistover łączyła się z gościńcem. Czekał prawie pół godziny, nim inna para świateł ukazała się na zboczu. Nadjechał wehikuł należący do kapitana, stare pudło na kółkach, które trudno byłoby zaliczyć do jakiegokolwiek ze znanych rodzajów pojazdów. Siedziała w nim Tomasina, a powoził Charley. Kiedy powoli zbliżyli się do zakrętu, Venn podszedł i powiedział:

— Przepraszam, że panią zatrzymuję. Ale mam coś do przekazania od pani Yeobright do własnych rąk pani Wildeve.

Wręczył jej małą paczuszkę. Zawierała owe sto gwinei, które właśnie wygrał owinięte w kawałek papieru.

Tomasina opanowała już zdziwienie i przyjęła paczuszkę.

— To wszystko, proszę pani. Życzę dobrej nocy.

Tak więc Venn, pragnąc naprawić krzywdę, złożył w ręce Tomasiny nie tylko pięćdziesiąt gwinei, które jej się należały, ale także i drugie pięćdziesiąt, przeznaczone dla jej kuzyna, Clyma. Jego pomyłka zrodziła się ze słów Wil-

166
167deve'a, które tamten wypowiedział na początku gry, kiedy to gwałtownie zaprzeczył, jakoby nie grał swoimi pieniędzmi. Nie wiedział, że od połowy gry stawką były gwinee należące do innej osoby, i to był błąd, którego skutki przyniosły więcej złego, niż przyniosłaby utrata nawet potrójnie większej sumy. Zrobiło się już późno i Venn ruszył przez wrzosowisko, aż znalazł się w jarze, gdzie stał jego wóz. Miejsce to oddalone było nie więcej jak o sto jardów od kamienia, na którym toczyła się gra w kości. Wszedł do swego ruchomego domu, zapalił latarnię i zanim zamknął drzwi na noc, rozważał przez chwilę wydarzenia ubiegłych paru godzin. Tymczasem, choć było to dopiero między pierwszą a drugą w nocy, zbliżał się letni świt i północ-no-wschodnia strona nieba, wolna teraz od chmur, rozjaśniała się łagodnym, lśniącem blaskiem. Venn, straszliwie znużony, zamknął drzwi i rzucił się na posłanie.

Księga czwarta

ZAMKNIĘTE DRZWI

SPOTKANIE PRZY SADZAWCE

Pod palącymi promieniami lipcowego słońca wrzosowisko Egdon płonęło szkarłatem. Tylko w tej porze roku, jedynie przy takiej pogodzie zachwycało swą barwą. Ten czas kwitnienia reprezentował drugi czyli południowy okres w cyklu powierzchniowych zmian, jedynych, jakie tu są możliwe. Następował po okresie zieleni, czyli młodych paproci, reprezentującym poranek, i poprzedzał okres

brązowy, kiedy to dzwoneczki wrzosów i paprocie przywdziewają rdzawe barwy wieczoru, a te z kolei ustępują mrocznym odcieniom zimy, stanowiącej noc. Clym i Eustachia w małym domku w Alderworth, za East Egdon, prowadzili życie pełne czarującej monotonii. W tym czasie oczy ich nie dostrzegały wrzosowiska ani zmian pogody. Spowijała ich jakby świetlista mgła, która przesłaniała to, co w najbliższym otoczeniu miało rażące barwy, i opromieniała wszystko dookoła swym blaskiem. Byli zachwyceni, gdy padało, bo mogli przez cały dzień pozostawać razem w domu, mając po temu tak słuszny powód; byli zachwyceni, kiedy świeciło słońce, bo mogli razem siedzieć na wzgórzu. Przypominali owe podwójne gwiazdy, które krążą wokół siebie, a z daleka wyglądają jak jedna. Absolutna samotność, w jakiej żyli, zniewalała do ciągłego myślenia o sobie nawzajem, choć ktoś mógłby powiedzieć, że sytuacja taka była o tyle niekorzystna, iż szafowali uczuciami straszliwie rozrzutnie. Clym nie obawiał się, że wyczerpie swoje, ale wspomnienie wypowiedzianych kiedyś przez Eustachię słów ó przymijaniu miłości — słów, których pewno sama teraz nie pamiętała — sprawiało, że nieraz popadał w zadumę. Wzdrygał się na myśl, że takie poczucie kresu nie było obce i mieszkańcom Raju.

Kiedy upłynęło kilka tygodni, Clym zabrał się znowu poważnie do nauki. Aby nadrobić stracony czas, czytał niezmiernie, chciał bowiem rozpocząć pracę w nowym zawodzie z możliwie najmniejszym opóźnieniem.

Eustachia zaś marzyła tymczasem, że zdoła namówić Clyma na powrót do Paryża. Wprawdzie strzegł się starannie wszelkich tego rodzaju obietnic, ale czyż zdoła oprzeć się jej prośbom i argumentom? Tak bardzo liczyła na swe zwycięstwo, że Paryż, a nie Budmouth, podała dziadkowi jako najpewniejsze miejsce ich przyszłego pobytu. Wszystkie nadzieje wiązała z tym marzeniem. W błogich dniach po ślubie, kiedy Clym nie mógł oderwać wzroku od jej warg, jej oczu, kiedy kontemplował każdy rys jej twarzy, wciąż myślała o Paryżu, nawet wtedy, kiedy odwzajemniała jego spojrzenie, i teraz uderzył ją bardzo przykro widok książek, zapowiadający przyszłość daleką od marzeń.

Miała nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy jako pani domu, choćby nawet niewielkiego, ale w pobliżu paryskich bulwarów, będzie pędzić życie przynajmniej na skraju tego wesołego świata i wdychać bodaj tylko zbląkane poddmuchy miejskich uciech, tak bardzo odpowiadających jej naturze. Jednak Clym uparcie żywił przeciwne zamiary, jak gdyby małżeństwo nie tylko nie przygasiło marzeń młodego filantropa, lecz nawet je rozpałiło.

Niepokój młodej żony wzrastał, ale w stanowczym zachowaniu dyma wyczuła coś, co nie pozwoliło jej zadawać pytań. W tym okresie wspólnego pożycia pomogło jej pewne zdarzenie. Zaszło ono któregoś wieczoru, mniej więcej sześć tygodni po ślubie, a powodu dostarczył Venn, niewłaściwie dysponując pieniędzmi przeznaczonymi dla dyma.

W parę dni po otrzymaniu gwinei Tomasina posłała ciotce list z podziękowaniem. Zaskoczyła ją wysokość legatu, skoro jednak ciotka nigdy jej nic na ten temat nie mówiła, Tomasina sądziła, że zawdzięcza swe bogactwo hojności zmarłego stryja. Ciotka zobowiązała ją do tajemnicy przed mężem, a Wildeve, co było zupełnie naturalne, nie wspomniał żonie o tym, co działo się o pomocy na wrzosowisku. Prerażony Christian nie wspominał o swoim udziale w tej historii, twierdził tylko, że pieniądze dostały się we właściwe ręce, mając nadzieję, że tak się stało.

Toteż gdy minął tydzień czy dwa, pani Yeobright zaczęła się dziwić, dlaczego syn jej nie doniósł o odbiorze prezentu, a budzące się podejrzenie, że powodem jest uraza, zaprawiło goryczą jej niepokój. Trudno było w to uwierzyć, ale dlaczego nie napisał?

Rozpytywała Christiana, a jego mętne odpowiedzi doprowadziłyby ją od razu do wykrycia prawdy, gdyby list Tomasiny nie potwierdził w połowie jego opowieści. W takim stanie niepewności znajdowała się pani Yeobright, kiedy pewnego ranka posłyszała, że jej synowa właśnie przyszła do Mistover w odwiedziny do dziadka. Postanowiła wyjść na wzgórze, zobaczyć się z Eustacją i usłyszeć z jej własnych ust, czy rodzinne gwinee, które dla pani Yeobright były tym, czym są rodzinne klejnoty dla bogatszych wdów, znajdują się we właściwych rękach.

Kiedy Christian się dowiedział, dokąd zmierza chlebobawczyni, ogarnęło go wielkie zmieszanie. Widząc, że już odchodzi, przestał ją zwodzić, przyznał się do hazardu i wyjawiał prawdę, czyli to, co wiedział — że gwinee wygrał Wildeve. — Jak to? I chce je zatrzymać? — zawołała pani Yeobright.

— Niech Bóg broni! — jęknął Christian. — To dobry człowiek i pewno zrobi, co trzeba! Mówił, że pani powinna była dać Eustacii pieniądze pana Clyma, i pewno sam to zrobi.

Po chwili zastanowienia pani Yeobright uznała, że to bardzo prawdopodobne, bo nie mieściło jej się w głowie, żeby Wildeve mógł przywłaszczyć sobie pieniądze jej syna. Przekazanie gwinei Eustacii, a nie wprost dymowi, dogadzałoby mu z pewnością. W matce jednakże myśl o takim załatwieniu sprawy wzbudziła wielki gniew. A więc Wildeve w końcu rozporządza jej gwineami i może zmienić pierwotną dyspozycję, składając legat Clyma w ręce jego żony — swojej dawnej, a kto wie, czy i nie obecnej, kochanki! Było to dla pani Yeobright w najwyższym stopniu irytujące i bolesne.

170

Natychmiast wymówiła pracę nieszczęsnemu Christianowi za jego niegodny udział w tej sprawie, ponieważ jednak poczuła się bez niego zupełnie bezradna, powiedziała mu potem, że jeżeli chce, może u niej jeszcze trochę pozostać.

Pospieszyła zaraz na spotkanie synowej, ale żywiła teraz ku niej uczucia znacznie mniej życzliwe niż przed półgodziną, kiedy planowała wyprawę. Wówczas zamierzała przyjaźnie zagadnąć Eustację, czy nie ponieśli jakiejś przypadkowej straty, teraz natomiast postanowiła postawić wprost pytanie, czy Wildeve nie dał jej pieniędzy, które miały być świętym darem dla Clyma.

Wyruszyła o drugiej po południu, a spotkanie z synową nastąpiło prędzej, niż się spodziewała, ponieważ zobaczyła ją koło sadzawki i nasypu, stanowiącego granicę posiadłości kapitana. Eustacją stała przyglądając się krajobrazowi i zapewne myślała o romantycznych wydarzeniach, których był świadkiem w minionych dniach. Kiedy pani Yeobright się zbliżyła, młoda kobieta powitała ją chłodnym spojrzeniem, jak kogoś obcego.

Teściowa odezwała się pierwsza:

— Przyszłam się z panią zobaczyć — powiedziała.

— Doprawdy? — zdziwiła się Eustacją, bo ku jej wielkiemu upokorzeniu pani Yeobright nie przyjęła zaproszenia na ślub. — Wcale się pani nie spodziewałam.

— Przyszłam tu tylko dla załatwienia pewnej sprawy — powiedział gość, znacznie już zimniejszym tonem. — Proszę wybaczyć, że zapytam, ale czy pani dostała prezent od męża Tomasiny?

— Prezent?

— Mam na myśli pieniądze.

— Co? Ja?

— Tak, pani. Poufnie... chociaż nie miałam zamiaru w taki sposób tego wyrazić.

— Pieniądze od pana Wildeve'a? Ależ nie, nigdy! Co pani przez to rozumie? — Eustacją z miejsca zapłonęła gniewem, bo wspomnienie dawnego związku z Wildeve'em kazało jej pochopnie wyciągnąć wniosek, że pani Yeobright również zna całą prawdę i zapewne przychodzi oskarżyć ją o przyjmowanie kompromitujących

podarków.

— Po prostu pytam — rzekła pani Yeobright. — Ja...

— Zasługuję u pani na lepszą opinię! — wybuchnęła Eustacją. — Obawiałam się od początku, że pani działa na moją niekorzyść!

— Nie. Działam tylko na korzyść Clyma. — Pełna przejęcia pani Yeobright wypowiedziała te słowa nazbyt dobitnie. — Każdy dba o dobro swoich.

— Czy to znaczy, że należało go strzec przede mną! — odpaliła Eustacją ze łzami oburzenia w oczach. — Nie wyrządziłam mu krzywdy, wychodząc za niego za mąż! Jaki grzech popełniłam, że pani tak źle o mnie myśli? Nie miała pani prawa występować przeciwko mnie wobec syna, skoro nic złego pani nie zrobiłam!

— Ja tylko robiłam to, co uważałam w tej sytuacji za słuszne — wyjaśniała pani Yeobright już łagodniejszym tonem. — Wolałabym nie poruszać teraz tej sprawy, ale pani mnie do tego przymusza. Nie wstydzę się powiedzieć całej prawdy. Byłam święcie przekonana, że nie powinien zenić się z panią, więc

171 próbowałam odwieść go od tego zamiaru wszelkimi dostępnymi mi środkami. Ale to już się stało i nie mam zamiaru narzekać więcej. Jestem skłonna powitać panią w rodzinie.

— Ach, więc to tak. Jak to dobrze tak rzeczowo patrzeć na świat — szepnęła Eustachia z tłumionym gniewem w głosie. — Dlaczego jednak pani myśli, że jest coś między mną a panem Wildeve'em? Mam swoją dumę tak samo jak i pani. Czuję się oburzona, jak czułaby się każda kobieta na moim miejscu. Pozwolę sobie przypomnieć, że to ja się łaskawie zgodziłam zostać żoną Clyma, a nie on został doprowadzony przeze mnie do ołtarza, i dlatego nie pozwolę, żeby mnie traktowano jak intrygantkę, którą trzeba z konieczności tolerować, bo się wśliznęła do rodziny.

— Och! — wykrzyknęła pani Yeobright, daremnie próbując opanować gniew. — Nigdy nie słyszałam, żeby rodzina mojego syna miała być gorsza od rodziny Vye'ów. Zapewne jest lepsza. Śmiesznie to brzmi, gdy pani mówi o swej łaskawej zgodzie.

— A jednak to prawda! — zawołała gwałtownie Eustachia. — I gdybym wtedy wiedziała, że w miesiąc po ślubie żyć będę na tym dzikim wrzosowisku, to... to pomyślałabym dwa razy, nim bym się zgodziła!

— Lepiej nie mówić tego, w czym nie ma cienia prawdy. Nic mi nie wiadomo, żeby mój syn zwodził... wiem, że tego nie zrobił... jakkolwiek postępowała druga strona.

— Tego już za wiele! — wrzasnęła ochryple młoda kobieta, której twarz pokrył krwawy rumieniec, a oczy ciskały błyskawice. — Jak pani śmie mówić do mnie w ten sposób! Czuję się zmuszona powtórzyć pani, że gdybym wiedziała, że moje życie od dnia ślubu do dzisiaj będzie takie, jak jest, powiedziałabym: nie! Nie uskarżam się jednak. Nigdy mu jednym słowem nie dałam tego do zrozumienia. Ale taka jest prawda. Myślę więc, że w przyszłości nie będzie mi już pani wymawiać, że dążyłam do ślubu. Jeżeli teraz skrzywdzi pani mnie, skrzywdzi pani siebie!

— Skrzywdzę panią? To pani uważa mnie za złą kobietę?

— Krzywdziła mnie pani przed ślubem, a teraz mnie posądza, że za pieniądze okazuję skrycie względy innemu mężczyźnie!

— Nic nie poradzę na to, co myślę. Ale nigdy nie mówiłam źle o pani poza ścianami mojego domu.

— Mówiła pani źle w swoim domu, wobec Clyma, i to było najgorsze ze wszystkiego.

— Spełniałam moją powinność.

— A ja spełnię moją.

— Za część swej powinności uzna pani zapewne zbuntowanie syna przeciw matce. Zwykle tak bywa. Dlaczego jednak nie miałabym wycierpieć tego, co przede mną wycierpiało tyle kobiet!

— Rozumiem panią — szepnęła Eustachia, niemal bez tchu z oburzenia. — Pani uważa, że jestem zdolna do najgorszych czynów. Czyż może być gorsza żona niż ta, która wabi kochanka i zatruwa serce męża oczerniając jego rodzinę? A jednak wystawia mi pani taką opinię. Pewno zechce pani wydrzeć go z moich rąk!

Pani Yeobright odpłaciła gniewem za gniew.

— Proszę nie wyładowywać na mnie swej złości! Nie licuje to z pani pięknnością, doprawdy nie warto, żeby z mego powodu szkodziła pani swojej urodzie. Jestem tylko biedną starą kobietą, która straciła syna.

— Gdyby pani mnie przyzwoicie traktowała, miałaby go pani nadal — mówiła rozdrażniona Eustachia, a palące łzy spływały po jej twarzy. — Straciła pani zupełnie rozum! Spowodowała pani rozłam, którego nie da się już naprawić!

— Nic takiego nie zrobiłam. Podobne zuchwalstwo ze strony młodej kobiety przekracza wszelkie granice.

— Sama się pani tego dopraszała: rzuciła pani na mnie podejrzenie i doprowadziła do tego, że mówiłam o moim mężu tak, jak mówić nie chciałam. A teraz mu to pani powtórzy i będziemy oboje nieszczęśliwi. Proszę stąd odejść! Nie jest mi pani życzliwa!

— Odejdę, ale wpierw niech mnie pani wysłucha. Jeśli ktoś powie, że przyszedłam tutaj stawiać pani bezpodstawne zarzuty, nie powie prawdy. Jeżeli ktoś powie, że chciałam przeszkodzić temu małżeństwu nie tylko uczciwymi sposobami, także nie powie prawdy. Przyszły na mnie złe czasy. Jakże niesprawiedliwie Bóg dopuszcza, żeby mnie tak obrażano! Zapewne syn mój nie zazna szczęścia za życia, bo to głupi człowiek, który nie liczy się z radami matki. A ty, Eustachio, stoisz na skraju przepaści, choć sama o tym nie wiesz. Okaż tylko memu synowi choć część tej porywczosci, jaką okazałaś mnie, a przekonasz się, że choć jest teraz miękki jak dziecko, potrafi być twardy jak stal.

Rozgniewana matka odeszła, a Eustachia, dysząc ciężko, stała ze wzrokiem utkwionym w taflę sadzawki.

II OSACZAJĄ GO PRZECIWNOCI, A JEDNAK ŚPIEWA PIEŚŃ

Na skutek tej niezyczliwej wymiany zdań Eustachia, zamiast spędzić popołudnie z dziadkiem, pośpiesznie wróciła do Clyma, zjawiając się w domu o trzy godziny wcześniej, niż jej oczekiwał.

Weszła z płonąca twarzą, z oczami zdradzającymi niedawne podniecenie. Mąż spojrział na nią zdumiony. Nigdy jeszcze nie widział jej w podobnym stanie.

Minęła go i chciała wejść na górę nie zauważona, ale zatroskany Clym natychmiast za nią poszedł.

— Co się stało, Eustachio? — zapytał.

Stała na dywaniku przed kominkiem, z rękami splecionymi przed sobą, nie zdjawszy nawet kapelusza. Przez chwilę milczała, a potem powiedziała cicho:

— Widziałam twoją matkę i nie chcę już nigdy jej oglądać!

Clym poczuł, że serce w nim zamiera. Tego właśnie ranka, kiedy szykowała się do odwiedzenia dziadka, wyraził życzenie, żeby zajechała do Blooms--End i zobaczyła się z teściową albo podjęła inne środki, jakie uzna za stosow-

172

173ne, dla doprowadzenia do zgody. Wyruszyła wesółą, a w nim ożyły nadzieje.

— Co się stało? — dopytywał.

— Nie potrafię ci powiedzieć... nie pamiętam. Spotkałam twoją matkę. I nigdy już się z nią więcej nie spotkam.

— Dlaczego?

— Co ja teraz wiem o panu Wildeve? Nie pozwolę, żeby ktokolwiek rzucał na mnie potwarz. Och, jakże się czułam upokorzona, kiedy mnie zapytała, czy otrzymałam od niego pieniądze bądź też go zachęcałam, czy coś w tym rodzaju... dokładnie

nie pamiętam.

— Jak mogła cię o coś takiego pytać?

— Jednak pytała.

— W takim razie za tym musi się coś kryć. Co jeszcze mówiła moja matka?

— Nie wiem, co powiedziała, wiem tylko, że obie mówiłyśmy rzeczy nie do wybaczenia.

— Ach, to na pewno jakieś nieporozumienie. Z czyjej winy nie wyjaśniła tego, co miała na myśli?

— Wolałabym raczej nic nie mówić. Może to wina zbiegu okoliczności, które od początku nie były sprzyjające. Och, dymie... wiem, że trudno mi się powstrzymać, ale postawiłeś mnie w nieprzyjemnej sytuacji. Musisz to jednak naprawić... tak, przyrzeknij mi... bo teraz wszystko jest mi nienawistne! Zabierz mnie do Paryża i wróć do swego dawnego zajęcia, Clymie! Nie dbam o to, jak skromnie żylibyśmy na początku, byle tylko to był Paryż, a nie Egdon!

— Ależ ja absolutnie nie zamierzam wracać do Paryża — oświadczył zdumiony Clym.

— Z pewnością nie dawałem ci podstaw do takich nadziei.

— Przyznaję, że nie dawałeś. Ale są myśli, których się nie da odpędzić, i tak jest z moimi myślami o Paryżu. A czy nie powinnam mieć prawa głosu w tej sprawie, skoro jestem twoją żoną i dzielę twój los?

— Są rzeczy poza dyskusją. Sądziłem, że ta sprawa do nich należy, i to za obopólną zgodą.

— Clymie, unieszczęśliwiasz mnie tymi słowami — powiedziała cicho, spuściła wzrok i odeszła.

Ten dowód nie oczekiwanych nadziei w sercu Eustachii zmartwił jej męża. Pierwszy raz przekonał się, że kobieta, dążąc do spełnienia swych pragnień, obiera drogę pośrednią. Choć kochał żonę, nie zmienił zamiaru. Słowa Eustachii miały tylko taki wpływ, że postanowił jeszcze usilniej ślęczeć nad swymi książkami, aby dla zwalczenia jej kaprysu móc jak najprędzej udowodnić, że inne zajęcia dają również korzyści materialne.

Następnego dnia tajemnica gwinei się wyjaśniła. Tomasina złożyła im krótką wizytę i wręczyła dymowi jego legat. Eustachia nie była przy tym obecna.

— A więc to miała na myśli moja matka — zawołał Clym. — Czy wiesz, Tomasino, że doszło między nimi do poważnej kłótni?

Zachowanie Tomasiny w stosunku do kuzyna cechowała teraz nieco większa powściągliwość. Był to wpływ małżeństwa, które powiększa rezerwę w stosunku do wielu osób, choć wobec jednej ją przekreśla.

— Wiem o niej od twojej matki — wyjaśniła spokojnie. — Przyszła do mnie po rozmowie z Eustachia.

— Zdarzyło się najgorsze, czego się obawiałem. Czy matka była wtedy bardzo wzburzona, Tomasino?

— Tak.

— Okropnie wzburzona?

— Tak.

Clym oparł łokieć o słupkę ogrodowej furtki i zakrył oczy dłonią.

— Nie martw się, Clymie. Mogą się jeszcze zaprzyjaźnić. Potrząśnął głową.

— Nie pogodzą się kobiety o tak porywczym usposobieniu jak one. No cóż, co ma być, to będzie.

— Jedno jest w tym wszystkim pocieszające: pieniądze nie zginęły.

— Wolałabym dwa razy tyle stracić niż dopuścić do tego, co się zdarzyło.

Wśród tych jątrzących go spraw Clym czuł, że powinien za wszelką cenę dążyć do realizacji swoich szkolnych planów. Mając to na względzie, przez dłuższy czas przesiadywał nad książkami do późna w nocy.

Pewnego dnia, po większym niż zazwyczaj wysiłku, obudził się rano i poczuł, że oczy ma jakoś dziwnie wrażliwe. Słońce padało wprost na zasłonę okienną i kiedy skierował w tę stronę spojrzenie, ostry ból zmusił go do natychmiastowego opuszczenia powiek. Przy każdej próbie rozejrzenia się dokoła pojawiała się ta sama chorobliwa wrażliwość na światło i palące łzy zalewały mu policzki. Ubierając się musiał zasłonić oczy bandażem i nie mógł się obyć bez niego w ciągu dnia. Eustachia była przerażona. Kiedy okazało się następnego ranka, że nie nastąpiła poprawa, zdecydowali się posłać po lekarza do Anglebury. Lekarz przyjechał nad wieczorem i orzekł, że jest to ostre zapalenie wywołane nocnymi studiami, kontynuowanymi mimo zaziębienia, które spowodowało czasowe osłabienie oczu.

Chociaż go niecierpliwiła ta przerwa w pracy, którą pragnął podjąć niezwłocznie, Clym musiał zamienić się w inwalidę. Zamknięto go w zaciemnionym pokoju i czułby się straszliwie nieszczęśliwy, gdyby nie to, że Eustachia czytała mu przy świetle osłoniętej lampki. Przypuszczał, że najgorsze szybko przeminie, ale za trzecią wizytą lekarza dowiedział się ku swej rozpaczy, że chociaż w ciągu miesiąca stan jego zapewne polepszy się na tyle, że będzie mu wolno wyjść na dwór z zasłoniętymi oczami, musi na długi czas porzucić wszelką myśl o jakimkolwiek czytaniu.

Minął jeden tydzień, potem drugi i nic nie rozjaśniło mroku otaczającego młodą parę. Wyobraźnia młodej kobiety rozsnuwała przed nią straszliwe wizje, Eustachia jednak powstrzymywała się od zwierzania się z nich mężowi. A jeśli oślepnie lub wzrok nie poprawi się przynajmniej na tyle, by mógł podjąć pracę, która by nie raniła jej uczuć i umożliwiła wydostanie się z samotnego domku wśród wzgórz? W obliczu tego nieszczęścia marzenie o pięknym Paryżu nie mogło się urzeczywistnić. Gdy tak mijał dzień za dniem, a Clymowi wzrok się nie poprawiał, Eustachia, udręczona posepnymi myślami, uciekała od męża i kryjąc się w ogrodzie lała łzy rozpaczy.

174

175 Clym chciał posłać po matkę, ale potem się rozmyślił. Wiadomość chorobie mogłaby tylko jeszcze bardziej ją unieszczęśliwić, a żyli w takim odosobnieniu, że prawdopodobnie się o tym nie dowie — chyba że przez specjalnego posłańca. Starając się znosić nieszczęście jak najbardziej po stoicku, czekał na nadejście trzeciego tygodnia, kiedy to po raz pierwszy od dnia choroby miał wyjść na dwór. Lekarz przybył z wizytą i zbadał go znowu, lecz mimo nalegań Clyma nie postawił wyraźnej diagnozy. Młody człowiek dowiedział się ku swemu zdziwieniu, że termin ewentualnego podjęcia na nowo nauki jest tak samo niepewny jak poprzednio, bo chociaż może widzieć na tyle, by spacerować, nie wolno mu koncentrować wzroku na żadnym przedmiocie, gdyż ten wysiłek prawdopodobnie wywołałby nawrót oftalmii w ostrej formie.

Sposepniał na tę wieść, ale nie wpadł w rozpacz. Wstąpiła weń jakaś spokojna siła, a nawet pogoda ducha. Nie oślepnie — to mu wystarczy. Być skazanym na oglądanie świata przez ciemne okulary w ciągu nie wiadomo jak długiego okresu - -- to niewątpliwie rzecz bardzo przykra i uniemożliwiająca jakikolwiek awans życiowy, ale Clym ze stoickim spokojem przyjmował niepowodzenia, które szkodziły tylko jego społecznej pozycji, i — pomijając wzgląd na Eustachię — zadowoliliby go najskromniejsza drożyna życiowa, byleby tylko mógł realizować swój plan oświatowy w jakiegokolwiek formie. Jedną z nich byłoby prowadzenie wieczorowej szkoły w domu, toteż choroba nie złamała duchowo Clyma, co mogłoby się stać bez tej możliwości.

W gorących promieniach słońca szedł ku zachodowi, ku tej części wrzosowiska, którą znał najlepiej, ponieważ leżała w pobliżu domu jego dzieciństwa. W jednej

z dolin ujrzał przed sobą lśnienie wyostrzonej stali i podszedłszy bliżej dostrzegł jak przez mgłę, że to błyszczący sierp człowieka ścinającego janowiec. Tamten poznał samotnego wędrowca, a Clym odgadł po głosie, że ma przed sobą Humphreya. Robotnik współczuł dymowi z powodu stanu oczu i dodał:

— Gdyby miał pan prostą pracę, taką jak ta, mógłby pan dać sobie radę.

— Ano, mógłbym — odpowiedział Clym w zamyśleniu. — Ile dostajecie za ścinanie tego chrustu, Humphreyu?

— Pół korony za setkę, a teraz, kiedy dni są długie, nie narzekam na zarobki. Macając do Alderworth Clym był cały czas zatopiony w myślach, a nie należały one bynajmniej do nieprzyjemnych. Kiedy zbliżył się do domu, Eus-tachia powitała go przez otwarte okno, więc podszedł wprost do niej.

— Kochanie — powiedział. — Czuję się teraz o wiele szczęśliwszy. I gdyby moja matka pogodziła się ze mną i z tobą, to chyba byłbym zupełnie szczęśliwy.

— Obawiam się, że to nigdy nie nastąpi — odparła, wpatrując się w dal swymi pięknymi, chmurnymi oczyma. — Jak możesz mówić, że jesteś szczęśliwy, skoro nic się nie zmieniło?

— Bo nareszcie znalazłem pracę, którą mogę wykonywać w czasie choroby i zarobić na życie.

— Jaka to praca?

— Będę ścinał janowiec i darń.

— O nie, dymie! — powiedziała i z twarzy jej zniknął przelotny wyraz nadziei. Posmutniała jeszcze bardziej.

— Ależ tak. Czy byłoby rozsądnie wydać tę niewielką sumę pieniędzy, jaką rozporządzamy, skoro mogę uczciwą pracą zmniejszyć wydatki? Zajęcie na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi i kto wie, może za parę miesięcy będę mógł znowu podjąć naukę.

— Dziadek się zaofiarował, że nam pomoże, jeśli zajdzie potrzeba.

— Nie potrzebujemy pomocy. Jeśli zajmę się ścinaniem janowca, będziemy mieli dosyć pieniędzy.

— W porównaniu z niewolnikami i Żydami w Egipcie, i takimi jak oni ludźmi! — Po policzkach Eustachii spływały gorzkie łzy, których Clym nie widział. Mówił obojętnie, dając do zrozumienia, że nie przygłębia go myśl o zajęciu, które jej się wydaje potworne.

Zaraz następnego dnia udał się do chaty Humphreya i pożyczył od niego długie kamasze, łapawice, osełkę i sierp do czasu, aż będzie w stanie kupić sobie własne. Potem wyruszył z nowym towarzyszem pracy, a dawnym znajomym, i wybrałszy miejsce, gdzie janowiec rósł najgęściej, wykonał pierwszy ruch w swoim przybranym zawodzie. Jego wzrok — podobnie jak skrzydła w *Rasselas** — choć za słaby, by służyć wielkim życiowym celom, wystarczał do tej skromnej pracy, i młody człowiek doszedł do wniosku, że kiedy po pewnym czasie ręce mu stwardnieją i nie będą na nich wyskakiwać bąble, da sobie doskonale radę.

Codziennie wstawał ze słońcem, zapinał kamasze na sprzączki i siedł na spotkanie z Humphreym. Miał zwyczaj pracować od czwartej rano do południa, następnie, w czasie największego upału, wracał do domu, by się przespać godzinę lub dwie, a potem znów wychodził i pracował do dziewiątej, do zmierzchu.

Naszego przybysza z Paryża tak zmienił teraz skórzany ekwipunek i ochronne okulary, którymi musiał przesłaniać oczy, że najbliższy przyjaciel mógłby przejść obok i nie poznać go. Był tylko brązowym punktem na wielkim oliwkowozielonym obszarze janowca — i niczym więcej. Kiedy nie pracował, ogarniało go nieraz przygłębianie na myśl o sytuacji Eustachii i oziębłych stosunkach z matką, ale w wirze roboty wracał mu spokój i pogoda ducha. Krąg jego codziennego życia miał bardzo małe rozmiary, bo widział zaledwie na

odległość kilku kroków. Bliższą znajomość zawarły z nim pełzające i fruujące stworzenia, które uznały go chyba za swego. Pszczoły poufale brzęczały mu koło uszu i tak licznie siadały w pobliżu na kwiatkach wrzosu i janowca, że aż je przyginały ku ziemi. Dziwne bursztynowe motyle, nie spotykane nigdzie poza Egdonem, drżały w zasięgu jego oddechu, lądowały na jego pochylonych plecach, igrały z lśniącym ostrzem sierpa, kiedy wymachiwał nim w dół i w górę. Całe plemiona szmaragdowych koników polnych wskakiwały mu na stopy, a potem spadały przewracając się na grzbiety, na boki, na

* Romans dydaktyczny pióra Samuela Johnsona (1709—1784), angielskiego pisarza i krytyka; bohater utworu próbuje unosić się na skrzydłach.

176

12 — Powrót...

177łebki, jak traf chciał — niby niezręczni akrobaci — albo prowadziły głośne flirty pod liśćmi paproci z cichszymi z ich rodu i nie tak pięknymi w barwie. Ogromne muszyska, nie wiedzące nic o istnieniu spiżarni i drucianych siatek, żyjące w dzikim stanie, bzykały mu nad głową, nieświadome tego, że jest człowiekiem. Z paprociowych kotlinek wyślizgiwały się węże, połyskujące niebiesko i żółto, bo było to zaraz po okresie zrzucania starych skór, kiedy ich barwy są najjaskrawsze. Całe pomioty królicze wysypywały się z nerek na wzgórkach i wygrzewały w słońcu, a gorące promienie prześwietlały delikatną tkanę ich uszu, które w tym blasku płonęły przezroczystą czerwienią z widocznymi na jej tle żyłkami. Króliki nie lękały się dyma.

Jednostajne zajęcie uspokajało go i sprawiało mu przyjemność. Nie kierujący się ambicją młody człowiek, zmuszony do ograniczenia wysiłków, usprawiedliwiał tym swą skromną pracę, cnoć sumienie nie pozwoliłoby mu poprzestać na tak nic nie znaczącym zajęciu, gdyby był w pełni sił. Toteż nieraz śpiewał w samotności, a kiedy wypadło wspólnie z Humphreym iść po gałęzie jeżyna do związywania chrustu, zabawiał towarzysza opowiadaniem o życiu paryskim, by czas im prędzej mijał.

W jedno z tych ciepłych popołudni Eustachia przyszła na miejsce pracy swego męża. Energicznie rąbał janowiec, a długi rząd ściętego chrustu świadczył, że tego dnia nie próżnował. Nie zauważył jej z daleka, a ona stanęła w pobliżu i posłyszała, że coś nuci. Doznała prawdziwego wstrząsu. Początkowo ujrawszy go tam, tego biednego, ciężko doświadczonego przez los człowieka, w pocie czoła zarabiającego na kawałek chleba, wzruszyła się do łez, ale kiedy posłyszała, że śpiewa zamiast buntować się przeciw zajęciu, które choć może jego zadowala, poniżają, jego żonę, wykształconą damę — poczuła się głęboko dotknięta.

Nieświadom jej obecności, śpiewał:

Dnia najpierwszy brzask Przywraca gaje całej ich urodzie, Wita go Flory większy blask, Znów o miłości śpiewa ptak, Wszystko wielbi w całej Przyrodzie .Dnia najpierwszy brzask.

Dnia najpierwszy brzask Bywa, że jest przyczyną żalości: Jakże kurczy się w sobie noc. Pasterzowi, co z żaru drząc, Rzucić musi przedmiot miłości, Gdy nadchodzi brzask.

Z goryczą zdała sobie sprawę, że Clym nie przejmuje się wcale swą degradacją społeczną. Dumna i piękna kobieta schyliła głowę i zapłakała z rozpacz na myśl o niszczącym wpływie na jej życie tego stanu i nastroju męża. A potem stanęła przed nim.

— Wolałabym raczej umrzeć z głodu niż to robić! — wykrzyknęła gwałtownie. — A ty śpiewasz! Wróć do dziadka i znów -u niego zamieszka!

— Eustachio! Nie widziałem ciebie, chociaż zauważyłem, że coś się porusza — powiedział łagodnie. Podszedł ku niej, zdjął łapawicę i ujął żonę za rękę. — Dlaczego tak dziwnie mówisz? To tylko stara piosenka, która spodobała mi się w

Paryżu, a teraz pasuje do naszego wspólnego życia. Czyżby twoja miłość do mnie umarła, bo nie wyglądam już na eleganckiego dżentelmena?

— Najdroższy, nie zadawaj mi takich nieprzyjemnych pytań, bo mogę cię przestać kochać.

— Czy mógłbym chcieć, twoim zdaniem, narażać się na takie ryzyko?

— No cóż, postępujesz zawsze zgodnie z własnymi planami i nie słuchasz mnie, kiedy ci radzę, żebyś porzucił tę upokarzającą pracę. Czy jest we mnie coś, czego nie znosisz, i dlatego przeciwstawiasz się moim życzeniom? Jestem twoją żoną, więc dlaczego nie chcesz mnie posłuchać? Tak, ja rzeczywiście jestem twoją żoną!

— Wiem, co znaczy ten ton.

— Jaki ton?

— Ton, którym powiedziałaś: “Rzeczywiście twoją żoną”, oznaczał: “Niestety, twoją żoną.”

— To okrutne z twojej strony. Pozwalasz sobie na tę uwagę, żeby mnie wybać. Nawet kobieta z sercem może nie być pozbawiona rozsądku i jeżeli pomyślałam “niestety”, nie jest to dowód braku szlachetnych uczuć, ale po prostu zupełnie naturalny odruch. Widzisz więc, że w każdym razie nie próbuję kłamać. Czy pamiętasz, jak ci mówiłam przed ślubem, że się nie nadaję na dobrą żonę?

— Drwisz ze mnie, wspominając o tym w obecnej chwili. Przynajmniej w tej sprawie szlachetniej byłoby, gdybyś milczała, bo wciąż jesteś moją królową, Eustachio, chociaż ja być może przestałam już być dla ciebie królem.

— Jesteś moim mężem. Czy to cię nie zadowala?

— Tylko w tym wypadku, gdybyś nie żałowała, że jesteś moją żoną.

— Nie oczekuj ode mnie odpowiedzi. Przypominam ci moje słowa, że nie będziesz miał ze mną łatwego życia.

— Tak, wiedziałem.

— A więc za szybko się dowiedziałeś! Żaden prawdziwie kochający mężczyzna nie widzi takich rzeczy. Jesteś dla mnie za surowy, dymie! Wcale mi się nie podoba to, co mówisz.

— No cóż, ożeniłem się z tobą mimo wszystko i wcale tego nie żałuję. Jaki chłód od ciebie dziś wieje! A ja myślałem, że nie ma serca gorętszego niż twoje, Eustachio.

— Masz rację, obawiam się, że słabną nasze uczucia... widzę to tak samo jasno jak ty. — Westchnęła żałośnie. — A kochaliśmy się jak szaleni przed dwoma miesiącami! Nigdy nie miałaś dosyć mojego widoku ani ja twojego! I kto by wtedy pomyślał, że po tak krótkim czasie moje oczy nie będą już się tobie wydawać tak piękne, a mnie twoje usta tak słodkie? Dwa miesiące... czy to możliwe? Niestety, tak wygląda prawda.

— Wzdychasz, kochana, jakbyś tego żałowała... to dobry znak.

178

179— O, nie. Wzdycham z innych powodów, i każda kobieta na moim miejscu zrobiłaby to samo.

— Że zmarnowałaś życiowe szansę przez zbyt pośpieszny ślub z człowiekiem, który nie ma szczęścia!

— Dlaczego zmuszasz mnie, dymie, bym ci mówiła przykre słowa? Zastępuję na współczucie tak samo jak ty. Tak samo? Chyba nawet bardziej. Bo ty możesz śpiewać! Musiałabym nie być sobą, żeby śpiewać w takich okolicznościach! Wierzaj mi, kochany, mogłabym łać potoki łez, ku zdumieniu i zawstydzeniu natury tak giętkiej jak twoja! Nawet jeżeli potrafisz przejść obojętnie nad własną udreką, mógłbyś powstrzymać się od śpiewania po prostu przez współczucie dla mnie. Boże! Gdybym ja była mężczyzną w takiej sytuacji, tobym raczej miotła przekleństwa

niż śpiewała!

Clym położył dłoń na jej ramieniu.

— Cóż, nie myśl, moja ty niedoświadczona dziewczyno, że ja nie umiałbym, równie dobrze jak ty, po prometejsku buntować się przeciw losowi i bogom. Nie słyszałaś o nikim, kto miałby do tego więcej skłonności niż ja. Ale im dłużej oglądam świat, tym jaśniej dostrzegam, że nie ma nic specjalnie wielkiego na jego gościńcach, a więc i nic specjalnie małego na moich janowcowych ścieżkach. Skoro wiem, że największe błogosławieństwa, jakich nam świat raczy udzielać, nie są szczególnie cenne, jakże mogę uważać za wielkie nieszczęście ich utratę? Śpiewam więc, aby prędzej mijał czas. Czy ty naprawdę nie masz już dla mnie żadnych serdeczniejszych uczuć i żałujesz mi paru weselszych chwil?

— Mam jeszcze dla ciebie trochę serdecznych uczuć.

— W słowach twoich nie słyhać już dawnego żaru. Tak więc miłość gaśnie, gdy przychodzą klęski!

— Nie mogę tego słuchać, dymie — powiedziała łamiącym się głosem. — To się źle skończy. Wracam do domu.

III EUSTACHIA PODEJMUJE WALKĘ Z PRYZGNĘBIENIEM

Parę dni później, jeszcze w sierpniu, Eustachia i Clym siedzieli przy wczesnym obiedzie.

Eustachię ogarnęła ostatnio apatia. W jej pięknych oczach malowała się rozpacz, która — bez względu na to, czy młoda kobieta na to zasługiwała, czy nie — obudziłaby współczucie w sercu każdego, kto znał ją w okresie rozkwitu miłości do Clyma. Mąż i żona zupełnie inaczej reagowali na sytuację. Clym, chociaż chory, był pogodny i nawet starał się pocieszać żonę, która w całym swym życiu nie zaznała fizycznego bólu.

— No, rozchmurz się, najdroższa, czekają nas znowu dobre chwile. Przyjdzie pewno taki dzień, że wróci mi wzrok. Przrzekam ci uroczyście, że jak tylko zdołam robić coś lepszego, przestanę się zajmować ścinaniem janowca. Tak naprawdę jednak, to nie możesz przecież chcieć, żebym przez cały dzień siedział beczynnie w domu.

180

— Ale to straszne! Ty ścinasz janowiec, ty, który jeździłeś po obcych krajach, znasz francuski i niemiecki! Potrafiłbyś robić coś znacznie lepszego!

— Kiedy pierwszy raz o mnie usłyszałaś i pierwszy raz mnie zobaczyłaś, byłem pewno w twych oczach człowiekiem, którego otacza złocisty nimb, bo widział tyle wspaniałości i obracał się w wielkim świetle — jednym słowem godnym podziwu, cudownym, czarującym bohaterem.

— Tak... — odparła łkając.

— A teraz jestem biedakiem w odzieniu ze skóry!

— Nie dręcz mnie! Ale dosyć tego! Nie będę już dłużej poddawać się przygnębieniu. Po południu wychodzę z domu, jeżeli nie będziesz zbyt protestował. W East Egdon ma się odbyć wiejska zabawa, czyli tak zwane cygańskie tańce, i ja tam idę.

— Na tańce?

— Dlaczego nie? Ty sobie śpiewasz.

— Dobrze, dobrze, skoro chcesz. Czy mam przyjść po ciebie?

— Jeśli nie wrócisz zbyt późno z pracy. Zresztą nie rób sobie kłopotu. Znam drogę do domu i nie boję się iść przez wrzosowisko.

— Aż tak pragniesz wesołości, że aby jej użyć, chcesz iść daleko na wiejską zabawę?

— Aha, nie podoba ci się, że idę sama! Czy ty nie jesteś zazdrosny, Clymie?

— Nie. Poszedłbym jednak z tobą, gdyby to sprawiło ci przyjemność, ale w obecnej sytuacji pewno i tak masz mnie dosyć. Właściwie to wolałbym, żebyś nie szła. Masz rację, widocznie jestem zazdrosny, ale kto miałby być zazdrosny, jeśli nie ja, na wpół ślepy człowiek, i to o taką kobietę jak ty!

— Przestań, proszę. Pozwól mi iść i nie odbieraj mi radości.

— Wolałbym raczej sam ją zupełnie utracić, moja droga żono. A więc rób to, na co masz ochotę. Kto mógłby się sprzeciwić twojej zachciance? Całe moje serce należy jeszcze do ciebie, a ponieważ cierpliwie mnie znosisz, choć prawdę mówiąc jestem ci kłoda u nogi, winienem ci podziękować. Tak, idź i baw się! A co do mnie, nie odmienię swego losu. Na takich spotkaniach unika się podobnych osób. Mój sierp i łapawice są jak grzechotka trędowatego: ostrzegają ludzi, żeby schodzili z drogi i nie patrzyli na to, co napełnia smutkiem. — Ucałował żonę, włożył kamasze i wyszedł.

Po odejściu męża Eustachia siedziała z brodą wspartą na rękę, szeptała sama do siebie:

— Dwie osoby mają zmarnowane życie, on i ja! Na co mi przyszło! Ja chyba oszaleję!

Zamyśliła się szukając jakiegoś sposobu wyjścia z obecnej sytuacji, ale nic mądrego nie przyszło jej do głowy. Wyobraziła sobie, jak mieszkańcy Bud-mouth, kiedy usłyszą o tym, co ją spotkało, powiedzą: “Spójrzcie na tę dziewczynę! Żaden nie był dla niej dość dobry!” Obecne położenie wydało się Eustachii takim szyderstwem z jej nadziei, że jedyne wybawienie widziała w śmierci, gdyby niebiosa miały posunąć się dalej w tych drwinach.

Nagle ożywiła się i zawołała:

— Ale ja się z tego otrząsnę! Tak, otrząsnę! Nikt nie pozna, że cierpię!

181 Będę radosna, choć pełna goryczy, ironicznie wesoła. Będę się śmiać z pogardą! A na początek pójdę na wiejskie tańce!

Poszła do sypialni i ubrała się z wielką dbałością. Postronny widz, podziwiając urodę Eustachii, uznałby jej stan ducha za usprawiedliwiony. Ponury zakątek, do którego przypadek — jak również nierozwaga — sprowadziły tę kobietę, mógłby wzbudzić nawet w kimś mniej jej przychylnym poczucie, że ma ona słuszne powody, by zapytać Najwyższe Władze, na mocy jakiego prawa ona, istota piękna, znalazła się w takich warunkach, że jej powaby stały się raczej przekleństwem niż błogosławieństwem.

Była piąta po południu, kiedy Eustachia wychodziła z domu gotowa do spaceru. Samym swym widokiem mogłaby podbić dwadzieścia serc. Buntowniczy smutek, nieco zbyt widoczny, kiedy siedziała w domu bez kapelusza, przesłonił i złagodził strój wyjściowy o nieco przymglonych barwach i bez ostrych linii. Twarz spoglądała z tego tła jakby z chmury i nie istniały wyraźne granice między ciałem a ubiorem. Upał nie ustał jeszcze, więc Eustachia szła leniwym krokiem przez zalane słońcem wzgórze, mając wiele czasu na tę wyprawę. Zielone liście wysokich paproci zakrywały całą jej postać. Gdy ścieżka biegła pośród nich, dziewczyna tonęła w zieleni, tworzyły bowiem o tej porze roku miniaturowe lasy, choć ani jedna łądoga nie miała przetrwać zimy i wydać nowych pędów wiosną. Miejsce wybrane na wiejską zabawę, przypominające trawnik, było jedną z oaz zieleni, które czasem, ale nieczęsto, spotyka się na wrzosowym płaskowyżu. Gąszcze janowca i paproci urywały się nagle w pobliżu, a trawa była równa i gładka. Zielona ścieżka dla bydła okrążała ten teren, nie wynurzając się jednakże spoza osłony paproci, i Eustachia wybrała ją właśnie, chcąc przyjrzeć się grupie ludzi, do których miała się przyłączyć. Prowadziły ją donośne dźwięki orkiestry z East Egdon i wkrótce ujrzała muzykantów: siedzieli na niebieskim wozie z czerwonymi kołami, wyszorowanym do połysku, nad którym rozpięto

drewniane pałaki ozdobione gałęziami i pękami kwiatów. Przed orkiestrą widać było główny krąg taneczny, złożony z kilkunastu par, a z boku — mniejsze kręgi gorszych tancerzy, pływających nie zawsze w rytm muzyki.

Młodzieńcy przypinali do klap niebieskie i białe kotyliony i z rumieńcami na twarzach tańczyli z dziewczętami, które z podniecenia i wysiłku miały policzki intensywniejszej barwy niż ich rozliczne różowe, wstęgi. Piękności o długich lokach, piękności o krótkich lokach, piękności z lokami nad czołem, piękności z warkoczami — wirowały w koło, a obserwator mógłby się dziwić, jakim cudem zebrano tak miłą gromadkę młodych kobiet podobnego wzrostu, wieku i upodobań, skoro wybór ograniczał się do jednej wioski lub co najwyżej dwóch. Z tyłu jakiś uszczęśliwiony mężczyzna przymknawszy oczy tańczył zupełnie sam, niepomny na całą resztę. O kilka kroków dalej, pod ogło-wionym cierniem, paliło się ognisko, nad którym wisiały trzy imbryki. W pobliżu rozstawiono stół i jakieś starsze kobiety zajęły się przygotowaniem do herbaty. Eustachia na próżno wypatrywała wśród nich żony handlarza bydłem, która obiecała, że zapewni jej miłe przyjęcie. Zaskoczyła ją nieobecność jedynej znajomej z wioski i w poważnym stopniu popsuła plany spędzenia tego popołudnia na beztrudnej zabawie. Niełat-

182

wo było przyłączyć się do towarzystwa, mimo że gdyby podeszła bliżej, owe wesołe starsze panie na pewno wystąpiłyby z herbatą i okazały jej względy jako osobie obcej i górującej nad nimi wykształceniem i wdziękiem. Przyjrząwszy się bawiącym w czasie dwóch tańców z figurami, Eustachia postanowiła pójść jeszcze trochę dalej, do chaty, gdzie mogłaby się posilić, a następnie w cieniach zapadającego wieczoru powrócić do domu.

Tak też zrobiła, a kiedy znów skierowała kroki ku miejscu zabawy, co było nieuniknione w drodze powrotnej do Alderworth, słońce już zachodziło. W powietrzu była taka cichość, że z daleka słyszała orkiestrę i odniosła wrażenie, że chyba grają jeszcze bardziej ochoczo niż przedtem. Słońce schowało się za wzgórzem, ale nie sprawiło to wielkiej różnicy ani tańczącym, ani Eustachii, gdyż wstawał właśnie wielki żółty księżyc, którego światło nie przyćmiewało jednak w owej chwili blasków na zachodzie. Zabawa trwała nadal, z tą tylko różnicą, że zjawili się jacyś nowi mdzie i otoczyli tańczących, więc Eustachia mogła stanąć wśród nich bez obawy, że zostanie rozpoznana.

Zmysłowe wzruszenia, które mieszkańcy wioski przeżywali w różnych chwilach minionego roku, skupiły się jak w ognisku soczewki w tej jednej godzinie. Od dwunastu miesięcy, od czasu podobnej zabawy, czterdzieści serc tych wirujących par nie biło z takim uniesieniem jak teraz. Pogańskie uczucia ożyły w ich duszach, zawładnęła nimi duma i w owej chwili nie ubóstwiali nikogo prócz siebie.

Jak wiele z tych namiętnych, lecz przelotnych uścisków doprowadzi do stałej więzi? — to pytanie nasuwało się zapewne niektórym z zainteresowanych tak samo jak ich obserwatorce, Eustachii. Poczęła im zazdrościć tych piruetów, łaknąć nadziei i szczęścia, które najwidoczniej budził w nich czar tańca. Kochała taniec do szaleństwa i oczekiwała po Paryżu również i sposobności uczestniczenia w tej najmilszej z rozrywek. Te jednak nadzieje, niestety, zupełnie w niej do tej pory wygasły.

Kiedy tak stała zamyślona i we wzrastającej poświacie miesiąca przyglądała się skrętom i falowaniu tanecznego węża, posłyszała, że ktoś szeptem wymówił jej imię. Obróciła się zdumiona i ujrzała tuż przy sobie mężczyznę, którego obecność przywołała na jej twarz gorący rumieniec.

Był to Wildeve. Spoglądał Eustachii w oczy po raz pierwszy od chwili, kiedy to, błąkająca się po kościele w dzień jego małżeństwa, wystąpiła naprzód i uniosła

ku jego zdumieniu woalkę, by podpisać akt ślubu jako świadek. Nie pojmowała teraz, dlaczego niespodziewany widok Wildeve'a tak wzburzył w niej krew.

Nim zdołała się odezwać, szepnęła:

— Czy nadal lubisz tańczyć jak dawniej?

— Chyba tak — odparła cicho.

— Zatańczysz ze mną?

— Sprawiłoby mi to wielką przyjemność, ale czy nie wyda się to dziwne?

— A co dziwnego w tym, że tańczą z sobą powinowaci?

— Ach, tak... powinowaci. Może i nic dziwnego.

— Jeśli jednak nie chcesz, żeby cię widziano, opuść woalkę, chociaż i tak niewielkie jest ryzyko, żeby cię poznano w tym świetle. Tyle tu przyszło obcych. 183Zrobiła, jak radził, i tym samym milcząco potwierdziła, że zgadza się na jego propozycję.

Podał jej ramię i poprowadził na zewnątrz tanecznego kręgu, na sam koniec i tu zaczęli tańczyć. Po dwóch minutach przyłączyli się do wspólnej figury i zaczęli posuwać się naprzód. Do połowy drogi Eustachia żałowała, że uległa jego prośbie, ale potem poczuła, że skoro przyszła tu dla przyjemności, czyni tylko to, co trzeba, żeby ją zdobyć. Kiedy tańczyła ze swym partnerem w pierwszej parze, zaabsorbowana możliwością niezliczonych odmian posuwistych kroków i obrotów, która się przed nimi otwierała, puls jej bił zbyt żywo, by mogła się nadal nad tym zastanawiać. Posuwali się krętym szlakiem wśród dwudziestu pięciu par, a w Eustachię wstępowała nowa siła.

Błade światło wieczoru rzucało czar na to przeżycie. Istnieje pewien stopień natężenia światła, pewna jego tonacja, która wpływa na zakłócenie równowagi zmysłów i niebezpiecznie wzmagą czulsze nastroje, a połączona z ruchem potęguje aż nadmiernie emocje, podczas gdy rozsądek pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym, usypia i śpienie — i takie właśnie światło padało z księżycowej tarczy. Odczuwały to wszystkie tancerki, ale Eustachia najsilniej. Trawa pod stopami była już stratowana, a twardo ubita ziemia lśniła jak politurowany stół, kiedy spoglądało się na nią z ukosa, w stronę księżyca. Powietrze zastygło w bezruchu, chorągiewka nad wozem orkiestry obwisła z palika, sylwetki muzykantów rysowały się ciemnymi konturami na tle nieba i tylko czasem od ich postaci odbijały, niby ogromne oczy, okrągłe połyskujące jamy puzonu, ofikleidy i waltorni. Delikatne za dnia barwy dziewczęcych sukien białły teraz jak mgła. Eustachia płynęła w koło, w koło, wsparta na ramieniu Wildeve'a; twarz miała posagową, zastygłą, dusza jej bowiem uleciała, nie odzwierciedliła się już w fizjonomii, która nie wyrażała w tej chwili nic poza spokojem i ciszą — jak to zwykle bywa, kiedy uczucia przekroczą wyznaczone sobie granice.

Jest tak blisko Wildeve'a! Aż strach pomyśleć. Czuje jego oddech, a więc i on jej również. Jakże źle go potraktowała! A teraz tańczą w jeden rytm. Zdumiewał ją urok tego tańca. Wyraźna linia podziału, niczym dający się dotknąć płot, odgradzała jej doznania w tym tanecznym kręgu od pozostałych doświadczeń. Gdy zaczęła tańczyć, zmienił się zupełnie klimat: stojąc na zewnątrz tonęła w arktycznym chłodziu w porównaniu z tropikalną temperaturą obecnych wzruszeń. Weszła do tego tanecznego kręgu po mrocznych godzinach życia, jak ktoś mógłby wejść do jaśniejszej sali po nocnej wędrówce w lesie. Sam Wildeve podnieciłby ją tylko, ale Wildeve i ten taniec, księżyc i tajemnica — to była rozkosz. Czy jego osobowość zbudziła te słodkie, skomplikowane uczucia, czy też więcej może ważył tu taniec i sceneria — ta delikatna kwestia pozostała dla Eustachii niejasna. Ludzie zaczęli się dopytywać: "Kimże oni są?" — ale nie wdawali się w zawistne dociekania. Gdyby Eustachia obracała się wśród tych dziewcząt podczas ich codziennych zajęć, sprawa przedstawiałaby się inaczej, ale tutaj nie groziła jej

niczyja nadmierna ciekawość, ponieważ przy tej okazji wszystkie tancerki wyglądały piękniej niż kiedykolwiek. Jak Merkury w blasku zachodu, tak jej uroda jaśniała niemal nie zauważona na tle chwilowej wspaniałości otoczenia.

184

Jeżeli chodzi o Wildeve'a, to jego uczucia łatwo odgadnąć. Przeszkody były jak promienie słońca, w których dojrzywała jego miłość, a w tej chwili przeżywał szal rozkoszy i niedoli zarazem. Móc przez pięć minut trzymać w objęciach jak swoją kobietę, która przez całą resztę roku należała do innego — to właśnie potrafił sobie cenić bardziej niż inni. Już od dawna zaczął ponownie wzdychać do Eustachii. Można doprawdy stwierdzić, że podpisanie aktu ślubu z Tomasina stało się dla jego serca naturalnym sygnałem, że czas się zwrócić znowu ku pierwszemu przedmiotowi miłości, a dodatkowe komplikacje w małżeństwie Eustachii stanowiły ten jeden potrzebny jeszcze warunek, by ów nawrót stał się nieodzowny. Tak więc to, co dla reszty towarzyszy stanowiło wesołą rozrywkę, dla tych dwojga, choć z niejednakowych przyczyn, było próbą opanowania trąby powietrznej. Taniec przyszedł jak nie dający się odeprzeć atak na to poczucie porządku społecznego, jakie jeszcze tkwiło w ich umysłach, przyszedł, aby ich sprowadzić znowu na dawne ścieżki, teraz podwójnie niewłaściwe. Przez trzy kolejne tańce wirowali wśród innych par, a potem Eustachia, zmęczona ciągłym ruchem, obróciła się, aby wyjść z koła, w którym przebywała już zbyt długo. Wildeve zaprowadził ją na pobliskie porośniętą wzniesienie, gdzie młoda kobieta usiadła, jej partner zaś stanął obok. Od chwili gdy odezwał się do niej na początku tańców, nie zamienili ani słowa.

— Zmęczyłaś się tańcem i drogą? — zapytał czule.

— Nie, nie bardzo.

— Czy to nie dziwne, że ze wszystkich miejsc na świecie spotkaliśmy się właśnie tutaj po tak długim rozstaniu.

— Myślę, że rozstaliśmy się na tak długo, bo dążyliśmy do rozstania.

— Tak. Ale tyś pierwsza zaczęła... złamałaś obietnicę.

— Nie warto teraz o tym mówić. Od tej pory zwiąaliśmy się innymi więzami, zarówno ty, jak i ja.

— Z przykrością się dowiedziałem, że twój mąż choruje.

— Nie choruje... jest kaleką.

— Tak. To właśnie miałem na myśli. Szczerze ci współczuję w tej niedoli. Los obszedł się z tobą okrutnie. Milczała przez chwilę.

— Czy słyszałeś, że postanowił pracować przy ścinaniu chrustu? — zapytała głosem cichym, żalonym.

— Doszły mnie słuchy — odparł z wahaniem. — Ale wprost nie mogłem uwierzyć.

— To prawda. A co myślisz o mnie jako o żonie robotnika ścinającego chrust?

— Myślę o tobie to co zawsze, Eustachio. Ciebie nic nie może poniżyć.

Uszlachetniasz zajęcie swego męża.

— Szkoda, że nie mogę tego czuć.

— Czy jest szansa, że pan Yeobright wyzdrowieje?

— On tak sądzi, ale ja w to wątpię.

— Byłem zdumiony, kiedy się dowiedziałem, że wynajął chatę. Przypuszczałem, tak jak i inni ludzie, że zaraz po ślubie zabierze cię do Paryża. "Jakąż 185wesołą i świetną przyszłość ma ona przed sobą", myślałem. Pojedzie tam z tobą, kiedy wzrok mu się poprawi, prawda?

Nic nie odpowiadała, więc przyjrzał się jej uważnie. Wstrzymywała się od płaczu.

Jego słowa wskrzesiły w niej obrazy przyszłości, która już nie będzie jej udziałem, rozjątrzyły rozczarowanie, wywołały obraz czekających ją szyderstw sąsiadów — i tego już było za wiele, by dumna Eustachia mogła zachować równowagę

ducha.

Wildeve z trudem opanował własne gorące uczucia, kiedy zobaczył, że jego towarzyszka toczy z sobą walkę. Udał, że tego nie spostrzega, a ona po chwili odzyskała spokój.

— Nie zamierzałaś wracać do domu sama? — zapytał.

— Owszem — odparła. — Cóż może mi się stać na wrzosowisku, skoro nic nie mam.

— Jeżeli pójdę z tobą w tym samym kierunku, niewiele nadłożę drogi. Z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa aż do Throope Corner. — Widząc, że Eustachia się waha, dodał: — A może uważasz, że po tym, co zaszło w lecie, lepiej, żeby cię nie widziano ze mną na drodze?

— Ależ ja nic takiego nie myślę — odparła wyniośle. — Będę się pokazywać w takim towarzystwie, jakie mi się spodoba, bez względu na to, co mogą powiedzieć ci nędzni mieszkańcy Egdonu.

— A więc chodźmy... jeśli już odpoczęłaś. Najkrótsza droga prowadzi koło tego ostrokrzewu z czarnym cieniem, tam w dole.

Eustachia wstała i szła obok niego we wskazanym kierunku, ocierając się suknią o wilgotne wrzosi i paprocie. Za nimi biegły odgłosy wciąż trwającej zabawy. Srebrny księżyc w pełni świecił jasno, ale wrzosowisko nie odbijało jego blasku. Uderzający był kontrast między ciemnym, niczym nie rozjaśnionym obszarem ziemi i znajdującą się nad nim atmosferą, przesyconą, od zenitu po najdalsze krańce, bielutkim światłem. Gdyby ktoś patrzył z góry na Wildeve'a i Eustachię, ich twarze wydawałyby się wśród tej ciemnej przestrzeni jak dwie perły na hebanowym stole.

Z tego też powodu nie było widać wybojów na ścieżce i Wildeve potykał się od czasu do czasu, Eustachia zaś musiała wykonywać wdzięczne skłony i skręty, chcąc zachować równowagę, gdy stopa jej wchodziła w sterczącym z trawy wąskiej ścieżyny krzaczkowi wrzosi czy korzeniu janowca. W tych niebezpiecznych momentach wyciągała się zawsze ku niej pomocna ręka i trzymała mocno, póki nie znaleźli się na gładkiej ziemi, a wtedy się cofała, zachowując znów pełen szacunku dystans.

Odbywali tę wędrowkę po większej części w milczeniu i zbliżyli się do Throope Corner. Niedaleko stamtąd odgałęziała się ścieżka, prowadząca do domu Eustachii. Coraz wyraźniej widzieli przed sobą nadchodzącą dwójkę ludzi, zapewne mężczyzn. Podeszli jeszcze trochę bliżej i Eustachia przerwała ciszę słowami:

— Jeden z tych mężczyzn to mój mąż. Obiecał wyjść mi na spotkanie.

— A ten drugi to mój największy wróg — powiedział Wildeve.

— Wygląda na Diggory'ego Yenna.

— To właśnie on.

186

f

— Niezręczne spotkanie — zauważyła — ale takie mam już szczęście. On wie o mnie za dużo, i tylko gdyby się dowiedział więcej, mógłby zrozumieć, że wcale się nie liczy to, co wie teraz. No cóż, niech tak będzie: musisz mnie do nich odprowadzić.

— Namysł się dobrze, nim mi polecisz to zrobić. Jest to człowiek, który nie zapomniał ani jednego słowa z naszych rozmów przy Rainbarrow, a nadchodzi w towarzystwie twego męża. Który z nich uwierzy widząc nas tutaj razem, że przypadkiem spotkaliśmy się i tańczyliśmy na wiejskiej zabawie?

— Dobrze więc — szepnęła ponuro. — Odejdź, nim się zbliżą. Pożegnał ją czule i zniknął w paprociach i janowcu. Eustachia zaś szła dalej i po paru minutach spotkała męża i jego towarzysza.

— Moja wędrowka kończy się dziś tutaj, przyjacielu — powiedział Cłym, jak tylko ją dostrzegł. — Wracam z tą panią. Dobranoc.

— Dobranoc, panie Yeobright — odrzekł Venn. — Mam nadzieję, że wkrótce zobaczę pana w lepszym zdrowiu.

Kiedy to mówił, blask księżycy padał wprost na jego twarz i wyraźnie ukazał ją Eustachii. Venn spoglądał na nią podejrzliwie. Prawdopodobnie bystre jego oczy dostrzegły to, czego nie dojrzał słaby wzrok Clyma, a mianowicie żegnającego się z nią mężczyznę.

Gdyby Eustachia mogła iść za Yennem, wkrótce jej przypuszczenia by się potwierdziły. Z chwilą gdy Clym podał jej ramię i oddalił się, farbiarz, którego wóz znowu stał w okolicy, zboczył z bitego traktu do East Egdon, gdyż znalazł się na nim tylko dla towarzyszenia dymowi. A teraz, wyciągając długie nogi, przecinał wrzosowisko mniej więcej w tym samym kierunku co Wildeve. Tylko ktoś nawykły do nocnych wędrówek mógłby o tak późnej godzinie schodzić krzaczastym zboczem równie szybko jak on i nie spaść głową w dół ani też nie zwichnąć sobie nogi, pakując but do króliczej nory. Venn jednakże podązał naprzód bez kłopotów, a celem tej pośpiesznej wyprawy była oberża "Cicha Kobieta". Dotarł tam po półgodzinie i wiedział dobrze, że nikt, kto znajdował się koło Throope Corner, kiedy on wyruszył w drogę, nie mógł tu przed nim dojść.

Nie zamknięto jeszcze drzwi samotnie stojącej oberży, choć wewnątrz nie było nikogo, jako że główni klienci, podróżni, którzy zatrzymywali się tutaj w przejeździe, wyruszyli już w dalszą drogę. Venn wszedł do ogólnej sali, poprosił o kufel piwa i obojętnym tonem zapytał dziewczynę, czy pan Wildeve jest w domu. Tomasina siedziała w pokoiku w głębi i usłyszała jego głos. Przy klientach pokazywała się rzadko, a to z powodu wrodzonej niechęci do interesów, ale dojrawszy, że nie ma nikogo, wyszła do Yenna.

— Witaj, Diggory, on jeszcze nie wrócił — powiedziała uprzejmie. — Oczekiwałam go już wcześniej. Poszedł do East Egdon kupić klacz.

— Czy miał na głowie biały filcowy kapelusz z szerokim rondem i niską główką?

— Tak.

— W takim razie widziałem go w pobliżu Throope Corner, jak odprowa-
187

dzał ją do domu — stwierdził sucho Venn. — Białą piękność o grzywie czarnej jak noc. Na pewno wkrótce tu będzie.

Wstał, a popatrzwszy na czystą, słodką twarz Tomasiny, na której od czasu ich ostatniego spotkania osiadł cień smutku, zaryzykował uwagę:

— Zdaje się, że pana Wildeve'a często nie ma w domu o tej porze.

— No właśnie — zawołała Tomasina tonem, który miał wyrażać wesołość. — Mężowie, jak wiesz, lubią się gdzieś włóczyć. Chciałabym, żebyś mi wyjawiał jakiś tajemniczy sposób, który by mi pomógł zatrzymać go wieczorami w domu.

— Zastanowię się, czy znam taki sposób — odpowiedział Venn niby tym samym wesołym tonem, który wcale nie był wesoły. A potem złożył jej ukłon własnego pomysłu i zabierał się do odejścia. Podała mu rękę i Venn odszedł bez jednego westchnienia, choć miałby ochotę westchnąć wiele razy.

Kiedy kwadrans później zjawiał się Wildeve, Tomasina zapytała go po prostu, z pewną charakterystyczną dla siebie nieśmiałością:

— A gdzie klacz, Damonie?

— W końcu jej nie kupiłem. Żądali za wiele.

— Ktoś cię jednak widział w pobliżu Throope Corner, jak odprowadzałeś do domu... białą piękność z grzywą czarną jak noc.

— Tak?! — wykrzyknął Wildeve, utkwivszy w niej oczy. — Któż ci to powiedział?

— Venn, sprzedawca farby.

Na twarzy jej męża pojawił się wyraz dziwnego skupienia.

— To jakaś pomyłka. Widziano kogoś innego — powiedział z wolna, z urazą,

ponieważ zrozumiał, że Venn rozpoczął znów swą akcję.

IV BRUTALNY PRZYMUS

Słowa Tomasiny, pozornie błahe, w istocie tak ważne, wciąż brzmiały Yennowi w uszach: "Pomóż mi zatrzymać go wieczorami w domu". Tym razem Diggory znalazł się na Egdonie tylko przejazdem: nie łączyło go już nic z rodziną Yeobrightów, musiał załatwić własne interesy. Nagle jednak poczuł, że powraca do dawnych swych zwyczajów: planuje strategiczne posunięcia, mające na celu dobro Tomasiny. Usiadł w wozie i pograżył się w myślach. Z jej słów i zachowania wynikało jasno, że Wildeve ją zaniedbuje. A kto jest przyczyną tego, jeżeli nie Eus-tachia?

Wydawało mu się jednak wprost nie do wiary, że to Eustachia systematycznie zachęca Wildeve'a. Postanowił starannie zbadać odludną dróżkę, biegnącą doliną od oberży Wildeve'a do chaty Clyma w Alderworth.

W tym czasie, jak widzieliśmy, Wildeve nie miał na sumieniu żadnych miłosnych schadzek i — poza owym spotkaniem na wiejskiej zabawie — nie widział się z Eustachia ani razu od dnia ślubu. Że jednak nurtowała go myśl o sekretnych spotkaniach, dowodził jego romantyczny obyczaj: wychodził

188

o zmroku, wędrował do Alderworth, tam patrzył na księżyc i gwiazdy, na dom Eustachii i wracał do siebie wolnym krokiem.

Toteż kiedy następnego wieczora po zabawie sprzedawca farby stał na czatach, zobaczył, jak Wildeve nadchodzi ścieżką, przechyla się przez furtkę ogrodu Clyma, wzdycha i odchodzi wolnym krokiem. Jasne było, że jego amory mają charakter platoniczny. Venn, wyprzedzając go, zbiegł w dół wzgórzem aż do miejsca, gdzie ścieżka się zwężała, przechodząc w głębokie wyżłobienie dzielące wrzosowisko, stał tu tajemniczo pochylony przez parę minut, a potem się oddalił. Kiedy Wildeve znalazł się na tym miejscu, coś pochwyciło go za kostkę u nogi i runął jak długi.

Jak tylko odzyskał oddech, usiadł i nasłuchiwał. Z ponurej ciemności dobiegały tylko ciche poszumy letniego wiatru. Macał po ścieżce, szukając przeszkody, przez którą się przewrócił. Odkrył dwie gałązki wrzosu związane nad nią w ten sposób, że tworzyły pętlę, co dla przechodzącego tędy oznaczało niechybny upadek. Wyciągnął łączący je sznurek i odszedł dość prędkim krokiem. W domu zobaczył, że sznurek jest lekko czerwonawy. Tego właśnie oczekiwał.

Chociaż słabości Wildeve'a nie należały do gatunku tych, które spokrewnione są z fizycznym lękiem, ten przykład coup-de-Jarnac* ze strony kogoś, kogo znał aż zbyt dobrze, wzbudził w nim zaniepokojenie. Ale nie zmienił celu swoich wędrówek. W parę dni później wybrał się wieczorem do Alderworth, przezornie unikając wszelkich ścieżek. Świadomość, że go śledzą, że jego upodobaniu do romantycznych wędrówek przeciwstawia się czyjaś przebiegłość, zaprawiała pikanterią tę całkowicie sentymentalną wyprawę, dopóki nie zagrażało mu poważniejsze niebezpieczeństwo. Wyobrażał sobie, że Venn pozostaje w przymierzu z panią Yeobright, i czuł, że ma prawo zwalczać taką koalicję.

Tego wieczora wrzosowisko wydawało się zupełnie puste i Wildeve stał chwilę z cygarem w ustach przy furtce do ogrodu Eustachii, a potem urok tajemnych uczuć, tak silnie przemawiający do jego natury, kazał mu podejść ku oknu, które nie było zupełnie zamknięte, a story nie spuszczone do końca. Zajrzał do środka i zobaczył siedzącą samotnie Eustachie. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem powrócił na wrzosowisko i zaczął lekko uderzać ręką w paprocie, wypłaszając ćmy. Pochwycił jedną w locie, wrócił do okna i zbliżywszy ją do szpary, rozpostarł dłoń. Ćma pofrunęła do świecy na stole Eustachii, okrążyła ją parokrotnie i wpadła w płomień.

Eustachia drgnęła. Był to dobrze jej znany sygnał z dawnych czasów, kiedy

Wildeve starając się o jej względy, zwykł przychodzić w tajemnicy do Mis-tover. Odgadła od razu, że stoi pod oknem, ale nim zdążyła się zastanowić, co począć, Clym zszedł z góry. Ten niespodziany zbieg wydarzeń ubarwił twarz Eustachii szkarłatnym rumieńcem i wywołał na niej ożywienie, którego tak często jej brakowało.

* Zdradziecki, niespodziewany napad (fr.). Guy Chabot de Jarnac, pojedynkując się w 1547 roku z La Chateigneraie w obecności Henryka II, króla Francji, najpierw okaleczył swego przeciwnika, a potem bezbronno go zabił.

189— Takie żywe masz kolory, najdroższa — powiedział Clym, kiedy podszedł dostatecznie blisko, by je widzieć. — Wygląd twój nic by na tym nie stracił, gdyby tak zawsze było.

— Gorąco mi — odparła Eustachia. — Chyba wyjdę trochę na powietrze.

— Może wyjść z tobą?

— Ach, nie. Pójdę tylko do furtki.

Wstała, ale nim zdążyła wyjść z pokoju, rozległo się głośnie pukanie do frontowych drzwi.

— Ja pójdę... ja pójdę — powiedziała Eustachia niezwykle jak na nią prędko.

Spojrzała niespokojnie ku oknu, skąd przyfrunęła ćma, ale nic tam nie zobaczyła.

— Nie o tak późnej porze — powiedział Clym i wyprzedziwszy żonę poszedł na korytarz. Eustachia czekała, jej zwykle senne zachowanie kryło wewnętrzne podniecenie i niepokój.

Nasłuchiwała, gdy Clym otwierał drzwi. Nie padły stamtąd żadne słowa i wkrótce zamknął drzwi i wrócił mówiąc:

— Nikogo nie ma. Zastanawiam się, co to może znaczyć?

Myślał nad tym przez resztę wieczoru, ale nie nasunęło mu się żadne wyjaśnienie. Eustachia zaś nie mówiła nic, a ów sekretny znak, dany przez Wildeve'a, sprawił, że sytuacja wydała się jej jeszcze bardziej zagadkowa.

Tymczasem na dworze rozegrał się niewielki dramat, który ochronił Eustachię przed ewentualną kompromitacją — przynajmniej tego wieczoru. Kiedy Wildeve wpuszczał przez szparę ćmę, ktoś podszedł do furtki. Mężczyzna ów, trzymający w ręku strzelbę, przyglądał się przez chwilę manipulacjom przy oknie, podszedł do domu, zastukał do drzwi, a potem zniknął za węgłem i przeskoczył przez żywopłot.

— Do diabła! — zaklął Wildeve. — Znowu mnie śledzi.

Ponieważ to hałaśliwe pukanie udaremniło jego sygnał, Wildeve się cofnął, wydostał za furtkę i schodził szybko w dół ścieżką, nie myśląc o niczym prócz tego, by niepostrzeżenie uciec. Na połowie zбочa ścieżka biegła w pobliżu kępy skarłowaciałych ostrokrzewów, które na tym ciemnym tle czerniały jak źrenice w czarnym oku. Kiedy Wildeve zbliżył się do nich, posłyszał strzały i kilka kuł spadło na liście w pobliżu.

Nie ulegało wątpliwości, że to dla niego były przeznaczone te strzały. Popędził do kępy ostrokrzewów, tłukąc wściekle krzaki kijem, ale nikogo tam nie znalazł.

Ta napaść była sprawą znacznie poważniejszą niż poprzednia i minęło trochę czasu, nim Wildeve odzyskał spokój. Rozpoczął się nowy, bardzo nieprzyjemny rodzaj zastraszania, mający najwidoczniej na celu wyrządzenie mu poważnej krzywdy. Wildeve traktował pierwsze wystąpienie Yenna jako przykład głupich żartów, którymi tamten się zabawiał z braku czegoś lepszego, ale teraz przekroczona została granica dzieląca to, co uprzykrzone, od tego, co niebezpieczne.

Gdyby Wildeve wiedział, jak poważnie odnosił się do całej sprawy Venn, ogarnąłby go jeszcze większy niepokój. Sprzedawcę farby wytrącił z równowagi widok Wildeve'a pod domem Clyma i gotów był posunąć się do ostateczności — z wyjątkiem zastrzelenia młodego właściciela oberży — aby go od-

straszyć i poskromić jego wybryki. Wątpliwa słusność prawna takiego brutalnego przymusu nie mąciła spokoju sumienia Yenna; w podobnych przypadkach rzadko mąci spokój czyjś sumienia i czasami nie trzeba tego żałować. Od oskarżenia Strafforda* do wieszania łobuzów z Wirginii przez plantatora Lyncha** wiele triumfów sprawiedliwości było szyderstwem z prawa.

Około pół mili od samotnie stojącej chaty Clyma leżała wioska, w której mieszkało dwóch policjantów, strzegących spokoju w Alderworth, i Wildeve udał się wprost do jednego z nich. Pierwszą niemal rzeczą, jaką zobaczył otworzywszy drzwi, była wisząca na gwoździu policyjna pałka. Miało mu to chyba dodać pewności, że są tu środki gwarantujące osiągnięcie celu. Zapytawszy o policjanta, dowiedział się jednakże od jego żony, że nie zastał go w domu. Oświadczył wobec tego, że zaczeka.

Minuty upływały, a policjant się nie zjawiał. Tymczasem oburzenie Wildeve'a przygasło, opanowało go natomiast jakieś natrętne niezadowolenie z samego siebie, z otoczenia, z żony policjanta i w ogóle wszystkiego. Wstał i wyszedł. W sumie przeżycia tego wieczoru ostudziły — żeby nie powiedzieć zmroziły — jego źle skierowane zapały, i nie miał już ochoty wędrować w ciemnościach do Alderworth i wypatrywać Eustachii.

Tak więc sprzedawcy czerwonej farby udało się w pewnym stopniu, za pomocą brutalnych pomysłów, zwalczyć skłonności Wildeve'a do wieczornych wypraw. Udaremnił w zarodku spotkanie Eustachii z jej dawnym kochankiem. Nie przewidział jednak, że jego wystąpienie nie ukróci dążeń Wildeve'a, tylko skieruje je na inne tory. Clym nie mógł go uważać za miłego gościa, zwłaszcza po grze o gwinee, jednak złożenie wizyty krewnemu żony jest rzeczą naturalną, a on za wszelką cenę musi zobaczyć Eustachię. Należało wybrać godzinę nie tak niestosowną jak dziesiąta wieczór. "Skoro niebezpieczeństwo zagraża wieczorem, pójdę za dnia" — postanowił.

Tymczasem Venn opuścił wrzosowisko i udał się do pani Yeobright, z którą pozostawał w przyjaznych stosunkach, odkąd się dowiedziała, jak opatrnościową rolę odegrał w restytuowaniu rodzinnych gwinei. Zdziwiła ją późna pora odwiedzin, ale przyjęła wieczornego gościa.

Opisał jej szczegółowo nieszczęście Clyma i warunki, w jakich żyje, a mówiąc o Tomasinie, delikatnie wspomniął o malującym się na jej twarzy smutku.

— Proszę mi wierzyć — zapewniał — że nie mogłaby pani uczynić nic lepszego dla obojga, niż pójść tam i czuć się jak u siebie, nawet gdyby na początku były jakieś kwasy.

— Oboje... ona i mój syn... zawarli małżeństwa wbrew mej woli, dlatego też nie interesują mnie ich domy. Sami są sprawcami swoich kłopotów. — Pani Yeobright starała się mówić surowo, ale opowiadanie o chorobie syna wzruszyło ją bardziej, niż chciała to okazać.

— Pani odwiedziny mogłyby naprostować ścieżki Wildeve'a i zapobiec nieszczęściu na krańcu wrzosowiska.

* Strafford (1593—1641), tytuł lorda Thomasa Wentwortha, polityka angielskiego, pierwszego ministra Karola I, który został oskarżony o zdradę i stracony.

** Charles Lynch (1753—1796), plantator i sędzia pokoju w Wirginii.

191— Co to znaczy?

— Widziałem tam dzisiaj coś, co mi się wcale nie podobało. Wołałbym, żeby dom pana Wildeve'a leżał o sto, a nie o cztery czy pięć mil od domu pani syna.

— A więc był w zмовie z żoną mego syna, kiedy wystawił do wiatru Tomasinę!

— Miejmy nadzieję, że teraz nie ma żadnej zмовy.

— I te nadzieje pewno okażą się płonne! O dymie! O Tomasino!

— Na razie jeszcze nic złego się nie stało. Przekonałem pana Wildeve'a, że ma pilnować własnych interesów.

— Jak?

— O, nie słowami! Z pomocą planu, który nazywam systemem podjazdowym.

— Mam nadzieję, że się panu powiedzie.

— Tak, o ile pani mi pomoże. Proszę odwiedzić syna i pogodzić się z nim. Wtedy będzie pani mogła spojrzeć na to własnymi oczami.

— No więc, skoro już do tego doszło — powiedziała ze smutkiem pani Yeobright — przyznam się panu, że myślałam o pójściu do nich. Byłabym o wiele szczęśliwsza, gdybyśmy się pogodzili. Nie zmieni się faktu samego małżeństwa, ale moje życie może się wkrótce skończyć, a chciałabym umierać w pokoju. To mój jedyny syn, skoro jednak synowie z takiej są ulepieni gliny, nie żałuję, że nie mam drugiego. Co do Tomasiny, nigdy po niej wiele nie oczekiwałam, więc nie sprawiła mi zawodu. Jej już dawno przebaczyłam, a jemu teraz przebaczam. Pójdę. Równocześnie z tą rozmową w Blooms-End, inna rozmowa na ten sam temat toczyła się w Alderworth.

Clym przez cały dzień zachowywał się tak, jak gdyby był zbyt przejęty własnymi myślami, żeby zwracać uwagę na otaczający go świat, a teraz jego słowa wyjawily, co leży mu na sercu. Wkrótce po tajemniczym pukaniu poruszył ten temat.

— Od chwili gdy wyszedłem dziś z domu, Eustachio, rozmyślam nad tym, że trzeba coś zrobić, aby przestał istnieć ten straszny rozłam między mną a moją kochaną matką. Okropnie się tym dręcę.

— A co proponujesz? — zapytała Eustachia w zamyśleniu, nie mogąc się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiły na niej ostatnie starania Wildeve'a, żeby się z nią zobaczyć.

— Wydaje mi się, że niewiele cię interesuje moja propozycja, ważna czy mniej ważna — powiedział Clym dość gorąco.

— Mylisz się — odparła, ożywiając się na tę wymówkę. — Tylko jestem zamyślona.

— O czym tak myślisz?

— Trochę o tej ćmie, która pali się na knocie świecy — mówiła z wolna. — Ale chyba wiesz, że zawsze interesuję się tym, co mówisz.

— No dobrze, kochana. A więc myślę, że muszę ją odwiedzić... — Serdecznym tonem ciągnął dalej: — Nie duma przeszkadza mi to zrobić, powstrzymywała mnie dotąd tylko obawa, że mógłbym ją zirytować. Ale trzeba z tym skończyć. To źle, że godzę się na taki stan.

192

— Dlaczego robisz sobie wyrzuty?

— Ona się starzeje, żyje samotnie, a ja jestem jej jedynym synem.

— Ma Tomasinę.

— Tomasina nie jest jej córką, a nawet gdyby była, toby mnie nie usprawiedliwiła. Ale nie o to chodzi. Zdecydowałem się pójść do niej i chcę tylko zapytać ciebie, czy zrobisz, co w twojej mocy, żeby mi dopomóc... to znaczy, zapomnieć o przeszłości, a jeśli ona wyciągnie rękę do zgody, wyjść jej w pół drogi i zaprosić do nas albo przyjąć jej zaproszenie?

W pierwszej chwili Eustachia zacisnęła wargi, jakby za nic na świecie nie chciała zrobić tego, co zaproponował. Po chwili zastanowienia linia jej ust złagodniała, chociaż nie aż tak, jak mogłaby złagodnieć.

— Nie będę ci w tym przeszkadzać — powiedziała — ale po tym, co zaszło, nie możesz ode mnie żądać, żebym pierwsza wyciągnęła rękę.

— Nigdy mi wyraźnie nie powiedziałaś, co między wami zaszło.

— Tego nie mogłam powiedzieć wtedy i nie mogę teraz. Czasem w ciągu jednej chwili zbierze się w sercu tyle gorzkości, że nie wypleni się jej przez całe

życie. I chyba tak jest w tym wypadku. — Umilkła, a po chwili dodała: — Gdybyś nie powrócił do rodzinnych stron, Clymie, co by to było za szczęście dla ciebie!... Zmieniłoby to losy...

— Trojga ludzi.

“Pięciorga” — pomyślała Eustachia, ale nie powiedziała tego głośno.

WĘDRÓWKA PRZEZ WRZOSOWISKO

Czwartek, trzydziesty pierwszy sierpnia, był jednym z tych dni, kiedy w zacisznych domach panuje duchota, przeciągi sprawiają rozkosz, w gliniastej glebie tworzą się rozpadliny nazywane przez lękliwe dzieci “trzęsieniem ziemi”, w kołach wozów i pojazdów rozluźniają się szprychy, a dokuczliwe owady znajdują się w powietrzu, na ziemi i w każdej kropli wody.

W ogrodzie pani Yeobright wielkie liście delikatnych roślin obwisły już o dziesiątej rano, rabarbar pochylił się o jedenastej, a w południe zwiotczała nawet sztywna kapusta.

Było około jedenastej, kiedy pani Yeobright wyruszyła przez wrzosowisko ku Alderworth, żeby uczynić, co w jej mocy, dla pogodzenia się z dymem i z Eustachia, tak jak obiecała sprzedawcy farby. Miała nadzieję, że zajdzie daleko, nim nastanie największy upał, ale wkrótce się przekonała, że nadzieje jej są złudne. Słońce wypaliło już swe piętno na całej okolicy, nawet liliowe wrzosa zbrązowiły w skwarze paru ostatnich dni i w kotlinkach stało powietrze rozprażone jak w piecu, a czysty piasek kwarcowy w łożyskach zimowych potoków, służących latem za ścieżki, przeszedł pod wpływem posuchy przez swoisty proces spopielania.

W chłodnej, rześkiej pogodzie wędrówka do Alderworth nie byłaby dla pani Yeobright męcząca, ale w palącym słońcu stała się trudnym przedsię-
13 — Powrót...

Wzięciem dla kobiety posuniętej w latach. Nim przeszła trzy mile, pożałowała, że nie zapłaciła Fairwayowi, aby ją podwiózł choć część drogi. Z tego jednak miejsca była równie daleko od swego domu, jak od chaty dyma. Szła więc dalej. Powietrze wokół niej cicho drgało, nasycając ziemię znużeniem. Spojrzała na niebo i zobaczyła, że szafirowy odcień, charakterystyczny dla niego wiosną i wczesnym latem, ustąpił miejsca liliowej metalicznej barwie.

Idąc tak doszła do miejsca, gdzie niezależne od siebie, niezliczone chmary jętek spędzały czas na szaleńczej zabawie, jedne w powietrzu, inne na gorącej ziemi lub roślinach, jeszcze inne w letniej, mulistej wodzie na wpół wyschłego stawu. Wszystkie płytsze stawy zamieniły się w parujące błoto, w którym można było dostrzec niezliczone ciemne, robakowate stwory rozkoszujące się nurzaniem w nim, opadaniem i wypływaniem z gęstej mazi. Pani Yeobright, jako kobieta skłonna do filozofowania, siadała od czasu do czasu pod parasolką, aby odpocząć i przyjrzeć się ich szczęśliwości, gdyż nadzieja na powodzenie wizyty zrodziła w niej spokój ducha, dopuszczający obok poważnych myśli także refleksje nad mikrokosmosem, który dostrzegała.

Nigdy dotąd nie była jeszcze u syna i nie знаła dokładnie położenia jego chaty. Popróbowwała najpierw iść jedną biegnącą w górę ścieżką, potem inną, ale zorientowała się, że żadna nie doprowadzi jej do celu. Zawróciła i znalazłszy się znów na otwartej przestrzeni ujrzała w pewnej odległości człowieka przy pracy. Podeszła do niego i zapytała o drogę.

Wskazał jej kierunek, a potem zapytał:

— Czy widzi pani tego mężczyznę z sierpem do ścinania janowca? Pani Yeobright natężyła wzrok. W końcu powiedziała, że go widzi.

— Jeśli pani pójdzie za nim, nie zbłądzi. On idzie w to samo miejsce.

Szła więc za wskazanym człowiekiem. Wydawał się koloru brunatnego i nie bardziej

rzucał się w oczy na tle doliny niż zielona glista na liściu, który zjada. Posuwał się — wtedy gdy rzeczywiście szedł — szybciej od pani Yeobright, ale udawało się jej utrzymać tę samą odległość, ponieważ ilekroć zbliżył się do jeżynowych zarośli, zatrzymywał się przy nich na chwilę. A kiedy ona z kolei podchodziła do tych miejsc, znajdowała po kilka długich wiotkich gałązek jeżyn, które on ścinał i pozostawiał przy drodze. Prawdopodobnie miał nimi wiązać chrust i zamierzał zabrać je wracając.

Cichy wędrowiec spełniający owe czynności zdawał się nie bardziej liczyć w świecie niż drobny owad. Pojawił się na wrzosowisku jak pasożyt, niszczący je w swym codziennym trudzie niczym mól ubranie. Wyglądało na to, że całkowicie zaabsorbowany płonami tej okolicy, nie zna nic innego prócz paproci, janowca, wrzosu, mchu i porostów.

Człowiek ten był tak zajęty przebywaniem swej drogi, że ani razu nie odwrócił głowy, jego postać w skórzanych kamaszach i łapawicach stała się dla pani Yeobright w końcu tylko ruchomym drogowskazem. Nagle zainteresowała się nim jako osobą, ponieważ dostrzegła coś osobliwego. Znała ten chód, i zdradził jej, co to za człowiek, podobnie jak chód Ahimaasa* na dalekiej równinie zdradził go przed strażnikami królewskimi.

Postać ze Starego Testamentu, II Księga Samuela.

194

— Chodzi tak jak mój mąż — powiedziała i wtedy błysnęła jej myśl, że to jej syn. Trudno było oswoić się z tą dziwną prawdą. Słyszała, że Clym ścina jano-wiec, ale sądziła, że zajmuje się tą pracą tylko dorywczo, traktując to jako pożyteczną rozrywkę, teraz jednakże ukazał się jej jako zwykły robotnik ścinający janowiec, ubrany odpowiednio do swej pracy i — jak wskazywało jego zachowanie — nie wybiegający poza nią myślami. Snując jednocześnie kilka spiesnych planów oszczędzenia jemu i Eustachii tego trybu życia, szła naprzód z bijącym sercem i zobaczyła, że syn wchodzi do swego domu.

Po jednej stronie chaty Clyma widać było pagórek, na którego szczycie kępa drzew tak wysoko wznosiła się w niebo, że z daleka jej zieleń wydawała się czarną plamą wiszącą w powietrzu. Znalazłszy się tutaj pani Yeobright poczuła dokuczliwe wzburzenie, zmęczenie i słabość. Weszła na pagórek i usiadła w cieniu drzew, chcąc odzyskać siły i pomyśleć, jak ma się zwrócić do Eustachii, aby nie drażnić kobiety kryjącej pod pozorami apatii namiętności nawet silniejsze i gorętsze niż jej własne.

Sosny w surowym i dzikim stanie były wyjątkowo okaleczone, i na chwilę pani Yeobright zapomniiała o własnym wyczerpaniu, o piorunach, jakie w nią ugodziły, i zadumała się nad losem owych drzew. W grupie dziesięciu sosen nie mogła dostrzec ani jednej gałązki, która nie byłaby rozłupana, połamana czy wygięta przez straszliwe wichury, które miały owe drzewa całkowicie w swojej mocy, kiedy tu szalały. Niektóre były rozszczepione, strzaskane piorunami, na ich korze widniały czarne plamy od płomienia, a ziemię u korzeni zaścielało zeschnięte igliwie i stopy szyszek strząśniętych przez zawieruchy ubiegłych lat. Miejsce to zwano Diabelskim Miechem i wystarczyło przyjść tutaj w marcową lub listopadową noc, aby zrozumieć powód. Nawet teraz, w upalne popołudnie, kiedy nie czuło się najłżejszego powiewu, drzewa jęczały przeciągle i trudno było uwierzyć, że to zawodzi wiatr.

Siedziała pod tymi drzewami ze dwadzieścia minut lub więcej, nim się zmusiła do zejścia na dół i zastukania do drzwi chaty, zmęczenie bowiem odebrało jej zupełnie odwagę. Każda inna osoba, oprócz matki, czułaby się nieco upokorzona, że ona, choć starsza, ma pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ale pani Yeobright już to wszystko gruntownie przemyślała i teraz zastanawiała się tylko, co

zrobić, żeby Eustachia uznała jej wizytę za krok mądry, a nie tchórzostwo. Z miejsca, gdzie siedziała, zmęczona kobieta miała widok na dach od strony podwórka, ogród i całe obejście małego domostwa. Wstając zobaczyła, że jakiś inny mężczyzna podchodzi do furtki. Zachowywał się osobliwie, jakby się wahał, i nie miał wyglądu osoby, która przyszła tu w interesie lub na zaproszenie. Obrzucił dom ciekawym spojrzeniem, obszedł go dookoła i tak badawczo oglądał ogród z drugiej strony, jakby to było miejsce urodzenia Williama Shakespeare'a albo więzienie Marii Stuart czy też Chateau de Hougomont*. Okrążywszy teren wszedł przez furtkę. Pani Yeobright stropiła się tym trochę, bo liczyła, że zastanie syna tylko w towarzystwie synowej, jednak po namyśle doszła do wniosku, że obecność kogoś znajomego

Punkt strategiczny podczas bitwy pod Waterloo.

195zmniejszy niezręczność jej pierwszej wizyty w tym domu, ponieważ rozmowa ograniczy się do spraw ogólnych, a potem ona będzie się już czuła swobodniejsza. Zeszła z boczem i zajrzała do buchającego upałem ogrodu.

Na żwirze ścieżki leżał uśpiony kot, jak gdyby wszelkie posłania czy dywany były dlań nie do zniesienia. Liście malw obwisły, przypominając na wpół zamknięte parasolki, i zdawało się, że w ich łodygach soki aż buzują z gorąca; liście zaś o gładkiej powierzchni lśniły jak metaliczne lustra. Niewysoka jabłoneczka, z gatunku wcześniej dojrzewających, rosła tuż przy furtce i tylko ona dobrze się czuła w tym ogrodzie o lekkiej glebie. Wśród spadłych z drzewka jabłek osy zataczały się pijane ich sokiem albo pełzały koło otworków, które wyjadły w owocach, nim oszołomiła je ich słodycz. Koło drzwi leżał sierp dyma i ostatnie przez niego urwane gałązki jeżyn, najwidoczniej rzucone, kiedy wchodził do domu.

VI FATALNY ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Jak już powiedzieliśmy, Wildeve postanowił odwiedzić Eustachię jawnie, w dzień i z zupełną swobodą jako jej powinowaty, ponieważ sprzedawca farby wyszedł i udaremnił jego nocne spacerki.

Czar, jaki rzuciła na niego podczas tańców przy księżycu, sprawił, że nie będąc człowiekiem o silnych, purytańskich zasadach, nie mógł pozostawać przez cały czas z dala od tej kobiety. Po prostu sądził, że spotka się z nią i jej mężem zupełnie zwyczajnie, pogawędzi chwilę i odejdzie. Wyglądać to będzie na konwencjonalną wizytę, ale faktem pozostanie, że ją zobaczy, i to go zadowoli. Wcale nawet nie pragnął, żeby Clyma nie było w domu, bo liczył się z tym, że Eustachia nie zgodzi się na odwiedziny, które mogłyby obrażać jej godność jako żony, i to bez względu na uczucia, jakimi go darzy. Kobiety często tak postępują.

Zastosował się do tego planu i oto los chciał, że przybył tam w tej samej chwili, kiedy pani Yeobright zatrzymała się w pobliżu domu syna. Rozejrzawszy się dokoła w sposób, który zwrócił jej uwagę, podszedł do drzwi i zastukał. Po chwili klucz obrócił się w zamku, drzwi otwarto i stanęła przed nim Eusj tachia. Postawa jej i zachowanie nie zdradzały niczym, że jest to ta sama kobieta, która ubiegłego tygodnia była jego partnerką w namiętym tańcu — chyba że ktoś zdołałby przeniknąć to, co powierzchowne, i zmierzyć głębię tej spokojnej rzeki. — Mam nadzieję, że doszłaś do domu bezpiecznie? — zapytał.

— Ach, tak — odparła swobodnie.

— A czy nie czułaś zmęczenia nazajutrz? Obawiałem się tego.

— Byłam zmęczona. Nie musisz mówić cicho... nikt nas nie podsłucha. Posłałam służącą na wieś po sprawunki.

— Czyżby Clyma nie było w domu?

196

— Owszem, jest.

— O! A ja myślałem, że zamknęłaś drzwi na klucz, bo jesteś sama i boisz się włóczęgów.

— Nie. Tutaj jest mój mąż.

Stali w korytarzu. Zamknawszy frontowe drzwi na klucz jak poprzednio, otworzyła drzwi przyległego pokoju i poprosiła go do środka. Wildeve wszedł i odniósł wrażenie, że pokój jest pusty, ale po paru krokach zatrzymał się gwałtownie. Na dywanie przed kominkiem spał Clym. Obok leżały robocze spodnie, grube buty, skórzane łapawice i kurta.

— Możesz wejść, nie obudzisz go — powiedziała idąc za gościem. — Zamknęłam drzwi, żeby go tak śpiącego nie naszedł ktoś przypadkiem, gdy będę w ogrodzie albo na piętrze.

— Dlaczego on tu śpi? — zapytał cicho.

— Jest bardzo zmęczony. Wyszedł rano o wpół do piątej i do tej pory pracował. Ścina janowiec, bo jest to jedyna rzecz, którą może robić bez szkody dla chorych oczu.

Bolesny musiał się wydać Eustachii istniejący w tym momencie kontrast między wyglądem męża a Wildeve'a. Gość miał na sobie elegancki nowy garnitur letni i trzymał w ręku takiż kapelusz.

— Och, nawet nie wiesz — ciągnęła dalej — jak inaczej wyglądał, kiedy go poznałam, choć było to tak niedawno. Ręce miał białe i delikatne jak moje, a teraz spójrz, są szorstkie i ogorzałe! Cerę ma z natury jasną, a ten brązowy odcień, podobny do koloru skózanego ubrania, to opalenizna.

— Dlaczego on w ogóle tam chodzi? — szepnął Wildeve.

— Ponieważ nie cierpi bezczynności, chociaż to, co zarobi, niewiele powiększa nasze zasoby. Ale twierdzi, że jeśli się żyje z kapitału, trzeba choć trochę zmniejszać bieżące wydatki, zarabiając pensa, gdzie się da.

— Losy nie były dla ciebie łaskawe, Eustachio Yeobright.

— Nie mam im za co dziękować.

— Ani on... chyba za jeden wielki dar.

— Co to za dar?

Wildeve spojrzał jej w oczy.

Eustachia po raz pierwszy tego dnia oblała się rumieńcem.

— No cóż, problematyczny ze mnie dar — stwierdziła spokojnie. — Sądziłam, że masz na myśli zadowolenie z życia, bo Clym je posiada, a ja nie.

— Rozumiem zadowolenie w takim wypadku... chociaż jest dla mnie zagadką, jak mogą go zadowalać okoliczności, w których żyje.

— Mówisz tak, by go nie znasz. Przejmuje się ideałami, a nie dba o rzeczy doczesne. Często mi przypomina Pawła Apostoła.

— Rad jestem słysząc, że to taki wspaniały człowiek.

— Masz rację, ale najgorsza rzecz w tym, że chociaż Paweł był w Biblii wspaniałym człowiekiem, w codziennym życiu dobrze by mu się nie wiodło.

Instynktownie ściszyli głosy, chociaż początkowo nie przejmowali się specjalnie tym, czy obudzą Clyma.

— Jeśli to znaczy, że swoje małżeństwo uważasz za nieszczęście, sama wiesz czyja to wina — powiedział Wildeve.

197— Moje małżeństwo samo w sobie nie jest nieszczęściem — odparła z pewnym rozdrażnieniem. — Po prostu wypadek, który się zdarzył już po ślubie, stał się powodem mej niedoli. Z pewnością przypadły mi same kolce bez róż, ale skąd mogłam wiedzieć, co przyszłość przyniesie?

— Czasami myślę, Eustachio, że spotkała cię zasłużona kara. Twoje miejsce było przy mnie, sama wiesz. Nie wyobrażałam sobie, że cię utracę.

— O nie, to nie była moja wina. Nie mogłeś mieć dwóch kobiet naraz, a przypomnij

sobie, że zwróciłeś się ku innej, gdy ja nic jeszcze o tym nie wiedziałam. Twoja lekkomyślność równała się okrucieństwu. Nigdy mi się nawet nie śniło tak postąpić, póki ty pierwszy nie zacząłeś.

— To nie miało znaczenia. Ot, takie sobie interludium. Mężczyznom zdarzają się przelotne miłostki, nawet gdy są szczerze zakochani. Potem jednak powraca prawdziwa miłość, silna jak dawniej. Twoja buntownicza postawa popchnęła mnie dalej, niż chciałem, a kiedy nadal skazywałaś mnie na męki Tantała, posunąłem się jeszcze dalej i ożeniłem z tamtą. — Obrócił się, spojrzął na uśpionego Clyma i szepnął: — Obawiam się, że nie cenisz tego, coś zdobył, dymie... Pod jednym przynajmniej względem powinien czuć się szczęśliwszy ode mnie. Wie, co to znaczy utracić pozycję w świecie i doznać osobistego nieszczęścia, ale chyba nie wie, czym jest utrata kochanej kobiety.

— On ceni sobie to, że ją zdobył — szepnęła Eustachia — i pod tym względem dobry z niego człowiek. Niejedna kobieta wiele by dała za takiego męża. Czyż ja za dużo żądam pragnąc tego, co nazywa się życiem? Muzyki, poezji, namiętności, wojny, wszystkiego, co wartkim nurtem przepływa przez arterie świata. Tak się ukształtowały moje młodzieńcze marzenia. Ale się nie spełniły. Myślałam jednak, że się spełnią dzięki mojemu dymowi.

— I dlatego tylko wyszłaś za niego?

— Nie rozumiesz mnie. Wyszłam za niego, bo go kochałam. Ale nie mogę zaprzeczyć, że go pokochałam po trosze dlatego, że w moim przekonaniu niósł z sobą obietnicę takiego życia.

— I znowu wpadasz w ten swój dawny żalony nastrój.

— Ale ja nie mam zamiaru popadać w przygnębienie — zaprzeczyła z przekorą. — Zaczęłam nowy tryb życia idąc na te tańce i od niego nie odstąpię. Clym może sobie śpiewać wesoło, a dlaczego ja bym nie mogła?

Wildeva spojrzął na nią w zamyśleniu.

— Łatwiej jest mówić, niż wykonać. A przecież zachęcałbym cię do śpiewu, gdybym mógł. Ponieważ jednak życie dla mnie nie ma żadnej wartości bez tego, co obecnie jest nie do zdobycia, daruj mi, że nie udzielam ci zachęty.

— Damonie, co się z tobą dzieje? Jak możesz mówić do mnie w ten sposób? — zapytała podnosząc na niego swe mroczne, ocienione długimi rzęsami oczy.

— Tego ci nigdy wyraźnie nie powiem, a jeśli będę mówił zagadkami, pewno nie zadasz sobie trudu, żeby je odgadnąć.

Eustachia milczała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Dziwnie dzisiaj ze mną rozmawiasz. Dzielisz włos na czworo. Chcesz powiedzieć, że wciąż mnie kochasz. No cóż, to mnie zasmuca, bo nie jestem aż tak szczęśliwa w małżeństwie, żebym miała ochotę za to wyznanie odtrącić cię

198

od siebie, jak powinnam. Ale już za dużo o tym mówimy. Czy zamierzasz czekać, aż się przebudzi mój mąż?

— Chciałem z nim pomówić. Ale to nie jest konieczne. Eustachio, jeśli czujesz się urażona, że cię nie zapomniałem, dobrze, że mi Q tym powiedziałaś. Ale nie wspominaj o odtrącaniu.

Nie odpowiedziała i stali tak w zadumie, patrząc na Clyma, który pogrążony był w głębokim śnie po ciężkiej pracy fizycznej, wykonywanej w okolicznościach nie szarpiących nerwów.

— O Boże, jakże mu zazdrosczę tego słodkiego snu — powiedział Wildeva. — Nie spałem tak od czasu, kiedy byłem chłopcem... przed wielu laty.

Gdy tak mu się przyglądali, dobiegło ich uszu trzaśnięcie furki, a potem pukanie do drzwi. Eustachia podeszła do okna i wyjrzała na dwór.

Twarz jej się zmieniła. Pokrył ją ciemny rumieniec, a potem pobladła tak, że aż

jej wargi zbielewały.

— Czy mam wyjść? — zapytał Wildeve wstając.

— Sama nie wiem.

— Kto tam jest?

— Pani Yeobright. Och, co też ona wygadywała na mnie tego dnia! Nie rozumiem, dlaczego przyszła. Co to może znaczyć? Ona się domyśla, co nas łączyło.

— Jestem do twojej dyspozycji. Jeśli uważasz, że lepiej, żeby mnie tutaj nie widziała, pójdę do drugiego pokoju.

— Lepiej wyjdź.

Udał się od razu do sąsiedniego pokoju, ale nie był tam nawet minuty, gdy weszła Eustachia.

— Nie — powiedziała. — Nie będziemy się ukrywać. Jeśli tu przyjdzie, musi cię zobaczyć, nie robiłam nic złego. Ale jak mogę otworzyć przed nią drzwi, skoro ona mnie nie cierpi... nie przyszła do mnie, tylko do swojego syna. Nie otworzę! Pani Yeobright zastukała znowu, tym razem głośniej.

— Prawdopodobnie obudzi go tym stukaniem — ciągnęła Eustachia — i otworzy jej sam. O, słuchaj!

Posłyszeli, że w sąsiednim pokoju Clym się poruszył, jak gdyby słysząc stukanie, a potem powiedział: “Matko”.

— Tak... obudził się... podejdzie do drzwi — szepnęła z westchnieniem ulgi. — Chodź tędy. Mam u niej złą opinię, więc nie może cię zobaczyć. Zmuszona jestem zatem ukrywać swe czyny, nie dlatego, żebym robiła coś złego, ale dlatego, że ludziom się spodobało źle o mnie mówić.

Doprowadziła go właśnie do otwartych drzwi kuchennych, przez które widać było biegnącą przez ogród ścieżkę.

— Słuchaj, Damonie, muszę ci coś powiedzieć — podjęła, gdy już wychodził. — To twoja pierwsza wizyta w tym domu. Niech będzie ostatnia. Kiedyś kochaliśmy się gorąco, ale teraz nie pora na to. Do widzenia.

— Do widzenia — odparł Wildeve. — Uzyskałem to, po co przyszedłem, i jestem zadowolony.

— A mianowicie?

199— Zobaczyłem cię. Przysięgam na mój honor, że tylko dlatego przyszedłem. Posłał ręką całusa pięknej rozmówczyni i wszedł do ogrodu. Patrzyła, jak się oddala ścieżką, przedostaje przez przełaz i zagłębienia w paprocie. Widziała, jak się ocierały o jego biodra, nim zniknął w ich gąszczu. Kiedy zupełnie straciła go z oczu, obróciła się, kierując swą uwagę na wnętrze domu.

Pomyślała jednak, że w chwili pierwszego spotkania Clyma z matką jej obecność może być niepożądana albo przynajmniej zbędna. W każdym razie nie śpieszyło się jej do widoku pani Yeobright. Postanowiła poczekać, aż przyjdzie po nią Clym, i wśliznęła się z powrotem do ogrodu. Spędziła tu beczynn timer kilka minut, ale przekonawszy się, że nikt jej nie szuka, podeszła do domu i stanąwszy przy frontowych drzwiach nasłuchiwała odgłosów rozmowy z salonu. Panowała cisza, więc Eustachia otworzyła drzwi i weszła. Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że Clym leży wciąż w takiej samej pozycji, jak gdyby spał cały czas nieprzerwanym snem. Pukanie doszło jego uszu i zaczął o czymś śnić mówiąc przez sen, ale się nie obudził. Eustachia pobiegła do drzwi i mimo niechęci wobec kobiety, która powiedziała jej tyle gorzkich słów, odsunęła zasuwę i wyjrzała. Nie zobaczyła żywego ducha. Przy wycieracze leżał sierp Clyma, a także gałązki jeżyna do wiązania chrustu, które przyniósł z sobą. Przed domem była pusta ścieżka i nie domknięta furтка, a za nią falujące w słońcu liliowe wrzosowisko. Pani Yeobright znikła.

Matka Clyma znajdowała się w tym czasie na ścieżce, zasłoniętej przed wzrokiem

Eustachii zboczem wzgórza. Szła od furki krokiem spieszonym i zdecydowanym, pragnąc równie gorąco uciec z tego miejsca, jak poprzednio pragnęła tam dojść. Wzrok miała wbity w ziemię, ale przed oczyma stały jej nieustannie dwa obrazy: sierp Clyma i zerwane przez niego gałązki jeżyny, leżące przed drzwiami domu, oraz twarz kobiety w oknie. Wargi jej drżały i stawały się nienaturalnie wąskie, gdy szeptała:

— Tego już za wiele! Jak on mógł tak postąpić! Jest w domu, -a jednak pozwala jej zamknąć przede mną drzwi!

Starając się jak najprędzej znaleźć w miejscu, w którym nie widziano by jej z domu syna, zboczyła ze ścieżki prowadzącej wprost do Blooms-End, a kiedy chcąc ją odnaleźć rozejrzała się dokoła, zobaczyła małego chłopca zbierającego jagody w kotlinie. Był to Johnny Nunsuch, ten sam, który Piątego Listopada pilnował ogniska Eustachii. Zgodnie z zasadą, że każde drobne ciało ciąży ku większemu, chłopczyk ten zaczął krążyć wokół pani Yeobright, gdy tylko się ukazała, i w końcu biegł przy niej, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Pani Yeobright odezwała się do niego jak osoba pogrążona w hipnotycznym śnie.

— Daleko stąd do domu, moje dziecko, i nie zajdziemy tam aż na wieczór.

— Ja zajdę — odparł jej mały towarzysz. — Przed kolacją będę się bawić, a kolacjęjemy o szóstej, bo wtedy tata przychodzi do domu. Czy pani tata też wraca do domu o szóstej?

— Nie, on nie wraca. Ani mój syn nie wraca, ani nikt inny.

200

— Dlaczego jest pani taka smutna? Czy widziała pani upiora?

— Widziałam coś gorszego: twarz kobiety patrzącej na mnie przez szybę.

— Czy to zły znak?

— Tak. Nic dobrego nigdy nie wróży widok kobiety, która patrzy przez szybę na zmęczonego wędrowca i nie chce go wpuścić.

— Raz, kiedy poszedłem do Thoorpe Great Pond, żeby łapać ryby, nagle zobaczyłem, że patrzę sam na siebie w wodzie, i tak się przestraszyłem, że uciekłem.

— ...Gdyby chociaż okazali dobrą wolę, kiedy pierwsza wyciągam rękę do zgody, jak by się to wszystko mogło dobrze ułożyć! Ale nie ma już żadnej szansy. Kazali się wynieść! Ona musiała zbuntować go przeciwko mnie. Czy może w pięknym ciele nie być serca? Widocznie może. Nie zamknęłabym drzwi nawet przed kotem sąsiada w taki upał jak dziś!

— O czym pani mówi?

— Nigdy więcej!. Nawet gdyby po mnie posłali!

— Dziwna z pani kobieta. Tak pani dziwnie mówi!

— O nie, wcale nie — zaprzeczyła usłyszawszy słowa chłopca. — Większość ludzi, gdy dorośnie i ma dzieci, mówi tak jak ja. A kiedy ty dorośniesz, twoja matka tak samo będzie mówić.

— Chyba nie, bo to bardzo źle gadać od rzeczy.

— Masz rację, dziecko, chyba gadam od rzeczy. Czy nie jesteś zmęczony tym upałem?

— Jestem, ale nie tak bardzo jak pani.

— Skąd wiesz?

— Z pani twarzy. Jest blada i wilgotna, a głowę ma pani zwieszoną.

— Ach, jestem zupełnie wyczerpana.

— Dlaczego za każdym razem, kiedy stawia pani krok, robi to pani tak? — Mówiąc to dziecko naśladowało chód kulejącego.

— Bo dźwigam ciężar ponad siły.

Chłopczyk zamyślił się i szli koło siebie w milczeniu, aż po upływie kwadransa pani Yeobright, która wyraźnie opadała z sił, powiedziała:

— Muszę usiąść i odpocząć.

Kiedy usiadła, przyglądał się jej długo, a potem zauważył:

— Jak śmiesznie pani oddycha... jak jagnię, które prawie na śmierć zagoniono.

Czy pani zawsze tak oddycha?

— Nie zawsze — odparła prawie szeptem.

— Pośpi sobie tu pani, prawda? Już pani zamknęła oczy.

— Nie. Nie zasnę, aż... aż pewnego dnia, a wtedy, spodziewam się, będę mogła spać długo... długo... bardzo długo. Powiedz mi, czy w Bottom Pond jest woda?

— Nie, tylko w Moreford Pool, bo tamten staw jest głęboki i nigdy nie wysycha. To niedaleko stąd.

— A czy woda jest czysta?

— Tak, dosyć czysta, ale nie tam, gdzie chodzą dzikie koniki.

— Weź zatem to, skocz i zaczerpnij jak najczystszej wody. Bardzo mi słabo.

201Z małego koszyczka, który trzymała w ręku, wyciągnęła staroświecką porcelanową filiżankę bez uszka. W koszyczku znajdowało się sześć takich samych, które zachowały się z czasów jej dzieciństwa, a które nosła jako drobny upominek dla Clyma i Eustachii.

Chłopiec wykonał polecenie i wkrótce wrócił z wodą — jaką znalazł. Pani Yeobright próbowała pić, ale woda była tak ciepła, że ją zemdliło, więc resztę wylała. I dalej siedziała z zamkniętymi oczami.

Chłopczyk czekał, bawił się koło niej, złapał kilka małych brązowych motyli, których roje tam fruwały, znowu czekał i wreszcie powiedział:

— Wolę chodzić, niż siedzieć w miejscu. Czy pani prędko ruszy w drogę?

— Nie wiem.

— Chciałbym już iść — oznajmił, obawiając się widocznie, że będzie musiał spełniać jakieś nieprzyjemne posługi. — Czy pani mnie jeszcze potrzebuje? Pani Yeobright nic nie odparła.

— Co mam powiedzieć mamie? — pytał dalej.

— Powiedz mamie, że widziałeś kobietę, której syn złamał serce, bo ją odtrącił. Nim odszedł na dobre, rzucił na nią smutne spojrzenie, jak gdyby się zastanawiał, czy wypada ją tak pozostawić. Przyglądał się jej z niepewnym, zamyślonym wyrazem twarzy jak ktoś, kto próbuje odczytać stary rękopis pisany nie znanym mu alfabetem. Nie był już tak mały, by zupełnie nie rozumieć, że powinien okazać współczucie, ani na tyle duży, aby wyzwolić się z lęku, jaki ogarnia dzieci, gdy widzą cierpienie w świecie dorosłych, do którego dotychczas nie mieli wstępu. Nie potrafił rozpoznać, czy pani Yeobright znajduje się w takiej sytuacji, że przysporzy kłopotów innym, czy sama będzie cierpieć, czy należy jej współczuć w niedoli, czy też jej się bać. Spuścił oczy i odszedł bez słowa. Nim przebył pół mili, zapomniał o niej zupełnie, pamiętał tylko, że była to kobieta, która usiadła przy drodze, aby odpocząć.

Wysięk fizyczny i wzruszenia tego dnia doprowadziły panią Yeobright niemal do zupełnego wyczerpania, lecz nie przestawała powoli posuwać się naprzód krótkimi odcinkami, robiąc między nimi długie przerwy na odpoczynek. Słońce przesunęło się już daleko z południa na zachód i świeciło jej prosto w twarz, jak bezlitosny podpalacz z płonąca głównią w ręku, pragnący jej zguby. Z odejściem chłopca zniknął z krajobrazu wszelki ruch, chociaż przerywane cykanie koników polnych, dobiegające z każdej gałązki janowca, świadczyło wyraźnie, że niewidzialny świat owadów tętni pełnią życia, w przeciwieństwie do wpół odrętwiałych przedstawicieli większych zwierząt.

W ciągu dwóch godzin doszła do wzgórza znajdującego się w odległości jednej czwartej drogi od jej domu. Pas tymianku zarósł tu ścieżkę i pani Yeobright usiadła na tym wonnym dywanie. Przed nią kolonia mrówek wytoczyła sobie

gościniec poprzez ścieżkę, którą z trudem przemierzały ich nie kończące się, ciężko obciążone zastępy. Przyglądając się in\z góry, miała wrażenie, że patrzy na ulicę miasta ze szczytu wieży. Przypomniała sobie, że w tym samym miejscu od lat zadomowiły się mrówki. Te dawne były zapewne protoplastami obecnych. Pochyliła się do tyłu, aby lepiej odpoczywać, i widok łagodnego nieba na wschodzie podziałał tak kojąco na jej oczy jak tymianek

202

na bolącą głowę. Kiedy się weń wpatrywała, z tej właśnie strony poderwała się czapla i odleciała ku zachodowi. Wynurzyła się z jakiejś sadzawki w dolinie, okapująca wodą, i gdy wzniosła się wysoko, wewnętrzna strona jej skrzydeł oraz ich krawędzie a także uda i pierś, jaśniały w promieniach słońca, jakby były z polerowanego srebra. Powietrzne obszary, w których czapla gościła, wydały się pani Yeobright krainą szczęścia i swobody, leżącą poza sferą wpływów kuli ziemskiej, do której ona była przykuta, i zapragnęła oderwać się od jej powłoki i jak ten ptak bujać bezpiecznie w przestworzach.

Była jednak matką, musiała więc wkrótce zaprzestać rozmyślań nad własnym losem. Gdyby szlak jej dalszych myśli mógł błyszczeć na niebie jak droga meteoru, widać byłoby, że kieruje się w stronę przeciwną niż ptak i opada na wschodzie na dach domu Clyma.

VII TRAGICZNE SPOTKANIE DWOJGA BLISKICH SOBIE LUDZI

Tymczasem Cym się obudził, usiadł i rozejrzał dokoła. Eustachia siedziała na krześle tuż przy nim, a chociaż trzymała książkę w ręku, nie czytała już od jakiegoś czasu.

— Ach, jak mocno spałem! — odezwał się, przecierając oczy dłońmi. — Miałem taki przerażający sen. Nigdy go nie zapomnę.

— Mnie się też zdawało, że coś ci się śni — powiedziała.

— Tak. To była matka. Śniło mi się, że poszedłem z tobą do jej domu, żeby doprowadzić do zgody. Po przybyciu na miejsce, nie mogliśmy się dostać do środka, chociaż matka wciąż wzywała naszej pomocy. No cóż, to tylko sen. Która godzina, Eustachio?

— Wpół do trzeciej.

— Już tak późno? Nie miałem zamiaru tak długo siedzieć w domu. Zanim cośkolwiek zjem, będzie już po trzeciej.

— Anna nie wróciła jeszcze ze wsi, i nie chciałam cię budzić, zanim wróci. Cym podszedł do okna i wyjrzał. Po chwili powiedział w zamyśleniu:

— Mija tydzień za tygodniem, a matka nie przychodzi. Nie przypuszczałem, że tak długo się nie odezwie.

W ciągu jednej krótkiej chwili w ciemnych oczach Eustachii odmalowało się po kolei złe przecucie, żal, lęk, postanowienie. Stała twarzą w twarz z potwornym dylematem i by się od niego uwolnić, postanowiła grać na zwłokę.

— Na pewno powinienem się prędko wybrać do Blooms-End — mówił jej mąż — i chyba najlepiej będzie, jak pójdę sam. — Podniósł spodnie i łapawice, a potem je odrzucił i dodał: — Ponieważ dzisiaj obiad będzie późno, nie wrócę na wrzosowisko, ale popracuję w ogrodzie do wieczora, a potem, kiedy zrobi się chłodniej, pójdę do Blooms-End. Jestem absolutnie pewny, że jeśli pierwszy okażę chęć zgody, matka chętnie wszystko przebaczy. Będzie już późno, nim wrócę, bo droga w jedną stronę zajmie mi co najmniej półtorej godziny.

203 Ale ty mi darujesz jeden wieczór, kochana? O czym myślisz z takim przejęciem?

— Nie mogę ci powiedzieć — odparła z wysiłkiem. — Tak bym chciała, żebyśmy tu nie mieszkali, dymie. Tutaj cały świat wydaje się zły.

— No cóż... jeżeli my go takim robimy. Zastanawiam się, czy Tomasina odwiedziła ostatnio matkę. Mam nadzieję, że tak. Może jednak nie zrobiła tego, bo podobno

spodziewa się za kilka tygodni dziecka. Szkoda, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Biedna matka musi się czuć bardzo samotna.

— Wolałabym, żebyś tam dzisiaj wieczór nie szedł.

— Dlaczego nie dziś wieczór?

— Bo możesz usłyszeć krzywdzące mnie słowa.

— Matka nie jest mściwa — zaprzeczył Clym z rumieńcem na twarzy.

— Ale ja nie chcę, żebyś dziś szedł — powtórzyła cicho Eustachia. — Jeżeli się zgodzisz, przyrzekam, że jutro rano sama do niej pójde i doprowadzę do zgody, i zostanę w jej domu, aż po mnie przyjdiesz.

— Dlaczego chcesz pójść właśnie jutro, chociaż dotychczas nigdy się na to nie zgadzałaś?

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że wolałabym zobaczyć się z nią sama, zanim ty będziesz z nią rozmawiał — odparła, niecierpliwie potrząsając głową i patrząc na niego z przejęciem, częściej widywanym na twarzach ludzi o temperamentie sangwiników niż takim, jaki ona posiadała.

— No cóż, bardzo to dziwne, że właśnie gdy sam zdecydowałem się iść, chcesz zrobić to, o co prosiłem cię od dawna. Gdybym czekał do jutra, straciłbym jeszcze jeden dzień i nie zaznał w nocy spoczynku. Nie, chcę tę sprawę załatwić, i załatwię. Ty odwiedzisz ją później — to nie robi różnicy.

— Mogłabym z tobą iść dzisiaj?

— Nie przeszlabyś tej drogi tam i z powrotem bez dłuższego odpoczynku. Nie, nie dzisiejszego wieczoru, Eustachio.

— A więc niech będzie tak, jak mówisz — odpowiedziała z uległością osoby, która choć gotowa zażegnać złe konsekwencje niewielkim wysiłkiem, pozwoli raczej, by wydarzenia szły własnym torem, niż zdecyduje się z nimi walczyć.

Clym poszedł do ogrodu, a Eustachia przez resztę popołudnia pogrążona była w apatii i zamyśleniu, co jej mąż przypisał upałowi.

Wieczorem wyruszył w drogę. Chociaż letni skwar dawał się jeszcze we znaki, dnię stały się już znacznie krótsze i zanim uszedł milę, fiolety, brązy i zielenie wrzosowiska stopiły się w jednolitą barwę, wszędzie w tym samym tonie, przerywaną plamami bieli tam, gdzie niewielkie kopczyki piasku z czystego kwarcu ukazywały wejścia do króliczych jam lub krzemienna nitka ścieżki wiła się po zboczach. Tu i ówdzie rosły pojedynczo skarłowaciałe drzewa cierniowe i prawie na każdym z nich lelek ujawniał swą obecność furkotem skrzydeł, przypominającym terkotanie młyna. Gdy zabrakło mu tchu, przerywał, kołował z trzepotem nad drzewem, siadał na gałęzi, nasłuchiwał, a potem znowu zaczynał furkotać. Za każdym krokiem Clyma unosiły się w górę białawe śmy młynarki i na ich skrzydełka, jakby przysypane mąką, padał łagodny blask zachodu, który lśnił teraz na równinach i we wklęsłościach terenu, ale go nie oświetlał.

204

Clym idąc przez ten spokojny krajobraz miał w sercu nadzieję, że wkrótce wszystko ułoży się dobrze. Uszedłszy trzy mile znalazł się w miejscu, gdzie nad ścieżką unosiła się słodka woń, więc zatrzymał się na chwilę i wdychał znajomy zapach. Tutaj właśnie, przed czterema godzinami, jego matka usiadła, zupełnie wyczerpana, na pagórku porośniętym tymiankiem. Kiedy tak stał, do uszu jego dobiegło ni to westchnienie, ni jęk.

Spojrzał w tę stronę, lecz nie dojrzał nic prócz zarysu wzgórze zasłaniającego niebo. Poszedł w owym kierunku i dostrzegł niemal u swych stóp leżącą na ziemi postać.

Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że może to być ktoś z jego rodziny, choć rozważał różne możliwości. O tej porze roku zdarzało się, że robotnicy ścinający janowiec sypiali na dworze, chcąc zaoszczędzić sobie długiej wędrówki

do domu i z powrotem. Clym jednak mając w pamięci ów jęk przyjrzał się bliżej leżącej postaci i zobaczył, że to kobieta. Ogarnęło go złe przecucie, niczym zimny powiew z jaskini. Nie był jednak pewien, że to jego matka, póki się nie pochylił i nie zobaczył jej twarzy — bladej, z przymkniętymi oczyma. Zdawało mu się, że jego dusza uchodzi z ciała. Okrzyk rozpaczony zamarł mu na ustach. Nim zdał sobie sprawę, że trzeba coś robić, stracił na moment poczucie miejsca i czasu i miał wrażenie, że jest tutaj z matką, jak bywał z nią dawniej jako dziecko na wrzosowisku o tej samej porze. Ocknął się, chciał ją ratować i pochyliwszy się jeszcze niżej, zauważył, że oddycha i że jej oddech, choć słaby, jest na ogół regularny.

— Co się stało? Matko, jesteś bardzo chora... ale przecież nie umrzesz! — zawołał przyciskając usta do jej twarzy. — To ja, twój Clym. Skąd się tu wzięłaś? Co to wszystko znaczy?

Nie pamiętał wówczas, że miłość do Eustachii stworzyła między nimi przepaść, a chwilę obecną łączył bezpośrednio z przeszłością, którą przed owym rozłamem przeżywali we wzajemnej serdeczności.

Matka poruszyła wargami, najwidoczniej go poznając, ale nie mogła mówić. Wówczas Clym się zastanowił, jak najlepiej byłoby ją przenieść, bo musiał ją zabrać, nim spadnie rosa. Był dobrze zbudowany, a matka szczupła. Objął ją ramionami, uniósł trochę i zapytał:

— Czy to cię boli?

Potrząsnęła głową, więc wziął ją na ręce i ruszył wolnym krokiem, niosąc swój ciężar. Pochłodziło już bardzo, ale gdy szedł piaszczystą ścieżką lub odkrytym terenem, biły mu w twarz fale gorąca, które ziemia w ciągu dnia wchłonęła.

Na początku niewiele myślał o odległości, jaką musiał pokonać, żeby się znaleźć w Blooms-End, ale chociaż spał po południu, wkrótce zaczął odczuwać zmęczenie. I szedł tak podobny Eneasowi niosącemu ojca. Nietoperze krążyły mu nad głową, lelki trzepotały przed nim skrzydłami, ale ludzie byli zbyt daleko, by słyszeć jego wołania.

Kiedy od domu dzieliła ich niecała mila, matka zaczęła okazywać zmęczenie niewygodną pozycją, jakby uścisk jego ramion sprawiał jej ból. Opuścił ją sobie na kolana i rozejrzał się dokoła. Doszli właśnie do miejsca, które — choć 205dalekie od jakiegokolwiek drogi — znajdowało się w odległości nie większej niż mila od chat w Blooms-End. Mieszkali tu Fairway, Sam, Humphrey i rodzina Cattle'ów. Poza tym o pięćdziesiąt jardów stąd wznosiła się niewielka samotnie stojąca budowla z brył ziemi, pokryta cienką warstwą darni, obecnie nie używana. Widać było jej zarysy, i tam też postanowił się udać. Doszedłszy na miejsce, ostrożnie położył matkę przy wejściu, a potem spieszenie naciął kozikiem całe naręcze najsuchszych paproci. Rozpostarł je we wnętrzu owego schronienia, które z jednej strony zupełnie nie miało ściany, i położył matkę na tej podściółce, a sam co sił w nogach popędził ku chacie Fairwaya.

Już prawie kwadrans mijał w zupełnym spokoju, przerywanym tylko nierównym oddechem chorej, kiedy na horyzoncie zrobił się jakiś ruch, pojawili się jacyś ludzie. Po niedługim czasie nadbiegł Clym z Fairwayem i Zuzanną Nunsuch. Olly Dowden, która właśnie była w domu Fairwaya, oraz Christian i Grandfer Cattle śpieszyli za nimi. Przynieśli latarnię, zapałki, wodę, poduszkę i parę innych rzeczy, o których zdążyli w pośpiechu pomyśleć. Sama wysłano z powrotem po trochę koniaku, a Fairway — kiedy chłopak przyprowadził mu konia — odjechał po najbliższego lekarza, mając polecone zatrzymać się po drodze przy oberży i powiadomić Tomasinę, że jej ciotka jest chora.

Wkrótce Sam przyniósł koniak i przy świetle latarni dano go chorej, po czym oprzytomniała na tyle, że zaczęła pokazywać na migi, że coś jest nie w porządku

z nogą. W końcu Olly Dowden zrozumiała znaczenie jej gestów i obejrzała stopę. Była napuchnięta i czerwona, i wprost w oczach stawała się coraz bardziej zaogniona. W środku tej czerwieni występowała szkarłatna plamka, mniejsza niż groszek, a jak się okazało, była to kropla krwi, zakrzepła na gładkim cieple nad kostką u nogi.

— Wiem, co to jest — zawołał Sam. — Ukąsiła ją żmija!

— Tak — potwierdził natychmiast Clym. — Przypominam sobie, że będąc dzieckiem widziałem takie ukąszenie. O, moja biedna matko!

— I mojego ojca ukąsiła żmija — powiedział Sam. — Jest tylko jeden na to sposób. Trzeba natrzeć miejsce ukąszenia tłuszczem żmij, a można go zdobyć tylko smażąc żmiję. Tak właśnie jego wyleczyli.

— To stare lekarstwo — rzekł nieufnie Clym — i mam co do niego wątpliwości. Ale nie możemy zrobić nic innego, póki nie przyjdzie doktor.

— To pewna metoda — oświadczyła z naciskiem Olly Dowden. — Stosowałam ją w czasach, kiedy chodziłam do chorych.

— W takim razie, żeby je złapać, musimy się modlić o światło dzienne — rzekł posępnie Clym.

— Zobaczę, co się da zrobić — powiedział Sam.

Wziął zielony leszczynowy kij, którego używał jako laski, rozszczeplił go na końcu, wcisnął do środka kamyk i z latarnią w ręku wyruszył na wrzosowisko. Tymczasem Clym rozniecił niewielki ogień i posłał Zuzannę Nunsuch po patelnię. Jeszcze przed jej powrotem przyszedł Sam niosąc trzy żmije, z których jedna wiała się w szczelinie pręta, a dwie zwisały z niego martwe.

— Udało mi się złapać tylko jedną żywą i świeżą jak należy — mówił Sam. — Te dwie zabiłem dziś podczas pracy, ale ponieważ nie żyją dopiero od zachodu słońca, ich mięso nie może być nieświeże.

206

Żywa żmija obrzuciła zebranych złowieszczym spojrzeniem maleńkich czarnych oczu i zdawało się, że pod wpływem oburzenia piękny czarno-brązowy zygzak na jej grzbiecie wystąpił jeszcze wyraźniej. Pani Yeobright zobaczyła gada i gad zobaczył ją, a wtedy kobieta zadrżała i odwróciła oczy.

— Patrzcie — szepnął Christian Cante. — Skąd możemy wiedzieć, sąsiedzi, czy coś z tego starego węża w rajskim ogrodzie, co to dał jabłko młodej kobiecie bez odzienia... czy coś z niego nie żyje wciąż jeszcze w wężach i żmijach? Spójrzcie na te oczka... zupełnie jak pełne niegodziwości czarne ciarki. Miejmy nadzieję, że nie rzuci na nas złego czararu! A na wrzosowisku są ludzie opętani. Póki mego życia, nigdy już nie zabiję żadnej żmii.

— Tak, należy się wystrzegać rzeczy, wobec których człowiek jest bezradny — powiedział Grandfer Cante. — Uniknąłbym w ten sposób wielu groźnych niebezpieczeństw.

— Zdaje mi się, że coś słyszę za ścianą — rzekł Christian. — Szkoda, że kłopoty nie przychodzą w ciągu dnia, bo wtedy człowiek może okazać odwagę i choćby spotkał najgorszą czarownicę, nie będzie prosić jej o litość, jeśli jest chwatem i potrafi uciec jej sprzed oczu.

— Nawet taki niewykształcony człowiek jak ja wiedziałby, że nie należy tak postępować — powiedział Sam.

— Nieszczęścia przychodzą, kiedy się ich najmniej spodziewamy. Sąsiedzi, jak myślicie, gdyby pani Yeobright umarła, czyby nas zabrano i sądzono za zabójstwo kobiety?

— Nie, do tego by nie doszło — odparł Sam — chyba że by nam dowiedli, że byliśmy kiedyś kłusownikami. Ale ona przyjdzie do siebie.

— Co do mnie, nawet gdybym został pokąsany przez dziesięć żmij, nie opuściłbym

ani jednego dnia pracy — stwierdził Grandfer Cantle. — Taki we mnie duch, jak mnie zapał ogarnie. Ale może to rzecz naturalna u człowieka, co zna wojnę. Ho, ho! niejedno w życiu przeszedłem, ale jak w roku osiemset czwartym znalazłem się w pułku Chwatów, zawsze mi się dobrze wiodło. — Pokręcił głową i uśmiechnął się wspominając siebie w mundurze. — W młodych latach zawsze byłem pierwszy tam, gdzie największe opał.

— To chyba dlatego, że do przodu zawsze wypychali największych głupców — odezwał się Fairway od ognia, przy którym klęczał rozdmuchując węgle.

— Tak myślisz, Tymoteuszu? — zmartwił się Grandfer Cantle, stając obok Fairwaya z nagłym przygnębieniem na twarzy. — To człek może przez całe lata myśleć, że jest porządny i rzetelny, a w gruncie rzeczy mylić się co do własnej osoby?

— Mniejsza z tym, Grandferze. Porusz kulasami i znajdź jeszcze trochę gałęzi. Nie ma sensu, żeby stary człowiek mełł językiem, gdy tu życie zмага się ze śmiercią.

— Racja — potwierdził Grandfer Cantle ze smutkiem. — No cóż, to całkiem zła noc dla tych, co w swoim czasie postępowali dobrze, i gdybym kiedykolwiek grał na oboju lub na saksofonie, nie miałbym teraz odwagi zagrać na nich melodii.

W tej chwili zjawiła się Zuzanna z patelnią. Zabito żywą zmię i odjęto łyby 207wszystkim trzem, a potem, przekrajane i pocięte na kawałki, wrzucono na patelnię. Zaczęły syczeć i pękać nad ogniem, a potem wypłynął z nich strumyk czystego oleju. Clym umoczył w nim róg swej chusteczki i namaścił ranę.

VIII

EUSTACHIA SŁYSZY O CZYIMŚ SZCZĘŚCIU I JEST ŚWIADKIEM NIESZCZĘŚCIA

Tymczasem Eustachię, pozostawioną samotnie w domu, ogarnęło głębokie przygnębienie z powodu takiego obrotu spraw. Jeśli Clym wykryje, że matka musiała tego dnia odejść spod drzwi jego domu, konsekwencje mogą okazać się bardzo nieprzyjemne, a tego rodzaju przykrości nienawidziła w równym stopniu co strasznych wypadków.

Irytowało ją zawsze, gdy musiała spędzać wieczór sama, tego zaś dnia irytowało ją jeszcze bardziej, ponieważ w ostatnich godzinach przeżyła wielkie podniecenie. Owe dwie wizyty odebrały jej spokój. Przypuszczała, że w rozmowie Clyma z matką jej postać ukaże się w złym świetle, a to budziło w niej nie tyle niezadowolenie z siebie, co uczucie przykrości. Jej senna natura została poruszona do tego stopnia, że Eustachia żałowała, iż nie otworzyła drzwi. Szczerze wówczas wierzyła, że Clym się obudził, i ta wymówka byłaby uczciwa, ale nic nie może usprawiedliwić faktu, że nie chciała otworzyć drzwi za pierwszym stukaniem. A jednak nie miała poczucia winy za to, co nastąpiło, tylko obarczała nią jakiegoś nieokreślonego potężnego Księcia Świata, który postawił ją w tej sytuacji i kierował jej losem.

O tej porze roku przyjemniej było przechadzać się wieczorem niż we dnie i po godzinie nieobecności Clyma Eustachia postanowiła nagle, że uda się w stronę Blooms-End, licząc, że może go spotka wracającego. Kiedy znalazła się przy furtce ogrodu, posłyszała skrzypienie kół i spojrzawszy w tym kierunku zobaczyła nadjeżdżającego dziadka.

— Nie mogę wstąpić ani na chwilę, dziękuję ci — odpowiedział na jej zaproszenie — śpieszę się do East Egdon, ale zajechałem tutaj, żeby ci powiedzieć nowinę. A może już słyszałaś o bogactwie pana Wildeve'a?

— Nie — odparła Eustachia obojętnie.

— Wszedł w posiadanie jedenastu tysięcy funtów... wuj zmarł w Kanadzie, gdy otrzymał wiadomość, że cała rodzina, którą wysłał do domu, zatonała na "Cassiopei". Tak więc Wildeve odziedziczył wszystko, choć niczego się nie spodziewał.

Eustachia stała chwilę bez ruchu.

— Od jak dawna o tym wiedział? — zapytała.

— Wiedział już dzisiaj wczesnym rankiem, bo do mnie to doszło o dziesiątej, kiedy wrócił Charley. Szczęściarz z niego, jednym słowem. Jakie głupstwo zrobiłaś, Eustachio!

— Dlaczego? — spytała podnosząc na niego wzrok z pozornym spokojem.

208

— Jak to? Dlatego, żeś go puściła, choć miałaś go w ręku.

— Miałam go, rzeczywiście!

— Dopiero ostatnio się dowiedziałem, że coś tam między wami było, a chociaż, dając słowo, krew by mnie zalewała, gdybym wcześniej wiedział, skoro przypadliście sobie do gustu, to po coś, u diaska, go rzuciła?

Eustachia nic nie odrzekła, ale widać było po niej, że gdyby miała ochotę, mogłaby mówić na ten temat równie wiele, co jej dziadek.

— A jak się miewa twój biedny, na wpół ślepy mąż? — ciągnął stary. — Z niego też niezły człowiek.

— Czuje się zupełnie dobrze.

— Trafiło się tej jego kuzynce, jakże jej tam? Na świętego Jerzego, to tyś powinna płynąć w tej łodzi, dziewczyno. No, muszę jechać. Czy nie potrzeba ci jakiejś pomocy? Co moje, to i twoje, wiesz przecież.

— Dziękuję, dziadku, ale obecnie nie jesteśmy w potrzebie — odpowiedziała chłodno. — Clym ścina janowiec, co robi przede wszystkim dlatego, żeby mieć pożyteczną rozrywkę, gdyż nie może niczym innym się zajmować.

— Płacą mu za tę rozrywkę, no nie? Trzy szylingi za setkę, jak słyszałem.

— Clym ma pieniądze — odparła czerwieniejąc — ale chce choć trochę zarabiać.

— No dobrze, dobranoc. -1— I kapitan odjechał.

Kiedy zniknął jej z oczu, Eustachia machinalnie ruszyła w drogę, a myśli jej przestały krążyć wokół teściowej i męża. Choć Wildeve narzekał na swój los, przeznaczenie dopadło go i kazało mu znów zająć miejsce w słońcu. Jedenaście tysięcy funtów! W oczach każdego mieszkańca Egdonu był człowiekiem bogatym. Również w oczach Eustachii stanowiło to sporą sumę — dostatecznie pokaźną, by zaspokoić te jej potrzeby, które Clym, będąc w surowym nastroju, napiętnował jako próżność i umiłowanie zbytku. Nie kochała pieniędzy, ale kochała to, co pieniądze dać mogą, toteż nowe możliwości Wildeve'a, jakie podsuwała jej wyobraźnia, czyniły go bardzo interesującym. Przypomniała sobie, z jak spokojną elegancją ubrany był tego rana. Pewno włożył swój najlepszy garnitur, nie licząc się z tym, że mogą go zniszczyć ciernie i głogi. Potem pomyślała o jego zachowaniu się w stosunku do niej samej.

— Och, rozumiem, rozumiem — powiedziała. — Tak bardzo by teraz chciał, żebyś była jego, bo mógłby mi dać wszystko, czego pragnę!

Gdy przywołała szczegółowo w pamięci jego spojrzenia i słowa — w poradnie ledwo zauważane — stało się dla niej oczywiste, że dyktowała je przede wszystkim świadomość tego świeżego wydarzenia. “Gdyby był człowiekiem zdolnym żywić urazę za to, że został odrzucony, oznajmiłby o swoim powodzeniu wyniosłym tonem, a on tymczasem nie wspominał o tym ani słowem, szanując moje nieszczęście, i tylko dał do zrozumienia, że mnie wciąż kocha i ma za osobę lepszą od siebie.”

Milczenie Wildeve'a na temat porannych wydarzeń musiało wywrzeć wrażenie na kobiecie takiej jak Eustachia. Delikatne przejawy taktu stanowiły rzeczywiście jeden z atutów Wildeve'a w postępowaniu z płcią nadobną. Wyróżniał się spośród innych mężczyzn tym, że chociaż czasem okazywał się w stosunku do kobiety porywczy, nie wybaczący i zawzięty, kiedy indziej

traktował ją z niezrównanym wdziękiem, tak że poprzednie lekceważenie przestawało być niegrzecznością, narażanie na szwank jej dobrego imienia — obrażać, wtrącanie się zaś w jej sprawy wydawało się delikatną opieką, a zrujnowanie jej opinii — nadmiarem rycerskości.

Ten to człowiek, na którego uwielbienie Eustachia nie zwracała dziś uwagi, którego dobre życzenia ledwo raczyła przyjąć, którego wyprowadziła z domu kuchennymi drzwiami — posiadał jedenaście tysięcy funtów, solidne wykształcenie zawodowe, odbywał praktykę u inżyniera.

Eustachia była tak przejęta losem Wildeve'a, że zupełnie zapomniała, o ile bliższy jest jej los Clyma, i zamiast iść wprost na spotkanie męża, usiadła na kamieniu. Rozmyślenia jej zakłócił czyjś głos i obróciwszy głowę dostrzegła tuż za sobą swego dawnego kochanka i dziedzica fortuny.

Siedziała dalej na kamieniu, ale zmiana wyrazu jej twarzy zdradziłaby każdemu, kto znał ją tak dobrze jak Wildeve, że właśnie o nim myśli.

— Skąd się tu wzięłeś? — zapytała swym niskim, czystym głosem. — Sądziłam, że jesteś w domu.

— Wyszędłszy z twojego ogrodu udałem się na wieś, a teraz właśnie stamtąd wracam. To wszystko. Czy mogę zapytać, w którą stronę idziesz? Machnęła ręką w kierunku Blooms-End.

— Na spotkanie męża. Zdaje się, że napytałam sobie biedy, kiedy byłeś u mnie.

— Jakim sposobem?

— Bo nie wpuściłam pani Yeobright.

— Mam nadzieję, że moja wizyta ci nie zaszkodziła.

— Nie, to nie z twojej winy — oświadczyła spokojnie. Wstała i bezwiednie ruszyli razem wolnym krokiem, milcząc.

— Chyba muszę złożyć ci gratulacje — odezwała się po chwili Eustachia.

— Z jakiego powodu? Aha, masz na myśli moje jedenaście tysięcy. No cóż, skoro nie mogę mieć czegoś innego, muszę być zadowolony, że to dostałem.

— Wygląda, jakby ci na tym nie zależało. Dlaczego mi nie powiedziałaś, kiedy przyszedłeś w południe? — zapytała tonem osoby, którą zlekceważono. — Dowiedziałam się przez przypadek.

— Miałem zamiar ci powiedzieć — tłumaczył się Wildeve. — Ale... no dobrze, powiem szczerze... odeszła mnie ochota, Eustachio, kiedy zobaczyłem, że twoja gwiazda nie świeci najjaśniejszym blaskiem. Na widok twojego męża, który leżał jak człowiek wyczerpany ciężką pracą, poczułem, że chętnie się fortuną byłoby zupełnie nie na miejscu. Kiedy jednakże stałem tam koło niego, nie mogłem się oprzeć uczuciu, że pod wieloma względami on jest ode mnie bogatszy.

A wtedy Eustachia powiedziała z ukrytą złośliwością:

— Co? Zamieniłbyś się z nim? Dałbyś za mnie swój majątek?

— Na pewno — odparł. •?

— Skoro ponosi nas wyobraźnia i myślimy o rzeczach niemożliwych i absurdalnych, może lepiej zmienmy temat.

— Zgoda. Jeśli zechcesz słuchać, opowiem ci, jakie mam plany na przy-

210

j

szłość. Zainwestuję dziewięć tysięcy funtów, tysiąc zatrzymam jako gotówkę, a za pozostały tysiąc będę podróżować przez rok lub dłużej.

— Będiesz podróżować? Co za wspaniały pomysł! A gdzie pojedziesz?

— Najpierw do Paryża, gdzie spędzę zimę i wiosnę. Potem, nim nadejdą upały, zwiedzę Włochy, Grecję, Egipt i Palestynę. W lecie udam się do Ameryki, a później, choć tego jeszcze nie ustaliłem dokładnie, do Australii i Indii. Wtedy

będę mieć już dosyć podróży. Wrócę pewno do Paryża, gdzie zostanę tak długo, jak pozwolą pieniądze.

— Wrócisz do Paryża — powiedziała te słowa szeptem przypominającym westchnienie. Nigdy nie mówiła Wildeve'owi o swych paryskich marzeniach, rozbudzonych opowiadaniem Clyma, a teraz on znalazł się mimo woli w sytuacji pozwalającej je spełnić!

— Bardzo ci się podoba Paryż? — zapytała.

— O tak. Według mnie to najpiękniejsze miasto świata.

— I według mnie też. Czy Tomasina pojedzie z tobą?

— Tak, jeśli zechce. Może będzie wolała zostać w domu.

— Ty więc będziesz podróżował, a ja będę siedzieć tutaj.

— Chyba tak. Ale wiadomo, czyja to wina.

— Nie oskarżam ciebie — rzuciła szybko.

— Och, a tak mi się właśnie zdawało. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci ochota mnie o to oskarżać, przypomnij sobie pewien wieczór, kiedy to obiecałaś się ze mną spotkać przy Rainbarrow i się nie zjawiłaś. Przysłałaś mi list. Czytałem go z takim bólem serca, jakiego ty, mam nadzieję, nigdy nie doznasz. To nas rozdzieliło. A potem zrobiłem coś w uniesieniu... Ale ona jest dobrą kobietą, i nie powiem nic więcej.

— Wiem, że wówczas wina leżała po mojej stronie — powiedziała Eustachia. — Ale nie zawsze tak było. Jestem jednakże, na moje nieszczęście, zbyt impulsywna. O, Damonie, nie rób mi więcej wyrzutów, nie zniosę tego.

Przeszli w milczeniu prawie trzy mile, po czym Eustachia nagle zapytała:

— Czy nie zszedłeś ze swej drogi, panie Wildeve?

— Dziś wieczór każda droga jest moją drogą. Pójdę z tobą aż do wzgórza, z którego widać Blooms-End, bo robi się już późno i nie powinnaś iść sama.

— Nie martw się. W ogóle nie powinnam być poza domem. Lepiej, żebyś nie odprowadzał mnie dalej. Wyglądałoby to dziwnie, gdyby ktoś nas zobaczył.

— A więc dobrze, zostawię cię samą. — Niespodziewanie ujął jej rękę i ucałował po raz pierwszy od czasu jej małżeństwa. — A co tam za światło widać na górze? — dodał, jak gdyby chcąc odwrócić uwagę od tej pieszczoty.

Eustachia spojrzała i spostrzegła migotliwy blask ogniska padający z pobliskiej szopy, pozbawionej z jednej strony ściany. Najwidoczniej w tej pustej zazwyczaj ruderze ktoś się teraz zatrzymał.

— Skoro doszedłeś już tak daleko — zaproponowała — czy nie zechciałbyś przeprowadzić mnie koło tej szopy? Myślałam, że spotkam gdzieś tu Clyma, ale ponieważ go nie widzę, muszę się pośpieszyć, żeby dojść do Blooms-End, nim stamtąd wyjdzie.

Podeszli do owej szopy z darni, a kiedy byli już niedaleko, blask ognia z zapalanej wewnątrz latarni ukazał wyraźnie postać kobiety leżącej na posłaniu z paproci i stojącą koło niej grupę wieśniaków z wrzosowiska. Dopiero kiedy znaleźli się zupełnie blisko, Eustachia poznała w leżącej postaci panią Yeobright i męża w stojącym obok mężczyźnie. Momentalnie zacisnęła dłoń na ramieniu Wildeve'a, dając mu znak, aby się odsunął od otwartej strony szopy i ukrył w cieniu.

— To mój mąż i jego matka — szepnęła w podnieceniu. — Co to znaczy? Może pójdziesz zobaczyć?

Odszedł od niej i stanął przy tylnej ścianie szopy.

Wkrótce Eustachia dostrzegła, że na nią kiwa, więc podeszła do niego i stanęła obok.

— To jakiś poważny wypadek — oświadczył Wildeve.

Z miejsca, gdzie stali, mogli słyszeć, co działo się wewnątrz.

— Nie mam pojęcia, gdzie mogła iść — mówił do kogoś Clym. — Musiała przejść kawał drogi, ale nawet przed chwilą, kiedy jeszcze była w stanie mówić, nie chciała mi powiedzieć, dokąd szła. Co pan naprawdę myśli o jej stanie?

— Jest się czego obawiać — padła posępna odpowiedź, a po brzmieniu głosu Eustachia poznała, że wymówił te słowa jedyny w tej okolicy lekarz. — Ucierpiała trochę z powodu ukąszenia żmii, ale najgroźniejszą rzeczą jest krańcowe wyczerpanie. Odnoszę wrażenie, że musiała iść bardzo długo.

— Zawsze jej mówiłem, żeby się nie przemęczała w taki upał — mówił udręczony Clym. — A czy pan doktor sądzi, że dobrze zrobiliśmy stosując olej ze żmij?

— No cóż, to bardzo stara metoda leczenia, używana, o ile wiem, przez łowców żmij — odparł doktor. — Jako o niezawodnym środku wspominają o tym w swych pracach Hoffman, Mead i chyba Abbe Fontana. Na pewno to najlepsze, co mogliście zrobić, chociaż przypuszczam, że i inny olej byłby równie skuteczny.

— Chodźcie, chodźcie! — dał się nagle słyszeć pełen przejęcia kobiecy głos, a potem kroki Clyma i doktora, spieszących z głębi szopy ku posłaniu pani Yeobright.

— Czyj to głos? — szepnęła Eustachia.

— Tomasiny — odparł Wildeve. — A więc po nią posłali. Zastanawiam się, czy nie lepiej, żebym tam wszedł... chociaż może nie.

Przez długą chwilę w szopie panowało absolutne milczenie; przerwał je Clym pytając pełnym rozpaczy głosem:

— Panie doktorze, co to znaczy? Doktor nie od razu odpowiedział.

— Ona już odchodzi — rzekł wreszcie. — Serce miała chore, a to zmęczenie zadało mu ostatni cios.

Rozległo się łkanie kobiet, po czym nastąpiło milczące wyczekiwanie. Posłyszeli zduszone okrzyki i jakieś dziwne, gwałtowne westchnienie. Zapadła martwa cisza.

— Już koniec — szepnął doktor.

— Pani Yeobright umarła — szeptali w głębi szopy wieśniacy.

212

W tej samej chwili Eustachia i Wildeve zauważyli, że ku otwartej stronie szopy idzie drobna postać dziecka. Zuzanna Nunsuch, matka chłopczyka, zbliżyła się i skinęła na niego, żeby wracał.

— Muszę ci coś powiedzieć, mamó — zawołał piskliwym głosikiem. — Ta kobieta, co tutaj śpi, szła dzisiaj ze mną i mówiła, żebym powiedział, że ją widziałem, i że ma złamane serce, bo syn ją odtrącił, i potem wróciłem do domu.

Dobiegło ich spazmatyczne łkanie, które wydarło się z piersi mężczyzny.

Eustachia gwałtownie chwyciła oddech.

— To Clym... muszę iść do niego... ale jak się odważyć? Nie. Chodźmy stąd!

Kiedy oddalili się od szopy, powiedziała ochryłym głosem:

— Zawiniłam. Czekają mnie złe dni.

— Nie dostała się więc do waszego domu?

— Nie, i w tym tkwi przyczyna wszystkiego. O, co ja zrobię! Nie będę się im narzucać. Dameronie, do widzenia! Nie jestem w stanie z tobą rozmawiać.

Rozstali się, a kiedy Eustachia doszła do następnego pagórka, obejrzała się za siebie. Smutny pochód posuwał się w świetle latarni od szopy ku Blooms-End. Wildeve'a nigdzie nie było widać.

Księga piąta

ODKRYCIE

i

“PO CO SIĘ DAJE ŻYCIE STRAPIONYM...” *

Pewnego wieczoru, w trzy tygodnie po pogrzebie pani Yeobright, kiedy srebrna tarcza księżycy słała pęk promieni wprost na podłogę domu Clyma w Alderworth, z

głębi domostwa wyszła kobieta. Oparła się o furtkę ogrodu, jak gdyby szukając odpoczynku. Błady blask księżycowy, który i z wiedźmy potrafi zrobić urodziwą, tej twarzy, z natury pięknej, użyczył niebiańskiej wzniosłości.

Stała tak krótką chwilę, kiedy jakiś mężczyzna nadszedł drogą i zwrócił się do niej z pewnym wahaniem:

— Jak on się miewa dziś wieczór, jeśli można zapytać?

— Czuje się lepiej, ale jeszcze nie jest zdrow, Humphreyu — odparła Eustachia.

— Czy mający, proszę pani?

— Nie. Teraz mówi rozsądnie.

— A czy wciąż tak samo rozpacza po matce, biedaczysko? — wypytywał Humphrey.

— Wciąż tak samo, ale już nie tak gwałtownie — odparła cicho.

— Nieszczęście chciało, że ten chłopiec, Johnny, powtórzył mu słowa umierającej matki o jej złamanym sercu i o synu, który ją odtrącił. To może każdego doprowadzić do rozpaczy.

Eustachia nic nie odrzekła, ale wstrzymała na chwilę oddech jak ktoś, kto chętnie by coś powiedział, ale nie może. Humphrey widząc, że gospodyni nie jest skłonna do dalszej rozmowy, ruszył dalej w drogę.

Eustachia odwróciła się, weszła do domu i skierowała swe kroki ku frontowej sypialni, gdzie paliło się przyćmione światło. Na łóżku leżał Clym, blady, wymizierowany, w pełni przytomny, miotając się na pościeli. Oczy mu świeciły gorączkowym blaskiem, jak gdyby trawione ogniem.

— To ty, Eustachio? — zapytał, kiedy usiadła.

— Tak, Clymie. Byłam przy furtce. Księżyc pięknie świeci i ani jeden liść się nie porusza.

— Księżyc świeci, powiadasz? Po co księżyc człowiekowi takiemu jak ja? Niech sobie świeci, niech się dzieje, co chce, byłem ja już nie oglądał nowego dnia!

Eustachio, nie wiem, gdzie wzrok skierować, myśli przeszywają mnie jak miecze.

O, jeśli ktoś chce unieśmiertnić swe imię malując obraz człowieka nieszczęśliwego, niechaj tu przyjdzie!

— Dlaczego tak mówisz?

* Księga Hioba, V, 20.

214

•!'

i

— Nie mogę się opędzić myśli, że robiłem, co mogłem, żeby ją zabić.

— Nie, dymie.

— Tak właśnie było, daremnie chcesz mnie usprawiedliwić! Zachowałem się w stosunku do niej okropnie... nie zrobiłem nic, żeby się z nią pojednać, a ona nie potrafiła mi wybaczyć. Teraz nie żyje! Gdybym tylko wcześniej wyciągnął do niej rękę i gdybyśmy żyli w przyjaźni, to nawet jej śmierć łatwiej mógłbym znieść. Nigdy jednak nie zbliżyłem się do jej domu, w rezultacie ona nie odwiedziła mojego i nie wiedziała, z jaką radością zostałaby przyjęta... to właśnie mnie dręczy. Tego wieczoru nie zdawała sobie sprawy, że właśnie do niej szedłem, bo była na wpół przytomna i nie mogła mnie zrozumieć. Gdyby tylko zechciała do mnie przyjść. Marzyłem, że przyjdzie. Ale stało się inaczej. Z ust Eustachii wydarło się jedno z tych westchnień, które wstrząsnęły całą jej postacią, jak niosący zarazę podmuch wiatru. Dotąd mu nie wyznała prawdy. Clym jednak był zbyt pochłonięty bezładną gadaniną, wpływającą z jego żalosego stanu, aby to zauważyć. W czasie choroby nieustannie w ten sposób rozprawiał. Do początkowego głębokiego smutku przyłączyła się rozpacz, gdy chłopiec, który słyszał ostatnie słowa pani Yeobright — słowa zbyt gorzkie, wypowiedziane w godzinie rozgoryczenia — tak niefortunnie je wyjawiał.

Nieszczęście przytoczyło Clyma i pragnął śmierci, jak zniwiarz pragnie cienia. Żalony widok przedstawiał ów człowiek wtracony w otchłań boleści. Nie przestawał lamentować nad tym, że zwlekał z pójściem do matki — co było błędem nie do naprawienia — i z uporem twierdził, iż jakiś szatan musiał go opętać, skoro nie pomyślał wcześniej o obowiązku odwiedzenia matki, jeśli ona nie przychodziła. Prosił żonę, żeby potwierdziła jego samooskarżenia, a kiedy Eustachia, dręczona tajemnicą, której nie chciała mu zdradzić, oświadczyła, że nie może wyrazić swej opinii, mówił:

— To dlatego, że nie znałaś mojej matki. Zawsze była gotowa wybaczyć, gdy ją o to proszono, ale we mnie dopatrzyła się uporu dziecka i dlatego zrobiła się nieustępliwa. A właściwie nie była nieustępliwa, ale dumna i zamknięta w sobie, nic więcej... Teraz rozumiem, dlaczego tak długo trwała w uporze: ona na mnie czekała. Zapewne setki razy mówiła sobie w swoim smutku: “Tak mi odpłaca za wszystkie moje poświęcenia”. A ja do niej nie poszedłem! Kiedy wyruszyłem w drogę, było już za późno. Nie mogę znieść tej myśli!

Czasami znajdował się w stanie wyrzutów sumienia posuniętych do ostatecznych granic, nie złagodzonych ani jedną łzą smutku. Wówczas wił się w gorączce wywołanej raczej przez te myśli niż dolegliwości fizyczne.

— Gdybym tylko miał pewność, że nie umierała w przekonaniu, jakobym chował urazę — powiedział pewnego dnia, będąc w tym nastroju — cieszyłbym się bardziej niż z nadziei na niebo. Ale to niemożliwe.

— Za bardzo się poddajesz rozpacz, która rujnuje ci zdrowie — perswadowała Eustachia. — Matki innych ludzi też umierają.

— Moja strata nie staje się przez to lżejsza. A właściwie nie tyle sama strata, co jej okoliczności. Zgrzeszyłem przeciwko matce i dlatego nie ma dla mnie nadziei.

215— Wydaje mi się, że ona zgrzeszyła przeciwko tobie.

— Nie, to była moja wina i niech na moją głowę spadnie jej brzemię!

— Powinieneś się chyba zastanowić przed powiedzeniem takich słów — odparła Eustachia. — Mężczyzna nieżonaty, owszem, ma prawo przeklinać siebie, ile mu się podoba, ale żonaty wciąga i drugą osobą w nieszczęście, którego się doprasza.

— Jestem w tak pożałowania godnym stanie, że nie mogę pojąć, do czego zmierzasz

— odparł nieszczęśnik. — I dzień, i noc oskarżają mnie: “Przyczyniłeś się do jej śmierci”. Ale przyznaję, że w tym obrzydzeniu do samego siebie mogę być dla ciebie niesprawiedliwy, moja biedna żono. Wybacz mi, Eustachio, bo wprost nie wiem, co czynię.

Eustachia nie miała ochoty oglądać męża w tym stanie, bo był to dla niej widok równie straszny jak scena sądu dla Judasza. Stawało jej wtedy przed oczyma widmo strudzonej kobiety pukającej do drzwi, których ona nie chce otworzyć. Wzdrygała się na samą myśl o tej scenie. Dla Clyma jednak lepiej było, gdy mówił szczerze o przejmującym go żalu, bo w milczeniu cierpiał nieskończenie boleśniej. Czasami pozostawał tak długo w pełnym niepokoju rozmyślanii, trawiony ogniem dręczących go wyrzutów, że należało koniecznie zmusić go do głośnego ich wypowiedzenia, aby w tym wysiłku ból wyładował się choć częściowo.

Nie upłynęło wiele czasu od powrotu Eustachii z ogrodu, gdy przed domem dały się słyszeć czyjeś ciche kroki i służąca oznajmiła przybycie To-masiny.

— Och, Tomasina! Dziękuję, że przyszłaś — powiedział Cym, gdy stanęła na progu.

— Oto ja w całej okazałości. Taki ze mnie obraz nieszczęścia, że rad bym uniknąć pokazywania się komukolwiek z bliskich, chyba nawet tobie.

— Nie powinieneś mnie unikać, drogi dymie — oświadczyła poważnie Tomasina słodkim głosem, który dla cierpiącego był tym, czym powiew świeżego powietrza dla zamkniętych w Black Hole*. — Niczym nie mógłbyś nigdy zrazić mnie czy

odstraszyć. Byłam już tu wcześniej, choć tego nie pamiętasz.

— Owszem, pamiętam. Nie jestem w delirium ani nigdy nie byłem. Nie wierz, jeśli ci to ktoś powie. Znalazłem się na dnie nieszczęścia z własnej winy i dlatego, będąc w dodatku chorym, wydaję się szalony. Ale umysł mam zdrowy. Czy sądzisz, że pamiętałbym tak dokładnie śmierć mojej matki, gdybym stracił rozum? Nie przytrafiło mi się takie szczęście. Tomasino, moja matka spędziła dwa i pół miesiąca... ostatnie dwa i pół miesiąca swego życia... w samotności, udreće i w żałobie z mojego powodu, a ja jej nie odwiedziłem, choć mieszkałem zaledwie pięć mil od niej. Dwa i pół miesiąca... siedemdziesiąt pięć razy słońce wstawało i zachodziło, a matka, opuszczona, wciąż musiała prowadzić takie życie, na jakie i psa trudno skazać! Biedni ludzie, którzy nie mieli z nią nic wspólnego, zadbaliby o nią i odwiedzili, gdyby wiedzieli, że jest chora i samotna, a ja, który powinienem być dla niej wszystkim, trzy-

* Loch w Kalkucie, w którym ze stu czterdziestu pięciu więźniów, zamkniętych 20 czerwca 1756, stu dwudziestu trzech zmarło z braku powietrza.

216

małem się z dala jak nędzny kundel. Jeśli Bóg jest sprawiedliwy, niech ześle na mnie śmierć. Prawie mnie oślepił, ale to za mało. Jeśli ześle mi sroższe cierpienie, uwierzę w Niego na wieki!

— Cicho, cicho! Błagam cię, błagam, dymie, nie mów takich rzeczy! — prosiła Tomasina, lejąc łzy i szlochając z przerażenia. W przeciwnym końcu pokoju Eustachia skręcała się na krześle, choć blada jej twarz pozostała spokojna. Clym mówił dalej, nie zważając na kuzynkę:

— Ale nie jestem wart, żeby niebiosy zesłały mi jeszcze jeden znak potępienia. Czy sądzisz, Tomasino, że ona mnie poznała, że nie zmarła w tym okropnym błędnym przekonaniu, że jej nie wybaczyłem, w przekonaniu, które — nie wiem dlaczego — powzięła. Gdybyś tylko mogła mnie o tym zapewnić! Jak myślisz, Eustachio? Odezwijcie się do mnie!

— Mogę cię zapewnić, że w końcu myślała inaczej — powiedziała Tomasina. Pobladła Eustachia nie wyrzekła słowa.

— Dlaczego więc do mnie nie przyszła! Byłbym ją przyjął i okazał, jak ją kochani mimo wszystko. Ale ona nie przyszła, ja nie poszedłem do niej, i umierała na wrzosowisku jak sponiewierane zwierzę, nie mając przy sobie nikogo, kto by jej pomógł, a potem było już za późno. Gdybyś mogła ją zobaczyć, Tomasino, tak jak ja widziałem... nieszczęśliwą, umierającą kobietę, leżącą w ciemnościach na gołej ziemi! Jęczała, a nikt nie słyszał, bo nikogo nie było w pobliżu. Myślała, że wszyscy ją opuścili... Ten widok przejąłby cię rozpaczą... wzruszyłby zwierzę. A ta biedna kobieta to moja matka! Nic dziwnego, że powiedziała dziecku: "Widzisz kobietę, która ma złamane serce". W jakim musiała być stanie, żeby powiedzieć takie słowa! A kto tego dokonał, jeśli nie ja? To zbyt straszne, żeby o tym myśleć, i szkoda, że nie zostałem jeszcze ciężiej ukarany. Jak długo byłem, jak to mówią, bez rozumu?

— Chyba tydzień.

— A potem się uspokoilem?

— Tak, na cztery dni.

— A teraz staciłem spokój.

— Staraj się jednak uspokoić, proszę cię, a wkrótce nabierzesz sił. Gdybyś tylko mógł usunąć ten obraz z pamięci...

— Tak, tak — przerwał jej niecierpliwie. — Tylko że ja nie chcę być silny. Po co mam wyzdrowieć? Lepiej dla mnie, gdybym umarł, a z pewnością byłoby lepiej dla Eustachii. Czy ona jest tutaj?

— Tak.

— Czy dla ciebie, Eustachio, byłoby lepiej, gdybym umarł?

— Nie stawiaj mi takich pytań, kochany Clymie.

— No cóż, w rzeczywistości to mało prawdopodobne. Na nieszczęście, będę żył. Czuję, że zdrowieję. Tomasino, jak długo pozostaniecie w oberży, teraz gdy twój mąż ma tyle pieniędzy?

— Pewno miesiąc lub dwa, dopóki moja słabość nie minie. Wcześniej nie wyjedziemy. Chyba około miesiąca lub trochę dłużej.

— No, tak, oczywiście. Ach, kuzynko Tomasino, uwolnisz się od swoich kłopotów... jeden krótki miesiąc, a będziesz od nich wolna i otrzymasz coś na 217pociechę, ale ja nigdy nie uwolnię się od moich i nigdy nie spłynię na mnie pociecha.

— dymie, jesteś dla siebie niesprawiedliwy. Wierzaj mi, ciocia myślała o tobie życzliwie. Wiem, że gdyby żyła, doprowadziłbyś do zgody.

— Ale nie przyszła, choć pytałem ją przed ślubem, czy przyjdzie. Gdyby przyszła albo gdybym ja tam poszedł, nigdy nie umierałaby ze słowami: “Jestem kobietą z złamanym sercem, odtrąconą przez syna”. Moje drzwi zawsze stały dla niej otworem, zawsze byłaby tu mile powitana. Ale nigdy się o tym nie przekonała.

— Lepiej nie mów już więcej, dymie — odezwała się Eustachia słabym głosem z drugiego końca pokoju, bo nie mogła już dłużej znieść tej sceny.

— Pozwól, żebym ja mówiła zamiast ciebie przez ten krótki czas, kiedy tu jeszcze zostanę — odezwała się Tomasina łagodząco. — Zastanów się, dymie, jak jednostronnie patrzysz na całą sprawę. Powiedziała te słowa temu chłopczykowi, zanim ją odnalazłeś i wziąłeś na ręce. Mogły być wypowiedziane w chwili goryczy. Ciocia nieraz mówiła porywczo. Czasami i do mnie tak się odezwała. Chociaż nie przyszła do ciebie, jestem pewna, że o tym myślała. Czy sądzisz, że matka potrafi przez dwa lub trzy miesiące ani razu nie pomyśleć, że wybacza synowi? Mnie przebaczyła, dlaczego więc miałyby nie przebaczyć tobie?

— Starłaś się odzyskać jej uczucie, a ja nic nie robiłem w tej sprawie. Ja, który miałem uczyć ludzi tajemnic wyższej szczęśliwości, nie wiedziałem, jak ustrzec się pospolitego nieszczęścia, któremu najwięksi prostacy potrafią zapobiec.

— Jak się tu dziś dostałaś, Tomasino? — zapytała Eustachia.

— Damon dowiózł mnie do ścieżki. Pojechał w interesach do East Egdon i niedługo tu po mnie wróci.

I rzeczywiście wkrótce usłyszeli turkot kół. Wildeve nadjechał i czekał w dwukółce przed domem.

— Poślij, proszę, dziewczynę, i niech mu powie, że zaraz wyjdę — poprosiła Tomasina.

— Pójdę sama — oświadczyła Eustachia.

I tak zrobiła. Wildeve wysiadł z pojazdu i stał przy koniu, kiedy otworzyła drzwi. Nie odwracał się przez chwilę, myśląc, że przyszła Tomasina. Potem spojrzął, drgnął i rzucił dwa słowa:

— I co?

— Jeszcze mu nie powiedziałam — odparła szeptem.

— A więc nie mów nic, póki nie wyzdrowieje. To może mieć fatalne skutki. Sama jesteś chora.

— Jestem nieszczęśliwa... O, Damonie! — szepnęła płacząc. — Ja... ja nawet nie umiem ci powiedzieć, jaka jestem nieszczęśliwa! Wprost znieść tego nie mogę! Nikomu nie mówię o moich kłopotach. Nikt o nich nie wie prócz ciebie!

— Biedna dziewczyno! — rzekł Wildeve wzruszony jej nieszczęściem, ujmując ją za rękę. — Ciężki to los, skoro bez własnej winy wplątałaś się w taką sieć. Nie do takich smutnych scen zostałaś stworzona. Ja jestem najbardziej winien. Czemuż

nie potrafiłem cię przed tym uchronić!

218

— Damonie, błagani, powiedz mi, co mam robić? Dalej siedzieć przy nim godzinami, słuchać, jak sobie wyrzuca, że stał się przyczyną śmierci matki, i dręczyć się myślą, że to ja jestem tym grzesznikiem, jeśli ktokolwiek z ludzi nim jest? To mnie doprowadza do rozpacz. Nie wiem, co robić. Powinnam mu powiedzieć czy też milczeć? Ciągłe zadaję sobie to pytanie. I chcę mu powiedzieć, i zarazem się boję. Jeśli się o tym dowie, na pewno mnie zabije, bo tylko to uznałby za zadośćuczynienie. Gdy na niego patrzę, brzmią w mych uszach słowa: “Strzeż się gniewu człowieka cierpliwego”.*

— Poczekaj więc, aż będzie się czuł lepiej, i zaufaj chwili. A kiedy będziesz mówić, nie mów mu wszystkiego... — przez wzgląd na niego samego.

— O czym mam nie mówić? Wildeve milczał przez chwilę.

— O tym, że byłem wtedy w jego domu — wyjaśnił cicho.

— Słusznie. Ten fakt trzeba ukryć, bo co ludzie powiedzą. O ileż łatwiej zrobić coś nierozważnie, niż znaleźć słowa usprawiedliwienia!

— Gdyby on umarł... — szepnął Wildeve.

— Nie myśl o tym! Nawet gdybym go nienawidziła, nie chciałabym zdobyć najśłabszej nadziei bezpieczeństwa za cenę tak nikczemnego pragnienia. A teraz wracam do niego. Tomasina prosiła, żeby ci powiedzieć, że wyjdzie za parę minut. Do widzenia.

Wróciła do domu, a wkrótce zjawiła się Tomasina. Kiedy siedziała w gigu z mężem, Wildeve, zawracając konia, podniósł wzrok na okna sypialni. W jednym z nich dostrzegł bladą, tragiczną twarz kobiety obserwującej jego odjazd. Była to Eustachia.

II PONURE ŚWIATŁO ŚWITA W ZAMROCZONYM UMYŚLE

Smutek Clyma wypalił się i złagodniał. Wróciły mu siły i w miesiąc po odwiedzinach Tomasiny można go było widzieć spacerującego po ogrodzie. Cierpliwość i rozpacz, równowaga ducha i przygnębienie, barwy zdrowia i bladeść choroby mieszały się dziwnie na jego twarzy. Zachowywał teraz nienaturalne milczenie na temat wydarzeń z przeszłości, które tyczyły jego matki, i chociaż Eustachia wiedziała, że myśli o niej nadal, rada była, że może uniknąć tego tematu, więc nigdy go nie poruszała. Kiedy władze umysłowe miał osłabione, serce kazało mu mówić, gdy rozsądek powrócił, Clym zapadł w milczenie.

Pewnego wieczoru, kiedy stał w ogrodzie, w zamyśleniu dziobiąc łaską jakiś chwast, czyjaś koścista postać wyszła zza węgła domu i zbliżyła się ku niemu.

— To ty, Christianie, prawda? — spytał Clym. — Dobrze, że mnie odnalazłeś.

Chciałbym, żebyś niedługo wybrał się ze mną do Blooms-End i po-
Cytat z utworu satyrycznego Johna Drydena pt. Absalom i Architofel.

219mógł mi doprowadzić dom do porządku. Czy jest zamknięty, tak jak go zostawiłem?

— Tak, panie dymie.

— Wykopałeś już chyba kartofle i inne okopowe?

— A jakże. I nie spadła jedna kropla deszczu, dzięki Bogu. Ale przyszedłem, żeby powiedzieć panu o czymś zupełnie innym niż to, co ostatnio mieliśmy w rodzinie. Przysłał mnie tu bogaty pan z oberży, nazywany dziedzicem, z wiadomością, że pani Wildeve czuje się dobrze po urodzeniu córeczki, która przyszła na świat punktualnie o pierwszej w południe, czy też coś w tym rodzaju. Podobno dlatego, że czekali na powiększenie rodziny, opóźnili swój wyjazd po odziedziczeniu pieniędzy.

— Powiadasz, że ona czuje się dobrze?

— Tak, proszę pana. Tylko w kuchni mówią, że pan Wildeve ma kwaśną minę, bo to

nie chłopiec, ale ja tego nie spostrzegłem.

— A teraz, Christianie, posłuchaj, co ci powiem.

— Ma się rozumieć, panie Yeobright.

— Czy widziałeś moją matkę w przeddzień jej śmierci?

— Nie, nie widziałem.

Na twarzy Clyma odmalowało się rozczarowanie.

— Alem widział panią rano tego samego dnia, kiedy umarła. Spojrzenie Clyma rozjaśniło się.

— To jeszcze dla mnie lepiej.

— Ba, wiem, że to było tego samego dnia, bo pani powiedziała: “Idę go odwiedzić, Christianie, więc nie przynoś mi warzyw na obiad”.

— Odwiedzić? Kogo?

— Odwiedzić pana. Szła do pańskiego domu, rozumie pan? Clym patrzył na Christiana z ogromnym zdziwieniem.

— Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałeś? — zapytał. — Jesteś pewien, że szła do mojego domu?

— No tak. Nic nie mówiłem, bo ostatnio pana nie widziałem. Jak tam nie doszła, to wszystko na nic i nie było o czym mówić.

— A ja się zastanawiałem, gdzie też mogła iść wrzosowiskiem w tak gorący dzień! Czy powiedziała, po co tam szła? To jest, Christianie, rzecz, na której mi bardzo zależy.

— Pojmuję, panie dymie. Nie powiedziała tego mnie, ale chyba mówiła temu i owemu.

— Czy znasz jakąś osobę, z którą rozmawiała?

— Jest ktoś taki, proszę pana, ale mam nadzieję, że pan mu nic o mnie nie powie, bo widziałem go w dziwnych miejscach, zwłaszcza we śnie. Jednej nocy w lecie przeszywał mnie strasznym wzrokiem. Takiego napędził mi strachu, że te moje marne włosy stanęły mi dęba i przez dwa dni nie mogłem ich uczesać. Stał, panie Yeobright, jakby w połowie ścieżki do Mistover i pańska matka nadeszła i taka była blada...

— A kiedy to było?

— Latem, we śnie.

— Ach! Co to za człowiek?

220

— Diggory, sprzedawca czerwonej farby. Odwiedził ją i siedział u niej wieczorem, zanim wybrała się do pana. Nie skończyłem jeszcze pracy, kiedy podszedł do furtki.

— Muszę zobaczyć się z Yennem... żałuję, że wcześniej o tym nie wiedziałem — mówił Clym z przejęciem. — Dziwne, dlaczego nie przyszedł mi o tym powiedzieć?

— Wyjechał z wrzosowiska nazajutrz, więc nie mógł wiedzieć, że pan go potrzebuje.

— Christianie — powiedział Clym. — Musisz iść i odszukać Yenna. Sam bym to zrobił, ale jestem czym innym zajęty. Znajdź go natychmiast i powiedz, że muszę z nim porozmawiać.

— Potrafię szukać ludzi za dnia — tłumaczył Christian, rozglądając się niepewnie w gasnącym blasku słońca — ale co do nocy, panie Yeobright, to nie ma nikogo, kto gorzej by to robił ode mnie.

— Przeszukaj wrzosowisko, kiedy chcesz, byłeś go prędko przyprowadził.

Przyprowadź go jutro, jeśli ci się uda.

Christian się oddalił. Nadszedł następny ranek, ale Venn się nie pokazał.

Wieczorem zjawił się Christian, bardzo zmęczony. Poszukiwał sprzedawcy farby przez cały dzień, niczego jednak się o nim nie dowiedział.

— Rozpytuj jutro, ile zdołasz bez zaniechywania pracy — polecił mu Clym. — Nie wracaj, póki go nie znajdziesz.

Nazajutrz Clym wyruszył do starego domu w Blooms-End, który teraz, wraz z ogrodem, należał do niego. Poważna choroba opóźniła aż do tej chwili wszelkie przygotowania do przeprowadzki. Należało jednak udać się tam bezzwłocznie i w charakterze zarządzającego tej niewielkiej posiadłości przejrzeć wszystko, co się na niej znajdowało. W tym celu postanowił spędzić tam noc.

Nie szedł drogą szybko ani zdecydowanie, ale krokiem wolnym, jak ktoś, kto właśnie się zbudził z oszałamiającego snu. Wczesnym popołudniem znalazł się w dolinie. Wygląd okolicy, panujący tu nastrój przypominały liczne podobne okazje z przeszłości i stwarzały do złudzenia wrażenie, że ta, której już nie ma na ziemi, wyjdzie mu na powitanie. Furtka ogrodu i okiennice były zamknięte, tak jak je zostawił w wieczór po pogrzebie. Odemknął furtkę i zobaczył, że pajak uprzął wielką pajęczynę między drzwiami a nadprożem, w nadziei, że nigdy już nie zostaną otwarte. Clym wszedł do domu, rozsunął okiennice i zabrał się do gruntownego przeglądania kredensów, szaf i skrzyń, palenia papierów i rozważania, jak najlepiej urządzić mieszkanie na przyjęcie Eustachii — do czasu, gdy będzie mógł zrealizować tak długo odkładany plan, jeśli w ogóle ten czas nadejdzie.

Rozglądając się po pokojach czuł wielką niechęć do zmian, które należało przeprowadzić w tradycyjnym umeblowaniu rodziców i dziadków, aby dogodzić nowoczesnym upodobaniom Eustachii. Ponury zegar z drzewa orzechowego, z wymalowanym na drzwiczkach Wniebowstąpieniem, a niżej Cudownym połowem ryb, należący do babki narożny kredensik o oszklonych drzwiczkach, przez które widać porcelanę, ręczna winda, drewniane tace do herbaty, wiszący zbiornik na wodę z miedzianym kurkiem — czy wszystkie te szacowne przedmioty trzeba będzie stąd wyrzucić?

221 Spostrzegł, że kwiaty na oknie uschły z braku wody, i wysunął je na zewnętrzny parapet, żeby je potem wyrzucić. Kiedy był tym zaprzątnięty, usłyszał kroki na żwirze i ktoś zapukał do drzwi.

Gdy je otworzył, stanął przed nim Venn.

— Dzień dobry — zagadnął. — Czy zastałem panią Yeobright? Clym wbił wzrok w ziemię.

— Chyba nie widział się pan z Christianem ani z żadnym mieszkańcem Egdonu? — zapytał.

— Nie. Dopiero co wróciłem po długiej nieobecności. Byłem tutaj w przeddzień wyjazdu.

— I nic pan nie słyszał?

— Nie.

— Moja matka... nie żyje.

— Nie żyje! — powtórzył machinalnie Venn.

— Przebywa teraz tam, gdzie i ja chciałbym przebywać. Venn mu się przyjrzał, a potem powiedział:

— Gdybym nie widział pańskiej twarzy, nie uwierzyłbym wcale w to, co pan mówi.

Czy pan chorował?

— Chorowałem.

— Co za zmiana! Kiedy rozstawałem się z nią przed miesiącem, wszystko wskazywało na to, że rozpocznie się dla niej nowe życie.

— I okazało się to prawdą.

— Ma pan rację, bez wątpienia. Choroba nauczyła pana szukania głębszego sensu słów, niż im nadałem. Miałem na myśli jej życie na tym świecie. Umarła za wcześnie.

— Może dlatego, że ja żyję za długo. W ubiegłym miesiącu przeżyłem gorzkie doświadczenie, panie Diggory. Ale proszę wejść, musimy pomówić.

Poprowadził sprzedawcę farby do dużej izby, w której w czasie ubiegłych świąt Bożego Narodzenia odbywała się zabawa taneczna, i zasiedli razem na ławie.

— Widzi pan ten wygasły kominek — zaczął Clym. — Kiedy te wpeł wypalone polana płonęły, ona jeszcze żyła. Niewiele się tu od tej pory zmieniło. Życie moje pełźnie jak ślimak.

— Jak to się stało? — zapytał Venn.

Clym podał mu parę szczegółów śmierci matki i mówił dalej:

— Po tym wszystkim żaden ból nie wyda mi się czymś więcej niż zwykłym niedomaganiem. Zacząłem mówić, że chciałbym pana o coś zapytać, ale zbaczam z drogi jak człowiek pijany. Pragnę wiedzieć, co mówiła matka, kiedy pan się z nią ostatni raz widział? Chyba długo z nią pan rozmawiał?

— Rozmawiałem z nią więcej niż pół godziny.

— O mnie?

— Tak. I to na pewno w związku z tym, o czym mówiliśmy, znalazła się na wrzosowisku. Niewątpliwie szła pana odwiedzić.

— Ale jakże mogła iść mnie odwiedzić, skoro tak gorzkie żywiła dla mnie uczucia. Oto tajemnica.

— Wiem, że całkiem panu wybaczyła.

222

— Ale, Diggory, czyż mogłaby kobieta, która zupełnie przebaczyła synowi, mówić... kiedy szła go odwiedzić i poczuła się źle... że ma przez niego złamane serce? Nigdy!

— Wiem tylko, że zupełnie pana nie obwinała. Winiła siebie, i tylko samą siebie za to, co nastąpiło. Słyszałem to z jej własnych ust.

— Słyszałeś z jej własnych ust, że nie traktowałem jej źle, a jednocześnie ktoś inny słyszał z jej własnych ust coś przeciwnego. Moja matka nie należała do tych impulsywnych kobiet, które zmieniają zdanie z godziny na godzinę. Jakże to mogło być, żeby w ciągu tak krótkiego czasu wypowiedziała tak różne opinie?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Oczywiście, jest to dziwne, skoro przebaczyła panu i pańskiej żonie i szła was odwiedzić, żeby się pojednać.

— Jeśli jeszcze czegoś brakowało, by powstał kompletny zamęt w mej głowie, to właśnie tej zagadki nie do rozwiązania! Diggory, gdyby nam, pozostałym przy życiu, pozwolono porozmawiać ze zmarłymi... choć raz, choć przez minutę, choćby poprzez żelazną kratę, jak w więzieniu... ileż moglibyśmy się dowiedzieć! Jakże wielu ludzi z uśmiechem chodzących po świecie skryłoby się pod ziemię. A ta tajemnica... zgłębiłbym ją od razu. Ale matka na zawsze zamknięta jest w grobie. Jakże ja teraz odkryję prawdę?

Towarzysz nie dał mu żadnej odpowiedzi, bo żadnej dać nie mógł, a w chwilę po jego wyjściu tępy smutek Clyma zamienił się w dręczącą niepewność.

W tym stanie znajdował się całe popołudnie. Sąsiadka posłała mu łóżko, żeby nie musiał iść do domu i wrócić tu nazajutrz, ale kiedy udał się na spoczynek w opustoszałym domostwie, godziny mijały, a on nie spał, rozmyślając wciąż o tym samym. Jak znaleźć rozwiązanie zagadki tej śmierci? To pytanie wydawało mu się ważniejsze niż najbardziej wzniosłe problemy żyjących. Pamięć jego przechowała żywy obraz twarzy chłopczyka, w chwili gdy wchodził do szopy, w której leżała umierająca. Okrągłe, bystro patrzące oczka, piskliwy głosik powtarzający słowa matki Clyma raniły go jak sztylety.

Nasunęła mu się myśl, że odwiedzenie chłopczyka pozwoli mu może poznać nowe szczegóły, chociaż równie dobrze może okazać się bezowocne. Sondowanie pamięci dziecka po upływie sześciu tygodni, i to nie w poszukiwaniu faktów, które

widziało i rozumiało, ale tego, co z samej swej natury jest dla niego niepojęte — nie obiecywało wiele. Z chwilą jednak, kiedy każda oczywista droga jest zamknięta, szukamy po omacku ścieżek wąskich i ciemnych. Nie pozostawało mu nic innego do zrobienia. Po tej próbie pozwoli tajemnicy zatonać w otchłani rzeczy nieodgadnionych.

Prawie już świtało, kiedy powziął tę decyzję. Natychmiast wstał, zamknął dom na klucz i ruszył pasmem łąki, która nieco dalej zlewała się z wrzosowiskiem. Przed ogrodzeniem z białych palików ścieżka dzieliła się na trzy rozgałęzienia. Prawe prowadziło do oberży i sąsiedztwa, środkowe — do Mis-tover Knap, a lewe poprzez wzgórze do innej części Mistover, gdzie mieszkał chłopczyk. Kiedy Clym znalazł się na tej ścieżce, poczuł zimne dreszcze i gęsią skórę, objawy znane większości ludzi, prawdopodobnie wywołane chłodem bezsłonecznego ranka. Później często nadawał temu szczególne znaczenie.

223Kiedy doszedł do chaty Zuzanny Nunsuch, matki chłopczyka, okazało się, że wszyscy jeszcze śpią. Ale w tych wyżej położonych przysiółkach przejście od nocnego spoczynku do dziennej aktywności jest bardzo proste i szybkie. Szczelne zasłony ziewań i strojenia się nie dzielą tu dni od nocy. Clym zastukał laską w parapet okna i po chwili zeszła do niego Zuzanna.

Dopiero wówczas Clym uprzytomnił sobie, że to właśnie ta kobieta zachowała się tak po barbarzyńsku w stosunku do Eustachii. Może to tłumaczyło po części sztywność jej powitania. Co więcej, chłopiec znowu niedomagał, a Zuzanna teraz — podobnie jak zawsze od tego listopadowego wieczoru, kiedy Eustachia kazała mu pilnować ogniska — przypisywała jego choroby jej czarom. Było to jedno z tych uczuć, które kryją się jak krety pod widoczną powierzchnią normalnego zachowania. Może podtrzymała je przy życiu prośba Eustachii, skierowana do kapitana, gdy chciał oskarżyć Zuzannę przed sądem za owo ukłucie w kościele, aby dał temu pokój, co też uczynił.

Clym przemógł w sobie niechęć, bo Zuzanna w każdym razie nie życzyła źle jego matce. Zapytał uprzejmie o chłopca, ale to nie zmieniło jej zachowania.

— Chcę się z nim zobaczyć — oświadczył z pewnym wahaniem Clym — i zapytać go, czy nie pamięta czegoś więcej prócz tego, co już powiedział, o spacerze z moją matką.

Popatrzyła na niego w jakiś szczególny, krytyczny sposób. Każdemu, kto nie byłby na wpół ślepy jak on, spojrzenie jej powiedziało: “Chcesz otrzymać jeszcze jeden z tych ciosów, które już cię powaliły?”

Zawołała na dół chłopca, poprosiła Clyma, by usiadł na stołku i poleciła synkowi:

— Johnny, powiedz panu Yeobrightowi wszystko, co pamiętasz.

— Nie zapomniałeś, jak szedłeś z tą biedną panią w upalny dzień? — zapytał go Clym.

— Nie — odparł chłopczyk.

— Ani tego, co ci mówiła?

Chłopiec powtórzył te same słowa, które powiedział wchodząc do szopy. Clym oparł łokcie o stół i ukrył twarz w dłoniach, a matka chłopczyka patrzyła na niego z takim wyrazem, jak gdyby się dziwiła, że człowiek może chcieć usłyszeć coś więcej o tym, co go dotknęło tak boleśnie.

— Czy szła do Alderworth, kiedy ją spotkałeś?

— Nie, wracała stamtąd.

— To nie może być!

— Tak. Szła ze mną, a ja stamtąd wracałem.

— Gdzie więc ją pierwszy raz zobaczyłeś?

— Przed pana domem.

— Uważaj, byś mówił prawdę! — upomniał go surowo Clym.
— Tak, proszę pana, wpierw ją zobaczyłem przed pana domem.
Clym aż się zachnął, Zuzanna uśmiechnęła się wyczekująco, a uśmiech ten, który nie upiększył jej twarzy, zdawał się mówić: “Teraz nastąpi coś strasznego”.

— Co ona robiła przed moim domem?

224

1

— Poszła i usiadła pod drzewami przy Diabelskim Miechu.
— Wielki Boże! Co za nowina!
— Nigdy mi tego nie mówiłeś — zwróciła się Zuzanna do syna.
— Nie, mam, bo nie chciałem się przyznać, że byłem aż tak daleko. Zbierałem dzikie czereśnie i zaszedłem dalej, niż chciałem.
— A co potem zrobiła? — zapytywał Clym.
— Przyglądała się mężczyźnie, który kręcił się koło pańskiego domu.
— To byłem ja, robotnik ścinający janowiec. Niosłem w ręku gałęzie jeżyny.
— Nie, to nie był pan. To był jakiś dzentelmen. Pan przyszedł wpierw.
— Kto to taki?
— Ja nie wiem.
— Powiedz mi, co stało się potem.
— Biedna pani poszła i zastukała w drzwi, a pani z czarnymi włosami przypatrywała się jej z bocznego okienka.
Matka chłopca zwróciła się do Clyma i powiedziała:
— Tego się pan nie spodziewał?
Clym, jak skamieniały, nie zwracał na nią zupełnie uwagi.
— Mów dalej — powiedział ochryłym głosem do chłopca.
— A kiedy stara pani zobaczyła, że młoda pani wygląda przez okno, wtedy znowu zastukała. A kiedy nikt nie otworzył, podniosła sierp na janowiec i popatrzyła na niego, i położyła go z powrotem, i potem popatrzyła na gałązki jeżyny, i potem odeszła, i szła do mnie, i oddychała bardzo ciężko, o tak. Szliśmy razem, ona i ja, i ja mówiłem do niej, i ona do mnie trochę, ale niedużo, bo trudno jej było oddychać.
— O! — westchnął Clym i skłonił głowę. — Słuchajmy dalej — powiedział.
— Nie mogła dużo mówić i nie mogła iść, a twarz miała, ach, taką dziwną.
— Jaka?
— Jak teraz twarz pana.
Kobieta spojrzała na Clyma i zobaczyła, że twarz ma białą, oblaną zimnym potem.
— Coś w tym jest, prawda? — spytała cicho. — Co pan teraz o niej myśli?
— Milczeć! — zawołał z wściekłością Clym. — I zwracając się do chłopca zapytał:
— A ty zostawiłeś ją samą, żeby sobie umarła?
— Nie, on jej nie zostawił, żeby umarła! — szybko i z gniewem zaprzeczyła kobieta. — Ona go odesłała. Kto mówi, że on ją samą zostawił, mówi nieprawdę.
— Nie ma się czym przejmować — odparł Clym drżącymi wargami. — To, co zrobił, jest drobnostką w porównaniu z tym, co widział. Drzwi zastała zamknięte, mówisz? Drzwi zamknięte i sama wyglądała przez okno? Litościwy Boże! Co to wszystko znaczy?
Dziecko spuściło oczy pod jego spojrzeniem.
— On tak powiedział — odparła matka — a Johnny jest chłopcem bogobojnym i nie kłamie.
— “Odrącona przez syna!” Nie, przysięgam, kochana matko, tak nie było! Ale przez... przez... Niech na wszystkie morderczynie spadną zasłużone męki!
Po tych słowach wyszedł z chatki. Źrenice jego oczu, nic nie widzące, lśniły lodowatym blaskiem, usta miały kształt, jaki z mniejszym lub większym wkładem

wyobraźni odtwarzany bywa w szkicach Edypa. W tym nastroju mógłby dokonać najdziwniejszych czynów* Ale nie w tej sytuacji. Nie miał przed sobą bladej twarzy Eustachii i postaci nieznanego mężczyzny, lecz tylko niewzruszone oblicze wrzosowiska, które oparłszy się kataklizmom wieków, samym widokiem swych pooranych bruzdami, starożytnych rysów sprowadzało do rzędu spraw nieistotnych najstraszliwszy zamęt w duszy jednego człowieka.

III CZARNY RANEK

Nawet Clym w swej szalonej wędrówce do Alderworth nie mógł pozostać nieczuły na niewzruszoną obojętność otaczającej go natury. Doświadczył już kiedyś przemożnego wpływu martwoty krajobrazu na wewnętrzną gorączkę, ale wówczas działała ona uspokajająco na uczucie o wiele słodsze niż to, które go teraz opanowało. Miało to miejsce wtedy, kiedy stał żegnając się z Eustachią na wilgotnych równinach za wzgórzami.

Odrzucił jednak te wspomnienia i szedł dalej ku domowi, aż stanął przed jego frontem. Zastłony w oknach Eustachii były jeszcze zaciągnięte, bo nie lubiła wstawać wcześniej. Jedynym elementem życia był tu samotny drozd, który na kamiennym progu tłukł dziobem skorupkę ślimaczka przeznaczonego na śniadanie. Na tle panującej tu ciszy te postukiwania wydawały się czymś bardzo hałaśliwym. Kiedy Clym podszedł do drzwi, okazało się, że nie są zamknięte na klucz, bo dziewczyna usługująca Eustachii krzątała się już po mieszkaniu. Clym wszedł i skierował się wprost do pokoju żony.

Jego wejście musiało ją przebudzić, bo kiedy otworzył drzwi, stała przed lustrem w nocnej koszuli, trzymając w dłoni końce włosów, gdyż całą ich masę okręcała wokół głowy, co było wstępem do porannej toalety. Nie należała do kobiet, które odzywają się pierwsze przy spotkaniu, i nie odwracała głowy, gdy Clym w milczeniu szedł w jej kierunku. Gdy stanął za nią, zobaczyła w lustrze twarz wynędzniałą, spopieliałą, straszną. Zamiast zwrócić się ku niemu w smutku i zdumieniu, jak nawet ona, żona tak powściągliwa w okazywaniu uczuć, uczyniłaby dawniej, nim zaciążyła nad nią tajemnica, Eustachia nie poruszyła się i nie odrywała wzroku od odbicia jego twarzy. A kiedy tak patrzyła, karminowy blask, którym sen i ciepło nasyciły jej policzki i szyję, począł ustępować, a spłynęła na nie śmiertelna bladość jego twarzy. Stał tak blisko, że to spostrzegł, a ów widok sprowokował go do rozpoczęcia rozmowy.

— Wiesz, o co chodzi — powiedział ochryłym głosem. — Widzę to po twojej twarzy.

226

Dłoń Eustachii puściła pęk włosów i opadła do jej boku; masa loków, nie podtrzymywana już dłużej, zsunęła się na ramiona i białą koszulę. Młoda kobieta nic nie odpowiedziała.

— Powiedz coś — rzucił rozkazująco Clym.

Proces blednięcia jeszcze się nie skończył i wargi jej stały się teraz tak blade jak twarz. Obróciła się do niego i odezwała:

— Dobrze, dymie, pomówię z tobą. Dlaczego wracasz tak wcześniej? Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Tak, posłuchaj tego, co ci powiem. Wydaje mi się, że moja żona nie czuje się zbyt dobrze.

— Dlaczego?

— Twoja twarz, moja droga, twoja twarz. Może to blade światło poranku zgasiło twój rumieniec? A teraz wyjawię ci tajemnicę. Cha, cha!

— To upiorne.

— Co?

— Twój śmiech.

— Nie bez powodu, Eustachio. Trzymałaś moje szczęście w swojej dłoni i po

diabelsku je zdeptałaś.

Cofnęła się od lustra i z odległości kilku kroków podniosła na niego oczy.

— Ach, chcesz mnie nastraszyć — powiedziała z cichym śmiechem. — Czy warto? Jestem bezbronna i sama.

— Jakie to dziwne!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ponieważ mamy dużo czasu, powiem ci, chociaż sama wiesz najlepiej. Chcę stwierdzić, że to dziwne, że jesteś sama w czasie mojej nieobecności. Powiedz mi teraz, gdzie znajduje się ten, który był z tobą po południu trzydziestego pierwszego sierpnia. Pod łóżkiem? W kominie? '

Dreszcz przebiegł ją całą, wstrząsając lekkim materiałem nocnej koszuli.

— Nie pamiętam tak dokładnie dat — odparła. — Nie przypominam sobie, żeby był tu ze mną ktokolwiek prócz ciebie jednego.

— Ten dzień, o którym mówię — głos Clyma brzmiał głośno i chrypliwie — to dzień, w którym zamknęłaś drzwi przed moją matką i tym ją zabiłaś. Och, tego już za wiele... co za zgroza!

Odwrócony do niej tyłem, wspierał się przez chwilę o poręcz łóżka, potem znów się wyprostował.

— Powiedz mi, powiedz mi, powiedz! Słyszysz? — zawołał rzucając się ku niej i chwytając za szeroki rękaw koszuli.

W Eustachii warstwa lęklivosti, która często okrywa tych, co w głębi serca są śmiali i skłonni do buntu, została już zdarta i słowa Clyma odbiły się o pokład odwagi. Krew napłynęła do bladej twarzy.

— Co zamierzasz uczynić? — powiedziała cicho, patrząc na niego z dumnym uśmiechem. — Nie przestraszysz mnie takim zachowaniem, ale szkoda byłoby podrzeć koszulę.

Zamiast ją puścić, przyciągnął bliżej do siebie.

— Opowiedz mi szczegółowo o... o śmierci mojej matki — domagał się ostrym, zdławionym szeptem — bo inaczej ja...

227— Clymie — wymówiła wolno Eustachia — czy chcesz powiedzieć, że ośmielisz się zrobić mi coś, czego nie będę mogła znieść? Ale zanim mnie uderzysz, posłuchaj.

Nie wydobędziesz ze mnie niczego ciosem, choćbym miała od niego umrzeć, co jest prawdopodobne. Może jednak nie życzysz sobie, żebym mówiła... może chcesz tylko mnie zabić?

— Zabić cię! Czy tego się spodziewasz?

— Tak.

— Dlaczego?

— Mniejszy przejaw gniewu nie zrównoważyłby twego poprzedniego bólu z powodu jej utraty.

— Ph!... nie zabiję cię — powiedział pogardliwie, jak gdyby zmieniając nagle zamiar. — Myślałem o tym, ale nie zabiję cię! Zrobiłbym z ciebie męczennicę i posłał cię tata, gdzie ona przebywa, a ja, gdybym mógł, do skończenia świata trzymałbym cię od niej z dala.

— Szkoda, że mnie nie zabijesz — stwierdziła z ponurą goryczą. — Zapewniam cię, że bez większej radości odgrywam rolę, jaką ostatnio muszę grać na tej ziemi. Nie jesteś błogosławieństwem, mój mężu.

— Zamknęłaś drzwi... wyjrzałaś na nią z okna... był u ciebie mężczyzna... posłałaś ją na śmierć. To nieludzkie... to zdrada... nie dotknę cię... stań z dala ode mnie... i wyznaj wszystko!

— Nigdy! Będę milczała jak śmierć, której się nie lękam, chociaż mogłabym się oczyścić z połowy twoich zarzutów. Tak. Zniosę to w milczeniu. Kto z odrobiną godności chciałby po takich słowach trudzić się omiataniem pajęczyny z mózgu

szaleńca? Nie, niechaj brnie dalej w ślepy zaułek i grzęźnie głową w bagnie. Ja mam inne troski.

— Tego już za wiele, ale muszę cię oszczędzić.

— Liche dobrodziejstwo.

— Klnę się na mą udręczoną duszę, dopiekaś mi, Eustachio! Ja też potrafię nie pozostać ci dłużny. A teraz niech mi pani powie, co to za jeden?

— Nigdy. Taka jest moja decyzja.

— Jak często pisze do ciebie? Gdzie kładzie listy? Kiedy się z tobą spotyka?

Ach, jego listy! Czy powiesz mi, jak się nazywa?

— Nie powiem.

— Sam więc to wykryję. — Wzrok jego padł na biureczko, przy którym pisywała listy. Podszedł. Było zamknięte.

— Otwórz!

— Nie masz prawa tak mówić. To moje.

Bez dalszych słów chwycił biureczko i cisnął nim o ziemię. Oderwały się zawiasy i wysypała się garść listów.

— Stój! — zawołała Eustachia wysuwając się przed niego w większym niż dotychczas podnieceniu.

— Cicho! Odsuń się! Muszę je widzieć.

Spojrzała na leżące na podłodze listy, opanowała się i obojętnie odsunęła na bok, a on je zebrał i zaczął przeglądać.

Nawet gdyby kto chciał je opacznie tłumaczyć, nie mógłby znaleźć nic złego w żadnym z tych listów. Jedyne wyjątkiem stanowiła pusta koperta, adresowana do niej pismem Wildeve'a. Cłym podniósł ją w górę. Eustachia zachowywała zacięte milczenie.

— Czy umie pani czytać? Spójrz na tę kopertę. Bez wątpienia wkrótce znajdziemy więcej, a w dodatku i to, co było w środku. Niewątpliwie będę ukontentowany, dowiadując się w stosownym czasie, że moja żona jest doskonałą adeptką pewnej profesji.

— I ty mówisz tak do mnie... do mnie? — zapytała chwytając ciężko powietrze. Szukał dalej, lecz nie znalazł nic więcej.

— Co było w tym liście? — indagował.

— Spytaj tego, kto pisał. Czy jestem twoim psem, żebyś tak się do mnie odzywał?

— Rzucasz mi wyzwanie? Stawiasz się? Odpowiadaj! Nie patrz na mnie tymi swoimi oczami, jakbyś znów chciała mnie zauroczyć. Wolałbym umrzeć. Odmawiasz odpowiedzi?

— Nie powiedziałabym ci teraz nic, nawet gdybym była tak niewinna jak anioł w niebie!

— Ale nie jesteś.

— Na pewno nie jestem zupełnie bez winy — odparła. — Ale nie zrobiłam tego, o co mnie posądzasz. Jeśli niewinnymi ludźmi są tylko ci, co absolutnie nie zrobili nic złego, to dla mnie nie ma przebaczenia. Nie potrzebuję jednak pomocy twojego sumienia.

— Potrafisz stawiać opór i robisz to teraz. A mógłbym chyba opłakiwać ciebie, zamiast nienawidzić, i litować się nad tobą, gdybyś okazała skruchę i wyznała wszystko. Przebaczyć nie byłbym w stanie nigdy. Nie mówię o kochanku...

Korzystaj w tym wypadku z przywileju wątpliwości, bo to tylko mnie osobiście dotyczy. Co do tego drugiego, gdybyś mnie doprowadziła niemal do śmierci, gdybyś rozmyślnie odebrała resztę światła moim słabym oczom, mógłbym ci przebaczyć. Ale tamto...

— Nie mów już więcej. Obejdę się bez twojej litości. Lepiej jednak nie mów słów, których będziesz żałował.

— Odchodzę. Opuszczam cię.

— Nie musisz odchodzić, bo ja odchodzę. Będiesz ode mnie równie daleko, jeżeli tu zostaniesz.

— Przypomnij ją sobie... pomyśl o niej... ile w niej było dobroci, przebijała z każdego rysu jej twarzy! U większości kobiet, gdy są choć trochę rozdrażnione, złość pokazuje się bodaj na mgnienie oka w skrzywieniu ust czy zarysie policzka, ale w niej nawet w momentach gniewu nie było nigdy nic złośliwego. Łatwo się gniewała, ale i łatwo przebaczała, a pod jej dumą kryła się dziecięca łagodność. Co z tego? Czy ciebie to obchodziło? Nienawidziłaś jej, choć ona zaczynała ciebie kochać. O, czyż nie rozumiałaś, co było dla ciebie dobre? Musiałaś przez swój okrutny uczynek sprowadzić na mnie przekleństwo, a na nią mękę i śmierć! Jak się nazywa ten piekielnik, który był wtedy z tobą i sprawił, że do krzywdy mnie wyrządzonej dodałaś okrucieństwo w stosunku do matki? Czy to Wildevé? Czy to mąż biednej Tomasiny? O Boże, co za podłość! Straciłaś mowę? To naturalne po wykryciu tak szlachetnego postęp-

229ku... Eustachio, czy żadne czułe wspomnienie twej matki nie kazało ci okazać dobroci mojej matce, gdy była tak strudzona? Czy ani odrobina litości nie zbudziła się w twoim sercu, gdy odchodziła od drzwi? Pomyśl, jaką wspaniałą straciłaś okazję, aby okazać przebaczenie i zacząć uczciwe życie. Dlaczego nie wyrzuciłaś go, a jej nie wpuściłaś i nie powiedziałaś: "Od tej chwili będę uczciwą żoną i szlachetną kobietą"? Gdybym ci kazał zniszczyć na zawsze ostatnią szansę naszego ziemskiego szczęścia, nie mogłabyś zrobić nic skuteczniejszego. Ona teraz śpi na wieki i gdybyś miała nawet stu zalotników, ani ty sama, ani oni nie potrafią już jej zranić.

— Okropnie przesadzasz — powiedziała słabym, udręczonym głosem. — Ale nie mogę się bronić... nie warto. Będiesz dla mnie nikim w przyszłości, a więc i ta historia może pozostać nie opowiedziana. Przez ciebie straciłam wszystko, ale się nie skarżyłam. Twoje błędy i klęski mogły być dla ciebie cierpieniem, ale dla mnie były krzywdą. Wszyscy ludzie o pewnej ogładzie odsunęli się ode mnie ze strachem, gdy osaczyły mnie trudności małżeńskiego życia. Czy to twój sposób kochania umieszczenie mnie w takiej chacie niczym żony parobka? Oszukałeś mnie... nie słowami, ale wyglądem, pozorami, a to trudniej jest przejrzeć niż słowa. Jednak stąd równie dobrze jak z każdego innego miejsca można przejść do grobu. — Słowa uwięzły jej w gardle. Spuściła głowę.

— Nie wiem, co przez to rozumiesz. Czy ja popchnąłem cię do grzechu? Co?! Zaczynasz płakać i wyciągasz do mnie rękę? Wielki Boże, ty to potrafisz? Nie, nie ze mną. Ja nie popełnię tego błędu i jej nie przyjmę. — Ręka, którą ku niemu wyciągnęła, opadła martwo, ale łzy płynęły dalej. — A jednak nie, przyjmę ją, choćby przez wzgląd na te pocałunki, którymi tak głupio ją obsypywałem, nieświadomy tego, kogo kocham. Jakiż ja byłem zaślepiony! Co mogło być dobrego w kobiecie, o której wszyscy źle mówili?

— Och, och! — wybuchnęła załamując się wreszcie i wstrząsana dławiącym łkaniem, osunęła się na kolana. — O, coś ty zrobił! O, jesteś zbyt bezwzględny... są granice nawet w okrucieństwie dzikusów! Trzymałam się długo... aleś mnie zdruzgotał. Gdybym zabiła... twoją matkę własną ręką, nie zasłużyłabym na tak okrutne biczowanie. O Boże, okaż miłosierdzie nieszczęśliwej kobiecie! Pobiłeś mnie w tej grze... błagani, byś się ulitował i powstrzymał swą dłoń! Wyznaję, że rozmyślnie nie otworzyłam drzwi, kiedy pierwszy raz zastukała, ale otworzyłabym je za drugim... gdybym nie myślała, że sam wstałeś je otworzyć. Kiedy się przekonałam, że tego nie zrobiłeś, sama je otworzyłam, ale jej już nie było. To cała moja zbrodnia w stosunku do niej. I najlepsi ludzie popełniają chyba czasem błędy. Chyba popełniają. A teraz cię opuszczam... już na zawsze.

— Wyznaj wszystko, a okażę ci litość. Czy mężczyzna, który był w domu z tobą, to Wildeve?

— Tego ci nie powiem — mówiła wśród łkań. — Nie nalegaj... nie powiem. Opuszczam ten dom. Nie możemy pozostać tu oboje.

— Nie musisz odchodzić. Ja odejdę. Możesz tu pozostać.

— Nie. Ubiorę się i pójdę.

— Dokąd?

230

— Tam, skąd przyszłam, albo gdzie indziej.

Ubierała się spiesźnie, a Clym ponuro chodził tam i z powrotem po pokoju.

Wreszcie skończyła ubieranie. Drobne jej ręce tak bardzo drżały, gdy je podniosła, chcąc zawiązać wstążki kapelusika, że po chwili zrezygnowała. Widząc to podszedł ku niej i rzekł:

— Ja je zawiążę.

Przystała na to w milczeniu i uniosła brodę. Raz przynajmniej w życiu była zupełnie nieświadoma, jak pełna czaru jest jej postawa. On nie pozostał zupełnie nieczuły. Odwrócił wzrok, aby nie ulec pokusie i nie złagodnieć.

Zawiązał wstążki. Odwróciła się od niego.

— Czy nadal wolisz odejść sama? — zapytał ponownie.

— Wolę odejść sama.

— Dobrze. Niech tak będzie. Ale jeśli wyznasz, co to za mężczyzna, okażę ci może litość.

Okręciła się szalem i zeszła na dół, pozostawiając go stojącego na środku pokoju.

W krótki czas po odejściu Eustachii dało się słyszeć pukanie do drzwi sypialni.

Była to służąca. Zagadnięta przez dyma odrzekła:

— Przyszedł ktoś od państwa Wildeve'ów i powiedział, że pani i dziecko czują się bardzo dobrze. Dziewczynka ma się nazywać Eustachia Klementyna. — Po tych słowach odeszła.

— Co za szyderstwo — szepnął Clym. — Moje nieszczęśliwe małżeństwo ma zostać upamiętnione w imieniu dziecka!

IV USŁUGI KOGOŚ PRAWIE ZAPOMNIANEGO

Wędrowni Eustachii miała początkowo tak nieokreślony cel jak lot mlecznego puchu na wietrze. Nie wiedziała, co robić. Żałowała, że jest ranek, nie noc, gdyż wtedy mogłaby przynajmniej być pewna, że nikt nie widzi jej niedoli. Pograżona w apatii, uszła kilka mil wśród więdnących paproci i wilgotnych pajęczyn, aż w końcu skierowała swe kroki ku domowi dziadka. Okazało się, że drzwi frontowe są zamknięte na klucz. Jak automat obeszła dom i znalazła się przed stajnią, przez której okno dostrzegła stojącego wewnątrz Charleya.

— Czy kapitana Vye'a nie ma w domu? — zapytała.

— Nie, proszę pani — odpowiedział wzruszony jej widokiem chłopak. — Poszedł do Weatherbury i nie wróci przed nocą. Służąca poszła do rodziny. Dlatego dom jest zamknięty na klucz.

Charley nie widział twarzy Eustachii, ponieważ stała w progu, a stajnia była słabo oświetlona, uderzyło go jednakże jej dziwne zachowanie. Odwróciła się, odeszła od bramy i wkrótce zasłonił ją grzbiet wzniesienia.

Kiedy zniknęła z pola widzenia Charleya, chłopak, pełen złych przeczuć, wyszedł ze stajni i stanąwszy na nasypie w innym miejscu, rozejrzał się dokoła.

231 Eustachia opierała się głową o nasyp, zakrywszy twarz rękami i gniotąc głową rosnące z tej strony, pokryte rosą wrzosa. Zdawała się zupełnie obojętna na to, że jej kapelusz, włosy i ubranie nasiąkają wilgocią owej zimnej, twardej poduszki i wyglądają nieporządnie. Najwidoczniej stało się coś niedobrego.

Charley zawsze uważał Eustachię — podobnie jak ona Clyma, gdy go pierwszy raz zobaczyła — za słodką, romantyczną zjawę, na wpół tylko ziemską. Poczucie godności bijące z jej spojrzenia, duma brzmiąca w jej głosie wynosiły ją tak wysoko ponad niego, że — poza tym jednym radosnym momentem, kiedy wolno mu było trzymać ją za rękę — nie uważał jej za kobietę, istotę ziemską, pozbawioną skrzydeł, wprzęgniętą w tryby domowego życia, uwikłaną w stosunki rodzinne. Domyślał się szczegółów jej życia. Była pięknem i cudem krążącym po orbicie, na której on sam stanowił tylko punkt. Toteż widok tej cudownej istoty, opierającej się o dzikie wilgotne wzniesienie, napełniał go zdumieniem i zgrozą. Nie mógł dłużej pozostać na miejscu. Skacząc po nierównościach, zbliżył się, dotknął jej palcem i zapytał serdecznie:

— Pani się źle czuje, co mógłbym dla pani zrobić? Eustachia drgnęła i odparła:

— Ach, Charley, szedłeś za mną. Nie myślałeś, kiedy opuszczałam dom w lecie, że wrócę w takim stanie!

— Nie myślałem, moja droga pani. Czy mógłbym pani teraz pomóc?

— Obawiam się, że nie. Szkoda, że nie mogę się dostać do domu. Kręci mi się w głowie... to wszystko.

— Niech się pani oprze na moim ramieniu. Pójdziemy na ganek. Spróbuję drzwi otworzyć.

Doprowadził ją na ganek i posadziwszy na ławce pobiegł na tył domu, wspiął się po drabinie do okna i opuściwszy się do wewnątrz otworzył drzwi. Pomógł jej wejść do pokoju, w którym stała staroświecka, wypchana końskim włosiem kanapa, wielka jak wózek ciągnięty przez osła. Położyła się tutaj, a Charley przykrył ją płaszczem, który znalazł w przedpokoju.

— Czy mam podać pani coś do jedzenia i picia? — zapytał.

— Bardzo proszę, Charley. Ale chyba nie ma ognia.

— Rozpalę go, proszę pani.

Zniknął i po chwili dało się słyszeć rozłupywanie drzewa i dmuchanie w miech, a wkrótce znów zjawił się Charley, mówiąc:

— Rozpaliłem ogień w kuchni, a teraz rozpalę tutaj. Eustachia przyglądała się jego pracy z kanapy. Kiedy ogień już buzował, Charley zapytał:

— Może przysunę panią bliżej kominka, bo ranek jest zimny?

— Dobrze, jeżeli chcesz.

— Może teraz pójść po jedzenie?

— Tak, proszę — odpowiedziała omdlewającym głosem.

Odszedł. Od czasu do czasu dochodziły do niej stłumione dźwięki kuchennej krzątania, ale ona zapomniała, gdzie się znajduje, i musiała się przez chwilę głęboko zastanowić, co to za odgłosy. Po pewnym czasie, który wydał się jej krótki, gdyż błędziła myślami gdzie indziej, Charley przyniósł na tacy gorącą herbatę i grzanekę, chociaż była już prawie pora obiadowa.

232

— Postaw na stole — powiedziała. — Zaraz będę gotowa. Charley zrobił, jak mu kazała, i cofnął się do drzwi. Kiedy jednak spostrzegł, że Eustachia się nie porusza, podszedł do niej.

— Potrzymam tacę, jeśli pani nie ma ochoty wstać — powiedział. Zbliżył się z tacą do kanapy, ukląkł przy niej, powtarzając:

— Ja ją potrzymam.

Eustachia usiadła i nalała sobie filiżankę herbaty.

— Bardzo jesteś dla mnie dobry, Charley — szepnęła, popijając herbatę małymi łykami.

— No cóż, powinienem być dobry — odrzekł nieśmiało, zadając sobie dużo trudu, aby nie dać oczom spocząć na jej postaci, choć był to jedyny naturalny dla nich

kierunek, jako że Eustachia znajdowała się na wprost chłopca. — Pani była dla mnie dobra.

— W jaki sposób? — zapytała Eustachia.

— Pozwoliła mi pani potrzymać swoją rękę jeszcze jako panienka w tym domu.

— Ach, tak. Dlaczego ci pozwoliłam? Nie mogę sobie przypomnieć... to miało związek z kolędowaniem, prawda?

— Tak, pani chciała iść zamiast mnie.

— Pamiętam. O tak, pamiętam... zbyt dobrze!

Ogarnęło ją znowu przygnębienie i Charley, widząc, że Eustachia nie za[^] mierzą już więcej jeść ani pić, zabrał tacę.

Później zachodził od czasu do czasu, by sprawdzić, czy ogień się pali, upewnić

się, czy jej czego nie potrzeba, oznajmić, że wiatr zmienił kierunek z południa

na zachód, zapytać, czy zechciałaby, żeby nabierał jej trochę czarnych jagód.

Na wszystkie pytania odpowiadała przecząco, a wiadomości przyjmowała obojętnie.

Leżała jeszcze pewien czas na kanapie, a potem wstała i poszła na górę. Pokój,

który poprzednio służył jej za sypialnię, pozostał prawie taki sam jak dawniej,

zanim się wyprowadziła. Myśl o zmienionej tak bardzo na jej niekorzyść sytuacji

przywołała znowu na twarz Eustachii ten sam wyraz niezgłębionego cierpienia,

jaki się na niej malował, gdy tu przyszła. Zajrzała do pokoju dziadka, gdzie

przez otwarte okna wpadał świeży powiew jesiennego powietrza. Wzrok jej przykuło

coś, co stanowiło dobrze znany widok, ale obecnie nabrało w jej oczach nowego znaczenia.

Była to para pistoletów wiszących koło wezgłowia łóżka dziadka, który trzymał je

zawsze nabite, w pogotowiu, przeciwko ewentualnym włamywaczom, ponieważ dom stał

na uboczu. Eustachia patrzyła na nie długo, jak na stronicę książki, z której

odczytywała nową, dziwną treść. Potem, jakby prze-lędszy się samej siebie,

szybko zeszła na dół i stanęła głęboko zamyślona.

— Gdybym tylko zdołała to zrobić! — rzekła. — Byłoby to najlepsze wyjście dla mnie i dla wszystkich, którzy są ze mną związani, a nikomu nie wyrządziłabym krzywdy.

Myśl ta zdawała się w niej ugruntowywać. Eustachia stała nieporuszona przez

blisko dziesięć minut, po czym w jej spojrzeniu, zamiast dawnego braku decyzji,

odmalowało się jakieś postanowienie.

233Zawróciła i weszła po raz drugi na górę — teraz cicho i ukradkiem — i wsunęła się do pokoju dziadka, szukając natychmiast wzrokiem wezgłowia łóżka. Pistolety znikły.

Ich brak — niweczący z miejsca zamiary Eustachii — podziałał na jej umysł,

podobnie jak niespodziewana pustka działa na ciało człowieka: omal nie zemdląca.

Kto je zabrał? W domu poza nią była tylko jedna osoba. Bezwiednie obróciła się

ku otwartemu oknu, skąd rozciągał się widok na ogród aż do otaczającego go wału.

Na nim stał Charley, dostatecznie wysoko, żeby widzieć wnętrze pokoju.

Zaniepokojone, pełne przejęcia spojrzenie chłopaka skierowane było na jego młodą panią.

Zeszła na dół i skinęła na Charleya.

— Tyś je zabrał?

— Tak, proszę pani.

— Dlaczegoś to zrobił?

— Widziałem, że pani za długo na nie patrzyła.

— I co z tego?

— Przez cały ranek pani była tak przygnębiona, jakby nie chciała już dłużej żyć.

— Więc co?

— Nie zniósłbym myśli, że zostały tam pod ręką. Patrzyła pani na nie z pewnością

myślą.

— Gdzie są teraz?

— Zamknięte.

— Gdzie?

— W stajni.

— Daj mi je.

— Nie, proszę pani.

— Odmawiasz?

— Tak. Za bardzo jestem do pani przywiązany, żebym miał je oddać.

Odwróciła się, twarz jej złagodniała, straciła coś z kamiennej martwoty, w którą oblekła się od rana. Kąciki ust odzyskały nieco swą delikatną Unię, która zawsze się zacierała w chwilach rozpacz. Po chwili znowu spojrzała na chłopca.

— Dlaczego nie miałabym umrzeć, skoro tego pragnę? — zapytała drżącym głosem. — Przegrałam życie, sprzykrzyło już mi się zupełnie... sprzykrzyło. A teraz ty przeszkodziłeś mi w ucieczce. Och, dlaczego to zrobiłeś, Charlie? Co jest bolesnego w śmierci, poza myślą o smutku innych. W moim wypadku do tego nie dojdzie, bo nikt nawet po mnie nie westchnie!

— Ach, kłopoty panią przygniotły! Temu, co je na panią sprowadził, życzę z całej duszy, żeby skonał i gnił w ziemi, choćby mnie za to powiedzenie czekało wygnanie!

— Charley, dość już! A co zamierzasz zrobić w związku z tym, co widziałeś?

— Nikomu nie wspomnę, jeżeli pani obieca, że nie będzie już więcej o całej sprawie myśleć.

— Możesz być spokojny. Ta chwila już minęła. Przyrzekam. 234

\

Zostawiła go, poszła do domu i położyła się na kanapie.

Późnym popołudniem powrócił jej dziadek. Miał zamiar stanowczo ją wybadać, ale spojrzawszy na twarz wnuczki zamilczał.

— No cóż, jest zbyt źle, żeby o tym mówić — powiedziała z wolna, w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie. — Czy mój dawny pokój mógłby być sprzątnięty przed wieczorem, dziadku? Chciałabym go znowu zająć.

Nie pytał, co to wszystko znaczy, ani dlaczego porzuciła męża, ale kazał przygotować jej pokój.

KTOS NIEUMYŚLNIE POWTÓRZYŁ DAWNY ZNAK

Charley był bezgranicznie oddany dawnej pani. Jedyłą pociechę na własne smutki znajdował w staraniach ulżenia jej smutkom. Zastanawiał się ciągle, czego Eustachii potrzeba, myślał o jej pobycie z wdzięcznością i chociaż przeklinał sprawcę tej niedoli, w jakimś sensie błogosławił rezultaty. Przychodziło mu do głowy, że Eustachia już na zawsze pozostanie w domu, a wtedy on będzie szczęśliwy jak dawniej. Jednak dręczyła go obawa, że może uzna za stosowne powrócić do Alderworth, i zaniepokojonym spojrzeniem szukał jej twarzy, gdy na niego nie patrzyła, a spoglądał na młodą kobietę tak, jak mógłby obserwować gołębia, chcąc odgadnąć, czy planuje odlot. W dodatku, ponieważ raz przyszedł jej z rzeczywistą pomocą, a prawdopodobnie uchronił przed popełnieniem najbardziej nierozważnego czynu, czuł się jak opiekun odpowiedzialny za jej losy.

Dlatego też energicznie się starał o dostarczenie jej przyjemnych rozrywek, przynosił do domu różne dziwne rzeczy znalezione na wrzosowisku, takie jak biały mech zwinięty w kształt trąbek, czerwone porosty, groty kamiennych strzał używane przez plemiona zamieszkujące ongiś Egdon i kryształowe łupki krzemienia. Rozmieszczał je na terenie w takim położeniu, żeby je musiała niby przypadkowo zobaczyć.

Minął tydzień, a Eustachia ani razu nie opuściła domu. Potem zaczęła spacerować w obrębie ogrodu i przyglądała się okolicy przez lunetę dziadka, jak miała zwyczaj robić przed zamążpójściem. Pewnego dnia dostrzegła w miejscu, gdzie gościniec przecinał daleką dolinę, przejeżdżający drogą wyładowany wóz.

Piętrzyły się na nim meble i sprzęty domowe. Spojrzała raz i drugi i poznała, że są jej znajome. Wieczorem dziadek wrócił do domu z wiadomością, że tego dnia Clym przeniósł się z Alderworth do starego domu w Blooms-End.

Kiedy indziej obserwując okolicę dostrzegła dwie postacie kobiece przechadzające się w dolinie. Pogoda była ładna, powietrze przejrzyste, a ponieważ znajdowały się w odległości nie większej niż pół mili, mogła przez lunetę widzieć je dokładnie. Kobieta idąca przodem niosła w ramionach białe zawiniątko, z którego spływał na ziemię długi biały pas materiału. Kiedy odwróciły się wprost ku słońcu, Eustachia dostrzegła, że kobieta trzyma dziecko w ramionach. Przywołała Charleya i zapytała, czy wie, kim są te kobiety, chociaż sama to odgadła.

— Pani Wildeve i niańka — rzekł Gharlie.

— Czy niańka niesie dziecko? — dopytywała się Eustachia.

— Nie, sama pani Wildeve je niesie — odpowiedział — a niańka idzie z tyłu.

Chłopak był tego dnia w wesołym nastroju, bo nadszedł znów Piąty Listopada, a on ułożył sobie jeszcze jeden plan, chcąc wyrwać swą panią ze zbyt absorbujących ją myśli. Przez dwa kolejne święta Piątego Listopada wyraźną przyjemność sprawiało jej rozpalanie ogniska na wale nad doliną, ale w tym roku najwidoczniej o tym dniu i zwyczaju zapomniła. Strzegł się, by jej o tym nie przypominać, w tajemnicy jednak przygotowywał radosną niespodziankę, i to tym gorliwiej, że w poprzednim roku nie mógł Eustachii w tym pomagać, bo go nie było. W każdej wolnej chwili zbierał skrzętnie na sąsiednich zboczach pniaki janowca, korzenie drzewa cierniowego i inne rodzaje opału, a potem te zapasy ukrywał, by nie było ich widać na pierwsze spojrzenie.

Nadszedł wieczór i wydawało się, że Eustachia nie zdaje sobie sprawy ze święta. Rozejrzawszy się przez lunetę po okolicy, wróciła do domu i nie pokazywała się już więcej. Zaraz po zapadnięciu zmroku Charley zaczął układać . stos na ognisko, wybierając na wale dokładnie to samo miejsce co poprzednio Eustachia. Kiedy dokoła zapłonęły ogniska, Charley rozpalił swoje i tak ułożył chrust, żeby przez jakiś czas nie trzeba go było podrzucać. Potem poszedł pod dom i chodził koło drzwi i okien, marząc, żeby w jakiś sposób Eustachia dowiedziała się o tej niespodziance i przyszła zobaczyć ognisko. Ale okiennice były zamknięte, drzwi tak samo, i zdawało się, że nikt nie zwraca najmniejszej uwagi na jego dzieło.

Nie chcąc jej przywoływać, wrócił i podłożył trochę chrustu na ogień, podtrzymywał w ten sposób płomień przez więcej niż pół godziny. Dopiero gdy zapasy opału znacznie się zmniejszyły, podszedł do drzwi kuchennych i posłał służącą z prośbą, żeby pani Yeobright otworzyła okiennice i wyjrzała na dwór. Eustachia, która siedziała bezczynnie w salonie, poderwała się na tę wiadomość i otworzyła okiennice. Naprzeciw niej na wale płonął ogień, który natychmiast wypełnił pokój czerwonym blaskiem przyćmiewającym światło świec.

— Udało ci się, Charley! — pochwalił go kapitan Vye od kominka. — Ale mam nadzieję, że to nie moje szczapy się palą... Ach, właśnie przed rokiem spotkałem tego człowieka, Yenna, jak odwoził do domu Tomasinę Yeobright... tak, właśnie wtedy. No i kto by pomyślał, że tak pomyślnie zakończą się kłopoty tej dziewczyny. A ty wówczas miałaś swoje plany. Czy twój mąż już do ciebie napisał?

— Nie — odparła Eustachia, patrząc półprzytomnie na ognisko, którego widok tak zajął jej myśli, że nie zaprotestowała przeciw opinii dziadka wyrażonej bez ogródek. Widziała na wale Charleya, który zgarniał i poruszał palący się chrust,

i mignęła jej przed oczami inna postać, którą ogień mógł przywołać.

Udała się do swego pokoju, włożyła kapelusik i płaszcz i wyszła. Znalazłszy się na wale, pełna złych przeczuć, rozejrzała się dokoła z niepokojem i ciekawością, a Charley oznajmił jej zadowolony z siebie:

— Rozpaliłem ognisko specjalnie dla pani.

— Dziękuję ci — rzekła spiesznie. — Wolałabym jednak, żebyś je teraz zgasił.

— Wkrótce się wypali — odparł Charley z rozczarowaniem. — Czy nie szkoda byłoby je rozrzucić?

— Nie wiem — odparła w zamyśleniu.

Stali czas jakiś w zupełnej ciszy, przerywanej tylko trzaskaniem płomieni.

Wreszcie Charley, widząc, że Eustachia nie ma ochoty na rozmowę, niechętnie się oddalił. Eustachia pozostała na zboczu wału, wpatrzona w ogień, mając zamiar wrócić do domu, a jednak się ociągając. Gdyby pod wpływem sytuacji nie zobojętniała na wszystko, co szanują bogowie i ludzie, odeszłaby zapewne. Ale jej położenie było tak beznadziejne, że mogła sobie pozwolić na ryzyko. Stracić coś — to rzecz mniej dręcząca niż rozmyślać, że można było wygrać. Eustachia, podobnie jak inni ludzie znajdujący się na tym etapie, wyszła niejako z samej siebie, przyglądała się własnej osobie jak bezstronny obserwator i myślała nad tym, że ta kobieta, Eustachia, jest igraszką bogów...

Kiedy tak stała, uszu jej dobiegł jakiś odgłos. Było to pluśnięcie kamienia w wodzie.

Gdyby kamień ten ugodził ją prosto w pierś, serce jej nie zabiłoby gwałtowniej. Zastanawiała się wprawdzie nad możliwością takiej odpowiedzi na sygnał dany bezwiednie przez Charleya, ale jeszcze jej nie oczekiwała. Jak szybko działa Wildeve! Jak mógł przypuścić, że zdolna jest rozmyślnie dążyć do wznowienia spotkań? Chęć odejścia walczyła w niej z chęcią pozostania, i ta ostatnia zwyciężyła, lecz to było wszystko, bo młoda kobieta powstrzymała się nawet przed wejściem na wał i rozejrzeniem się po okolicy. Stała w miejscu, nie drgnął ani jeden mięsień jej twarzy, nie poruszyły się powieki, bo gdyby podniosła głowę, oświetliłyby ją płomienie, a Wildeve mógł spoglądać z góry.

Dało się słyszeć ponownie pluśnięcie.

Dlaczego on tak długo stoi, zamiast iść naprzód i rozejrzeć się dokoła?

Ciekawość wzięła w niej górę. Weszła wyżej na parę ubitych w ziemi stopni i spojrzała.

Przed nią stał Wildeve. Rzuciwszy ostatni kamyk przyszedł tu i teraz na twarze obojga padał blask ogniska płonącego na wysokości ich ramion.

— Ja nie rozpaliłam ognia! — zawołała z pośpiechem Eustachia. — Zrobiono to bez mojej wiedzy. Nie przychodź, nie przychodź tu do mnie więcej!

— Dlaczego mieszkając tu przez cały ten czas słowa nie powiedziałaś? Porzuciłaś dom. Obawiam się, że może trochę z mojej winy?

— Nie wpuściłam do domu jego matki. To wszystko!

— Nie zasłużyłaś na los, który cię spotkał, Eustachio. Cierpisz bardzo, widzę to po twoich oczach, po twojej postaci. Moja biedna, biedna dziewczyno! — Przeszedł na drugą stronę wału. — Jesteś przede wszystkim nieszczęśliwa!

— Nie, niezupełnie...

236

237— Posunął się za daleko... to cię zabije! Naprawdę tak myślę! Pod wpływem jego słów zaczęła spiesznie oddychać.

— Ja... ja... — i wybuchnęła płaczem, wstrząśnięta do głębi duszy nieoczekiwanym objawem współczucia, bo niemal już zapomniała, że może od kogokolwiek oczekiwać serdecznych uczuć.

Ten wybuch płaczu tak ją samą zaskoczył, że nie była w stanie zahamować łez i

zawstydzona odwróciła od niego twarz, choć nie udało się jej nic przed nim ukryć. Łkała rozpaczliwie. Potem łkanie ucichło, Eustachia się uspokoiła. Wildeve opanował odruch, by ją chwycić w ramiona, i stał bez słowa.

— Czy nie wstyd ci za mnie, przecież nigdy nie byłam płaksą? — zapytała cichym szeptem, otarłszy oczy. — Dlaczego nie odszedłeś? Lepiej byłoby, żebyś tego wszystkiego nie widział, bo to zbyt wiele odsłania.

— Tak, bo teraz i ja jestem smutny — odparł z szacunkiem i uczuciem. — Co zaś do odsłaniania — to słowo nie może istnieć między nami.

— Ja po ciebie nie posyłałam... nie zapominaj o tym, Damonie. Cierpię, ale po ciebie nie posyłałam. Przynajmniej jako żona jestem bez zarzutu.

— Mniejsza z tym. Przyszedłem. O, Eustachio, wybac mi krzywdę, jaką ci wyrządziłem w ciągu ubiegłych dwóch lat! Powinienem zrobić więcej albo nie robić w ogóle nic.

— Jak to?

— Nie powinienem nigdy narzucać się ze swoją osobą albo, skoro już tak postępowałem, powinienem walczyć o to, żeby cię zatrzymać. Teraz oczywiście nie mam prawa o tym mówić. Ale zapytuję cię o jedno: czy mógłbym ci jakoś pomóc? Czy jest coś na świecie, co można by zrobić, żebyś stała się szczęśliwsza? Jeśli tak, licz na mnie. Możesz rozporządzać wszystkim, co mam, a nie zapominaj, że teraz jestem bogaty. Na pewno przecież istnieje jakiś sposób, żeby cię z tej niedoli wybawić! Smutkiem napęła mnie widok tak rzadkiej rośliny na takim ugorze. Czy chcesz, żeby ci coś kupić? Czy chcesz gdzieś pojechać? Czy chcesz w ogóle uciec stąd? Powiedz tylko, a zrobię wszystko, aby otrzeć te łzy, które by nie płynęły bez mego udziału!

— Każde z nas poślubione jest innemu — odpowiedziała słabym głosem — i pomoc z twojej strony źle by wyglądała po... po...

— Nie ma sposobu, by powstrzymać oszczerców, ale nie musisz się lękać. Bez względu na moje uczucia, daję ci słowo honoru, że nigdy o nich nie wspomnę... ani nie będę się nimi kierować... dopóki mi sama nie pozwolisz. Znam moje obowiązki względem Tomasiny równie dobrze jak moją powinność w stosunku do ciebie, kobiety niesprawiedliwie osądzonej. W czym mogę ci pomóc?

— W wydostaniu się stąd.

— Dokąd chcesz jechać?

— Myślę o jednym miejscu. Jeśli przy twojej pomocy znalazłabym się w Budmouth, dałabym sobie radę. Stamtąd płyną statki przez kanał, więc mogłabym dostać się do Paryża, gdzie pragnę zamieszkać! Tak — prosiła z przejęciem — pomóż mi dojechać do portu w Budmouth bez wiedzy dziadka i męża, a dam sobie dalej radę.

— Czy sama będziesz tam bezpieczna?

238

— Tak, tak, znam dobrze Budmouth.

— Może z tobą pojechać? Jestem teraz bogaty. Milczała.

— Powiedz tak, kochana. Nadal milczała.

— Daj mi więc znać, kiedy zechcesz jechać. Do grudnia pozostaniemy w domu, później wyjeżdżamy do Casterbridge. Do tego czasu rozporządzaj mną we wszystkim.

— Pomyślę o tym — rzekła pośpiesznie. — Czy mogę uczciwie skorzystać z twojej pomocy jako przyjaciela, czy też muszę związać się z tobą jak z kochankiem, na to muszę dać samej sobie odpowiedź. Jeśli będę chciała jechać i zdecyduję się przyjąć twoje towarzystwo, dam sygnał któregoś wieczoru punktualnie o ósmej i będzie to znaczyć, że o godzinie dwunastej tej samej nocy masz być gotów z koniem i dwukółką, aby przed odpłynięciem porannego statku przywieźć mnie do Budmouth.

— Będę czuwał każdego wieczoru o ósmej i nie przeoczę żadnego sygnału.

— A teraz, proszę, odejdz! Jeśli zdecyduję się na tę ucieczkę, spotkam cię tylko raz jeszcze... chyba że nie będę mogła odjechać bez ciebie. Idź już... nie zniosę tego dłużej. Idź! Idź!

Wildevé wolno wstąpił na schodki i zszedł w ciemność po drugiej stronie. Co chwila oglądał się za siebie, aż wąż zasłonił przed nim jej postać.

VI

TOMASINA ROZMAWIA ZE SWOIM KUZYNYM I CLYM PISZE LIST

W tym czasie Clym przebywał w Blooms-End i miał nadzieję, że Eustachia do niego wróci. Tego właśnie dnia zostały przewiezione meble, ale on już ponad tydzień mieszkał w starym domu. Spędzał czas na pracy w gospodarstwie, zmiatał liście z ogrodowych ścieżek, ścinał zeschnięte łodygi na klombach, przybijał gwoździe, aby przytwierdzić pnącza stracone przez wiatr. Zajęcia te nie sprawiały mu specjalnej przyjemności, ale broniły go przed rozpaczą. Poza tym uważał niemal za swój religijny obowiązek zachowanie w dobrym stanie tego wszystkiego, co z rąk matki przeszło w jego ręce.

Pracując tak, nieustannie wyczekiwał Eustachii. Żeby nie mogła mieć wątpliwości, gdzie go znaleźć, kazał wywiesić na furtce ogrodowej w Alderworth napis informujący białymi literami, dokąd się wyprowadził. Kiedy liść opadał z szelestem na ziemię, Clym odwracał głowę myśląc, że to jej kroki. Kiedy ptak szukając robaków stukał dziobem w czarnoziem klombu, jemu się zdawało, że to dłoń żony naciska klamkę furtki. A o zmierzchu, kiedy jakieś dziwne odgłosy, niby stłumione słowa brzuchomówcy, dobiegały z zagłębień w ziemi, z pustych łodyg, z poskręcanych suchych liści i rozmaitych szpar, gdzie buszowały powiewy wiatru, robaki i insekty — wyobrażał sobie, że to Eustachia stoi przy nim i szepce słowa pojednania.

239Aż do tej chwili wytrwał w postanowieniu, by jej nie wzywać z powrotem. W tym czasie surowość, z jaką ją potraktował, złagodziła żal za matką, budząc zarazem nieco dawnej troski o te, która zajęła jej miejsce. Gorzkie Uczucia wywołują gwałtowne reakcje, a ta gwałtowność wypala emocje, które ją zrodziły. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej łagodniał. Nie mógł wprawdzie uznać żony za uciśnioną niewinność, ale zapytywał sam siebie, czy dał jej dość czasu... czy w ten ponury ranek nie potraktował jej zbyt porywczo.

Teraz, gdy ostygł nieco jego gniew, skłonny był nie przypisywać żonie niczego poza nierozważną przyjaźnią z Wildevé'em, bo w jej zachowaniu nie było oznak zdrady. A kiedy to przyznał, jej postępowanie względem matki nie przedstawiało już mu się w zupełnie czarnych barwach.

Wieczorem piątego listopada z przejęciem myślał o Eustachii. Echa minionych dni, kiedy to nieustannie wymieniali czułe słowa, napłynęły ku niemu jak rozprzestrzeniający się szum odległego o mile morza.

— Mogłaby, doprawdy — powiedział — porozumieć się już ze mną do tej pory i wyznać uczciwie, kim był dla niej Wildevé.

Tego wieczoru, zamiast zostać w domu, postanowił odwiedzić Tomasinę i jej męża. Jeśli nadarzyłaby się okazja, wspomniałby o przyczynie separacji z Eustachią, przemilczając jednakże fakt, że ktoś trzeci był w domu, kiedy matka stała przed zamkniętymi drzwiami. Jeżeli Wildevé jest niewinny, z pewnością wspomni o swej obecności. Jeśli natomiast przyszedł w złych intencjach, to jako człowiek porywczy może powiedzieć coś, co zdradzi, jak bardzo skompromitowała się Eustachią.

Kiedy jednak znalazł się w domu kuzynki, zobaczył, że jest sama, Wildevé był wówczas w drodze do Mistover, zaalarmowany ogniskiem, które rozniecił nieświadomy niczego Charley. Tomasina jak zawsze ucieszyła się widząc Cly-ma i pokazała mu śpiące dziecko, starannie osłaniając świecę przed oczyma maleństwa.

— Tomasino, czy słyszałaś, że Eustacją nie mieszka teraz ze mną? — zapytał, kiedy usiedli.

— Nie — odparła zaniepokojona.

— Ani że wyprowadziłem się z Alderworth?

— Nie. Żadne nowiny z Alderworth do mnie nie dochodzą, chyba że ty je przyniesiesz. Co się stało?

Clym z niepokojem opowiedział jej o spotkaniu z synkiem Zuzanny Nun-such, o tym, czego się od niego dowiedział, i co wynikło z oskarżenia Eustachii o świadome i okrutne popełnienie tego czynu. Nie wspomniał nic o obecności Wildeve'a.

— Tyle się działo, a ja nic nie wiedziałam! — szepnęła przerażona Tomasina. — Straszne! Cóż mogło ją skłonić... O, Eustachio! A kiedy się o tym dowiedziałeś, pewno czym prędzej do niej pobiegłeś? Czy nie okazałeś się zbyt okrutny? I czy rzeczywiście jest tak niegodziwa, jak się wydaje?

— Czy można być zbyt okrutnym dla wroga swej matki?

— Chyba tak. ,

— No cóż, przyznam, że to niewykluczone. Ale co mam teraz robić?

— Załagodzić nieporozumienie, jeśli tak straszną kłótnię da się załago-

240

dzić. Wolałabym chyba, żebyś mi o tym nie mówił. Staraj się z nią pogodzić. Są przecież na to sposoby, jeśli oboje chcecie pojednania.

— Nie wiem, czy oboje tego pragniemy — powątpiewał Clym. — Gdyby tak było, czy do tej pory nie napisałyby do mnie listu?

— Myślę, że ty tego chcesz, a jednak do niej nie napisałeś.

— To prawda, ale szarpały mną wątpliwości, czy po tym wszystkim powinienem tak postąpić. Widzisz mnie teraz, Tomasino, ale nie wyobrażasz sobie, co się ze mną działo, w jakiej rozpacz żyłem w ciągu ostatnich paru dni. Och, co to za podłość nie wpuścić matki! Czyż mogę o tym zapomnieć albo choćby się zgodzić na widzenie z Eustacją?

— Mogła nie wiedzieć, że wynikną z tego poważne skutki, a może w ogóle nie zamierzała jej nie wpuścić.

— Ona twierdzi, że nie zamierzała. Ale pozostaje faktem, że jej nie wpuściła.

— Uwierz jej słowom i poślij po nią.

— A jeśli nie przyjdzie?

— To dowiedzie jej winy i będzie świadczyć, że ma zwyczaj zacinać się w gniewie.

Ani przez chwilę tego nie przypuszczam.

— A więc tak zrobię. Odczekam dzień lub dwa — na pewno nie więcej niż dwa dni — a jeżeli w tym czasie nie napisze do mnie, ja do niej napiszę. Myślałem, że zastanę dziś Wildeve'a. Nie ma go w domu.

Tomasina lekko się zaczerwieniła.

— Nie — odparła. — Poszedł sobie na spacer.

— Dlaczego ciebie nie zabrał? Ładny dziś wieczór. Tobie również potrzeba świeżego powietrza.

— Och, nie mam ochoty nigdzie chodzić. Poza tym jest dziecko.

— No tak. Zastanawiałem się, czy w tej sprawie również nie powinienem naradzić się z twoim mężem — oświadczył spokojnie Clym.

— Lepiej nie — odparła szybko. — To nie przyniosłoby nic dobrego.

Clym spojrział jej w oczy. Niewątpliwie Tomasina nie wiedziała, że jej mąż miał jakiś udział w wydarzeniach tego tragicznego popołudnia, ale wyraz jej twarzy świadczył, że ukrywa pewne podejrzenia albo myśli o krążących plotkach o bliskich stosunkach łączących w przeszłości Eustację z Wildeve'em.

Clym tego nie zauważył i żegnając się z kuzynką miał więcej wątpliwości niż przy powitaniu.

— Napiszesz do Eustachii jutro lub pojutrze? — nalegała młoda kobieta. — Mam nadzieję, że skończy się ta okropna separacja.

— Napiszę — odparł Clym. — Obecna sytuacja bynajmniej mnie nie cieszy. Wyszedł i wspiął się z boczem wzgórza do Blooms-End. Zanim poszedł spać, napisał następujący list:

“Moja droga Eustachio! Muszę słuchać serca, nie radząc się zbytnio rozsądku. Czy zechcesz wrócić do mnie? Wróć, a ja nie wspomnę o przeszłości. Byłem zbyt surowy. Ale, Eustachio, zostałem sprowokowany! Nie wiesz, nigdy się nie dowiesz, ile mnie kosztowały słowa gniewu, które na siebie ściągnęłaś! Przymierzam Ci wszystko, co przy-

16 — Powrót...

241rzec może uczciwy człowiek, to znaczy, że z mojej strony nie spotka Cię już nigdy więcej żadna przykrość z tego powodu. Myślę, Eustachio, że po wszystkich naszych przysięgach lepiej będzie, jeżeli spędzimy resztę życia starając się ich dotrzymać. Wróć więc, nawet jeżeli masz do mnie żal. Myślałem nad tym, ile wycierpiałas tego ranka, kiedy się rozstaliśmy, wiem, że cierpiałas szczerze i do granic wytrzymałości. Miłość nasza musi trwać dalej. Takie serca jak nasze zostały nam po to dane, byśmy się wzajemnie kochali. Z początku nie mogłem Cię prosić, abyś wróciła, ponieważ nie potrafiłem przekonać samego siebie, że ten, który był wówczas z Tobą, to nie Twój kochanek. Ale jeżeli przyjdiesz i wyjaśnisz niepokojące okoliczności, nie wątpię, że możesz wykazać swą niewinność. Dlaczego nie przyszłaś wcześniej? Czy uważasz, że nie zechcę Cię wysłuchać? Chyba tak nie myślisz, mając w pamięci nasze przysięgi i pocałunki latem przy księżycu. Wróć więc, a zostaniesz serdecznie powitana. Nie mogę myśleć o Tobie źle, zanadto mnie pochłania usprawiedliwianie Twojego postępowania.

Twój, jak zawsze, mąż Clym

— Tak więc — powiedział chowając list do biurka — zrobiłem dobrą rzecz. Poślę jej to, jeśli nie wróci do jutra przed wieczorem.

Tymczasem w domu, który opuścił, Tomasina rozmyślała niespokojnie, a z ust jej dobywały się westchnienia. Lojalność względem męża kazała jej ukryć podejrzenie, że zainteresowanie Wildeve'a Eustachią nie ustało z chwilą jego małżeństwa. Nie wiedziała jednak nic pewnego, a chociaż Clym był jej kochanym kuzynem, istniał ktoś jeszcze bliższy.

Kiedy trochę później Wildeve powrócił ze spaceru do Mistorver, zapytała:

— Gdzie byłeś, Damonie? Zaczynałam już się o ciebie bać, czy nie wpadłeś do rzeki. Nie lubię zostawać sama w domu.

— Zaczynałaś się bać? — powtórzył, dotykając jej policzka, jak gdyby była jakimś domowym zwierzątkiem. — A ja myślałem, że nic nie zdoła cię przestraszyć. Jestem pewien, że robisz się wyniosła i nie podoba ci się, że mieszkamy tutaj, teraz kiedy wyrosliśmy ponad nasz stan. No cóż, nabywanie nowego domu to nudna sprawa, ale nie mogłem zabrać się do tego wcześniej, chyba że z naszych dziesięciu tysięcy funtów zrobiłoby się sto tysięcy, bo wtedy moglibyśmy sobie pozwolić na brak przezorności.

— Nie... nie chodzi mi o czekanie..., wolałabym raczej siedzieć tu rok dłużej niż narażać na jakieś niebezpieczeństwo dziecko. Ale nie podoba mi się, że tak znikasz wieczorami. Coś cię gnębi... wiem o tym, Damonie. Chodzisz taki ponury i spoglądasz na wrzosowisko, jakby to było więzienie, a nie piękne dzikie miejsce na spacer.

Spojrzał na nią ze zdumieniem pełnym litości.

— Co? Ty lubisz wrzosowisko Egdon? — zapytał.

— Lubię otoczenie, w którym się urodziłam. Podziwiam jego posępne stare oblicze.

— Bzdury, moja droga. Nie wiesz, co lubisz.

— Z pewnością wiem. Jedna tylko rzecz jest tu nieprzyjemna.

— Co takiego?

— Nigdy mnie z sobą nie zabierasz, gdy idziesz na spacer. Dlaczego tak dużo wędrujesz sam po wrzosowisku, skoro go nie lubisz?

242

To badanie, choć bardzo proste, wyraźnie go speszyło i Wildeve usiadł, zanim odpowiedział.

— ' Nie sądzę, żebyś mnie często tam widywała. Daj przykład.

— Dam — odpowiedziała z triumfem. — Kiedy wyszedłeś dziś wieczór, pomyślałam sobie, że korzystając ze snu maleństwa, pójdę zobaczyć, dokąd idziesz tak tajemniczo nie mówiąc mi słowa. Wybiegłam więc i szłam za tobą. Doszedłeś do rozstaju dróg, rozejrzałeś się po ogniskach, a potem powiedziałaś: "Tam do licha, pójdę!" I szybko skręciłeś na lewo. A ja stałam i patrzyłam na ciebie.

Wildeve zmarszczył brwi, a potem powiedział z wymuszonym uśmiechem:

— No i jakiego to zdumiewającego odkrycia dokonałaś?

— Cóż, rozgniewałaś się, więc nie będziemy więcej o tym mówić. — Podeszła do niego, usiadła na stołeczku i podniosła głowę, patrząc mu w oczy.

— Bzdura! — stwierdził. — Ty się zawsze tak wycofujesz. Teraz doprowadzimy do końca zaczętej rozmowę. I co wtedy zobaczyłaś? Zależy mi na tym!

— Przestań, Damonie! — szepnęła. — Nic nie widziałam. Zniknąłeś mi z oczu i wtedy popatrzyłam na ogniska i wróciłam do domu.

— A może to nie pierwszy raz śledziłaś moje kroki? Czy chcesz wykryć coś złego w moim postępowaniu?

— Wcale nie! Nigdy przedtem tego nie robiłam, a i teraz bym nie poszła, gdyby nie pewne słówka, jakie czasem słyszę na twój temat.

— Co masz na myśli? — dopytywał niecierpliwie.

— Mówią... mówią, że wieczorami chodziłeś do Alderworth, i to mi przypomniało, co słyszałam...

Wildeve zerwał się gniewnie i stanął przed żoną.

— No, mówże, pani Wildeve! — powiedział, wymachując w powietrzu ręką. — Żądam, żebyś mi powiedziała, jakie doszły cię o mnie słuchy!

— Słyszałam, że kiedyś bardzo lubiłeś Eustachię, nic więcej, chociaż mówiono o tym półsłówkami. Nie powinieneś się gniewać. Spostrzegł, że oczy jej nabrzmiwiają łzami.

— No, nie ma w tym nic nowego — powiedział — a ja oczywiście nie zamierzam cię skrzywdzić, więc nie musisz płakać. A teraz nie mówmy już o tym więcej.

I tak też się stało. Tomasina była bardzo rada, że nie wspomniała nic o wizyci[^]

Clyma tego wieczoru ani o tym, co opowiadał.

VII NOC SZÓSTEGO LISTOPADA

Zdecydowawszy się na ucieczkę, Eustachią pragnęła czasami, aby zdarzyło się coś, co udaremniłoby jej zamiar. Jedyłą ewentualnością, która mogłaby rzeczywiście zmienić jej sytuację, byłoby pojawienie się Clyma. Aureola, którą go otoczyła w początkach ich miłości, rozwiła się bezpowrotnie, czasem jed-

243nak Eustachii przychodziła na pamięć jakaś jego dobra cecha, budząc chwilową nadzieję, że Clym do niej przyjdzie. Po rozważeniu jednak wszystkiego spokojnie, nie wydawało się prawdopodobne, by istniejąca między nimi przepaść mogła zniknąć. Będzie musiała nadal prowadzić życie w odosobnieniu, jako żałosna istota nie na swoim miejscu. Przywykła uważać jedynie wrzosowisko za nieodpowiednie dla siebie miejsce, a teraz myślała tak o całym świecie.

Pod wieczór szóstego listopada ponownie ożyło jej postanowienie odejścia. Koło czwartej spakowała na nowo parę drobiazgów, które zabrała uciekając z

Alderworth, i trochę rzeczy, które tu dawniej pozostały; całość zmieściła w torbie, nie za wielkiej, by mogła ją nieść w rękę przez milę lub dwie. Na dworze wzrastały ciemności, chmury koloru błota zawisły brzuchami nad ziemią, jak ogromne hamaki, a w miarę jak zapadała noc, zrywał się silny wiatr, ale jak dotąd nie padało.

Eustachia, nie mając już nic do zrobienia, nie mogła znaleźć sobie miejsca, chodziła więc tam i z powrotem po wzgórzu, nie oddalając się zbyt od domu, który miała wkrótce opuścić. Te chaotyczne wędrówki zaprowadziły ją przed chatę Zuzanny Nunsuch, położoną trochę niżej od domku jej dziadka. Drzwi były uchylone i blask z kominka kładł się jaskrawą smugą na ziemi. Kiedy Eustachia przecinała te promienie, ukazały ją przez moment wyraźnie, jak zjawę w aureoli światła na tle mroku — ten moment przeminął, a jej postać znów pograżyła się w ciemnościach.

Kobieta siedząca w głębi chaty zobaczyła i rozpoznała w tym blasku Eustachię. Była to Zuzanna Nunsuch, zajęta przygotowywaniem napoju z grzanego mleka zaprawionego winem i korzeniami dla swego małego synka, który często niedomagał, a teraz był poważnie chory. Zuzanna wypuściła z ręki łyżkę, pogroziła pięścią oddalającej się postaci, a potem, zamyślona i roztargniona, powróciła do swojej pracy.

O ósmej, kiedy to zgodnie z umową Eustachia miała dać sygnał Wilde-ve'owi, rozejrzała się dokoła, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, podeszła do stosu janowcowego chrustu i wyciągnęła stamtąd długą gałąź. Poszła z nią na róg nasypu i sprawdzwszy, że okiennice w domu są zamknięte, zapaliła ją, a kiedy strzelił płomień, ujęła gałąź w rękę i machała nad głową, aż zgasł.

Odczuła satysfakcję, jeżeli mogła ją odczuwać w tym nastroju, bo w chwilę później ujrzała w pobliżu domu Wildeve'a podobne światło. Szybkość, z jaką odpowiedział na jej wezwanie, dowodziła, że zgodziwszy się czuwać co wieczór o tej godzinie, ściśle dotrzymywał obietnicy. Jak przedtem ułożyli, w cztery godziny później, to znaczy o północy, miał czekać, żeby zawieźć ją do Bud-mouth. Eustachia wróciła do domu. Po kolacji udała się wcześniej na górę i siedziała w swej sypialni czekając, aż nadejdzie umówiona pora. Wieczór był ciemny i groźny, więc kapitan Vye nie powędrował na plotki do sąsiadów ani nie udał się do oberży, jak to robił nieraz w te długie jesienne, wieczory, tylko siedział w domu, sącząc samotnie grog. Koło dziesiątej dało się słyszeć pukanie. Kiedy służąca otworzyła drzwi, blask świecy ukazał postać Fairwaya.

244

— Dzisiaj wieczór musiałem iść do Lower Mistover — powiedział — i pan Yeobright prosił, żebym zostawił po drodze ten list, ale włożyłem go za wstążkę kapelusza i przypomniałem sobie dopiero po powrocie, kiedy zamykałem furtkę przed pójściem spać. Przyleciałem więc tutaj natychmiast.

Dziewczyna wzięła list i oddała go kapitanowi, który zobaczył na kopercie imię Eustachii. Obracał go w rękę, domyślał się, że jest to pismo jej męża, ale nie był pewien. Postanowił jednakże doręczyć go od razu, jeżeli to możliwe, i w tym celu udał się na górę, ale gdy zajrzał przez dziurkę od klucza do pokoju wnuczki, zobaczył, że wewnątrz jest ciemno. Eustachia bowiem rzuciła się na łóżko w ubraniu, aby odpocząć i zebrać trochę sił na podróż. Dziadek doszedł do wniosku, że nie powinien przeszkadzać, i szedłszy znów do saloniku, umieścił list na półeczce nad kominkiem, aby go doręczyć z rana.

O jedenastej położył się do łóżka, palił przez jakiś czas fajkę, a wpół do dwunastej zgasił świecę, następnie stosownie do swego niezmiennego zwyczaju odsunął zasłony, aby otworzywszy rano oczy wiedzieć od razu, z której strony wieje wiatr, ponieważ z okna sypialni widać było maszt flagowy i kurek na dachu.

Zaledwie się położył, spostrzegł ze zdziwieniem, że biały maszt rozbłysnął nagle jak pas fosforu w czerni nocy. Widział tylko jedno wytłumaczenie: na maszt musiało paść światło z domu. Ponieważ wszyscy mieszkańcy udali się już na spoczynek, stary człowiek uznał za konieczne wstać, otworzyć po cichu okno i rozejrzeć się dokoła. Świeciło się w sypialni Eustachii, i to blask z jej okna padał na maszt. Zastanawiając się, co rozbudziło wnuczkę, stał przez chwilę niezdecydowany przy oknie i zamierzał wziąć list i wsunąć jej pod drzwi, kiedy nagle usłyszał szelest sukni przy ścianie oddzielającej jego pokój od korytarza. Doszedł do wniosku, że Eustachia nie mogąc zasnąć zesłała po książkę, i przestałby myśleć o całym tym wydarzeniu, gdyby nie to, że wyraźnie słyszał płacz.

— Myśli o tym swoim mężu — powiedział do siebie. — Och, niemądra gaska! Nie powinna była za niego wychodzić. Czy ten list jest rzeczywiście od niego?

Wstał, narzucił na siebie kurtkę marynarską, otworzył drzwi i zawołał:

— Eustachio! — Nikt się nie odezwał. — Eustachio! — powtórzył głośniej. — Jest do ciebie list na kominku.

Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi, chyba że uznać za nią świst wiatru za węglem domu i podzwanianie o szyby nielicznych kropel deszczu.

Stanął na podeście schodów i wyczekiwał na wnuczkę prawie pięć minut. Ale nie wracała. Przyniósł światło, zamierzając iść za Eustachia, lecz wpieryw zajął do jej sypialni. Zobaczył na kołdrze wgłębienie w kształcie jej postaci, świadczące, że nie rozścieliła łóżka^{^j} spostrzegł także, co było jeszcze bardziej wymowne, że schodząc na dół nie zabrała świecy. Przejęty niepokojem ubrał się spieszenie i zszedł do drzwi frontowych, które wieczorem zaniknął na klucz i zarygłował. Były otwarte z klucza i rygiel został odsunięty. Nie ulegało wątpliwości, że Eustachia wyszła z domu o tej późnej porze. Ale gdzie mogła pójść? Nie widział możliwości odnalezienia dziewczyny. Gdyby dom jego stał przy zwyczajnej drodze i wyruszyłyby dwie osoby, każda w przeciwnym kie,-
245ranku, któraś z nich na pewno by ją dogoniła. Odnalezienie jednak kogoś na wrzosowisku w ciemnościach było zadaniem wręcz beznadziejnym, ponieważ z każdego jego punktu było tyle możliwych kierunków ucieczki, co południków rozchodzących się z bieguna. Skłopotany, nie wiedząc, co robić, zajął do salonu i ku swej udręce zobaczył, że list leży nie tknięty.

O wpół do dwunastej, gdy w całym domu panowała już cisza, Eustachia zapaliła świecę, włożyła ciepłe okrycie, wzięła w rękę torbę i zgasiwszy świecę zesłała po schodach. Na dworze zobaczyła, że pada deszcz, a kiedy powstała chwilę przy drzwiach, spostrzegła, że pada coraz bardziej rześście i grozi ulewa. Od raz powziętego jednak planu działania nie mogła jej odwieść niepogoda, skoro powiadomiła Wildeve'a, który prawdopodobnie już na nią czeka. Noc była posepna, iście pogrzebowa, całą naturę kryła żałobna krepa. Ostre wierzchołki sosen za domem wznosiły się w niebo jak klasztorne wieże. Nie było nic widać, prócz światła płonącego wciąż w chacie Zuzanny Nun-such.

Eustachia rozpostarła nad sobą parasolkę i po schodkach na wale wyszła poza ogrodzenie. Nie groziło jej już niebezpieczeństwo, że zostanie dostrzeżona.

Okrążywszy sadzawkę szła ścieżką ku Rainbarrow, potykając się od czasu do czasu o poskręcane korzenie janowca, kity sitowia, nasiąknięte wilgocią bryły mięsistych grzybów, które o tej porze roku leżały tu i tam na wrzosowisku niczym gnijące wątroby i płuca jakichś olbrzymich zwierząt. Wydawało się, że księżyc i gwiazdy zgasły za zasłoną chmur i deszczu. W taką noc myśl wędrowca zwraca się instynktownie ku mrocznym obrazom nieszczęść znanych z kronik świata, ku temu wszystkiemu, co straszliwe i ciemne w historii i legendzie — ku plagom egipskim, zgubie zastępów Sanheriba*, ku konaniu w Getsemani**.

Eustachia doszła w końcu do Rainbarrow i zatrzymała się tam, aby pomyśleć. Trudno by znaleźć doskonalszą harmonię niż ta, jaka istniała między chaosem w jej umyśle a chaosem w otaczającym ją świecie. Nagle uderzyła ją myśl, że nie ma dość pieniędzy na tak długą podróż. Obdarzona niepraktycznym umysłem, miotana tego dnia sprzecznymi uczuciami, nie pomyślała o konieczności zaopatrzenia się w pieniądze, a teraz, zdawszy sobie z tego w pełni sprawę, westchnęła gorzko i pochyliła się pod parasolką, kuląc się coraz bardziej, jak gdyby z głębi Rainbarrow przyciągała ją do ziemi tajemnicza ręka. Czy to możliwe, że ma pozostać nadal uwięziona? Pieniądze. Nigdy dawniej nie odczuwała ich wartości. Nawet by zniknąć z tych okolic, potrzeba środków finansowych! Prosić Wildeve'a o pomoc pieniężną, nie pozwalając mu na towarzyszenie sobie, było niemożliwością dla kobiety posiadającej choć cień dumy; uciec z nim jako utrzymanka — a wiedziała, że ją kocha — byłoby czynem poniżającym.

Każdy, kto znalazłby się w pobliżu, współczułby tej kobiecie, może nie tyle * Sanherib (7 — ok. 681 p.n.e), król Asyrii od 704 roku p.n.e., prowadził liczne wojny, zdobył i zburzył Babilon, został zamordowany w wyniku przewrotu pałacowego.

** Ogród na zachodnich stokach Góry Oliwnej, znany z opisu męki Chrystusa.

246

dlatego, że szła wśród deszczu i wiatru, z dala od ludzi — jeśli nie liczyć próchniejących szczątków w kurhanie — co ze względu na inną formę niedoli, którą ukazywało lekkie kołysanie całej postaci, wywołane zamętem uczuć. Nie ulegało wątpliwości, że jest do głębi nieszczęśliwa. Słysząc było, jak krople deszczu spadają z parasolki na płaszcz, z płaszcza na wrzosy, z wrzosów na ziemię; a podobnie ciche odgłosy wypływały jej na wargi. Twarz miała zlaną łzami, jak całą postać deszczem. Skrzydła jej duszy zostały złamane przez okrutne przeciwności i nawet gdyby widziała sposób dostania się do Bud-mouth i na parowiec, odpływający do portu na przeciwległym brzegu kanału — nie napełniłoby to jej optymizmem, tak przerażająco wrogi były inne okoliczności. Mówiła coś na głos. Kiedy kobieta w takiej sytuacji — ani stara, ani głucha, ani zwariowana czy też narwana — zaczyna łkać i mówić do samej siebie, jest w tym coś godnego ubolewania. — Czy powinnam jechać... czy powinnam jechać? — jęczała. — On nie jest na tyle wielki, żebym mu się oddała... nie zaspokoi moich pragnień! Gdyby to był ktoś taki jak Saul albo Bonaparte... ach! ale złamać przysięgi małżeńskie dla niego... zbyt skromna jest za to nagroda... a ja nie mam pieniędzy, bym mogła jechać sama! Nawet gdybym je miała, cóż by to była za pociecha? Życie wlokłoby się przez następny rok, tak jak przez miniony. A potem przez jeszcze następny. Och, jakże ja się starałam być wspaniałą kobietą i jak wrogi okazał się los! Nie zasłużyłam na taką dole! — wołała w porywie gorzkiego buntu. — O, co za okrutne przeznaczenie kazało mi żyć na tym nieszczęśliwym świecie! Byłam zdolna do wielkich czynów, ale złamały mnie, zniszczyły i zmiażdżyły rzeczy ode mnie niezależne! Bezlitosne muszą być Niebiosy, skoro zesłały na mnie takie męki, choć ja im nic złego nie uczyniłam!

Dalekie światło, które Eustachia dostrzegła opuszczając dom, padało, jak się domyślała, z okna chaty Zuzanny Nunsuch. Nie mogłaby jednak odgadnąć, czym zajmowała się w owym momencie Zuzanna. Kiedy wcześniej tego wieczoru, w parę minut po słowach małego synka: — Mamo, tak źle się czuję! — kobieta zobaczyła przechodzącą koło chaty Eustachię, uznała to za dowód, że przez samą swą bliskość wywiera ona zły wpływ.

Z tego powodu Zuzanna nie położyła się do łóżka zaraz po zakończeniu prac domowych, jak robiła zazwyczaj. Aby zapobiec złym czarom, o jakie posądzała Eustachię, postanowiła się uciec do upiornego obrzędu magii, mającego sprowadzić

bezsilność, wyniszczenie i zagładę na każdego, przeciw komu go skierowano. Praktyka ta kwitła w owych dniach na Egdonie, a i dziś jeszcze niezupełnie tam wygasła wiara w takie gusła.

Ze świecą w ręku udała się do środkowej izby, gdzie pośród różnych przedmiotów znajdowały się dwa ogromne brązowe gary, zawierające razem około stu funtów płynnego miodu, zebranego przez pszczoły ubiegłego lata. Na półce nad garami żółciła się twarda i gładka półkula wosku, produkt tego samego pszczelego urobku.

Zuzanna zdjęła ów kawał wosku i okrajawszy z niego kilka cienkich plastrów, ułożyła warstwami na żelaznej warząchwii, którą zaniósła do kuchni i trzymała nad żarem kominka. Kiedy rozgrzany wosk nabrał miękkości cias-

247ta, zgmiotła go w jedną bryłkę. Na twarzy jej odmalowało się skupienie.

Zaczęła formować wosk. Ruchy jej rąk wskazywały, że chce mu nadać obmyślony kształt. Był to kształt człowieka.

Rozgrzewając i ugniatając wosk, tnąc go i skręcając, rozrywając i zlepiając rodzącą się formę, zrobiła w ciągu kwadransa figurkę, która przypominała kobietę i miała sześć cali wysokości. Położyła ją na stole, aby wystygła i stwardniała.

Sama tymczasem, wzięwszy świecę, poszła do izby na górę, gdzie spał chłopczyk. — Czy zauważyłeś, mój kochany synku, co pani Eustachia miała na sobie dziś po południu, poza czarną suknią?

— Czerwoną wstążkę na szyi.

— Coś jeszcze?

— Nie... tylko pantofelki wiązane rzemykiem.

Zuzanna Nunsuch rozpoczęła poszukiwania i wreszcie znalazła kawałek wąziutkiej czerwonej wstążeczki, którą zniosła na dół i zawiązała na szyi figurki. Z rozchybotanej, stojącej pod oknem komody wyjęła atrament i gęsie pióro i zaczęła stopy figurki na taką wysokość, do jakiej sięgały prawdopodobnie płytkie pantofelki: na wierzchu każdej stopy nakreśliła linie, krzyżujące się na wzór rzemyków, którymi w owym czasie sznurowano obuwie. W końcu okręciła głowę figurki czarną nitką, co miało przypominać noszone wówczas siatki na włosy. Trzymając swe dzieło w wyciągniętej ręce, przyglądała mu się przez chwilę z satysfakcją, choć bez uśmiechu. Każdemu, kto znał mieszkańców Egdonu, figurka owa musiała przywieść na myśl Eustachię Yeobright.

Z koszyczka z przyborami do szycia, stojącego na ławeczce przy oknie, wyjęła pakiecik ze starodawnymi szpileczkami: długimi, żółtawymi, o główkach odpadających przy pierwszym użyciu. Z dziką jakąś energią zaczęła je wbijać we wszystkich kierunkach w woskową figurkę. Wbiła ich chyba z pięćdziesiąt - część w głowę, część w ramiona i korpus, część w podeszwy stóp, aż wreszcie nie było w figurce miejsca, które nie zostałoby przebite szpilką.

Obróciła się do ognia. Paliła torfem i chociaż wysoki kopiec popiołu, jaki daje ten opał, był na zewnątrz wygasły i ciemny, kiedy przerzuciła go szufelką, ukazało się czerwone wnętrze. Wzięte z kąta przy kominku parę kawałków świeżego torfu i ułożyła na żarze. Wkrótce zajął je płomień. Chwyła szczyp-czykami figurkę Eustachii, trzymała ją nad żarem i przyglądała się, jak zaczyna powoli topnieć. Gdy tak stała patrząc, z warg jej wydobywał się szept.

Była to dziwna, niezrozumiała mowa — Modlitwa Pańska odmawiana wspan, zwykły język czarnej magii, którym przywoływano nieczyste moce, by obrócić je przeciw wrogowi. Powoli, trzykrotnie powtarzała Zuzanna te złowrogie zaklęcia, a nim je ukończyła, podobizna Eustachii zmniejszyła się znacznie. Kiedy wosk skapywał w żar, strzelał z tego miejsca język ognia i okręcając się wokół figurki wżerał się w nią coraz głębiej. Czasami z woskiem spadała szpilka i czerwieniła na gorącym popiele.

VIII DESZCZ, CIEMNOŚĆ I NIESPOKOJNI WĘDROWCY

Podczas gdy podobizna Eustachii niszczała topniejąc, a piękna kobieta we własnej osobie stała przy Rainbarrow, dusza jej zaś zstąpiła w otchłań rozpaczony rzadko nawiedzana przez istoty tak młode, Clym siedział samotnie w Blooms-End.

Dotrzymał słowa danego Tomasinie, posyłając przez Fair-waya list do żony, i teraz z coraz większą niecierpliwością oczekiwał jakiegoś znaku lub odgłosu, oznajmującego jej przyjście. Sądził, że jeżeli Eustachia jest nadal w Mistover, to przynajmniej przyśle mu tego wieczoru odpowiedź przez tę samą osobę, chociaż chcąc pozostawić wszystko jej woli, uprzedził Fair-waya, żeby o to nie prosił. Gdyby mu ją wręczono, powinien ją przynieść natychmiast, gdyby nie, miał wracać prosto do domu nie trując się tego wieczoru zachodzeniem do Blooms-End. W głębi serca jednakże Clym spodziewał się czegoś miłszego. Eustachia zapewne nie zechce użyć pióra ona woli raczej działać cicho — i zaskoczy go zjawiając się u drzwi. Nie wiedział, jak stanowczo zdecydowana była zrobić coś wręcz przeciwnego.

Ku jego wielkiemu żalowi, z nadejściem wieczoru rozpadało się, a wiatr świstał i chrobetał za węglem domu, rzucał spływającymi z okapu kroplami o szyby jak grochem. Clym chodził niespokojnie po niezamieszkańskich pokojach, walczył z dziwnymi odgłosami dolatującymi od okien i drzwi, wpychając drzazgi w szczeliny i umacniając ołowianą oprawę szyb tam, gdzie została obluźwana. Była to jedna z tych nocy, kiedy w murach starych kościołów poszerzają się szczeliny, a na sufitach chylących się do upadku rezydencji odnawiają się stare plamy i z rozmiarów wielkości ręki powiększają się do kilku stóp. Furtka w płocie przed domostwem Clyma nieustannie się otwierała i zamykała, ale kiedy wyglądał przez okno niespokojnie, nie widział nikogo, jak gdyby przechodziły tamtędy postacie zmarłych chcąc go odwiedzić.

Między dziesiątą a jedenastą, gdy ani Fairway, ani nikt inny nie przyszedł, Clym położył się do łóżka i mimo niepokoju zasnął. Spał jednak lekkim, czujnym snem i łatwo obudziło go pukanie do drzwi, które dało się słyszeć w jakąś godzinę później. Ocknął się i wyjrzał przez okno. Padał ulewny deszcz i pod jego ciężarem cały obszar wrzosowiska wydawał zduszony syk. Było zbyt ciemno, aby cokolwiek widzieć.

— Kto tam? — zawołał.

Posłyszał szuranie lekkich stóp na ganku i dobiegły go niewyraźne słowa, wypowiedane zapłakany kobiecym głosem:

— Och dymie, zejdź i wpuść mnie!

Oblał się gorącym rumieńcem z podniecenia.

— To z pewnością Eustachia! — szepnęła. Jeśli tak, rzeczywiście zaskoczyła go swym przyjściem.

Szybko zapalił świecę, ubrał się i zbiegł na dół. Kiedy otworzył drzwi, promienie światła padły na szczerbie opatuloną kobietę, która natychmiast weszła do środka.

249— Tomasina! — zawołał tonem nie dającego się opisać rozczarowania. — Tomasina, i to w taką noc jak ta! Och, a gdzie jest Eustachia?

Rzeczywiście była to Tomasina, przemokła, wystraszona, zadyszana.

— Eustachia? Nie wiem, dymie, ale się domyślam — powiedziała w wielkim wzburzeniu. — Pozwól mi wejść i odpocząć... Wytłumaczę ci wszystko. Szykuje się nieszczęście... mój mąż i Eustachia!

— Co takiego?

— Mój mąż ma chyba zamiar mnie porzucić lub zrobić coś strasznego. Nie wiem co?! Może pójdziesz zobaczyć, dymie? Nie mam nikogo, kto by mi pomógł, prócz ciebie

jednego! Czy Eustachia nie wróciła?

— Nie.

— Chcą więc uciec razem! — mówiła bez tchu. — Przyszedł dziś do domu koło ósmej i powiedział jakby od niechcenia: “Tomasino, właśnie się okazało, że muszę jechać w podróż”. “Kiedy?” — zapytałam. “Dziś w nocy” — odparł. “Dokąd?” “Nie mogę ci teraz powiedzieć — rzekł, — Jutro będę z powrotem.” Poszedł i zajął się przygotowywaniem swoich rzeczy i wcale nie zwracał na mnie uwagi. Spodziewałam się, że zobaczę, jak będzie odjeżdżał, ale on zwlekał, a potem, kiedy już była dziesiąta, powiedział: “Idź lepiej spać”. Nie wiedziałam, co robić, więc się położyłam. Chyba myślał, że zasnąłam, bo w pół godziny później przyszedł i otworzył dębową skrzynię, w której trzymamy pieniądze, jeśli jest ich dużo w domu, i wyjął rulon jakichś papierów, myślę, że banknotów, chociaż nie wiedziałam, że tam były. Musiał je przynieść z banku, bo chodził tam wczoraj. Na co potrzebował pieniędzy, jeśli wyjeżdża tylko na jeden dzień? Kiedy zszedł na dół, pomyślałam o Eustachii i o tym, że się spotkali poprzedniej nocy... Wiem, że się z nią spotkał, dymie, bo szłam za nim przez część drogi, ale nie chciałam ci o tym mówić, kiedy mnie odwiedziłeś, żebyś nie myślał o nim źle, bo nie przypuszczałam, że to coś tak poważnego. Byłam zbyt niespokojna, żeby leżeć dłużej, więc wstałam i ubrałam się, a kiedy doszły mnie hałasy ze stajni, postanowiłam przyjść i ci o wszystkim opowiedzieć. Zeszłam więc po cichu ze schodów i wymknęłam się z domu.

— Kiedy więc wychodziłaś, pan jeszcze nie wyjechał?

— Jeszcze nie. Kpchany kuzynie Clymie, czy nie pposzedłbyś i nie spróbował go przekonać, żeby nie wyjeżdżał? On wcale nie zwraca uwagi na to, co ja mówię, i mydli mi oczy opowiadaniem, że wybiera się w podróż i jutro wróci, i tak dalej, ale ja mu nie wierzę. Myślę, że tobie uda się na niego wpłynąć.

— Pójdę — zgodził się Clym. — O, Eustachio!

Tomasina trzymała w ramionach duże zawiniątko. Usiadłszy zaczęła je rozwijać i po chwili wydobyła niemowlę jak nasionko z łusek — suche, ciepłe, nieświadome, że odbyło podróż w niepogodę. Żywo je ucałowała, a potem znalazła czas na płacz, jednocześnie mówiąc:

— Przyniosłam dziecko, bo się bałam, żeby jej się co nie stało. To było niebezpieczne, ale nie mogłam zostawić jej z Rachelą.

Clym spiesznie dorzucił dREW do kominka, rozgrzebał przygasający żar i rozniecił płomień za pomocą miecha.

— Osusz się — powiedział. — Pójdę przynieść dREW.

250

— Nie, nie, nie zwracaj sobie tym głowy. Ja podłożę na ogień-. Czy mógłbyś iść od razu... bardzo cię proszę.

Clym pobiegł na górę, by się ubrać do wyjścia. Tymczasem rozległo się ponowne pukanie do drzwi. Tym razem nikt nie mógł się łudzić, że to Eustachia: bo kroki poprzedzające pukanie były ciężkie i powolne. Clym pomyślał, że to może Fairway z odpowiedzią, zszedł i otworzył drzwi.

— Kapitan Vye? — zwrócił się do okapującej deszczem postaci.

— Czy moja wnuczka jest tutaj? — zapytał kapitan.

— Nie.

— Więc gdzie ona jest?

— Nie wiem.

— Ale powinieneś wiedzieć, jesteś jej mężem.

— Tylko z nazwy — odparł coraz bardziej podniecony dym. — Zdaje się, że zamierza uciec dzisiejszej nocy z Wildeve'em. Właśnie idę sprawdzić.

— Wyszła z mojego domu, stało się to jakieś pół godziny temu. Kto tam siedzi?

— Moja kuzynka Tomasina.

Kapitan ukłonił się jej z roztargnieniem.

— Chciałbym wierzyć, że to ucieczka, a nie coś gorszego.

— Gorszego? A CP gorszego może zrobić żona?

— No cóż, dowiedziałem się o dziwnym zdarzeniu. Zanim wyruszyłem na poszukiwanie, przywołałem Charleya, chłopca stajennego. Któregoś dnia znikły moje pistolety.

— Pistolety?

— Wtedy powiedział, że wziął je dp oczyszczenia. Teraz się przyznał, że je zabrał, bo widział, jak Eustachia pilnie im się przyglądała. Później przyznała mu się, że chciała odebrać sobie życie, ale zobowiązała go dp tajemnicy i przyrzekła, że nigdy już tego nie powtórzy. Jednak to dowodzi, co jej wtedy chodziło po głowie, a kto raz dopuści do siebie złe myśli, może im ulec znowu.

— Gdzie są te pistolety?

— Bezpiecznie zamknięte. O nie, już drugi raz nie wpadną jej w ręce. Ale są inne sposoby odebrania sobie życia, nie tylko kule z pistoletu. O CP się tak strasznie z nią pokłóciłeś, że aż do tego doszło? Zawsze byłem przeciwny temu małżeństwu, i miałem rację.

— Czy pan pójdzie ze mną? — zapytał Clym nie zwracając uwagi na ostatnią uwagę kapitana. — Po drodze mogę opowiedzieć, o co się pokłóciliśmy.

— A dokąd mam iść?

— Do Wildeve'a. Tam uciekła, jestem pewien.

— Powiedział — wtrąciła się do rozmowy Tomasina, wciąż płacząc — że niespodziewanie musi jechać w krótką podróż, ale po co mu w takim razie potrzeba tyle pieniędzy? O, Clymie, jak myślisz, co się stanie? Boję się, że ty, moje maleństwo, wkrótce nie będziesz miała ojca!

— Już idę — powiedział dym wychodząc na ganek.

—r- Chętnie bym z tobą poszedł — mówił z zastanowieniem kapitan. — Ale moje stare nogi nie zanoszą mnie chyba daleko w taką noc. Nie jestem już 25-letni, jak niegdyś. Jeśli przeszkodzi się im w ucieczce, ona na pewno do mnie wróci, powinienem więc być w domu, żeby ją przyjąć. W każdym razie nie mogę iść do oberży. Wracam prosto do domu.

— Tak będzie chyba najlepiej — zgodził się Clym. — Tomasino, osusz się i rozgość.

To powiedziawszy zamknął drzwi i wyszedł z domu wraz z kapitanem Vye'em, który rozstał się z nim przed furką i poszedł środkową ścieżką, prowadzącą do Mistover. Clym skierował się w prawo, ku oberży.

Po ich wyjściu Tomasina zdjęła z siebie trochę wilgotnej odzieży, zniosła dziecko na górę i położyła na łóżku Clyma, a potem wróciła do saloniku, podrzuciła na ogień i zaczęła suszyć ubranie. Płomienie strzelały w górę, nadając całemu pokojowi przytulny wygląd, spotęgowany jeszcze przez kontrast z szalejącą na dworze wichurą, która postukiwała o szyby i słała przez komin dziwne odgłosy i szepty, niby zapowiedź tragedii.

Młoda kobieta znajdowała się w tym pokoju tylko ciałem, bo skoro tylko ustąpił z jej serca niepokój o pozostawioną na górze córeczkę, całą duszą towarzyszyła dymowi w drodze. Pozwoliwszy sobie przez dłuższą chwilę na tę wędrówkę w wyobraźni, poczuła, jak nieznośnie wlecze się czas. Ale siedziała dalej. Wkrótce jednak nadszedł moment, kiedy już nie mogła znieść tego dłużej, a gdy uprzytomniła sobie, że Clym jeszcze nie doszedł do oberży, zabolęła ją to jak szyderstwo. W końcu pobiegła na górę do dziecka. Spało smacznie, ale imaginacja stawiała Tomasinie przed oczy straszne wydarzenia, jakie mogą zajść w domu, a że to, co niewidzialne, przemawiało do niej silniej, niż to, co widzialne,

podniecenie jej przekroczyło wszelkie granice. Nie mogła się powstrzymać od zejścia na dół i otwarcia drzwi. Ulewa nie ustawała, blask świecy oświetlił najbliższe krople, które jaśniały jak strzały zsuwając się po niewidzialnej płachcie deszczu. Wyjść na tę ulewę znaczyło to samo co zanurzyć się w wodę lekko rozrzedzoną powietrzem. Ale trudność powrotu do domu czyniła ten powrót bardziej upragnionym. Wszystko wydawało się lepsze niż niepewność.

— Udało mi się przyjść tutaj! — Szepnęła — dlaczego więc nie miałoby mi się udać wrócić? Źle robię pozostając z dala.

Szybko schwyciła niemowlę, opatulila je, sama ubrała się jak poprzednio i rozrzuciwszy popioły na kominku dla uniknięcia pożaru, wyszła na dwór.

Przystanęła na moment, żeby schować klucz na zwykłe miejsce za okiennicą, a potem odważnie zwróciła się twarzą ku otchłani mroku za ogrodzeniem i wstąpiła w nią. Wyobrażnia jej zaprzątnięta była bez reszty czym innym, toteż ciemność i zawierucha nie budziły w niej przerażenia, lękała się tylko, że w tych okolicznościach droga będzie ciężka i męcząca.

Wkrótce wspięła się po stoku doliny Blooms-End i posuwała się zygzakiem przez nierówne zbocze wzgórza. Wiatr świstał nad wrzosowiskiem, jak gdyby radowała go ta noc, tak bardzo odpowiadająca mu charakterem. Czasami ścieżka wiodła przez zagłębienia wśród gąszczów wysokich, okapujących deszczem paproci, zwiędłych, ale jeszcze nie Opadłych, które falowały wokół niej jak wody jeziora. W miejscach, gdzie sięgały wyżej, Tomasina podnosiła dziecko aż nad głowę, aby nie dotknęły go mokre liście. Na wyższych tere-

252

nach, gdzie wiatr dał równomiernie i mocno, deszcz płynął poziomą smugą i niemal nie zniżał się ku ziemi, tak że nieskończenie dalekie wydawało się miejsce, w którym opuścił łożo chmur. Niemożliwa była jakakolwiek przed nim obrona, poszczególne krople godziły w Tomasinę niczym strzały w świętego Sebastiana. Mogła tylko unikać kałuż, bo zdradzała ich miejsce, nieco jaśniejsza, przymglona barwa, która jednak na innym tle, mniej ciemnym niż wrzosowisko, wydawałaby się samą czernią.

Mimo to nie żałowała, że wyruszyła w drogę. Tomasinie nie wydawało się — tak jak Eustachii — że w powietrzu krążą demony, a w każdym krzaku i gałęzi czai się złość. Mokre smugi, bijące ją w twarz, to nie były skorpiony, ale po prostu deszcz, a w całym Egdonie nie widziała potwora, ale bezosobową przestrzeń. Jej obawy, związane z tym miejscem, miały podłoże racjonalne, niechęć do przeżywania tutaj złej pogody była uzasadniona. Rozumiała, że w tym czasie jest to wietrzysta, mokra okolica, w której można doświadczyć wielu niewygód, zgubić drogę z braku ostrożności i nabawić się przeziębienia.

Jeżeli ktoś zna dobrze ścieżkę, nie jest mu tak trudno jej się trzymać, bo wyczuwa ją stopami, ale gdy raz z niej zejdziesz, nie jest w stanie wrócić, Ponieważ dziecko zasłaniało Tomasinie widok i zaprzętało jej myśli, zmyliła w końcu drogę. To niepomysłne zdarzenie nastąpiło, kiedy schodziła po otwartym zboczu, przebywszy dwie trzecie odległości. Zamiast kręcić się tam i z powrotem w beznadziejnym poszukiwaniu tej cienkiej jak nitka ścieżyny, podążała naprzód licząc na swoją znajomość wrzosowiska, bo w tym względzie niewiele ustępowała Clymowi czy nawet dzikim konikom.

W końcu doszła do niewielkiej kotlinki i poprzez zasłoną deszczu dostrzegła słaby blask, który z wolna się wydłużał, jakby padał przez otwarte drzwi.

Wiedziała, że nie ma tu żadnego domu, a wkrótce zorientowała się, co to za drzwi, spostrzegłszy ich odległość od ziemi.

— Ależ to z pewnością Diggory Venn! — zawołała.

Wiedziała, że kiedy Venn przebywa w tych okolicach, najchętniej zatrzymuje się w

jakimś odludnym miejscu w pobliżu Rainbarrow, toteż natychmiast ojngadia, że natknęła się na jego tajemne schronienie. Zadała sobie pytanie, czy powinna go prosić, aby pomógł jej odszukać ścieżkę. Ponieważ gorąco pragnęła dostać się jak najprędzej do domu, zadecydowała, że zwróci się z tym do niego, choć dziwnie to będzie wyglądało, gdy pojawi się przed nim w tym miejscu i o tej porze. Ale kiedy, chcąc wykonać to postanowienie, doszła do wozu i zajrzała do środka, przekonała się, że jest pusty. Nie ulegało, jednak wątpliwości, że to wóz Yenna. W piecyku palił się ogień, latarnia wisiała na gwoździu. Podłoga przy wejściu była tylko lekko zmoczona deszczem, a nie zalana, co świadczyło, że drzwi otwarto niedawno.

Kiedy tak stała, niepewnie zaglądając do środka, posłyszała dobiegający za nią z ciemności odgłos zbliżających się kroków i obróciwszy się zobaczyła dobrze sobie znaną postać w sztruksowym ubraniu, wyglądającą upiornie w blasku latarni, padającym przez zasłonę deszczu.

— Myślałem, że pani zesła w dół z boczka — powiedział nie dostrzegając jej twarzy. — Jakim sposobem dostała się tu pani z powrotem?

253 — Diggory? — zagadnęła go niepewnie Tomasina.

— Kim pani jest? — pytał Venn wciąż nie widząc jej twarzy. — I dlaczego przed chwilą tak strasznie pani płakała?

— O, Diggory, czyż mnie nie poznajesz! — zawołała. — Oczywiście, że nie, jestem przecież tak opatulona. Ale co to znaczy? Ja wcale nie płakałam i nie byłam tu przedtem.

Yenn podszedł bliżej i kiedy spojrział na nią w świetle latarni, zawołał zdumiony:

— Pani Wildeve! O jakiej dziwnej porze się spotykamy! I w dodatku z dzieckiem! Co się takiego straszego stało, że musiała pani wyjść z domu w taką noc jak ta? Nie potrafiła mu od razu odpowiedzieć, a on, nie pytając o pozwolenie, wskoczył do wozu, chwycił ją za ramię i wciągnął za sobą.

— Co się stało? — dopytywał, kiedy znaleźli się w środku.

— Zbłądziłam wracając z Blooms-End i bardzo się spieszę do domu. Proszę, pokaż mi drogę jak najszybciej! Jak to głupio z mojej strony, że nie znam lepiej Egdonu, i nie mam pojęcia, jakim sposobem zesłam ze ścieżki. Pokaż mi prędko drogę, Diggory, bardzo proszę!

— Naturalnie, pójdziemy razem. Ale czy pani była tu przedtem?

— Przyszłam przed chwilą.

— To dziwne. Przed pięciu minutami, kiedy spałem tutaj zamknąwszy drzwi przed deszczem, obudził mnie szelest kobiecej sukni ocierającej się o wrzosy, bo mam lekki sen... i jednocześnie usłyszałem szlochanie czy płacz tej kobiety.

Otworzyłem drzwi i wyciągnąłem latarnię, i w najdalszym oświetlonym przez nią miejscu zobaczyłem jakąś kobietę. Kiedy padło na nią światło, odwróciła głowę i zbiegła w dół. Powiesiłem latarnię, a ciekawość kazała mi ubrać się i iść za nią, ale już jej nie znalazłem. Wracałem właśnie stamtąd, kiedy pani przyszła i myślałem, że to ta sama kobieta.

— Może to jakaś mieszkanka wrzosowiska wracała do domu?

— Nie, to niemożliwe. Jest za późno, a jej suknia, ocierając się o wrzosy, szeleściła tak, jak tylko jedwab może szeleścić.

— A więc to nie byłam ja. Jak widzisz, nie mam jedwabnej sukni. Czy jesteśmy między Mistover o oberżą?

— Tak, niedaleko.

— Ach, to pewno była ona! Diggory, muszę wracać natychmiast! Zanim się zorientował, wyskoczyła z wozu, a on odczepił latarnię i skoczył za nią.

— Wezmę dziecko — powiedział. — Pani musi być zmęczona dźwiganiem takiego

ciężaru.

Tomasina zawahała się, a potem oddała dziecko w ręce Yenna.

— Tylko nie ściskaj za bardzo — przestrzegala — i nie przygnieć rączek maleństwu. I zasłoń je paltem, tak żeby deszcz nie padał na buzię.

— Naturalnie — zapewniał z przejęciem Venn. — Jak gdybym mógł ukrzywdzić cokolwiek, co należy do pani! <\;

— Mogłoby się to zdarzyć przypadkiem — tłumaczyła Tomasina.

— Dziecko jest suche, ale pani jest przemoknięta — stwierdził sprzedawca

254

farby, kiedy zamykając drzwi, żeby założyć kłódkę, zauważył na podłodze wodę w miejscu, gdzie deszcz skapywał z jej płaszcza.

Tomasina szła za nim, a on skręcał to w prawo, to w lewo, wymijając większe krzaki. Od czasu do czasu zatrzymywał się i spoglądał za siebie przez ramię, aby się zorientować, gdzie znajduje się Rainbarrow, bo aby iść we właściwym kierunku, musieli mieć kurhan wprost za plecami.

— Czy jesteś pewien, że deszcz nie pada na dziecko?

— Najzupełniej. Czy wolno zapytać, ile on ma już miesięcy?

— On! — zawołała z wyrzutem Tomasina. — Widać przecież od razu, że to dziewczynka. Ma prawie dwa miesiące. Jak daleko stąd do oberży?

— Trochę ponad ćwierć mili.

— Czy mógłbyś iść nieco prędzej?

— Bałem się, że pani nie nadaży.

— Chcę się jak najprędzej znaleźć w domu. O, widzę światło w oknie!

— To nie jest światło w oknie. Moim zdaniem to latarnia przy pojeździe.

— Och! — zawołała zrozpaczona Tomasina. — Żałuję, że nie zdążyłam tu wcześniej... daj mi dziecko, Diggory... i możesz już wracać.

— Muszę iść z panią dalej — odparł Yenn. — Między tym pojazdem a nami znajduje się bagno i wpadłaby w nie pani po szyję, gdybym go nie okrążył.

— Ależ to światło pada z oberży, a przed nią nie ma żadnego bagna.

— Nie. To światło znajduje się o dwieście albo trzysta jardów od oberży.

— Mniejsza z tym — odpowiedziała szybko Tomasina. — Idź w stronę światła, a nie ku oberży.

— Dobrze — zgodził się Yenn, posłusznie zmieniając kierunek. Po chwili dodał: — Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, co to za wielkie zmartwienie. Chyba dowiodłem, że można mi ufać.

— Są pewne rzeczy, o których nie można... nie można mówić... — W tym momencie serce podeszło jej do gardła i nie zdołała powiedzieć nic więcej.

IX WĘDROWCY SCHODZĄ SIĘ W JEDNYM MIEJSCU

Spostrzegłszy o ósmej godzinie sygnał dany mu ze wzgórza przez Eus-tachie, Wildeve natychmiast zaczął się przygotowywać do udzielenia jej pomocy w ucieczce i — jak miał nadzieję — do towarzyszenia jej w drodze. Był trochę zmieszany i sposób, w jaki powiadomił Tomasinę, że udaje się w podróż, wystarczył, by wzbudzić w niej podejrzenie. Kiedy położyła się spać, zebrał rzeczy przydatne w podróży i poszedł na górę do skrzynki, skąd wyjął sporą część banknotów wypłaconych mu na kosztą przeprowadzki, a conto Sumy, w której posiadanie miał wkrótce wejść.

Następnie udał się do stajni i wozowni, chcąc się upewnić, że koń, pojazd i uprząż znajdują się w odpowiednim stanie na długą jazdę. Spędził tam prawie pół godziny, a gdy powrócił, ani przez myśl mu nie przeszło, że Tomasina 255może być gdzieś indziej niż we własnym łóżku. Zapowiedział chłopcu stajennemu, że ma na niego nie czekać, dając mu do zrozumienia, że wyjeżdża koło trzeciej czy czwartej rano, bo ta pora odjazdu, choć wyjątkowa, nie była tak

dziwna jak dwunasta w nocy, na którą się umówili, ponieważ statek pocztowy odpływał z Budmouth między pierwszą a drugą.

W końcu wszystko było gotowe i pozostało mu już tylko czekać. Nie potrafił w żaden sposób otrząsnąć z siebie przygnębienia, jakie go dręczyło od ostatniego spotkania z Eustacją, lecz miał nadzieję, że w jego sytuacji lekarstwem mogą się stać pieniądze. Perswadował sobie, że można zachować się nienagannie w stosunku do łagodnej żony, przepisując na nią połowę majątku, a jednocześnie okazać rycerskie oddanie innej, górującej nad nią kobiecie, dzieląc jej losy. I chociaż miał zamiar trzymać się co do litery poleceń Eustachii, zawieźć ją tam, gdzie sobie życzy, a potem zostawić, jeżeli taka będzie jej wola, to jednak czar, jaki rzuciła na niego, potęgował się i serce biło w nim Żywiej na myśl, że być może pragnienie ich obojga, by dzielić z sobą losy, zmieni tę decyzję. Nie pozwolił sobie jednak marnować czasu na domysły, maksymy i nadzieje. Za dwadzieścia dwunasta poszedł cicho do stajni, zaprzął konia i zapalił latarnie, a potem trzymając konia za uzdę, zaprowadził go wraz z zakrytym pojazdem na rozstaje dróg, odległe o jakieś ćwierć mili.

Tutaj się zatrzymał i czekał, osłonięty trochę przed deszczem wysokim nasypem. Na oświetlonej przez latarnię drodze wiatr pędził obluźniony żwir i drobne kamyki, postukując nimi i usypując z nich stosy, a potem zanurzał się we wrzosowisko i huczał wśród krzaków, ginąc w ciemności. Tylko jeden odgłos górował nad szumem wiatru i deszczem, a był nim ryk wody spływającej z dziesięciu śluz tamy, znajdującej się na rzece, która płynęła wśród łąk, tworząc od południa granicę wrzosowiska. .

Wildeva pozostawał przez czas jakiś w całkowitym bezruchu, aż błysnęła mu myśl, że już musiała bić dwunasta. Zbudziła się w nim poważna wątpliwość, czy Eustacją odważyłaby się zejść z góry w taką niepogodę, lecz znając jej charakter, uznał to za możliwe.

— Biedactwo! — szepnął. — Takiego już ma pecha!

W końcu obrócił się ku latarni i spojrzął na zegarek. Zdziwił się, że jest już kwadrans po dwunastej. Żałował teraz, że nie pojechał okrężną drogą do Mistoyer, czego nie zrobił ze względu na to, że ścieżka dla pieszych, biegnąca odkrytym zboczem, była nieporównanie krótsza od drogi, której pokonanie zmęczyłoby bardziej konia.

Nagle posłyszał, że ktoś nadchodzi, ale go nie widział, ponieważ latarnia znajdowała się z innej strony.

r— Eustacją? — zapytał.

Nadchodzący zbliżył się jeszcze bardziej i blask latarni ukazał lśniąca od deszczu postać Clyma. Wildeva poznał go od razu, ale ponieważ sam znajdował się z drugiej strony latarni, nie został rozpoznany.

Clym przystanął, jak gdyby się zastanawiał, czy czekający tu pojazd ma coś wspólnego z ucieczką żony. Jego widok wzburzył do głębi Wildeva'a. Patrzył na niego znów jak na śmiertelnego wroga, przed którym za wszelką

256

cenę należy ustrzec Eustację, toteż nie odzywał się w nadziei, że tamten odejdzie o nic nie pytając.

Kiedy tak trwali w niepewności, przez szum wichury dobiegł ich uszu jakiś głuchy odgłos. Nie można się było pomylić, co oznacza: ktoś wpadł do rzeki na sąsiedniej łące w pobliżu tamy.

Obaj drgnęli w przerażeniu.

— Wielki Boże! Czy to ona? — zawołał Clym.

— A dlaczego miałyby to być ona? — zapytał Wildeva, zapominając w swym przestachu, że się ukrywa.

— A! To ty... zdrajco! — krzyczał Clym. — Dlaczego miałyby to być ona? Bo w zeszłym tygodniu, gdyby mogła, położyłaby kres swojemu życiu! Powinno się było jej strzec! Bierz latarnię i chodź ze mną!

Chwycił znajdującą się ze swojej strony latarnię i pobiegł. Wildeve nie tracił czasu na zdjęcie drugiej, lecz od razu ruszył ścieżką prowadzącą przez łąkę do tamy i biegł za Clymem.

U stóp tamy Shadwater znajdował się duży zbiornik w kształcie koła o średnicy pięćdziesięciu stóp, do którego spływała woda z dziesięciu śluz, podnoszonych i opuszczanych w zwykły sposób za pomocą korb i kół zębatach. Ściany zbiornika były obmurowane, by chronić przed podmyciem brzegi, lecz zimą napór wód bywał czasem tak silny, że podmywał powstrzymujący go mur i strącał w dół.

Clym doszedł do śluz wstrząsanych aż do podstaw gwałtownością prądu. W leżącym niżej zbiorniku nie mógł dostrzec nic prócz spienionej wody. Wszedł na mostek z desek i trzymając się poręczy, żeby go nie strącił wiatr, przedostał się na drugą stronę rzeki. Pochylił się nad murem i zniżył latarnię, lecz dojrzał tylko wir powstały przy skręcie zawracającego nurtu.

Tymczasem Wildeve dobiegł do przeciwległego brzegu. Latarnia Clyma rzucała przyćmione, chybotliwe światło na zbiornik, ukazując oczom eks-inżyniera kłębiące się masy wód spadających ze śluz. Na tym pofałdowanym i pociętym lustrze wód widać było jakąś czarną postać, unoszoną przez jeden z zawracających prądów.

— Oj moje kochanie! — zawołał Wildeve pełnym rozpaczy głosem i nie przejawivszy nawet tyle przytomności umysłu, by zrzucić palto, wskoczył w kipiący kocioł. .

Teraz i Clym zobaczył unoszone przez wodę ciało, choć bardzo niewyraźnie, a widząc skok Wildeve'a doszedł do wniosku, że ratuje żyjącą istotę, i chciał rzucić się za nim do wody. Ale przyszedł mu do głowy rozsądniejszy plan.

Oparłszy latarnię o słupek, żeby stała prosto, pobiegł, okrążając zbiornik, do jego płytszej części, gdzie nie było muru, wskoczył do wody i brodząc w niej posuwał się ku głębi. Tam fala ścięła go z nóg i choć płynął, został uniesiony ku środkowi zbiornika, gdzie dostrzegł walczącego z prądem Wil-deve'a.

W czasie tych wydarzeń Venn i Tomasina przedzierałi się przez niższą część wrzosowiska w kierunku światła. Znajdowali się za daleko rzeki, żeby słyszeć pluśnięcie ciała, ale zobaczyli, że ktoś zdjął latarnię i poniósł na łąkę. Gdy doszli do wozu, Venn się domyślił, że zdarzyło się znowu coś złego,

17 — Powrót...

257i spiesznie podążył za oddalającym się światłem. Posuwał się szybciej niż Tomasina i pierwszy znalazł się przy tamie.

Latarnia umieszczona przez dyma przy słupie nadal oświetlała wodę i w jej blasku dojrzał jakiś nieruchomy kształt. Ponieważ przeszkadzało mu dziecko, pobiegł z powrotem do Tomasiny.

— Niech pani weźmie dziecko — mówił spiesznie. — Proszę biec do domu, zawołać chłopca stajennego i kazać mu sprowadzić tutaj wszystkich mężczyzn, jacy mieszkają w pobliżu. Ktoś wpadł do wody koło tamy.

Tomasina wzięła dziecko i pobiegła. Kiedy mijała wóz, koń, choć niedawno wyprowadzony ze stajni, stał spokojnie, jakby świadom nieszczęścia. Dopiero teraz zauważyła, czyj to koń i pojazd. Omal nie zemdląła i na pewno nie zdołałaby ująć ani kroku dalej, gdyby konieczność ratowania niemowlęcia nie zmusiła jej do zdumiewającego opanowania. Dręczona niepewnością weszła do domu, położyła dziecko w bezpiecznym miejscu, obudziła chłopaka stajennego i służącą, a sama pobiegła zaalarmować mieszkańców najbliższej chaty. Diggory, powróciwszy nad zbiornik, zauważył, że niewielkie górne zastawki i łopatki koła wodnego są wyjęte. Zobaczył, że jedna z nich leży na trawie, wziął ją pod pachę i trzymając

w drugiej ręce swoją latarnię, wszedł w wodę na dole zbiornika, podobnie jak Clym. Kiedy znalazł się na głębi, położył się na zastawkę: z jej pomocą mógł utrzymać się na powierzchni wody, jak długo chciał. Wolną ręką unosił nad głową latarnię. Dzięki ruchom nóg płynął dokoła zbiornika, kierując się w górę z pomocą nawracającego prądu, a spływając środkiem głównego.

Z początku nic nie widział. Potem wśród lśnień wirów wodnych i białej piany dostrzegł unoszący się samotnie na wodzie damski kapelusz. Prowadził teraz poszukiwania pod lewą ścianą, kiedy nagle coś wypłynęło na powierzchnię niemal tuż przy nim. Nie była to, jak się spodziewał, kobieta, ale mężczyzna. Yenn wsunął obręcz latarni między zęby, chwycił za kołnierz mężczyznę i trzymając się zastawki drugą ręką dostał się w najsilniejszy prąd, który zniósł ich w dół zbiornika. Gdy poczuł pod stopami kamienie na dnie, stanął mocno i posuwał się ku brzegowi. Kiedy woda sięgała mu już tylko do pasa, odepchnął zastawkę i starał się wyciągnąć na brzeg nieprzytomnego mężczyznę. Szło mu to bardzo opornie, bo jak się wkrótce przekonał, nogi nieszczęśnika obejmował mocno ramionami inny mężczyzna, który dotychczas był całkowicie pogrążony w wodzie. W tym momencie serce zabiło mu mocno, bo posłyszał kroki nadbiegających i na brzegu ukazało się dwóch mężczyzn zbudzonych przez Tomasinę. Podbiegli ku niemu i pomogli mu wyciągnąć na pozór martwych topielców, rozdzielili ciała i położyli na trawie. Yenn oświecił latarnią ich twarze. W tym, co znajdował się na górze, rozpoznał Yeobrighta, w drugim, całkowicie zanurzonym — Wildeve'a.

— Teraz musimy przeszukać zbiornik raz jeszcze — oświadczył Yenn. — Jest tu gdzieś kobieta. Znajdźcie jakiś drąg.

Jeden z ratujących podszedł do mostku i wyłamał poręcz. Wszyscy trzej weszli do zbiornika od płytszej strony, jak poprzednio, i wspólnymi siłami sondowali go, posuwając się ku środkowi. Yenn się nie mylił przypuszczając,

258

że kogoś, kto utonął, musi znieść tutaj woda, bo w połowie drogi zaczepili o coś drągiem.

— Przyciągnijcie bliżej — powiedział Yenn. Popychali zwłoki drągiem, aż znalazły się u ich stóp.

Yenn zniknął pod wodą i wynurzył się trzymając w ramionach zimne ciało kobiety, oblepione mokrymi szatami. To było wszystko, co pozostało z nieszczęsnej Eustachii.

Kiedy dotarli do brzegu[^] stała tu już Tomasina, pochylona w ogromnym smutku nad dwoma leżącymi na trawie nieprzytomnymi mężczyznami. Wóz ustawiono jak najbliżej i w parę zaledwie minut później umieszczono na nim trzech topielców. Yenn prowadził konie, podtrzymując jednocześnie ramieniem Tomasinę, dwaj mężczyźni szli za nim, aż znaleźli się przy oberży.

Kobieta, wyrwana ze snu przez Tomasinę, ubrała się szybko i rozpałała ogień, podczas gdy druga służąca spała spokojnie w głębi domu. Wniesiono do pokoju nieczułe na nic ciała Eustachii, Clyma i Wildeve'a, złożono je na dywanie stopami do ognia i zastosowano wszelkie środki ratunku, jakie tylko przyszły im na myśl. Posłano jednocześnie stajennego po doktora. Po chwili Tomasina, która wyrwawszy się z bolesnego odrętwienia przejawiała teraz gorączkową aktywność, przyłożyła butelkę amoniaku do nozdrzy Clyma, wypróbowałszy to już bezskutecznie na Damonie i Eustachii. Westchnął.

— Clym żyje! — zawołała.

Wkrótce już oddychał wyraźnie, więc ponowiła próby przywrócenia w ten sposób do życia męża, ale on leżał nieporuszony. Było aż nazbyt wiele powodów, by przypuszczać, że i on, i Eustachia znajdują się już poza zasięgiem działania pobudzających środków. Jednak nie zaniechano dalszych starań, aż do przybycia

doktora, kiedy to troje nieprzytomnych zaniesiono po kolei na górę i złożono do ciepłych łóżek.

Yenn wkrótce pomyślał, że nie jest już dłużej potrzebna jego pomoc, i skierował się ku drzwiom, niezdolny jeszcze do uświadomienia sobie w pełni strasznej katastrofy, jaka spadła na rodzinę, której losy tak bardzo go interesowały. Tomasina na pewno się załamała pod ciężarem nagłego i przytłaczającego wydarzenia. Nie żyje już silna i rozsądna pani Yeobright, która mogłaby podtrzymać w tych ciężkich czasach tę delikatną młodą kobietę, a cokolwiek mógłby o stracie takiego męża myśleć bezstronny widz, niewątpliwie Tomasina jest w tej chwili przerażona i unieszczęśliwiona niespodziewanym ciosem. Ponieważ Yenn nie był na tyle uprzywilejowany, aby być przy niej i pocieszać ją, nie widział sensu w pozostawaniu w domu, w którym przebywał tylko jako obcy. Wrócił przez wrzosowisko do swego wozu. Ogień jeszcze nie wygasł i wszystko wyglądało tak samo jak w momencie, kiedy Stąd wychodził. Pomyślał teraz o ubraniu, które tak nasiąkło wodą, że ciążyło jak ołów. Zdjął je, rozpostarł przed ogniem i położył się, chcąc zasnąć. Odpoczynek jednak był niepodobieństwem, bo wyobraźnia zbyt żywo stawiała mu przed oczy zamęt panujący w domu, z którego właśnie wyszedł, więc zły na siebie za to, że tu wrócił, włożył inne ubranie, zamknął drzwi i znowu przemierzył spieszenie wrzosowisko kierując się do oberży. Wciąż jeszcze lało, kiedy wchodził do 259kuchni. Jasny ogień płonął na kominku, a po izbie krzątały się dwie kobiety. Jedną z nich była Olly Dowden.

— Co z nimi? — zapytał szeptem.

— Pan Yeobright czuje się lepiej, ale pani Yeobright i pan Wildeve nie żyją. Doktor powiedział, że życie z nich uszło, zanim ich wydobyli z wody.

— Ach! I mnie się też tak zdawało, kiedy ich wyciągałem. A co z panią Wildeve?

— Czuje się nieźle, jak na to, co przeszła. Doktor kazał jej się położyć, bo biedactwo było tak przemoczone, jakby i ją wyciągnięto z rzeki. Ale i pan, sprzedawco farby, ma mokre ubranie.

— Ach, to drobiazg. Już się przebrałem. Tylko teraz po drodze deszcz mnie skropił.

— Proszę stanąć przy kominku. Pani powiedziała, że ma pan dostać wszystko, czego panu będzie potrzeba, i zmartwiła się, kiedy się dowiedziała, że pan wyszedł.

Venn przysunął się do kominka i w zamyśleniu spoglądał na płomień. Nogawki jego spodni parowały, para wraz z dymem unosiła się do komina, a myśli sprzedawcy farby biegły ku tym, co znajdowali się na górze. Dwoje nie żyło, trzeci ledwo zdołał ująć przed kosą śmierci, a czwarta osoba owdowiała i była chora. Kiedy ostatni raz stał przy tym kominku, odbywała się tu loteria; Wildeve był żywy i zdrowy, uśmiechnięta Tomasina* krzątała się w sąsiednim pokoju, Cym i Eustachia właśnie się pobrali, a pani Yeobright mieszkała w Blooms-End. Zdawało się wtedy, że ten stan rzeczy potrwa przynajmniej przez następnych dwadzieścia lat. A jednak z kręgu tych osób tylko jego sytuacja nie uległa gruntownej zmianie.

Kiedy tak rozmyślał, na schodach dały się słyszeć czyjeś kroki. To zesłała niańka, niosąc w ręku spory rulonik wilgotnych papierków. Była tak przejęta tym, co robiła, że zdawała się nie dostrzegać Yenna. Wyjęła z kredensu sznurek i zawiesiła go przed kominkiem, przywiązawszy jego końce do odsuniętego już poprzednio od ognia żelaznego kozła. Rozwijając wilgotne papierki i wieszając je na sznurku, przyczepiając jak mokrą bieliznę.

— Co to? — zapytał Yenn.

— Pieniądze biednego pana — odpowiedziała. — Znaleźli je u niego w kieszeniach, kiedy go rozbierali.

— Miał więc zamiar nie wracać przez jakiś czas? — zdziwił się Yenn.

— Tego nigdy się nie dowiemy — odparła.

Yenn nie miał ochoty odchodzić, pod tym dachem bowiem znajdowało się wszystko, co go na tej ziemi interesowało. Ponieważ jednak nikt już w tym domu nie spał, z wyjątkiem tych dwojga, co zasnęli na wieki, nie uznał tego za konieczne. Wycofał się więc do niszy przy kominka, gdzie zazwyczaj siadywał, i pozostał tam, obserwując, jak para unosi się z podwójnego rzędu banknotów, kołyszających się w powiewie od kominka, aż przestały być wilgotne i miękkie, a zrobiły się suche i twarde; wtedy zjawiła się znowu niańka i zdjęła je ze sznurka, złożyła i zaniósła cały plik na górę. Wkrótce zszedł stamtąd

* Przeoczenie autora; Tomasina była wówczas na weselu Clyma i Eustachii.

260

doktor z wyrazem twarzy człowieka, który już nic więcej zrobić nie może.

Naciągnawszy rękawiczki, opuścił dom i wkrótce zamilkł turkot oddalającego się pojazdu.

O czwartej ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Wszedł Charley, przysłany przez kapitana, by się dowiedzieć, czy nie ma wiadomości o Eustachii. Dziewczyna, która go wpuściła, patrzyła przez chwilę na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć, w końcu przyprowadziła go przed wnękę, w której siedział Yenn, mówiąc:

— Proszę, niech pan mu powie.

Yenn powiedział mu, co zaszło. Z ust Charleya wydarł się słaby, niewyraźny jęk.

Stał chwilę nieruchomo, a potem spytał gwałtownie:

— Czy mogę zobaczyć ją jeszcze raz?

— Chyba będziesz mógł ją zobaczyć — odparł posępnie Diggory. — Czy nie byłoby jednak lepiej, żebyś pobiegł zawiadomić kapitana Vye'a?

— Zobacysz ją — powiedział przygnębionym głosem ktoś za nimi. Obejrawszy się ujrzeli w nikłym świetle jakąś szczupłą, bladą, niemal upiorną postać, owiniętą w koc i wyglądającą jak Łazarz wychodzący z grobu.

Był to Clym Yeobright. Ani Yenn, ani Charley nie odezwali się słowem, a on mówił dalej:

— Zobacysz ją. Wystarczy, że zawiadomisz kapitana, kiedy się rozwidni. Ty także chcesz ją zobaczyć, Diggory? Pięknie teraz wygląda.

Yenn wyraził swą chęć powstając z ławy. Razem z Charleyem udał się za dymem na schody, gdzie zdjął buty, a Charley poszedł w jego ślady. Podążyli schodami na podest, gdzie stała zapalona świeca, którą Clym wziął w rękę i poprowadził ich do przyległego pokoju. Podeszedł do łóżka i zsunął prześcieradło. Stali patrząc w milczeniu na Eustachię, której piękność, gdy leżała tutaj w spokoju śmierci, przyćmiewała wszystkie swoje ziemskie fazy. Słowo: bladość nie mieści w sobie barwy jej cery, która była nie tylko białością, ale jaśniała światłem.

Delikatnie rzeźbione usta miały wyraz przyjemny, wydawało się, jakby poczucie godności kazało jej właśnie milczeć. Powaga śmierci spłynęła na nią w momencie przejścia od gorączkowego napięcia do rezygnacji. Żaden z nich nie widział jej czarnych włosów puszczonej tak swobodnie. Otaczały jej czoło niczym las. Dostojeństwo, promieniujące z jej postaci aż nazbyt silnie, jak na mieszkankę wsi, znalazło w końcu stosowne artystyczne tło.

Nikt się nie odzywał, a po dłuższej chwili Clym przykrył ją prześcieradłem i odwrócił się do przybyłych.

— Chodźcie tutaj — powiedział.

Podeszli do niszy w tym samym pokoju, gdzie na mniejszym łóżku leżał Wildeve. W twarzy jego nie było tyle spokoju, co w twarzy Eustachii, ale opromieniała ją ta sama świetlista młodość i nawet najmniej współczujący obserwator, patrząc na niego teraz, zrozumiałby, że ten człowiek był do wyższych celów stworzony.

Ostatnia walka o życie pozostawiła ślady jedynie na czubkach jego palców, które pościerał i poranił w przedśmiertnej próbie uczipienia się muru tamy.

Clym od czasu powrotu do przytomności był tak spokojny i mówił tak niewiele, iż Venn wyobrażał sobie, że musiał pogodzić się z losem. Dopiero kiedy opuścili pokój i stanęli na podeście, wyszedł na jaw prawdziwy stan jego umysłu. Z gorzkim uśmiechem, wskazując głową w kierunku, w którym leżała Eustachia, powiedział:

— Ona jest drugą kobietą, którą zabiłem w tym roku. W dużym stopniu przyczyniłem się do śmierci mojej matki, jestem główną przyczyną śmierci żony.

— Jak to? — zdziwił się Venn.

— Powiedziałem jej okrutne słowa i opuściła mój dom. Nie prosiłem, żeby wróciła, tak długo, aż było już za późno. To ja powinienem się utopić. Byłby to akt miłosierdzia dla żyjących, gdyby rzeka mnie pochłonęła, a ją wyrzuciła. Ale nie mogę umrzeć. Ci, co powinni żyć, leżą martwi, a ja żyję!

— Nie wolno przecież oskarżać się o zbrodnie w ten sposób — stwierdził Venn. — To tak, jakby ktoś powiedział, że rodzice są przyczyną morderstwa, jakie popełniło ich dziecko, bo bez rodziców dziecko nie przyszłoby na świat.

— Tak, Venn, to prawda, ale nie znasz wszystkich okoliczności. Gdyby Bóg zechciał położyć kres mojemu życiu, byłoby to dobre dla wszystkich. Ale przyzwyczajam się do mojej okropnej egzystencji. Podobno po pewnym czasie ludzie śmieją się z nieszczęścia, gdy już doń przywykną. Z pewnością i ze mną wkrótce tak będzie.

— Miał pan zawsze dobre intencje — perswadował Venn. — Dlaczego mówi pan rzeczy podyktowane taką rozpaczą?

— Nie, to nie jest rozpacz. Po prostu straciłem już wszelką nadzieję. Żałuję bardzo, że za to, co uczyniłem, żaden człowiek ani żadne prawo nie może mnie ukarać.

Księga szósta

CO DZIAŁO SIĘ PÓŹNIEJ

i

ŻYCIE IDZIE NAPRZÓD

Historia śmierci Eustachii i Wildeve'a krążyła po całym Egdonie, a nawet daleko poza nim, przez wiele tygodni i miesięcy. Wszystkie znane szczegóły ich miłości zostały wyolbrzymione, przekręcone, poprawione i zniekształcone, tak że w końcu podrabiana opowieść, jaką powtarzały sąsiedzkie języki, niewiele miała wspólnego z prawdą. Ogólnie jednak biorąc, gwałtowna śmierć nie odebrała bynajmniej godności ani mężczyźnie, ani kobiecie. Nieszczęście ugodziło w nich łaskawie, przecinając jednym nagłym ciosem ich niekonwencjonalne dzieje. Oszczędzony im został los tylu innych, których życie staje się nieciekawe i jałowe, a przemijające lata przynoszą im tylko zmarszczki na twarzy, opuszczenie i choroby.

Jednak najbliżsi członkowie rodziny odczuli to inaczej. Ludzie obcy, którzy słyszeli już o podobnych wypadkach, dowiedzieli się o jeszcze jednym — ale rodziny, bezpośrednio dotkniętej nieszczęściem, żadne poprzednie przykłady nie są w stanie dostatecznie na taki cios przygotować. Samo zaskoczenie bolesną stratą znieczuliło w pewnym sensie Tomasinę, jednak, choć było to zupełnie nieracjonalne, świadomość, że mąż, który odszedł na wieki, powinien być lepszym człowiekiem, nie ulżyła jej w żałobie. Wprost przeciwnie, ta okoliczność zdawała się początkowo podnosić zmarłego męża w oczach młodej żony, gdyż muszą być chmury, by rozbiły się tęczą. Ale przerażenie nieznanym — minęło. Pierzchły mgliste złe przeczucia co do przyszłości jako opuszczonej żony. Kiedyś zadręczała się domysłami — teraz już wiedziała. I to było lepsze. Jej największe

ukochanie, mała Eustachia, pozostało. Tomasina znosiła cierpienie z pokorą, w jej postawie nie przejawiał się bunt, a w takich wypadkach skołatany duch ludzki może odzyskać spokój.

Gdyby znaleźć wspólny mianownik dla obecnego smutku Tomasiny i pogody Eustachii za życia — ich wielkość okazałaby się prawie taka sama, lecz w porównaniu z dawną wesołością Tomasiny cieniem zdawało się to, co w otaczającej ją ponurej atmosferze jaśniało pełnym blaskiem.

Wiosna przyniosła jej spokój, lato — ukojenie, nadeszła jesień i Tomasina zaczęła odnajdywać pociechę, bo mała córeczka rosła silna i zdrowa, mądrzejac z każdym dniem. Zewnętrzne okoliczności bardzo Tomasinie sprzyjały. Wildeve zmarł bez testamentu, a oprócz żony i dziecka nie miał rodziny. Kiedy wydano urzędową decyzję w sprawie majątku zmarłego i spłacono długi, a to, co pozostało z pieniędzy wuja męża, weszło w posiadanie wdowy, suma czekająca na zainwestowanie z korzyścią dla niej i dziecka wyniosła niewiele mniej niż dziesięć tysięcy funtów.

Gdzie miała zamieszkać? Oczywiście, że w Blooms-End. Co prawda stare 263 pokoje niewiele były wyższe od międzypokładzia na fregacie i kiedy sprowadziła z oberży nowy zegar stojący, trzeba było zrywać kawał podłogi i usunąć z jego szczytu ozdobne gałki mosiężne, nim mógł stanąć w całej swej okazałości. Ale tych pokoi, choć niskich, miała do dyspozycji wiele i dom był jej drogi ze względu na dawne wspomnienia. Clym bardzo chętnie ją przyjął na lokatorkę, a sam zamieszkał w dwóch pokojach na górze na tyłach domu. Żył tam spokojnie, odcięty od kuzynki i jej trojga służby — jako zamożna kobieta, uznała, że może sobie na to pozwolić — i chodził własnymi drogami snując własne myśli.

Pod wpływem smutku zmienił się jego wygląd, zmiany wewnętrzne były jednak większe. Można by powiedzieć, że porobiły mu się zmarszczki na duszy. Nie miał wrogów, nie mógł nikogo nakłonić, by czynił mu wyrzuty, i dlatego właśnie sam tak gorzko siebie oskarżał.

Czasami myślał, że skrzywdził go los, i nawet mówił, że przyjdzie na świat stawia człowieka w kłopotliwej sytuacji i że ludzie zamiast dążyć do zdobycia chwały w życiu, powinni się starać jakoś z niego wycofać bez wstydu. Jednak nie utrzymywał długo, że zarówno oh sam, jak i jego najbliżsi zostali złośliwie i bezlitośnie potraktowani przez los, otrzymawszy pchnięcie żelazem w serce. Bywa tak zwykle z istotami ludzkimi, z wyjątkiem najtwardszych ich przedstawicieli. W swym wspaniałomyślnym dążeniu do stworzenia hipotezy, która by nie poniżała Pierwszej Przyczyny, ludzie zawsze się wzdrygali przed uznaniem panującej nad nimi potęgi za istotę o mniejszych wartościach moralnych niż oni sami, i nawet kiedy siedzieli płacząc nad wodami Babilonu, wymyślali usprawiedliwienie dla prześladowań wyciskających im łzy z oczu.

A zatem, choć daremnie wypowiadano słowa pociechy w jego obecności, pozostawiony sam sobie, znajdował ulgę według własnego wyboru. Odziedziczony po matce dom i sto dwadzieścia funtów rocznie wystarczało zupełnie na zaspokojenie wszystkich ziemskich potrzeb człowieka o takich jak on wymaganiach. Zamożność zależy nie tyle od wysokich dochodów, ile od proporcji między dochodami a wydatkami.

Często spacerował samotnie po wrzosowisku, kiedy przeszłość chwytiała go niewidzialną ręką, przytrzymując, aby słuchał jej opowieści. Wyobraźnia Clyma zaludniała to miejsce starożytnymi mieszkańcami. Zapomniane celtyckie plemiona deptały otaczające go ziemie i czuł się tak, jakby żył wśród nich, patrzył w ich twarze i widział, jak stoją koło kurhanów, które znajdowały się wokół, nienaruszone i doskonałe, jak w czasie, kiedy je usypano. Ci z nieżyjących barbarzyńców, którzy mieszkali na ziemiach uprawnych byli w porównaniu z innymi,

co tutaj pozostawili swe ślady, jak ludy piszące na papierze w porównaniu z piszącymi na pergaminie. Dzieła tamtych dawno już zniszczył pług, a spuścizna mieszkających tutaj pozostała. A przecież żyli i umierali nie wiedząc, że tak odmienne losy spotkają dzieła ich rąk. To przypominało dymowi, że nieprzewidziane czynniki decydują o nieśmiertelności.

Znowu nadeszła zima, a z nią wiatry i mróz; przyleciały bojaźliwe drozdy, lśniły gwiazdy. W minionym roku Tomasina ledwo zdawała sobie sprawę ze zmian pór roku, teraz wrażliwa była na wszelkie wpływy zewnętrzne. Do świadomości Clyma życie miłej kuzynki, jej dziecka i trojga służby docierało

264

tylko w postaci odgłosów przenikających przez drewniane ścianki, kiedy siedział nad książkami o niezwykle dużych czcionkach. W końcu jednak ucho jego tak dobrze rozróżniało te ciche odgłosy, płynące z innej części domu, że niemal widział sceny, które je wywoływały. Lekkie, powtarzające się co pół minuty stukanie wyczarowywało przed nim Tomasinę pochyloną nad kołyską; śpiewny pomruk oznaczał, że nuci dziecku do snu; gdy piasek skrzypiał, jakby go ścierały kamienie młyńskie, widział Humphreya, Fairwaya czy też Sama stąpających ciężko po kamiennej podłodze kuchni; lekki, chłopięcy krok i wesola melodia śpiewana wysokim głosem mówiły mu, że przyszedł w odwiedziny Grandfer Cantle, a nagła przerwa w tym śpiewie świadczyła, że podano mu kufel słabego piwa; odgłosy krzątania i trzaskanie drzwiami towarzyszyły wychodzeniu na targ — bo choć Tomasina zaliczała się teraz do zamożnych osób, prowadziła aż śmiesznie oszczędne życie, chcąc zachować jak najwięcej pieniędzy dla córeczki.

Pewnego letniego dnia Clym znajdował się w ogrodzie, blisko okna od saloniku, które było jak zwykle otwarte. Patrzył na kwiaty w doniczkach na parapecie okna. Tomasina zadbała o nie i przywróciła je do takiego stanu, w jakim były za życia jego matki. Usłyszał cichy okrzyk kuzynki, która siedziała w pokoju.

— O, jakżeś mnie przestraszył! — powiedziała do kogoś, kto właśnie wszedł. — Myślałam, że to twój duch.

Zainteresowało to Clyma na tyle, że zbliżył się i zajrzał przez okno. Ku swemu zdumieniu zobaczył stojącego tam Diggory'ego Venna, już nie sprzedawcę czerwonej farby, ale człowieka o jakże odmienionej powierzchowności, nie różniącego się barwą od innych chrześcijan, prezentującego biały gors od koszuli, jasną kamizelkę w kwiaty, chustę w niebieskie grochy na szyi i ciemnozieloną marynarkę. W jego wyglądzie nie zauważył nic niezwykłego, poza tym, że był zupełnie inny niż poprzednio. Na żadnej części jego ubrania nie pozostał ślad czerwieni ani nawet barwy zbliżonej do czerwieni; bo czegoż bardziej obawiają się ludzie uwolnieni dopiero co z jarzma pracy niż śladu zajęcia, które ich wzbogaciło?

Clym wszedł do pokoju kuzynki.

— Ależ się przestraszyłam! — mówiła Tomasina przenosząc wzrok z jednego na drugiego. — Nie mogłam uwierzyć, że wybielał z własnej woli! Wydawało mi się, że to jego duch!

— Przestałem sprzedawać farbę w zeszłym roku na Boże Narodzenie — wyjaśnił Venn.

— Ten zawód dawał dobre zyski i do tego czasu zarobiłem dość, żeby kupić mleczarnię z pięćdziesięcioma krowami, którą prowadził za życia mój ojciec. Zawsze myślałem, że jeśli w ogóle porzucę tamto zajęcie, obejmę znów tę mleczarnię. No i tak zrobiłem.

— A jakżeś to sprawił, że jesteś biały, Diggory? — dopytywała Tomasina.

— Farba schodziła stopniowo, proszę pani.

— Wyglądasz o wiele lepiej niż dawniej.

Venn się zmieszał, a Tomasina zrozumiała, że nieco nierozważnie odezwała się do

mężczyzny, który może i teraz jeszcze żywi do niej czułe uczucia, więc poczerwieniała z lekka. Clym nie zauważył tego i odezwał się z humorem: 265— Czym będziemy straszyć dziecko Tomasiny, teraz kiedy stałeś się znowu podobny do człowieka?

— Siadaj, Diggory, i zostań na herbacie — zaprosiła go Tomasina. Venn wykonał taki ruch, jak gdyby zamierzał iść do kuchni, ale Tomasina powiedziała z miłym zuchwalstwem, pochylona nad szyciem:

— Oczywiście, musisz usiąść tutaj. A gdzie znajduje się twoja mleczarnia, panie Venn?

— W Stickleford, około dwóch mil w prawo od Alderworth, proszę pani, tam gdzie zaczynają się łąki. Pomyślałem sobie, że gdyby pan Yeobright chciał mnie odwiedzać czasami, chętnie bym go powitał. Dziękuję pani, ale nie mogę zostać dziś na herbacie, muszę coś załatwić. Jutro jest święto majowe i ludzie z Shadwater i kilku sąsiadów państwa złożyli się, żeby postawić słup majowy na wrzosowisku wprost przed państwa ogrodzeniem, bo jest to ładne, zielone miejsce.

— Yenn wskazał łokciem na łąkę przed domem. — Rozmawiałem o tym z Fairwayem — ciągnął — i powiedziałem mu, że zanim postawimy słup, dobrze byłoby zapytać o zgodę pani Wildeve.

— Nie mogę się temu sprzeciwić — odpowiedziała. — Nasza posiadłość nie sięga ani o cal poza białe ogrodzenie.

— Ale może pani nie chciałaby, żeby tuż przed nosem ludzie wyprawiali harce wokół majowego słupa?

— Nie mam nic przeciw temu.

Wkrótce Yenn ich pożegnał, a wieczorem Clym wybrał się na spacer aż do chaty Fairwaya. Był piękny majowy zachód słońca i brzozy rosnące na skraju rozległego egdońskiego wrzosowiska przybrały się w młode liście, delikatne jak skrzydła motyli, a przezroczyste jak bursztyn. Koło domu Fairwaya znajdowała się otwarta przestrzeń, nieco na uboczu od drogi, i zeszli się tam wszyscy młodzi ludzie z okolicy w promieniu paru mil. Słup leżał wsparty jednym końcem na koźle i kobiety zajęte były przyozdabianiem go od góry do dołu polnymi kwiatami. Instynkty władające ludźmi z czasów tudorowskiej “Wesołej Anglii” przetrwały tu z wyjątkową żywotnością, a obrzędy, jakie tradycja związała z każdą porą roku, na Egdonie były nadal jeszcze żywe.

Prawdę powiedziawszy, spontaniczne reakcje we wszystkich takich zapadłych wioskach były wciąż jeszcze pogańskie; w tych miejscowościach oddawanie czci przyrodzie, samouwielbienie, szaleńcza wesołość, fragmenty germańskich obrzędów ku czci bóstw, których imiona zostały już zapomniane, w taki czy inny sposób przeżyły średniowieczną doktrynę.

Clym nie przerwał tych przygotowań i wrócił do domu. Nazajutrz rano, kiedy Tomasina odsunęła w swej sypialni zasłony w oknach, ujrzała wznoszący się wśród zieleni słup, którego czubek strzelał aż ku niebu. Wyrósł nagle w nocy, a raczej wczesnym rankiem. Otworzyła okno, aby lepiej się przyjrzeć zdobiącym go girlandom i bukietom. Słodki zapach kwiatów przesycił już powietrze, a ponieważ było ono wolne od wszelkich zanieczyszczeń, do nozdrzy Tomasiny dotarł cały aromat kwiecica. Na szczycie słupa przyczepiono skrzyżowane z sobą obręcze, przybrane drobnymi kwiatkami, dalej widniała strefa mlecznobiałego kwiecica, następnie niebieskich dzwoneczków, potem pierwiosnków, potem bzu, potem firletki, potem żonkili i tak dalej, aż do

266

samego dołu. Tomasina zauważyła to wszystko i była zachwycona, że zabawa majowa odbędzie się tak blisko.

Kiedy nadeszło popołudnie, ludzie zaczęli się zbierać na łące i Clym z

zainteresowaniem wyjrzał przez okno pokoju. Wkrótce potem Tomasina wyszła przed drzwi znajdujące się pod jego oknem i spojrzała w twarz kuzynowi. Od śmierci Wildeve'a, czyli od osiemnastu miesięcy, Clym nie widział jej tak ładnie ubranej — nawet od dnia ślubu tak się nie stroiła.

— Jak ładnie dziś wyglądasz, Tomasino! — powiedział. — Czy to z powodu zabawy?
— Niezupełnie.

Potem się zarumieniła i opuściła oczy, ale on tego nie zauważył, chociaż jej sposób zachowania wydał mu się dosyć dziwny, bo przecież tylko do niego się zwracała. Czyż to możliwe, żeby włożyła tę letnią suknię, aby jemu sprawić przyjemność?

Zaczął się zastanawiać, jak odnosiła się do niego w ciągu ostatnich paru tygodni, kiedy często pracowali razem w ogrodzie, tak jak to robili w ubiegłych latach pod okiem jego matki, gdy był chłopcem, a ona dziewczyną. A co by się stało, gdyby teraz interesowała się nim nie tylko jako kuzynka? Dla dyma taka ewentualność była sprawą poważną i na myśl o tym poczuł się niemal skłopotany. Każde drgnienie miłości, które nie zostało zdławione za życia Eustachii, poszło razem z nią do grobu. Jego uczucie do tej kobiety zrodziło się, gdy osiągnął już pełnię lat męskich, i nie pozostawiło w nim zarzewia na drugi taki ogień, jak bywa z chłopięcą miłością. Nawet gdyby uznać, że jest jeszcze zdolny do miłości, byłaby ona rośliną wzrastającą powoli i wymagającą pielęgnacji, do końca słabą i wątłą, jak ptak, co się wykluł jesienią.

Możliwość tej nowej komplikacji tak go wytrąciła z równowagi, że kiedy przybyła pełna zapału orkiestra dęta — stało się to koło piątej — i zaczęła grać, a muzykanci przejawiali tyle energii, iż odnosiło się wrażenie, że od dźwięku trąb runą mury domu, wymknął się tylnymi drzwiami do ogrodu, wydostał się przez furtkę w ogrodzeniu i zniknął. Nie byłby dziś w stanie pozostać w kręgu tej wesołości, choć usilnie próbował się przełamać.

Nie pokazywał się przez cztery godziny. Kiedy wracał tą samą ścieżką, zapadał zmierzch i rosa błyszczała na otaczającej go zieleni. Hałaśliwa muzyka ustała, ale wszedłszy do ogrodu od tyłu, nie mógł się zorientować, czy wszyscy już się rozeszli. Przeszedł więc przez część domu zamieszkaną przez kuzynkę, kierując się ku frontowym drzwiom. Tomasina stała samotnie na ganku.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Odszedłeś akurat, kiedy to się zaczęło, dymie — powiedziała.

— Tak”. Czułem, że nie mógłbym się do nich przyłączyć. Ale ty do nich wyszłaś, prawda?

— Nie.

— Myślałem, że dlatego się tak ładnie ubrałaś.

— Tak, ale nie mogłam iść sama, było tam tyle ludzi. Ktoś jeszcze tam został.

Clym wyteżył wzrok i na ciemnej zieleni za ogrodzeniem, koło czarnego słupa, dostrzegł niewyraźnie, że ktoś przechadza się z wolna tam i z powrotem.

— Kto to? — zapytał.

— Pan Venn — odparła Tomasina.

— Myślę, Tomasino, że mogłabyś go do nas zaprosić. Był zawsze bardzo dobry dla ciebie.

— Zaproszę go teraz — powiedziała i działając spontanicznie przeszła przez furtkę i zbliżyła się do ukwieconego słupa, gdzie stał Venn.

— To pan Venn, jeżeli się nie mylę? — zapytała. Venn drgnął, jakby jej przedtem nie zauważył — taki był przebiegły! — i odparł:

— Tak.

— Może zaszedłbyś do nas?

— Obawiam się, że...

— Widziałam, jak tańczyłeś dziś po południu i miałeś najpiękniejsze dziewczęta za partnerki. Czy dlatego nie chcesz przyjść, żeby móc stać tutaj i wspominać minione godziny zabawy?

— No cóż, częściowo tak — odparł Venn z udanym wzruszeniem. — Ale głównie dlatego tutaj się przechadzam, bo czekam na wzejście księżyca.

— Aby zobaczyć, jak pięknie wygląda ukwiecony słup w jego blasku?

— Nie. Aby poszukać rękawiczki, którą zgubiła jedna z panien.

Tomasina aż zaniemówiła ze zdumienia. Fakt, że człowiek, który musi przejść cztery czy pięć mil, nim znajdzie się w domu, czeka tutaj z takiego powodu, dowodzi niewątpliwie, że się ogromnie interesuje właścicielką tej rękawiczki.

— Czy tańczyłeś z nią, Diggory? — zapytała tonem, który świadczył, że stał się dla niej o wiele bardziej interesujący dzięki temu odkryciu.

— Nie. — Tu westchnął.

— A więc nie wejdiesz?

— Nie dzisiaj, dziękuję pani.

— A może mam pożyczyć latarni, żebyś mógł znaleźć rękawiczkę tej młodej osoby?

— O nie, to nie jest potrzebne, proszę pani. Księżyc wzejdzie za parę minut.

Tomasina wróciła na ganek.

— Czy on przyjdzie? — zapytał Clym, który nie ruszył się z miejsca, czekając na kuzynkę.

— Wolałby nie dzisiaj — odpowiedziała i przeszła koło niego idąc w głąb domu, a wtedy Clym wrócił do swoich pokoi.

Po jego odejściu Tomasina wśliznęła się po ciemku do pokoju na górze i pochyliwszy się na chwilę nad kołyską, żeby się upewnić, czy dziecko śpi, podeszła do okna, delikatnie uchyliła róg białej zasłony i wyjrzała. Venn był tam nadal. Przypatrywała się, jak przy wschodnim wzgórzu nasilał się delikatny blask, a po chwili wynurzył się brzeg księżyca i zalał dolinę światłem. Na tle zieleni wyraźnie widać teraz było postać Yenna; nachylony, poruszał się w koło, szukając wśród trawy owej cennej zguby, chodził zygzakami w prawo i lewo, aby nie ominąć ani piędzi ziemi.

268

— Jakie to śmieszne! — szepnęła do siebie Tomasina tonem, który miał być ironiczny. — Pomyśleć, że mężczyzna może być tak niemądry, aby błądzić przy księżycu w poszukiwaniu dziewczęcej rękawiczki. I to szanujący się właściciel mleczarni, człowiek bogaty, jakim on jest teraz! Godne politowania!

W końcu Venn odnalazł rękawiczkę. Wyprostował się i podniósł ją do ust. Potem włożywszy ją do kieszeni w kamizelce — na najbliższe męskiemu sercu miejsce w nowoczesnym ubraniu — szedł doliną w wytyczonym z matematyczną dokładnością kierunku ku swemu dalekiemu domowi na łąkach.

II

TOMASINA PRZECHADZA SIĘ PO ZIELONEJ KOTLINCE PRZY RZYMSKIEJ DRODZE

W ciągu kilku najbliższych dni Clym rzadko widywał Tomasinę, a kiedy się spotykali, była bardziej niż zazwyczaj milcząca. W końcu ją zapytał, nad czym tak głęboko rozmyśla.

— Męczy mnie pewna zagadka — odpowiedziała szczerze. — Zupełnie nie potrafię odgadnąć, w kim może być tak bardzo zakochany Diggory Venn. Żadna z dziewcząt tańczących przy majowym słupie nie byłaby jego godna, a jednak musiała tam się znajdować.

Clym próbował przez chwilę wyobrazić sobie wybranek Yenna, ale wkrótce to

pytanie przestało go interesować i zajął się znowu pracą w ogrodzie.

Przez jakiś czas nie pojawiała się żadne wyjaśnienie tej zagadki. Ale kiedy pewnego dnia Tomasina ubierała się na górze chcąc iść na spacer, uznała, że musi wychylić się na podest schodów i zawołać: — Rachelo! — Tak nazywała się trzynastoletnia dziewczyna, która nosiła dziecko na spacer. Przybiegła na zawołanie.

— Rachelo, czy nie widziałaś gdzieś mojej nowej rękawiczki? — zapytała Tomasina.

— Z tej pary.

Dziewczyna nie odpowiadała.

— Dlaczego nic nie mówisz? — dopytywała ją pani.

— Zdaje się, proszę pani, że zginęła.

— Zginęła? Kto ją zgubił? Tylko raz ją nosiłam.

Rachela miała minę strasznie zakłopotaną i w końcu zaczęła płakać.

— Proszę pani, w dniu majowego święta nie miałam co włożyć na ręce i zobaczyłam na stole pani rękawiczki, i pomyślałam, że je sobie pożyczę. Nie chciałam, żeby się coś z nimi stało, ale jedna zginęła. Ktoś dał mi pieniądze, żebym kupiła pani nową parę, ale dotąd nie mogłam po nią wyjść.

— Kto to taki?

— Pan Venn.

— Czy wiedział, że to moja rękawiczka?

— Tak. Ja mu powiedziałam.

Tomasina tak była zdumiona tym wyjaśnieniem, że zapomniała udzielić nagany dziewczynie, która cichutko wysliznęła się z pokoju.

269 Jej pani stała nieporuszona, zbliżywszy się tylko na tyle do okna, by mogła widzieć miejsce, na którym stał majowy słup. Rozmyślała nad czymś, a potem powiedziała sobie, że tego dnia nie wyjdzie, ale zajmie się pilnie wykańczaniem pięknej, w szkocką kratę, sukieneczki dla dziecka, krojonej ze skosu, Według ostatniej mody. Choć pracowała pilnie, po dwóch godzinach robota prawie nie posunęła się naprzód, co byłoby zagadką dla każdego, kto nie rozumiałby, że ostatnie wydarzenie łatwo mogło ją skłonić do wysilania umysłu, nie rąk.

Następnego dnia nie zrobiła zmian w trybie życia i — jak to było w jej zwyczaju

— udała się na wrzosowisko na spacer, mając za jedyną towarzyszkę maleńką Eustachię, która była właśnie w tym wieku, kiedy to istota ludzka nie jest pewna, czy przeznaczeniem jej jest przejść przez ten świat na nogach, czy też na rękach, i próbując obu sposobów, pakuje się nieraz w przykrą sytuację. Dla Tomasiny była to wielka przyjemność, kiedy zaniósłszy córeczkę w jakieś odludne miejsce, mogła jej pozwolić na przeprowadzanie tych prób na zielonej trawie czy tymianku, które tworzyły dywan dostatecznie miękki, by straciwszy równowagę mogła nań upaść głową w dół.

Raz, kiedy zajęta była tym systemem nauki i nachyliła się usuwając sprzed nóżek dziecka patyczki, łądygi paproci i tym podobne drobiazgi, nie chcąc, by przedwczesny kres tej wędrówce położyła nieprzebyta bariera mająca ćwierć cala wysokości, spostrzegła z przestraczem jeźdźca na koniu, który podjechał bardzo blisko nie zauważony, bo miękki naturalny dywan tłumiał odgłos kopyt. Jeździec —

a był to Venn — pomachał kapeluszem w powietrzu i uklonił się z galanterią.
— Diggory, oddaj mi moją rękawiczkę — powiedziała Tomasina, miała bowiem zwyczaj zawsze, niezależnie od okoliczności, przechodzić od razu do sedna interesującego ją tematu.

Veñn natychmiast zeskoczył z konia, wsunął dłoń do kieszeni kamizelki i oddał jej rękawiczkę.

— Dziękuję. To ładnie, że o nią zadbałeś.

— To ładnie, że tak mówisz.

— Ach, bynajmniej. Z przyjemnością się dowiedziałam, że to ty ją masz. Ludzie stają się tacy obojętni, więc się zdziwiłam, że o mnie pomyślałeś.

— Gdybyś pamiętała, jak to było kiedyś, nie widziałabyś w tym nic dziwnego.

— Ach, bynajmniej — rzuciła szybko. — Ale ludzie o takim jak twój charakterze są na ogół bardzo niezależni.

— A jaki ja mam charakter? — zapytał.

—f- Nie wiem dokładnie — odparła z prostotą Tomasina. — Wiem tylko to, że ukrywasz swoje uczucia pod pozorami spraw praktycznych i okazujesz je tylko wtedy, kiedy jesteś sam.

— A skąd o tym wiesz? — zapytał przemyślnie Venn.

— Ponieważ — powiedziała Tomasina odwracając właściwym końcem do góry córeczkę, której udało się jakoś stanąć na głowie — ponieważ wiem.

— Nie powinnaś mnie sądzić podług innych ludzi — odparł ^Yenn. — W każdym razie ja nie wiem, jak to jest teraz z uczuciami na tym bożym świecie. Zaprzatają mnie interesy, takie czy inne, do tego stopnia, że moje

270

subtelniejsze uczucia ulotniły się jak dym. Tak, duszą i ciałem oddany jestem robieniu pieniędzy. Marzę tylko o pieniądzach.

— O, Diggory, jak to nieładnie! — powiedziała Tomasina z wyrzutem i patrzyła na niego na wpół mu wierząc, na wpół biorąc jego słowa za przekomarzanie.

— Tak, to niegodziwy sposób życia — potwierdził uprzejmie, jak ktoś pogodzony już z tym, że się ze swych grzechów nie poprawi.

— I to ty, który byłeś zawsze taki miły!

— No cóż, podoba mi się ten argument, bo jakim kto był raz, może stać się znowu.

— Tomasina oblała się rumieńcem. — Tylko że teraz to trudniejsza sprawa.

— Dlaczego? — spytała.

— Bo jesteś bogatsza, niż byłaś wówczas.

— O nie... niewiele. Przepisałam prawie wszystko na dziecko, jak to było moim obowiązkiem, i zostawiłam sobie tylko tyle, ile trzeba na życie.

— Rad jestem z tego — powiedział cicho Yenn, obserwując ją spod oka — bo łatwiej nam będzie być przyjaciółmi.

Tomasina zaczerwieniła się znowu. Padło jeszcze kilka miłych słów, a potem Yenn dosiadł konia i odjechał.

Ta rozmowa odbyła się w kotłince na wrzosowisku, w pobliżu starej Rzymskiej Drogi, gdzie Tomasina często chodziła. Można było zauważyć, że po owym spotkaniu z Yennem nie wyprawiała się tam rzadziej. A czy Yenn po spotkaniu z Tomasina zaprzestał jeździć tamtędy, można z łatwością wywnioskować z tego, co zrobiła w dwa miesiące później.

III POWAŻNA ROZMOWA CLYMA Z KUZYNKĄ

Przez cały ten okres Czym przemyślał, co właściwie powinien zrobić dla swojej kuzynki Tomasiny. Nie mógł się oprzeć uczuciu, że byłoby żalosnym marnowaniem cennego materiału, z jakiego ją uformowano, gdyby ta czuła istota została skazana już od młodych lat na to, by wdziękiem swego usposobienia uszczęśliwiać tylko paprocie i wrzos. Ale podchodził do sprawy po prostu jak dobry gospodarz, a nie jak kochanek. Miłość do Eustachii niejako zamroziła całe jego życie i nie miał już więcej bogactwa do zaofiarowania. Jak dotąd był przekonany, że powinien odrzucać wszelką myśl o małżeństwie z Tomasina, nawet gdyby ona sama tego chciała.

Ale to nie wszystko. Przed laty jego matka snuła pewne plany w związku z nim i Tomasina. Pozostawały w sferze marzeń, nie przerodziły się w zdecydowane życzenie. Lubiała mianowicie zabawiać się myślą, że we właściwym czasie zostaną małżeństwem, jeżeli zgodne to będzie z wolą ich obojga. Czyż więc syn, który

czcił pamięć matki tak jak Clym, mógłby postąpić inaczej? Nieszczęście sprawia, że nieraz jakiś kaprys rodziców, który za życia można by było im wyperswadować w ciągu półgodzinnej rozmowy, zostaje przez ich

271 śmierć przemieniony w jak najbardziej absolutne fiat *, a rezultaty tego dla dzieci o wrażliwych sumieniach bywają takie, że owi rodzice, gdyby żyli, sami by się temu jak najbardziej sprzeciwiali.

Gdyby tylko o jego własną przyszłość chodziło, Clym oświadczyłby się Tomasinie chętnym sercem. Nic by nie stracił, spełniając nadzieje zmarłej matki. Ale przerażała go myśl, że Tomasina mogłaby poślubić takiego ko-chanka-trupa, za jakiego się uważał. Trzymały go przy życiu tylko trzy sprawy. Jedną był niemal codzienny spacer na niewielki cmentarzyk, gdzie spoczywała matka; drugą równie częste wyprawy nocą ku dalszemu cmentarzowi, gdzie pochowano Eustachię; trzecią przygotowywanie się do jedyne go powołania, które mogłoby zaspokoić jego pragnienia, a mianowicie — wędrownego kaznodziei, głoszącego jedenaste przykazanie. Trudno byłoby przypuścić, że Tomasinie mógłby dać radość mąż o takich aspiracjach.

A jednak postanowił zapytać Tomasinę i jej pozostawić decyzję. Z przyjemnym nawet uczuciem, że wypełnia swój obowiązek, zszedł w tym celu do niej jednego wieczoru, kiedy słońce rzucało na dolinę taki sam długi cień ich dachu, jaki widywał niezliczone razy za życia matki.

Tomasiny nie było w pokoju, ale znalazł ją w ogrodzie przed domem.

— Od dawna już, Tomasino — zaczął — chcę ci powiedzieć coś w sprawie, która dotyczy przyszłości nas dwojga.

—: I chcesz mi to teraz powiedzieć? — odparła szybko, poczerwieniawszy nieco, kiedy spotkała jego wzrok. — Poczekaj chwileczkę, dymie, i pozwól mi pierwszej mówić, bo tak dziwnie się składa, że i ja od pewnego czasu chcę ci coś powiedzieć.

— Ależ naturalnie mów, Tomasino.

— Chyba nikt nas tu nie usłyszy? — mówiła, zniżając głos i rozglądając się dokoła. — Najpierw więc musisz mi przyrzec, że... że nie będziesz się na mnie gniewać ani nie będziesz mówił ostrych słów, jeżeli nie zgodzisz się z tym, co zaproponuje.

Clym przyrzekł, a wtedy ona mówiła dalej:

— Właśnie chciałabym zasięgnąć twojej rady, bo jesteś moim krewnym... chyba kimś w rodzaju opiekuna... czyż nie tak, dymie?

— Tak, chyba jestem kimś w rodzaju opiekuna. Ściśle rzecz biorąc... oczywiście tak — odparł w zmieszaniu, nie wiedząc, do czego zmierza.

— Myślę o tym, żeby wyjść za mąż — powiedziała spokojnie. — Ale nie zrobię tego, dopóki mnie nie zapewnisz, że pochwalasz mój krok. Dlaczego nic nie mówisz?

— t Zaskoczyłaś mnie trochę. Ale, mimo wszystko, rad jestem z takiej nowiny. Oczywiście, że pochwalę ten zamiar, droga Tomasino. Kim jest ów wybranek? Nie zgadnę. Owszem, wiem... to ten stary doktor... no, nie uważam go za starego, bo w gruncie rzeczy on nie jest taki stary. Aha, zauważyłem coś, kiedy był u ciebie ostatnim razem.

— Ależ nie — zaprzeczyła gorąco. — To pan Venn. Clym nagle spoważniał. Niechaj się stante (łac.).

— No tak, ty go nie lubisz, i żałuję, że ci o tym powiedziałam! — zawołała niemal w rozdrażnieniu. — I wcale bym tego nie mówiła, tylko on mi nie daje spokoju i wprost nie wiem, co robić!

Clym patrzył na wrzosowisko.

— Lubię na swój sposób Yenna — powiedział wreszcie. — Jest niezwykle prawy, a zarazem bystry. Wykazał przy tym dużą mądrość, skoro zdobył twoje względy. Ale

doprawdy, Tomasino, on nie jest dość...

— ...odpowiedni stanem dla mnie? Tak też właśnie czuję. Żałuję, że ciebie o to pytałam, i nie będę już więcej o nim myśleć. Ale muszę wyjść za niego, jeśli w ogóle mam wyjść za kogokolwiek... to ci chcę powiedzieć!

— Wcale mi się tak nie wydaje — odparł Clym, ukrywając starannie własny zamiar, którego nie zdołał wyjawic i którego ona najwidoczniej nie odgadła. — Mogłabyś poślubić człowieka wolnego zawodu czy kogoś w tym rodzaju, gdybyś pojechała do miasta i zamieszkała tam, i nawiązała znajomości.

— Nie nadaję się do życia miejskiego... zawsze byłam bardzo wsiowa i głupiutka. Czy ty nie widzisz, że mam wsiowe obyczaje?

— No tak, kiedy wróciłem z Paryża dostrzegałem to trochę, ale teraz nie.

— To dlatego, że sam także przesiąknęłam wsią. Och, za skarby świata nie chciałabym żyć w mieście! Egdon to dziwaczne miejsce, ale ja przywykłam do tego życia i nigdzie indziej na świecie nie byłabym szczęśliwa.

— Ani ja — stwierdził Clym.

— A więc jak możesz mówić, że powinnam wyjść za kogoś z miasta? Cokolwiek powiesz, jestem pewna, że muszę wyjść za męża za Diggory'ego, jeśli w ogóle mam mieć męża. Okazał mi więcej serca niż ktokolwiek inny i pomagał mi, nie wiem już nawet w ilu wypadkach. — Niemal się zaperzyła.

— Tak, masz rację — potwierdził bezstronnie Clym. — Pragnąłbym z całego serca móc ci powiedzieć, żebyś za niego wyszła. Ale nie mogę zapomnieć, co myślała w tej sprawie moja matka, i pragnąłbym uszanować jej zdanie. Jest aż nazbyt dużo powodów, byśmy jak najbardziej starali się spełnić jej wolę.

— A więc dobrze — westchnęła Tomasina. — Nie powiem już nic więcej.

— Przecież nie jesteś zobowiązana stosować się do moich życzeń. Po prostu mówię, co myślę.

— O, nie... nie chcę się aż tak buntować — powiedziała ze smutkiem. — Nie mam prawa o nim myśleć... powinnam myśleć o swojej rodzinie. Jakież to złe odruchy tkwią we mnie! — Wargi jej drżały i odwróciła się, żeby ukryć łzy.

Clym, chociaż zirytowany ujawnieniem tego, co można by nazwać jej dziwacznym gustem, poczuł jednak pewną ulgę, gdy się okazało, że w każdym razie problem małżeństwa z nim został odsunięty na dalszy plan. Przez kilka następnych dni o różnych porach dnia widywał przez okno swego pokoju, jak chodziła osowiała i smutna po ogrodzie. Był na nią trochę zły, że wybrała Yenna, a potem znów bolał nad tym, że stanął na jego drodze do szczęścia — bo przecież w gruncie rzeczy młody człowiek był tak prawy i wytrwały, że od czasu gdy zaczął nową kartę życia, trudno by znaleźć w całym Egdonie kogoś mu równego. Mówiąc krótko, Clym nie wiedział, co począć.

Kiedy spotkali się następnym razem, Tomasina odezwała się nagle:

272

18 — Powrót...

273— On teraz zajmuje o wiele lepszą pozycję w świecie niż dawniej.

— Kto? Ach, tak... Diggory Venn.

— Ciocia sprzeciwiała się tylko dlatego, że był sprzedawcą farby.

— Wiesz, Tomasino, może ja nie znam dokładnie wszystkiego, co się kryło za życzeniem mojej matki. Najlepiej więc kieruj się własnym rozsądkiem.

— Zawsze będziesz uważał, że zlekceważyłam wolę twej matki.

— Nie, nic podobnego. Będę uważał, że jesteś przekonana, iż gdyby ona widziała Yenna takim, jaki jest dzisiaj, uznałaby go za odpowiedniego męża dla ciebie.

Tak naprawdę czuję. Już nie radź się mnie więcej, ale rób, jak sama uważasz. Nie mam nic przeciwko temu.

Należy przypuszczać, że to zapewnienie przekonało Tomasinę, bo w parę dni

później, kiedy Clym zawędrował na dawno nie uczęszczaną część wrzosowiska, Humphrey, który tu pracował, powiedział:

— Cieszę się, bo wygląda na to, że pani Wildeve i Venn są znowu w przyjaźni.

— Doprawdy? — rzucił Clym w roztargnieniu.

— A jakże! Zawsze mu się udaje na nią natknąć, kiedy w pogodne dni wychodzi na spacer z dzieckiem. Ale według mnie, panie Yeobright, pańska kuzynka powinna wyjść za pana. Po co budować dwa kąciki przy kominku, kiedy potrzebny jest tylko jeden. Ja uważam, że mógłby mu ją pan odebrać, gdyby się tylko pan koło tego zakrzętnął.

— Czyż miałbym sumienie się ożenić, skoro wpędziłem do grobu dwie kobiety? Nie mów takich rzeczy, Humphreyu. Po tym, co przeżyłem, wydawałoby mi się farsą, gdybym miał jechać do kościoła i brać żonę. Mówiąc słowami Joba: “Zawarłem z oczyma przymierze, by nawet nie spojrzeć na pannę”.

— Nie, panie dymie, niech pan nie myśli, że wpędził pan dwie kobiety do grobu. Nie powinien pan tego mówić.

— A więc nie mówmy o tym — rzekł Clym. — W każdym razie Bóg naznaczył mnie piętnem, które nie licuje z zalotami. Dwie tylko myśli mam w głowie, nie więcej. Chcę prowadzić szkołę wieczorową i zamierzam zostać kaznodzieją. Co powiesz na to, Humphreyu?

— Przyjdę i będę pana słuchać całym sercem!

— Dziękuję. Tego właśnie pragnę.

Kiedy Clym wchodził w dolinę, inną ścieżką nadeszła Tomasina, spotkali się przy furtce.

— Jak myślisz, dymie, co mam ci do powiedzenia? — odezwała się patrząc na niego figlarnie przez ramię.

— Zgaduję r- odparł. Przyjrzała mu się uważnie.

— Tak, odgadłeś. W końcu do tego dojdzie. On uważa, że powinnam się zdecydować, a i ja tak myślę. Ślub odbędzie się dwudziestego piątego w przyszłym, miesiącu, jeśli nie masz nic przeciw temu.

— Rób, co uważasz za słuszne, kochana. Mogę się tylko cieszyć, że znów widzisz jasną drogę do szczęścia. Ten mężczyzna powinien ci wynagrodzić rozczarowania, jakie spotkały cię w przeszłości.

274

IV

WESOŁOŚĆ ZNOWU DOCHODZI DO GŁOSU

W BLOOMS-END, A CLYM ODNAJDUJE WŁAŚCIWE POWOŁANIE

Każdy, kto koło jedenastej rano w dniu wyznaczonym na ślub mijałby Blooms-End, stwierdziłby, że podczas gdy w domu dyma panuje względna cisza, z mieszkania jego najbliższego sąsiada, Tymoteusza Fairwaya, dobiegają odgłosy świadczące o niezwyklej krzątaninie. Dawał się słyszeć przede wszystkim energiczny tupot nóg, które ścierały piasek na podłodze. Można było dostrzec na dworze mężczyznę, który widocznie przybył na spotkanie później, niż zamierzał, bo pośpieszył do drzwi, podniósł zasuwę i bez ceremonii wszedł do środka.

Wewnątrz działo się coś niezwyklego. W izbie stała gromadka mężczyzn, którzy tworzyli trzon egdońskiego towarzystwa, a więc sam gospodarz i Grand-fer Cantle, Humphrey, Christian i paru robotników wycinających darń. Dzień był ciepły i zebrani nie mieli oczywiście kurtek, z wyjątkiem Christiana, który zawsze odczuwał nerwowy lęk przed zdjęciem z siebie jakiegokolwiek części ubrania, kiedy nie znajdował się w swoim domu.

Na masywnym dębowym stole stojącym na środku pokoju leżała ogromna pasiasta wyspa, którą Grandfer Cantle przytrzymał z jednej strony, a Humphrey z drugiej, podczas gdy Fairway nacierał ją z zewnątrz jakąś żółtą bryłką, a od

tego wysiłku twarz mu się zmarszczyła i spotniała.

— Nacieracie woskiem wyspę? — zapytał przybysz.

— Tak, Samie — odparł Grandfer Cantle, jak człowiek zbyt zajęty, by tracić na próżno słowa. — Tymoteuszu, czy mam ten róg jeszcze trochę naciągnąć?

Fairway odpowiedział mu, nie przestając energicznie smarować woskiem poszwy. A Sam, po chwili ciszy, mówił dalej:

— Widać, że to będzie doskonała pierzyna. A dla kogo?

— To prezent dla młodej pary na wspólne gospodarstwo — wyjaśnił Christian, który stał bezradny, przytłoczony ważnością tego, co się działo.

— Ano tak, i cenny prezent, jak myślę.

— Pierzyny to cenny prezent dla ludzi, którzy nie chowają gęsi, prawda, proszę pana? — Christian zwracał się do Fairwaya jak do osoby wszechwiedzącej.

— Tak — odparł tamten. Wstał, starannie przetaił czoło i wręczył wosk Humphreyowi, który zastąpił go w pracy. — To nie znaczy, że ta para nie ma pierzyny, ale trzeba przecież okazać im trochę życzliwości w tym radosnym momencie życia. Wyposażyłem każdą z moich dwóch córek w pierzyny, kiedy wychodziły za mąż, a od roku nabierało się w moim domu dosyć puchu na jeszcze jedną. Słuchajcie, sąsiedzi, chyba wtarliśmy już dość wosku. Grand-ferze Cantle, obróćże wyspę na prawą stronę, a ja zacznę pakować w nią puch.

Kiedy obrócono wyspę, Fairway i Christian przynieśli duże papierowe torby wypchane do pełna, a jednak lekkie jak balony, i zaczęli przesypywać zawartość każdej z nich do przygotowanej w tym celu wsypy. Kiedy tak opróżniali torbę po torbie, coraz liczniejsze lekkie strzępy puchu i pierza zaczynały fruwać po pokoju, aż — przez niezręczność Christiana, który wytrząsał zawartość jednej torby nie do wsypy, ale obok — powietrze w izbie stało się gęste od ogromnych płatków, które spadały na pracujących niczym śnieżycą bez wiatru.

— Nigdy nie widziałem takiej niezdary jak ty, Christianie — skarcił go surowo Grandfer Cantle. — Jesteś tak mało rozgarnięty, jakbyś był synem kogoś, kto przez całe życie nosa nie wychylił poza Blooms-End. Można rzeczywiście myśleć, że żołnierska służba ojca i jego obycie w świecie nie mają żadnego wpływu na charakter syna. Bo co się tyczy mego syna Christiana, mógłbym być równie dobrze siedzieć cały czas w domu i nic nie widzieć, jak wy wszyscy. Ale jeśli chodzi o mnie, zapewniam was, dziarski duch coś znaczy!

— Nie zawstydzaj mnie tak, ojcze, bo poczułem się mały jak kula od kręgli. Niczego w życiu nie osiągnąłem.

— Spokojnie, spokojnie. Nie śpiewaj na tak żalną nutę, Christianie, ale próbuj dalej — zachęcał Fairway.

— Tak, tak, próbuj dalej — powtórzył jak echo Grandfer, ale z takim naciskiem, jakby on pierwszy wpadł na ten pomysł. — Uczciwie mówiąc, każdy mężczyzna powinien albo się ożenić, albo iść na żołnierza. To obraza narodu nie robić ani jednego, ani drugiego. Ja wywiązałem się i z jednego, i z drugiego, dzięki Bogu. A jeśli ktoś nie chce ani przysparzać światu ludzi, ani ich ze świata usuwać* to widać duch w nim leniwy, niezdatny do niczego!

— Nigdy nie miałem serca do strzelaniny — tłumaczył się niepewnie Christian. — A co do żeniaczki, to przyznaję, że prosiłem o rękę jedną i drugą pannę, ale bez skutku. Owszem, trafia się taki dom, co potrzebowałby gospodarza... jakiego bądź... a gdzie rządzi kobieta. Ale nie byłoby zżęcznie, gdybym ja taką samotną kobietę znalazł, bo widzicie, sąsiedzi, kto by wtedy hamował mego ojca, żeby się zachowywał, jak przystoi staremu.

— I ty, mój synu, dlatego nie bierzesz roboty poza domem, żeby mnie pilnować — odciął mu się ojciec. — O, gdybym się tak bardzo nie lękał niedołęstwa, zaraz

jutro rano wyruszyłbym znowu w świat! Ale siedemdziesiąt jeden lat, chociaż to nic, gdy się jest u siebie, to jednak bardzo dużo jak na wędrowca... Tak, siedemdziesiąt jeden skończyłem na Gromniczną! Boże, wolałbym mieć tyle gwinei, a nie lat! — Tu stary człowiek westchnął.

— Nie kracz tak ponuro, Grandferze — powiedział Fairway. — Wpakuj jeszcze trochę pierza do wsypy i nie trać ducha! Łodygi wprawdzie masz wątle, ale liście twej starości są jeszcze zielone. Masz przed sobą dość czasu, aby zapełnić całą kroniki.

— Jak Boga kocham, ja do nich pójde, Tymoteuszu... do nowożeńców! — zawołał Grandfer Cantle z zapalem, ruszając się żywo. — Pójde dziś wieczór i zaśpiewam pieśń weselną! Co? To do mnie podobne, wy wiecie, i oni tak to też zrozumieją. W ogrodach Kupida bardzo się podobała w roku osiemset czwartym, a przecież znam inne, równie dobre albo nawet lepsze. Co powiecie na to:

276

Spoza kraty okna wysokiego

Przyzywała swojego miłego:

“Pójdź, pójdź, nie moknij na rosie i mgle!”

Tej pieśni na pewno z przyjemnością posłuchają w takim czasie! Teraz, kiedy nad tym pomyślę, widzę, że do głowy mi nie przyszła prawdziwie dobra piosenka od czasu tej dawnej nocy świętojańskiej, kiedy to śpiewaliśmy Stertę jęczmienia w oberży, a szkoda zaniedbać zdolności, skoro jest tu niewielu takich, co by to potrafili.

— Ano, racja — potwierdził Fairway. — A teraz potrząsnijmy pierzyną.

Wepchnęliśmy do środka siedemdziesiąt funtów najlepszego pierza i chyba to już wszystko, co da się tu zmieścić. A teraz, podług mnie, coś do napicia i przekąska byłyby całkiem na miejscu. Christianie, wyjmij no wiktuały z narożnego kredensu, jeśli tam sięgniesz, człowieku, a ja przygotuję kropelkę czegoś, żeby nie jeść całkiem na sucho.

Zasiedli do jedzenia wśród swojej pracy, a pierze fruwało dokoła nich, nad nimi i pod nimi, dawne zaś jego posiadaczki podchodziły do otwartych drzwi i gęgały z żalu na widok swych starych szatek.

— Zadławię się, słowo daję! -r zawołał Fairway, kiedy wyciągnąwszy z ust pierze, zobaczył, że pływa ono również w kuflu, który krąży wkoło.

— Połknąłem już tego pierza wiele, a była tam i całkiem sporawa dudka — stwierdził pogodnie Sam, który siedział w kącie.

— A to co? Czyżby było słyhać turkot kół? — wykrzyknął Grandfer zrywając się na równe nogi i biegnąc do drzwi. — Tak, to oni wracają, a ja spodziewałem się ich dopiero za pół godziny. Okazuje się, że bardzo szybko można się uwinąć ze ślubem, jeśli się chce.

— O tak, można się z tym szybko uwinąć — potwierdził Fairway, jak gdyby należało coś dodać na potwierdzenie tych słów.

Wstał i podszedł do drzwi, a za nim reszta zebranych. Za chwilę zbliżyła się jednokonna otwarta dorożka. Siedzieli w niej państwo Venn, Cłym Yeo-bright i starszy kuzyn Yenna, który przybył na tę uroczystość z Budmouth. Pan młody wynajął dorożkę w najbliższym miasteczku, nie zważając na odległość i koszt, ponieważ jego zdaniem na wrzosowisku Egdon nie było dostatecznie wytwornego pojazdu na tę uroczystość, skoro żenił się z taką kobietą jak Tomasina. Kościół zaś znajdował się zbyt daleko, żeby mogli iść piechotą.

Mężczyźni wybiegli z domu, a kiedy mijała ich dorożka, zaczęli wołać: “Niech żyją!”, i machać rękami, za każdym zaś poruszeniem pierze i puch wyfruwały z ich włosów, rękawów i fałd ubrania, a łańcuchy Grandfera Cant-le'a tańczyły wesoło w blasku słonecznym, kiedy obracał się wkoło. Dorożkarz patrzył na nich wyniośle —

on nawet nowo zaślubioną parę traktował trochę protekcyjnie — bo czyż ludzie, bogaci czy biedni, skazani na egzystencję w tak zapadłym zakątku jak Egdon, gdzieś na końcu świata, mogliby nie być poganami? Tomasina nie okazywała takiej wyższości zebranych przy drzwiach” chaty, bo machała im dłonią tak szybko, jak ptak macha skrzydłem, i ze łzami w oczach pytała męża, czy nie należałoby wysiąść i porozmawiać z tymi dob-

18 — Powrót...

277rymi sąsiadami. Venn jednakże wyraził przekonanie, że nie jest to konieczne, skoro wszyscy przyjdą do domu wieczorem.

Pozdrawiająca ich grupka powróciła po tym podniecającym spotkaniu do swego zajęcia i wkrótce potem napychanie i zszywanie pierzyny zostało zakończone, a Fairway zaprzągnął konia, zawinął ten nieporęczny prezent i odwiózł go wozem do domu Yenna w Stickleford.

Clym wypełniwszy obowiązki, które w sposób naturalny spadły na niego w związku z ceremonią ślubną, i powróciwszy z młodą parą do domu, nie czuł się usposobiony do wzięcia udziału w mających nastąpić tańcach i uczcie weselnej. Sprawił tym zawód Tomasinie.

— Żałuję, że nie mogę być z wami nie psując wam radości — tłumaczył. — Ale byłbym na przyjęciu w charakterze trupiej czaszki.

— Ależ, nic podobnego.

— No więc, kochana, nie wracajmy do tego tematu. Byłbym rad, gdybyś pozwoliła mi nie przyjść. Wiem, że to może wydać ci się nieuprzejme, ale, droga Tomasino, obawiam się, że nie czułbym się dobrze w towarzystwie. Oto cała prawda. Wiesz przecie, że będę przyjeżdżał i odwiedzał cię w nowym domu, więc moja nieobecność na przyjęciu nie ma znaczenia.

— W takim razie ustępuję. Zrób to, co ci odpowiada.

Clym z wielką ulgą powrócił na górę do swego mieszkania i popołudnie spędził na spisywaniu tytułów kazań, co miało być początkiem realizacji planu, dla którego tu przyjechał i którego nie tracił z oczu przez tak długi czas, w dobrej i złej doli. Badał i ważył swoje przekonania wciąż na nowo i nie widział powodu, by je zmieniać, chociaż znacznie ograniczył plany. Jego wzrok poprawił się dzięki długiemu wypoczynkowi w rodzinnym klimacie, jednak nie na tyle, aby pozwolić mu na podjęcie wysiłków związanych z rozległymi planami edukacyjnymi. Ale się nie uskarżał, pozostało bowiem i tak aż za wiele prac — choć mniej ambitnych — które wymagały całej jego energii i wypełniłyby cały jego czas.

Nadchodził wieczór i odgłosy życia i ruchu w niższej części domu stały się wyraźniejsze, ciągle słychać było trzaskanie furtką. Przyjęcie miało się odbyć wczesną porą i goście zebrali się na długo przed zapadnięciem zmroku. Clym wyszedł tylnymi schodami i dostał się na wrzosowisko inną ścieżką niż prowadząca do furtki, zamierzając spacerować na otwartym terenie, póki nie skończy się przyjęcie, a potem wrócić i życzyć Tomasinie i jej mężowi szczęścia przed ich odjazdem. Kroki jego bezwiednie skierowały się ku Mistofer, na ową ścieżkę, którą szedł w ten straszny poranek, kiedy posłyszał przerażającą nowinę z ust synka Zuzanny.

Nie zawrócił do jej chaty, ale szedł dalej, aż na wzniesienie, skąd mógł widzieć cały teren, gdzie mieszkała Eustachia. Kiedy tak stał, obserwując ciemniejący krajobraz, ktoś zbliżył się do niego. Clym dostrzegł go bardzo niewyraźnie i pozwoliłby mu przejść w milczeniu, gdyby przechodzień, którym był Charley, nie poznał go i nie odezwał się pierwszy.

— Charley, dawno już cię nie widziałem — powiedział Clym. — Czy często tędy chodzisz?

— Nie — odpowiedział chłopak. — Nieczęsto wychodzę poza wał.

— Nie byłeś na święcie majowym.

— Nie — odpowiedział chłopak, tym razem obojętnym tonem. — Nie dbam teraz o takie rzeczy.

— Lubieś pannę Eustachię, prawda? — zapytał łagodnie Clym. Eustachia wspominała mu nieraz o romantycznym przywiązaniu chłopca.

— Tak, bardzo. Ach, jak bym pragnął...

— Czego?

— Pragnąłbym mieć na własność coś, co kiedyś należało do niej... jeśli to panu nie zrobi różnicy.

— Będę szczęśliwy spełniając twoje życzenie, Charley. Sprawi mi to wielką przyjemność. Zaraz pomyślę, co chciałbyś mieć z rzeczy, które są u mnie w Blooms-End. Albo lepiej chodź ze mną do domu, to zobaczę.

Ruszyli razem do Blooms-End. Kiedy doszli na miejsce, front był ciemny, zamknięte okiennice zasłaniały wnętrza.

— Chodźmy dookoła — powiedział Clym. — Wchodzę teraz od tyra.

Obeszli dom i wspinali się schodami po ciemku, a kiedy Clym znalazł się w pokoju, zapalił świecę i Charley wsunął się za nim do środka. Clym przeszukał biurko, wydobył zwitek bibułki i rozwinął. Ukazało się parę pasm falujących włosów kruczoczarnej barwy. Wybrał jedno, zawinął i dał chłopakowi. Oczy Charleya napełniły się łzami. Ucałował pakiecik, wsunął go do kieszeni i powiedział wzruszonym głosem:

— O, panie dymie, jaki pan jest dla mnie dobry!

— Pójdę z tobą kawałek — rzekł gospodarz.

Zeszli na dół, skąd dobiegały ich odgłosy wesela. Idąc do furki przechodzili pod bocznym okienkiem, z którego padał blask świec na rosnące przed nim krzaki. Zasłaniały one pokój przed okiem ciekawych i dlatego nie zamknięto okiennic, ale ze ścieżki, którą szli, widać było, co się dzieje w środku, choć niezbyt wyraźnie, ponieważ szybki pozieleniały ze starości.

— Charley, co oni tam robią? — zapytał Clym. — Mam dziś osłabiony wzrok, a szybki tego okienka nie są zbyt przezroczyste.

Chłopak przetarł własne przesłonięte łzami oczy i zbliżył się do okna.

— Pan Venn prosi Christiana Cattle'a, żeby coś zaśpiewał — odparł — a Christian kręci się na krześle, jakby się bał, i ojciec go zastępuje.

— Tak, słyszę głos tego starego — potwierdził Clym. — A więc myślę, że nie będzie tańców. A czy Tomasina jest w pokoju? Jak mi się zdaje, widzę w blasku świec postać, która mi ją przypomina.

— Tak. Wygląda na szczęśliwą. Policzki ma czerwone i śmieje się z czegoś, co powiedział Fairway. O Boże!

— A co to za hałas? — pytał Clym.

— Pan Venn jest taki wysoki, że uderzył głową w sufit, kiedy podskoczył przechodząc pod belką. Pani Venn przybiegła do niego przerażona i teraz maca mu ręką głowę, aby sprawdzić, czy nie nabił sobie guza. A teraz znowu się śmieją, jakby nic się nie stało.

— Czy wygląda na to, że ktoś z nich odczuwa brak mojej osoby? — zapytał Clym.

— Nie, ani trochę. A teraz podnieśli w górę kieliszki i piją czyjeś zdrowie.

— Ciekaw jestem, czy moje?

— Nie, państwa Venn, bo on wygłasza jakieś przemówienie od serca. A teraz pani Venn wstała i poszła chyba się przebrać.

— No cóż, nie pomyśleli o mnie, i całkiem słusznie. Wszystko jest tak, jak być powinno, i Tomasina nareszcie jest szczęśliwa. Nie stójmy już tu dłużej, bo oni wkrótce zaczną się rozchodzić do- domów.

Chłopiec poszedł wrzosowiskiem do domu, Clym mu przez pewien czas towarzyszył, a

kiedy po kwadransie wrócił, Tomasina i Venn szykowali się do odjazdu, bo podczas jego nieobecności wszyscy goście się rozeszli. Nowożeńcy zasiedli w jednokonnym powoziku, którym przyjechał po nich ze Stickleford starszy mleczarz i podręczny Yenna, a niańka z małą Eustacją usiadła bezpiecznie na tylnym siedzeniu.

Mleczarz na bardzo starym koniu — którego podkowy za każdym krokiem brzęczały jak cymbały — jechał z tyłu, niczym lokaj z minionego wieku.

— A teraz pozostawimy dom w wyłącznym twoim posiadaniu — mówiła Tomasina pochylając się, aby życzyć kuzynowi dobrej nocy. — Będziesz się czuł trochę samotny, Clymie, po tym zamieszaniu, jakie robiliśmy.

— O, to mi nie będzie przeszkadzać — powiedział Clym, uśmiechając się trochę smutnie.

Potem nowożeńcy odjechali i znikli w mroku nocnym, a Clym wszedł do domu.

Powitało go jedynie tykanie zegara, gdyż w domu nie było żywej duszy, bo Christian, który sprawował jednocześnie funkcje kucharza, służącego i ogrodnika, spał w domu ojca. Clym usiadł na krześle i dłuższą chwilę trwał w zamyśleniu.

Naprzeciw niego stało dawne krzesło matki. Tego wieczoru siedzieli na nim ludzie, którzy ledwo pamiętali, że kiedyś było jej własnością. Ale Clymowi wydawało się, że matka jest tu obecna, w tej chwili i zawsze. Jakikolwiek jej obraz zachowali w pamięci inni ludzie, w jego wspomnieniach jawiła się jako święta, której aureoli nie przyćmiło nawet uczucie do Eustachii. Ale było mu ciężko na sercu, bo ta matka nie pobłogosławiła go w dniu jego zaślubin, w dniu radości jego serca. A wypadki potwierdziły słusność jej sądu i dowiodły, jak mu była oddana. Powinien był sumiennie rozważyć jej przestrogi, bardziej nawet ze względu na dobro Eustachii niż swoje własne.

— To wszystko z mojej winy — szepnął. — O, moja matko! Moja matko! Gdyby też Bóg pozwolił mi przeżyć życie na nowo i wycierpieć dla ciebie tyle, ileś ty dla mnie wycierpiała!

W niedzielę po weselu na Rainbarrow można było oglądać niezwykle widok. Z daleka wydawało się po prostu, że jakaś nieruchoma postać stoi na szczycie kurhanu, tak jak Eustacją stała na tym samotnym wzniesieniu dwa i pół roku temu. Ale teraz była ciepła, piękna pogoda, wiał łagodny letni wiatr, było wczesne popołudnie, a nie jak wtedy — szary zmierzch. Ludzie, którzy znajdowali się na wzgórzach w pobliżu Rainbarrow, dostrzegali, że owa wyprostowana postać w środku, przesywająca niebo, nie jest sama. Wokół niej na zboczach Rainbarrow znajdowała się grupka mężczyzn i kobiet z wrzosowiska, którzy siedzieli lub leżeli, jak komu było wygodniej. Przysłuchiwali się słowom stojącego w środku człowieka, który wygłaszał kazanie, podczas gdy oni w zamyśleniu zrywali wrzos, ogałali paprocie z liści lub rzucali kamykami po zboczu. Był to początek nauk moralnych, czyli Kazań na Górze, które miały z tego samego miejsca rozbrzmiewać każdego niedzielnego popołudnia, dopóki utrzyma się ładna pogoda.

Rainbarrow, to panujące nad okolicą wzniesienie, zostało wybrane dla dwóch powodów: po pierwsze, zajmowało centralną pozycję wśród leżących dookoła dalekich chatek, po drugie kaznodzieję widać tutaj było ze wszystkich sąsiednich miejsc od razu, w chwili zajęcia przez niego stanowiska, a ten widok był dobrym sygnałem dla wszystkich rozproszonych wędrowców, którzy chcieli tu przyjść. Mówca stał z odkrytą głową i za każdym podmuchem wietrzyku łagodnie falowały jego włosy, trochę nazbyt przerzedzone jak na tak młodego człowieka, bo liczył on mniej niż trzydzieści trzy lata. Oczy miał przesłonięte od blasku, twarz myślącą i pooraną zmarszczkami, ale choć te oznaki wskazywały na fizyczne wyniszczenie, nie przejawiało się ono w głosie, który miał ton niski, dźwięczny i poruszał do głębi. Mówca stwierdził, że jego przemówienia będą czasem świeckie, a czasem religijne, ale nigdy nie będzie się opierał na dogmatach, i

że teksty ma zamiar czerpać z wszelkich rodzajów ksiąg. Tego popołudnia rozpoczął od następujących słów:

“Król wstawszy wyszedł jej na spotkanie i oddał jej pokłon, potem zasiadł na tronie swoim i kazał postawić krzesło matce królewskiej, i siadła po jego prawej ręce. Potem rzekła: Mam do ciebie jedną małą prośbę, tylko nie odmawiaj mi. Wtedy król rzekł do niej: Przedstaw swoją prośbę, moja matko, a z pewnością ci nie odmówię.” *

Clym Yeobright rzeczywiście odnalazł swoje powołanie jako wędrowny kaznodzieja i wykładowca, wygłaszający pod gołym niebem nauki pod względem moralnym bez zarzutu i od tego dnia pracował nieustannie w tym charakterze, przemawiając nie tylko prostym językiem na Rainbarrow i w okolicznych osadach, ale i w sposób bardziej uczony gdzie indziej — ze schodów i spod portyków ratuszów, pod krzyżami na placach targowych, przy fontannach, na esplanadach i na przystaniach, a także na parapetach mostów, w stodołach i budynkach gospodarczych, i w innych podobnych miejscach w sąsiednich miastach i wioskach Wessexu. Pozostawiał na uboczu zasady wiary i systemy filozoficzne, a w opiniach i czynach wspólnych zwyczajnym dobrym ludziom znajdował aż zbyt wiele — i coraz więcej — materiału do wypowiedzi. Jedni mu wierzyli, inni nie, jedni mówili, że jego słowa nie wnoszą nic nowego, inni skarżyli się, że brak mu doktryny teologicznej, a jeszcze inni stwierdzali, że łatwo zajmować się wygłaszaniem kazań człowiekowi, który zbyt źle widzi, by mógł robić co innego. Wszędzie jednak przyjmowano go życzliwie, bo historia jego życia stała się ogólnie znana.

* III Księga Królewii

281

* Najbardziej na północ wysunięta zamieszkała ziemia starożytnego świata.

Ptolemeusz i inni starożytni geografowie uważali, że jest to wyspa leżąca na północ od Brytanii. (Wszystkie przypisy opracowała tłumaczka.)

* Dolina Tempe leży w północno-wschodniej Tesalii, między górą Olimp a masywem górskim Ossa. W starożytności poświęcona była Apollinowi.

* Przedmieście Hagi, kąpielisko morskie o światowej sławie.

* Zawiązany został w 1605 roku przez katolików angielskich z G. Fawkesem na czele w celu wysadzenia w powietrze Parlamentu wraz z królem Jakubem I; spisek wykryto, zamachowców stracono.